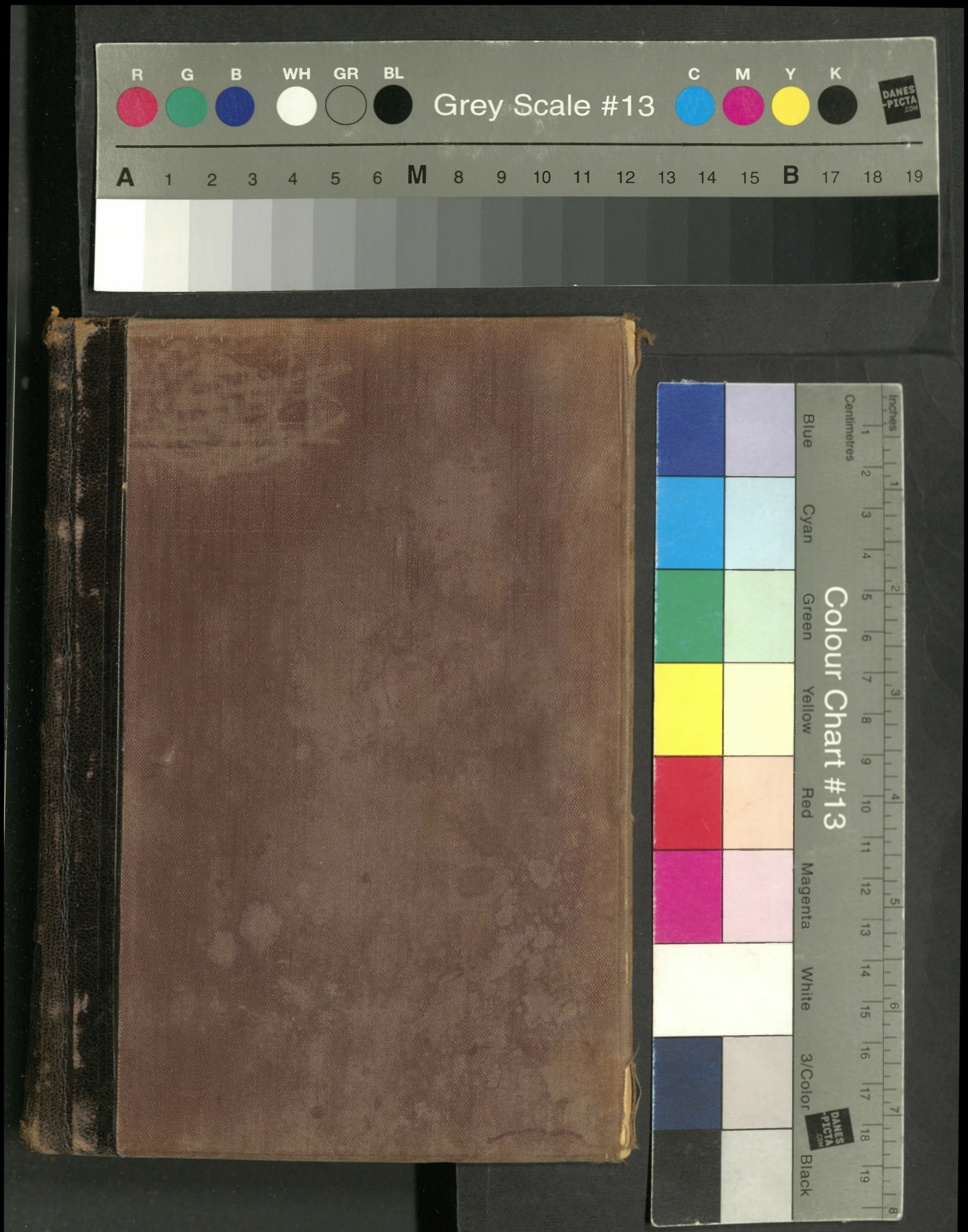
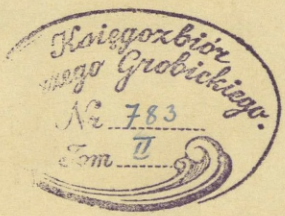

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Inches
Centimetres
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM

Z. A. DĄBROWSKI
INTROLIGATORNIA
GRÓJEC.

A. G.
XI b. 61a/2



1043

ZAPISKI O POWSTANIU POLSKIEM

1863 i 1864 roku.

XI b. 61a/2

MIKOŁAJA WASYLIEWICZA BERGA

ZAPISKI

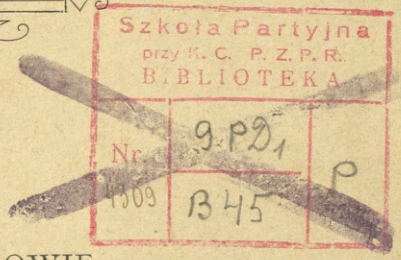
O POWSTANIU POLSKIEM

1863 i 1864 roku

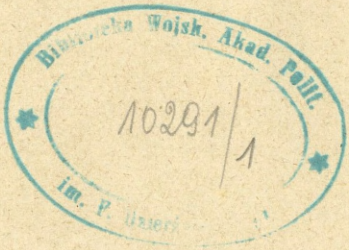
i poprzedzającej powstanie epoce demonstracyi od 1856 r.

Z ROSYJSKIGO ORYGINAŁU, WYDANEGO KOSZTEM RZĄDU,
A NASTĘPNIE PRZEZ CENZURĘ ZNISZCZONEGO, DOSŁOWNIE PRZEŁOŻYŁ K. J.

TOM II.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1899.



W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego

»Ja chcę tylko z mego małego fotograficznego zbioru wydać kilka obrazków... w nich jak zwykle w fotografiach schwycono i utrwalono wiele rzeczy przypadkowych; niezręczne pozy, ugrupowania; drobiazgi zanadto wydatne, obok wiernego odbicia wypadków i nieupiększonych fizyognomii działających osób.«

Herzen. »Kołokoł« 1864 r. Nr 188, str. 1542.

»Wypadki rzadko się rozwijają w prostym, logicznym porządku. Przeciwnie, najczęściej lawirując zataczają się po liniach spiralnych, odgrywają się po stycznych.«

Herzen. »Oeuvres posthumes« str. 85.

»Pół-środki i pół-życzenia świadczą tylko o połowicznych ludziach.«

Napoleon I.

»Prawda jest potrzebą duszy i największą jest tyranią zadawanie najmniejszego gwałtu zadosyćuczynieniu tej potrzeby.«

G. E. Lessing. »Laokoon« tom II.

KSIĘGA IV.

Nominacya Suchozaneta. Wznowienie manifestacyi. Hrabia Lambert. Wybory. Manifestacya w Horodle. Śmierć i pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego. Egzekwie za Kościuszkę. Uwięzienia po kościołach. Zamknięcie kościołów. Samobójstwo Gerstenzweiga. Wyjazd hr. Lamberta. — (Od 8. czerwca do 26. października 1861 roku).

Tegoż samego dnia, 28. maja 1861 roku, gdy jenerałowi Merchelewiczowi, jeszcze za życia księcia Gorczakowa poruczono zastępczo sprawowanie cywilnego zarządu w Królestwie Polskiem, cesarz zamianował i następcę jego w osobie ministra wojny, Mikołaja syna Onufrego Suchozaneta, z tytułem pełniącego obowiązki namiestnika. Twierdzą, że w ten delikatny sposób chciano się pozbyć z Petersburga tej na nic już nieprzydatnej starzyzny, by na jego miejsce zamianować ministrem wojny Milutina. Przyznać atoli należy, że wówczas rząd mógł tylko wybierać wśród podobnej starzyzny: dzielni i młodzi ludzie, którzyby z większą korzyścią mogli zająć to, tak w oczach spokojnych zaszczytne i pożądane stanowisko, teraz uciekali odeń, jak od zapowietrzonego miejsca i truchleli, aby cesarz któremu z nich nie rozkazał jechać do Polski.

Lecz cesarz, podówczas tak miękko i łagodnie usposobiony dla obcych, czy mógł być surowym dla swoich? a zresztą i czasy nie były odpowiedne dla okazania jakiejkolwiek surowości. Opowiadano, że cesarz proponował hrabiemu Mikołajowi Mikołajewiczowi Murawiewowi-Amurskiemu posadę namiestnika w Królestwie Polskiem, który właśnie co

tylko prosił o uwolnienie z obowiązków jenerał-gubernatora wschodniej Syberyi, ten atoli miał odpowiedzieć: »Przyznaję najjaśniejszy panie, że może byłbym wcale odpowiednim przedstawicielem rosyjskiej władzy w Królestwie, lecz żona moja, cudzoziemka, nie mówiąca nawet po rosyjsku, w żaden żywy sposób nie mogłaby być reprezentantką rosyjskiego towarzystwa w Warszawie. Proszę nadto zważyć, jak polska arystokracya jest drażliwą« [1]).

Po tej odmowie dopiero miano się zwrócić do przestarzałego laty i umysłem Suchozaneta. Zewnętrznie posiadał on wszystkie odpowiednie przymioty: długie lata służby, tytuł ministra wojny, do tego zaś orderów omal nie tyle ile liczył sobie lat wieku. Z przeszłości jego tyle nam wiadomo:

Mikołaj Onufriewicz Suchozanet był bardzo nizkiego pochodzenia. Ojciec jego, Grek rodem, był szynkarzem w Nieżynie. Urodzony w 1794 roku, w domu otrzymał nader niedostateczne wychowanie, szczególniej zaś źle i niegramatycznie mówił i pisał w języku nibyto rodowitym. (Przytaczane poniżej jego mowy, wszystkie są poprawiane i wygładzone). W kwietniu 1811 roku rodzice Mikołaja Onufriewicza oddali go do wojska, jako wymagającego podówczas najmniej wykształcenia, a mianowicie do pierwszej konno-artylerzyckiej kompanii na junkra. (Kompanie przekształcono następnie na baterye). Wojna pomogła do prędkiego awansu. Dnia 26. grudnia 1811 roku

---

[1]) Żona hr. Amurskiego występowała kiedyś w cyrku w Strasburgu i jako nadzwyczajna piękność, zrobiła znajomość ze znanym milionerem Jakowlewym, który ją następnie ustąpił hr. Murawiewowi, jak powiadają za 20.000 rubli sr. — (Dziennik pułk Krywonosowa).

M. J. Wieniukow w pracy swej hr. M. M. Murawiew-Amurski (*Ruskaja starina*, luty 1882 r. str. 525) powiada, że gdy zaproponowano hrabiemu zarząd Polską w maju 1861 roku, ten miał oświadczyć: „Niech mi pierwej powiedzą, czego właściwie rząd chce w Warszawie, czy rzeczywistego uspokojenia umysłów, czy tylko policyjnego ładu i porządku? Wtedy pójdę — dwuznacznie zaś działać (kręcić) nie w moim charakterze!“ Hrabia M. M. Murawiew-Amurski umarł w Paryżu z 18. na 19. listopada 1881 roku.

został chorążym, zaś w sierpniu 1812 roku za odznaczenie się w bitwie pod Połockiem podporucznikiem, 26. listopada 1812 roku porucznikiem, a następnie we dwa lata, dnia 12. sierpnia 1814 r. przeniesiony do gwardyjskiej artyleryi, został adjutantem przy naczelniku artyleryi pierwszej armii. W 1820 r. był już pułkownikiem, a w 1828 r. awansował na jenerał-majora [1]). W 1848 roku za odznaczenie się został jenerał-porucznikiem i w czasie węgierskiej kampanii był naczelnikiem artyleryi czynnej armii. Mieszkając potem w Warszawie, uchodził za bardzo zdolnego jenerała, o którym mało mówiono, a którego Paskiewicz znosił w służbie, jako spokojnego, starego wiarusa, nie mieszającego się do niczego.

W czasie wojny wschodniej o Suchozanecie nic nie słychać, należał zapewne do tego balastu sztabowego każdej czynnej armii, zwykle znajdującego się gdzieś przy tyłach linii bojowej. Naraz następująca okoliczność wysunęła go na pierwszy plan widowni. Była chwila, że w Krymie obawiano się wkroczenia Francuzów wgłąb kraju dla zajęcia Perekopu i przecięcia wszelkiej komunikacyi armii, działającej pod Sebastopolem z Rosyą. Naczelny wódz postanowił cofać się z główną armią do wewnętrznych gubernii, zaś jeden oddział pozostawić na półwyspie dla zabezpieczenia odwrotu na straconem stanowisku, z poleceniem trzymania się do ostateczności, chociażby przyszło wszystkim zginąć. Ma się rozumieć, że nie wielu było ochotników do dowodzenia oddziałem, zawczasu już na zgubę przeznaczonym. Wszyscy jenerałowie ze sztabu tylnych straży, prosili Boga, by mogli jak najprędzej dostać się do prawdziwej, nie tatarskiej Rosyi. Jedynie biały jak śnieg Suchozanet nie pomyślał o tem, podjął się dobrowolnie dowództwa i zaraz został przezwany przez sfrancuziałego księcia Gorczakowa *Soyons-honnête.*

---

[1]) Książę Eugeniusz Wirtembergski w pamiętnikach swoich o wojnie rosyjsko-tureckiej z roku 1828, bardzo korzystnie odzywa się o M. O. Suchozanecie. — *Ruskaja starina* z 1880 roku kwiecień strona 781—800.

Nieprzyjaciel, jak wiadomo, w głąb Krymu nie poszedł. Przeznaczony na stracenie oddział wojska, a z niem i Suchozanet, pozostali nietknięci. Gdy w 1855 roku cesarz Aleksander II w październiku zwiedzał Krym i Sebastopol, Gorczaków, przedstawiając najbardziej odznaczających się oficerów, między innymi przedstawił i starego *Soyons - honnête*. Cesarz zapamiętał nazwisko, a gdy po śmierci Paskiewicza, Gorczaków został zawezwany do Petersburga, zaś dowódca piątego korpusu otrzymał naczelne dowództwo nad armią południową i Krymem, dowództwo piątego korpusu powierzono Suchozanetowi; po wojnie został wezwany na ministra wojny.

Na tem stanowisku wyszła na jaw niezwykła piśmienność jenerała. Któż nie wie w Petersburgu i w całej armii o własnoręcznej uwadze jego, zrobionej na raporcie, podanym mu przez dyrektora biura, radcę tajnego Briskorna; uwaga, która się niemal stała historyczną. W początkach dochodzeń nad zarządem intendantury czynnej armii w kwietniu lub maju 1866 roku Briskorn przedstawił Suchozanetowi, że dla ułatwienia zadania prezesowi komisyi śledczej, księciu Wiktorowi Hilaryonowiczowi Wasilczykowu, należy polecić departamentom komisaryackiemu i medycznemu, ażeby ułożyli dokładne historyczno - statystyczne sprawozdanie o szpitalach istniejących przy armiach: południowej i krymskiej. Gdyby sprawozdanie to prędko zrobiono, to Briskorn zobowiązywał się zestawić dokładny wyciąg z takowego w ciągu sześciu tygodni, mniejwięcej na lipiec, a może i prędzej. Suchozanet, otrzymawszy zażądane sprawozdanie i widząc poważną jego objętość a przytem przy pobieżnem przeglądaniu natrafiwszy na pewne zawiłości, napisał z boku na marginesie: *sumlewajuś sztop pryskorn moch obolwaniť dieło ob hob szpitalach kiuliu* — mniej więcej równoznaczne z polskiem: fątpię szeby pryskorn much obalwanić (pokonać) sprawę o szpitalach kjulju (do lipca). Śmiano się z tego w Petersburgu, śmiano w Odesie i Charkowie, i dotychczas, gdy się natrafia na jaką trudność, lubią

powtarzać *sumniewajuś sztop priskoru moch eto obolwanit'... Habent sua fata libelli.*

W wojskowym rozwoju państwa Suchozanet nie nabył wielkiego znaczenia. Zawsze się dawał komuś powodować. Przez pewien czas kierował nim dyżurny jenerał głównego sztabu Jego Ces. Mości, Gerstenzweig, następnie towarzysz ministra wojny książe W. H. Wasylczyków, który nawet miał nadzieję zastąpienia go na tem stanowisku, lecz sprawę poprowadził zbyt nagle i musiał zupełnie ustąpić z wojska, w końcu zaś ostatnią niańką Suchozaneta, jako ministra wojny, był następca księcia Wasylczykowa, D. A. Milutin.

Naznaczywszy na razie takiego człowieka na zastępcę zmarłego księcia M. D. Gorczakowa, cesarz nie zwlekając, musiał się obejrzeć za odpowiedniejszą osobistością, wyszukać między jenerałami kogoś młodszego i wykształconego. Do wyboru, z wyżej już przytoczonych powodów, byli tylko albo tacy, którzy już w czemś nadwyrężyli swoją karyerę, stanąwszy na pewnej wysokości, albo też zupełnie nieznani, w drodze dopiero do wydobycia się na szerszą widownię. Cesarz zasięgał pod tym względem zdania wielu z bliższego otoczenia a między innymi i feldmarszałka księcia Bariatyńskiego, prosząc go, aby między młodszymi jenerałami wskazał kogoś z dobrem wychowaniem i ułożeniem, a jeśli się da, choć cokolwiek obeznanego z Polską i jej stosunkami. Książę Bariatyńskij wskazał na swego dawnego kolegę z pułku gatczyńskiego kirasyerów gwardyi, hrabiego Karola Karłowicza Lamberta, który podówczas bawił za granicą. Był to człowiek młody, zręczny, dobrze wychowany, z rodu arystokratycznego, a chociaż z urodzenia i wychowania Rosyanin, z krwi i pochodzenia Francuz a przytem katolik, co także mogło mieć doniosłe znaczenie.

Rodzina Lambertów należała do starej francuskiej rodowej arystokracyi. Dziad Karła Karłowicza, Marechal du Camp Ludwika XVI, dowodził gwardyą narodową w Paryżu. W czasie rewolucyi 1790 roku musiał emigrować. Synowie jego Karol i Józef dostali się do Rosyi. Karol, chorąży królewskiej

gwardyi, wstąpił do rosyjskiego wojska i za jakąś szczególniejszą protekcyą został second-majorem w pułku kinburnskich dragonów. »Służył w wojskach, działających w Polsce, odznaczył się w bitwach pod Chełmem i Maciejowicami, a potem był jednym z mężnych jenerałów »wiekopomnej pamięci 1812 r.« Ożeniony z córką suworowskiego jenerała Diejewa, umarł w 1843 roku, pozostawiając dwóch synów, także Józefa i Karola, którzy poszli śladami ojca i także wstąpili do wojska.

Hrabia Karol, rozumny, z wykwintnem salonowem ułożeniem oficer, był dosyć słusznego wzrostu, zgrabny, o francuskim typie wojskowym, zwracającym zaraz na siebie uwagę każdego. Koledzy jego ze szkół i z pułku, spostrzegali w nim pewną przebiegłość i skrytość, umiejętność maskowania swych myśli i zamiarów, a przytem nadzwyczajną ambicyę i skłonność do intryg. Od najniższego oficerskiego stopnia [1]) Lambert starał się zbliżać tylko do takich ludzi, o których przewidywał, że dzięki swemu towarzyskiemu stanowisku i stosunkom będą musieli pójść wysoko, i będą mogli następnie wywrzeć wpływ i na jego karyerę służbową. Do liczby takich przyjaciół można zaliczyć i księcia Bariatyńskiego, następnie naczelnego wodza na Kaukazie. Nawet wybór pułku, do którego początkowo wstąpił, był spowodowany względami na te stosunki koleżeńskie. Szefem pułku był następca tronu, przyszły cesarz Aleksander II. Nie szkodziło zawczasu zwrócić na siebie oko przyszłego monarchy.

Wszakże w początkach hrabiemu Lambertowi nie bardzo się szczęściło w pułku. Przeszedł więc do konnej gwardyi, spodziewając się prędkiej nominacyi na skrzydłowego adjutanta cesarza. Atoli car Mikołaj, nie był hojny w nadawaniu tych odznaczeń. Karol Karłowicz podał się więc na Kaukaz, aby tam szczęścia popróbować. Na Kaukazie dostał się pod rozkazy znanego jenerała Freytaga, operującego podówczas na lewem skrzydle kaukazkiej linii, brał udział w bitwie pod Wa-

[1]) Oficerem został zamianowany $^{2}/_{14}$ października 1833 roku.

lerykiem i przy zdobyciu szturmem gechińskiego lasu, nic wszakże szczególnego nie wskórał.

Wracając w kwietniu 1841 roku z Kaukazu do Petersburga, spotkał się na pewnej stacyi pocztowej z dawnym swym znajomym, sztabs-kapitanem generalnego sztabu Siemeką. Rozmawiając, jak zwykle, między wojskowymi o służbie, odznaczeniach i awansach swych znajomych i kolegów, Lambert zaraz się począł użalać na swój los: »Co robić? nie szczęści się i nie szczęści! Mam już lat 25, i tylko jestem porucznikiem. Napoleon w 26-tym roku życia stał już na czele armii!« — (Opowiadanie jenerał-adjutanta Siemeki, dowódzcy wojsk odeskiego okręgu).

Następnie spotykamy go w Algierze, gdzie jako ochotnik bierze udział w wyprawach przeciw Arabom. Tak przynajmniej opowiadał przyjaciołom po powrocie do Petersburga, gdzie dalej służył w tym samym pułku.

Nareszcie i jemu los się uśmiechnął. Podczas każdego przeglądu wojska, gdy wojsko defiluje, za rozmaitymi jego oddziałami, to jest za kompanią, szwadronem, batalionem lub pułkiem, idą podoficerowie i oficerowie, wybierani zwykle z najpiękniejszej i najtęższej młodzieży, w kawaleryi jeźdzcy, siedzący na najpiękniejszych koniach, idących w lansadach. To się po wojskowemu nazywa: »iść albo jechać w zworze.« Szyk z czasów Fryderyka II. Wówczas ludzie idący w »zworze« pewnych oddziałów wojska mieli obowiązek przestrzegania porządku w każdej części i dlatego oprócz broni, bywali zaopatrywani w kije, dla wymierzania doraźnej sprawiedliwości.

Na jednym z majowych przeglądów gwardyi, hrabia Lambert, mający doskonałego konia, został przeznaczony do przejechania w »zworze« pułku. Cesarz zwrócił na jeźdzca uwagę i nakoniec został tak gorąco pożądanym adjutantem skrzydłowym.

Po roku 1850, już w stopniu jenerał-majora świty Jego Cesarskiej Mości, hrabia Lambert otrzymał dowództwo pułku, w którym niegdyś tak szczęśliwie w »zworze« przejechał. Pułk

stał podówczas w Międzyrzycu na Podlasiu, stąd pierwsza znajomość hrabiego Lamberta z Polską.

Pomimo wykwintnego ułożenia, pomimo cudzoziemskiego, arystokratycznego pochodzenia, hrabia Lambert, wraz z innemi rosyjskiemi nawyczkami, przejął i obyczaj rzucania pieniądzmi, życia nad stan, oraz rosyjskie poglądy co do praw i przywilejów dowódcy pułku, które, należy dodać, były do pewnego stopnia wspólne i samemu cesarzowi i bratu jego, w. księciu Michałowi Pawłowiczowi, głównemu naczelnikowi gwardyi. Znane jest odezwanie się cara Mikołaja do któregoś z pułkowników gwardyi, uskarżającego się na zły stan swych interesów, »no, no, nie frasuj się, prędko pułk dostaniesz!« (dowództwo). Wiadome także zajście z jenerałem Liprandim, dowódzcą leib-gwardyi siemionowskiego pułku piechoty, który w przystępie niesłychanej między dowódcami pułków skrupulatności, za pierwszy rok dowództwa pułkiem, przedstawił dziesięć tysięcy rubli srebrnych oszczędności. To wywołało między oficerami ogólne niezadowolenie. Cesarz dowiedziawszy się z raportu w. księcia Michała o takim zbytku gorliwości jenerała zawołał z gniewem: »ot czem chciał zadziwić, dziesięć tysięcy! niech odda czterdzieści!« Więc czterdzieści tysięcy rubli srebrnych z pułku, uważało się jako zwykły, umiarkowany, oniemał że legalny dochód dowódcy pułku. Kto tę granicę przekroczył i szukał większych dochodów, uważany już był za złodzieja i czasami pociągany do odpowiedzialności.

Otóż hrabia Lambert za swego dowództwa w Międzyrzycu, przekroczył ową granicę. Gdy w początkach panowania Aleksandra II, jenerał piechoty Hildenstube lustrował pułki gwardyi, rozłożone w Królestwie Polskiem i na Litwie, w Międzyrzycu żołnierze zanieśli skargę na swego pułkowego dowódcę, że nie otrzymują wszystkiego, co im się należy. Takie skargi żołnierzy zdarzały się nadzwyczaj rzadko i tem większe wrażenie wywoływały. Jenerał Hildenstube przy pożegnaniu, gdy mu hrabia Lambert podawał rękę, cofnął swoją i powiedział: »Przepraszam jenerała, ale pańska ręka zbyt nieczysta.«

Fakt opowiadał jenerał Dobrowolski, który to słyszał od jenerała Uszakowa.

To doszło do cesarza, to też cesarz, przypatrując się raz okazanemu sobie staremu żołnierskiemu płaszczowi, który tak już był znoszony, że przeświecał jak rzeszoto, powiedział do otaczających: *C'est le point de Lambert* [1]).

Ale w rosyjskiem społeczeństwie zaraza łapownictwa i okradanie skarbu z dawien dawna uzyskały prawo obywatelstwa, weszły w krew i życie każdego, więc też łapownictwa wcale nie prześladują. Nadużycia Lamberta w pułku konnej gwardyi pozostały bez śladu w jego służbowej karyerze, a w czasie koronacyi w 1856 roku, gdy z pułkiem przybył do Moskwy, awansował na jenerała-porucznika. We dwa lata potem, w 1858 roku poruczono mu zarząd komisyi, ustanowionej dla zwinięcia kolonii wojskowych w południowej Rosyi, następnie wrócił do Petersburga i został zamianowany pomocnikiem inspektora sztrzelców celnych.

Wskutek złamania ręki w 1860 roku musiał wyjechać za granicę i tam go zastały wyżej opisywane wypadki warszawskie 1861 roku.

Czas uchodził szybko, wypadki następowały jedne po drugich, a z poza dziecinnych, maskaradowych polskich orłów, zaczynały wyzierać orły inne, mające znaczenie. Niepodobna się było długo namyślać, chociażby nad tak poważną sprawą jak zamianowanie namiestnika dla Polski. Gdy na razie nikogo bardziej odpowiedniego niż hrabia Lambert znaleźć nie było można, zawezwano go z Paryża niby na jenerał-gubernatora miasta Warszawy, w istocie zaś był już przeznaczony na namiestnika, lecz to trzymano w najgłębszej tajemnicy.

Wypadkiem jenerał Suchozanet z Petersburga i hrabia Lambert z Paryża w przejeździe do Petersburga jednego dnia

---

[1]) Opowiadanie jenerał-adjutanta hrabiego Ołsufiewa. Wyrażenie *point de Lambert*, Lambertowskie koronki — było czas jakiś głośne w wojsku.

Wojsk. Akad. Polit.

zjechali się w Warszawie, t. j. dnia 1. czerwca. Tymczasowy namiestnik zaraz na wstępie spotkał się z człowiekiem, w którym przeczuwał swego następcę. Uczuł więc jeszcze nieprzyjemniej i dotkliwiej swoją tymczasowość, wskutek czego jeszcze bardziej zaczął się zastanawiać nad każdym krokiem, stał się ostrożnym, wahającym i ustępującym, nie chcąc po chwilowym zarządzie pozostawić po sobie złego wspomnienia w kraju, a tembardziej, smutnych krwawych śladów.

Tymczasem hr. Lambert w czasie swojego krótkiego, bo tylko pięciodniowego pobytu w Warszawie, starał się zebrać, o ile się dało, jak najwięcej informacyi o stanie rzeczy w Królestwie Polskiem, przyczem pokazał kilku wyższym dygnitarzom telegram, powołujący go na urząd jenerał-gubernatora. W Łazienkach nawiedził zwłoki ks. Gorczakowa i tam przyjmował kilka osób, składających mu czołobitność nieokreślonego znaczenia (szczególniej uniżenie miał mu się przedstawić przebiegły ks. Bebutów); nakoniec otrzymawszy zezwolenie udania się wprost do Moskwy, do bawiącego tam podówczas cesarza, wyjechał dnia 6. czerwca tamże przez Brześć Litewski.

Rządził więc Polską Suchozanet, oglądając się wciąż na podwoje, któremi miał wejść wkrótce jego następca, stały namiestnik; dlatego też zapewne unikał podpisów z tytułem pełniącego »obowiązki namiestnika«, lecz zwykle podpisywał się jako minister wojny, albo też »czasowo główno dowodzący pierwszą armią.«

Rozpoczął od ściągnięcia wojsk z placów do koszar.

Już w ostatnich dniach rządów ks. Gorczakowa, czerwoni, spostrzegłszy pewne wahanie władzy, zaczęli się dopuszczać różnych wybryków. W dzień śmierci ks. Gorczakowa, przy procesyi Bożego Ciała, idącej z kościoła św. Jana na Stare miasto, ulicznicy pod wodzą Kozubskich i Śniegockich wywołali takie zamięszanie, że kilku księży powalono na ziemię, co nawet omal i samego arcybiskupa z przenajświętszym

Sakramentem nie spotkało. Oberpolicmajster, pułkownik Rozwadowski, polak i katolik, doradził udzielenie błogosławieństwa, arcybiskup wzniósł Monstrancyę, tłum padł na kolana, zapanowała cisza i procesya mogła się dokończyć w porządku.

Był to zresztą wyjątkowy rozruch, wybryk manifestantów niższego rzędu. Wyżsi dygnitarze partyi czerwonych siedzieli spokojnie, lecz i tych ściągnięcie wojsk z placów do czynów pobudziło; zaczęto szukać powodu do nowych manifestacyi. Powód znalazł się jakby na zawołanie.

Dnia 29. maja, jednocześnie prawie z księciem Gorczakowem, skończył dni swoje w Paryżu, stary przewódca polskiej demekracyi, członek rządu z 1831 roku, historyk Joachim Lelewel, imię którego doskonale znane od dzieciństwa każdemu Polakowi i Polsce. Uroczysty jego pogrzeb odbył się w Paryżu dnia 1. czerwca, a w Warszawie natychmiast zaczęto radzić nad urządzeniem całego szeregu manifestacyjnych nabożeństw żałobnych.

Pierwsze odbyło się dnia 7. czerwca w kościele Reformatów bez mów i żadnej wystawy.

Drugie, prawdziwe egzekwie, miano odprawić nazajutrz dnia 8. czerwca w kościele św. Krzyża, lecz gdy na ten dzień była naznaczona eksportacya zwłok księcia Gorczakowa, odłożono je na dzień 10. czerwca.

Wszakże dnia 8. czerwca żydzi odprawili żałobne nabożeństwo w głównej swej bożnicy przy ulicy Daniłowiczowskiej, na którem było wielu Polaków. Znany kaznodzieja żydowski, Jastrow, wypowiedział mowę w języku polskim, w której wspominał o nieśmiertelnych zasługach historyka, jako męża nauki i naczelnika stronnictwa, porównywując go do Mojżesza w ziemi egipskiej i sławiąc go jako przykład wytrwałości w pracy i nieugiętości przekonań. Chwilę obecną nazwał mowca mglistą, po której tem jaśniejsza jutrzenka zabłysnąć miała.

Zaczęto potem przygotowywać uroczyste egzekwie w kościele św. Krzyża. Zebrano na ten cel znaczną sumę. Gimnazyaliści dawali po 2 złp. Miejsca na chórze po 10 rubli roze-

Szkoła Partyjna przy K. C. P. Z. P. R. BIBLIOTEKA

brały majętniejsze rodziny. — Gdy się rozpoczęło nabożeństwo, przed katafalkiem ustawiono popiersie Lelewela, które podczas ceremonii kościelnych profesorowie medyko-chirurgicznej akademii, Janikowski i Prażmowski uwieńczyli wieńcem z nieśmiertelników. Różne panie zbierały kwestę na cele narodowe. Jak powiadają, zebrano do 4.500 rubli sr.

Jednocześnie odbyły się także egzekwie u Dominikanów, zamówione przez robotników fabryki machin Ewans'a, którzy na ten cel zebrali między sobą 45 rubli sr.[1]). Nakoniec odprawiono nabożeństwo u Kapucynów, na którem celebrował biskup Deckert. W liczbie przytomnych zwracał na siebie uwagę obywatel z Płocka, Gorliński, ośmdziesiątletni starzec, przybyły do Warszawy w chęci przypatrzenia się tym obchodom. Ubrany był po polsku, w żupanie i kontuszu, z kościuszkowską konfederatką w ręku. Artyści manifestacyjni po skończonem nabożeństwie wyprowadzili starca pod ręce z kościoła i przechadzali się z nim po Saskim Placu w asystencyi tłumów gawiedzi.

Podczas tych wszystkich nabożeństw rozdawano publiczności litografowane kartki, na których obok krótkiego życiorysu Lelewela, podnoszono wszystkie jego zasługi wobec wolności ojczyzny, kończąc następującemi słowami: »Jego zwłoki obca przysypała ziemia, lecz duch jego żyje i żyć nie przestanie między rodakami, którzy, połączeni wspólną miłością ojczyzny, pracą, dążeniem do zgody i jedności, uczuciami braterskiemi w słowie i czynie, naśladując wzór przyświecający w życiu Joachima, oddadzą najwyższą cześć jego nieśmiertelnym zasługom. Niech pogarda zbytku i prostota obyczajów, jakiemi się odznaczał nieboszczyk, staną się odtąd zewnętrzną odznaką przyjęcia jego zasad, które dzisiejszy obrzęd żałobny odświeży w sercach Polaków!«

Dnia 17. czerwca odprawiono jednocześnie żałobne nabożeństwa za Lelewela w trzech bożnicach żydowskich: przy

[1]) Szczegóły ze źródeł urzędowych.

ulicy Daniłowiczowskiej, na Nalewkach i na Pradze. Na Nalewkach wygłoszono mowę i odśpiewano 70-ty psalm Dawida: »O pasterzu Izraelski, posłuchaj... Wzbudź moc swoją... a przybądź na wybawienie nasze. O Boże przywróć nas, a rozjaśnij oblicze Twoje, a będziemy zbawieni... Panie Boże zastępów, dokądże będziesz się gniewać na modlitwę ludu Twego. Nakarmiłeś je chlebem płaczu i napoiłeś je łzami, miarą wielką. Wystawiłeś nas na zwadę sąsiadom naszym a nieprzyjaciołom naszym, aby sobie z nas śmiech stroili. Boże zastępów przywróć nas, o rozjaśnij oblicze Twoje, a będziemy zbawieni!«

Słowa: »Nakarmiłeś je chlebem płaczu«, a zwłaszcza trzykrotne wołanie do Boga: »Boże zastępów, przywróć nas a rozjaśnij oblicze Twoje, a będziemy zbawieni« sprawiły wstrząsające wrażenie. Słychać było płacz rzewny [1]).

Nadto, przez te dnie urządzono patryotyczne nabożeństwa przed różnemi statuami: przed kościołem Reformatów na Senatorskiej, gdzie statúa Matki Boskiej; na rogu ulicy Wązkiego i Szerokiego Dunaju, gdzie posąg św. Jana; przy domu Malcza na Krakowskiem Przedmieściu przed statuą Najświętszej Panny i t. d. Wszędzie bez przeszkody śpiewano: »Boże coś Polskę«... »Z dymem pożarów«... i inne ówczesne hymny, które też swobodnie sprzedawano po ulicach.

Zjawił się nawet, jako pendant do »Boże coś Polskę«... hymn jakoby przez Rosyan ułożony, pod tytułem »Modlitwa Moskali«. Treść jej mniej więcej zawierała: »w chwili, gdy Polacy doszli do sławy i oświaty, my Rosyanie zostajemy w grubej ciemnocie.« Dwuwierszowa końcówka każdej strofy, kończyła się prośbą: »Oświeć nas Panie!«

Do sprzedawanych książeczek z pieśniami wkrótce dodano i obrazki, mające działać na wyobraźnię ludu, rysopisy: dorożkarze wyprzęgający konie z dorożek i zaprzęgający armaty; św. Jozafat zarąbany w Witebsku przez Moskali.

---

[1]) Ze źródeł urzędowych.

Z początku malcy, roznoszący obrazki po ulicach, podawali tylko cywilnym, lecz później zaczęto je podawać i wojskowym. »Może pan pułkownik pozwoli św. Jozafata, zarąbanego przez Rosyan... albo dorożkarzy wyprzęgających konie?...

I wielu było takich, co je kupowali.

Najbardziej zaś były rozpowszechnione drobne manifestacye: kocie muzyki i wybijanie szyb w mieszkaniach niemiłych osób. Doszło nawet do tego, że się zjawił »dyrektor«, czyli »kapelmistrz kocich muzyk«, który za pewną zapłatę podejmował się urządzania podobnych koncertów wszędzie i każdemu. Taki koncert z wybiciem okien kosztował 15 rubli sr., bez wybicia szyb 10 rubli sr. Zdawało się także, że koncerta urządzały się za darmo, wskutek tajnych rozkazów [1]).

W ogrodzie Saskim, Krasińskich, na większych podwórzach niektórych domów, chłopacy urządzili grę »w polskiego i rosyjskiego króla«; strona rosyjska koniecznie musiała być zwyciężoną a nieraz i samemu królowi dobrze się dostało. Podobne gry w ogrodach publicznych służyły za rozrywkę dla spacerujących, którzy, śmiejąc się, oklaskiwali wojowników »swojego.«

Raz zdarzyło się, że w Saskim ogrodzie policyant wdał się w tę grę i zaczął chłopców rozpędzać. Wnet się wmieszali starsi i zmusili go do odwrotu wśród powszechnego śmiechu i gwizdania.

W odosobnionym ogrodzie Kazimirowskiego pałacu, starsza młodzież palcatami uczyła się fechtunku. Później otwarto

---

[1]) Kocie muzyki wyprawiono: biskupowi Marczewskiemu, Enochowi, kupcowi Natansonowi za niezamknięcie magazynu z perfumeryami, gdy to było nakazane, krawcowi Chabeau. — Autor posiada kartkę fotografi zną kapelmistrza kocich koncertów. Jest to mężczyzna już nie młody, w żupanie, konfederatce i wysokich butach, dmący w róg bawoli. Oficyalne, sekretne raporta powiadają, że to był Andrzej Podworski, aptekarz. (Sprawa AA. nr 4, str. 351). Zaś pułkownik Krywonosow twierdzi, że to był dymisyonowany chorąży Ładóżskiego pułku piechoty, niejaki Markowski.

rzeczywiste sale fechtunkowe, o których policya udawała, że nic nie wie. U studenta Fochta uczono się musztry karabinowej.

Przy końcu czerwca ukazały się w Warszawie drukowane plakaty z »Odezwą do obywateli ziemskich«, żądającą ustalenia bytu włościan, nie czekając rozporządzenia rządu, który rzeczywiste wyzwolenie odłożył do dnia 1. października.«

Drugi plakat był zatytułowany: »Odezwa do wszystkich Polaków na polskiej ziemi.« W niej wyliczano ucierpiane prześladowania od rządów rozbiorowych, czyniono nadzieję rychłego już wyzwolenia i zalecano największą oszczędność i umiarkowanie w życiu.

Wtedy także zjawiły się w sprzedaży obrazki z wyobrażeniem zgruchotanego krzyża i napisem »27. lutego i 8. kwietnia.« Kolportowano je prawie jawnie po ulicach i w ogrodzie Saskim. Jednem słowem rewolucya jawnie postępowała według obmyślanego planu i nikt się temu nie sprzeciwiał. Czasem, jeżeli policya, patrol pieszy lub konny, wykonywały jakie rozporządzenia, skierowane ku utrzymaniu zewnętrznego porządku, zjawił się zaraz rozkaz wyższej władzy, niweczący to rozporządzenie, a nie rzadko i nagana, udzielona zbyt ścisłym przestrzegaczom przepisów. Inaczej pisano, inaczej zaś działano, nic też dziwnego, że zapanowało dziwne zamieszanie wszelkich pojęć o władzy, jej prerogatywach i obowiązkach.

Dla patrolów pieszych i konnych istniało mnóstwo przypisów, nieraz sprzecznych i jedne i drugie zbijających. O każdym by najmniejszym wypadku, wymagano tak dokładnych i drobiazgowych sprawozdań, usprawiedliwienia każdego zarządzenia dozorcy kwartału, że wielu z nich wolało puszczać niespostrzeżenie przekroczenia i wybryki rozwydrzonej gawiedzi, byle nie ściągnąć na siebie odpowiedzialności za niedokładne zastosowanie którego z drobnostkowych przepisów.

Dla przykładu przytoczymy jedno z ówczesnych wydarzeń, aby okazać, ile to kłopotów sprawiał patrolom najdrobniejszy wypadek, ilu to następnie wzywano ludzi do protokolu i ile zapisywano papieru.

Na kompanię Symbirskiego pułku piechoty, patrolującą po Miodowej ulicy, w czerwcu wieczorem ktoś z furtki klasztoru Kapucynów rzucił kamieniem. Bojąc się nie dosyć dokładnie opisać to zdarzenie, dowódca kompanii, major Fölkner, w raporcie swym do naczelnika pierwszego okręgu m. Warszawy, tak opisał kierunek pędu kamienia: »kamień przeleciał poza mną z tyłu, obok podporucznika Szach-Nazarowa i wzdłuż pierwszego szeregu, pierwszego oddziału, drugiej półkompanii i uderzył w drzwi domu naprzeciw stojącego po drugiej stronie ulicy.« Do tego dołączony był długi opis żołnierzy ósmej kompanii Symbirskiego pułku, obok których przeleciał kamień [1]).

Wojsko najbardziej oburzało się na rozporządzenie, ogłoszone dnia 3. lipca w rozkazie dziennym, które postanawiało: »że w ostatecznym razie dozwala się strzelać, z tem wszelako zastrzeżeniem, że, jeżeli w czasie przechodu przez ulicę warty, patrołu lub komendy, padną z jakiego domu strzały, lub rzucane będą kamienie, nie odpowiadać wystrzałami, lecz tylko zauważyć dom, z którego strzelano, lub rzucano kamieniami.« Wojskowi pytali: »Jakiegoż więc potrzeba ostatecznego wypadku, jeżeli strzelanie do wojska jeszcze nim nie jest i nie ma służyć za powód do użycia ostatecznych środków.

Rozkaz ten rzeczywiście nie był czemś nowem, lecz tylko powtórzeniem rozporządzenia księcia Gorczakowa z dnia 2-go kwietnia. Wtedy atoli nie zwrócił na siebie żadnej uwagi i nie wywołał żadnego szemrania, może także i wskutek tego, że podówczas jednocześnie wydano mnóstwo karnych rozporządzeń i nikt jeszcze nie umiał sobie zdać sprawy ze skuteczności takowych. Teraz zaś, gdy dla każdego stało się oczywistem, że dalsze ustępstwa i niezdecydowane zachowanie się rządu, coraz bardziej gmatwają sprawy i wywołują coraz to nowe trudności, podobne rozporządzenia wywoływały niezadowo-

[1]) Z papierów naczelnika pierwszego okręgu wojennego miasta Warszawy od dnia 21. marca po 13. sierpnia 1861 roku.

lenie i szemranie w wojsku, które przypisywało je upornie Suchozanetowi.

Suchozanet wogóle był wielbicielem punkcików i rzemyczków z dawnych, dobrych Mikołajewskich czasów. Broń Boże, aby się kto przed nim stawił nie ubrany po formie; sfuka i co najmniej odeszle, aby się przebrał. Raz się zdarzyło, że przydzielony do zarządu naczelnika warszawskiej cytadeli kapitan Wamberg, przybył z raportem do Zamku. »Co to? w mundurze bez szarfy, kask bez włosia!« zakrzyczał Suchozanet i przepędził Wamberga, nie przyjąwszy od niego raportu, czyli że ten musiał wracać do cytadeli dla uzupełnienia stroju i zrobił napróżno jakie 5 do 6 kilometrów drogi. Ordynansów oglądał w najdrobniejszych szczegółach, ze »wszelkiemi sztukami«, jak się wyrażają wojskowi. Przyjmowanie ordynansów i przeglądy wojsk w początkach pochłaniały masę czasu i odwracały uwagę od spraw żywotniejszych. Pułkownik Krywonosow powiada o nocnych patrolach z tego czasu: każdy patrol składał się z policyanta, żandarma i czterech pieszych żołnierzy. Podchodzą do kawiarni, która już o godzinie 9-tej winna być zamkniętą. Policyant i żandarm wchodzą, mówią gospodarzowi, że czas już zamykać, dostają herbaty z arakiem lub wódki, po złotemu w rękę i idą do następnego podobnego lokalu, gdzie to samo się powtarza.

Naczelnik 1-go oddziału wojsk, jenerał Chrulow, dnia 11. lipca wniósł zapiskę z żądaniem i propozycyą ścisłego określenia, w jakich wypadkach samoistnie dowodzący częściami wojska, mają prawo użycia palnej broni na zakłócających spokój i porządek zewnętrzny. Zapiskę tę rzucono wprost do kosza, również jak i podobny wniosek Kazaczkowskiego, doradzający ogłoszenie »stanu wojennego.« Tegoż samego żądali i inni jenerałowie, jak: Merchelewicz, Czernicki, Batczatuł, Semeka, na radach wojennych, co chwila zwoływanych do Zamku, lecz Suchozanet stale powiadał: »Na co się to wszystko przyda, ja ogłoszę zaprowadzenie stanu wojennego, a za kilka dni przybędzie nowy namiestnik i wszystko odmieni.« Na je-

dnej z takich narad Suchozanet tak się zirytował, że zachorował i kilka dni musiał przeleżeć w łóżku [1]). Jedynie zgodził się na ponowne rozłożenie wojska na niektórych miejskich placach.

Co się tyczy ówczesnych licznych aresztowań, to pod tym względem panowały jeszcze większy chaos i zamieszanie; jeden naczelnik więził, drugi wypuszczał z więzienia, lub też wstawiał się do namiestnika o uwolnienie, wskutek czego bywały wypadki, że jedną i tę samą osobistość po trzy razy w tygodniu aresztowano i uwalniano, tak, że ostatecznie nikt się więzienia nie obawiał [2]). Nadto dozór nad więźniami był tak niedbały, że mieli wszelką łatwość komunikowania się ciągłego z miastem. Znany warchoł Ferdynand Nowakowski, zamknięty do cytadeli, prowadził stałą korespondencyę z miastem, pisząc ołówkiem na mankietach od koszul, posyłanych do prania.

Bardzo naturalne, że takie stosunki zachęcały niejako do dalszego przedłużania manifestacyi.

W początkach czerwca, londyński *Times* zamieścił bardzo życzliwy artykuł dla Polaków. Wnet skorzystali z tego agitatorzy i 21. czerwca na czele wielkiego tłumu, udali się przed mieszkanie angielskiego jeneralnego konsula, pułkownika Constant'a z prośbą o udzielenie posłuchania. Ten wysłał dziewczynkę z oświadczeniem, że przyjąć ich nie może i prosił usilnie, aby się rozeszli. Nic to atoli nie pomogło, skończyło się na tem, że deputacya w liczbie 40 osób, ubranych w żupany i czamary, weszła do mieszkania konsula i złożyła tam dwa wieńce z napisem: »Cześć i chwała Anglii«, wraz z adresem następującej treści: »Ja, matka, męczeńską krwią dzieci moich zbroczona, wdowa w żałobnej szacie, niewolnica z kajdanami na ręku. Ja, żywcem do grobu złożona, przesyłam Tobie, o narodzie angielski, słowa dziękczynienia. Mowa Twojego delegata w parlamencie, głos kipiących życiem, potężnych

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.
[2]) *Aweyde* tom II, str. 89, 90 i 93.

grodów Twoich, zrywają pieczęć z grobu, w który przemoc i obojętność wtrąciły Polskę. Krew moja i łzy moje wołają o pomstę do Boga, i On mnie odpowiada przez usta Twojego narodu. Chwała Jemu i wdzięczność Tobie o Anglio! Tem wszystkiem co we mnie jeszcze pozostało żywem i nieśmiertelnem po długiem mojem męczeństwie, błogosławię Twoim starcom i mężom, Twoim synom i córom, oby się wiecznem szczęściem i wolnością cieszyli! Niech się do Boga za Tobą wstawiają dziś i przez wszystkie wieki święci Twoi patronowie, tak jak się obecnie wstawiasz o dostojna i szlachetna Anglio, za zapomnianą, rozszarpaną i ukrzyżowaną Polską!«

Konsul angielski wysłał ten adres do Londynu wraz z mnóstwem biletów wizytowych, złożonych mu przez osoby najrozmaitszych sfer i stanów [1]).

Dnia 15. lipca umarł w Paryżu drugi świadek i uczestnik rewolucyi 1830 r., naczelnik rządu narodowego, *Rex in petto*, książę Adam Czartoryski. Pogrzeb jego w Paryżu odznaczał się nadzwyczajną uroczystością i przepychem. Mówiono, że za trumną, przykrytą królewską purpurą, niesiono koronę.

Wielopolski dla uprzedzenia jakiejkolwiek inicyatywy ze strony czerwonych, zawiadomił arcybiskupa, że nic niema przeciw odprawieniu żałobnego nabożeństwa w katedrze i ogłoszenia o tem gazetami. Ogłoszono też we wszystkich gazetach o uroczystem nabożeństwie żałobnem, które się odprawi w archikatedrze św. Jana dnia 22. lipca 1861 roku. Celebrował sam arcybiskup wobec zebranych najwybitniejszych przedstawicieli polskiego społeczeństwa ze wszystkich klas ludności. I nic dziwnego, że tłumy modlących się za spokój duszy męża, tyle sprawie ojczystej zasłużonego, jednego z najznakomitszych ludzi świetnej Napoleońsko-Aleksandrowskiej epoki, którego skronie jaśniały odbiciem jakichś szczególnych promieni cnoty i szlachetności, a głośne imię tyle poruszało uczuć, tyle budziło wspomnień w każdej polskiej duszy, nic dziwnego,

[1]) Sprawa L. W. Nr 1, str. 190—191.

że tłumy te ogarnęło dziwne patryotyczne uniesienie... Bardzo wielu płakało rzewnie, wszyscy zaś odczuwali, że chowają, jeżeli nie króla, to coś takiego, czego... już więcej nie będzie! Sędziwy arcybiskup, naoczny świadek wypadków, o których inni już tylko z tradycyi wiedzieli, nie mógł powstrzymać cisnących się łez do oczu i nie spostrzegł się nawet, gdy z ust jego wymknęła się i do nieba uniosła pieśń: »Boże coś Polskę«... Zadrżała świątynia, lud padł na kolana i zalany łzami dalej chórem śpiewał »otaczał blaskiem potęgi i chwały«... a nakształt gromu, rozległy się pod ciemnemi sklepieniami starożytnej świątyni, ostatnie słowa strofy:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!“

Po skończonem nabożeństwie rozgorączkowany tłum wyprzągł konie z karety arcybiskupa i sam go odwiózł do arcybiskupiego pałacu na Miodowej ulicy.

Taka jaskrawa manifestacya, przy współudziale białych, a raczej przy współudziale całego miasta, nawet Suchozaneta wyprowadziła z cierpliwości. Polecił więc zapytać arcybiskupa, z mocy czyjego upoważnienia odprawił żałobne nabożeństwo po Czartoryskim i dał ogłoszenia do dzienników; ten się odwołał na Wielopolskiego.

Namiestnik, poczytujący Wielopolskiego wogóle za zbyteczną sprężynę w machinie rządowej i wiodący z nim co chwila spory o najdrobniejsze bagatele [1]), ostro się z nim wskutek tego przymówił, tak, że Margrabia dnia 26. lipca prosił o uwolnienie, jednocześnie zaś wysłał swego starszego syna Zygmunta do Petersburga, dla przedstawienia cesarzowi powodów, które go do tego kroku skłoniły. Ma się rozumieć, że Zygmunt Wielopolski odwiedził w Petersburgu tych wszystkich dygnitarzy, którzy popierali ojca i naopowiadał im mnóstwo anegdot o »starej i głupiej mumii« Suchozanecie, niezda-

[1]) *Lisicki* str. 227-228.

tnym już literalnie do niczego, chyba tylko do wzmożenia zamieszania i nieporządków w kraju, którym niby to miał rządzić. Partya ta wówczas ostatecznie wpłynęła na cesarza, że się zdecydował wysłać do Warszawy hrabiego Lamberta. Od 1. sierpnia rozpoczyna się niezwykle prędka jego promocya w służbie. Najwyższym rozkazem z dnia 20. lipca (1. sierpnia) 1861 roku hrabia Lambert mianowany zostaje zarządzającym główną kwaterą i przybocznym konwojem jego cesarskiej mości, dnia 18. sierpnia jenerałem kawaleryi, pełniącym urząd namiestnika Królestwa Polskiego i dowódcą 1-szej armii [1]).

Pozostawało jedynie wyszukanie mu pomocnika w osobie jenerał-gubernatora miasta Warszawy, do którego obowiązków należało oprócz zarządu wszystkiemi sprawami miasta, nadto zawiadywanie paszportami, a zatem policyą w całem Królestwie Polskiem. Niełatwo było znaleźć tak zaraz człowieka zupełnie odpowiedniego. Naprężone położenie w Warszawie, z istniejącym już spiskiem, a przynajmniej z zawiązkiem już onego, wymagało od jenerał-gubernatora niezwykłych zdolności, sił, energii, znajomości ludzi, wypróbowanego doświadczenia w służbie, a nawet zahartowanego zdrowia.

W poczcie młodych jenerałów północnej stolicy, dyżurny jenerał głównego sztabu jego cesarskiej mości najlepiej odpowiadał powyższym warunkom; był to jenerał-adjutant Gerstenzweig. Syn jenerała z czasów wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, urodzony z Madalińskiej, córki jenerała polskiego przy Kościuszce, początkowo uczęszczał do szkół w konwikcie Pijarów i pod wpływem matki uważał się za Polaka, i mówił lepiej po polsku niż po rosyjsku. Jednak po 1831 roku ojciec wymógł, że chłopak z katolickiego wyznania przeszedł na protestantyzm i oddał go do korpusu paziów. Po ukończeniu nauk w korpusie, młody Gerstenzweig wstąpił

[1]) Jenerałem broni musiał być mianowany, gdyż komenderując jako namiestnik trzema korpusami, miał pod sobą dowódców tychże, jenerałów broni: Łabyńcewa, Liprandiego i Wrangla.

do Preobrażeńskiego pułku piechoty gwardyi. Koledzy pułkowi nadzwyczaj go lubili za jego ścisłość w służbie, a przytem wesoły i towarzyski charakter. Doskonale umiał pociągnąć bank, wybornie tańczył, nierzadko brał udział w amatorskich teatrach, raz nawet z wielkiem powodzeniem odegrał rolę kobiecą w komedyi Chmielnickiego *Gadała*. Później wykształcił się na bardzo pracowitego sztabowego pisarza i nader surowego przełożonego. Urzędnicy inspektorskiego departamentu nazywali go »żmiją«, ale jednocześnie nadzwyczajnie poważali za jego rozum, wykwintne obejście i niepodległy charakter. Zalety te wszakże przysporzyły mu mnóstwo nieprzyjaciół. On nikomu nie ustąpił, ani wielkiemu księciu Mikołajewiczowi, ani ministrowi wojny (szczególnie ministrowi wojny), ani jego pomocnikom, księciu Wasylczykowi a następnie Milutinowi. Spory z tym ostatnim powstały szczególnie o bardzo naówczas modne przywileje oficerów jeneralnego sztabu. Gerstenzweig był zdania, że wyjątkowe prawa, z których korzystali oficerowie jeneralnego sztabu po za pułkami, z których przybywali, nie tylko że są niesprawiedliwe względem innych oficerów, lecz nawet szkodliwe dla służby, w czem się stanowczo różnił z Milutinem i wielkim księciem Mikołajem. On proponował, ażeby tacy oficerowie po ukończeniu nauk w wojennej akamii, wracali napowrót do pułków i tam osiągali odpowiednie wyszczególnienie przez prędszą nominacyę na dowódców kompanii, batalionów lub pułków. Przy obecnym zaś systemie, wojska liniowe traciły najzdolniejszych ludzi, gubernie zaś bynajmniej nie zyskiwały wzorowych gubernatorów.

W tym duchu podał ministowi wojny kilka swych wniosków, które wszakże pod wpływem Milutina i wielkiego księcia Mikołaja pozostały bez odpowiedzi [1]). Na Gerstenzweiga spoglądano z ukosa, lecz na tem się wszystko kończyło, gdyż

[1]) Wiadomość podana przez osoby, zbliżone do Gerstenzweiga. One też opowiadały, że zapiski i projekta Gerstenzwieiga tak przyjęte do wykonania, jak też nieuwzględnione, utworzyły sporą bibliotekę.

cesarz zanadto go cenił jako dzielnego i użytecznego służbowego oficera, ażeby go można się było przy lada pierwszej sposobności pozbyć i na bok usunąć. Zresztą w chwili, którą opisujemy, stanowisko jego w głównym sztabie jego cesarskiej mości było zupełnie utrwalone i on ani myślał o opuszczeniu Petersburga, owszem urządzał sobie mieszkanie w gmachu głównego sztabu i chwalił się przed przyjaciółmi, że mieć będzie osobne wejście z ulicy. Niktby się nawet nie odważył proponować mu, aby jechał do Polski naginać karku pod zwierzchnictwem ambitnego i zarozumiałego człowieka, którego znał na wylot i wcale nie osobliwie szacował. Lecz osoby, dla których był niedogodnym w Petersburgu, wskazały go cesarzowi, jako najlepszego do uzupełnienia Lamberta, z którym jako kolega z korpusu paziów zdawał się być zaprzyjaźnionym i jakby stworzonym do wspólnej pracy.

Mówią, że Gerstenzweig na razie wymówił się cesarzowi, lecz zawezwany po raz drugi dla przedstawienia powodów odmowy, musiał wkońcu ustąpić i zaczął się zbierać do wyjazdu. Powiedział wszakże do któregoś z przyjaciół: »Ze mną chcą powtórzyć to, co zrobili z moim ojcem [1]).

Z pomiędzy oficerów, pracujących pod nim w inspektorskim departamencie głównego sztabu, Gerstenzweig szczególnie

---

[1]) Wiadomość od jenerała P. S. Lebiediewa, który podówczas bawił w Petersburgu. Ojciec Gerstenzweiga, jenerał artyleryi, człowiek gwałtowny „arakczejowiec“, z podwładnymi zachowywał się grubijańsko, żołnierzy zaćwiczał na śmierć, był jednak uważany za zdolnego i użytecznego naczelnika. Pod koniec swego wojskowego zawodu dowodził trzecim korpusem jazdy, złożonym z dywizyi kirasyerów i dywizyi ułanów, którego sztab znajdował się w Wozniesieńsku, i był zarazem naczelnikiem tamtejszych kolonii wojskowych. W czasie wielkich manewrów jazdy pod Wozniesieńskiem około 1840 roku otrzymał odznaczenie. W 1848 roku przed rozpoczęciem kampanii węgierskiej, przekroczył granicę Mołdawii pierwej niż należało, za co otrzymał ostrą naganę, a gdy jednocześnie się dowiedział, że pomocnik i zastępca jego w zarządzie kolonii wojskowych odebrał sobie życie, poszedł za tym przykładem w Skulenach dnia 26. sierpnia 1848 roku.

wyróżniał sztabs-rotmistrza Polenowa, spokojnego i nadzwyczaj ścisłego pracownika. Powiedział mu, że jedzie do Warszawy i zaproponował mu miejsce swego przybocznego adjutanta. Polenów się namyślał, wówczas Gerstenzweig dodał, że przecież nie wieki pozostanie jenerał-gubernatorem, a przy namiestniku i oficerowie gwardyi mogą być adjutantami. Polenow żażądał jednego dnia do namysłu i propozycyę przyjął. — (Od Polenowa).

Z tego wypływa, że obaj przyjaciele widzieli przed sobą jeden cel w Warszawie: jeden i ten sam stolec namiestnikowski na Zamku królewskim.

Ma się rozumieć, że przyszły namiestnik i jego jenerał-gubernator bardzo często się spotykali przed wyjazdem do Polski, o której obaj nie mieli dokładnego wyobrazenia i inaczej ją sobie wyobrażali niż było to, co znaleźli za przybyciem na miejsce. Jak długo rzecz cała nie była jeszcze ostatecznie przesądzoną, dopóki Lambert dla Gerstenzweiga był tylko dawnym dolegą Lambertem i niczem więcej, rzeczy szły gładko i Lambert nieraz powtarzał przyjacielowi: »Jeśli rzeczy taki obrót wezmą, jak o tem głoszą i obaj pojedziemy do Polski, właściwym namiestnikiem ty będziesz, we wszystkiem będę cię słuchał, jak młodszy starszego, jak uczeń nauczyciela. Właściwie tobie się należało zostać namiestnikiem; mnie z Paryża sprowadzili na posadę jenerał-gubernatora, co sam wiesz najlepiej. No, ale cesarz zamienił nasze role!«[1]).

Lecz skoro wyszedł najwyższy ukaz, mianujący jednego namiestnikiem, drugiego zaś jenerał-gubernatorem, wnet się wszystko zmieniło. Już w Petersburgu hrabia Lambert przybrał ton naczelnika i niewiadomo z jakich powodów począł patrzeć na swego pomocnika z pewną podejrzliwością. Różne

[1]) Gdy winszowano Lambertowi tak niezwykle szybkiego wyniesienia, odpowiedział: „Zmiłujcie się, dajcie pokój z powinszowaniami. W Petersburgu tylko rękę złamałem, a w Warszawie mogę kark skręcić.“ *Ruskaja Starina* z października 1874 roku str. 346. Z opowiadań naocznego świadka.

przywidzenia zaczęły go niepokoić; nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego człowiek tak rozumny, przebiegły i ostrożny, zdecydował się zamienić pewne stanowisko na tak niepewne, i dlaczego raczej nie prosił o uwolnienie, lecz odważył się przyjąć drugorzędną posadę w kraju, gdzie wszystkie stosunki do głębi były zaburzone. Jeżeli to uczynił, to tylko z pewnymi machiawelskimi zamiarami. Na domiar złego krążyły chwilowo pogłoski, że role znów się zmienią, Gerstenzweig zostanie namiestnikiem a on zejdzie na posadę jenerał-gubernatora. Robak oczywiście skrycie toczył go, może ukrywał zemstę, ale zapewne przy pierwszej sposobności nie omieszka odpłacić i podstawi nogę przyjacielowi...

Dobrzy ludzie, jak zwykle, zaraz się znaleźli z radami, współczuciem i wyjaśnieniami wielu niezrozumiałych okoliczności i dolewali tylko oliwy do ognia.

Cesarz polecił hramiemu Lambertowi zatelegrafować do Suchozaneta, ażeby zatrzymał Wielopolskiego w służbie. To się stało ku wielkiemu zdziwieniu tych wszystkich, którzy słyszeli, jak Lambert w niedawnych swych rozmowach z Suchozanetem sam przyznawał, że Wielopolski zupełnie niepotrzebny, staje wszystkiemu na przeszkodzie i że jego zamianowanie było ze strony rządu błędem nie do darowania...

Warszawa krzątała się koło przyjęcia nowego namiestnika, zaś Suchozanet zabierał się do wyjazdu.

Dziwne to stworzenie ten »rosyjski człowiek.« Ile się w nim tai miękkiego, chwiejnego, nieokreślonego, ile zupełnie sprzecznych, bez właściwego charakteru usposobień, które się streszczają w ogólnem mianie »dobroci.« Dzisiaj łaje, poniewiera, znieść nie może, a jeśli naraz człowiek łajany umiera, albo, co na jedno wychodzi, usuwa się, wyjeżdża, zaraz się wszystko zmienia: zaczynają żałować, opłakiwać, opiewać i pod niebiosa wynosić zalety.

Powtórzyło się to i w Warszawie z odjeżdżającym ministrem wojny... Przebywający podówczas w Warszawie Rosyanie i wojskowi naraz zapomnieli i przebaczyli wszystkie jego

wady, głupstwa i mikołajowskie rzemyczki, wszystko to, co jeszcze bardziej niż za Gorczakowa, ośmieszało i wystawiało na poniewierkę, rosyjską władzę, rosyjskie imię i rosyjskie wojsko w Warszawie i na prowincyi.

Uznano, że wypada koniecznie dać obiad w rosyjskim klubie, z odpowiedniemi mówkami, toastami i muzyką, pohulać w kółku swojem, od serca; wypić jak najwięcej szampana i w nim utopić to wszystko, o czem się nie łatwo zapomina.

Ostre pióro jednego z współbiesiadników zachowało nam szczegóły tej uczty.

Ażeby ludzi zebrało się więcej, przeniesiono zwykły sobotni obiad po półtora rubla od osoby, na wtorek dnia 13. sierpnia 1861 roku. Zebrało się 120 osób, urzędników i oficerów różnych stopni i rang, od chorążego do jenerała. Z grubszych figur byli na obiedzie: jenerał piechoty, Liprandi; jenerał-adjutant Potapow, przysłany czasowo z Petersburga dla urządzenia nowej policyi, przyczem na koszta otrzymał 15.000 rubli sr.; jenerałowie: Karłowicz, Semeka, Chrulew, Weselickij, Kryżanowskij, Giecewicz; rządowy radca tajny Leńskij; rządowi radcy stanu: Cycurin, Fundukley, hrabia Nesselrode. Fraków było niewiele, między tymi literat Arseniew, sprowadzony z Petersburga do pisania jakichś tendencyjnych artykułów o toku spraw rosyjskich w Królestwie Polskiem, których wszakże nikt nie czytał [1]).

Suchozanet wszedł na salę o godzinie 4-tej po południu przy dźwiękach muzyki. Obiad był nieszczególny, wino każdy osobno płacił, tylko szampan był wspólny.

Jak tylko nalano kielichy, Suchozanet powstał, prezes klubu pułkownik Lewszyn pospieszył krzyknąć: »Zdrowie Jego Cesarskiej Mości!« W odpowiedzi odezwało się oficyalne »hurra!« poczem Suchozanet przemówił: »Rad jestem, gdy się znajdę wśród Rosyan, między którymi serce mi rośnie po tych

---

[1]) O Arseniewie notatka naocznego świadka. *Ruskaja Starina* z września 1874 roku str. 120—130.

ciężkich próbach, które wspólnie przechodzimy. (Łzy mu stają w oczach). Dziękuję wam panowie, żeście mnie do swego grona przyjęli, wobec których mogę wypowiedzieć całe me uwielbienie dla zachowania się rosyjskiej armii. W tak krytycznych chwilach, każde inne wojsko uległoby rozprężeniu i nowe klęski na kraj sprowadziło, nieszczęścia nie do opisania i nie do wyrażenia. Lecz wy, swoją krwią zimną, swoją wspaniałomyślnością i ofiarnością, zasługujecie na usprawiedliwiony podziw! Szczególniej stosuje się to do wojsk konsystujących w Polsce. Nie dlatego to mówię, że dowodzę pierwszą armią, lecz dlatego, że pojmuję jej położenie. Nie zwracajcie uwagi na te nieprzyjemności, na obrazy, których doświadczacie na ulicach od wszelkiego rodzaju grubian i ludzi bez wychowania[1]) i stale pomnijcie, że historya wysoko oceni waszą wielkoduszność i pobłażliwość. Nie dzisiaj, ale za jakie sto lat, historya ze zdumieniem będzie was wspominać, ja zaś ze szczególniejszą w sercu i duszy radością wznoszę toast »Na cześć rosyjskiej armii, hurra!«

Nastąpiła chwilowa cisza, poczem Lewszyn, trącony przez Cycuryna, zawołał: »Zdrowie ministra wojny!«

Rozległo się niezbyt rozgłośne i urwane »hurra!«

Znowu nastąpiła pauza, wśród której Suchozanet przemówił jeszcze słów kilka na pochwałę wojska. Podnosi się senator Fundukley i imieniem Towarzystwa ofiaruje Suchozanetowi godność »członka honorowego.« Lewszyn staje na środku sali i woła: »Zdrowie nowego członka honorowego naszego klubu! — hurra!«

Na to Suchozanet: »Dziękuję, z głębi serca dziękuję za cześć mi okazaną, przez wybranie mnie członkiem honorowym

---

[1]) Powtarza słowa niedawnego rozkazu do dowódzcy drugiego korpusu z dnia 5. lipca 1861 roku, w którym między innemi rzeczami powiedziano: „Widzę, że obelgi, których doznaje wojsko od mieszkańców, wywołały między panami oficerami silne rozdrażnienie, zaczynające się wyrażać głośnem szemraniem. Okoliczność ta, zwiększająca trudności rządu, wskazuje, że panowie oficerowie nie zdają sobie na-

rosyjskiego publicznego stowarzyszenia, na członka, można powiedzieć, rzeczywistego. Myślą i sercem współczuję z Towarzystwem i będę brać udział we wszystkiem, co się Towarzystwa tyczy, Towarzystwa reprezentującego tutaj rosyjską narodowość. Ja uznaję i szanuję każdą narodowość, lecz żądam, ażeby była pojmowaną właściwie, bez zgubnych zapędów i nadziei nie do urzeczywistnienia! Ja, kochając rosyjską narodowość, nie mogę jednocześnie potępiać Polaków za ich przywiązanie do swej ziemi i ojcowizny, szkoda tylko, że oni dają wyraz temu swemu przywiązaniu przez uliczne nieporządki, które przez żadną władzę nie mogą być cierpiane i dopuszczane. Tylko silna, pewna siebie władza z jednej, oraz poszanowanie prawa i uległość władzy z drugiej strony, mogą dać spokój i szczęście temu krajowi; nieroztropność zaś i zapędy zawiodą go na skraj przepaści i zguby. Przez spokój i porządek kraj osiągnie dobrobyt, zaś przyszłe jego szczęście zawisło od łaski monarchy, na którą zasłużyć leży w jego mocy. Biada Polsce jeśli się nie opamięta, biada jej! Dlatego też mamy obowiązek uczynić wszystko, co tylko leży w naszej mocy, aby przywrócić spokój. Najstraszniejsze zło, demagodzy, steroryzowali całą ludność, wszystkie stany, lecz najjaśniejszy pan, swą niewyczerpaną łaskawością, sprowadzi nakoniec błądzących na drogę prawdy i porządku. Armia nasza, w jednej chwili, może w całym kraju wszystko zburzyć do szczętu, napełnić go strachem i przerażeniem, lecz ona rozumie swe położenie i postępuje tak, jak tego od niej możemy wymagać. Cesarz w zupełności może na niej polegać i na nią liczyć, ja zaś śmiało twierdzę, że takiej armii jak rosyjska, nie było i nie będzie!«

---

leżycie sprawy ze swego stanowiska i nie pojmują należycie swe obowiązki. Obraza pochodząca od ludzi, sądzących, że się prawnie potrafią zasłonić od odpowiedzialności, nie może dotykać ludzi przypadkiem na nią narażonych. Spodziewam się, że panowie oficerowie, zastanowiwszy się należycie nad tem, zrozumieją, że w takich razach tylko znoszenie z zimną krwią nieuniknionych nieprzyjemności, stanowi prawdziwy obowiązek żołnierza.“

Jenerał Weselickij krzyknął hurra, lecz nikt go nie podtrzymał.

Podano kawę. Suchozanet powstał od stołu, wielu poszło za tym przykładem, wszczął się ruch na sali i wszyscy byli przekonani, że uroczystość skończona. Naraz jenerał Weselickij odzywa się: »Panowie!« Suchozanet zwrócił się ku niemu, zapanowała pewna cisza i Weselickij przemówił: »Ś. p. cesarz Mikołaj Pawłowicz, wyjeżdżając w 1851 r. za granicę, powierzył rządy państwa swemu synowi, następcy tronu, dziś nam miłościwie panującemu cesarzowi, a za powrotem odznaczył go orderem św. Włodzimierza, na którym widnieje napis: »Użyteczność, cześć i sława!« — Już sześć lat minęło od czasu, gdy cesarz ten zaczął rządzić, a ileż reform, jakie zmiany? Nie wspominając już kwestyi włościańskiej, my jako wojskowi rozpatrzmy tylko zmiany zaszłe w zarządzie wojskowym!« (Głosy: »a! ze zbornika wojennego! słuchajcie!«) »Zniesienie kolonii wojskowych! z woli najjaśniejszego pana rolnik wrócony został swej roli!«

Suchozanet, dając ręką znak Weselickiemu, wpada w słowo: »Przepraszam. Zniesienie wojskowych kolonii przyniosło korzyści, które mogę nazwać w pełni państwowemi!... Ja, ja wobec najjaśniejszego pana, byłem rzecznikiem tego zarządzenia, widząc dokładnie złe i szkodliwe strony kolonii wojskowych. Należy wszakże przyznać, że pierwsza myśl o ich zwinięciu wyszła od tylko co zamianowanego namiestnika w Królestwie Polskiem jenerał-adjutanta hr. Lamberta. On poznał na miejscu kolonie i w osobnym memoryale wyłożył swe zapatrywania tak jasno i przekonywająco, że nie pozostawało mi nic innego, jak tylko pochwalić i zgodzić się z wnioskiem. Uznałem w zupełności nieszczęsny stan kolonistów i zarządzenie o południowych koloniach rozciągnąłem na wszystkie inne.«

W najbliższem otoczeniu Suchozaneta słychać głośne »hurra.« Kapitan z trzeciego okręgowego parku artyleryi, Kleigels, płacze z rozrzewnienia.

Weselickij mówi dalej: »Zwinięcie kantonistów, dzieci wrócone rodzicom«...

Suchozanet przerywa: »Pozwólcie panowie! to było zło tak krzyczące, że niepodobna było nie zwrócić na nie uwagi. Zniesienie kantonistów z wszelką słusznością sobie mogę przypisać. Kiedy objąłem zarząd ministeryum, zastałem 345 tysięcy tych nieszczęśliwych sierot, bez wszelkiej opieki i wychowania, ciężar dla państwa, niepotrzebna troska dla rządu. Szczególniej żal mi było żydów. To żadna zasługa, zło zanadto było bijące w oczy, ustawa sprzeczna z pojęciami współczesnemi. Pojąłem tylko to, co dla każdego aż nadto powinno było być zrozumiałe i wyjednałem zatwierdzenie monarsze!«... (krzyki hurra głuszą dalsze słowa, kapitan Klejgels we łzach tonie, Arseniew potakująco kiwa głową).

Węselickij zaczyna po raz trzeci: »Zwiększono pensye wojskowym i zaprowadzono kasę emerytalną«...

— Suchozanet przerywa: »Pozwólcie panowie! Za najważniejszą sprawę uważałem uregulowanie poboru kwaterunkowego. Ustawa o dostarczaniu kwater pochodziła z czasów powszechnej taniości. To było dawno, bardzo dawno; od tego czasu wiele się zmieniło, wszystko podrożało, a znaki zamienne straciły na swej stosunkowej wartości, wskutek czego wymiar dodatku kwaterunkowego stał się zupełnie niewystarczający. Przedstawiłem to najjaśniejszemu panu, który w swej szczodrobliwości zwiększył i kwaterunkowe i same pensye oficerów. Nie pragnę, aby oficerowie żyli zbytkownie, lecz nie powinni cierpieć niedostatku w rzeczach niezbędnych.

Założenie kasy emerytalnej dozwoliło ludziom zasłużonym, którzy sterali swe zdrowie i najpiękniejsze lata życia w usługach ojczyzny, po opuszczeniu służby dożywać bez troski i niedostatku resztki dni swoich. Emerytalna kasa jest waszą własnością, wzrasta z waszych ofiar i wkładek, i słusznie do was należy. Oprócz potrącań z pensyi, co czyni 1,200.000 rubli sr. rocznie, cesarz w swej łasce, wyasygnował na kapitał zakładowy półosma miliona rubli sr., nadto corocznie z kasy państwa wpływa 300.000 rubli srebr. zapomogi. Wszystko to stało się mimo opozycyi wielu, bardzo wielu! Państwo ma

inne potrzeby także, które zaspokoić trudno, a jednak dla polepszenia bytu oficerów zrobiono wszystko, co się tylko dało zrobić. Niepodobna przekroczyć pewnych granic i we wszystkiem miarę zachować należy.«

»Emerytura, jakem powiedział, zabezpiecza przyszłość starców. Wszystko się toczy zwykłą, że tak powiem przyrodzoną koleją, a więc należy się poddać prawom starości. Kto nie jest w stanie dalej skutecznie pracować, winien porzucić służbę. Weźmy naprzykład lekarza: doktor doszedłszy w służbie do lat pięćdziesięciu, powinien podawać się do dymisyi i to słusznie, gdyż w tych latach już siły ustają i człowiek nie może być, jak za młodu, zawsze rzeźkim i przytomnym. To prawo powinno obowiązywać i innych wojskowych... dzisiaj już wiek inny, inne poglądy, inne wymagania. Potrzeba więc nowych ludzi: młodych, czynnych, energicznych i zdolnych. Trzeba ustąpić pola innym«... — (Odpoczywa. Starzy niezadowoleni. Prezes polowego audytoryatu, jenerał-porucznik Karlowicz, robi szczególnie smutną minę).

»Tak! ustąpimy ze sceny, ustąpimy miejsca tym z was, którzy się okażą najzdolniejszymi.« (Młodzież krzyczy »hurra!«). »Uważać się będę za szczęśliwego, jeśli mi wypadnie dać pierwszy przykład. My wszyscy uczyliśmy się, jak to mówią, za grosze miedziane; teraz zaś nauka i wychowanie zupełnie inne. A więc zawód nasz skończony! Już czas zejść ze sceny. Ja prawie pięćdziesiąt lat przesłużyłem w szeregach armii i czuję że już powinienem ustąpić.« (Zadowolnienie na wielu twarzach. Ktoś krzyknął »hurra«, lecz zaraz psykano). »Uczyniłbym to, nawet gdybym nie posiadał środków dalszej egzystencyi!« (Słychać głos: »no, wtedy kto wie, coby się stało?«). Jako minister wojny, szczycić się będę, żem pierwszy dał przykład, a dałbym go nawet, gdybym miał pobierać tylko połowę dzisiejszej pensyi« (głos: »i to byłoby aż nadto wystarczające).« »Wzywam i proszę wszystkich starszych, aby szli za moim przykładem i ustąpili miejsca nowym, młodszym siłom!... Ja to czynię dla państwa, dla Rosyi, kochając ją i widząc w tem

jej korzyść. U mnie zawsze na pierwszem miejscu stał obowiązek; ja zaś to poczytuję za obowiązek względem cesarza, jego uświęconej woli i względem państwa!« (krzyki: »hurra!«)

Okrzyki się jeszcze nie skończyły, gdy już Weselickij zaintonował: »Te zmiany zawdzięczamy jego ekscelencyi panu ministrowi wojny Mikołajowi Onufriewiczowi!« (Suchozanet przysłuchuje się z przechyloną głową. Okrzyki nieustają). Weselickij ciągnie dalej: »A teraz panowie! pozwólcie wznieść toast na cześć rosyjskiej armii, z życzeniem, ażeby się ona znów podniosła na stopień, jaki się jej z prawa należy, i stała się pierwszą armią w świecie; ażeby odzyskała swą dawną chwałę!«

Tu Suchozanet przerywa: »Rosyjska armia nie potrzebuje odzyskiwać swej dawnej chwały; ekscelencyo! ona tego nie potrzebuje! Owszem w czasie ostatniej Sebastopolskiej kampanii ona prześcignęła wszystko to, czego można żądać od najlepszej armii. Pan jenerał nie ocenileś dostatecznie słów swoich »odzyskiwać« gdy niema czego odzyskiwać. Armia nasza nigdy nie potrzebowała, nie potrzebuje, i da Bóg, potrzebować nie będzie odzyskiwania swej sławy. Nigdy, żadna armia nie wykazała tyle poświęcenia, męstwa i zalet wojskowych, jak nasza pod Sebastopolem. Najpotężniejsze mocarstwa połączyły swe olbrzymie środki i czegoż dokazały? Zdobyły niebronione już miasto i resztki floty, która powinna była być przedtem spaloną, jako do niczego nie przydatna. Bezprzykładne męstwo armii ujawniło się w całej pełni i kiedyś historya odda jej zasłużoną sprawiedliwość; najpóźniejsze potomstwa, szczycić się będą taką kampanią!«

»Teraz okazujecie męstwo innego rodzaju i przyjdzie czas, że z chlubą będziecie wspominać, żeście należeli do armii, konsystującej obecnie w Polsce! (Gwar nieokreślony). »Słuchajcie panowie, co mówię: powtarzam, męstwo to stoi po nad wszelkie pochwały, po nad wszelkie porównania i cesarz w zupełności może polegać na takej armii. — Hurra!«

Wielu wznosi ten okrzyk. Pułkownik Hartung, dowódca muromskiego pułku piechoty cały zaczerwieniony od krzyku.

Kapitan Kleigels wciąż jeszcze płacze. Gdy okrzyki się uspokoiły, Suchozanet zapytuje Weselickiego, czy już skończył, a na jego potwierdzającą odpowiedź, dodał: »A więc dziękuję panu, ale zawsze nietrafnie powiedziałeś jenerale, że nam potrzeba wskrzesić sławę rosyjskiego oręża.«

Łatwo więc wytłumaczyć, że przy takich stosunkach, wobec wyjazdu jednego namiestnika i w oczekiwaniu nowego, manifestacye i inne nieporządki w mieście nietylko nie ustawały, lecz się jeszcze bardziej wzmogły. Po pierwszem żałobnem nabożeństwie za księcia Adama Czartoryskiego w katedrze, posypały się takie nabożeństwa po innych kościołach w Warszawie a następnie w całym kraju. Trójki i dziesiątki mnożyły się w geometrycznej progresyi. Wielu gorętszym zdawało się, że powstanie zbrojne tuż, tuż ma wybuchnąć. Emisaryusze Mierosławskiego, przybyli w znaczniejszej liczbie dla zdjęcia planów niektórych miejscowości Królestwa Polskiego, zwiększali w rozmaitych kołach to gorączkowe usposobienie.

Widząc to partya Sybiraków, kierowana przez Aleksandra Krajewskiego, byłego redaktora *Roczników gospodarstwa krajowego*, postanowiła wydawać potajemną gazetkę, mającą za zadanie powstrzymanie nieopatrznego zapału i ostrzeganie nieostrożnych. Dnia 6. sierpnia 1861 roku wyszedł pierwszy numer tej pierwszej podziemnej gazety ostatniego powstania, zatytułowanej *Strażnica*. Była to niewielka ćwiartka, z tekstem po jednej tylko stronie, bardzo źle i widocznie na ręcznej prasie wydrukowanym [1]). *Strażnica* wzywała wszystkich Polaków »być gotowymi w każdej chwili, lecz czekać spokojnie i cierpliwie.«

---

[1]) *Aweyde* powiada, że drukowanie pierwszych plakatów i gazet przedstawiało nadzwyczajne trudności. Prasy i czcionki sprowadzano z początku z zagranicy, potem zaczęto je wyrabiać w Warszawie. Gdy rząd narodowy urosł w siły, drukowanie dzienników i innych pism odbywało się w zwykłych drukarniach.

Gazetę rozchwytywano i czytano skwapliwie, rady jej atoli i przestrogi nie wywarły absolutnie najmniejszego skutku; niecierpliwość i przesadne nadzieje gorętszych wcale się nie zmniejszyły, a manifestatorowie z jednaką, dziecinną gorliwością sprawę swą dalej prowadzili.

Dnia 8. sierpnia, a więc w parę dni po wyjściu *Strażnicy*, w kościele archikatedralnym św. Jana, w dzień urodzin cesarzowej, odbywało się zwykłe uroczyste nabożeństwo. Celebrował ksiądz prałat Białobrzeski, zaś arcybiskup Fijałkowski był w kościele prywatnie. Z urzędników cywilnych przybyło tylko ośmiu z prezesem komisyi skarbu Laskim i wice-prezesem Banku polskiego Szemiotem, na czele. Jak tylko po skończonej Mszy świętej, celebrujący zaintonował modlitwę za rodzinę panującą, a organy zagrały hymn cesarski, grono złożone z kilkudziesięciu młodzieży, przecisnąwszy się przed główny ołtarz zaśpiewało »Boże coś Polskę.« Lud zebrany w kościele podchwycił chórem nutę pieśni, głuszące kler i organy. Wieczorem ulicznicy gasili po ulicach iluminacyę, wybijali okna oświetlone, między innemi wybito szyby w oknach pomieszkań jenerałów: Kuźmina i Szepielewa, przy ulicy Miodowej.

Nic nie zarządzono dla stłumienia tych wybryków. Nadchodząca rocznica ogłoszenia unii polsko-litewskiej dnia 12. sierpnia, nastręczała nowy powód do urządzania manifestacyi, szczególniej na pograniczach Litwy i Polski, dla stwierdzenia istniejącego współczucia i wykazania rozwoju samej organizacyi.

Czerwoni i biali, a właściwie ta część białych, których Aweyde nazywa »młodą szlachtą«, w wielu wypadkach zgodnie działali. Wstrzymanie reform, a po części rzeczywiste usunięcie się Wielopolskiego od zarządu (chociaż zawsze nosił wszystkie tytuły), szczególnie sprzyjały zbliżeniu się przeciwnych sobie żywiołów. Manifestacya na pamiątkę Unii Litwy z Koroną, uchwaloną została w rozmaitych kółkach warszawskiej organizacyi, za główne zaś pole działania wybrano niezbyt strzeżony most na Niemnie, łączący Kowno z osadą Aleksotą, gdzie ludność obu wybrzeży i bez tego w ciągłej pozostawała z sobą

styczności. Ułożony w Warszawie plan, przesłano obywatelom augustowskiej i kowieńskiej gubernii do możliwego wykonania i uzupełnienia szczegółami, zastosowanymi do okoliczności. Plan główny polegał na tem, że w rocznicę Unii miały wyjść jednocześnie procesye z Kowna i Aleksoty z tem, żeby się spotkały na moście, poczem miały się wspólnie udać do wsi Godlewo, położonej w Królestwie, niedaleko Aleksoty, gdzie się miał spisać akt na pamiątkę tego obchodu i odbyć wspólna uczta.

Dla Warszawy i innych miast uchwalono na ten sam dzień miejscowe uroczyste obchody i ogłoszono następujący drukowany plakat:

»Bracia ziemianie! Dnia 12-go sierpnia 1569 roku król Zygmunt August uroczyście zamknął sejm Unii w Lublinie i to ostateczne połączenie Litwy z Polską uwieńczył mową, którą przekazał obu narodom wieczną miłość braterską. To też i my, bracia ziemianie, obchodźmy uroczyście ten dzień uświęcony zjednoczeniem przodków naszych, zbierzmy się w kościołach i zanieśmy wspólnie do Boga gorące modły nasze, aby rozćwiartowany nasz naród, w jedną, jak dawniej, zlał całość i dusze nasze na wieki zespolić raczył. Dnia 12. sierpnia 1861 roku zaświadczmy publicznie, żeśmy bracia jednej i tej samej rodziny, Orla białego i Pogoni. Obchód ten Unii dwóch narodów odbyć się powinien wśród uroczystego spokoju, na całej przestrzeni starodawnej Polski.

W tym dniu zdejmuje się żałoba.«

W wilię uroczystości 11. sierpnia plakat ten rozdawano po kościołach. Oprócz tego rozlepiono go w większem wydaniu po ścianach kościołów. Uwaga o zdjęciu żałoby następowała zaraz po słowach »orla i pogoni« z dodatkiem, że »panie mają być w kolorach narodowych, mężczyźni włożą krawaty białe, lub amarantowe. Kupcy są proszeni o zamknięcie magazynów i zaniechanie wszelkiej sprzedaży. Ludność najusilniej się prosi, o zachowanie najzupełniejszego spokoju. — Wieczorem iluminacya.«

Namiestnik polecił rozlepić swoje odezwy, wzbraniające obchodu, takowe zdzierano, a gdzie policya temu przeszkadzała, zachodziły bójki. Na Saskim placu, wobec stojącego wojska, jakiegoś policyanta zbito prawie na śmierć [1]).

Ponieważ władze nigdzie nie zarządziły stanowczych środków, więc obchód rocznicy Unii wszędzie się uroczyście odbył. W Warszawie mieszkańcy przywdziali na ten dzień najbarwniejsze szaty; strojne damy przejeżdżały w otwartych powozach; wieczorem całe miasto było oświecone, szczególnie zaś Stare miasto gorzało tysiącami świateł [2]).

W Lublinie odbył się spacer publiczności koło pomnika Unii, stojącego naprzeciw mieszkania gubernatora. Wiele dam wystąpiło w przebraniu za wieśniaczki, między niemi wyróżniała się szczególnie znana panna Pustowójtów; ubrana po wiejsku, miała warkocze zaplecione trójkolorowemi wstążkami. Damy rzucały na podnóże pomnika kwiaty i wieńce. Wieczorem miasto oświecono, w licznych oknach umieszczono transparenty z herbami Polski i Litwy, portretem Kościuszki itp.

Manifestacya na pograniczu Polski i Litwy odbyła się w następujący sposób: Gdy policya kowieńska dowiedziała się o zjazdach i naradach obywateli i o czynionych przygotowaniach do obchodu Unii, które dość jawnie się odbywały, gubernator Chomiński z umysłu czy przypadkiem wyjechał do Petersburga. Zastępujący go, wice-gubernator Karecki, doniósł głównemu naczelnikowi kraju, jenerał-adjutantowi Nazimowowi, o zapowiedzianej na dzień 12-go sierpnia manifestacyi i prosił o rozkazy, co czynić, jeśli manifestacya przyjdzie do skutku? Powiadają, że otrzymał odpowiedź telegraficzną »Postępować rozważnie, a most rozwieść« [3]). Wszakże wice-guber-

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

[2]) *Aweyde* tom II, str. 82. Partya czerwonych chciała urządzić jeszcze uroczystą procesyę na Powązki, lecz umiarkowani przeszkodzili temu przez rozrzucenie po mieście ostrzegających plakatów.

[3]) Z opowiadań różnych miejscowych urzędników, a także suwalskiego gubernatora Zerwe'go. Inni zapewniali, że telegraficzna de-

nator nie zarządził żadnych środków ostrożności, mostu nie rozwiódł, to też obie procesye rano dnia 12. sierpnia wystąpiły podług ułożonego programu z Kowna i z Aleksoty w otoczeniu ogromnego tłumu ludu. Wtedy dopiero wice-gubernator polecił naczelnikowi miejscowego zarządu dróg i mostów, kapitanowi Kułakowskiemu, Polakowi, czem prędzej most rozprowadzić. Kułakowski podał się za chorego, zastępujący go porucznik Weliagonów zaledwie zdołał jedną łyżwę usunąć i na bok odprowadzić. Procesye więc obie na moście, oddzielone nie wielką przestrzenią, mogły z łatwością z sobą rozmawiać i nawzajem się witać. Wkrótce ktoś ze zręczniejszych młodych ludzi potrafił się dostać na niezbyt daleko odprowadzoną łyżwę mostową i przerzucił z niej linę ludowi stojącemu na moście. Linę pochwycono i za jej pomocą łyżwę przyciągnięto na miejsce i wówczas nastąpiło połączenie się obu procesyi przy ogłuszających okrzykach entuzyazmu ludu zebranego na obu brzegach rzeki i przy śpiewie »Boże coś Polskę.« Wojska przysłane przez naczelnika dywizyi jenerała Burhardt'a, patrzyły spokojnie rozstawione na brzegu kowieńskim, a gdy rozległ się spiew, żołnierze machinalnie zdjęli czapki i poczęli się żegnać [1]).

Połączone procesye, stosownie do programu, wyruszyły przez Aleksotę do Godlewa i tam spędziły czas do wieczora na wspólnej zabawie i uczcie, wśród której wino i łzy obficie się lały... a wkońcu spisano na pamiątkę obchodu akt, stwierdzony licznymi podpisami. W kilka dni potem rozeszły się po Litwie i Polsce tysiączne fotografie, przedstawiające spotkanie się procesyi na rozerwanym moście.

Cesarz, dowiedziawszy się o manifestacyi w Aleksocie, zawezwał do siebie gubernatora kowieńskiego jenerała Chomińskiego, przebywającego jeszcze w Petersburgu i zapytał:

— Czy wiesz w jakim stanie teraz twoja gubernia?

---

pesza zawierała tylko dwa słowa „postępować rozważnie.“ Most na Niemnie pod Kownem był łyżwowy.

[1]) Z opowiadań naocznych świadków.

— Tam wszystko w porządku Najjaśniejszy Panie! — odrzekł Chomiński.

— No to jedź i przekonaj się, jaki porządek!

Na dzień 15. sierpnia rozmaite partye chciały urządzić w Warszawie obchód na cześć cesarza Napoleona, lecz wszyscy umiarkowani powstali przeciw temu i zamiar do skutku nie przyszedł.

Około tego czasu część duchowieństwa warszawskiego w związku z krańcowymi ludźmi stronnictwa ruchu napisała »wezwanie do braci i kolegów w całej Polsce«[1], nadzwyczaj podżegającej treści.

W tymże czasie wyszedł drugi numer *Strażnicy*.

Suchozanet patrzał na to wszystko obojętnie, myśląc tylko o jak najprędszem opuszczeniu Warszawy. Wyjeżdżał atoli nie do Petersburga, lecz za granicę, gdyż spostrzegł, że cesarz nie życzy sobie jego powrotu do ministeryum wojny. Na krótko przed wyjazdem z Warszawy, Suchozanet otrzymał list od cesarza, w którym był przypisek: »z Milutina jestem bardzo zadowolony.« Dnia 18. sierpnia zaszczycił swą obecnością ucztę w dzień pułkowego święta w muromskim pułku p., przy której znowu były mówki, a w pięć dni potem, dnia 23. sierpnia przybył do Warszawy nowy namiestnik hr. Lambert, bez żadnej straży przybocznej, nawet służba jego, w cywilnem ubraniu, zdaleka za nim zdążała. Zrobiło to wrażenie, gdy publiczność była przyzwyczajona do spotykania namiestnika zawsze w otoczeniu eskorty kubańskich kozaków. Na zjeździe napotkanego ubogiego obdarzył hojną jałmużną.

Dnia 25. sierpnia przyjechał Gerstenzweig ze swym adjutantem Polenowym[2]. Zaraz potem wyjechał za granicę jenerał Suchozanet, przeprowadzany bardzo nieżyczliwie przez ludność, dla której tak bardzo okazywał się pobłażliwym. —

---

[1] *Wiadomości z kraju* str. 14—16. — *Biblioteka dla czytania*, luty 1864, str. 33.

[2] Jenerał Paniutyn wyjechał z Warszawy jeszcze w maju. Pułkownik Krywonosow powiada, że mieszkańcy Warszawy chcieli go

W Piotrkowie urządzono mu kocią muzykę i wybito szyby w wagonie.

Przyjmując urzędników dnia 27. sierpnia, hr. Lambert z każdym rozmawiał i zrobił na wszystkich jak najlepsze wrażenie. Merchelewicza uściskał [1]). Trzeciego dnia złożył wizytę arcybiskupowi Felińskiemu, a gdy wyjeżdżał z wrót pałacu arcybiskupiego przy ulicy Miodowej, został powitany okrzykami ludu. Na skutek uwagi arcybiskupa, że należy okazać się łaskawym i nie więzić bez powodu ludzi w cytadeli, Lambert zaraz nazajutrz, dnia 2. września polecił uwolnić z dziesiątego pawilonu ośmiu więźniów politycznych, a między niemi i obywatela ziemskiego Zawiszę, uwięzionego za posiadanie potajemnej drukarni. Wszyscy uwolnieni przez kilka dni jeździli za namiestnikiem, spotykając go wszędzie okrzykami. Usunięto nadto z placów wojska i otworzono boczne wejścia do ogrodu Saskiego.

Ultraradykalni nie pochwalali takiego zachowania się publiczności i ich agenci rozpędzali lud gromadzący się tłumnie w Łazienkach i wszędzie, gdzie się spodziewano spotkać nowego namiestnika.

W pierwszych chwilach hrabia Lambert i Gerstenzweig, po pobieżnem rozpatrzeniu się w sytuacyi i po rozmówieniu się z niektóremi osobami ze stronnictwa białych, byli jednego zdania co do zarządu krajem. Spodziewali się, że z pomocą żywiołów umiarkowanych potrafią pozbawić czerwonych, a właściwie zawiązujący się spisek, wszelkiego znaczenia i wpływu, i zmuszą ich do rozwiązania się z braku sił i możności do dalszego prowadzenia rozpoczętych robót. Gerstenzweig rzucał wprost do kosza memoryały Podwysockiego i nieraz dosyć ostre robił uwagi policmajstrowi na jego raporta o różnych drobnych nieporządkach w mieście... »ależ wiem o tem... już to słyszałem« — zwykł odpowiadać.

---

owacyjnie pożegnać, lecz że się od tego wymówił. Hrabia Lambert miał pobierać 30.000 rubli sr., Gerstenzweig zaś 15.000 rubli sr. rocznej pensyi. [1]) Razem służyli na Kaukazie.

Wkrótce wszakże spostrzegł się, że te umiarkowane żywioły w kraju wynaleźć nie sposób, że wszyscy mniej więcej dostali obłędu i z wiedzą lub też bezwiednie dążą do sprzysiężenia. Jeneral-gubernator rozszedł się w poglądach ze swym petersburgskim druhem i nabrał przekonania, (które zresztą jeszcze w czerwcu, w czasie przejazdu przez Warszawę i hrabia Lambert podzielał), że bez użycia surowych i stanowczych środków, bez zaprowadzenia stanu wojennego, spokoju nie da się przywrócić [1]). Jednak nie sprzeciwiał się w oczekiwaniu, że i ten druh wkrótce przyjdzie do tegoż samego przeświadczenia.

Lecz hrabia Lambert trzymał się uparcie raz powziętego planu, żeby doprowadzić umysły do uspokojenia przez szereg ustępstw i reform, a więc dotrzymać obietnice, dane w ukazie z dnia $^{14}/_{26}$ marca 1861 roku, a przynajmniej rozpisać wybory do rad miejskich, o które prosił jeszcze książę Gorczaków, a na które zezwolono, gdy już zwłoki Gorczakowa wywieziono do Sebastopola.

Na rosyjskiem towarzystwie hrabia Lambert oprzeć się nie mógł dla tej prostej przyczyny, że takowego w Warszawie nie było. Niepodobna bowiem było uważać za towarzystwo gromadę wojskowych, przybyłych wraz z pułkami z przeróżnych stron szerokiej Rosyi. Cywilnych zaś Rosyan, którzy na całym świecie tworzą towarzystwo, było bardzo niewielu. Najgłówniejsi z nich byli: radca tajny Kazaczkowskij, dyrektor kancelaryi namiestnika; rzeczywisty radca stanu Cestilin, dy-

[1]) Zdanie to podzielali jenerałowie: Potapów, Chrulew, Czernickij, Siemeka, Batczatuł i radca tajny Kazaczkowskij. Ten ostatni nieraz przedkładał namiestnikowi, gdy czerwoni zanadto broili: „Przestań pan igrać z ogniem, pięć szóstych ludności pragnie spokoju i rada będzie z zaprowadzenia stanu wojennego, ale ma się rozumieć, że z tem odezwać się nie może.“ Wracający z zagranicy dowódzca 3-go korpusu piechoty baron Wrangel, powiedział do Lamberta: „Wszyscy za granicą kpią z naszych rządów w Polsce. Wierz mi pan, nie będzie spokoju, dopóki nie spostrzegą na ulicach Warszawy zapalonych lontów. — Dziennik pułkownika Krywonosowa.

rektor kancelaryi jeneral-gubernatora; rzeczywisty radca stanu Połtoranow, jeneral-audytor i Andrejew, urzędnik w kancelaryi namiestnika, który przed trzydziestu laty przybył do Warszawy na trzy tygodnie i w niej ugrzązł. Do nich czasem się przyłączał jeneral Bebutow, zręczny i praktyczny Ormianin, komendant miasta. Wszystko to byli ludzie wpływowi, mogący wiele zrobić, wszakże używać ich do narad nad jakąś kwestyą rosyjską w Polsce, byłoby nader dziwnem ze strony namiestnika. Oni stanowczo nie zajmowali się żadnemi kwestyami, które nie dotyczyły wyłącznie ich osób; nic literalnie nie czytali, lecz za to nader zręcznie umieli pracować nad własnem wyniesieniem się, nad otrzymywaniem rang, orderów, nadań majoratów. Doskonale umieli jeść i pić, jeszcze lepiej służyli mamonie, ale zresztą nic więcej. Hrabia Lambert prędko poznał i ocenił tych panów i dlatego na naradach w Zamku zjawiali się nie oni, lecz dawni delegaci: Szlenker, Chałubiński, Kronenberg, Kraszewski, księża Wyszyński i Stecki.

Nie można z jakiemkolwiek uzasadnieniem twierdzić, że to byli sami zdrajcy, że co innego mówili namiestnikowi, z czem innem zaś występowali przed czerwonymi, o nie! Byli to wszakże ludzie zadziwieni i wstrząśnięci wypadkami najnowszych czasów, którym mimowoli zaświtały w głowach jakieś mamiące patryotyczne marzenia. Ludzie bynajmniej nie obojętni na to, co od czasu do czasu zalatywało z nad brzegów Sekwany i z emigracyi; ludzie niedowierzający rządowi i głęboko przekonani, że uległością u żadnego rządu, a tem bardziej u rosyjskiego, nic się nie uzyska, i że jeżeli ten zgadza się na jakieś ustępstwa, to nie z własnego popędu, lecz jedynie dlatego, że kraj cały wzburzony, że w kraju zapanowała gorączka manifestacyjna, coś w rodzaju spisku, i że to sprawili nie oni, średnio-umiarkowani, a tem mniej wybitnie biali, lecz ci czerwoni, ten czerwony i rwący się naprzód ludek, uważany powszechnie za żywioł szkodliwy i niebezpieczny. Któryż więc z patryotów odważy się rzucić nań kamieniem potępienia? Jednem słowem, ludzie, którzy otoczyli namiestnika

zaraz po jego przybyciu do Warszawy, byli tacyż Polacy jak inni, byli to, margrabiowie Wielopolscy różnych odcieni, którym trudno było poruczyć rozwiązanie »rosyjskich zadań w Polsce«, szczególnie jeszcze w tak wzburzonej chwili. Jeśli się im co podówczas niepodobało w całym przebiegu sprawy, to poczynająca się przejawiać przewaga stronników Mierosławskiego; lecz gdyby im kto powiedział, że zamiast Mierosławskiego, zbliża się zmartwychpowstały Kościuszko, lub chociażby »nasz Chłopicki, wojak dzielny, śmiały«... hrabia Lambert zapewne z trudem rozpoznałby swych gości z wieczornych herbatek...

Długie, pełne poufnych wynurzań rozmowy przedstawiciela najwyższej władzy z tymi ludźmi, były dla doświadczonego rosyjskiego obserwatora tylko niepotrzebną stratą czasu, przelewaniem z pustego w próżne. Takie układy, z podobnymi panami, nieraz prowadzono. Hrabia Lambert w tym wypadku nie umiał korzystać z doświadczeń przeszłości, nawet najbliższej przeszłości. Zresztą ogólna to wada namiestników. Dziesięć rewolucyi mogłoby się dokonać, zanim rosyjska władza mogłaby z takimi interlokutorami dojść do jakiegoś określonego rosyjskiego rezultatu...

Strach przed zjawieniem się Mierosławskiego był podówczas ogólny w kraju; podzielał go również i szef sztabu głównego armii, jenerał Kryżanowskij, i nieraz doradzał Gerstenzweigowi rozstawić na granicy wojska dla uprzedzenia Mierosławskiego. Gerstenzweig nie dawał się przekonać i odpowiadał, »że to niepotrzebne, że te wszystkie pogłoski, to tylko czcza gadanina, a Mierosławski mimo swego zapału nie jest tak głupi, by z niczem porywać się na Rosyę; że Polacy nietylko nie mają pieniędzy, broni i wojska, lecz między nimi niema nawet właściwego sprzysiężenia.« Wkońcu dodał, by się nie mieszał w nieswoje sprawy.

Pewnego wieczora hrabia Lambert w rozmowie ze swymi gośćmi zrobił uwagę, że pojąć nie może, skąd Mierosławski przyszedł do takiego znaczenia w kraju i za granicą, gdy

wszystko, co rozumniejsze i poważniejsze w Polsce, nie chce go i stroni od niego, jak od zarazy. Odpowiedziano mu, że zawdzięcza to poparciu Francyi, a głównie poparciu księcia Napoleona, działającego zapewne pod wpływem stryja i że to się zaczęło dosyć dawno, już od lat kilku.

— Lecz takie działanie przywiedzie do zguby samychże Polaków — zauważył hrabia Lambert.

— Europejscy rewolucyoniści nad tem się nie zastanawiają, im chodzi tylko o wywołanie przewrotu.

— A cóż — dodał po pewnym namyśle namiestnik — gdyby kto z wpływowych i poważnych osobistości w kraju, obdarzony zaufaniem i zaopatrzony w pełnomocnictwa wyższych i poważniejszych sfer inteligencyi, tych, którym rzeczywiście leży na sercu dobro i pomyślność ojczyzny; gdyby kto pojechał do Paryża i rozmówił się otwarcie z księciem Napoleonem i jego stronnikami we Francyi, gdyby im przedstawił, jak takie nieopatrzne podżeganie Polaków nieszlachetne i nieuczciwe, gdyż wszystkie te zabawki muszą się bardzo źle skończyć?

— Bardzo wątpimy, by się to na co zdało — odpowiedziano — spróbować wszakże nie zawadzi, a najodpowiedniejszym do takiej misyi byłby Kraszewski.

Hrabia Lambert zwrócił się do Kraszewskiego z prośbą, by pojechał do Paryża i tam rozmówił się z księciem Napoleonem. »Co i jak masz mu powiedzieć, nie potrzebuję panu wskazywać, gdyż to lepiej wiesz odemnie.«

Kraszewski rad był tej przejażdzce, która dawała mu sposobność rozmówienia się z wybitniejszymi przedstawicielami emigracyi, większej części których nie znał, oraz stanowiła pewną rozrywkę i wypoczynek po wyczerpującej codziennej dziennikarskiej pracy, tak nieodpowiednej dla jego pisarskiego talentu. Niezliczone kłopoty wszelkiego rodzaju, ciągła walka ze stronnictwami i z drobiazgową cenzurą, w połączeniu z innemi nieprzyjemnościami, których ani się spodziewał, przenosząc się ze spokojnego Żytomierza do Warszawy, zmęczyły go stra-

sznie. On byłby rad zupełnie uciec z Warszawy [1]). Wziąwszy z sobą ile się tylko dało listów uwierzytelniających od znakomitszych osób w Warszawie, Kraszewski pojechał do Paryża, gdzie z trudnością za pośrednictwem Edmunda Chojeckiego otrzymał posłuchanie u księcia Napoleona. Rozmawiali z sobą przeszło półtorej godziny. Kraszewski wykazywał księciu o ile obecnie powstanie jest nie na czasie i błagał go, by nie podżegał Polaków do jawnej walki z Rosyą, w której muszą oni uledz koniecznie, na długo burząc wszystko dotychczas osiągnięte. »Jeżeli ostatecznie Francya potrzebuje, by Polska powstała — dodał — to niechże przygotuje rewolucyę dokładnie, ale nie teraz, gdy żadnych przygotowań niema, i nie z Mierosławskim.«

Książę odpowiedział, że nie może powstrzymać rozpoczętego ruchu w Polsce, bez względu, dokąd takowy doprowadzi i kto na jego czele stanie. Polacy wiedzą, co robią [2]).

---

[1]) Do jakiego stopnia Kraszewski uznawał, że wydawana przez niego gazeta nie wystarcza do oddania wszystkiego, co czuł i nosił w sobie, dowodzi to jego ciągłe wahanie się, szukanie i gonienie za czemś, nie dającem się ściśle określić. W 1861 roku założył przy gazecie *Przegląd Europejski*, miesięcznik naukowo-literacki. Następnie w 1862 roku zamyślał ogłosić wykłady: *O historyi cywilizacyi w Polsce*. Już nawet wszystkie miejsca na te odczyty były rozkupione; lecz gdy poszedł prosić o zatwierdzenie i dozwolenie wykładów, to Muchanów mu powiedział: „Pozwolenie dam panu, lecz mimo to radzę, abyś pan wykładów zaniechał.“ W maju 1862 roku Kraszewski pisał do brata swojego Kajetana: „Chcę rzucić gazetę i pozostać tylko przy *Przeglądzie*. Dom sprzedam i zacznę żyć bardziej na ustroniu. Do nowego roku jako tako wytrzymam z gazetą, lecz potem wątpię. Wszak i materyalna korzyść nie wielka, a moralnie stanowczo gra się nie opłaci.“ — *Książka jubileuszowa* str. C.

[2]) Od Kraszewskiego, który uważał księcia Napoleona za niezwykle zdolnego i przebiegłego człowieka. Wiadomo nadto o marzeniu księcia Napoleona, zostania królem polskim.

Gdy się to działo, delegaci spijali herbatki i rozprawiali z namiestnikiem o różnych sprawach; Kraszewski wrócił z Paryża; w Warszawie zaś i w kraju zachodziły różne dziwne i nieprawdopodobne rzeczy. Nikt z białych i półbiałych kierowników ruchu nie zdawał dokładnie sobie sprawy, co dalej robić. Czy poprzeć rząd szczerze i otwarcie, i odbyć wybory, czy też zwlekać o ile się da i podtrzymywać naprężenie umysłów, nie przeszkadzając manifestacyom i dalszemu rozwojowi organizacyi narodowej? To też chociaż hrabia Lambert delikatnie, ale stanowczo i z naciskiem prawie co dnia domagał się »jak najspieszniejszego zestawienia list wyborczych«, panowie delegaci wciąż odpowiadali, »że spisy się układają i wkrótce będą gotowe.« Tymczasem nikt się o to nie troszczył na seryo. Biali najbardziej obawiali się, aby ich kto nie posądził o zapomnienie o aspiracyach narodowych... Wszyscy jednak czuli i pojmowali, że taka dwuznaczna gra raz skończyć się musi, i że nareszcie trzeba zdecydować się i albo iść z rządem i przeprowadzić wybory, albo też połączyć się z czerwonymi, prowadzić dalej agitacyjne demonstracye i ostatecznie dążyć do powstania.

Majewski zaproponował, ażeby zwołać najbardziej wybitne i wpływowe osobistości stronnictwa białych na walny sejm, ażeby dokładnie zastanowić się i naradzić co do programu przyszłego postępowania. W zasadzie uznawano najzupełniejszą słuszność tej propozycyi, tak zgodnej z tradycyą i zwyczajami Polaków; mimo to wszakże sejmu nie zwołano, raz dla tej przyczyny, że biali wogóle są mało ruchliwi, a powtóre, potrzecie i czwarte, że każdy biały i niebiały rozumiał wtedy doskonale, że sejm wcale niepotrzebny, bo i bez sejmu wiadomo, do czego dążyć należy, dokąd wzywa każdego Polaka jego serce i sumienie... nie na czasie tylko i nie politycznie z tem się głośno odzywać, przyznawać się do tego nie tylko przyjaciołom, ale nawet przed samym sobą.

Mimo to pogłoska o jakimś zjeździe białych rozniosła się po Warszawie i po kraju. Niektórzy nawet widzieli jawne

ku temu przygotowania. Partya ruchu, śledząca nader podejrzliwie za każdym krokiem obozu przeciwnego, natychmiast zawiadomiła Mierosławskiego i Kurzynę o wszystkiem, co się dziać miało w kraju. Mierosławski postanowił sparować raz — razem, atak — atakiem, jak się zwykło dziać w bitwach i zwołał zjazd swego stronnictwa także na walny sejm do Homburga, na który spraszał najwybitniejszych swych stronników z Królestwa Polskiego i innych zaborów, a także i Majewskiego, którego, mimo że się ten połączył z białymi, uważał zawsze za swego ukrytego zwolennika.

U czerwonych podobne sprawy załatwiały się inaczej. Natychmiast znalazło się wielu ludzi, którzy odpowiedzieli wezwaniu wodza i pospieszyli do Homburga. Kto przybył dokładnie niewiadomo, pewnem jest tylko, że Mierosławski nie ruszył się z Paryża, lecz wysłał na zjazd mający się odbyć dnia 10. września 1861 roku, swego sekretarza Kurzynę, zaopatrzonego w rozległe pełnomocnictwa.

Majewski także nie pojechał, lecz posłał w swem zastępstwie dwóch obywateli ziemskich: Józefa Kołaczkowskiego i Stanisława Karskiego, w charakterze czerwonych z białego obozu. Do nich z własnej ochoty przyłączył się nieproszony Władysław Siemiński. Wszyscy trzej należeli do czynniejszych propagatorów »białej organizacyi narodowej« [1]).

Jak się odbywały narady w Homburgu, kto i z czem występował, dokładnie nie wiadomo. To tylko pewne, że wysłannicy Majewskiego starali się przekonać Kurzynę, że »organizacya narodowa się rozszerza i wzrasta, i że wkrótce ogarnie swą siecią całą Polskę w granicach 1772 r., i że wtedy będzie można stanowczo rozmówić się z rządem. Inicyatywę w tem wszakże należy pozostawić krajowi, nie zaś emigracyi.

— A na cóż wdawać się z rządem w jakiekolwiek rokowania — odparł Kurzyna — w tem leży cała różnica, że my nie chcemy żadnych porozumień z rządem, ono jest nie-

[1]) Zeznania Aweydy i Majewskiego.

możliwe. Ten jest wrogiem Polski, wrogiem jej najżywotniejszych interesów, kto oczekuje czegoś od rządu i innych dróg dla zbawienia ojczyzny nie zna i nie widzi. Z tego wypływa, że jakaś tam organizacya, którą zaprowadzacie i która ma ogarnąć Polskę w granicach 1772 roku, dąży wręcz w przeciwną stronę, niż jenerał Mierosławski, kierujący całym ruchem za granicą, a jak się zdaje i w kraju. Ja, jako jego pełnomocnik i zastępca, oświadczam stanowczo, że waszych poglądów nie podzielam i na nie nigdy się nie zgodzę. Porozumieć się z rządem, to tyle znaczy, co zaniechać wszelkiej myśli o powstaniu. My zaś nad tem pracujemy, aby jak najprędzej do niego kraj doprowadzić. A więc porozumienia między nami być nie może. Żegnam panów!« — Po takiej odprawie, pełnomocnicy Majewskiego opuścili Homburg, co zaś po ich wyjeździe się działo, niewiadomo.

Kurzyna za powrotem do Paryża, przestrzegł Mierosławskiego, który zaraz wydał stosowne polecenia swoim stronnikom w kraju, ażeby wszyscy, którym jest droga ojczyzna i którzy dążą do jej oswobodzenia, mieli się na baczności i nie wchodzili w żadne stosunki z organizacyą białych, lecz ażeby wytworzyli własną, prawdziwie narodową organizacyę, starając się ubezwładnić wszelkie roboty białych, bez względu, z jakich odcieni pochodzą i do jakich celów zdążają.

A także polecono nie zaprzestawać manifestacyi, owszem o ile się da, pomnażać je, drażnić rząd bezustannie, utrzymywać go w ciągłej trwodze i niepewności i zwiększać wciąż przepaść, dzielącą tenże rząd od prawdziwych patryotów. Werbować dalej dziesiątki i wszelkimi sposobami przeszkadzać zaprowadzeniu reform, które wręcz są sprzeczne z tradycyami Polaków.

Polecenie to, otrzymane w Warszawie, przesłano zaraz innym miastom w Królestwie i na Litwie. Warszawscy czerwieńcy, i bez Mierosławskiego wiedzieli, jak się mają zachowywać wobec rządu i stronnictwa białych wszelakich odcieni; i bez Mierosławskiego byli przeświadczeni, że jedyną dźwignią

ratunku są manifestacye. Wszelako fantazya aranżerów zaczynała się już wyczerpywać. Bardzo więc w porę uzyskali pomoc w osobie energicznego agitatora z Wołynia, Apolla Korzeniowskiego, człowieka bardzo uzdolnionego, pisarza i mowcy, już nie pierwszej młodości, lecz pełnego życia i zapału. Wiodąc od lat młodzieńczych życie nieregularne, pożyczając, gdzie się dało, lecz nigdy nie płacąc swych długów, Korzeniowski znalazł się wkońcu w położeniu bez wyjścia. Pozostawała jedyna droga, ucieczka przed długami, w świat, dokąd oczy poniosą. To też znalazł się w ognisku całej kuźni agitacyjnej w Warszawie, wraz ze swym przyjacielem, bogatym obywatelem ziemskim, Podgórskim. Obaj też zaraz, jako apostołowie demokratycznych przekonań, przebrali się w mazurski strój ludowy: białe sukmany, szare kurpiowskie czapki i wysokie buty. W takim stroju chodzili po Warszawie i tak się fotografowali u Bajera [1]).

Znalazłszy się w Warszawie, Korzeniowski zajrzał do Majewskiego, nie wierząc, na równi z Mierosławskim, w szczerość jego nawrócenia, lecz nieokreślone poglądy tegoż, wypowiedziane w dłuższej rozmowie, tak zmięszały gościa, że więcej już doń nie powrócił. Znalazł się też wkrótce w osieroconem kółku Nowakowskiego, jedynem ognisku wszelkich manifestacyi, w którem wierzono święcie, że tylko przez powstanie z Mierosławskim na czele, zdoła się kraj uratować. Lecz i tam nie wiedziano, co w danej chwili na razie robić należy. Jak już wspomnieliśmy, u ludzi tych fantazya zaczęła się wyczerpywać, zapał przygasał... Wołyniak Korzeniowski podziałał na nich, jak powiew podniecającego wiatru. Zaraz doradził swoim nowym przyjaciołom wznowienie nabożeństw za pomyślność ojczyzny, wymyślonych jeszcze w czerwcu przy Suchozanecie.

Pierwsi zaczęli »mechanicy i robotnicy z młyna parowego na Lesznie.« Ich plakat wzywający »pomodlić się za pomyśl-

---

[1]) *Giller* nazywa ich obu „waryatami i marzycielami.“

ność ojczyzny dnia 5. września w takim to a takim kościele«, ozdobiony był ryciną, przedstawiającą młynarza, rzucającego narzędzia swego zawodu a chwytającego za kosę. U góry był herb Polski i Litwy, otoczony cierniowym wieńcem z dwoma na krzyż złożonemi palmami.

Nazajutrz, dnia 6. września, w dzień żydowskiego Nowego roku 5622, z natchnienia tegoż kółka, żydzi odprawili uroczyste nabożeństwo »za pomyślność ojczyzny« we wszystkich swych bożnicach, w głównej zaś synagodze przy Daniłowiczowskiej ulicy odśpiewano po polsku żydowskie »Boże coś Polskę.«

Potem nastąpiła krótka przerwa, jak przynajmniej sądzić można według najkompletniejszego zbioru tych ogłoszeń.

Dnia 16. września pojawił się skromny, bez żadnych godeł plakat fabrykantów obić, wzywający warszawiaków na nabożeństwo za pomyślność ojczyzny do kościoła św. Krzyża.

Tegoż samego dnia w kościele księży Pijarów przy ulicy Świętojańskiej odprawiło się takież nabożeństwo »cechu fabrykantów fortepianów.«

Ponieważ we wszystkich tych nabożeństwach nic szczególnie podburzającego nie było, przeto przez jakiś czas namiestnik patrzał na to przez palce, wszakże na miejsce każdej takiej zapowiedzianej manifestacyi kazał wysyłać kompanię piechoty, którą stale prowadził jeden i ten sam oficer, Bazyli Wasileńko, przezwany przez kolegów Basile Basileńko, gdyż takie miał bilety wizytowe. Otóż oficer ten otrzymywał za każdą ekspedycyę 3 ruble sr. dyet. On się do tego stopnia przyzwyczaił do tej służby, że niech się tylko gdziekolwiek zrobi hałas, rozlegnie się brzęk szyb wybijanych, lub odgłos śpiewu »Boże coś Polskę«, już Basile ze swoją kompanią jest na miejscu. Wysłucha, przypatrzy się najspokojniej wszystkiemu do końca, a potem »na lewo w tył, marsz!« najpoważniej wraca do koszar, odprowadzany przez zgrają gwiżdżących uliczników.

— A co? — zapytywali koledzy — ciebie znów pewnie wygwizdali?

— Dla mnie — odpowiadał — gwizdaj nie gwizdaj, a oto poszliśmy po trzy rubelki [1]).

Wkońcu atoli u namiestnika przebrała się miara cierpliwości. Zmienił ton i stanowczo oświadczył, że rząd dalej żartować z siebie nie pozwoli.

W mieście zajęto się wyborami. Natychmiast zarysowały się dwa stronnictwa. Jedni byli za przeprowadzeniem wyborów do rad powiatowych i miejskich według projektu rządowego, uważając, że to ostatecznie jedyna i najlepsza droga do dalszej walki, najlepsze do niej przygotowanie i jeden z potężnych środków dalszego działania [2]). Drudzy zaś widzieli w tem »zgubę tego wszystkiego, co dotychczas otrzymano, reakcyę, powrót do rządów dyktatorskich.« Jednem słowem, powtórzyły się sceny ze zjazdu w Homburgu. Spisy wyborców ani kroku nie postąpiły naprzód. Hrabia Lambert zagroził »przyjaciołom«, że zaprowadzi w Królestwie Polskiem stan wojenny.

Nakoniec spostrzeżono, że potrzeba coś zrobić i przedstawić namiestnikowi, lecz co i jak zrobić? Walny sejm, od dawna projektowany przez Majewskiego, okazał się koniecznym. Potrzeba było naradzić się, jak przyjąć reformy; jak przeprowadzić wybory i jakie przedsięwziąść środki przeciw opozycyi, czyli właściwie przeciw czerwonym.

Przybyła do Warszawy dosyć znaczna liczba obywatelstwa i zaraz na pierwszem bardzo burzliwem zebraniu w pierwszej połowie września, prawie jednocześnie ze zjazdem w Homburgu, obrano delegacyę, złożoną z Edwarda Jurgensa, Leopolda Kronenberga, Aleksandra Kurtza, Adama Goltza, Tadeusza Ejdziałowicza i Karola Majewskiego [3]). Majewski wybrany ze względu na swe stosunki z rzemieślnikami i innemi niższemi warstwami społeczeństwa, okazał się swym towarzyszom do tego stopnia czerwonym, że Kronenberg zaraz

---

[1]) Opowiadanie jenerała Czernickiego.

[2]) *Aweyde* tom II, str. 196.

[3]) Zeznania Majewskiego tom IV, str. 28. Ustimowicz str. 28, dodaje jeszcze Stanisława hr. Zamoyskiego i Józefa Kołaczkowskiego.

po pierwszej sesyi oświadczył, że poda się do dymisyi, jeżeli nie usuną tego krzykacza. Zrozumiał i sam Majewski, że obecnością swoją utrudniał położenie innych członków, ukazawszy się więc na paru pierwszych posiedzeniach delegacyi, czy też dyrekcyi białej, następnie przestał na nie uczęszczać.

Sama kwestya pozostawała nierozstrzygniętą. Biali byli zdolni do komplanacyi z Zamkiem i do wykonywania otrzymanych stamtąd zleceń, dopóki rzecz cała zamykała się w ogólnikach i nie dotykała szczegółów spraw kraju, Wielopolskiego i jego układów z rządem. Lecz jak tylko potrzeba było dotknąć sprawy głębiej i powziąść jakieś wiążące postanowienia, ciż sami ludzie zaraz się przeistaczali w jakichś fantastycznych marzycieli, nie różniąc się niczem od »akademików« i tak samo jak ci, wnet przekraczali granicę możliwych układów, po za którą pozostawała już tylko walka w otwartem polu.

Gdy wypadało tej białej dyrekcyi spisać to, czego od nich żądała najwyższa władza w kraju, nikt nie miał odwagi wziąść za pióro, mimo że chwila była nader groźna i z każdą chwilą opóźnienia niebezpieczeństwo wzrastało. Wszyscy jakby myśleli: »lepiej niech grom padnie, a sami ręki na siebie nie podniesiemy.«

Tymczasem zaś i czerwoni wybrali swoją delegacyę, która miała zastanowić się i rozstrzygnąć zadania, przez stronnictwo postawione. Ze składu tej delegacyi znane są tylko nazwiska: Apolla Korzeniowskiego, Witołda Marczewskiego i Włodzimierza Rolskiego.

Ta delegacya wręcz oświadczyła: »że wyborów nie będzie, a w danym razie oni wyborców rozpędzą kijami.« Szachowski odgrażał się, że, jeżeli spostrzeże tylko cośkolwiek podejrzanego w kierunku przygotowań wyborczych, to sam wystąpi i nawarzy takiego piwa, że wszyscy biali nie potrafią go wypić [1]).

---

[1]) Zeznania Zdzisława Janczewskiego i kilku innych z partyi czerwonych.

Ignacy Kwiatkowski napisał wierszyki pod tytułem: »Czarne powidła«, którymi groził osmarować wszystkich biorących udział w wyborach.

Lękając się zawsze, że biali mimo to przeprowadzą wybory pod osłoną bagnetów, i wtedy ani osmarować powidłami, ani rozpędzić pałkami wyborców nie będzie można, postanowili uciec się do ostateczności i czemkolwiek wywołać nową strzelaninę i tem uniemożebnić zaczynające nawiązywać się porozumienie między Zamkiem a spokojniejszą częścią społeczeństwa. A gdyby nawet nie udało się doprowadzić do zupełnego zerwania, to każde opóźnienie, czasowe powstrzymanie takiego porozumienia już byłoby korzystne... mało to w przyszłości zdarzyć się może.

Dnia 18-go września niejaki Wedel, właściciel cukierni przy ulicy Miodowej, odmówił składki na »sprawę ojczyzny.« Czerwoni urządzili zbiegowisko, które się skończyło zniszczeniem cukierni. Toż samo stało się z magazynem rękawicznika Ostrowskiego na Nowym Świecie i z piekarnią Bartla przy ulicy Marszałkowskiej.

Przy tej ostatniej zbiegowisko było tak znaczne, że musiano wysłać oddział wojska z artyleryą pod dowództwem sebastopolskiego jenerała Szeidemana, który ciągle się uskarżał, że niema nic do czynienia. Opowiadano, że gdy jenerał bardzo się rzucał, jakiś młody człowiek przyniósł szklakę wody z pobliskiej cukierni i podał ją jeneralowi, mówiąc: »proszę się napić, to jenerała uspokoi.« Wojsko pozostało na miejscu, dopóki się lud nie rozprószył.

Namiestnik oświadczył w końcu białym, że jeśli miasto nie rozpocznie wyborów, rząd je rozpisze na własną rękę, ogłaszając jednocześnie zaprowadzenie stanu wojennego. Biali odpowiedzieli, że wybory nieodmiennie rozpoczną się nazajutrz, dnia 19. września.

Listy wyborców były już sporządzone przez osobną delegacyę, czem się głównie zajmował kupiec Józef Kwiatkowski. Należało już tylko wydrukować i rozesłać wyborcom karty

wyborcze ze wskazówką, kogo na jakie urzęda wybierać, dla uniknięcia rozbicia głosów. Karty te były drukowane na szarym papierze, wielkości kartek wizytowych. Na każdej oznaczony był okręg i nazwisko.

Wykonano to szybko, tej samej nocy, tak że dnia 19-go września rano istotnie rozpoczęły się wybory w X. środkowym okręgu Warszawy, w którym był położony dom Andrzeja hrabiego Zamoyskiego.

Wyborcy, a w ich gronie i sam hrabia Andrzej, zebrali się zaraz z rana w gmachu medyko-chirurgicznej akademii. Komisya wyborcza zarządziła wszystko dla zabezpieczenia, ażeby wybory odbyły się bez przeszkody. Aleksander Krajewski i Leon Królikowski, chociaż należący do stronnictwa czerwonych, lecz ulegając hrabiemu Zamoyskiemu, zmówili pewną liczbę co wpływowszych rzemieślników, by przybyli na miejsce wyborów. Znany już nam studniarz, Marcin Borelowski, przyrzekł rozstawić 1000 ludzi zaufanych w miejscach, gdzie się miały oddawać głosy [1]). Duchowieństwo wysłało z pomiędzy siebie odpowiednich księży, dla uspokojenia tłumów i zażegnania możliwych nieporządków. Wiadomo naprzykład, że ksiądz kanonik Stecki chodził przez cały czas wyborów, koło ratusza dla zapobieżenia nieporządkom, z którymi się czerwoni odgrażali. Nadto *Strażnica* umieściła artykuł ostrzegawczy, w którym powiedziano, »że cokolwiek się zamyśla w przyszłości, obecnie koniecznie należy przeprowadzić wybory [2])«.

Do dnia 23. września wszelkie przedwstępne czynności zostały ukończone i wybory się rozpoczęły. Przewodniczącym komisyi wyborczej wybrano Kazimierza Wojcickiego [3]).

Gdy następnie zaczęto wybierać innych, rozległ się hałas i krzyki pod oknami. Zamoyskiemu dano znać, że jakieś grono

[1]) *Giller* tom I, str. 113. — [2]) *Giller* tom II, str. 110—112.

[3]) Do jakiego stopnia wówczas nie lubiano Wielopolskiego, świadczy fakt z tym samym Wojcickim. K. Wł. Wojcicki został przez Wielopolskiego usunięty z posady dyrektora publicznej biblioteki. Natychmiast otrzymał miejsce bibliotekarza w Wilanowie z pensyą

młodych ludzi pragnie widzieć go koniecznie. On wyszedł na plac w towarzystwie bardzo popularnego księdza kanonika Wyszyńskiego. Na czele tłumu stali Korzeniowski i Szachowski, którzy przekonawszy się, że otwarta walka z wyborcami niemożliwa, że ci kijami nie dadzą się rozpędzić, a wszelkie pokuszenia wywołania rozruchów, nie doprowadziły do celu, postanowili: »aby nie zarzucano partyi czerwonych, że ustąpiła nie popróbowawszy wszelkich możliwych środków«, zanieść protest przeciw wyborom, wydrukowali go w tajnej drukarni jako »Mandat ludu do wyborców«[1]), i z tym drukiem stanęli przed głównym biórem wyborczem[2]).

— Czego panowie żądacie? — zapytał hr. Zamoyski.

— Prosimy hrabiego przyjąć ten mandat i odczytać go wyborcom — odezwał się ktoś z tłumu.

Hrabia odrzekł, »że żadnych mandatów od nikogo w tej chwili przyjąć nie może, gdyż wszystko, co należało, zrobiono i rzecz cała jest wszechstronnie rozpatrzona i postanowiona. Nikt nie jest w stanie odroczyć wyborów, ani też zmienić ich kierunku i charakteru. Odbędą się one dzisiaj i będą się odbywać tak długo, aż póki na wszystkie stanowiska nie zostaną powołani ludzie, zasługujący na najzupełniejsze zaufanie. Tego chcą wspólnie: rząd, kraj cały i miasto.«

Wtedy Korzeniowski spiesznie zaczął wykładać treść mandatu i zakończył, że w nim: »Naród upomina panów wyborców, ażeby ustalając dzisiaj rady municypalne i inne, wyłożyli dobitnie powołanym na urzęda dostojnikom, że oni mają służyć Polsce nierozdzielnej z Litwą i Rusią; że tylko w ten sposób Królestwo Polskie może brać udział w nowych instytucyach, i że wszelkie inne zapatrywanie sprzeciwia się świętej

---

5.000 złp. Hrabia Ludwik Krasiński powierzył mu zarząd swej biblioteki w Warszawie z pensyą 3.200 złp, zaś na wyborach Towarzystwa kredytowego ziemskiego 1598 głosami przeciw 2, został wybrany prezesem komitetu posiadaczy listów zastawnych.

[1]) *Giller* II, str. 113—116.

[2]) Następne wybory odbywały się w ratuszu.

sprawie ojczyzny!« Gdy to mówił, w tłumie odezwało się kilka głosów: »Doskonale, dzielnie mówi.« Lecz jak skoro odezwał się hrabia Andrzej, bardziej w mieście znany, aniżeli wszyscy mowcy czerwonych, powstały jeszcze głośniejsze okrzyki: »Niech żyje hrabia Andrzej, my tylko jego słuchać będziemy!« Lud cisnął się, całując jego ręce i ściskając kolana.

Szachowski i Korzeniowski widząc, że przegrali sprawę, że dalsza rozmowa do niczego ich nie doprowadzi, wręczyli mu mandat i ustąpili, dodając wszakże, »że lud przynajmniej spełnił swój obowiązek«[1]).

W parę dni potem rozrzucono ten mandat po Warszawie i rozesłano go także do innych miast. Biali odpowiedzieli nań inną odezwą, zatytułowaną: »Mandat wyborców do ludu«, w której starali się przekonać przeciwników, że kwestyę Litwy i Rusi potrzeba na razie pozostawić w spokoju; że gdyby przyszło uwzględniać zarzuty tej małej garstki zapaleńców, którzy starają się stworzyć stronnictwo przez siebie przesadnie nazywane narodowem, to Poznańskie nie powinno było uznawać pruskiej konstytucyi, ani Galicya przyjmować Szmerlingowskiej ustawy, które jednak dozwoliły w jednej dzielnicy Niegolewskiemu, w drugiej zaś Zyblikiewiczowi odezwać się w imieniu całego narodu polskiego do Europy i niejednemu nadużyciu tamę położyć[2]).

Czerwoni wszakże tego albo wcale nie czytali, albo zrozumieć nie chcieli. Oni dążyli jedynie do przeszkodzenia wyborom, do ostatecznego poróżnienia ludności warszawskiej z rządem i wywołania ponownych surowych kroków z jego strony. W tym celu już na dzień 20-go września ogłosili nowe nabożeństwa za pomyślność ojczyzny. Najprzód ukazała się odezwa druciarzy, zapraszających na nabożeństwo do kościoła Bernardynów. Plakat był ozdobiony różnymi emblematami; po jednej stronie tekstu stoi druciarz w swej guńce, z czapką w ręku, oparty na kiju; u nóg jego leżą palmowe i cierniowe gałązki;

[1]) *Giller* tom II, str. 113. — [2]) *Giller* tom II, str. 116 i 117.

za ścianą wąż wije się około rozmaitej powstańczej broni: kos, pik i szabel; po drugiej stronie jaśnieje herb Polski i Litwy, za którym na powiewających chorągwiach widnieje herb Rusi i Kijowa, archanioł św. Michał; u dołu znów kosy i strzelby, i gałązka dębowa. Jakże dziwnie, wśród tych przedwstępnych wojennych emblamatów, wyglądał ów biedny druciarz, zdejmujący czapkę, jakby proszący przebaczenia, że się tu niepotrzebnie mięszał, o niczem nie wiedząc!

Następnie odprawiały się prawie codziennie takie nabożeństwa, urządzane przez wszystkie stany miejskie bez wyjątku, wszystkie zakłady, cechy i stowarzyszenia. Wymyślano nawet cechy i towarzystwa wcale nieistniejące. Należy w istocie drukiem upamiętnić wszystkie te wymysły, jakich w żadnej innej rewolucyi nie spotykamy. Oto spis cechów i towarzystw, które odprawiały »nabożeństwa za pomyślność ojczyzny«, począwszy od 20. września po dzień 14. października 1861 roku, kiedy ogłoszono stan wojenny w Królestwie: druciarze; ogrodnicy miejscy i z okolic Warszawy; dorożkarze; szwaczki; muzykanci i artyści; spółka majstrów stolarskich; kamerdynerzy; włościanie z okolic Warszawy; matki polskie; jubilerowie, złotnicy i grawerzy; grzebieniarze; robotnice polerujące złote rzeczy; wychowanki wyższych pensyonatów żeńskich; rzeźbiarze na drzewie, kamieniu i metalach; furmani, piwowarzy i rozwożący trunki po mieście; stowarzyszenie terminatorów mydlarskich w Warszawie; inżynierowie i architekci; literaci, malarze i artyści dramatyczni; majstrowie łagiewnicy; przewoźnicy na Wiśle; parasolnicy; rzeźbiarze figur gipsowych; rybacy; urzędnicy wszelkich dykasteryi; dziewice polskie; ubogie wdowy; roznosiciele plakatów i afiszów; cech perukarski; robotnicy fabryki Fraget'a; krupiarki; jeden z trudniących się destylacyą spirytusu; aptekarze warszawscy; włościanie z Czerniakowa; uczenice szkół żeńskich; fabrykanci złotych ram; młodzież polska mojżeszowego wyznania; owocarki z za Żelaznej Bramy; robotnicy i rzemieślnicy fabryki gazu; młodzież ucząca się; cech szewski; bractwo »Boskiej Opieki.« Nie

od rzeczy będzie dodać, że duchowieństwo wcale za darmo nabożeństw tych nie odprawiało, owszem odbywały się o to formalne targi. Gdy polecono fabrykantom fortepianów sprawić nabożeństwo, starszy stowarzyszenia Stahl, zebrał około 150 rubli sr., przyczem niektórzy podmajstrzy dawali po trzy ruble. Misyonarze z kościoła św. Krzyża zażądali za zwykłą mszę 100 rubli sr. Stahl uważał, że to za drogo i umówił nabożeństwo u Pijarów za 60 rubli sr.

Miasto tak się jeszcze lubowało w manifestacyach, że one potrafiły połączyć znowu wszelkie stronnictwa i czerwoni znachodzili gorliwych pomocników wśród kółek, z któremi na polu wyborów taki zażarty bój wiedli.

W czasie dalej trwających wyborów agitatorzy już tylko zdala przypatrywali się całej akcyi, od czasu do czasu dając swe głosy na Garibaldiego, Wysockiego, Mierosławskiego, Klapkę [1]), co zwykło wywoływać śmiech powszechny zebranej w lokalach wyborczych publiczności. Urwiszów wszakże nikt nie karcił.

Znane są szczegóły wyborów z dnia 2. października. — Proponowani i wybrani w pierwszym cyrkule: Józef Kwiatkowski, kupiec; Henryk Krajewski; ksiądz Wincenty Orzeszkowski i Ignacy Paradowski, szewc. Wszystkim wyborcom rozesłano kartki z drukowanemi nazwiskami tych kandydatów, kto zaś nie dostał kartki, otrzymywał ją przy wejściu na salę wyborczą od osób należących do dawnej delegacyi, lub do komitetu konstablów. W dwóch salach magistratu stały stoły z papierem, gdzie wyborcy wpisywali imiona kandydatów. Przy jednym stole był urzędnik magistratu Wiman, przy drugim jakiś trzydziestoletni mężczyzna w surducie z żałobą u kołnierza. Obaj upominali wyborców, aby wpisywali tylko nazwiska kandydatów, podane w rozesłanych kartkach. Szczególnie silny nacisk wywierał ów pan w żałobie. Gdy kto odparł, że chce wpisać inną osobę, (wielu mianowicie głosowało na kupca win Fukiera), nieznajomy oświadczał stanowczo: »Naród tylko

[1]) *Aweyda* tom II, str. 193.

tych pragnie i ci muszą być wybrani, gdyż już się zasłużyli ojczyźnie.« Następnie głośno wyliczał te zasługi: »Kwiatkowski z poświęceniem pracy i mienia kierował w lutym i marcu policyą narodową. Krajewski był zesłany na Sybir i to już dostatecznie świadczy o jego patryotyzmie. Ksiądz Orzeszkowski przez swe patryotyczne kazania budził ducha narodowego. Paradowskiego należy wybrać, bo to cech najliczniejszy, a sprawa narodowa potrzebuje rzemieślników. Nadto wiedziano, że dnia 25. lutego, Paradowski niósł chorągiew polską.

Ze strony warszawskiego zarządu gubernialnego było dziesięciu urzędników stale obecnych na miejscu wyborów; z pomiędzy nich rachmistrz, Emanuel Janowski, biorący także czynny udział w agitacyi za kandydatami, wyznaczonymi przez komitet wyborczy.

Rząd dalej przeprowadzał postanowione reformy. Dnia 1. października o godzinie 12. w południe, namiestnik zagaił posiedzenia rady stanu przemową w języku francuskim, którą Enoch zaraz przetłumaczył na polski. Członkowie niezaprzysiężeni złożyli przysięgę. W mowie tej namiestnik powiada, że w tym roku nie wiele spraw przyjdzie pod obrady, gdyż przedewszystkiem należy kraj uspokoić [1]).

Wtem wszystkiem czerwoni widzieli zbliżającą się grozę reakcyi, niebezpieczeństwo zbliżenia się i porozumienia społeczeństwa z rządem. A gdy drobne manifestacye nie mogły wyprowadzić rządu z cierpliwości, postanowili przejść do tłumnych demonstracyi, wystąpić do jawnej walki z rządem, bez względu na następstwa. Zbliżająca się rocznica zjazdu horodelskiego [2]), nastręczała sposobność do wystąpienia z czemś wspaniałem. Jakoż na pewien czas przedtem zaczęła kursować po kraju następująca odezwa, napisana, jak się można domyślać, przez Apolla Korzeniowskiego:

---

[1]) W numerze 152 *Gazety urzędowej* z roku 1861 Królestwa Polskiego, są wymienieni wszyscy członkowie rady stanu.

[2]) Uroczystość ustanowiona jeszcze przez Zygmunta Augusta dla upamiętnienia Unii Litwy z Koroną.

»Bracia Polacy, Litwini i Rusini! Ważną niegdyś uroczystość stanowił obchód rocznicy unii Litwy z Polską, ustanowiony przez króla Zygmunta Augusta II. Akt Unii sam przez się, był tylko formalnością i niejako stwierdzeniem rzeczywistego i dobrowolnego połączenia się dwóch narodów pod berłem króla Władysława Jagiełły. Dziwnem i niezwykłem w historyi zdarzeniem, wzajemne sympatye i idea wolności, zastąpiły tu miejsce gwałtu i zwycięstw. Na fakt tak znakomity niepodobna nie zwrócić uwagi, niepodobna nie przydać mu właściwego w obecnej chwili znaczenia i nie uczcić go jako święto narodowe. Byłoby to zrzeczeniem się od razu wobec Europy, wobec ludów i własnego sumienia swej własnej przeszłości i przyszłości. Otóż w dniu dzisiejszym odzywamy się do wsystkich trzech zjednoczonych narodów, aby one na wezwanie nasze odpowiedziały z równem sercem, jakiem to ich ojcowie uczynili na Zjeździe Horodelskim i mamy nadzieję, że głos nasz usłyszanym będzie przez każdego, w czyjem sercu nie wygasła miłość ojczyzny i wolności.«

»Uroczystość ta ma się odbyć w Horodle nad Bugiem, w województwie lubelskiem, w ziemi chełmskiej, dnia 10. października bieżącego 1861 roku, który to dzień odpowiada 2-mu październikowi podług starego kalendarza, będącemu wedle dziejów historycznych rocznicą Unii Horodelskiej.«

»Chcąc, aby zjazd miał to właściwe znaczenie, na jakie zasługuje, wzywamy przedewszystkiem czcigodne duchowieństwo katolicko-słowiańskiego i łacińskiego obrządku, ażeby ze względu na interes Kościoła, ściśle związany z interesami Polski w ogólności, raczyło przyjąć jak najszerszy i najuroczystszy w nim udział, delegując od siebie na tę uroczystość biskupów i deputatów od kapituł, zakonów i wszelkich duchownych korporacyi ze wszystkich dyecezyi dawnej Polski.«

»Odzywamy się też do towarzystw uczonych i literatów, do uniwersytetów, redakcyj pism polskich i ruskich, do wszystkich spółek i przedsiębiorstw przemysłowych, do miast i korporacyi, posiadających jakąbądź organizacyę, do Polaków

mojżeszowego wyznania, ażeby raczyli wziąść udział w Horodelskim zjeździe, przez wysłane w tym celu deputacye. Tylko podobnie złożony zjazd, będzie mógł nadać uroczystości narodowe i społeczne znaczenie. W celu ożywienia w sercach dziejowych naszych tradycyi i dla nadania uroczystości politycznego i historycznego charakteru, prosimy mieszkańców wszystkich księstw, województw i ziem dawnej Polski, by przybyli do Horodła jako przedstawiciele swoich prowincyi. Deputowani różnych korporacyi, ziem i w ogólności reprezentanci jakiegobądź stanu lub kółka, mają zawiadomić o swojem przybyciu do Horodła dnia 10. października o godzinie 9. z rana, aby każdy mógł zająć odpowiednie miejsce podług programu.«

»Księstwa, województwa: poznańskie, kaliskie, sieradzkie, ziemia dobrzyńska, województwa chełmińskie, malborskie, pomorskie, pruskie, krakowskie, ziemia oświęcimska i zatorska, województwa sandomierskie, kujawskie, ruskie, księstwo siewierskie, ziemia żydaczowska, przemyska, halicka, chełmska, województwa wołyńskie, lubelskie, bełzkie, podlaskie, bracławskie, czernichowskie, wileńskie, trockie, księstwo smoleńskie, nowogrodzkie, połockie, witebskie, województwa brzesko-litewskie, mścisławskie, mińskie, inflanckie i księstwo kurlandzkie.«

»W tym dniu zdejmie się żałoba.«

Wobec panującego usposobienia, nie wielu znalazło się takich, którzyby mogąc, nie pospieszyli na tę ponętną odezwę do Horodła. Obchód ten, oprócz swej nowości i wspaniałych rozmiarów, na jakie był zakreślony, obejmując nadto ogromne przestrzenie wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej, krzyżował wręcz plany i zamiary białych, dążących widocznie do jakiegoś porozumienia z rządem i Wielopolskim na podstawie pewnych reform, ograniczonych li do samej Kongresówki. — Zjazd horodelski, jaskrawiej niż wszelkie protesty, wygłaszane przez nieznanych krzykaczy przed Kopernikiem w Warszawie, dobitniej niż cobądź innego miał przypomnieć i uzmysłowić Polakom, że sprawa ich nie zamknięta wyłącznie w granicach

Królestwa kongresowego, lecz rozciąga się na daleko szersze obszary. Rzeczywiście też manifestacya ta zawróciła niejednemu głowę; rzucił się w ten odmęt i Jurgens, członek białej dyrekcyi, pierający tak gorliwie dotychczas sprawę wyborów. Drugi tegoż kalibru członek białej dyrekcyi, Majewski, pozostał w Warszawie jedynie dlatego, że unikał spotkania i mogących przytem wyniknąć jakichkolwiek zajść ze swymi dawnymi ultra czerwonymi przyjaciółmi.

Naturalnie, że namiestnik zaraz się dowiedział o całym projekcie, a po naradzie z Gerstenzweigiem, Kryżanowskim, Kozaczkowskim i jeszcze niektóremi osobami ze swego najbliższego otoczenia, postanowił uprzedzić manifestantów.

Naczelnik głównego sztabu z rozkazu namiestnika przesłał jenerał-porucznikowi Chruszczewowi, naczelnikowi lubelskiego wojennego okręgu, następujące rozkazy, pod dniem $^{14}/_{26}$ września 1861 roku, do liczby 1441 [1]).

»Dowiadujemy się, że w Horodle wznoszą tryumfalne łuki... Jeżeli tak jest istotnie, to jego ekscel. pan namiestnik żąda, aby wszelkie podobne budowy natychmiast rozebrano.

Główno dowodzący wojskami (tenże sam namiestnik hrabia Lambert), poleca waszej ekscelencyi udać się osobiście do Horodła na czas zapowiedzianego obchodu, albo wcześniej, jeżeli uznasz pan to niezbędnem. Byłoby najbardziej pożądanem skłonić drogą perswazyi tłumy do rozejścia się; gdyby to wszakże okazało się nieskutecznem, upoważnia się pana do użycia siły zbrojnej.«

Po otrzymaniu tych rozkazów, jenerał Chruszczew zgromadził w Horodle i w okolicznych miejscowościach następujące siły: w Horodle sześć kompanii piechoty, cztery działa i dwa szwadrony dragonów; w Hrubieszowie dwie kompanie piechoty, cztery działa i szwadron dragonów; we wsi Łuszkowie szwadron dragonów dla strzeżenia przeprawy na Bugu; w Dubience 30 kozaków dla pilnowania przeprawy na Bugu.

[1]) Przytoczone w skróceniu.

Nadto jako rezerwę ściągnięto dwa szwadrony ułanów z Krasnegostawu i sotnię kozaków z Chełma [1]).

Przygotowywano się jak do wojny, działa, rezerwy, forsowne marsze, podczas gdy wystarczyłoby paru roztropnych policyantów. Tymczasem wojsko rozsyłało na wszystkie strony konne patrole dla wywiedzenia się, czy nie przedsiębiorą czego mieszkańcy.

Miejscowa organizacya ze swej strony wysyłała na zwiady młodych ludzi konno, dla obserwowania ruchów wojska. Gromadka takich chwatów, 10 czy 12 jeźdźców, na dzielnych koniach, zwróciła na siebie uwagę pikiety dragońskiej pod wsią Hrebennem o 6 wiorst od Horodła w nocy z dnia 21. na 22. września. Gdy się jeźdźcy w niewiadomym zamiarze zanadto zbliżali, dragon z rozmysłu, czy też wypadkiem strzelił do nich z pistoletu. Jeźdźcy zniknęli, lecz strzał wśród bagien pod Hrebennem, głośno się odezwał na zamku warszawskim [2]). Namiestnik zląkł się swych pierwotnych rozporządzeń, co do użycia wojska, dla niedopuszczenia zjazdu do Horodła. Obawiał się, aby zbyteczna gorliwość władz miejscowych nie zwichnęła ruchu maszyny, nad którym tak wytrwale i mozolnie już trzech namiestników pracowało, i nie przerwała wyborów, które pomyślnie dobiegały do końca. Te obawy zwiększali jeszcze zwyczajni goście zamkowi, z dawnej delegacyi, szczególnie zaś czarni Dioskurowie, księża Wyszyński i Stecki, którzy jednej chwili nie drzemali, i których polskie serca biły również, jak u wszystkich, na myśl samą tej wspaniałej manifestacyi, uwieczniającej pamięć dawnych związków, i w której spodziewali się na pewne, że będą uczestniczyć najbliżsi ich przyjaciele i towarzysze duchownej broni.

Namiestnik więc polecił swemu szefowi sztabu wysłać do Chruszczewa drugie rozporządzenie, które odeszło dnia 24.

---

[1]) Raport jenerała Chruszczewa do szefa głównego sztabu z dnia 26. września 1861 roku do liczby 1380.

[2]) Dowiedziano się z raportu jenerała Chruszczewa z dnia 23. września 1861 roku.

września za liczbą 1506. W niem między innem powiedziano: »Po otrzymaniu sprawozdania waszej ekscelencyi z dnia 23. września b. r. jego ekscelencya pan namiestnik raczył polecić, abyś ekscelencya zwrócił szczególną baczność na zebrane pod Horodłem wojska, które jako świeżo z Rosyi przybyłe, nie pojmują dostatecznie naszego stosunku do miejscowej ludności i mogą uciec się do użycia broni, czego właśnie jak najbardziej unikać należy. Jeżeli zaś, nie zważając na wszystkie wskazane zapobiegawcze środki, procesya przyjdzie do skutku, to staraj się ją ekscelencyo rozpędzić, działając kawaleryą na boki i tyły pochodu, unikając wszakże starcia z księżmi i kobietami. Stawiających opór należy aresztować i odsyłać do Zamościa, poczem namiestnik postanowi o dalszym ich losie.«

Drugie to rozporządzenie potężnie sparaliżowało, jeżeli nie zupełnie zniweczyło pierwotne zarządzenia. Pierwsze dozwalało na użycie broni bez żadnych ograniczeń, a zatem i broni palnej; drugie ograniczyło działanie na samą jazdę, przyczem, aresztując opornych, miano unikać starcia z księżmi i kobietami, wówczas, gdy dwa te żywioły w procesyach główną zwykle tworzą siłę.

Po odebraniu tego rozporządzenia Chruszczew nie wiedział co robić. Można było zaiste zapobiedz temu inaczej: nie dopuścić do zebrania się tłumnego i zawczasu wyłowić herszтów i prowodyrów. Młodzież tak była odurzona przygotowaniami, że ani myślała ukrywać swych działań i sama się prawie w ręce oddawała. Widział ich każdy, kto tylko chciał coś widzieć i jeszcze w Warszawie można ich było wszystkich poaresztować. Tego wszakże nie uczyniono. Zjechawszy się do Horodła, urządzający manifestacyę rozmieścili się po okolicznych wsiach i miasteczkach: w Hrubieszowie, Stepankowicach, Dubience, Łuszkowie, Hołubkowie i kilka razy zbierali się na narady. Ostatecznie wszystko umówiono na ogólnem zebraniu w Stepankowicach, wsi o 20 wiorst od Horodła położonej. Chociaż wszędzie rozłożone wojska stanowiły nie małą przeszkodę, jednak wiedząc, że wojska nie przeszkodziły po-

dobnej uroczystości w Kownie i Aleksocie, postanowiono wyprawić do Horodła dwie procesye: jedną ze Stepankowic drugą z Uściługa, położonego za Bugiem w włodzimirskim powiecie wołyńskiej gubernii. Jeśli się uda, obie procesye powinny się zejść w Horodle, odprawić tam nabożeństwo i spisać akt pamiątkowy, który wszyscy przytomni mają podpisywać.

Stosownie do tego planu dnia 26. września st. st., to jest 10. października 1861 roku o godzinie 5. rano procesya, po odprawieniu w miejscowym kościele nabożeństwa, podczas którego ksiądz Fidelis, kapucyn z Lublina miał kazanie i udzielił ogólnego rozgrzeszenia, wyruszyła ze Stepankowic z chorągwiami, krzyżami i narodowemi godłami, wielką drogą ku Horodłu. W pół drogi przyłączyły się takież procesye, idące od Hrubieszowa i innych traktów. To spowodowało krótki przystanek, wśród którego ksiądz Bojarski, proboszcz unicki z Krasnego Stawu, miał mowę pełną ognia i zapału; poczem połączone procesye w liczbie do 10.000 ludzi ruszyły dalej [1]).

O pięć wiorst przed Horodłem stała pierwsza pikieta dragonów, którzy, spostrzegłszy procesyę, galopem odjechali do stojącego opodal oddziału wojska. Toż samo powtórzyło się i z następnie spotykanemi pikietami. Gdy procesya mniej więcej o wiorstę zbliżyła się do linii wojska przecinającego drogę, podjechał ku niej jenerał Chruszczew w otoczeniu swego sztabu i głośno oświadczył: »że odebrał rozkaz od namiestnika niedopuszczenia procesyi do Horodła, i że w razie dalszego pochodu użyje siły zbrojnej dla przeszkodzenia temu.«

W tłumie wszczął się zgiełk, lecz duchowni uspokoiwszy hałasujących, wysłali z pomiędzy siebie deputacyę dla rozmówienia się z jenerałem. Deputacya przedstawiła, że »ludzie składający procesyę, przybyli tylko w zamiarze nabożeństwa, a modlić się przecież nikt zabronić nie może« [2]).

---

[1]) Średnia cyfra, wskazana przez osoby prywatne, a podana przez jenerała Chruszczewa w raporcie do namiestnika..

[2]) Zebrane tłumy były zupełnie bezbronne, do tego stopnia, że mężczyźni musieli nawet kije i laski składać na fury, tak ściśle

Jenerał Chruszczew odpowiedział, że »rząd nie wzbrania jedynie procesyi religijnych, przez Kościół ustanowionych, i nie mających charakteru demonstracyi politycznej. Obecna przekracza te granice i dlatego stanowczo nie dopuści jej do miasta.«

Wtedy ksiądz Bojarski, należący także do deputacyi, zazapytał jenerała »czy może deputacyi zaręczyć honorem, że otrzymał rozkaz nie przepuszczenia procesyi do miasta?« — Chruszczew dał żądane zaręczenie. Wtedy księża poprosili o zezwolenie na odprawienie Mszy świętej w polu. Jenerał na to się zgodził a nawet zezwolił, że jeden z księży, w asystencyi kozaków, pojechał do miasta po aparata potrzebne dla odprawienia nabożeństwa. Przywieziony ołtarz ustawiono na pagórku, o wiorstę od wojska, na rozdrożu między traktami do Stepankowic i do Dubienki. Lud obległ ołtarz do koła i otoczył go chorągwiami i znamionami województw, ziem i powiatów, których było 54. Dalej taborem rozłożyły się fury, bryki i powozy, których się zebrało do tysiąca. Nabożeństwo odprawił ksiądz Anicety, kapucyn z Lublina, a ksiądz Ławrysiewicz, unita z Chełma, wypowiedział kazanie, w którym wyjaśnił słuchaczom polityczne znaczenie zjazdu, całą ważność chwili obecnej i czego takowa wymaga od Polaków [1]). Po nim w tym samym duchu wypowiedzieli mowy: Gregorowicz, obywatel z lubelskiego i Edward Stawecki, obywatel z pod Częstochowy. Wkońcu, na miejscu, gdzie się odprawiało nabożeństwo, postawiono ogromny krzyż dębowy, z drzewa wyrąbanego w pobliskim lesie i poświęcono go wraz z chorągwiami. Potem podpisano akt, czyli protestacyę, ułożoną jeszcze w Stepankowicach przez Gregorowicza, Brzozowskiego (literata), Szachowskiego (ucznia szkoły sztuk pięknych) i Sikorskiego (ucznia gimnazyum realnego z Warszawy).

---

tego przestrzegano. — (Od naocznego świadka, biorącego udział w procesyi). *Dopisek tłumacza.*

[1]) Według zeznań Majewskiego, ksiądz Ławrysiewicz (Stanisław) był głównym organizatorem manifestacyi horodelskiej. — (Tom III, strona 27).

Treść tego aktu była następująca:

»My, niżej podpisani, deputowani z ziem i powiatów Polski, w granicach przedrozbiorowych, zebrawszy się w Horodle dnia 10. października 1861 roku w 448-mą rocznicę Unii Litwy z Koroną, tym aktem objawiamy i własnoręcznymi podpisami stwierdzamy, że Unia, która wszystkie ziemie polskie zjednoczyła, dziś się odnawia na zasadzie uznania praw wszystkim ludom, stanom i wyznaniom służących, i że ona czyni jeszcze ściślejszym związek, mający na celu wyzwolenie ojczyzny i ustalenie zupełnej jej niepodległości. Prawa nasze polecamy sumieniu narodów i oddajemy pod sąd rządów konstytucyjnych« [1]).

Należy także dodać, że w kilku miejscach zaszły ostre spory między stronnikami Kaczkowskiego a zwolennikami Jurgensa, spory, które omal nie doprowadziły do krwawej rozprawy. Podejrzywano Korzeniowskiego o stosunki z rządem. Zachowanie się jego w niektórych wypadkach w istocie było dziwne. Powszechna zgoda nastąpiła dopiero dnia 12. października w Lublinie, przy obiedzie w miejskim klubie, gdzie zebrani, jak twierdzą, do tysiąca osób, przy zwyczajowym toaście »kochajmy się!« zaczęli się z płaczem ściskać i całować. Mowy i toasty, w czasie uczty wygłaszane, wszystkie wzywały do jednego: »by się jak najspieszniej organizować rewolucyjnie i jednoczyć się z ludem.«

Przy rozstaniu wiązano się »słowem honoru« zebrania się podobnież w następnym 1862 roku.

Dnia 13. października odprawioną została Msza święta w kościele Dominikanów w Lublinie, po której zbierano jeszcze od obecnych podpisy na protest horodelski. Akt ten, spisany w trzech egzemplarzach i zaopatrzony w 8.000 podpisów, wysłano do Paryża, Londynu i Genui.

---

[1]) Wiadomość wyjęta z raportu jenerała Chruszczewa do namiestnika z daty 30. września 1861 roku st. st.; z opowiadań prywatnych osób; z notat robionych na miejscu przez naocznego świadka i z różnych drukowanych źródeł.

Druga procesya, zebrana w Uściługu i okolicach zabużnych, została zatrzymaną przy przeprawie na Bugu, wróciła napowrót do Uściługa, tam w kaplicy na cmentarzu wysłuchała nabożeństwa i spisała osobną protestacyę następującej treści:

»Protestacya! Spisana na granicy Horodła nad Bugiem w województwie lubelskiem, w ziemi chełmskiej, dnia 10. października 1861 roku.

»Ziemie składające Polskę, Ruś i Litwę w czasie zjazdu horodelskiego w 1418 roku, który nierozerwalnymi węzłami w jedną całość je zespolił, a mianowicie: województwa poznańskie, kaliskie, sieradzkie, ziemia dobrzyńska... (i t. d., jak w odezwie), będąc dziś wezwane przez swych delegatów, zebrały się w osobach reprezentantów wszystkich duchownych korporacyi, różnych uczonych towarzystw, uniwersytetów i innych wyższych naukowych zakładów, redakcyi polskich i ruskich dzienników, wszelkich istniejących cechów i zorganizowanych stowarzyszeń, wraz z kilku tysiącami ludu wszystkich wyznań i w uroczystej procesyi pod znakiem Chrystusa Zbawiciela i innemi odpowiedniemi religijnemi godłami, wyruszyli w kierunku do Horodła, by w 448-mą rocznicę połączenia się swego, złożyć Bogu wszechmogącemu dziękczynne modły, że nas wszystkich w niezmiennej miłości i braterstwie zachować raczył, pomimo zgubnych wpływów, nieprzyjaznych nam trzech państw rozbiorowych, i aby u stóp Jego ołtarzy, błagać o powszechne odrodzenie się nasze. Spotkani atoli i zatrzymani przez wojsko, na drugi brzeg rzeki przeprawić i do Horodła dostać się nie możemy. Odnawiamy więc u granicy Horodła, akt tego wiekopomnego połączenia się narodów w całej jego doniosłości i mocy. Protestujemy przeciwko przemocy, przeciwko zgwałceniu praw naszych, przeciwko okrutnym środkom, przez rząd użytym, nakoniec przeciw samowolnemu podziałowi Polski, i żądamy przywrócenia jej niepodległości. Ponieważ akt niniejszy, z powodu obecnego stanu rzeczy, nie może być przedstawionym, gdzie należy, jako sporządzony w kraju despotycznie rządzonym i nie posiadającym

narodowej reprezentacyi, zostanie więc ogłoszonym we wszystkich zagranicznych dziennikach, aby doszedł do wiadomości chciwych i nienasyconych rządów, z łaski których rozlegają się dzisiaj jęki zgnębionego narodu!« [1]).

Gdy pod Horodłem rozgrywały się wyżej opisane wypadki, w Warszawie nie przestawano się modlić za pomyślność ojczyzny. Modlitwy te wkońcu doprowadziły do szeregu manifestacyi, zakończonych zupełnym zerwaniem z rządem, a więc tryumfem partyi czerwonych. Wszystko się na to składało niby niespodziewanie, tak jak wiele ważnych wydarzeń bywa następstwem zbiegu drobnych i na pozór nic nie znaczących okoliczności.

Dnia 5. października zakończył życie arcybiskup warszawski ksiądz Fijałkowski. Był to człowiek małych zdolności i nadzwyczaj słabego charakteru. Do 1861 roku mało się kto nim zajmował i o nim wiedział. Wypadki 1861 roku, dla których, pod wpływem kilku zręcznych kanoników, mianowicie zaś księży Dziaszkowskiego i Siekluckiego, okazał współczucie, zmieniły o nim sąd publiczności. On pierwszy podpisał pamiętny adres do cesarza. Następnie wiele rzeczy działo się w jego imieniu, o których on ani wiedział; rozsyłano cyrkularze; przywdziewano i zrzucano żałobę; polecano a przynajmniej tolerowano śpiewanie hymnów patryotycznych po kościołach; nareszcie przypisywano mu różne patryotyczne przedstawienia i słowa, których albo nigdy nie wypowiedział, albo też ich użył w zupełnie innem znaczeniu. Wprawdzie zdarzały się chwile, w których i jemu się zdawało, że jest przeznaczony do odegrania jakiejś nadzwyczajnej, opatrznościowej roli, wtedy się unosił fantazyą i popełniał błędy nie do darowania. Śmierć takiej osobistości, była ciężką klęską dla stronnictwa czerwo-

---

[1]) *Wiadomości z kraju* str. 20—26. Po rosyjsku *Bibliotieka dla cztienia* rok 1864, luty, str. 29—33.

nych. Nim obmyślano, w jaki sposób uczynić stratę tę najmniej dotkliwą dla sprzysiężenia, pozostali w Warszawie agitatorzy, postanowili z samego faktu śmierci arcybiskupa osiągnąć dla stronnictwa pewną korzyść; pogrzeb zamienić na wielką i świetną manifestacyę i poprzeć tem niejako obchód horodelski, aby choć na czas pewien powstrzymać wybory, zwracając uwagę rządu i białych na co innego.

Naprzód rozrzucono w tysiącznych egzemplarzach życiorys zmarłego arcybiskupa, napisany w najbardziej patryotycznym duchu [1]). Następnie ogłoszono kartami pogrzebowemi o śmierci i o porządku odprawianych nabożeństw żałobnych, które trwały od poniedziałku do czwartku. Nakoniec rozesłano do wszystkich miast i miasteczek Królestwa zaproszenia o jak najliczniejsze przybycie na pogrzeb do Warszawy »godnego wiecznej pamięci i wiecznego żalu arcybiskupa, który w obecnej chwili rozruchów i walki z rządem przedstawiał krajowi osobę prymasa, a prymas w podobnych chwilach (to jest w czasie bezkrólewia), jest zastępcą króla. To też i pogrzeb jego, świetnością i znaczeniem, równać się powinien pogrzebowi królewskiemu« [2]).

Dzień pogrzebu arcybiskupa naznaczono na 10. października, jednocześnie z obchodem horodelskim.

Na oznaczony dzień lud zewsząd tłumnie przybywał. W wilię pogrzebu, koleją warszawsko-wiedeńską przybyło około 700 osób różnych stanów z Częstochowy, Kutna, Skierniewic i okolic. Następnie przybyli przedstawiciele wszelkich klas: z Puław, Czerska, Hrubieszowa, Łodzi, Kempina, Miedzyszyna, Bąbkowa, Jeziorkowa, Piasecznej i Wilanowa. Każdą taką partyę prowadził miejscowy proboszcz. Wilanowska weszła do miasta procesyonalnie z chorągwiami, śpiewając pieśni patryotyczne. Napływ przybywających był tak wielki, że wielu nie mogło znaleźć mieszkania.

---

[1]) Przekład rosyjski w *Bibliotece dla cztenia*. Luty, 1864 rok strona 24. i następne. — [2]) *Aweyde* tom II, str. 145.

Jenerał-gubernator, przewidując manifestacyę, chciał sam ułożyć program pogrzebu i zarządzić co potrzeba, ażeby od takowego w niczem nie odstąpiono. Lecz duchowieństwo przez znanych swych agentów w zamku, uprosiło u namiestnika, że pozostawił im ułożenie ceremoniału pogrzebowego, zastrzegając tylko, że takowy zostanie przedstawiony jenerał-gubernatorowi do przejrzenia i zatwierdzenia.

Jak zwykle w takich wypadkach, natychmiast utworzył się komitet pogrzebowy, złożony z osób duchownych i świeckich, w którym naczelne miejsce zajął kupiec, Józef Kwiatkowski. Przystąpiono do rozwiązywania najtrudniejszego zadania, to jest do ułożenia takiego ceremoniału, któryby czyniąc o ile możności zadość własnym wymaganiom, mógł otrzymać aprobatę władzy. Łatwo zrozumieć, jak wyobraźnia obradujących przy każdym punkcie programu sięgała dalej, niżeli dozwalały okoliczności i wybiegała po za zakreślone granice. — Wkońcu jednak odrzucono wszystkie niespokojne zachcianki i ułożono program wcale przyzwoity. Gerstenzweig odczytał go i podpisał. Autorowie zaś liczyli na to, że traf, lub wypadek, a może czyjeś z po za ich grona zarządzenie, sprowadzą rozmaite pożądane dodatki.

Jakoż w istocie, w kilka godzin po obradach pierwszego, zebrał się drugi komitet dla narad nad tem mianowicie, coby to dodać do urzędowego ceremoniału i jak to zarządzić, aby nikt temu przeszkodzić nie zdołał. Bardzo być może, że niejeden z zasiadających w pierwszym komitecie, przedkładał swe pomysły i w drugim, niczem już nie krępowany. Jakie zaś one były, zaraz to zobaczymy.

Przy wystawionych zwłokach w pałacu arcybiskupim przez cztery dni z rzędu odprawiały się Msze święte przy ogromnym napływie ludu. W dzień pogrzebu już od rana, narodowi konstable, ustanowieni bez zezwolenia rządu, pod komendą Józefa Kwiatkowskiego, Tomasza Lebrun'a i kilku innych mniej znanych obywateli, zaczęli się uwijać po ulicach, zalecając kupcom zamykanie sklepów, przedsiębiorcom zaś

i rzemieślnikom, by czeladź i robotników uwolnili od roboty. Przy ulicy Ogrodowej ta straż obywatelska rozbiła piwnicę kupca Knola za to, że niechciał usłuchać ich rozporządzenia. Na rynku, za Żelazną Bramą, za toż samo zniszczono wystawiony na sprzedaż towar pewnemu bednarzowi. Na Solcu, gdy robotnicy nie chcieli odejść od budowy, obrzucono ich wapnem [1]).

O godzinie 3-ciej po południu wszystko już było zebrane w porządku do odbyć się mającej eksportacyi. Pochód wyruszył z pałacu arcybiskupiego na lewo przez ulice: Długą, Przejazd, Bielańską, Tłumacką, Leszno, Rymarską, Senatorską, Wierzbową, Saski Plac i Krakowskie Przedmieście obok Zamku do katedry.

Naprzód szły, podobnie jak na pogrzebie pięciu ofiar i wszystkich uroczystych pogrzebach, sieroty i starcy warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności z zarządem i członkami towarzystwa. Za niemi postępowały męskie i żeńskie zakłady naukowe. Gimnazyum realne niosło na drzewcu tablicę z herbem Polski i Litwy; (tu się zaczynają dodatki). Uczniowie medyko-chirurgicznej akademii chorągiew z białym orłem i trójkolorowemi wstęgami. Za nimi szły: szkoła sztuk pięknych, instytut rolniczy z Marymontu, konserwatoryum warszawskie ze swym dyrektorem, artyści i literaci, towarzystwo lekarskie, cechy z chorągwiami przyozdobionemi w orły polskie, trójkolorowe i żałobne wstęgi, bractwa, członkowie arcybractwa literackiego, delegacya komitetu pogrzebowego, zakony Sióstr Felicyanek i Sióstr Miłosierdzia, męskie zakony, duchowieństwo świeckie, profesorowie duchownej akademii, kapituła, ksiądz celebrujący; krzyż arcybiskupi, niesiony przez jednego z kanoników katedralnych. Następowała trumna ze zwłokami, niesiona na barkach a przy niej reszta członków komitetu pogrzebowego. Za trumną korony: polska i litewska na poduszkach, obok herby Polski i Litwy, także na poduszkach, dalej

[1]) Sprawa A. W. Nr 7.

wieńce cierniowe. Za tem postępowała rodzina nieboszczyka, władze rządowe i lud. Karawan próżny zamykał orszak. Na Placu Bankowym na spotkanie wyszło duchowieństwo żydowskie, także pod znamieniem z herbami Polski i Litwy, i stosownie do swego rytuału przyłączyło się do orszaku, zajmując miejsce zaraz za trumną. Do kościoła oczywiście nie weszło [1]). O liczbie tłumów, towarzyszących pogrzebowi, są różne podania. Jedni oceniają je na 100 tysięcy, drudzy podnoszą cyfrę do 150 tysięcy. Janczewski zapewnia, że gdy trumna z ciałem stanęła na progu katedry św. Jana, koniec procesyi był jeszcze na ulicy Miodowej. Sam obrzęd eksportacyi, rozpoczęty o godzinie 4-tej po południu, skończył się późnym zmrokiem.

Hrabia Lambert miał zamiar wziąść osobiście wraz ze sztabem udział w obchodzie pogrzebowym i przywdział już mundur. Na dziedzińcu stało przygotowanych piętnaście koni wierzchowych. Naraz dano znać o godłach narodowych i koronach. Hrabia zdjął mundur i w surducie usiadł przy oknie.

Gerstenzweig nieco wcześniej dowiedział się o dodatkach w zatwierdzonym przez się ceremoniale. Poszedł odwiedzić zwłoki przed samą eksportacyą, a potem przeszedł przez ogród na ulicę Daniłowiczowską, gdzie na niego czekała kareta i udał się do Zamku [2]). Tam zastał zebranych około 20 osób, między nimi Wielopolskiego, Kryżanowskiego, Potapowa, wszystkich adjutantów namiestnika, swego adjutanta Polenowa. Wszyscy stali w gabinecie namiestnika przy oknach i przez binokle przypatrywali się pochodowi. Okno, przy któ-

---

[1]) Najdrobniejsze szczegóły o pogrzebie znaleźć można w numerach 242 i 243 *Gazety warszawskiej* z 1861 roku. Dziennik pułkownika Krywonosowa podaje, że Polskę i Litwę przedstawiali na pogrzebie chłopak i dziewczyna odpowiednio przebrane. Polską koronę niosły trzy dziewczyny w bieli, drugie trzy litewską. Trzy inne niosły wyszyte herby Polski i Litwy, sześć zaś dziewcząt niosło wieniec cierniowy. Włościanie ze Skierniewic byli w białych, z Wilanowa w granatowych sukmanach.

[2]) Wiadomość od Polenowa.

rem siedział namiestnik, było na pół otwarte. Naraz dają znać, że ze straży obywatelskiej przyszedł wysłaniec z prośbą o zamknięcie okna, stosownie do zrobionego w dziennikach ogłoszenia, że w ulicach, przez które orszak pogrzebowy miał przechodzić, okna mają być pozamykane [1]). Lambert własnoręcznie zamknął okno [2]). Gdy się ukazało z Krakowskiego Przedmieścia czoło pochodu ze wszystkiemi, wyżej opisanemi, chorągwiami, herbami, godłami i koronami, patrzący w milczeniu spojrzeli po sobie...

Co się wówczas dziać mogło w głębi duszy namiestnika, w jego podejrzliwym lecz nieprzewidującym umyśle? Zachował wszakże do końca najzupełniejszy spokój i do nikogo ani słowa nie przemówił. Wogóle przez cały czas pochodu, w gabinecie namiestnikowskim panowała grobowa, ale mimo to niemniej wymowna cisza...

Nazajutrz dnia 11. października, biskup Dekert odprawił uroczyste żałobne nabożeństwo, które trwało od godziny 7-mej do 10-tej z rana. Msza śpiewana i *Castrum doloris* zajęło jeszcze półtrzeciej godziny, tak, że dopiero o pół do pierwszej z południa ciało złożono w grobowcu pod katedrą.

W czasie nabożeństwa mieli mowy: biskup Plater i kanonik Rzewuski, obie z różnemi patryotycznemi wspomnieniami i życzeniami na przyszłość.

W kościele zbierano składkę na »sprawę ojczystą« a młodzież przypominała o nastąpić mających uroczystościach, t. j rocznice zgonu: Kościuszki, 15. i ks. Poniatowskiego, 19. t. m. przyczem rozdawano następujące drukowane plakaty:

†

»Rodacy! We wtorek dnia 15. października, przypada rocznica śmierci ś. p. Tadeusza Kościuszki, naczelnika narodowego powstania.

---

[1]) Był to uczeń z gimnazyum realnego.

[2]) Polenow to widział.

W dzień ten, poświęcony pamięci nieśmiertelnej wielkiego męża, zostaną odprawione nabożeństwa żałobne we wszystkich kościołach, oraz w synagogach przy ulicy Daniłowiczowskiej i na Nalewkach.

W kościołach św. Jana i św. Krzyża nabożeństwa rozpoczną się o godzinie 10-tej rano.

Uprasza się panów właścicieli magazynów i sklepów o zamknięcie lokali przez czas nabożeństwa od godziny 10-tej z rana do 12-tej w południe.«

O godzinie 2-giej po południu obywatele wraz z przybyłymi włościanami udali się do hotelu Europejskiego, gdzie był przygotowany obiad na 200 osób. Z pomiędzy gospodarzy uczty najwięcej krzątał się August Zawisza, obywatel z pod Łowicza, brat Artura, powieszonego w 1833 roku. Nie ulega wątpliwości, że między »młodą szlachtą« w uczcie brali udział i niemłodzi, ci sami, którzy tak gorliwie zajmowali się przeprowadzeniem wyborów i nazywali takich panów Korzeniowskich, Szachowskich, Sikorskich szkodliwymi i pozbawionymi wszelkiego zmysłu politycznego, podżegaczami. Obecnie i oni buchnęli płomieniem.

W czasie uczty jakiś poważny i niemłody już włościanin przy toaście odezwał się w te słowa: »Teraz to panowie jesteście za jedno z nami, a gdy przyjdzie co do czego, to rzucicie nas na pastwę Rosyaninowi, jak to się stało w 1831 roku i przyszła bieda i na was i na nas.«

Przemówienie to wywołało pewne pomięszanie wśród ucztujących, zapanowała głęboka cisza. Wówczas obywatel Bronikowski wskoczył na stół i zawołał: »Co się stało, nie odstanie! Wtedy wszakże, bracia! inne były czasy; teraz coś podobnego powtórzyć się nie może, teraz chłop taki sam człowiek jak i inni. Jeśli już i Żydzi stali się naszymi braćmi, czegoż się mają obawiać Polacy, chociaż są chłopami? Nie przeszłość wypominać, lecz należy nam z otuchą patrzeć w przyszłość i korzystać z chwili obecnej, której hasłem jest: wolność, równość i niepodległość!«

Wszyscy wznieśli entuzyastyczny okrzyk i uczta zakończyła się bez żadnych dalszych niespodzianek.

Oprócz tego obiadu, studenci medyko-chirurgicznej akademii i starsi uczniowie gimnazyum realnego, w tym samym hotelu osobno podejmowali włościan z Wilanowa. W czasie tego przyjęcia przemawiał szewc Hiszpański, szczególny kładąc nacisk, że »z obywatelami żyć należy w jak najlepszej zgodzie i nie pogardzać towarzystwem Żydów.«

O godzinie 5-tej włościanie dobrze podochoceni, wyszli z hotelu i wśród okrzyków: »Niech żyje Warszawa!« wsiedli do przygotowanych dorożek i omnibusów, które odwiozły jednych na kolej, drugich zaś (Wilanowian) do mokotowskiej rogatki. Na koźle pierwszego powozu siedział włościanin z chorągwią, ofiarowaną przez obywateli w czasie obiadu. Wilanowiacy mieli swoją własną, z którą przybyli do Warszawy. Urzędowy fotograf powstania, Bayer, odfotografował całą tę scenę.

Tak tedy skończyły się owe niepojęte dnie 10. i 11. października. Społeczeństwo znów straciło głowę, jak w lutym, po manifestacyi w czasie pogrzebu pięciu ofiar; stronnictwa znów się zbliżyły i niepodobna było prawie odróżnić białych od czerwonych. Szachowski i jemu podobni zacierali ręce. Wszyscy, a przynajmniej z bardzo małymi wyjątkami, nad tem tylko przemyśliwali, jakby przedłużać manifestacye. Ogłoszenia o nabożeństwie za Kościuszkę, wiersze na cześć bohatera, drukowane w drukarni Banku polskiego, obiegały z rąk do rąk. Zwłaszcza dnia 13. października zjawiło się wiele podobnych plakatów. — Oto jeszcze jeden taki plakat: U góry przedstawiony w niewielkim owalu Kościuszko, podnoszący szablę w górę. W otoku napis: »Tadeusz Kościuszko«, poczem wydrukowano: »W dniu 15-go października przypada rocznica zgonu ś. p. Tadeusza Kościuszki. Dzień ten przeznaczony na uczczenie pamięci wodza, który jako posłannik Boży, zesłany dla wyjarzmienia i odrodzenia Polski, dokonał pełnej swej, Bogu i ojczyźnie, ofiary, trzymając wysoko i niewzruszenie, do ostatnich chwil życia, nieskalany sztandar polski i chrześci-

jański. Dźwigajmy dalej sztandar ten prawdy i wolności, naszemi poświęceniami, ażeby się stał tryumfem, radością i godłem wielkości i szczęścia dla wielkiego w myśli Bożej ludu!«

Namiestnik przy całej swej ostrożności i unikaniu jawnego wystąpienia przeciw spiskowi, w czem się zawsze obawiał jakiegoś niepomyślnego zwrotu w swej osobistej karyerze, przyszedł wreszcie do przeświadczenia, że niepodobna dalej pobłażać, gdyż się ma do czynienia nie z dorosłymi, rozważnymi obywatelami kraju, lecz z jakiemiś rozpuszczonemi i rozzuchwalonemi dziećmi; że otaczający go Polacy, jakkolwiek się układają, nie mogą być pomocnikami rosyjskich rządzców, szczególniej w tak wyjątkowych i naprężonych stosunkach [1]). Wieczorem więc dnia 13. października polecił dyrektorowi swojej kancelaryi, rzeczywistemu radcy stanu Kazaczkowskiemu, przygotować wszystko do ogłoszenia nazajutrz z rana stanu wojennego, przez rozesłanie o świcie do właścicieli domów drukowanego o tem obwieszczenia.

Rozporządzenie, ułożone jeszcze w marcu b. r., teraz nieco zmieniono, natychmiast wydrukowano i oprócz rozlepienia po rogach ulic, rozesłano za potwierdzeniem odbioru wszystkim właścicielom domów, by nikt niewiadomością tegoż nie mógł się tłumaczyć [2]).

Przez zaprowadzenie stanu wojennego, zabronione zostały wszelkie tłumne zebrania, śpiewanie podburzających pieśni, składki pieniężne, rozsyłanie plakatów, odezw i t. p. Wojenni naczelnicy byli uprawnieni do użycia wszelkich policyjnych

---

[1]) Członkowie dawnej delegacyi: Chałubiński, Kronenberg, Szlenker, Helbich i Zieliński jeszcze i teraz czynili starania, czyby się nie dały dokończyć wybory. U Helbicha dnia 12-go października ułożono nawet listę kandydatów. Gdzieś także ułożono adres do namiestnika. (Sprawa A. W. nr 7). Ale wszystko to już było za późno.

[2]) Niektóre inne rozporządzenia, tyczące się zaprowadzenia stanu wojennego, znajdują się w rozkazie oberpolicmajstra miasta Warszawy z dnia $^1/_{13}$ października 1861 roku, ogłoszonym we wszystkich warszawskich dziennikach.

środków, jakie uznają za potrzebne dla przywrócenia spokojności. Mogli zamykać w każdej chwili sklepy, kawiarnie i inne publiczne zakłady; mogli nie dozwalać na zebrania publiczne i w domach prywatnych; mogli zarządzać w każdej chwili i wszędzie rewizye, aresztować podejrzanych, lub bez stałego zajęcia się walęsających, a w razie oporu mogli używać siły zbrojnej.

Oprócz tego nakazano aż do dalszego odwołania zamknąć wszystkie szynki i bawarye, oraz ogrody Saski i Krasińskich. Dorożkarze otrzymali nakaz natychmiastowego zatrzymywania się na żądanie policyi, bez względu na osoby pasażerów. Studentom nie wolno było wychodzić na ulice bez uzasadnionej potrzeby. Więcej nad trzy osoby nie mogły się z sobą na ulicy zatrzymywać i rozmawiać.

Jednocześnie wojska zajmowały wskazane sobie osobnym rozkazem dziennym stanowiska, i Warszawa powtórnie przybrała postać oblężonego miasta. Mieszkańcy spoglądali na to wszystko ze zdumieniem i jakby z niedowierzaniem, lecz dzień minął spokojnie.

W ciągu dnia naradzali się czerwoni nad dalszem swem zachowaniem się, czy rząd żartuje, czy też bierze rzecz na seryo? Tyle dotąd okazano pobłażania, że zdawało się niepodobnem, aby te same władze, tak długo powolne i cierpliwe, przez jedną noc, naraz, miały się zupełnie zmienić. A tu właśnie manifestacya za Kościuszkę tak dobrze się zapowiadała, tyle nastręczała wrażeń i budziła nadziei czegoś niezwykłego...

Po wszechstronnem rozpatrzeniu kwestyi, postanowiono urządzić »co można, co się da«, i w tym celu o godzinie 9-tej rano wysłano do kościołów: św. Jana, Bernardynów i św. Krzyża, gromadki kobiet i dzieci z poleceniem odśpiewania hymnów, dla wypróbowania, co z tego wyniknie. Wszakże młodzi i niedoświadczeni przewódcy tych gromadek na śpiewy się nie odważyli. Wtedy starsi udali się tłumnie do kościołów, pociągając za sobą lud, smutnie po ulicach błądzący. A byli tam ludzie wszelkich stanów. Około godziny 11. po wszyst-

kich kościołach zabrzmiał uroczysty spiew hymnów. W kościele św. Jana pozostawiono katafalk z pogrzebu arcybiskupa i umieszczono na nim portret Kościuszki.

Natychmiast zawiadomiono o tem namiestnika i jenerał-gubernatora. W odpowiedzi władze otrzymały rozkaz jak najściślejszego zastosowania się do przepisów, wydanych na wypadek tłumnych zebrań po kościołach. Te zaś brzmiały: »Kościół, w którym hymny zabronione śpiewają, otoczyć wojskiem, a gdy lud zacznie wychodzić, aresztować wszystkich dorosłych mężczyzn, nie tykając kobiet i dzieci [1]).

Rozstawiono więc wojska przed każdym z rzeczonych kościołów i wydano odpowiednie polecenia. Jednocześnie zaś przywódcy manifestacyi dali hasło »nie wychodzić i nikogo nie wydawać.«

Skończyło się nabożeństwo, lecz z kościołów nikt nie wychodził. Tak przeszedł dzień cały i noc nastała. Żołnierze broń w kozły ustawili i na ulicach pozapalali ognie. W mieście panowała grobowa cisza, nikt wszakże nie spał.

Z Zamku, gdzie byli zebrani wszyscy wyżsi wojskowi i cywilni rosyjscy urzędnicy, z pewnym niepokojem przysłuchiwano się tej cmentarnej ciszy miasta, przerywanej od czasu do czasu brzękiem szabli o bruk lub chrzęstem zderzających się wypadkiem bagnetów. Żołnierze tylko szeptem z sobą mówili.

Naradzano się nad tem, »co począć z zamkniętymi tłumami?« Większość była za tem, by, trzymając się ściśle instrukcyi, »czekać póki nie zaczną wychodzić, a wtedy aresztować«; że zaś w końcu wyjść muszą, oczywiście nie było wą-

---

[1]) § 10. Do wszystkich kościołów wysłać oddziały policyantów, którzy w razie śpiewania zabronionych hymnów, mają zawiadomić najbliższego dowódcę wojsk, a ten wyprawi natychmiast wojsko do kościoła, w którym śpiewają. Wojsko do kościoła nie wejdzie, ale gdy lud wychodzić z niego będzie, aresztować ma mężczyzn, a przepuszczać dzieci i kobiety. Przytem, jeśli można, ma być obecnym jeden z policmajstrów. W każdym zaś razie musi być nieodmiennie obecny komisarz cyrkułowy.

tpliwości. Wiedziano już i o tem, że lud przynosił bułki pod kościół św. Jana i wrzucał je przez okna do wnętrza, kędy można było.

Gerstenzweig był zdania większości i uważał za niestosowne naruszać w czemkolwiek tylko co wydane rozporządzenie. Koło północy, czując się bardzo znużonym, nie spał bowiem przez dwie doby z rzędu, odjechał do siebie do pałacu Brühlowskiego.

Gdy się tylko dowiedziano w mieście, że jenerał-gubernator wyjechał do siebie, natychmiast przybył do niego biskup Dekert z prośbą o wypuszczenie ludu z kościołów, nie aresztując nikogo. Gerstenzweig kazał odpowiedzieć przez adjutanta: »niechaj wychodzą, nikt nie przeszkadza. Co zaś do aresztowań, to o tem teraz rozprawiać nie pora« [1]).

Wtym samym czasie przeor Bernardynów udał się do jenerała Chrulewa z taką samą prośbą, lecz tu otrzymał zupełnie inną odpowiedź. Chrulew wyszedł osobiście do niego i wrzasnął: »Ciebie pierwszego powieszę, oto masz odpowiedź tym, co cię posłali« [2]).

Gdy obie te odpowiedzi zakomunikowano komu należało w mieście, ludzie wszelkich stanowisk i stronnictw, mniej lub więcej zainteresowani dolą zamkniętych w świątyniach agitatorów, zaczęli przemyśliwać nad sposobami uwolnienia uwięzionych. Czerwoni proponowali urządzenie ogromnej religijnej procesyi ze wszystkich kościołów z krzyżami i chorągwiami, licząc, że do niej przyłączą się masy podrażnionego mieszczaństwa, kto wie, może ludność całego miasta. Mając zaś za sobą całe miasto, już o coś pokusić się i czegoś dokazać można.

Niepewne o tych zamysłach wieści, z rozmaitymi dodatkami i upiększeniami, doszły do uszu niektórych dowódzców wojskowych. Między innemi opowiadano, że już gdzieś stoją zgromadzone ogromne zastępy ludu i czekają tylko hasła, aby

---

[1]) Udzielone wraz z innymi szczegółami przez Polenowa.
[2]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

się rzucić na wojsko; że duchowieństwo jest zdecydowane iść na czele w szatach i insygniach kościelnych i t. p.

Jenerał Chrulew, nasłuchawszy się tego wszystkiego na ulicach, udał się po północy do Zamku i zdając z tego sprawę namiestnikowi, dodał wobec zebranych jenerałów: »chwila zdaje mi się bardzo niebezpieczną i wybuch prawdopodobny. Lud, ma się rozumieć, wojsku nie podoła, ale nastąpić może krwawa walka, która pochłonie więcej ofiar jak dzień 8. kwietnia. Dla rządu zaś to zwłaszcza będzie nie na rękę, że wypadnie nabić całą kupę popów, którzy nie omieszkają wystąpić na czele ludu.

Dla zapobieżenia tej ewentualności, Chrulew radził zmienić doraźnem rozporządzeniem § 10. instrukcyi, i »posłać do otoczonych wojskiem kościołów oficerów z oddziałami żołnierzy bez broni. Ci mają wezwać przytomnych do wyjścia, gdyby zaś tego nie usłuchano, wtedy wprowadzić do kościołów zbrojne oddziały wojska i wszystkich aresztować.«

Wielu z przytomnych na Zamku wyższych wojskowych, poparło tę propozycyę. Po krótkim namyśle namiestnik zgodził się na nią i upoważnił jenerała Chrulewa do wykonania podanego przez siebie projektu.

Chrulew wydał zaraz stosowne rozkazy, których wykonania sam poszedł dopilnować.

Oddział żołnierzy, bez broni, pod wodzą oficera, znalazł kościół św. Krzyża pusty. Jedni mówili, że lud wyszedł z kościoła przez zakrystyę do przytykającego ogrodu księży Misyonarzy, a stamtąd przez klasztor wyszedł na ulice: Mazowiecką i Świętokrzyską; inni zaś twierdzili, że między kościołem św. Krzyża a pałacem hr. Andrzeja Zamoyskiego, istniało podziemne przejście, z którego skorzystano [1]).

[1]) Przejście podobne rzeczywiście istniało, jak o tem opowiadał autorowi jeden z oficerów, który wszedłszy w ogrodzie domu hrabiego Zamoyskiego do groty, istniejącej na rogu dzisiejszej werandy, murowanym korytarzem doszedł do zakrystyi kościoła św. Krzyża. Po drodze znalazł damską parasolkę.

Druga komenda weszła do kościoła Bernardynów, którą lud, broniąc się ławkami, lichtarzami kościelnymi i t. p., zmusił na razie do odwrotu. Wprowadzono zatem zbrojny oddział, który po krótkiem starciu, aresztował wszystkich mężczyzn i odprowadził ich do Zamku.

Aresztowanie w kościele archikatedralnym i metropolitalnym świętego Jana, w którym było zgromadzone całe wyższe duchowieństwo, odbyło się w obecności jenerałów: Gerstenzweiga, Kryżanowskiego, Werynga, Potapowa i Chrulewa, którzy przybyli na miejsce około godziny czwartej nad ranem wraz ze swymi adjutantami. Wszyscy byli w płaszczach z powodu dosyć dojmującego zimna.

Przy przestąpieniu progu katedry wszystkich tych panów uderzył następujący widok. Świątynia cała była rzęsiście oświetlona. W pośrodku głównej nawy wznosił się wspaniale przybrany katafalk, którego srebrzysty baldachim zasiany żałobnymi łzami, zwieszał się z pod stropu sklepienia. Duchowieństwo, w srebrzystych połyskujących ornatach, lud zaś klęczący w milczeniu, byli zwróceni twarzami ku wielkiemu ołtarzowi.

Jenerał Potapów odezwał się po polsku: »Wychodźcie panowie, gdyż w przeciwnym razie kazano was aresztować!«

Nikt ani słowa nie odpowiedział. Zbita masa ludu, wstrzymując oddech, zdawała się skamieniałą, jakby nagłą śmiercią rażona, klęcząc w milczeniu. Srebrny katafalk pałał migocącymi ogniami; cała świątynia jakby przepełniona była światłem i modlitwą...

Niezmiernie trudno było w takiej chwili i wśród takich okoliczności przystępować do aresztowań, a jednak nie było innego wyjścia. Stanowcze rozkazy musiały być wykonane. Żołnierze wszedłszy do kościoła otaczali ludzi małemi partyami i odprowadzali ich do Zamku. Jeden z księży w srebrnolitej kapie z krzyżem w ręku, szedł przez całą drogę modląc się z brewiarza; przybywszy do głównej zamkowej strażnicy wnet usnął ze znużenia. Jedni oddawali się w ręce wojska w mil-

czeniu i bez oporu; inni zaś ztawili opór żołnierzom i w wielu miejscach przychodziło do zaciętej walki [1]).

Jak tylko zaczęto w kościele aresztować, na wieży katedralnej odezwał się dzwon pojedyńczy; smętny głos jego rozległ się w przestrzeni, wśród ponurej ciszy, panującej w mieście. Z początku wśród zgiełku na dole, nikt na to nie zważał, lecz wkrótce niejednego z dowódzców metaliczny ten jęk drażnić począł. Pierwszy nie wytrzymał Gerstenzweig i zawołał: »zrzućcie mi tego przeklętego dzwonnika z wieży« [2]). Lecz nie łatwo było dostać się do niego: sień, schody na wieżę natłoczone były ludem; w ciemności trzeba było pojedyńczo, jednego po drugim aresztować, a dzwon tymczasem jęczał i jęczał...

Około godziny 5. z rana opróżniono kościół, a aresztowanych przeprowadzono z Zamku do cytadeli.

— A wielu ich jest? — zapytał Gerstenzweig.

— Od dwóch do trzech tysięcy — była odpowiedź.

— Co my z nimi zrobimy? *Quelle terrible histoire!*

---

[1]) Pułkownik Krywonosow w swym dzienniku podaje następujące szczegóły o tych aresztowaniach: Gdy wyprowadzono pierwszą partyę aresztowanych z kościoła św. Jana, Chrulew krzyknął do żołnierzy „a bijcie w kark tych gałganów.“ Werygin zrobił uwagę, że to niepotrzebne. „Co niepotrzebne? zakrzyczał dalej Chrulew, oni bili żołnierzy, a my ich za to może po główkach mamy głaskać? Gdyby główek nie głaskano, nie byłoby tego wszystkiego.“ Wszczął się krzyk, z okien zaczęli ludzie wyglądać i głośno wyrażać swoje oburzenie. „Milczeć, zaryczał Chrulew, pierwszego kto się odezwie, każę bagnetem przebić!“ W jednej chwili zapanowała cisza. Gromadki wychodziły z kościoła i szły do Zamku zupełnie spokojnie. Blask z latarni padł na czyjąś twarz. „Żyd“, zawołało kilka głosów. „Powiesić żyda,“ odezwał się żartem Chrulew. Żyda odprowadzono także na zamkową strażnicę. Aresztowań dopełniał pułk Schlüsselburgski i oddawał aresztowanych pułkowi Ładożskiemu. Między aresztowanymi znalazł się jeden oficer, Polak, ze Smoleńskiego pułku p. i junkier Miedwiediew, który z kochanką poszedł do kościoła.

[2]) Wiadomość od pułkownika Kuczyńskiego, stojącego wtedy obok jenerał-gubernatora.

Na to odezwał się Potapow:

— Wszystkich do lat 16 osiec rózgami i uwolnić, zaś od 16 do 45 lat wziąść do wojska, starszych także wypuścić... z nauczką.«

Gdy się zupełnie rozwidniło, w mieście zakipiało jak w kotle. Zdawało się istotnie, że lada chwila wybuch nastąpi. Kupy ludu tłoczyły się po ulicach, wydając groźne okrzyki; potrzeba było tylko jakiego energicznego wodza, a wybuch był możebny, prochu dosyć było nagromadzonego, jedna iskra wystarczała, lecz właśnie tej iskry w owej chwili zabrakło, może jej wcale nie było w Warszawie, a może tlała utajona wśród aresztowanych w cytadeli. Puszczono na ulice kilka sotni kozaków, a ci wkrótce nahajkami krzykaczy uspokoili. Około południa zapanował zupełny spokój. Chirurdzy na wszelki wypadek zawezwani do Zamku, zostali odprawieni do domów.

Wśród tej ciszy, wszystko co pozostało bardziej wpływowego w Warszawie, pospieszyło do konsystorza na naradę, w której ze strony duchowieństwa przyjęli udział biskupi: Majerczak — kielecki i Juszyński — sandomierski, ksiądz Białobrzeski, wybrany administratorem archidyecezyi warszawskiej, oraz kanonicy: księża Sieklucki, Dziaszkowski i Rzewuski [1]).

W pierwszej chwili całe to zgromadzenie wrzało oburzeniem. Wyrzucano nawzajem sobie i całej ludności, że w takiej chwili nie powstali wszyscy, jak jeden mąż. Gdy pierwsze wrażenie minęło, zaczęto radzić o losie zamkniętych w cytadeli... Dziś jeszcze wszyscy na miejscu, lecz już jutro z mocy przepisów stanu wojennego, lub też wprost z zarządzenia władz wyższych, mogą być porozsyłani na Sybir, czy do więzień fortecznych, a nawet wprost na śmierć skazani!« Między uwięzionymi znajdowali się i synowie najpierwszych rodzin w kraju, to też niejeden z zasiadających na naradzie konsystoryalnej,

[1]) Wiadomości udzielone przez Kazaczkowskiego, który dodał, że w ciągu całego 1861 roku, a nawet i później nie było ani jednej chwili, jego zdaniem, bardziej groźnej, jak ranek dnia 16. października.

gotów był wszystko poświęcić, grosz ostatni oddać, byle natychmiast dzieci swe ujrzeć wolnemi [1]). »Cóż więc robić? jakie przedsięwziąść środki, aby czemprędzej zamkniętych z cytadeli uwolnić? Co wogóle robić w tej strasznej chwili, gdy z powodu zaprowadzonego stanu wojennego, nawet ruch swobodny po ulicach jest utrudniony? Okropniejszej i bardziej przygnębiającej chwili Warszawa nie pamięta.«

Wśród różnych zdań i sporów, któryś z księży postawił wniosek, aby, nie tracąc daremnie słów i czasu, przedewszystkiem »zamknąć znieważone kościoły, z mocy praw, przysługujących duchowieństwu, wedle postanowień papieskich.«

Myśl ta wszystkich uderzyła, i zaraz na miejscu nie zacierając do ustaw i przepisów prawa kanonicznego, (z których niektóre usprawiedliwiały postępowanie rządu), ułożono następującą odezwę konsystorza warszawskiego do duchowieństwa katolickiego w Warszawie:

»Warszawa, dnia 16. października 1861 r.

Główny Konsystorz Archidyecezyi warszawskiej do wielebnych administratorów kościołów parafialnych i duchownych zgromadzeń w Warszawie.

»Z powodu znieważenia dzisiejszej nocy kościołów: świętego Jana i Bernardynów w Warszawie, takowe na mocy rozporządzenia JW. Administratora Archidyecezyi, zostają z dniem dzisiejszym zamknięte, i do czasu ich ponownego otwarcia, żadne nabożeństwo nie może być w nich odprawiane. Nadto, unikając, ażeby i inne świątynie Pańskie nie uległy podobnym napadom i znieważeniu, JW. Administrator poleca, z dniem jutrzejszym zamknąć wszystkie kościoły i kaplice w Warszawie aż do dalszego rozporządzenia, to jest do czasu, póki nie otrzyma zapewnienia, że rzeczone świątynie nie ulegną podobnej zniewadze i że lud wierny będzie miał możność zupełnie

[1]) Imiona świeckich osób, które uczestniczyły w naradach tego posiedzenia w konsystorzu, pomimo najgorliwszych poszukiwań, pozostały niewykryte. Sam fakt ich obecności zupełnie stwierdzono.

bezpiecznego zgromadzania się dla zanoszenia modłów do stóp Przedwiecznego.« — Podpisali: ks. August Sieklucki, kanonik i sędzia surogator katedralny; ks. Cieślewski, sekretarz.

Odezwa ta w mgnieniu oka stała się wiadomą całej Warszawie. Wszystkie kółka i stany czytały ją z uniesieniem. Namiestnik nieomieszkał także o niej się dowiedzieć i z zawezwanym księdzem administratorem już o godzinie 9-tej z rana dnia 16. października, miał gorącą z tego powodu przeprawę.

Ksiądz Białobrzeski, pozostający pod wpływem tych samych ludzi, którzy rządzili zmarłym arcybiskupem Fijałkowskim, przy tem również słabego, jak i zmarły, charakteru, powtarzał namiestnikowi to, co mu natchnęli jego doradcy i pomocnicy. Przedstawił namiestnikowi wzruszającą scenę aresztowań »zbyt pospiesznych i nieoględnych«, i kończąc dodał: »że rozporządzenie o zamknięciu kościołów jeszcze nie jest wykonane i może być zmienione, jeżeli wszyscy uwięzieni co do jednego natychmiast zostaną uwolnieni a duchowieństwu będzie danem zapewnienie, że podobne sceny w przyszłości się nie powtórzą« [1]).

Zmięszany i chory namiestnik, który już trzecią dobę oka nie zmrużył, nie chcąc się spierać z administratorem w kwestyi, której jako świecki, dobrze nie rozumiał, a przytem i z innych względów nie chcąc jej stawiać tak, by duchowieństwo nabrało przekonania, że jest siłą, której rzeczywiście nie da się przełamać, oświadczył administratorowi, że ze swej strony »uczyni co możliwe dla uspokojenia umysłów, lecz ma niepłonną nadzieję, że i duchowieństwo ze swej strony tak samo postąpi.« — Tem pożegnał księdza administratora.

Przyzwany niezwłocznie prezes śledczej komisyi, pułkownik Lewszyn, otrzymał polecenie, by się »natychmiast udał do cytadeli i tam wspólnie z komendantem fortecy jenerał-majo-

[1]) Na mocy jakoby testamentu ś. p. księdza Fijałkowskiego, administratorowi zostały dodane w charakterze doradców też same osobistości, które przy zmarłym arcybiskupie ten sam urząd pełniły, mianowicie księża kanonicy: Sieklucki i Dziaszkowski.

rem Jermołowem, dopełnili jak najspieszniej rozklasyfikowania uwięzionych, z których mniej winni mają być natychmiast uwolnieni, biorąc przytem i wiek uwięzionych pod uwagę« [1]).

Lewszyn należał do rzędu tych oficerów, starego, mikołajewskiego autoramentu, z którymi Polacy umieli doskonale sobie radzić. Zawezwanie Lewszyna do Zamku i wyprawienie go stamtąd z nieograniczonem pełnomocnictwem więzienia lub uwolnienia, kogo uzna za stosowne, było w jednej chwili wiadome wszystkim, komu na tem zależeć mogło. Ojcowie zapędzonych do cytadeli, rozmówili się jak przystało z tym wszechpotężnym dygnitarzem, zanim się jeszcze udał do cytadeli. On sam ułatwiał te rozmowy...; następnie, przybywszy do twierdzy, wykazał się przed komendantem, własnoręcznem upoważnieniem namiestnika, pospiesznie napisanem na ćwiartce papieru i wspólnie udali się na rozgatunkowanie uwięzionych.

W jaki to mianowicie sposób się odbywało, niewiadomo. To pewna tylko, że jenerał Jermołów, prawie w tem nie brał udziału, i raczej się tylko przypatrywał odgrywającej się przed jego oczyma scenie, uśmiechając się lub wzruszając ramionami.

Do godziny 11-stej przed południem największa część aresztowanych była już wolną. Między uwolnionymi znajdowali się wszyscy majętniejsi, oraz najbardziej wpływowi agitatorzy, śmiało rzec można, cały ówczesny komitet centralny z bardzo małymi wyjątkami. W cytadeli pozostali ci, których właściwie najpierwszych należało uwolnić, uliczny motłoch, gawiedź, jak ją nazywali Polacy.

Jenerał-gubernator, przynajmniej do południa nic o tem wszystkiem nie wiedział. O godzinie 9-tej rano, odbierając od

---

[1]) Ze słów Lewszyna, który nadto przytoczył, że gdy już do drzwi dochodził, namiestnik jeszcze go zwrócił i powiedział: Nie żenuj się pan i nie ścieśniaj! Już w czasie opowiadania Lewszyn był zmięszany i unikał odpowiedzi na wiele zapytań. Niektóre zaś odpowiedzi były wprost nieprawdziwe, jak się później okazało z opowiadań innych zupełnie wiarogodnych osób, doskonale wtajemniczonych w całą tę sprawę.

komendanta miasta Warszawy, jenerał-majora Bebutowa, codzienny raport i dowiedziawszy się, że tenże jedzie do cytadeli, polecił mu zajrzeć do uwięzionych i zarządzić co potrzeba, aby im na niczem niezbędnem nie zbywało, szczególniej zaś zwrócić uwagę na jedzenie i posłanie [1]). Poczem przyjął jeszcze kilka osób, od których dowiedział się o wszystkiem, co zaszło po jego oddaleniu się na Zamku, a także i o tem, w jaki sposób i przez kogo odbyło się rozgatunkowanie i uwalnianie więźniów z cytadeli. Udał się na Zamek i tu miało miejsce sam na sam z namiestnikiem to ważne zajście, o którem krążą najrozmaitsze pogłoski i opowiadania, lecz które do dnia dzisiejszego pokryte jest tajemnicą.

Najbliżsi obu tych mężów stanu sądzą, że Gerstenzweig wypowiedział namiestnikowi z całą dosadnością i bez ogródek, całą nieprzyzwoitość i słabość jego zachowania się w nocy z 15. na 16. października i rano dnia 16. października. »Zmieniać własne zarządzenia wskutek przyniesionych z ulicy plotek o jakichś gotujących się procesyach, o powszechnem powstaniu; wywołać krwawe starcie wojska z ludem w świątyniach, uwięzić kilka tysięcy osób, a po 5—6 godzinach wszystkich uwolnić, chociaż między niemi byli i ci prawie wszyscy, których już od dawna należało pozamykać; to więcej niż słabość charakteru, to czyny człowieka, który albo zupełnie w danych okolicznościach stracił głowę, albo jest zdrajcą!«

Przytem mógł on wypowiedzieć i to wszystko, co się u niego dawno tłumiło na dnie serca, to, o czem milczał ze

[1]) Wiadomość od księcia Bebutowa. Przy wjeździe do cytadeli koło godziny 10. z rana, książę z niemałem zdziwieniem spotkał dwie partye uwięzionych, mniej więcej do 500 ludzi, idących wolno do miasta. Potem na dziedzińcu cytadeli ujrzał jeszcze jedną taką partyę. Zabawiwszy z godzinę w twierdzy, przez który to czas ciągle przeglądano i uwalniano więźniów, jenerał przekonał się, że niema co tak bardzo się troszczyć o słomę, materace i inne szczegóły. Wracał do Brühlowskiego pałacu, by zdać sprawę z tego co widział, jenerał-gubernatorowi, lecz nie zastał go już w domu, gdyż odjechał do Zamku.

względów przyzwoitości, nie chcąc zrywać chociażby pozornie dobrych stosunków, które były konieczne dla dobra wspólnej sprawy; wszystko to, co się uzbierało od czasu wyjazdu z Petersburga: te bezpodstawne podejrzenia, chorobliwe niedowierzanie względem dawnego towarzysza broni i przyjaciela, nietaktowna zmiana zachowania jeszcze przed wyjazdem do Warszawy [1])...

Powiadają, że wskutek sprzeczki tak głośnej, że odgłos jej dochodził do zebranych w drugim pokoju, pomimo drzwi zamkniętych i spuszczonych portyer, namiestnik i Gerstenzweig wyzwali się nawzajem na pojedynek. Dla uniknienia skandalu, postanowili odbyć ten pojedynek na sposób amerykański, los miał decydować i Gerstenzweig wyciągnął złowieszczą gałkę.

Tak opowiadali i opowiadają do dzisiaj w Warszawie. W Petersburgu dodawano tylko, że Gerstenzweig postąpił zbyt po rycersku, i że gdyby los fatalny wypadł Lambertowi, ten by napewne życia sobie nie odebrał [2]).

Na pewne to tylko wiadomo, że Gerstenzweig wyjechał z Zamku o godzinie 5. po południu nadzwyczajnie wzburzony i przywoławszy do siebie Lewszyna, zlajał go od ostatnich słów.

Pułkownik Krywonosow tak opisuje to spotkanie: Gdy Lewszyn przybył do jenerał-gubernatora, ten zaraz krzyknął z gniewem: »czyśmy na to aresztowali, byś pan potem wszystkich uwolnił? Jesteś pan zdrajca i podły!« Uczyniłem to na wyraźny rozkaz namiestnika — tłómaczył się Lewszyn. — »Rozkaz był dany inny, niż to coś zrobił!« i tu posypał się grad takich epitetów, że Lewszyn wyleciał z gabinetu jak

---

[1]) Bebutów przyjechał do Zamku za Gerstenzweigiem, by mu zdać sprawę z tego co widział w cytadeli. Wszyscy zauważali, że Gerstenzweig wyszedł z gabinetu namiestnika cały rozczerwieniony i niezmiernie wzburzony. Zaledwie Bebutów zaczął mówić, Gerstenzweig mu przerwał, mówiąc: „wiem o wszystkiem“ i zaraz odjechał.

[2]) Jenerał Chrulew opowiadał, że ciągnęli węzełki, zaś jenerał Tuchołko mówił, że właśnie jenerał Chrulew trzymał chustkę z supełkami.

z procy, zbiegając zaś ze schodów, potknął się i upadł, przyczem zranił się w czoło.

Gerstenzweig zwykle o godzinie 5. w domu jadł obiad. Tym razem zasiadł do stołu z rzeczywistym radcą stanu Czestilinem, dyrektorem swego biura, i z adjutantami Weimarnem i Polenowym. Weimarn był właściwie adjutantem ministra wojny, i towarzyszył Gerstenzweigowi do Warszawy, jako jego dawny i zażyły przyjaciel, chcąc być z nim razem w takich ciężkich i niespokojnych czasach. W czasie obiadu był niezwykle blady, siadając powiedział: »coś niezdrów jestem« i nic do ust nie wziął. Kilka razy kładł głowę na stole, na skrzyżowanych rękach. Ma się rozumieć, że wszyscy byli w jak najgorszem usposobieniu i mało co jedli, milcząc. Pod koniec obiadu Czestilin się odezwał: »ależ jenerale zjedz cokolwiek i napij się wina, niepodobna choć trochę się nie posilić.« Gerstenzweig wypił pół kieliszka białego wina. Po obiedzie położył się w swoim gabinecie, nie rozbierając się, w surducie, na skórzanej sofie i nie kazał nikogo przyjmować. Tak prawie bez ruchu, przeleżał cały ten wieczór. — Bebutów powiada, że po dwakroć zaziérał do gabinetu, lecz Gerstenzweig leżał z zamkniętemi oczami, udając śpiącego.

Nazajutrz jenerał-gubernator wstał o godzinie 7. z rana, nabił rewolwer i pod oknem strzelił w czoło dwa razy. Pierwsza kula ześlizgnęła się po czaszce, przebiła firankę i ugrzęzła w ramie od okna. Drugi strzał przebił czaszkę, zrządzając jedenaście pęknięć kości, kula ośliznęła się po wewnętrznej powierzchni czaszki i nie naruszając mózgu utkwiła w potylicy [1]). Nieszczęsny nie tylko że żył, lecz zachował całą przytomność. Doszedłszy do łóżka w drugim pokoju, z którego tylko co powstał, położył się i zadzwonił [2]).

---

[1]) Urzędowe sprawozdanie doktorów Lebruna, Girsztowta i Korzeniowskiego.

[2]) Prawdopodobnie Gerstenzweig już 16. października wieczorem chciał swój zamiar przyprowadzić do skutku i w tym celu wychodził do ogrodu, lecz Weimarn jakby w przeczuciu, troskliwie go

W domu nikt nie słyszał wystrzałów. Lokaj, który pospieszył na odgłos dzwonka, spostrzegłszy jenerała krwią zbroczonego, wypadł do adjutanta Weimarna. Gdy ten wbiegł, Gerstenzweig najspokojniej rzekł do niego: *Imaginez vous, deux coups et je ne suis pas encore mort.* — Co dalej z sobą mówili, pozostało przy Weimarnie.

O godzinie 9. przyjechał Lambert, a chcąc pozostać sam na sam z chorym, dał znak Weimarnowi by wyszedł, ten atoli przedstawił mu, że bez rozkazu swego naczelnika, uczynić tego nie może. »Każ pan«, rzekł Lambert; Gerstenzweig z widoczną niechęcią znak powtórzył...

Co z sobą mówili »starzy przyjaciele«, pozostało między nimi. Pułkownik Kuczyński opowiadał, jakoby słyszał od Weimarna, że po wyjściu Lamberta, Gerstenzweig patrząc za wychodzącym, odezwał się do wchodzących natychmiast adjutantów: *c'est un lâche!* Chyba wie o tem żona Gerstenzweiga, która nazajutrz po strzale przyjechała do Warszawy i zastała męża jeszcze zupełnie przytomnego.

Strasznie pomyśleć, nieszczęsny konał dziewiętnaście dni, i śmierć nastąpiła dopiero, gdy spróbowano wyjąć kulę, dnia 5. listopada 1861 roku.

Sprawa o kościoły toczyła się dalej. Bez względu na uwolnienie uwięzionych, których do wieczora 16. października, zaledwie dziesiąta część w cytadeli pozostała, duchowieństwo w porozumieniu ze spiskującymi, którym całe to zajście a szcze-

---

śledził i w tem mu przeszkodził. Opowiadają, że Gerstenzweig miał przy sobie zawsze rewolwer, z którego jego ojciec życie sobie odebrał. Był to rewolwer starego systemu o sześciu lufkach. Lufka, z której się zabił jego ojciec, była zawsze czemś zatkana. Rewolwer ten leżał zawsze na biurku jenerała, gdzie go stale widział Petrow, urzędnik, będący zawsze pod ręką do pisania mniej ważnych poleceń. Przypuszczają, że właśnie z tego rewolweru i syn życia się pozbawił.

Opowiadanie Polenowa.

gólnie samobójstwo Gerstenzweiga, nowej energii i życia dodało, skłoniło administratora, że wydał polecenie zamknięcia i zapieczętowania kościołów św. Jana i Bernardynów. Ceremonii tej dopełnił dziekan Witman, przed wieczorem dnia 17. października. Tegoż dnia ustało nabożeństwo i we wszystkich innych kościołach w Warszawie [1]).

Gdy się o tem namiestnik dowiedział, polecił zaraz hrabiemu Wielopolskiemu, jako dyrektorowi spraw duchownych, zażądać od kapituły wytłumaczenia się z tego zarządzenia, a zarazem oświadczyć administratorowi, »że czyni go odpowiedzialnym, za wszystkie wyniknąć stąd mogące następstwa, według całej surowości przepisów stanu wojennego.«

Wielopolski zawiadomił o tem kapitułę i w parę godzin otrzymał półtoraarkuszową odpowiedź administratora, z której przytaczamy niektóre ustępy.

»Kiedy wskutek zaszłych wypadków i mogących wyniknąć jeszcze smutniejszych następstw, przedstawiłem jego ekscelencyi hrabiemu namiestnikowi — pisze administrator — strapienie całego Kościoła, duchowieństwa i ludu chrześcijańskiego, namiestnik dał mi słowo, że podobnego rodzaju niesłychane gwałty, już się więcej nie powtórzą.«

»Wtedy i ja oświadczyłem ze swej strony, że rozporządzenie władzy duchownej o zamknięciu kościołów odwołanem zostanie.«

»Dziś namiestnik i dyrektor komisyi spraw duchownych, wymagają odemnie wyjaśnień na piśmie. Powtarzam więc to, co już ustnie oświadczyłem, że gotów jestem rozporządzenie to odwołać i zarządzić otwarcie kościołów, lecz któż zaręczy, czy lud ostatniemi wypadkami podrażniony i z granic cierpliwości wyprowadzony, nie będzie znów śpiewać hymnów religijno-patryotycznych? Aby uspokoić choć nieco wzburzone

[1]) Wiadomość udzielona przez księdza kanonika Siekluckiego. Kościół św. Jana opieczętowano o godzinie 5-tej, Bernardynów zaś o godzinie 6-tej po południu. W Warszawie pozostała otwartą kaplica cmentarna na Powązkach. Na Pradze kościół nie został zamknięty.

umysły, potrzeba wiele czasu i pozostawienia pewnej swobody duchowieństwu. Rząd dotychczas w tym kierunku żadnego kroku nie uczynił i nie dał stanowczego zapewnienia, że się podobne przerażające sceny nie powtórzą i świątynie ponownemu znieważeniu nie ulegną. Przeciwnie, § 10. rozporządzenia z dnia 14. b. m. wyraźnie zapowiada: że do wszystkich kościołów będą wysyłani policyanci, obowiązani do donoszenia władzy o śpiewaniu hymnów, celem interwencyi wojskowej.«

Rozporządzenie to poddaje modlitwę, duchowieństwo i wiernych pod władzę policyi i wojska, i obawiać się należy, że rząd zamierza użyć jeszcze surowszych środków, które naraziłyby wiernych i kościół na jeszcze większe niebezpieczeństwo«...

»Mnóstwo niewinnych ofiar schwytano w kościołach, tych jedynych przybytkach schronienia dla chrześcijan zanoszących swe modły do Boga, a które zdawały się zabezpieczonymi od wszelkich gwałtów z mocy § 213. kodeksu kryminalnego. Póki więc, chociażby jeden tylko z niewinnie uwięzionych w kościołach, lub następnie schwytanych na ulicach, pozostawać będzie w więzieniu, dopóty nie będzie można uśmierzyć umysłów i wpływ duchowieństwa w tym kierunku okaże się bezsilnym.«

»Mając to wszystko na względzie, nie mogę na razie zmienić wydanego w dniu wczorajszym rozporządzenia o zamknięciu kościołów, i te przez czas pewien muszą pozostać zamkniętemi«...

»Wysoki rząd ze swej strony znajdzie zapewne sposób odzyskania zaufania ludu i uwalniając uwięzionych utrwali w niem przekonanie, że podobne smutne zajścia już się więcej nie powtórzą«...

Wielopolski otrzymaną odpowiedź przesłał namiestnikowi, który, po przeczytaniu takowej, utracił resztę cierpliwości, i jak to bywa u ludzi słabego charakteru, wyszedł z równowagi i naraz z pobłażania przerzucił się do najsurowszych środków. Zaczęły się tłumne aresztowania podejrzanych po domach i na ulicach. Dnia 19. października uwięziono nawet

niedawnych jego przyjaciół, księży Wyszyńskiego, Steckiego, Witmana i Dziaszkowskiego, oraz pastora Otto, których w połowie lutego 1862 roku zesłano do Tobolska. Szewca Hiszpańskiego i literata Wolskiego zesłano następnie do Wiatki. Mniej znanych agitatorów nabrano dziesiątkami. Cytadela ponownie się zapełniła. Komisarz X. cyrkułu, Dzierżanowski, za samo podejrzenie, że dnia 15. października ułatwił ludowi wyjście z kościoła św. Krzyża, został skazanym na rozstrzelanie i tylko energicznemu wstawieniu się jenerała Chrulewa zawdzięczał swe ocalenie. Na każdego z kupców, którzy pozamykali swe magazyny i handle w dzień rocznicy zgonu Kościuszki, nałożono po 100 rubli sr. grzywny.

W tydzień potem, dnia 26. października, hrabia Lambert ledwie żywy, plujący krwią, bardziej do cienia swego podobny, zniknął bez rozgłosu i pożegnania z Warszawy. W dziennikach tylko ogłoszono, że »namiestnik Królestwa Polskiego z najwyższego zezwolenia wyjechał na kilka tygodni za granicę dla poratowania zdrowia. Na czas jego nieobecności obowiązki namiestnika i dowódzcy pierwszej armii, pełnić będzie minister wojny, jenerał-adjutant Suchozanet.«

Na razie hrabia Lambert ze swoim kuzynem wyjechał do Paryża, gdzie obaj zabrali wkrótce znajomość z rodziną hrabiów de Lancosme-Brèves, którzy mieli jedynaczkę, ostatnią w rodzie, a do tego prześlicznej urody pannę. Kuzyn Lamberta oświadczył się o jej rękę, został przyjęty, lecz przed ślubem umarł. Wówczas sam hr. Lambert prosił o rękę panny, otrzymał przyrzeczenie. Cała rodzina wraz z narzeczonym wyjechała na Madeirę, celem zupełnego wyleczenia byłego namiestnika. W początkach 1865 roku nastąpiły zaślubiny, lecz wkrótce hr. Lambert umarł nagle, pozostawiając żonę w odmiennym stanie.

Zwłoki jego przewieziono do Francyi i pochowano w rodzinnych grobach Lancosmów w Vendoeuvres en Brienne, w departamencie Indre, dnia 5. września 1865 roku. *(Independance Belge).*

W czasie pobytu hrabiego Lamberta na Madeirze, zjawił się tam także jego dawny znajomy, jenerał-adjutant Werygin (podówczas jenerał kwatermistrz sztabu Jego Cesarskiej Mości i dyrektor zarządu wojsk nieregularnych, następnie członek rady państwa), i bawił tam przeszło pół roku, codziennie widując dawnego namiestnika. Po powrocie Werygina do Petersburga, przy pierwszem spotkaniu się z cesarzem, został zapytany przez tegoż:

— No teraz wiesz wszystko?

— Nic nie wiem najjaśniejszy panie; z czem pojechałem, z tem wróciłem — odpowiedział.

— Łżesz! — rzekł na to cesarz i już nigdy o to Werygina nie zaczepił [1]).

---

[1]) Opowiadanie jenerała Krasnokutskiego, który miał to słyszeć z ust samego Werygina.

KSIĘGA V.

Powrót Suchozaneta. Mianowanie namiestnikiem jenerał-adjutanta Lüdersa. Uwięzienie i wygnanie księdza administratora Białobrzeskiego. Mianowanie księdza Felińskiego arcybiskupem warszawskim. Organizacye „białych“ i „czerwonych.“ Przyjazd nowego arcybiskupa. Otwarcie kościołów. Rewolucyjne komitety. Dąbrowski. Tegoż plan powstania. Chmieliński. Wykrycie spisku między oficerami czwartego batalionu strzelców celnych. Sąd i egzekucya wyroków śmierci. Strzał do Lüdersa. Mianowanie wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza namiestnikiem Królestwa Polskiego. Spisek. Strzał do wielk. księcia. Od 24. października 1861 do 3. lipca 1862 roku.

Czasowo, *ad interim*, równie jak po raz pierwszy, na opustoszały tron namiestniczy w Królestwie Polskiem, powołano ponownie tegoż samego przestarzałego i niepiśmiennego jenerała Suchozaneta, który przez cały czas rządów hrabiego Lamberta bawił w Dreźnie. Tym razem atoli, sądząc z niektórych danych, zdaje się, że jadąc do Warszawy, nie sądził wcale, że tam się udaje tylko *ad interim*.

Przyjmując dnia 24. października o godzinie pół do dwunastej w południe, naczelników władz i urzędników [1]), Suchozanet, wyszedłszy z brzękiem i szumem wlokącego się po posadzce pałasza, i kołysząc się na drżących i uginających się

[1]) Datę tę bierzemy z dziennika pułkownika Krywonosowa, gdyż, rzecz dziwna, *Dziennik warszawski* ani słowem nie wspomina ani o przybyciu do Warszawy nowego namiestnika, ani o objęciu przez tegoż urzędowania. — Dnia 24. października hrabia Lambert był jeszcze w Warszawie.

nogach, był w nader wesołem usposobieniu, kręcił się i podskakiwał jak młodzieniec, przytem uraczył zebranych całym potokiem górnolotnych frazesów.

Przedewszystkiem zwrócił się do jenerała Potapowa, (który zarządzał policyą warszawską), ze słowami: »zaklinam pana, byś przywrócił znaczenie policyi, zmusił ją do działania bez względu na własne korzyści i do szanowania swej godności. Szacunek doprowadza najprędzej do posłuszeństwa i ścisłego stosowania się do wydanych zarządzeń. Wierzaj mi pan, że tak jest, jak mówię.« Poczem, stanąwszy na środku sali, głośno wypowiedział: »Pozwólcie panowie, że zacznę od podziękowania wam wszystkim, coście spełnili swe obowiązki w te ciężkie czasy. Mam nadzieję, że i na przyszłość znajdę w was tę samą gorliwość, wierność i niezmordowaną czynność. Ogłoszony w Królestwie Polskiem stan oblężenia... przepraszam, chciałem powiedzieć, stan wojenny, jako środek ostatni dla przywrócenia porządku, musi być wykonany z największą ścisłością, bez pobłażania. Będzie on trwać tak długo, aż zapanuje zupełny spokój. Pamiętajcież, że podczas trwania tego stanu, powinniście wypełniać swe obowiązki ściśle, dokładnie i bez wybiegów. Najmniejszą pobłażliwość, opieszałość lub niedokładność, będę uważać za zbrodnię, za zdradę w obec Rosyi [1]).

I rzeczywiście, chciał okazać pewną srogość. Nie zaprzestał aresztowań rozpoczętych przy Lambercie; ściągał nałożone na kupców kary pieniężne [2]); rozesłał po ulicach Warszawy mnóstwo pieszych i konnych patroli. Nadto wszelkimi sposobami starał się wykazywać swą rzeźkość i czynność. Przechadzał się po Saskim ogrodzie, mimo już zepełnie chłodnej pory roku, w jednym tylko surducie mundurowym [3]). W czasie przeglądów uganiał na koniu po placu, jak jaki młody ofice-

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

[2]) Kar było nałożonych około 70.000, zdołano atoli ściągnąć wszystkiego tylko 4.000 rubli sr.

[3]) Kazaczkowski wprawdzie zapewniał, że pod surdutem nosił lisie futerko i dwa wełniane kaftaniki.

rek. A gdy jenerał Kierbedź, budujący podówczas most żelazny na Wiśle, wyjeżdżał do Petersburga, przy pożegnaniu prosił go Suchozanet o oświadczenie cesarzowi, że chociaż jest stary, lecz czuje się tak silny i rzeźki, że starczy mu sił na jakie dziesięć, a przy spokoju, to i na dwadzieścia lat dla służenia wierze i cesarzowi [1]). Gdy w czasie podniesienia przy Mszy świętej w cerkwi na Zamku, ksiądz wygłaszał słowa: »Błahoczestiwiejszaho, samodierżawniejszaho« [2]) i t. d., Suchozanet regularnie padał na kolana, poczem zaledwie mógł się podnieść o własnych siłach [1]).

Wszystko to wszakże nie posłużyło do niczego. Osobistość, mającą zastąpić hr. Lamberta, odszukano już przedtem, lecz tak cicho i tajemniczo, że nikt tego ani się domyślał. Był nią zapomniany i spokojnie dożywający wieku w swej wili pod Odessą, dawny naczelny wódz krymskiej armii, jenerał-adjutant Lüders [3]).

Przeszłość Lüdersa nie bardzo piękna, nawet w Rosyi, gdzie rzadko który jenerał mógł się pochwalić przeszłością bez zmazy [4]). Lüders początkowo najzwyklejszym sposobem przebijał się przez niższe stopnie w armii, na Kaukazie, oczekując upragnionego dowództwa pułku. W randze majora pozostawał lat szesnaście, a gdy nakoniec doczekał się awansu i dowództwa pułku, zaraz takich się dopuścił nadużyć, że został zdegradowany na prostego żołnierza. W formularzu służbowym niema o tem ani wzmianki, lecz w Rosyi formularze te po

---

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

[2]) Modlitwa za cara.

[3]) Widocznie autor nie znał telegraficznej korespondencyi cesarza z namiestnikiem, poniżej w dodatkach do księgi VII. przywiedzionej; z niej by się dowiedział, że jenerał Lüders nie był tak zapomnianą osobistością, gdy był przeznaczony na naczelnego wodza w razie konfliktu z Europą, oraz, że jenerał Suchozanet od razu został zawiadomiony o zamianowaniu Lüdersa namiestnikiem. W ogóle autor jest uprzedzony do jenerała Suchozaneta i nie jest w stanie zdania swego usprawiedliwić. *Przypisek tłumacza.*

[4]) Przynajmniej tak było za czasów cesarza Mikołaja.

kilka razy się wyczyszczają i korygują; to też i formularz Lüdersa został następnie wyczyszczony, sam wszakże fakt pozostał w pamięci jego współtowarzyszy. Inni powiadają, że rzecz się skończyła na odebraniu pułku i nastraszeniu degradacyą, której atoli nie wykonano. — Za jakieś wyszczególnienie się w bitwie, został przywrócony do dawnej rangi, a zaszła wkrótce węgierska kampania, zasnuła gęstą zasłonę na przeszłość pułkownika. Lüders zasłynął jako dzielny jenerał bojowy. Przytaczano nawet jakiś wzorowy marsz jego w Siedmiogrodzie, gdzie z oddziałem o sile 26 batalionów piechoty, 16 szwadronów i 18 sotni kozaków przy 56 działach, zwycięzko się potykał z węgierską armią, liczącą 42.000 walczących z 112 armatami pod wodzą jenerała Bema. W akademii wojennej profesorowie przez lat kilka wykładali uczniom przebieg tych walk, jako wzorowych.

Około 1850 roku Lüders z dowódzcy dywizyi został mianowany dowódzcą piątego korpusu piechoty, konsystującego w Noworosyi, a gdy w początkach 1856 roku książę Gorczaków został zamianowany namiestnikiem Królestwa Polskiego, Lüdersowi poruczono naczelne dowództwo krymskiej armii z wskazówką zakończenia kampanii i zawarcia pokoju.

W ciągu komenderowania dywizyą, korpusem, a w końcu armią, jednem z głównych zadań Lüdersa stanowiło... podbijanie serc niewieścich, o ile tylko sił i sposobności ku temu starczyło. Któż z owych czasów nie pamięta awanturek jenerała z panią Papudo w Odessie i o dowcipie ks. Mężykowa z tego powodu. Następnie z pułkownikową Dick w Izmaile, której mąż wkrótce awansował na jenerała. Nakoniec awanturki z majorową Woskobojnikową w Bachczysaraju, mąż której nie życzył sobie żadnych awansów i odznaczeń, i za taką służbową naiwność został wysłany na lustracyę szpitali w Krymie z poleceniem wypytywania się o potrzebach rannych żołnierzy, które miał własnoręcznie wpisywać do osobnej, na ten cel wręczonej mu księgi. A rannych żołnierzy w samym Symferopolu było podówczas 12.000, w Perekopie 4.000 i jeszcze

i jeszcze. Powiadają, że cień majora dotychczas błądzi po Krymie i wciąż zapisuje i zapisuje [1]), jak latający Holender, od kilku wieków pokutujący na morzach północnych...

Zresztą bezstronni świadkowie stwierdzają, że swe ostatnie bachczysarajskie tryumfy, Lüders dzielił ze swymi adjutantami, nawet nie bardzo się gniewając o to.

Nic by to wszakże nie znaczyło, bo któż bez winy przed Panem, *kto Bohu nie grieszen, babuszkie nie wnuk*, gdyby jednocześnie stary jenerał nie przypomniał swych pułkownikowskich nawyczek, gdyby się nie porozumiewał z intendenturą i żydami dostawcami, którzy w końcu dopuszczali się rzeczy nie do uwierzenia.

Pewien żyd, dostawca, w jakiejś niemieckiej kolonii niedaleko od Bachczysaraju, na ryuku, publicznie, kazał osiec oficera, który nie chciał przyjąć zepsutego siana. Wdrożono dochodzenie, które wypadło na niekorzyść żyda. Inni wszakże żydzi, mający bezpośrednie stosunki z głównodowodzącym, umieli przemówić za swym współwyznawcą. Naznaczono inną komisyę śledczą i oskarżony został uniewinniony [2]).

Oprócz stosunków z liwerantami żydami, były i inne jeszcze, wcale nieodpowiednie rzeczy. Naprzykład głównodowodzący uznał, że ilość koni, jakie miał prawo utrzymywać, to

---

[1]) Jenerał-porucznik Czerwiński, dyżurny jenerał krymskiej armii, wynalazca tej komenderówki dla majora Woskobojnikowa na rozkaz swego przełożonego, następnie wobec sztabowych oficerów, między któremi był i autor tego dzieła, krytykował i uskarzał się, że mogą się wydawać podobne polecenia i instrukcye. „A nie wykonaj, to cię przepędzą i zawsze wynajdą takiego dyżurnego jenerała, który zastosuje się do woli głównodowodzącego. Myślałem, myślałem, walczyłem długo z sobą i nakoniec napisałem żądaną instrukcyę! Kijem nie zwalczysz obucha!“ (właściwie pletnią — *pletiu obucha nie pieriesziybiosz*).

[2]) Dla rozprószenia jakiejkolwiek wątpliwości co do przytoczonego tak dziwnego wypadku, autor musi oświadczyć, że jako członek pierwszej śledczej komisyi, osobiście był przytomnym przy przeprowadzaniu dochodzenia i w charakterze tłumacza rozpytywał mnóstwo

jest 60 koni, była niewystarczająca i pobierał furaż na 100 koni, ma się rozumieć pieniądzmi, co przy ówczesnych cenach w Krymie wynosiło miesięcznie więcej, niż cała roczna płaca jenerała [1]). Mało to jeszcze, wszystkiego ani spamiętać, ani opowiedzieć się nie da.

Wszystkie te fakta utonęłyby w rzece zapomnienia, jak tonie w Rosyi miliony podobnych zajść i wydarzeń, gdyby zupełnie niespodzianie nie rozpoczęto znanego na cały świat procesu przeciw krymskiej intendanturze. Rozpoczęło się zaś z takiego powodu, że jenerał-intendant Sattler odmówił dalszych pożyczek pewnej wysoko położonej osobie, która przysyłała do niego po pieniądze, jak do własnej kasy. Dochodzenia się rozpoczęły i doprowadziły do wykrycia nadużyć naczelnego wodza. Cesarz dowiedział się wówczas o Lüdersie wielu rzeczy, o którychby inaczej nigdy nie usłyszał.

Na 7. września 1856 roku, na dzień koronacyi, dostali zaproszenie do Moskwy obadwaj ostatni głównodowodzący: książę Gorczaków i Lüders. Dwór i jeneralicya oczekiwali przybycia cesarza na dziedzińcu w Piotrowskim zamku. Cesarz wysiadłszy z powozu, zbliżył się do Lüdersa, odebrał od niego raport służbowy i nie odezwawszy się słowa, natychmiast zwrócił się do księcia Gorczakowa, wziął go pod rękę i wszedł z nim razem do pałacu. Lüders zachorował ze zmartwienia, zapewniał wszystkich znajomych, że pluje krwią i zaraz wniósł na ręce ministra wojny, niedawnego swego podwładnego, prośbę o udzielenie mu urlopu za granicę do wód, dla poprawienia

---

kolonistów Niemców, ich wójta; ci zeznali pod przysięgą, że widzieli, „jak żyd, dostawca, kazał schwycić innym żydom oficera i ociwczyć.“ Wypytywania były tak szczegółowe, że obliczano ilość plag. Druga komisya spisała protokolarnie, „że tylko jeden włościanin bardzo podejrzanej prawdomowności, miał widzieć, jakoby bito rózgami jakiegoś oficera.“

[1]) Gorczaków pobierał furaż tylko na ośm koni, które rzeczywiście stały na stajni i zupełnie wystarczały nawet w najuciążliwszych chwilach kampanii — których Lüders już wcale nie zaznał.

nadwątlonego zdrowia. — Ma się rozumieć, że bez trudności uzyskał, czego żądał [1]).

Z tą chwilą bohater nasz zniknął wszystkim z oczu i dożywał w dobrze zasłużonym stanie spoczynku dni swoich na brzegach Czarnego morza, coraz bardziej siwiejąc i nie mając już żadnej nadziei na jakąkolwiek zmianę stosunków. Nawet zaprzestał zwykłych swych zalecanek do ładnych kobiet. Pułkownik Krywonosów opowiada wszakże, że już przedtem proponowano Lüdersowi, wstąpienie napowrót da czynnej służby i że wielki książę Konstanty spotkawszy go za granicą, był dlań nadzwyczaj uprzejmy.

Naraz, wkrótce po opisanym zajściu Gerstenzweiga z Lambertem, przybił do brzegu parochód cesarski, przywożąc staremu weteranowi gabinetowy rozkaz bezzwłocznego przybycia do Nikołajewa, gdzie bawił podówczas cesarz.

Dnia $^{9}/_{21}$ października, a więc w pięć dni po aresztowaniach kościelnych, cecarz podpisał w Liwadii ukaz, mocą którego jenerał-adjutant Lüders został mianowany pełniącym obowiązki namiestnika Królestwa Polskiego. W kilka dni potem wyjechał na miejsce swego nowego przeznaczenia i dnia 5. listopada o godzinie pierwszej po północy stanął w Warszawie, razem z szefem głównego sztabu pierwszej armii, jenerał-porucznikiem Kryżanowskim i pułkownikiem jeneralnego sztabu Czernickim, którzy z polecenia Suchozaneta wyjechali na spotkanie nowego namiestnika do Żytomierza, w celu przedwstępnego zapoznania go ze stanem główniejszych spraw w kraju. — Wysyłając Czernickiego do Żytomierza, jenerał Kryżanowski dał taką ustną instrukcyę: »przedewszystkiem opowiadaj Lüdersowi o pięknych warszawiankach, a wszystko będzie dobrze [2]).

Dnia 5. listopada umarł Gerstenzweig, 8. był pogrzeb. Trumnę, obitą pąsowym aksamitem, wynieśli z pałacu Bry-

[1]) Opisanie zarządzeń co do zaopatrzenia krymskiej armii żywnością i amunicyą w roku 1854—1856. — Lipsk u Drugulina, strona 391—392. [2]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

lowskiego jenerałowie Giecewicz i Paniutyn, oraz sześciu podoficerów. Za trumną postępowało trzech pastorów, żona z córką i żona jenerała Niepokojczyckiego. Na Saskim placu stał batalion piechoty i cztery działa dla oddania pośmiertnych honorów. Wszystkich zwróciło uwagę, że gdy jeneralicya wyszła z bramy pałacu, Suchozanet zawołał, wskazując na Lüdersa: »konia głównodowodzącemu.« — (Dziennik Krywonosowa).

Taki obrót sprawy i nadspodziewanie prędki przyjazd Lüdersa do Warszawy, były spowodowane nieporozumieniem, jakie zaszło między Wielopolskim a Suchozanetem od pierwszej chwili ich spotkania się w Warszawie. Bóg w tym wypadku obdarzył wzrokiem ślepego i ten dojrzał, co bystrookcy prześlepili, że Wielopolski to »fałszywy krok ze strony rządu, który wszelako dałby się jeszcze naprawić.» — (Księga IV).

Pod naciskiem z Petersburga, doprowadzono do jakokolwiek znośnego pożycia, ale iskry, sztucznie i przymusowo przytłumionego ognia, tlały pod popiołem i najlżejszy powód wystarczał do ponownego wybuchu. Powód taki znalazł się natychmiast po ponownym powrocie Suchozaneta do Warszawy.

Nazajutrz, po opisanem przez nas przyjęciu władz na Zamku z dnia 26. października 1861 roku, Margrabia ogłosił w dodatku do numeru 23. *Dziennika powszechnego* projekt oczynszowania włościan i projekt cesarskiego ukazu w tej sprawie z wymienieniem imienia cesarza. W Europie rzecz to zwyczajna, lecz w Rosyi można z tego zrobić Bóg wie jaką zbrodnię stanu. Suchozanet rozkazał osadzić na głównym odwachu Sobieszczańskiego, naczelnego redaktora *Dziennika powszechnego*, a z Wielopolskim nadzwyczaj ostro się przymówił, przyczem, gdy ten nieco głos podwyższył, Suchozanet zrobił uwagę: »Pan zapominasz, że mnie sam cesarz naznaczył.« — »Mnie zaś prosił« — odparł spokojnie Wielopolski [1]). Po tem

[1]) Wielopolski przez cały czas ośmiodniowego aresztu Sobieszczańskiego, najtroskliwiej dbał o jego wygody, posyłał mu jedzenie ze swego stołu i t. d. — (Wiadomość z redakcyi Dziennika).

zajściu obydwaj wysłali kuryerów do cesarza, Suchozanet jenerała Potapowa, Wielopolski zaś swego syna Zygmunta. Podorożne na prawo użycia koni pocztowych wydawał w Zamku adjutant namiestnika Jefimowicz. Ten nic nie wiedząc o zajściu namiestnika z Wielopolskim, wystawił podorożnę Zygmuntowi Wielopolskiemu na pierwsze zażądanie. Wieść o wysłaniu Zygmunta do Petersburga w jednej chwili rozbiegła się po Warszawie. Potapow pospieszył do Suchozaneta, twierdząc: »że cała sprawa będzie na nic, jeśli go Zygmunt uprzedzi w Petersburgu.« — »A ktoż dał podorożnę?« — zakrzyczał Suchozanet. — »Wydali ją tutaj, w Zamku, w sposób najzwyklejszy« — odrzekł Potapow. — Zawołać Jefimowicza! I Jefimowiczowi, Bóg wie za co, dostała się porządna wymówka. Dla zapobieżenia zaś wyjazdowi Zygmunta, wysłano na pocztę sekretny rozkaz, by do pewnej oznaczonej godziny nikomu nie dostarczono koni. To na chwilę wstrzymało Zygmunta Wielopolskiego. Potapow wyjechał dnia 29. października rano, Wielopolski po południu [1]). Wkrótce potem zawezwano samego Margrabiego do Petersburga i ten wyjechał dnia 3. listopada, a 7. był już w stolicy [2]).

Zjawienie się Margrabiego wśród dworaków i nadwornych błaznów wywarło wstrząsające wrażenie. Wszyscy z ciekawością i zadziwieniem, połączonem z pewnym rodzajem trwogi, spoglądali na postać magnata z jakichś małoznanych czasów i światów, który zachowywał się z nadzwyczajną godnością, innem okiem na wszystko patrzał, innemi słowy przemawiał. Nie mało mówiono o i tem, jak wkrótce potem w czasie wielkiego przyjęcia u dworu na Nowy rok 1862, Margrabia stanął razem z członkami ciała dyplomatycznego, jakby czyjś poseł lub delegat. Opowiadano także, że raz w sali audyen-

[1]) Zajście to zupełnie inaczej się przedstawia na podstawie depesz namiestnika do cara. — Patrz dodatek do księgi piątej.
Tłumacz.

[2]) Droga żelazna między Petersburgiem a Warszawą podówczas jeszcze nie była wykończoną.

cyonalnej Margrabia usiadł, a na zrobioną mu uwagę, że »tu siadać nie wolno«, odpowiedział: »być może, że wam nie wolno, gdy jesteście u swego cesarza, ale ja jestem u swego króla.«

Ta magnacka buta, pochodząca z zasady przez Margrabiego przyjętej, by nikomu nie ustępować i przed nikim się nie uniżać [1]), była tolerowaną także wskutek wyrozumowania, że: »jeżeli ten człowiek był potrzebny rządowi przed ośmioma miesiącami, gdy jeszcze nie zaszło nic nadzwyczajnego, żadnego zagmatwania sprawy, a były tylko strachy, stworzone w wyobraźni rozluźnionej władzy, to o ileż on potrzebniejszy w chwili obecnej, gdy w samej rzeczy zaszły już wypadki nie do uwierzenia, sprawy się splątały w nierozwikłalne węzły; gdy w Warszawie i kilku innych miastach kościoły pozamykane [2]); gdy jenerał-gubernator odebrał sobie życie; namiestnik poprostu uciekł; w wielu miejscowościach wójtowie gmin nie ogłosili nawet ludności o zaprowadzeniu stanu wojennego; włościanie zwolnieni z pańszczyzny byli przekonani, że zostali uwolnieni od wszelkich powinności nietylko wobec obywateli, lecz i wobec rządu; gdy w jednym hrubieszowskim powiecie 135 wsi odmówiło wszelkiego posłuszeństwa, tak, że musiano wysyłać tam wojsko dla przywrócenia porządku; gdy białych prawie nigdzie nie spotkać, gdy ich potrzeba formalnie wytwarzać i łowić; gdy cała Europa wrogo dla Rosyi usposobiona; gdy nowe królestwo Włoskie zezwala na urządzenie polskiej wojskowej szkoły w Genui; gdy na emigracyi powstają komitety za komitetami, tworzą się komisye jedna za drugą [3]): czyż czas teraz na słuchanie nieuzasadnionych oskarżeń Su-

---

[1]) W *lettre d'un gentilhomme polonais* powiada: „jak skoro przestaniemy grać rolę niewolników, staniemy się współobywatelami naszych władców.

[2]) W Łęczycy zamknięto dwa kościoły, w Ratowie, w gubernii Płockiej także. O wielu wypadkach tego rodzaju władze miejscowe wcale nie donosiły.

[3]) W połowie 1861 roku zorganizowała się pod opieką jenerała Dembińskiego w Paryżu komisya potrzeb emigracyjnych. Prezesem

chozaneta przeciw Polakom, potrzebnym rządowi«. Margrabia miał racyę. Potapów nie potrafił nawet zwrócić na siebie uwagi wyższych sfer rządowych, nie mówiono wcale o nim i nikt nie był ciekawy z czem, z jakiego powodu i po co przyjechał do północnej stolicy. Wszyscy byli zajęci jednym Wielopolskim. Ten był u wszystkich w myśli i na języku; wszystkie wyższe salony stolicy stały dlań otworem; po jego stronie stanęła cała arystokratyczna inteligencya Petersburga z bardzo nielicznymi wyjątkami. Cesarz codziennie wzywał go do siebie. Raz przedstawił go cesarzowej i pozostawił ich samych. Margrabia podczas krótkiej rozmowy potrafił zacytować zręcznie i z efektem wiersz jakiegoś niemieckiego poety i tem cesarzową zjednał dla siebie. *(Lisicki* pisze, że cesarzowa nieraz tę chwilę rada wspominała — tom II, str. 267).

Wszędzie gdzie się zdarzyło, szczególniej zaś w rozmowach swych z cesarzem, Wielopolski dowodził, że w tak trudnych stosunkach, na naczelne stanowisko potrzebny był ktoś

---

był Zygmunt Gordaszewski, członkami Stawiarski i ksiądz Rożański, sekretarzem Smagłowski, kasyerem Smolikowski. Komisya ta chciała skupić w swym ręku wszystkie fundusze zbierane na cele patryotyczne, lecz zaszły nieporozumienia. Dembiński z patrona stał się wrogiem i zawiązał współzawodniczące stowarzyszenie. To paraliżowało składki i komisya się rozwiązała w grudniu 1861 roku. Zjawił się następnie komitet tymczasowy zjednoczonej emigracyi w składzie: Leon Czechowski, prezes; Rufin Piotrowski, kasyer; Leon Mazurkiewicz, sekretarz; Julian Michałowski, Aleksander Waligórski, Ignacy Bohdanowicz i Walenty Lewandowski, członkowie. Wydano kilka odezw ze skargami na brak wiary i ufności. W początkach 1862 roku komitet zjednoczonej emigracyi wszedł w stosunki z centralizacyą Towarzystwa Demokratycznego w Londynie, potrafił zebrać około 19.000 franków i podzielił emigracyę polską, przebywającą w Paryżu, na dziesiątki. W końcu lutego 1862 roku utworzył się paryski centralny komitet, który w pierwszych chwilach niósł wielką pomoc powstaniu. — Na początku marca tegoż roku przyjęto na członka ks. Władysława Czartoryskiego z wkładką 15.000 franków i zaraz potem wyprawiono do Kongresówki 25 emisaryuszy, umiejących po rosyjsku. — (Fałszywie mu przedstawiono. *Przypisek tłumacza).*

młodszy i zdolniejszy, niż Suchozanet. Wkrótce też telegraficznie polecono Lüdersowi, ażeby przyspieszył swój wyjazd. To też widzieliśmy, jak się prędko wybrał i stanął w Warszawie we dwa tygodnie po swem zamianowaniu.

Nazajutrz dnia 6. listopada o pół do dwunastej odbyło się na Zamku, zwykłe w takich razach, przyjęcie władz, które trwało zaledwie 10 minut. Lüders wypowiedział kilka zdań urywkowych, że: »cesarz życzy, by wszyscy dołożyli wszelkich możliwych starań, celem uspokojenia kraju; że dotychczasowe działania nie były dosyć energiczne« i t. p. Pożegnawszy zgromadzonych, Lüders podał Suchozanetowi rękę, nie zwróciwszy się ku niemu [1]).

Czy to się stało przypadkowo, czy też nowy namiestnik chciał w tej chwili dać uczuć staremu, oddalającemu się w zapomnienie wieczności, swemu dawnemu przełożonemu, te chwile, gdy będąc ministrem wojny, tak gorliwie starał się zbadać sekretne sosunki, zachodzące między naczelnym wodzem krymskiej armii a żydami dostawcami...?

Przez następnych dni cztery, od 10. do 13. listopada odbywały się na placu broni przeglądy wojsk załogi warszawskiej. Pierwszego dnia, podjechawszy przed front pierwszego batalionu, Lüders powiedział: »Chłopcy! najjaśniejszy pan mianując mnie dowódzcą pierwszej armii, rozkazał, bym wam podziękował za ciężką i gorliwą służbę.«

Dnia następnego szczególnie dobrze się przedstawiła pierwsza kompania Schlüsselburgskiego pułku piechoty. Suchozanet prezentujący wojska nowemu namiestnikowi, do łez był poruszony — Lüders zaś mu powiedział: »Przedstaw pan cesarzowi, w jakim stanie wojska odbieram« [1]).

Mieszkańcy miasta Warszawy przypatrywali się uważnie nowej osobistości i starali się odgadnąć swoją przyszłość z twarzy przystojnego i rzeźkiego jeszcze weterana, ozdobionej dużymi, siwymi wąsami. Próżne trudy, gdyż rysy te, ró-

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

wnież jak sam człowiek, nigdy nie mówiły wiele. Twarz była zuchowata i nic ponadto.

Przedewszystkiem zauważano oryginalne spacery po mieście, piechotą, bez żadnego otoczenia; zwiedzanie magazynów, w których kupując różne drobiazgi, namiestnik targował się, jak zwykły śmiertelnik; wreszcie jeżdżenie po mieście w odkrytym powozie, bez eskorty, co stanowiło silny kontrast z wyjazdami Suchozaneta, którego otaczało z początku pół sotni a w końcu cała sotnia kubańskich kozaków.

Mówiono także o dziwnem zachowywaniu się namiestnika w teatrze, na przedstawieniach baletów i oper; o częstych wycieczkach jego za kulisy, właściwie zaś o różnych zajściach za kulisami, o rozkosznych sam na sam rozmowach z pięknemi aktorkami, przyczem zwykł troskliwie oglądać ich ręce i porównywać ze swojemi, rzeczywiście pięknemi i nadzwyczaj starannie utrzymanemi.

Mówiono o Rembielińskiej, że znalazła dostęp i do tego namiestnika, mieszkała po dawnemu na Zamku i mięszała się do różnych spraw. Mianowicie zaś zdołała uwolnić niejakiego Lubelskiego, który dnia 27. października w katedrze św. Jana dyrygował śpiewami hymnów narodowych, oraz Wurzelbluma i Koczarowskiego, skazanych na prostych żołnierzy za branie udziału w różnych ulicznych nieporządkach. Mówiono, że za to otrzymała od uwolnionych 6.000 złp., tytułem zwrotu różnych wydatków [1]).

Że zaś nowa miotła zwykle czysto miecie, oczekiwano też od nowego namiestnika pewnej surowości. Jakoż zaraz po przyjeździe swym do Warszawy, zarządził niektóre zaostrzenia wydanych przepisów. Dnia 7. listopada uwięziono: kanonika Siekluckiego, jako najbardziej skompromitowanego w zamknięciu kościołów; fotografa Bayera; starszego rabina Mayzelsa, za polecenie zamknięcia synagogi zaraz po zamknięciu kościołów, oraz wybitnych żydowskich kaznodziei: Jastrowa, Kramsztyka

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

i Feinkinda. — Feinkinda uwolnił wkrótce komendant placu Bebutow, który, jak mówiono, powierzał mu swe fundusze do obrotów finansowych.

Wzbroniono i rzeczywiście ukrócono sprzedaż hymnów i obrazków rewolucyjnych; chłopaki, którzy się tem dotychczas zajmowali, uskarżali się przed oficerami, że »teraz inne czasy, towar nie odchodzi.« Jednakowoż pokryjomej sprzedaży powstrzymać nie zdołano.

W końcu namiestnik zapytał kapitułę, jakiem prawem i na jakich podstawach zarządziła zamknięcie kościołów?

Kapituła odpowiedziała w sposób tak zuchwały, że namiestnik nie uznał za stosowne, wdawać się w dalsze rokowania i nakazał uwięzić administratora dyecezyi, jako zwierzchnika kościoła, bez którego przyzwolenia nietylko zamknięcie kościołów, ale nawet najmniejsze zarządzenie katolickiego duchowieństwa nastąpić nie mogło. Wdrożono dochodzenie. Na zapytanie śledczej komisyi »z jakich powodów zamknięto kościoły św. Jana i Bernardynów?« zalękniony administrator odpowiedział: »Kazałem je zamknąć także i dlatego, że nie widziałem innego środka dla przerwania zabronionych śpiewów i tym sposobem odpowiadałem woli rządu, wzbraniającego Polakom śpiewania narodowych hymnów.« — Na zapytanie zaś »dlaczego następnie zamknięto wszystkie inne kościoły?« prałat odpowiedział: »W myśl ustaw kanonicznych, kościół katedralny jest matką wszystkich innych kościołów, które są jego córami. Otóż gdy cierpi macierz i córy winny podzielać jej cierpienia.« Wszystkie odpowiedzi prałata, na ośm zadanych mu pytań przy pierwszej indagacyi dnia 16. listopada, mają ten sam, przeistaczający doniosłość zajścia, charakter.

Następnych dni od 17. do 20. listopada ksiądz Białobrzeski był cierpiący i nie mógł być badany. Dnia 21. listopada komisya śledcza przedłożyła prałatowi księgi ustaw kanonicznych i zażądała wskazania paragrafów upoważniających lub nakazujących zamknięcie kościołów w powołanych okolicznościach. Ksiądz Białobrzeski natychmiast wskazał, między

uchwałami Soboru Trydenckiego na następujące postanowienie: »Godność biskupa nakazuje mu wszelkimi sposobami troszczyć się o zbawienie dusz powierzonej mu owczarni; używać wszelkich sposobów, mogących jego zdaniem doprowadzić do pożądanego celu, ku powiększeniu chwały Bożej i oddaleniu wszelakiego zgorszenia i obrazy Boga, szczególniej zaś w kościołach, jako miejscach szczególniej czci Bożej poświęconych. Stąd, jeśli biskup nie może osiągnąć celu ani przedstawieniami, ani prośbą lub groźbą, pozostaje mu jeszcze ostateczny środek: zamknięcie ludowi dostępu do miejsca świętego.« — Przytoczone tu z akt śledczych powołanie się na księgi prawa kanonicznego, czy to z rozmysłu, czy bezwiednie, nie jest dokładne. Autor nie mógł nigdzie odszukać odpowiednich tekstów, polscy zaś katoliccy księża odmówili mu wszelkich wyjaśnień w tej sprawie.

W myśl tego tłómaczenia się winnym był lud cały, kapituła zaś i administrator działali tylko w myśl rządu i postanowień Trydenckiego Soboru. Łatwo wszakże przyszło komisyi udowodnić prałatowi brak szczerości i przedstawić zaszłe fakta w rzeczywistem świetle. Jako najcięższy dowód służyła »odezwa konsystorza do warszawskiego duchowieństwa z dnia 16. października«, w której mowa o zupełnie innych powodach zamknięcia kościołów i że ono nastąpiło »wprost z rozkazu administratora.«

Zresztą między postanowieniami prawa kanonicznego odszukano i takie, które były wręcz przeciwne sposobowi, w jaki w Warszawie kościoły zamknięto. Wynaleziono nawet artykuł »zabraniający biskupom nakładanie interdyktu na wszystkie kościoły jednocześnie«, oraz inny, usprawiedliwiający aresztowanie w świątyniach wszystkich obecnych [1]).

Sąd wojenny, po rozpatrzeniu sprawy, uznał księdza administratora winnym: oporu władzy, zamiaru wywołania wzburzenia w narodzie, i orzeczeniem swem z dnia 2. grudnia 1861

[1]) Jednak i tutaj powołanie się na teksta jest niedokładne.

roku skazał go na pozbawienie godności kapłańskiej i posiadanego przezeń orderu św. Anny drugiej klasy, następnie zaś na śmierć przez rozstrzelanie. Konfirmacya namiestnika złagodziła wymiar kary. Ksiądz Białobrzeski został skazany na rok więzienia w twierdzy Bobrujskiej, bez pozbawienia orderu i kapłaństwa.

Po takim wyroku, kapituła postanowiła zerwać wszelkie stosunki z rządem, nie przyjmować żadnych pism nadchodzących z komisyi spraw duchownych, i o wszystkiem zawiadomiła papieża z prośbą wyjednania u dworu petersburgskiego oswobodzenia administratora, albo też o naznaczenie mu wikaryusza jeneralnego [1]).

Papież zajął się tą sprawą o ile tylko zezwalały na to względy polityczne. W odpowiedzi duchowieństwu wysłał uspokajający list do Warszawy, lecz jednocześnie brał na uwagę i przedstawienia posła rosyjskiego w Rzymie, który nalegał na przyspieszenie prekonizacyi metropolity warszawskiego, mającego być wkrótce przedstawionym, a który będzie miał za zadanie: otwarcie zamkniętych kościołów i położenie tem kresu nieznośnemu stanowi ludności ogromnego miasta, od dwóch już miesięcy pozbawionej wszelkich posług duchownych.

W owym czasie położenie Ojca świętego było bardzo krytyczne. Władza świecka papieża z dniem każdym stawała się bardziej zachwianą. Nadzwyczajne powodzenia Garibaldiego i Wiktora Emanuela, którzy w tak krótkim czasie, z różnych włoskich państw i państewek potrafili utworzyć nowe włoskie królestwo, i łakomą ręką już sięgali Rzymu, jako koniecznego zakończenia rozpoczętego dzieła włoskiej jedności, napełniały Watykan bardzo uzasadnionemi obawami.

Ze wszystkich pierwszorzędnych mocarstw, jedyna Rosya była wrogo dla nowych Włoch usposobioną, nie uznała jeszcze Królestwa Włoskiego i nie wypowiedziała ostatecznego zdania co do praw Franciszka II Neapolitańskiego. Jeszcze

---

[1]) Pismo to miał zawieźć do papieża Henryk hr. Rzewuski.

zbyt świeżo pozostał jej w pamięci związek Wiktora Emanuela z Anglią, Francyą i Turcyą w Krymie. Do tego przyłączyły się niebezpieczne konszachty króla włoskiego z rewolucyonistami wszelkich narodowości i krajów za pośrednictwem Garibaldiego, oraz zezwolenie na założenie polskiej szkoły wojskowej w Genui.

Szkołę tę założono w Październiku 1861 roku pod kuratelą polsko-włoskiego komitetu, złożonego z następujących osób: jenerałowie: Occipiente i Nino-Bixio; książę Marceli Lubomirski, dobrowolny emigrant z 1850 roku, mieszkał przeważnie w Tyrynie, umarł zaś w 1865 roku w Paryżu; oraz deputowany włoski Valezio. Rząd nowego włoskiego królestwa oddał na użytek szkoły stary, opuszczony klasztor w Genui z dużym ogrodem i dziedzińcem. W dwupiętrowym poklasztornym gmachu mogło się pomieścić do 500 ludzi. Na adaptacyę i pierwsze urządzenie rząd włoski wyasygnował 100.000 franków, potem zaś wypłacał po 10.000 franków miesięcznie [1]). Nadto szły na ten cel znaczne fundusze z kraju.

Pierwszym dyrektorem szkoły do marca 1862 roku został jenerał Ludwik Mierosławski, następnie zaś jenerał Józef Wysocki. Komendantem szkoły był pułkownik Fijałkowski, zastępcą zaś jego major Englert. Tenże był pierwszym instruktorem piechoty. Drugim instruktorem piechoty był kapitan Brazewicz, trzecim porucznik Służewski.

Naczelnym instruktorem jazdy był pułkownik Czapski, drugim rotmistrz Rogaliński, trzecim rotmistrz Stojowski. — Kapitan Padlewski wykładał strategię, taktykę i historyę wojenną; Lille (pseudonim oficera ze służby rosyjskiej) geografię wojskową; pułkownik Waligórski topografię i naukę rysowania map. Artyleryę i matematykę wykładali: Padlewski, Lille i kapitan Langiewicz. Nadto sam dyrektor Mierosławski miewał wykłady z wojskowej geografii i taktyki.

[1]) Inni mówią, że tylko 40 do 60 tysięcy franków rocznie.

Profesorowie i instruktorowie pobierali płacę od 300 do 600 franków miesięcznie. Mieszkali w mieście, równie jak dyrektor i komendant. Jenerał Wysocki mieszkał nawet stale w Paryżu i tylko raz na miesiąc zaglądał do szkoły. Uczniów szkoła liczyła 211, (t. j. 50 w jeździe, 9 w artyleryi, wszystko ukończeni słuchacze kursu fizyko-matematycznego z uniwersytetów rosyjskich, reszta zaś w piechocie). Z całej tej liczby pozostało żyjących 38 ludzi, z nich zaś w kraju tylko 8 (lato 1879 roku). Uczniowie stale przebywali w szkole. Porządek dzienny był następujący: O godzinie 4. rano odgłos bębna budził wszystkich do wstawania i trzechkrotnego apelu. Na śniadanie dostawał każdy kieliszek wódki i bułkę. Po trzecim apelu piechota winna już była być na placu musztry, która trwała do godziny 8. rano. Jazda szła opatrzyć konie, poczem razem z piechotą odbywała musztrę. Od 8. do 9. wypoczynek i śniadanie, złożone z kubka kawy i bułki. Od 9. do 1. wykłady w audytoryach. Od 1. do 2. wypoczynek i drugie śniadanie z wódką. Od 2. do 3. fechtunek na pałasze, bagnety i lance. Od 3. do 4. wykład. Od 4. do 5. obiad, złożony z trzech potraw: kapuśniak, barszcz albo rosół, sztuka mięsa i pieczeń z sałatą, nadto makaron, kalafiory lub inna jarzyna. Każdy dostawał butelkę czerwonego wina. Od 5. do 7. musztra jazdy, artyleryi i piechoty. Regulamin piechoty traktował o przyjęciu i ćwiczeniu rekrutów, o zmianie wart, służbie na forpocztach, głównej straży, fortecznej, obozowej; o hasłach, odzywach i t. d. Od 7. do 9. wypoczynek. Pozwalano na wyjście do miasta. O 9. capstrzyk i apel wieczorny, przy którym wszyscy musieli być obecni. W razie niepogody musztra odbywała się w opuszczonym kościele.

Dyżurni zmieniali się co 24 godzin. Straż się składała z podoficera i 4 szeregowców. Sąd domowy składali: komendant, 2 instruktorów i 2 uczni. Za karę stawiano na warcie w tornistrze obciążonym piaskiem, zamykano w areszcie czasem o chlebie i wodzie, a dla kogo kary te nie wystarczały, tych wydalano z zakładu. Szkołę obsługiwało sześciu żołnierzy

z więźniów wojennych z pod Sebastopola, którzy nie chcieli wrócić do kraju. Religijne posługi spełniał przychodni ksiądz z miasta, przychodząc co dwa lub trzy dni do zakładu. W niedzielę i święta słuchano Mszy świętej w którymkolwiek kościele w mieście. W marcu 1862 roku z obawy, ażeby uczniowie szkoły nie wzięli udziału w wyprawie Garibaldiego pod Mentonę, przeniesiono szkołę z Genui do Cuneo i oddano ją pod nadzór jenerała Pallaviciniego. Gdy zaś Rosya uznała Królestwo włoskie w sierpniu 1862 roku, szkołę zwinięto. — Odjeżdżającym wypłacono na rękę po trzysta franków na koszta podróży. Pozostałym zaś płacono gażę sześćdziesiąt franków miesięcznie. Kto życzył sobie pozostać w włoskiej służbie, musiał złożyć w ministeryum wojny egzamin oficerski i następnie zobowiązać się do siedmioletniej służby. Wszakże nie znalazł się ani jeden ochotnik [1]).

Wszystko to wskazywało Ojcu Świętemu na niestałość europejskiego ustroju i wzbudzało nadzieję, że przynajmniej jeszcze na czas pewien Rzym pozostanie dawnym Rzymem papieskim. W każdym razie w owym czasie Papież widział w jednej Rosyi podporę swych politycznych zamysłów. Gabinet schodzącego z horyzontu Europy »świeckiego króla«, uważał za niezbędne zachować możliwie najlepsze stosunki z olbrzymem północy. W listopadzie 1861 r. Jego Świętobliwość oświadczył posłowi rosyjskiemu w Rzymie, że jest skłonnym prekonizować na metropolię warszawską osobistość przez rząd wskazaną, wyrażając zarazem życzenie utworzenia nuncyatury w Petersburgu.

Tymczasem zaś w Petersburgu szukano odpowiedniego i zaufanego człowieka na tę wysoką godność.

Miano, jak się zdaje, na widoku kanonika Zwolińskiego, proboszcza na Pradze, który nie zamknął swego kościoła i zasięgnięto pod tym względem zdania margrabiego Wielo-

[1]) Wiadomość zaczerpnięta od byłych uczniów szkoły.

polskiego, zaraz po przybyciu tegoż do stolicy. Margrabia wszakże nie mógł oświadczyć się za osobistością tak niepopularną i dodał, że w tych, tak wyjątkowo trudnych chwilach potrzeba człowieka młodszego, energiczniejszego, z szerszym na świat poglądem oraz z wychowaniem europejskiem, w całem tego słowa znaczeniu. A gdy go zapytano, kogo by zaproponował, zażądał paru dni czasu do namysłu i zasięgnął rady swego dawnego znajomego, proboszcza Rewelskiego, podówczas przypadkowo bawiącego w Petersburgu, księdza kanonika Konstantego Lubieńskiego, człowieka wielkich zdolności, a przytem najprzebieglejszego z przebiegłych.

Lubieński wskazał Margrabiemu młodego profesora w duchownej akademii petersburgskiej, księdza Szczęsnego Felińskiego. Są tacy, co twierdzą, że Lubieński rozmyślnie wysyłał swego przyjaciela dla oczyszczenia ciernistej drogi, przewidując, że przy tej czynności musi koniecznie kark skręcić, by potem, przy pomocy togoż Wielopolskiego sam mógł zasiąść na tronie arcybiskupim. Nie dociekając wszakże powodów, które wpłynęły na ten wybór, wiemy, że rząd przedstawił Stolicy świętej księdza Felińskiego na kandydata do godności warszawskiego arcybiskupa-metropolity.

Z przeszłości Felińskiego wiemy, że ojciec jego, Gerard Feliński, był niezamożnym obywatelem na Wołyniu. Po roku trzydziestym został zesłany na Sybir, jako oskarżony o rewolucyjną propagandę, gdzie umarł w 1838 r., gdy młody Szczęsny Zygmunt liczył zaledwie 11 lat wieku. Stryj Zygmunta, Alojzy, autor Barbary Radziwiłłówny, bardziej był znany, jako autor drobnych piosnek patryotycznych i hymnu »Boże coś Polskę«, hymnu, którego w 1862 roku wypadło synowcowi zabraniać. Matka przyszłego arcybiskupa, Ewa z Wendorfów, bystra i wykształcona osoba, obdarzona pewnemi literackiemi zdolnościami, należała do spisku na Wołyniu z czasów Konarskiego, pod nazwą »Stowarzyszenie ludu polskiego«, za co wraz z zięciem swoim Szemiotem, została zesłaną do Berezowa, najbardziej na północ wysuniętego miasteczka powiatowego w gu-

bernii Tobolskiej [1]). Sześcioro dzieci: Zygmunt, dwaj jego bracia i trzy siostry, pozostały zupełnemi sierotami. Opuszczoną dziatwą zajęli się różni majętniejsi obywatele z Wołynia i Podola. Zygmuntem zaopiekował się Brzozowski, majętny obywatel z Podola, wziął go do swego domu na wychowanie, a następnie wysłał na studya uniwersyteckie do Moskwy. Po ukończeniu tam matematycznego fakultetu w 1848 roku żywy i ognisty młodzieniec, przepełniony marzeniami o przyszłości Polski, wyjechał z panią Brzozowską [2]) do Paryża, w charakterze domowego nauczyciela jej dzieci. Przy przejeździe przez Prusy, w Poznańskiem, podróżni spotkali oddział zbrojny polski, maszerujący pod wodzą Mierosławskiego pod Miłosław. Młody Feliński, nie namyślając się długo, wyskoczył z powozu i pociągnął na boje z bracią Wielkopolanami. Pod Miłosławiem ranny pałaszem w głowę, wrócił do Paryża do rodziny Brzozowskich i jakby nic nie zaszło, zaczął żyć życiem światowem. Kochał się, pisywał wiersze w albumach pięknych pań, od czasu do czasu spotykał się z wpływowymi ludźmi na emigracyi, przeważnie z kół demokratycznych i uczył się od nich polskiego demokratycznego katechizmu. Najbardziej wówczas zbliżył się do znanego poety Juljusza Słowackiego, który w 1849 roku umarł na ręku swego młodego przyjaciela i wielbiciela [3]). — Gdyby jakiś wróżbita powiedział podówczas temu moskiewskiemu studentowi, żołnierzowi drużyn Mierosławskiego, temu paryskiemu lowelasowi i czcicielowi rozmaitych emigracyjnych znakomitości, że za jakie lat 10 lub 11 będzie on arcybiskupem warszawskim, jakiemi oczami spojrzałby on na takiego dowcipnisia?

---

[1]) Za powrotem z Syberyi w 1845 roku wydała: *Wspomnienia z podróży do Syberyi i pobyt w Berezowie i Saratowie.* — Wilno 1852 rok, trzy tomy.

[2]) Pani Brzozowska była córką ordynata Zamoyskiego.

[3]) „Wspomnienie o Zygmuncie Szczęsnym Felińskim, księdzu arcybiskupie metropolicie warszawskim“ przez Prawdzickiego. — Kraków, 1866 rok.

Naraz po powrocie z Paryża, Feliński z niewiadomych pobudek wstąpił do seminaryum w Żytomierzu [1]), skąd po rocznym pobycie przeszedł do akademii duchownej w Petersburgu, ku czemu funduszów dostarczyli Brzozowscy. W Petersburgu nader prędko zwrócił na siebie uwagę księdza arcybiskupa Hołowińskiego, niegdyś profesora i rektora tej akademii, człowieka rzadkiego rozumu i wykształcenia, a przytem posiadającego obszerne stosunki we wszystkich sferach petersburgskiego towarzystwa. Ksiądz Ignacy Hołowiński będąc arcybiskupem mohylewskim, pozostał rektorem duchownej akademii i wykładał homiletykę, czyli wymowę kościelną. Posiadał doskonale języki starożytne, z nowożytnych zaś: francuski, angielski, niemiecki i włoski. Tłumaczył dramata Szekspira. Rosyjskim językiem władał zupełnie poprawnie. — Mieszkał w Akademii przy linii na Wasylewskiej wyspie.

O Hołowińskim opowiadano najdziwniejsze wieści, jakoby zamierzał nawrócić na katolicyzm całą Rosyę, a przynajmniej, że miał powiedzieć, iż tegoby dokazał przy pomocy stu tęgich Jezuitów. Bardzo być może, że pogłoski te stąd urosły, iż arcybiskup zawsze się starał skupić około siebie wykształconych księży, którzy pod jego kierunkiem strzegli interesów kościoła i rzymskiej kuryi w różnych punktach niezmierzonego państwa.

W liczbie takich księży przed innymi wyróżniał się ksiądz Konstanty Łubieński, syn wice-prezesa Banku polskiego hrabiego Henryka Łubieńskiego. Ksiądz Konstanty podówczas proboszcz w Wiskitkach, w księstwie łowickiem, prosił o pozwolenie udania się do ojca, przebywającego na wygnaniu w Kursku; w 1851 roku przybył tam i za pozwoleniem władzy urządził przy swem mieszkaniu kaplicę, która wkrótce zgromadziła wszystkich katolików Polaków i cudzoziemców, przebywających w Kursku. W miarę tego, jaka narodowość

[1]) Podają, że to nastąpiło z powodu śmierci ubóstwianej przezeń kobiety, inni domyślają się, że to była pani Brzozowska.

bywała liczniej zebraną na nabożeństwie, ksiądz Lubieński miewał kazania po polsku lub po francusku. Od czasu do czasu odbywał jakieś tajemnicze podróże do Moskwy, Charkowa, Orła, Białogrodu, a zawsze woził z sobą w ogromnym, z białej skóry, kufrze podróżnym, wszelkie przybory i kamień z relikwiami do odprawiania Mszy podróżnych [1]). Zawadzając w tych podróżach i o Petersburg, ksiądz Lubieński poznał się i zbliżył z księdzem arcybiskupem Hołowińskim.

Gdy ojcu, hrabiemu Henrykowi, skończył się termin wygnania i wrócił do Warszawy [2]), syn przesiedlił się do Petersburga, pod skrzydła możnego protektora, i został świeckim księdzem przy kościele świętej Katarzyny [3]). Dano mu w gmachu obok księży Dominikanów dwa piękne, wielkie pokoje, które on z wielkim komfortem umeblował i urządził. — Do tych cel przybył wkrótce i ksiądz Feliński, drugi taki bojownik arcybiskupa Hołowińskiego, naznaczony początkowo korepetytorem przy szkole istniejącej przy kościele św. Katarzyny, po czterech zaś latach zamianowany profesorem i kapelanem przy duchownej akademii.

---

[1]) Wiadomości od studenta Polaka, towarzyszącego księdzu Łubieńskiemu w tych podróżach. Tenże był świadkiem licznych nawróceń, szczególniej kobiet, z prawosławia na katolicyzm.

[2]) Do roku 1881 na ulicach Warszawy można było napotkać starca ubranego w czarną czamarę, krótkie aksamitne spodnie, w czarnych jedwabnych pończochach, w trzewikach i w aksamitnym birecie na głowie. Był to stary hrabia Henryk Łubieński.

[3]) Kościół św. Katarzyny przy Newskim Prospekcie w Petersburgu, poświęcony dnia 18. października 1783 roku, początkowo był obsługiwany przez księży Benedyktynów. Następnie bywało przy nim 4—6 księży świeckich obok OO. Kapucynów i Jezuitów. W 1815 roku kościół oddano księżom Dominikanom. W 1840 roku zarządzał kościołem O. Damian Jodejko, przeor Dominikanów, ci zaś mieszkali w oddzielnym gmachu obok kościoła. W 1852 roku arcybiskup Hołowiński uzyskał od rządu, że mu dozwolono dodać do pomocy księżom Dominikanom świeckich księży. W roku 1864 było ich 14. (Patrz *Opis historyczny rzymsko-katolickiego kościoła św. Katarzyny w Petersburgu od roku 1763 do 1872* — Warszawa).

Tam się zawiązał przyjazny stosunek księdza Łubieńskiego z Felińskim, żyli oni w celach dominikańskich, jak to mówią, jedną duszą; wkrótce przyłączył się do nich trzeci bojownik tejże drużyny, ksiądz Kossakowski. Po zamianowaniu księdza Łubieńskiego proboszczem w Rewlu, stosunki te się nie przerwały. Bywając często w Petersburgu, ksiądz Łubieński stale zaglądał do ich cel, szczególniej do ubogiej celki księdza Felińskiego, której całe umeblowanie składało się z wąskiej i twardej kanapki, szafy z książkami i małego samowarka w kącie [1]). — W pierwszych latach 1850 dziesiątka, Feliński przy pomocy arcybiskupa zawiązał w Petersburgu »Dom polskich sióstr miłosierdzia« i został ich kapelanem. Cały czas wolny od zajęć swego powołania poświęcał literaturze, językom. Wówczas napisał: *Ostatnie chwile Słowackiego* i *Wspomnienie o księdzu arcybiskupie Hołowińskim*, który umarł w 1855 roku. — Oprócz tego pozostawił w rękopiśmie gruby sekstern jakichś jezuickich »wskazówek dla uczni.«

W połowie grudnia 1861 roku wysłano do Rzymu propozycyę trzech kandydatów na godność warszawskiego metropolity. Ojciec święty wybrał najmłodszego latami i stopniem, gdyż ten mu był przedewszystkiem polecony przez ludzi zaufanych.

Po otrzymaniu odpowiedzi z Rzymu, cesarz przywołał do siebie przyszłego arcybiskupa, rozmawiał z nim blisko godzinę i zawiadomił o wyborze Ojca świętego. Feliński z pałacu cesarskiego, udał się wprost do kościoła św. Katarzyny i tam upadł krzyżem przed Przenajświętszym Sakramentem. I po tem nieraz korzył się w tej postawie przed domowym ołtarzykiem, modląc się ze łzami o pomoc i siły w tak trudnem zadaniu. Znał on dobrze stan spraw w Polsce, usposobienie umysłów w różnych stronnictwach; rozumiał i spostrze-

---

[1]) Zupełna prawda. — *Przypisek tłumacza.*

gał omyłki przez rząd popełnione, i widział doskonale, jakie z każdą godziną stronnictwo ruchu zdobywało postępy.

Feliński pojmował, że będzie zmuszony służyć jednocześnie różnym panom, i zarazem strzedz stanowiska i godności duchowieństwa, na którego czele miał stanąć. Tam! w Królestwie, każdy mieszkaniec podlegał swej szczególnej, stronniczej władzy: czerwoni — czerwonej, biali — białej. Kto był niezadowolniony z jednej, przechodził do drugiego obozu i koniec. On zaś był jeden dla wszystkich, jedyny pasterz tego różnorodnego stada. Na niego spoglądało tysiące oczu; owce i kozły; ludzie najróżnorodniejszych przekonań i odcieni. Słowo jego powinno jednako dobroczynnie oddziaływać na wiernych wszelkich politycznych przekonań i obozów. Tymczasem zaś, każdy z tych wiernych, żądał od nowego pasterza tylko takiej mowy, któraby odpowiadała jego wyłącznym przekonaniom i żądaniom. Zadanie, równające się nie jednej, ale niezliczonym kwadraturom koła. W jaki sposób zadowolnić jednocześnie i księcia Napoleona z Mierosławskim i hrabiego Andrzeja Zamoyskiego z jego licznem i wpływowem stronnictwem, i margrabiego Wielopolskiego i tłumy oszołomione przez agitatorów; nakoniec dogodzić i Petersburgowi i Rosyanom w Warszawie i Papieżowi w Rzymie?

Nic dziwnego, że młody nominat tak często i tak gorąco się modlił. Cóż innego mógł i miał robić?...

Dnia 6. stycznia 1862 roku ksiądz Feliński został prekonizowany na arcybiskupa warszawskiego. Papież przysłał mu paliusz, zaś 20. tegoż miesiąca, przybyli z Warszawy wysłańcy kapituł warszawskiej i łowickiej, księża kanonicy: Szczygielski i Budziszewski, którzy wraz z biskupem Platerem mieli wziąć udział w wyświęceniu arcybiskupa. Nie łatwo przyszło tym dostojnikom, ubranym w fiolety i odznaki ich dostojeństw, ozdobionym orderami, a przytem ludziom już niemłodym, przestępować próg ubogiej, zakonnej celi, dla powitania tego młodego, trzydziestoletniego profesora, którego niedawna, świecka przeszłość dobrze im była znana, jako swego przełożonego,

przyszłego wodza i naczelnika! A wieluż innych, przepełnionych żółcią i zawiścią, pozostało nad brzegami Wisły? I o tem musiał pamiętać młody arcybiskup [1]).

Dnia 26. stycznia 1862 roku w kościele św. Katarzyny odbył się obrzęd uroczystej konsekracyi księdza Zygmunta Felińskiego na arcybiskupa warszawskiego, dopełniony przez księdza arcybiskupa-metropolitę mohylewskiego, księdza Żylińskiego, w asystencyi biskupów-sufraganów, księży Staniewskiego i Bereśniewicza, oraz wyżej wymienionych przedstawicieli kapituł Królestwa Polskiego.

W uroczystości brało udział całe katolickie duchowieństwo petersburgskie.

Ze świeckich dostojników byli obecni: posłowie państw katolickich z całym personalem swych poselstw, oraz kilku wyższych dostojników Rosyan. Dary nieśli: Stanisław hrabia Plater i jenerał Niepokojczycki, ogień; margrabia Wielopolski i Bolesław hrabia Potocki, ochmistrz dworu, chleb; zaś minister sekretarz stanu dla spraw Królestwa Polskiego, Tymowski i marszałek dworu hrabia Borch, wino.

W kilka dni potem nowowyświęcony arcybiskup był przyjęty na osobnej audyencyi przez cesarza, na której uzyskał pozwolenie udania się do Warszawy przez Poznań, celem widzenia się i otrzymania błogosławieństwa od księdza Leona Przyłuskiego, arcybiskupa gnieznieńskiego, którego duchowieństwo polskie wszystkich trzech zaborów zawsze uważa za swego prymasa.

Nadto chciał Feliński porozumieć się także i z arcybiskupem lwowskim, który potrafił niedopuścić śpiewów patryotycznych do swych kościołów.

W początkach lutego Feliński opuścił Petersburg.

---

[1]) Urodzony w 1824 roku, miał podówczas lat 38.

A teraz musimy opowiedzieć, co przez ten czas zaszło w Warszawie i w Królestwie Polskiem.

Wyżej opowiedziane wypadki, szereg wielkich manifestacyi, aresztowania w niezwykłych okolicznościach i rozmiarach dokonane, następnie zamknięcie kościołów, śmierć Gerstenzweiga, wyjazd Lamberta i ogłoszenie w kraju stanu wojennego, wstrząsnęły kruchym gmachem wyborów. Czerwoni ponownie zwyciężyli, potrafili poróżnić białych z rządem, a nawet wielu do swego obozu przeciągnęli. Wszyscy razem tworzyli wrogą masę, w której tylko o tem mówiono, że należy i dalej energicznie postępować, dążyć co najprędzej do powstania, przerwać z rządem wszelkie stosunki i w niczem już nań nie liczyć. Kto jest innego zdania, ten zdrajca. Wszyscy przytem dobrze rozumieli, że chcąc dalej postępować z jakimkolwiek ładem i rezultatem, należy koniecznie zaprowadzić organizacyę, zawiązać spisek funkcyonujący prawidłowo, po europejsku, pod wodzą doświadczonego naczelnika lub komitetu. Wieźć zaś sprawy po dawnemu, wyskokami, według chwilowych natchnień i popędów byłoby dziecinnie, narażałoby na niebezpieczeństwo tłumy, nie jednostki, i doprowadziłoby do przegranej, zanimby nawet obrano pole walki. Naraz więc wszyscy się rzucili do wznoszenia gmachu narodowej organizacyi, a raczej spieszyli uzupełniać już istniejącą, jak się dało, pospiesznie, uprzedzając czerwoni białych, ci zaś czerwonych.

U białych rzecz postąpiła znacznie dalej, niż u ich współzawodników. Mieli już tak zwaną organizacyę młodej szlachty i urzędników, biorącą swój początek z pierwszych zebrań białych w końcu marca i połowie kwietnia 1861 roku, które się zgromadzały u różnych wpływowych członków byłego Towarzystwa rolniczego. Wybory za Lamberta były tylko dalszym ciągiem tej roboty i prawie ją wykończyły. W 1862 roku nie było już prawie potrzeby jej wykończania.

Podług tej organizacyi Królestwo kongresowe dzieliło się na ośm województw, istniejących przed podziałem tegoż na gubernie. Województwa dzieliły się na powiaty, te zaś na

okręgi. W każdym powiecie było od 3 do 6 okręgów. Porządek wyborów do organizacyi był następujący; okrąg wybierał okręgowego męża zaufania; wyborcami byli wszyscy ludzie należący do inteligencyi i choć cokolwiek zajmujący się sprawą publiczną tak duchowni jak i świeccy; okręgowi wybierali powiatowych, ci zaś wojewódzkich. Bywało wszakże, że zebrani 30 do 40 szlachty i księży na jednym zjeździe wybierali bezpośrednio i okręgowych i powiatowego męża zaufania.

Nie możemy wyliczyć wszystkich wybranych po okręgach i powiatach, wyszłych z pierwszych wyborów, chociaż nazwiska ich są znane. Wyliczymy tylko wojewódzkich:

Województwo mazowieckie:
Stanisław hr. Zamoyski (syn Andrzeja), Czarnowski i August Trzetrzewiński;

Województwo kaliskie:
Józef Kołaczkowski i Kajetan Krzysztoporski;

Województwo krakowskie:
Jacek Siemieński i Masłowicz [1]);

Województwo sandomierskie:
Stanisław Karski, następnie Bocheński;

Województwo lubelskie:
Tytus Wojciechowski i Lucyan Horodyński;

Województwo podlaskie:
Adam Goltz i Szydłowski;

Województwo płockie:
Maciej Smoliński, Karol Ujazdowski i Karol Sonnenberg;

Województwo augustowskie:
do czerwca 1862 roku Julian Paszkiewicz. Następnie do grudnia 1862 roku Aweyde, obrońca trybunału cywilnego w Suwałkach (ojciec Oskara). Potem zaś: Dyonizy Ska-

[1]) *Aweyde* dodaje Mieczysława Chwaliboga, wybranego nieco później. — Trzymaliśmy się spisu Karola Majewskiego, jako dokładniejszego.

rżyński, Eugeniusz Rembieliński i Henryk hr. Starzeński. Dwaj ostatni jako zastępcy.

Wszyscy wojewódzcy mieli obowiązek co sześć tygodni zjeżdżać się koniecznie w Warszawie. Mogły być także zwoływane nadzwyczajne zjazdy.

Przedstawicielami Warszawy wybrani: Leopold Kronenberg, Edward Jurgens i Karol Majewski. Jurgens i Majewski byli równocześnie przedstawicielami Litwy, Rusi, Galicyi i Poznańskiego.

Z Litwy nadesłał im pełnomocnictwo Franciszek Dalewski, stojący podówczas na czele litewskiego rewolucyjnego stronnictwa. Z Rusi pełnomocnictwo wydali: Gustaw Wasilewski, Tomasz Burzyński i Włodzimierz Antonowicz (?). Z Galicyi: Smolka i Zyblikiewicz; z Poznańskiego zaś: Aleksander Guttry i Władysław Niegolewski.

W końcu 1861 roku wszyscy wojewódzcy zjechali się do Warszawy i wybrali z grona swego delegacyę, w skład której weszli: Stanisław hrabia Zamoyski, Józef Kołaczkowski, Tytus Wojciechowski, Leopold Kronenberg, Edward Jurgens i Karol Majewski. Czy czas pogodził wszystkie żywioły i wyrównał przeciwieństwa, czy też biali tak poczerwienieli, dosyć, że ludzie jak Majewski, z jego niecierpliwością i zagorzałością, nie razili już tak, jak w miesiącu wrześniu. A może też w Majewskim zaszły jakieś zmiany ku uspokojeniu; wiemy tylko, że odtąd Kronenberg znosił go na posiedzeniach i nie groził swem ustąpieniem.

Dyrekcyę wojewódzką zmieniono wkrótce na dyrekcyę białych albo szlachecką, i jako taka odbyła kilka posiedzeń, na których naradzano się nad środkami zapobieżenia działaniom partyi czerwonych; nad dalszym rozwojem »organizacyi narodowej« i nad jej działaniem w chwili obecnej i na przyszłość. Zgodzono się mniej więcej na następujący program:

»Granice 1772 roku. Przyjmować spokojnie wszelkie rządowe reformy, przyjmować narzucane przez rząd urzęda w no-

wych instytucyach. Starać się wszelkimi sposobami o zajęcie wszystkich wyższych stanowisk rządowych w Królestwie Polskiem przez Polaków, oraz, aby popisowi z Królestwa byli wcielani do pułków konsystujących w kraju. Władza dyrekcyi ma być zarazem uchwalającą i wykonawczą. Wszystkie sprawy rozstrzygają się większością głosów i ostatecznie przedkładają się do zatwierdzenia Andrzejowi hr. Zamoyskiemu, który ma być stale pośrednikiem między krajem a rządem. W razie gdyby hrabia Andrzej nie aprobował jakich uchwał dyrekcyi, mają być zwołani wszyscy wojewódzcy, którzy zawiązują się w komitet obradujący, mający wydać ostateczną decyzyę. Żadnych pism, kwitów, pieczęci; wszystko ma się załatwiać ustnie i na słowa [1]).

Program ten dyrekcya białych przesłała do przejrzenia i niejako do zatwierdzenia ks. Władysławowi Czartoryskiemu do Paryża i w tym celu wysłała Józefa Kołaczkowskiego, tego samego, który we wrześniu 1861 roku jeździł do Homburga dla porozumienia się z partyą czerwoną na emigracyi. Na tem do czasu ograniczyły się działania dyrekcyi i to, jak powiadano, wskutek panującego wśród Gorczakowskich delegatów niezadowolenia, że tylko jeden Kronenberg z ich grona został powołany do składu tak wrześniowej, jak grudniowej dyrekcyi białych, a następnie szlacheckiej. Jak zwykle zaczęło się od krytyki, dopatrywania ujemnych stron w jej narodowej organizacyi... a potem zaczęli tworzyć oddzielną organizacyę, co spowodowało dyrekcyę do zawieszenia swej działalności, a następnie do rozwiązania się, które, być może, nastąpiło także i wskutek tego, że ks. Czartoryski udzielonego sobie programu nie potwierdził, a więc nie znalazł on poparcia w Europie.

---

[1]) Zeznania Majewskiego, który powiada, że to wszystko działo się w początkach 1862 roku. — Giller twierdzi, że dyrekcya białych powstała w grudniu 1861 roku i wówczas spisano program działania, następnie ogłoszony drukiem przez Stanisława Kazimierza Gromadę, (Pseudonim Karola Ruprechta) jako *Zadanie chwili obecnej*. *Gazeta Narodowa* 1875 rok.

Zresztą można z pewnem uzasadnieniem przypuszczać, że działalność dyrekcyi białych była także paraliżowaną nadzwyczajnem powodzeniem Wielopolskiego w Petersburgu, z którym najbardziej wpływowy członek dyrekcyi, Kronenberg, w ciągłem pozostawał porozumieniu, i od którego zapewne niejeden z białych otrzymywał wskazówki, co i jak robić, a czego nie robić.

Z jakichkolwiek powodów, dość że cisza zapanowała. Nawet czerwoni naraz przycichli, śledząc bacznie co się robi i przygotowując do nowych wystąpień w miarę wyniku swych spostrzeżeń. Wszystkich interesował oczekiwany lada chwilę nowy arcybiskup. O nim wszędzie mówiono z różnych punktów zapatrywania i na różne tony, wszędzie: i w salonach arystokracyi, i w kołach inteligencyi i w biednych domkach przedmiejskich, w warstatach rzemieślników, na rynku i po ogródkach.

Po spotkaniu się z kim zamierzał za granicą, ksiądz Feliński dnia 8. lutego 1862 r. wyjechał z Wrocławia do Warszawy. Tego samego dnia, późnym wieczorem, stanął u wrót kościoła w Częstochowej. Niespodziewający się go wcale zakonnicy, przyjęli dosyć chłodno wysokiego gościa, chociaż przy zachowaniu całego kościelnego ceremoniału. Arcybiskup przedewszystkiem wyraził życzenie pomodlenia się przed cudownym obrazem Boga Rodzicy, i wprowadzony do kaplicy, padł tam krzyżem i tak pozostał zatopiony w modlitwie więcej godziny, tak, że brać zakonna w końcu zupełnie osłabionego musiała podnieść i odprowadzić do celi generała.

Nazajutrz, w niedzielę, po odbytej spowiedzi, arcybiskup na tem cudownem miejscu odprawił pierwszą ofiarę Mszy świętej na polskiej ziemi i chciał pozostać w klasztorze aż do dnia następnego. Tymczasem otrzymał od namiestnika telegraficzne wezwanie natychmiastowego wyjazdu, do czego się też zastosował i przybył do Warszawy dnia 9. lutego o północy.

Na stacyach, przez które przejeżdżał, oczekiwały go tłumy ciekawych, uważnie oglądając nowego arcypasterza. Gdzienie-

gdzie odzywały się głosy, żądające by wyjednał uwolnienie księdza Białobrzeskiego.

Dworzec warszawsko-wiedeńskiej drogi żelaznej i ulice, któremi miał przejeżdżać, mimo tak spóźnionej pory przepełnione były publicznością.

Jak tylko ukazał się z wagonu arcybiskup, w tłumie dwukrotny rozległ się okrzyk: »Niech żyje arcypasterz!« Nie zaszedł nigdzie najmniejszy nieporządek. Pod pozorem wszakże jakoby czerwoni zamierzali powitać arcybiskupa kocią muzyką, rząd nakazał, ażeby powóz był eskortowany przez kozaków. Zarządzono też i inne środki dla zapobieżenia przewidywanym nieporządkom.

Pałac arcybiskupa był zupełnie pusty, arcybiskupa nikt nie spotkał i nie powitał. W tem już była ręka czerwonych, którzy czegoś się domyślali w działaniach białych i zarządzeniach władzy [1]). Tutaj po raz pierwszy ksiądz Feliński uczuł swoje osamotnienie. Chłód dziwny i przejmujący wiał z tych ogromnych, ponurych i pustych komnat, które wyglądały, jak gdyby nigdy nie były zamieszkałe. Własne kroki grobowo się rozlegały po pustych salonach. Miasto było pogrążone w ciszy nocnej a tylko na dziedzińcu szczękała broń kozaków, krzątających się koło swych koni.

Nazajutrz, o godzinie 5. rano, arcybiskup odprawił Mszę świętą w swej domowej kaplicy i przesłał dziekanowi kapituły warszawskiej, własnoręczne zawiadomienie o swem przybyciu do Warszawy, zapraszając do konsystorza kapitułę i duchowieństwo. Ci się zebrali w sali konsystorskiej o godzine 11. przed południem. Arcybiskup wchodząc powitał zebranych słowami: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.« Potem przemówił: »Witam was wielebni bracia, imieniem Pana naszego Jezusa Chrystusa! Za wolą Bożą i przyzwoleniem Ojca świętego, zostałem waszym pasterzem. Ciężkie brzemię spadło

---

[1]) Czerwoni mieli już dokładne relacye z pobytu arcybiskupa za granicą, z kim się tam spotykał i z jakimi zamiarami wymówił.

na moje barki, otwarcie to wyznaję. Będzie ono jeszcze cięższem, jeśli wielebni bracia, odmówicie mi swej pomocy. Zanim się z wami bliżej zapoznam, zanim znajdę sposobność oddania komukolwiek z was jakiejś usługi, uważam za najpierwszy i główny swój obowiązek, oświadczyć wam, że przedewszystkiem dążyć będę do przywrócenia powagi religii i kościelnych obrzędów. Zamierzam otworzyć kościoły, w których się już żadne gwałty nie powtórzą, na co mam zapewnienie monarsze. Również i obrzędy nasze nie będą przerywane lub ograniczane przez policyę i władzę wojskową. Dwa kościoły: Świętego Jana i Bernardynów, jako rzeczywiście według rytuału i prawa kanonicznego zbeszczeszczone, co mi zaświadczyli dostojni prałaci, osobiście odemknę i poświęcę. Inne zaś odemkniecie jednocześnie wielebni bracia, jako tychże zawiadowcy i rozpoczniecie w nich Chwałę Bożą czterdziestogodzinnem nabożeństwem. Dalszem, daleko trudniejszem zadaniem, a w którem, jak się spodziewam, nie odmówicie mi swej gorliwej pomocy, będzie wytłumaczenie ludności, że zaprzestając śpiewania niektórych pieśni, w niczem nie narazi ona interesów narodowych, przeciwnie wyrówna drogę dla dalszych ustępstw i łask, o których mnie monarcha zapewnił. To wam chciałem przedewszystkiem zakomunikować, a teraz proszę o wzajemne oświadczenie, czem wam na razie mogę być użytecznym?«

— Uwolnijcie księdza Białobrzeskiego i wszystkich uwięzionych i zasłanych księży — odezwało się kilka głosów.

— Po dwakroć prosiłem już o to cesarza, i jeszcze będę prosić — odrzekł arcybiskup.

— Co do hymnów, które wasza arcypasterska mość uważa za potrzebne zabronić — odezwał się któryś z księży — to lud do nich tak nawykł i tak je uważa za nieodzownie potrzebne w obecnych stosunkach, że wątpliwą jest rzeczą, czy nas usłucha i czy zakazując tych śpiewów, nie stracimy w oczach ludu zaufania, jako działający wbrew woli i usposobieniu narodu.

— Można wiele powiedzieć za i przeciw hymnom — odpowiedział arcybiskup — to wam tylko oświadczam, że czy

udzielicie mi, czy też odmówicie w tem swej pomocy, jestem stanowczo zdecydowany, w pierwszem mem odezwaniu się do ludu, wystąpić przeciw śpiewaniu tych hymnów. To ma związek z wielu rzeczami... Postanowiłem dzielić wasze losy, jakiekolwiek one będą, reszta w ręku Bożem. Teraz zaś wobec tu zgromadzonych zapraszam księdza kanonika Rzewuskiego na oficyała mego arcybiskupiego konsystorza.

»O dniu poświęcenia kościołów zostaniecie zawiadomieni przez księdza dziekana, mieszkańcy zaś przez ogłoszenia w gazetach. Polecam was Bogu, siebie zaś waszym modłom. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«

Poczem arcybiskup pojechał na Zamek.

Tak pospieszne, przed widzeniem się z namiestnikiem, zamianowanie oficyała, miało swe znaczenie. Ksiądz Feliński przeczuwał, że mu zechcą narzucić na oficyała niesympatycznego i znienawidzonego kanonika, księdza Zwolińskiego, co od razu oburzyłoby na arcybiskupa całe duchowieństwo i Warszawę. Ksiądz Feliński bądź co bądź musiał unikać takiej nominacyi i — uniknął.

Namiestnik spotkał niecierpliwie oczekiwanego gościa przeprosinami za przyspieszone wezwanie przybycia do Warszawy i zaraz rozpoczął mówić o Zwolińskim, polecając go na oficyała. Jakież było jego zdumienie, gdy posłyszał, że oficyał już zamianowany. Zapanowało chwilowe milczenie... potem namiestnik zapytał: »A kiedy zostaną otwarte kościoły?«

— Pomówię o tem z oficyałem i wspólnie wydamy decyzyę — odrzekł Feliński. — Nastąpiło nowe milczenie... Poczem po krótkiej rozmowie o rzeczach mniejszej wagi, arcybiskup zaczął się żegnać z namiestnikiem.

— Proszę niezapominać — rzekł namiestnik — że Zamek zawsze stoi otworem dla waszej arcypasterskiej mości.

— Serdecznie dziękuję za taką uprzejmość, wszakże obawiam się, bym zbyt często i dokuczliwie jej nie nadużywał — odpowiedział arcybiskup. — (Prawdzicki i niektóre prywatne opowiadania).

Tegoż dnia, o trzeciej po południu, arcybiskup zawezwał Rzewuskiego i po dłuższej naradzie, wśród której oficyał wtajemniczył swego zwierzchnika we wszystkie znane mu i dostępne szczegóły spraw krajowych, postanowili wspólnie, aby kościoły św. Jana i Bernardynów poświęcić i otworzyć dnia 13. lutego, nazajutrz zaś wszystkie inne. Uroczysty ingres arcybiskupa i objęcie metropolii naznaczono na dzień 16. lutego, to jest w niedzielę, jak tego wymaga rytuał rzymsko-katolickiego kościoła.

Nastąpiły więc rokowania z Zamkiem co do szczegółów ceremonii otwarcia kościołów, w których miały miejsce aresztowania. Namiestnik niechciał dopuścić rekoncyliacyi, gdyż przez nią przyznawano fakt zbeszczeszczenia kościołów. Arcybiskup stał twardo przy tem, że rekoncyliacya jest nieunikniona i nie zgadzał się na inny sposób otwarcia. Żądał nawet, ażeby to przez gazety zostało ogłoszone. Skończyło się na rekoncyliacyi bez ogłoszeń. Arcybiskup miał zwykłym cyrkularzem zawiadomić duchowieństwo o ceremonii, w gazetach zaś miano ogłosić, że »kościoły zostaną otwarte w tym a tym czasie«, bez jakiejkolwiek wzmianki o rekoncyliacyi.

Arcybiskup żądał usunięcia policyi i wojska. Namiestnik zapewnił, że bez potrzeby policyi ani wojska nigdzie nie wyszle. Wszakże nakazał umieścić pod ręką w sąsiednich domach przy obu kościołach ile się tylko dało policyi, i to od samego rana dnia 13. lutego [1]).

Tymczasem czerwoni, najbardziej zaś tak zwane »Kółko akademickie«, przekonawszy się z opowiadań duchownych, którzy byli na posłuchaniu u arcybiskupa, oraz uwiadomieni z zagranicy, że tenże zamierza stanowczo wystąpić przeciw spiewaniu hymnów, służących za najsilniejszy bodziec do wszelkich manifestacyi i przygotowawczych działań, zaczęli rozszerzać o arcybiskupie najniekorzystniejsze pogłoski. Na obu, mających się otwierać kościołach, nalepiono karykatury, przedstawiające

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

księdza Felińskiego konno, w kozackim mundurze i w czapce baraniej, z nahajką w jednej a witrychem w drugiej ręce. Dwóch kubańskich kozaków, oświecało latarniami główne wejście do katedry, podpis wyjaśniał, jak »arcybiskup Feliński jedzie otwierać kościoły.« Jeden egzemplarz karykatury przysłano arcybiskupowi przy bezimiennym liście, pełnym inwektyw i obraźliwych insynuacyi.

O księdzu Rzewuskim mówiono, że zanadto świątobliwy na obecną chwilę. — Ksiądz Rzewuski rzeczywiście odznaczał się nader surowym trybem życia. Mieszkał przy ulicy Chłodnej i literalnie nigdy nie używał powozu. Mieszkanie jego było zapełnione książkami, bez żadnych wygód w umeblowaniu, nie miało nawet łóżka, gdyż kanonik sypiał gdzie się zdarzyło, na ławce lub na kanapce, w ubraniu. Wszystkie swe dochody, wynoszące kilkadziesiąt tysięcy złp. rozdawał ubogim, na siebie prawie nic nie wydając [1]).

Księża czerwoni dolewali wciąż oliwy do ognia, komunikując swoim przyjaciołom z różnych kółek wszystko, co mogło być tłómaczone na niekorzyść arcybiskupa. Księży gniewało, że nowy zwierzchnik mało był dostępny, że się znosił tylko ze swym oficyałem i wszelkie sprawy przez niego rozstrzygał. Kanonicy Szczygielski i Budziszewski dokładali wszelkich starań, by się zbliżyć i pozyskać zaufanie arcybiskupa; narzucali się mu z wyjaśnieniami wszelkich podziemnych tajemnic, znosili wszelkie wiadomości, nic wszakże nie mogli dokazać. Cokolwiek mu opowiedzieli, okazywało się, że arcybiskup o tem już dawno i dokładniej był poinformowany. Chciał się także zbliżyć i przypomnieć arcybiskupowi kanonik Stanisław Feliński z tytułu pokrewieństwa, ale ten mniej jeszcze wskórał. Arcybiskup wiedział coś o jego stosunkach z Rosyanami i o jego niepewnym i dwóznacznym charakterze...

Wszystko to składało się na to, że już przed ważnym wypadkiem otwarcia kościołów, zapanowało nieprzychylne uspo-

---

[1]) Z opowiadań księdza kanonika Jakubowskiego.

sobienie dla wyższej władzy duchownej. A jednak niecierpliwie wyczekiwano tej chwili. Szczególnie lud prosty ciężko odczuwał brak wspólnych, publicznych nabożeństw. Z nader małymi wyjątkami cała katolicka ludność odczuwała, że jej od czterech miesięcy niedostaje czegoś istotnego, niezbędnego jak powietrze, do czego wszyscy od pieluch przywykli. Dzwony zamilkły, nie znać tego zwykłego, w oznaczonych godzinach ruchu pobożnych do kościołów. Coś ciężkiego przygniatało dusze i napełniało je jakimś nieokreślonem uczuciem mroku i chłodu...

Nic więc dziwnego, że z pierwszym brzaskiem poranku, dnia 13. lutego 1862 roku, niezliczone tłumy ludności popłynęły ku katedrze św. Jana. Dzień był pogodny. Słońce wszakże najjaskrawiej odbijało od szyszaków, bagnetów i pałaszy licznych patroli i rozjazdów, snujących się po różnych ulicach miasta, omijając wszakże ulicę św. Jana. Już od godziny 7. rano ulica ta była przepełniona ludem do tego stopnia, że powóz arcybiskupa, noga za nogą, ledwie mógł dotrzeć do zakrystyi katedralnej, z której o godzinie 9. arcybiskup przyobleczony w uroczyste szaty, w otoczeniu kapituły, duchownej akademii i mnóstwa księży, skierował się ku głównym podwojom świątyni.

Pomimo niezliczonych tłumów ludu, tłoczących się na ulicy, cisza panowała niezwykła. Gdy orszak zatrzymał się u głównego wejścia, arcybiskup zaintonował antyfonę psalmów pokutnych. Następnie kler zaczął spiewać te psalmy najprzód przed głównem wejściem, następnie zaś podczas procesyi naokoło kościoła. Gdy powrócono napowrót przed główne wejście, arcybiskup uderzył po trzykroć w zawarte drzwi kościoła, te się otworzyły i arcybiskup pierwszy przestąpił próg świątyni. Za nim postępowało duchowieństwo i lud.

Gdy doszli do presbyteryum, wszyscy padli na kolana, arcybiskup zaś legł krzyżem u stopni wielkiego ołtarza. Kler zaczął śpiewać litanię do Wszystkich Świętych, co trwało około godziny. Po litanii arcybiskup powstał i z duchowieństwem trzy

razy obszedł kościół, kropiąc wodą święconą ołtarze i ściany kościoła. Lud modlił się, płacząc głośno. Na tem się skończył obrzęd rekoncyliacyi.

Potem arcybiskup wstąpił na ambonę, przeżegnał się i drżącym ze wzruszenia głosem powitał lud słowami: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.« Kilka głosów odpowiedziało »na wieki wieków amen« i świątynię zaległa cisza grobowa. — Arcybiskup zaczął:

»Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli! Te słowa, mili moi słuchacze, dały się słyszeć w chwilach równie ciężkich, jak obecne i dlatego najodpowiedniejsze są przy tej smutnej ceremonii, którąśmy tylko co dopełnili. Do tej chwili nie mieliście ani tej chwały, ni tego pokoju, boście byli pozbawieni kościoła i modlitwy! Obecnie Bóg się zlitował nad naszą nędzą. Podwoje świątyni otwarły się przed wami, dla waszych szczerych i gorących modłów.

Pamiętajcie, że kościół jest jedyną waszą ostoją, istotą i treścią życia, źródłem szczęścia, środkiem połączenia się z Bogiem w cierpieniach i potrzebach naszych czy to doczesnych, czy wiecznych.

Najistotniejszą zaś modlitwą, modlitwą nad modlitwami jest dobrze wam znana, którą powtarzamy za Jezusem Chrystusem: Ojcze nasz! któryś jest w niebiesiech, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje! — Z tych słów widzicie, kto nam rozkazuje się modlić i jak mamy wyrażać prośby nasze. Jasne to i zrozumiałe do takiego stopnia, że nie widzę potrzeby nad tem się rozszerzać, lecz wprost chcę przejść do rozwiązania daleko trudniejszej kwestyi.

Gdyby ktokolwiek wzbraniał wam modlić się do Boga i uciekać się do Niego w uciskach i potrzebach waszych, pierwszy bym wam powiedział, nie słuchajcie go!

Gdyby jakakolwiek władza zabraniała wam modlitwy, powiedziałbym wam, nie słuchajcie tej władzy, gdyż obowiązki wasze względem Boga ważniejsze są, niż obowiązki względem silnych tej ziemi.

Gdyby ktokolwiek wzbraniał wam modłów za ojczyznę, za ukochany kraj nasz i gdyby jakakolwiek władza nie dozwalała wam modlić się na uproszenie szczęścia i powodzenia ojczyźnie naszej, znów bym wam powiedział, nie słuchajcie tej władzy, albowiem rozkazy jej w tym wypadku nie dobre są.

Niech Bóg nas broni i uchowa od tego, byśmy w modłach naszych mieli zapomnieć ojczyzny naszej. Gdybyście się przestali modlić za ojczyznę, prosiłbym Pana Zastępów, by mnie zabrał ze świata, prosiłbym Go, by zesłał niepłodność na matki, które nie umiały wpoić w sercach swych dzieci głębokiej i gorącej miłości ojczyzny. A więc widzicie z tego, że modlić się za szczęście swego kraju, za powodzenie ojczyzny naszej, nikt nam nie może zabronić. A więc módlmy się za nią — Zdrowaś Marya«...

Słowa te wywołały silne wrażenie na słuchaczach. Z wielu miejsc świątyni rozległ się płacz rozgłośny. Po niejakiej chwili arcybiskup ciągnął dalej:

»Uspokójcie się i nie płaczcie! Raz jeszcze zapewniam was, że żadna siła w świecie i żadna władza na ziemi nie może nam wzbronić i nie będzie zakazywać modłów za tę, żyjącą w sercach naszych, która nam tak droga i święta. Zapewniam was, że zawsze będziemy mogli zanosić prośby do Boga za ojczyznę naszą, lecz jednocześnie sumienie mi nakazuje ostrzedz was, jako wasz pasterz, że hymny, które się wkradły między modlitwy wasze i które nie są przez kościół potwierdzone, nie są modlitwą. Prawdziwy katolik winien wystrzegać się tych śpiewów. Gdy się sami dobrze zastanowicie, uznacie, że zaprzestanie tych śpiewów, nie będzie zaprzestaniem modłów za ojczyznę, ku czemu, niech mię Bóg zachowa, bym miał kiedykolwiek was zachęcać. Wtedy moglibyście mnie śmiało opuścić i nie usłuchać, gdyż w sercach waszych zarówno jak i w mojem, goreje jeden i ten sam płomień, świętej miłości ojczyzny. Otóż w imię tej świętej miłości winniśmy zanosić przed Boga nasze czyste modły i błagania.

O jakże czuję się szczęśliwym, że mogłem otworzyć przed wami i dla was podwoje świątyń, w których wspólnie chwalmy i cześć oddawajmy Panu nad Pany. Lecz zaklinam was i proszę w imię wszystkiego, co wam święte i drogie, zaprzestańcie śpiewów wzbronionych przez władzę, za które już tyle wycierpieliście i za które dotychczas cierpi tylu waszych współbraci i kapłanów. Zaprzestańcie tych śpiewów, gdyż już są bezcelowe. Były one potrzebne dopokąd służyły wyrazom żądań waszych, które tylko w ten sposób mogły były być wypowiedziane. Teraz atoli, gdy władza usłyszała te żądania i wie czego się domagamy, uporne trwanie przy tym środku, złe tylko może wydać następstwa.

Przybyłem do was także i jako zwiastun lepszych nadziei, że monarcha ma szczery zamiar zadosyćuczynienia potrzebom kraju naszego. On mnie zapewnił, że ani mu w myśli nie postało pozbawiać nas narodowości lub religii naszej. Zapewnił, że spełni wszystkie nasze uprawnione żądania, pod warunkiem wszakże, by się kraj uspokoił i zaprzestał tych demonstracyjnych śpiewów, drażniących władze. Zapewne, możecie powiedzieć, że obietnice podobne nieraz już były czynione, nigdy zaś skutku nie osiągały. Na to wam odpowiem: nie wybiegajcie naprzód z waszem niedowierzaniem, gdyż słowo monarchy, służy mi w tem poręką. Zastosujmy się do naszego położenia, abyśmy potem nie potrzebowali czynić sobie samym wyrzutów, żeśmy wszystko zepsuli, że sami jesteśmy przyczyną, iż rząd nie spełnił obietnic, mających na celu dobro kraju i ocalenie mnogiej braci naszej. Dlatego raz jeszcze proszę i zaklinam was w imię Boga, zaprzestańcie tych śpiewów, a to nie dlatego, że ja was o to proszę, lecz dla dobra kraju, dla dobra własnych spraw naszych. Chociażby to wam przychodziło z trudnością, znieście ten przymus cierpliwie, naśladując Chrystusa Pana, który za prawdę śmierć krzyżową poniósł, a jednak do ostatniej chwili posłusznym był władzy, przez cezara ustanowionej. Bierzcie przykład z pierwszych męczenników chrześcijaństwa, którzy tylko w rzeczach niezgodnych

z świętą wiarą katolicką, odmawiali posłuszeństwa władzy. Poddaniem się i uległością wobec niezbadanych wyroków Opatrzności, wyjednamy miłosierdzie i zmiłowanie Boże, i zasłużymy na Jego błogosławieństwo. Pamiętajcie, że wszelka władza pochodzi od Boga! — Winni niech drżą przed obliczem gniewu Pańskiego, a sprawiedliwie karząca ręka Boża dosięga winnych jeszcze i tu na ziemi.

Ażeby ten sprawiedliwy gniew Boży nie spadł na głowy nasze, aby się nie okazało, żeśmy winni kary, posłuchajcie tego pierwszego mego do was pasterskiego słowa i wierzcie, że i ja, zarówno z wami kocham ojczyznę naszą i pragnę szczęścia dla niej i dla świętego Kościoła naszego. Spuśćcie się pod tym względem na mnie. Kto na to gotów, kto mi zawierza i gotów usłuchać rad moich, niech uklęknie dla otrzymania pasterskiego błogosławieństwa.«

Powiedziawszy to, arcybiskup spojrzał na kościół i widząc, że bardzo niewielu uklękło, większość zaś tłumnie zaczęła wychodzić, pospieszył wyrzec biskupie błogosławieństwo i zalał się łzami.

Do nieopisania smutne wrażenie wywarło na arcybiskupa to nieprzyjazne przyjęcie pierwszego jego odezwania się do wiernych, w świątyni tylko co przez niego otwartej, a w której tak długo żaden głos prawdy się nie odzywał, ani też żadna modlitwa ku Bogu nie płynęła. Zapewne, mógł przypuszczać, że nieprzyjaciele rządu wiedząc, albo domyślając się treści słów jego, będą się starali źle usposobić tłumy; spostrzegał nawet wśród ludu, całe zastępy menerów rozdających hasła i kierujących tłumem, miał pod tym względem oko wytrawne i nie darmo nosił na czole bliznę od pruskiego pałasza. Był na wszystko przygotowany, a mimo to jednak poczuł wielki ciężar na duszy. Bitwa przy pierwszem zawiązaniu się została przegraną. Jak długo, jak starannie układał tę swoją pierwszą przemowę, pisał i poprawiał ją w murach Petersburga, Poznania i Warszawy — wszystko napróżno! Przed sobą miał wrogów, a nie posłuszne głosowi pasterza owieczki. Wi-

dział to jasno, jednak postanowił iść dalej raz wytkniętą drogą... dopóki wystarczą siły... jak długo będzie można...

Natychmiast po mieście rozszerzono opinię, że arcybiskup zanadto się pospieszył z otwarciem kościołów, że nawet nie ogłosił o tem jak należy w gazetach i nie zażądał od władzy istotnych poręk, poprzestając na jakichś mglistych przyrzeczeniach ustępstw, nie uwolniwszy ani jednego więźnia. Co by to potrafił dokazać człowiek zręczny i polityczny. Ale nie stało Fijałkowskiego, niema Białobrzeskiego!

Nazajutrz dnia 14. lutego, arcybiskup objechał wszystkie otwarte kościoły i w każdym z nich czas jakiś strawił na modlitwie. W kościele Bernardynów, który jednocześnie z katedrą został otwarty przez księdza biskupa Platera, modlił się dłużej.

Potem zwiedzał różne instytucye duchowne i dobroczynne, w niektórych przemawiał, lecz wszędzie lud go spotykał zimno. Arcybiskup czuł, że między nim i powierzonym mu stadem otwarta przepaść.

Na domiar bezsensowych plotek, nieuzasadnionych zarzutów i insynuacyi, arcybiskup otrzymał oburzającą, bezimienną odpowiedź na słowa, wypowiedziane w katedrze świętego Jana dnia 13. lutego, noszącą tytuł: »Słowo ludu polskiego do Jego Arcypasterskiej Mości księdza Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, arcybiskupa-metropolity warszawskiego.« — Oto kilka wybitniejszych ustępów z tej odpowiedzi: »Najprzewielebniejszy Arcypasterzu i Ojcze! Słowa Waszej Arcypasterskiej Mości, wypowiedziane do duchowieństwa i ludu przy otwarciu kościołów, wyświeciły nam dostatecznie plan działania, jakiego się W. P. Mość trzymać zamierza, plan jedynie właściwy siepaczom cara-ciemiężcy, oparty nie na prawie Bożem i obowiązkach biskupa, lecz podyktowany zgubną dla nas i dla wiary naszej, polityką. Słowa te zmuszają naród polski do zaprotestowania przeciw fałszywemu rozumieniu sprawy narodowej, podjętej w imię wiary i swobody.

Waszej Arcypasterskiej Mości, jako człowiekowi wykształconemu, nie potrzeba wyjaśniać położenia spraw w Euro-

pie i o ile ono jest pomyślne dla naszego wskrzeszenia. Protest horodelski, zaniesiony przez przedstawicieli wszystkich ziem i powiatów dawnej Rzeczypospolitej stwierdził, że obecnie nie mamy króla, gdyż za takiego nie możemy uznawać cara rosyjskiego... Przysięga wymuszona, nie obowiązuje... Tyle razy nas oszukiwano, łamano dawane nam najuroczystsze przyrzeczenia i zaciągane zobowiązania, że obecnie nie złapią nas na żadne obietnice, a jeśli Wasza Arcypasterska Mość zechcesz nam wyjawić swe panslawistyczne dążności i zachwyt wobec nowych urządzeń, mających się zaprowadzić podług planów Wielopolskiego i cara, to uprzedzamy, że Was odstąpimy, jako człowieka postępującego fałszywą drogą, nam zaś nie pozostanie nic innego, jak tylko dobijanie się celów naszych ceną najdroższych ofiar. Uważamy każdego, kto się nie oddał całą duszą i ciałem sprawie naszej, albo kto takową w zabłądzeniu lub słabości ducha inaczej pojmuje, za przeszkodę, którą należy usunąć.

Ścieżki Pańskie niezbadane i nikt przewidzieć nie może, co się w najbliższym czasie stanie...

Z wstąpieniem na tron nowego cesarza nasze nadzieje ożywiły się, lecz wróg rodu ludzkiego nie zasypiał sprawy...

Ścieżki Pańskie niezbadane. Któż mógł przewidzieć, że ciecz smrodliwa rozlana w teatrze, w czasie pobytu trzech wrogich nam mocarzy, będzie początkiem najważniejszych wydarzeń, mających wielką polityczną doniosłość i które uwieńczone zostaną pomyślnym skutkiem.

Kto mógł przewidzieć? Był jednak mąż, prawdziwie mądry i wielkiej wiary, który zrozumiał prawdziwe znaczenie i doniosłość zaszłych ostatnimi czasy wydarzeń. Mówimy tu o zmarłym arcybiskupie, ś. p. księdzu Fijałkowskim. On nie powtarzał nam kłamstw carskich, nie mówił, że manifestacye przeszkadzają rozwojowi życia narodowego;... on nie paraliżował działania duchowieństwa;... on nie potrzebował rekomandacyi z Petersburga do carskich siepaczy w Warszawie;... on nie poniżył najwyższej godności duchownej i narodowej

składaniem wizyt jenerałom; jeżdżąc po mieście, on nie potrzebował eskorty, policya nie śmiała nadzorować każdego jego kroku...

Za jego życia rząd nie zaczepiał kapłanów, i przez to z jednej strony wzrastało zaufanie, z drugiej zaś miłość i poświęcenie; gdyż, gdzie ksiądz z krzyżem, tam znajdzie się zawsze lud posłuszny i korny...

Lecz, jak skoro odnieśliśmy na wieczny spoczynek zwłoki ukochanego arcypasterza, wszystko się naraz zmieniło. Samowola carskich służalców doszła do tego, że nietylko licznych a najczcigodniejszych kapłanów powysyłano na Sybir, lecz nawet uwięziono samego administratora...

Przybycie Waszej Arcypasterskiej Mości wlało w serca nasze promień nadziei... oczekujemy dalszych waszych czynów... Gdyście się do nas odezwali w świątyni, nie znalazł się ani jeden, podzielający Wasze poglądy; gotów do postępowania podług Waszych wskazań i przekonany, żeście prawdziwy duchowy wódz narodu. Zapewniamy Was Imieniem Wszechmocnego Boga i sumieniem narodu polskiego, że car i Wielopolski kłamią, ażeby i Was wobec nas w kłamcę przemienić. Zapytajcie historyi, czy znajdzie się choć jeden wypadek świadczący o tem, że w stosunkach z nami dotrzymano chociażby jedno z dawanych nam przyrzeczeń...

Obecnie, dopóki Wasza Arcypasterska Mość nie uczyniłeś jeszcze żadnego zbyt stanowczego kroku, carscy słudzy otaczają Was podchlebstwy, lecz jak skoro raz staniesz stanowczo po ich stronie i zwrot ku nam stanie się już niemożliwym, wówczas spostrzeżecie, jaka zmiana nastąpi w zachowaniu się Piłsudzkich i Kryżanowskich [1]).

Najprzewielebniejszy Pasterzu i Ojcze! Przed Tobą rozścielają się dwie drogi, obie usłane kolcami i cierniem. Jedna, to droga wiary, zroszona krwią męczenników, kapłanów i wy-

---

[1]) Piłsudzki zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego został zamianowany oberpolicmajstrem m. Warszawy w miejsce Rozwadowskiego.

gnańców; druga, prowadzi do złudnych łask carskich i poniżenia przed Rosyanami. Drogi pośredniej, którą Wasza Arcypasterska Mość starasz się wynaleźć zapomocą różnych dowcipnych dyplomatycznych wybiegów, nie było między niemi i nie będzie. Wybieraj więc sposób postępowania, który uznasz za najodpowiedniejszy Twoim pasterskim obowiązkom... i pamiętaj, że Chrystus naznaczył pasterzy dla owczarni, nie zaś owczarnię dla pasterzy«...

Feliński po niejakim czasie przeczytał to pismo swemu księdzu oficyałowi i ku wielkiemu tegoż zdumieniu wymienił nazwisko autora. — Pismo, ma się rozumieć, rzucono do kosza i zapomniano o niem, lecz niepodobna twierdzić, ażeby nie pozostawiło ono śladu w duszy tego, do którego było adresowane. O nie! w niej odezwało się coś... gorzkiego, bodzącego, nawskróś dojmującego... Widziadła, które przed jego oczyma zamajaczały, coraz częściej nawiedzały jego wyobraźnię i nie dawały się tak łatwo odpędzać jak w początkach... a wrogowie... czy też przyjaciele... ktoż odgadnie, wiedli dalej rozpoczętą robotę. Na mieście ukazały się następujące plakaty:

»Kościoły otwarte, lecz nam nie wolno się w nich modlić! Naród nie chce i nie może się wyrzec drogi, po której dotychczas postępował; nie chce zadać kłamu przeszłości i w stosunku swym do Boga poddać się ukazom carskim. Spójrzcie na te świątynie: one się zamieniły w koszary policyi, gdzie tłumy zbirów, szpiegów i denuncyantów śledzą za każdem westchnieniem modlących się, spragnione dostarczyć carowi jeszcze dodatkowego żołnierza dla orenburgskich batalionów lub galernika dla dobywania złota.

Drodzy bracia! Jedyna nasza modlitwa, błagająca o pomyślność ojczyzny nam jest wzbronioną! Dlatego, niechcąc narażać duchowieństwa na nowe prześladowania, ani dodawać nowych ofiar do dawnych, lecz owszem w celu zaoszczędzenia krwi bratniej na chwile ważniejsze, nie powinniśmy iść ślepo w rozstawione na nas sieci. Nie mamy kościołów. Gdyż duch Boży tam nie przebywa, gdzie car wyłącznie rozkazuje. Chry-

stus uchodzi z murów, które się stały przybytkiem fałszu i oszukaństwa, gniazdem zbirów i policyi. Świątynie Boże przestały być Świątyniami. Lecz pomnijcie drodzy bracia, że Bóg jest wszędzie. Niech więc do czasu nasza szczera i gorąca modlitwa rozlega się wszędzie po domach i na wewnątrz na chwałę Bogu i zbawienie ojczyzny. A gdy przyjdzie czas, gdy skupiwszy się w jedną rodzinę, oczyścimy kościoły z celników i faryzeuszów, wówczas wzniesiemy do Boga uroczystą modlitwę słowami pieśni: »Ojczyznę wolność, racz nam wrócić Panie!« — Podówczas duchowieństwo tak było rewolucyjnie podniecone, że na drugi dzień po otwarciu kościołów, księża w katedrze św. Jana i u Reformatów na Senatorskiej ulicy wystąpili z podburzającemi kazaniami, za co zostali uwięzieni. Jednakowoż arcybiskup wziął ich na porękę i uwolnił od dalszej odpowiedzialności.

Wszystko to wychodziło z trzech czerwonych kółek, t. j. Sybiraków, złożonego z poważnych i doświadczonych ludzi; miejskiego, zbierającego się u dyrektora żeglugi parowej, Leona Królikowskiego, a złożonego przeważnie z jego przyjaciół i znajomych; i akademików, w którem oprócz słuchaczy różnych naukowych zakładów warszawskich, skupiało się wszystko, co było zapalnego, nieposkromionego i niecierpliwego w średnich warstwach ludności warszawskiej. Nieco później przyłączyło się do nich kółko kapłanów księdza Mikoszewskiego.

Wszystkie te koła miały cel wspólny; obalenie reakcyi, a następnie na dalszym planie, zbrojne powstanie. Dla nich wszystkich nowy arcybiskup, rozpoczynający swą działalność od wzbronienia hymnów i manifestacyi, był wrogiem, sługą i popleczníkiem Wielopolskiego, zwiastunem reform przygotowywanych przez Margrabiego w Petersburgu, a o których już, jak o czemś nadzwyczaj doniosłem i zbawiennem, zaczynano przebąkiwać w obozie białych.

Mimo to, każda z tych partyi, miała swój odcień odmienny, przeszkadzający im zlać się w jedno ogólne stronnictwo. Każda dążyła do zapanowania nad innemi i wyłącznego

wszystkiem rządzenia. Najwięcej takich pretensyi wypowiadali sybiracy, mający nawet swój organ publicystyczny. Pretensye ich atoli pozostały tylko w sferze pobożnych życzeń, gdyż pomimo, że sybiraków powszechnie szanowano, pod ich przewództwo nikt nie chciał się szeregować. Do tego w końcu stycznia 1862 roku głównych przewódców aresztowano i wywieziono w głąb Rosyi, więc i samo kółko, chociaż się nie rozwiązało, było jednak zachwiane w swych podstawach. — Henryk i Aleksander bracia Krajewscy w początkach marca zostali zesłani do Wiatki, jednakże wskutek różnych starań zatrzymano ich w Moskwie, a po dwóch miesiącach internowano w Tambowie, gdzie pozostawali do czerwca 1862 roku. Następnie za wstawieniem się hrabiny A. D. Bludow, proszonej o to przez Wielopolskiego, ułaskawieni, wrócili do Warszawy. Henryk Krajewski w 1864 roku ponownie zesłany do Rosyi, ponownie powrócił z wygnania i był w 1879 r. adwokatem przysięgłym przy izbie sądowej warszawskiej.

Jednocześnie zesłani do fortec: Izaak Kramsztyk do Bobrujska, Leon Goldsobel do Zamościa, Stanisław Szczeciński do Brześcia litewskiego, Karol Bayer do Modlina. W początkach lutego 1862 roku szewc Stanisław Hiszpański zesłany do Wiatki.

Pozostali członkowie stronnictwa sybiraków wydawali dalej, do października 1862 roku, *Strażnicę*. Potem zjawił się *Sternik*, organ tegoż samego kółka, redagowany podobno przez Aleksandra Zamoyskiego, urzędnika, który się wkrótce znalazł w cytadeli. W końcu wychodził *Partyzant*.

Odtąd tak liczbą, jak i doświadczeniem nabrało przewagi kółko miejskie Królikowskiego. Wybrany już nieco wcześniej komitet miejski, w skład którego weszli: Ignacy Chmieliński, obywatel ziemski, Julian Wereszczyński, urzędnik Banku polskiego i Głowacki, student kijowskiego uniwersytetu, zaczął formować czerwoną organizacyę, zwąc ją także narodową, a mającą za zadanie obalenie organizacyi białych. Jak daleko organizacya ta w zawiązaniu się swem zaszła, niewiadomo. Po-

wnem jest tylko, że w Warszawie ustanowieni zostali wydziałowi, podlegający naczelnikowi miasta.

Program ich był następujący:

Przywrócenie Polski w dawnych granicach zapomocą rewolucyi, do której już teraz pospiesznie sposobić się należy, zerwawszy wszelkie stosunki z rządem. — Zasady rewolucyi: równouprawnienie wyznań, stanów i narodowości; oswobodzenie i uwłaszczenie włościan. W środkach dla dopięcia celu nie bardzo byli wybredni, posiłkując się rozmyślnem uwodzeniem a nawet terroryzmem. Nowego komitetu lub centralnego zarządu do czasu nie ustanawiano [1]).

Zaledwie coś o tem zasłyszeli »akademicy«, wnet postanowili prześcignąć »miejskich« Królikowskiego. W marcu więc 1862 roku ustanowili swój komitet, nazwany »komitetem rewolucyjnym akademickim«, w skład krórego weszli: Benedykt Włodzimierz Milowicz, emisaryusz, jak niektórzy utrzymywali, jenerała Wysockiego, czy któregoś innego z czerwonych wodzów emigracyi; Stanisław Maleszewski, Zdzisław Janczewski, Władysław Daniłowski i Wincenty Kamiński. W mieszkaniu Janczewskiego przy ulicy Chmielnej, związano się następującą przysięgą: »Przysięgamy Bogu, w Trójcy świętej jedynemu, i nieszczęśliwej ojczyźnie naszej; przysięgamy na imię Kościuszki, Kilińskiego i wszystkich męczenników polskich, że dołożymy wszelkich starań i usilności, z narażeniem życia i mienia, ku podźwignięciu i odbudowaniu Polski w granicach pierwszego jej rozbioru. A gdybyśmy przysięgę tę złamać lub zdradzić mieli, niech dusze nasze zostaną przeklęte, imiona zaś nasze jako zdrajców, niechaj przechodzą w pogardzie w najdalsze pokolenia!« — Komitet zbierał się bądź to u Janczewskiego na Chmielnej, bądź u Milowicza na Świętokrzyżskiej. Zaraz na pierwszem zebraniu postanowiono prowadzić dalej werbunek ochotników do nieuniknionego już, i to w bliskiej przyszłości, powstania, trzymając się przyjętego już systemu

[1]) Z zeznań Majewskiego.

trójek i dziesiątek. Następnie trójki zarzucono a postanowiono tylko werbować dziesiątki i zwerbowanych zaraz zaprzysięgać.

Wiadomo, że najlepszym materyałem na ochotników była czeladź z drobnych rzemieślniczych warstatów. Ludzie oświatą mało co wyżej stojący od chłopa, a raczej ciż sami chłopi, przybrani w miejskie surduty i czapki, nadzwyczaj lubiący rozprawiać na swych zebraniach o wszelkich miastowych wypadkach, czytający, kto umiał, *Kuryerka* i wszystko, co wpadło do ręki, po skończonej zaś pracy kończący dzień rozpoczęty w bawaryach, ogródkach, garkuchniach, gdzie piwo płynie strugami, muzyka grzmi, kule stukają po bilardach i gdzie djable jest wesoło dla wczorajszego chłopa. Jest wtem coś odurzającego i wzruszającego, poezya swego rodzaju, zdolna pociągnąć i odurzyć rzemieślnika po ciężkiej pracy i całodziennym znoju, bardziej niż wszelkie Bajrony i Szekspiry pociągają innych, także wyrobników. Ludek ten posiada istnie wilczy apetyt na rozrywki wszelkiego rodzaju, zato jest prawie zawsze bez grosza. Pieniądz jakoś dziwnie topnieje w ich ręku, a do tego tych pieniędzy tak zawsze mało, tak mało...

Z jakąż zawiścią patrzy nieraz taki biedak na innego szczęśliwca, który może sobie pozwolić na jeden i drugi kufel piwa, i siedząc gdzieś za stołem, zwolna, nie spiesząc się, spija ten pożądany nektar, przysłuchując się ogłuszającym dźwiękom trąb i tarabanów, nie widząc nikogo i tylko mętnym wzrokiem wodząc po przesuwających się postaciach... Czytelnicy Bajrona nigdy nie potrafią wżyć się w umysł takiego człowieka, z narobionemi dłoniami, przyzwyczajonego wyprawiać skóry, giąć obody, dźwigać godzinami ciężki młot u kowadła; nie zrozumieją nigdy, jakim niebiańskim napojem wydaje się w takiej bawaryi nieosobliwe warszawskie piwo. Zażyć tej rozkoszy nie trudno, dostanie się jej za dziesiątkę, lecz nieraz brak i tych nędznych dziesięciu groszy. I stoi taki wyrobnik u wejścia, stoi z zaciśniętymi zębami i złowrogo roziskrzonem okiem... co on pod ten czas myśli?... lepiej może nie zaziérać mu do głębi duszy w podobnych chwilach.

Doskonale wszelako znali ten ludek niektórzy akademicy Taki werbownik przysiadał się do pierwszej lepszej podobnej postaci, zawistnie spoglądającej z zaciemnionego kąta na hulankę szczęśliwszej swej braci, fundował mu jeden, drugi i trzeci kufelek, poczęstował niezlem cygarem, jakiego przyszły powstaniec może nigdy w życiu nie palił i zawiązywała się między nimi gawęda. Z tymi ludźmi można było rozprawiać o różnych rzeczach. Wiedzieli oni coś i o Francyi i o Napoleonie, o Mierosławskim, Garibaldim i... o czemś jeszcze. W pokoju ich gospodarza, czyli pryncypała, wielkiego polityka w swoim rodzaju, noszącego częstokroć bardzo przyzwoity surdut, jak pan jaki, którego zresztą wszyscy panem tytułowali, wisiały na ścianach wizerunki Kościuszki, księcia Józefa Poniatowskiego; czasami stał posążek króla Jana Sobieskiego, w wysokim kołpaku z kitą i karabelą u boku; można tam nawet spotkać się z portretami Mickiewicza, Słowackiego, Kraszewskiego...

Akademik wymacawszy z różnych stron swego współbiesiadnika, wnet się dowiedział o jego stosunkach, usposobieniu i... albo powiedział *adieu* i znikał w tłumie, lub też udzielał mu niektórych współczesnych tajemnic i przyzywał »do służenia wspólnej sprawie.«

Zdarzało się, że akademik trafił już na wtajemniczonego, wtedy rozmawiali ze sobą niedługo i zaraz się umawiali. Czasem też werbowany zapytał, na czem polegać będzie ta służba?

— Otóż przyjdź jutro o piątej po południu na zjazd pod Zamkiem; albo chodź koło pałacu Stanisława Potockiego na Krakowskiem Przedmieściu, tam zbliży się do ciebie ktoś, kto ci wszystko wytłumaczy i powie co masz robić.

Mefistofeles znikał, a przed oczyma patryoty w zatłuszczonem wyrobniczem ubraniu, po kilku kufelkach bawara, coś niejasnego majaczyło w wyobraźni.

Nazajutrz obudziwszy się ze snu, przypominał sobie dziwną wczorajszą rozmowę z jakąś tajemniczą osobą; był mocno zaciekawiony całem tem zajściem i o godzinie oznaczonej sta-

wił się nieodmiennie w wyznaczonem miejscu, spozierając niespokojnie w około i oczekując z coraz większą niecierpliwością rozwiązania zagadki. Nie twierdzimy, aby się nie domyślał po części, jaka to tajemnica i czego się ona tyczy...

Tymczasem różni opatrywali samego kandydata i najczęściej znalazł się ktoś taki, który znał przybysza, co on za acz, czy przydatny i w czem dla przyszłych celów; tchórz, czy człek odważny, czy ma lub nie przyjaciół i znajomych między policyantami i t. p. Po takich oględzinach, które trwały czasem godzinę i więcej, jakiś zupełnie nieznajomy pan zbliżał się do przyszłego ptryoty i kazał mu iść za sobą. Ten szedł z uczuciem gorączkowego dreszczu, nie pozbawionego pewnej dozy przyjemności, jakiego doznaje każdy człowiek przy niezwykłych, awanturniczych wydarzeniach. Niewielka, ciemna komnata, w tylnem skrzydle pałacu Stanisława Potockiego, o zamkniętych okiennicach, do której po jednemu wprowadzano werbowanych, była zupełnie nieumeblowaną. W niej wstępujący musiał oczekiwać aż się uzbierało 5 do 10 towarzyszy; poczem wszystkich razem wprowadzano do drugiego pokoju, równie z zamkniętemi okiennicami, oświeconego słabo przez dwie jarzące świece, płonące na stole okrytym czarnem suknem, między któremi stał krucyfiks [1]). Przychodzących spotykał młody człowiek lat około trzydziestu, miłej powierzchowności, nazywający siebie hrabią Wołowskim, wypowiadał krótką, patryotyczną przemowę, w której wspominał o świętych obowiązkach każdego obywatela kraju w chwilach ważnych i nadzwyczajnych, wyjaśniał, że chwila taka właśnie nadeszła, przytaczając na dowód ogólne położenie spraw politycznych w Europie, obie-

[1]) Było to mieszkanie Stanisława Frankowskiego, w którem atoli nigdy nie mieszkał, a nawet do niego nie zaglądał. Z jednej strony okna wychodziły na ogród, z drugiej zaś strony od ulicy Czystej było tylko małe owalne okienko; tak wysoko umieszczone, że w żaden sposób do wnętrza zajrzeć nie było można. Obecnie pod tym oknem wybite jest wejście do magazynu Stanisława Wrotnowskiego, z pościelą i żelaznemi meblami (w 1878 roku).

tnice Napoleona, sympatye Anglii i Włoch, a wszystko to jasno, dokładnie i zrozumiale, dźwięcznym i przyjemnym głosem, patrząc śmiało i stanowczo w oczy nieco zatrwożonych prostaczków. Nikt z nich ani powątpiewał, że to »prawdziwy hrabia«, pan z panów. Po przemowie, już tonem wyniosłym rozkazywał wszystkim uklęknąć przed stołem i trzymając dwa palce na krucyfiksie, wykonywać przysięgę.

To tajemnicze otoczenie, ciemny pokój, stół okryty kirem, krucyfiks, świece; ta pewna siebie i rozkazująca postać hrabiego, wszystko to nakazywało posłuch. Rzadko który odważył się sprzeciwić. Zwykle wszyscy padali na kolana nie mówiąc ani słowa i powtarzali machinalnie za »hrabią«, mniej więcej tej treści, rotę przysięgi:

»Ja N. N. przysięgam Panu Bogu wszechmogącemu, w Trójcy świętej jedynemu, Przenajświętszej Matce Boskiej i Wszystkim Świętym, że od dziś dnia wstępuję na służbę Ojczyzny, wszystko co mam jej poświęcając. Będę posłusznym Władzy Narodowej w osobie wskazanego mi naczelnika i na pierwsze wezwanie stawię się, nie zwlekając ani chwili. Nie będę się dowiadywać, ani rozpytywać, kto na czele Związku stoi, a wszystko co usłyszę zachowam w najgłębszej tajemnicy, nie mówiąc nic ani rodzicom, ni żonie lub dzieciom, ani też znajomym. Z pieniędzy pochodzących ze składek zdam rachunek sumiennie. Tak mi Panie Boże dopomóż i Jego Święta Męko i Przeczysta Dziewico, Orędowniczko dusz naszych, jak ja pragnę dopomódz Ojczyźnie mojej! Amen.

Jeśli się trafił uporny, nie chcący złożyć przysięgi, hrabia starał się wszelkimi sposobami skłonić go do tego, że w tem niema żadnego grzechu ani niebezpieczeństwa, że sprawa czysta i święta, że w niej bierze udział kraj cały, że już jest 175 tysięcy zaprzysiężonych; »Twój pryncypał już dawno zaprzysiągł, a ty nie chcesz?« — mówił hrabia jeszcze bardziej przekonywująco, spoglądając na onieśmielonego biedaka.

— Czyż gospodarz zaprzysiągł? — »Ma się rozumieć, że przysiągł, ale ci tego nie powie, tak jak i ty nie masz nikomu

mówić o swej przysiędze. Zresztą po cóż mialbym cię zwodzić« — dodawał hrabia, śmiało patrząc w oczy patryoty.

— A no! jeśli gospodarz przysiągł, to i ja przysięgnę! i zaprzysięgał.

Bywały jednak wypadki, że werbowany niczem się nie dał nakłonić do złożenia przysięgi i żądał, aby go wypuszczono. Od takich brano przyrzeczenie, że zachowają w tajemnicy wszystko co widzieli i słyszeli. Czasem nie żądano nawet i takiego przyrzeczenia i wprost wyprowadzano z lokalu. Pogróżek, przynajmniej w początkach, żadnych nie było.

Zaprzysiężeni po złożeniu przysięgi zapytywali zwykle: »cóż mamy teraz robić?«

Odpowiadano, że przedewszystkiem należy wnieść do kasy narodowej składkę wedle możności, następnie zaś uiszczać miesięczną składkę na cele narodowe. Z początku składano wedle możności, następnie jednak unormowano stałą wysokość składek, złoty polski miesięcznie, albo 15 groszy co dwa tygodnie od każdego należącego do związku rzemieślnika [1]).

Niektórzy ciekawi byli, na jaki cel te pieniądze zostaną użyte. Tym odpowiadano, że na szpital, byś miał bezpłatną pomoc lekarską w razie choroby. A także zapomogą cię, gdy się przypadkiem znajdziesz bez pracy. Może cię wypadnie wysłać za granicę, będzie za co wykupić paszport. Alboż to pieniądze niepotrzebne?

Tak się to mówiło i oznaczało wysokość składki. Jednakowoż regularny pobór składek od tego nieopatrznego ludku okazał się niewykonalnym. Do tego poborcami byli ciż sami bracia rzemieślnicy. Zebrać, zbiorą, i zaraz-że razem przepiją. Szczególniej składki zaczęły iść opornie, gdy się rozniosły pogłoski, że wyższe władze nie zbyt sumiennie zarządzają groszem narodowym, i że akademicy zebrane pieniądze, zamiast na cele patryotyczne, wydają wprost na hulanki (?).

---

[1]) Opis ten cały, to wytwór bujnej fantazyi autora, daleki od rzeczywistości. *Przypisek tłumacza.*

Nie zważając wszakże na trafiające się nadużycia, na osłabione do pewnego stopnia zaufanie werbowanych do werbowników, werbunek odbywał się bardzo energicznie i ochotnicy przybywali tłumami. Akademikom stało się trudno kierować całą tą sprawą, zdali też robotę na roztropniejszych rzemieślników z grona już dawniej zaprzysiężonych. Rzemieślnik, który zwerbował dziesięciu ochotników stawał się dziesiętnikiem. Kto zebrał kilka dziesiątków, bywał mianowany setnikiem. Sprytniejsi między zwerbowanymi na swoją rękę werbowali dziesiątki, stawali się dziesiętnikami i tak szło coraz dalej. Przytem starsi w organizacyi szczególniej tego przestrzegali, by jeden dziesiętnik nie znał innych współkolegów, ani też setnik setników. W praktyce wszakże zupełnie temu zapobiedz było niezmiernie trudno. Powyżej godności setnika rzemieślnik nie mógł awansować. Tysięcznikiem lub okręgowym zostawał ktoś z akademików, lub niższych urzędników. Między tymi już się zachowywała pewna tajemnica.

Wkrótce policya wykryła lokal w pałacu Potockiego, w którym zaprzysięgano związkowych, przyczem pochwycono kilku zaprzysiężonych. Wskutek tego odbieranie przysiąg przeniesiono do domku przy ulicy Krzywe Koło, przyległej do starego miasta [1]). Tam zachowywano ten sam ceremoniał, jak i w pałacu Potockiego i przysięgi odbierał tenże sam hr. Wołowski. Wkrótce atoli, wskutek coraz liczniejszego napływu zgłaszających się do służby sprawie narodowej, sposób ten odbierania przysiąg okazał się niedogodnym. Wołowski aż zacho-

---

[1]) Było to mieszkanie Ksawerego Oborskiego, pomocnika księgarni, rodem z powiatu Olkuskiego. Mając lat 17, Oborski uszedł do Galicyi i tam czas jakiś pracował u krawca w Tarnowie. W 1848 roku dostał się do legionów na Węgrzech. Następnie uczęszczał na technikę w Krakowie i starał się tam zawiązać stowarzyszenie rewolucyjne. Austryacy wydali go rządowi rosyjskiemu; wzięty do cytadeli, przesiedział w niej 20 miesięcy, nim potrafiono rozpatrzyć się w jego, rozmyślnie zagmatwanej, sprawie. Zesłany do katorgi, przebył na Syberyi do 1861 r., z której wróciwszy, zaraz się przyłączył do czerwonych.

rował z wysilenia. Władza więc narodowa poleciła werbującym: dziesiętnikom i setnikom, by sami zaprzysięgali ochotników. Odbywały się więc te przysięgi: w ogrodzie willi Fraskati przy ulicy Wiejskiej, w której właściciele hrabstwo Braniccy nie mieszkali, a dokąd policya bardzo rzadko zaglądała; u Jana Rozińskiego, szewca, zamieszkałego pod liczbą 280 przy ulicy Freta; u Piotra Dąbrowskiego, szewca, przy ulicy Aleksandria; u stolarza Mikuszewskiego na Lesznie; u Donata Czyżewskiego, stolarza i Michała Lisemana, szewca na Podwalu, a także po kościołach. Jednak niektórzy nie chcieli się zadawalniać przysięgą przed takim, jak sami rzemieślnikiem, złożoną i szli następnie na Krzywe-Koło powtórzyć ją w ręce »hrabiego.«

Werbunek ten do przyszłego powstania odbywał się bez przerwy od marca do czerwca 1862 roku. Policya nie raz wpadała na trop tych robót, wyrywała kilka ogniw z łańcucha, lecz wogóle tajemnica została dochowaną. Odkryto i lokal przy Krzywem-Kole, przyczem uwięziono Oborskiego, którego przydybano w łóżku, w zupełnie zresztą pustym pokoju. Mimo to przysięgi odbierano dalej po strychach, kościołach, w Fraskati, z początku w samej tylko Warszawie, wkrótce zaś po całym kraju, nieco później także na Litwie i Rusi.

Ponieważ akademicy nic więcej nie działali, a robota ich bez systemu i prawie jawna szkodziła ogólnym celom czerwonych, gdyż wypadkowo aresztowane jednostki coraz bardziej wypowiadały tajemnicę i odkrywały rządowi, co się mianowicie przygotowuje, więc miejski komitet Królikowskiego postanowił porozumieć się z młodzieżą, i jeśli się uda objąć kierunek nad całą robotą, a przynajmniej umówić się o zgodne w wytkniętym kierunku działanie.

Pewnego dnia Królikowski zaczepił Janczewskiego tem, że wie o istnieniu kółka akademickiego i o ich robotach bez wszelkiego planu, które więcej szkodzą niż korzyści wspólnej sprawie przynoszą i dlatego jest zdania, że byłoby bardziej politycznie i pożyteczniej, połączyć się wszystkim w jeden zastęp patryotów na wszystko przygotowanych, i wspólnie roz-

począć działanie przeciw rządowi i białym, podług umówionego planu, a w tym celu wybrać wspólną władzę i tej bezwarunkowo słuchać.

Janczewski odrzekł, że i oni wiedzą o istnieniu kółka miejskiego i powstałego z grona tegoż komitetu, i wcale nie są przeciwni porozumieniu się z braćmi po duchu, którzy prowadzą tę samą robotę, tylko w inny sposób, nie tak dzielnie i skutecznie, a to głównie dlatego, że brak im najcenniejszej zalety akademików, to jest młodości.

Królikowski zakomunikował to swoim przyjaciołom, ci oświadczyli, że się nad tem namyślą i na tem stanęło. Dnia 20-go maja komitet miejski wydał pierwszy numer założonego przez siebie *quasi* czerwono-rządowego dziennika *Głos z Warszawy*, spodziewając się tem skupić około siebie wszystkie czerwone żywioły. Lecz akademicy ani słyszeć nie chcieli o żadnym *Głosie* i dalej prowadzili swoje roboty. Znów policya przychwyciła kilku zaprzysiężonych. Wówczas komitet zawezwał akademików do przysłania deputatów, oznaczając na miejsce schadzki mieszkanie Witolda Marszewskiego, urzędnika przy drodze żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Ostatnich dni maja 1862 roku przybyli Milowicz [1]), Maleszewski, Janczewski, Daniłowski i Kamiński, czyli cały komitet akademików. Ze strony miejskich, oprócz gospodarza, byli obecni: Leon Królikowski, Stanisław Matusewicz, Julian Wereszczyński, Franciszek Godlewski, Marcin Borelowski, Jarosław Dąbrowski [1]), Ignacy Chmieliński, Edward Kokosiński, Bronisław Szwarce, Jan i Edward Rolscy i Rafał Krajewski.

Po długich dysputach akademicy oświadczyli, że dla dobra wspólnej sprawy, to jest sprawy wszystkich czerwonych, należałoby wybrać jeden wspólny komitet, złożony z 5 członków, z władzą niezawisłą, w którym powinien zasiadać cho-

[1]) Milowicz nie należał do akademików, skończył kijowski uniwersytet w 1859 r., i przeważnie przebywał w Paryżu. *Przyp tłum.*

[2]) Dąbrowski przybył do Warszawy dnia 6. lutego 1862 roku i zamieszkał pod numerem 9. w hotelu Saskim.

ciażby jeden akademik; inaczej na połączenie się nie zgodzą. Miejscy zarzucali, że akademicy są jeszcze za młodzi, mogliby się więc bezwarunkowo podporządkować starszym i powierzyć tymże kierunek rządu. Akademicy przyznali, że są w istocie młodzi, lecz obecnie czas jest taki, że i młodzi są potrzebni, i mają swoje znaczenie. Na dowód zaś wskazywali na znaczną siłę zaprzysiężonych, którą rozporządzają i która wyłącznie ich słucha, i że właśnie oni, a nie kto inny, wywołali wszystkie obecne wypadki. Starsi zarzucali, że siła reprezentowana przez młodzież, wywołuje w kraju tylko nieporządki; akademicy zaś odpierali, że gdyby nie te nieporządki, to w położeniu kraju nic by się nie zmieniło...

Porozprawiawszy jeszcze pewien czas w ten sposób, obie partye rozeszły się nic nie wskórawszy. Wkrótce wszakże, bo w pierwszych dniach czerwca zeszli się znowu w tem samem mieszkaniu i starsi zrobili pewne ustępstwa młodzieży. Daniłowski, student medyko-chirurgicznej akademii wszedł do komitetu miejskiego, który składali: Witold Marczewski, Stanisław Matusewicz, Ignacy Chmieliński, Jarosław Dąbrowski Władysław Daniłowski [1]). Dąbrowski, jako wojskowy, a przytem lubiący i umiejący rozkazywać, stał się stałym przewodniczącym tego nowego »komitetu czerwonych.« Nadto był naczelnikiem miasta Warszawy.

Pełen projektów i planów, Dąbrowski już na pierwszych posiedzeniach komitetu przedstawił plan zbrojnego powstania na dzień 14. czerwca 1862 roku i tak zręcznie i gorąco go bronił, takie niezbite dla niewojskowych przedstawiał argumenta, że plan ten przyjęto i gorączkowo zaczęto gotować się do powstania. Lecz spokojniejsze i umiarkowańsze w stronnictwie umysły, tak z Warszawy jak i przybyli z całego kraju wyżsi urzędnicy obu organizacyi, zeprotestowali stanowczo przeciw takiemu niewczesnemu wybuchowi, a nawet zmusili komitet do rozwiązania się [2]).

[1]) Zeznania Zdzisława Janczewskiego. [2]) *Giller* tom II, str. 95.

Wybrano nowy komitet, w skład którego weszli: Witold Marczewski; Karol Majewski; Julian Paszkiewicz, obywatel ziemski z augustowskiego; Agaton Giller, literat i Jarosław Dąbrowski.

Ażeby raz skończyć z kwestyą powstania, Giller zaproponował, ażeby specyalna komisya rozpatrzyła szczegółowo sprawę... Na to przystano i wybrano do komisyi oprócz wnioskodawcy Majewskiego i Paszkiewicza, ta zaś zaprosiła na sprawozdawcę, sprawcę całego zamieszania, Dąbrowskiego, dla małego wzrostu, Lokietkiem w organizacyi zwanego.

Komisya zażądała od Lokietka wyjaśnień, czem może usprawiedliwić swoje twierdzenie, gdy niema jeszcze ani ludzi gotowych do boju, ani broni, oficerów ani pieniędzy; słowem, gdy jeszcze brak wszystkiego. Dąbrowski odpowiedział, jak w ogóle odpowiadają w podobnych wypadkach tacy rewolucyoniści i zapaleńcy, że »przygotować się do powstania w takim stopniu, jak tego żądają biali, w ogóle niepodobna; zawsze będzie czegoś brakować; że w rewolucyi najważniejszą rzeczą jest śmiałość i szybkość działania, wskutek czego małe na początku siły, wzrastają jak lawina, i to, co na pozór wydawało się wprost niemożliwem do wykonania, naraz się spełnia, jakby za uderzeniem laski czarnoksięzkiej. Przykładów takich w dziejach aż nadto; najbliższy zaś i najbardziej jaskrawy, to zaszłe przed rokiem wylądowanie Garibaldiego w Marsali z tysiącem na wszystko zdecydowanych ludzi, a którychby wszystkich biały komitet wsadził do domu waryatów. Tymczasem zaś ci waryaci zdobyli Neapol i zmienili kartę Europy. *Unsinn! du siegst!* — powiedział poeta. — A przytem stan spisku w Królestwie bynajmniej nie jest tak opłakanym, jak to się zdaje zimnym i pogrążonym w egoizmie obserwatorom, nie znającym rzeczy zbliska. Polska ma pomoc w samejże Rosyi, gdzie się także przygotowuje rewolucya. Obywatele ziemscy, pozbawieni przed trzema miesiącami swych praw i znaczenia, są rozgoryczeni i rozdrażnieni do najwyższego stopnia. Włościanie także są niezadowoleni i rozdrażnieni, gdyż

według swych przekonań otrzymali nie wszystko, co im się należało. Oni oczekują jakiejś »złotej bramoty« i burzą się; były już starcia z wojskami. Młodzież klas wyższych i średnich, to jest cała młodsza inteligencya rosyjska, oczekuje stanowczej zmiany systemu rządowego. Ona najwięcej wycierpiała za panowania Mikołaja, ale też przed rokiem, już za panowania teraźniejszego cesarza, dobrze się jej dostało. W wojsku niezadowolenie ma inne powody. Cesarz nie zwraca uwagi na zbyt skromne pensye oficerów; zmienia ciągle umundurowania; przytem nie mogą wojskowi zapomnieć i przebaczyć rządowi tych »rzemyczków«, które w wojnie krymskiej zatraciły sławę czasów minionych i postawiły Rosyę w ostatnich rzędach państw europejskich. Stojąca w Królestwie Polskiem armia rosyjska jest zupełnie zdemoralizowana, a to z powodów, o których długoby było rozprawiać. Stan fortec opłakany. Bramy Modlina i Demblina wrosły w ziemię i zapomniano nawet, że się mogą zamykać. Nic łatwiejszego, jak wejść przez nie szturmującej kolumnie. A wzięcie takiego Modlina, wywrze wstrząsające wrażenie, będzie tą iskrą elektryczną, która wszystko zapali. Źle uzbrojeni powstańcy znajdą w fortecy broni i amunicyi podostatkiem. A także... sympatye!...

Na zakończenie dodał, że prędki wybuch powstania jest niezbędny także i dlatego, ażeby uprzedzić i sparaliżować reakcyę, która zapanuje nieodmiennie po powrocie Wielopolskiego z Petersburga; tak niezbędny, jak były niezbędne gwałtowne manifestacye za Lamberta, które przeszkodziły wyborom, czyli tejże samej reakcyi.

Któryś z członków komisyi zarzucił mowcy, że co innego wymownie przedstawiać rozmaite mrzonki, poniewierać Rosyę, brać bez armat fortece pierwszorzędne, a co innego zaś to wszystko wykonać. Komisya pragnęłaby wiedzieć, jakie dowody Dąbrowski przedłoży, że wszystko to, co przedstawiał z takiem ożywieniem, nie jest grą tylko jego bujnej wyobraźni, lecz rzeczywiście jest takiem. Szczególniej zaś byłoby potrzebne, mieć dokładne dane o usposobieniu umysłów w wojsku,

stojącem załogą w Królestwie; czy w rzeczy samej armia jest tak zdemoralizowaną, jak to twierdzi Dąbrowski?

Dąbrowski oświadczył, że jego słowa potwierdzą liczni oficerowie. Komisya więc zażądała, ażeby na przyszłe posiedzenie przyprowadził z sobą takich oficerów Rosyan i Polaków. Dąbrowski się podjął tego i w istocie sprowadził kilku oficerów sympatyzujących z powstaniem. Część ich wkrótce zginęła, lub wiedzie biedny żywot na emigracyi, część zaś zręcznie i w porę umiała się wycofać i do tego stopnia w 1863 roku prześladowała powstańców, że »Talejrandzi« sfer rządowych w wojsku nieraz musieli powtarzać tym zapalonym poskromicielom powstania *pas trop de zèle, messieurs, pas trop de zèle!*... Wszystko to teraz zapomniane; ci panowie znowu są rosyjskimi oficerami i to nawet dobrymi oficerami; niektórzy z nich już są jenerałami, stoją na czele dywizyi, sztabów... lecz wówczas, w chwilach, które opisujemy, cała kupka oficerów przybyłych z Dąbrowskim na posiedzenie komitetu rewolucyjnego w czerwcu 1862 roku była jednakich przekonań; wszyscy się burzyli, zapalali, bredzili różne głupstwa, uważali się za bohaterów, wodzów zastępów dźwigającej się od morza do morza Polski... Zapewne, nie u jednego z nich cierpła skóra w czasie tych rozpraw komisyjnych, na każde poruszenie drzwi, na każdy gwałtowniejszy ruch na ulicy. Cierpnie zapewne im ona i teraz, gdy sobie przypomną jeszcze pewne schadzki w domku przy ulicy Chmielnej, gdzie ta się schodzi z Bracką [1]).

Giller przemówił do zebranych oficerów, wyjaśnił nadzwyczaj ważne i doniosłe znaczenie toczącej się narady i zaklinał ich na honor żołnierski, aby oświadczyli, czy twierdzenia Dąbrowskiego oparte są na rzeczywistości, czy armia jest zdemoralizowana i nie będzie walczyć z powstańcami na seryo, lecz owszem, czy można oczekiwać zdrad i dezercyi. »Od wa-

---

[1]) Większość oficerów byli to Polacy. *Giller* ich nazywa „ruskimi“ i powiada, że było ich przeszło 20-stu. — Tom II, str. 95.

szych słów, zakończył Giller, zależy przyspieszenie lub odroczenie powstania, a zatem pamiętajcie panowie, że jeśli wskutek zapewnień waszych rzucimy się przedwcześnie do boju i zostaniemy zgnieceni, nie na kogo innego, tylko na was spadnie cała odpowiedzialność za ten krok nieobmyślany, i za krew przelaną marnie i za opóźnienie wyzwolenia Rosyi i Polski [1]). Dwóch oficerów, Potebnia i któryś drugi, zapewniali, że żołnierze, którymi dowodzą, pójdą za niemi wszędzie, »chociażby na barykady przeciw wojskom carskim.« Lecz wszyscy inni jednomyślnie oświadczyli, że »powstanie, opierające jedynie swe widoki powodzenia na zdradzie żołnierzy, jest nonsensem; że propaganda prowadzona w wojsku postępuje nadzwyczaj opornie; że na wojska możnaby chyba liczyć w takim razie, gdyby wyginęli wszyscy starsi żołnierze, ale i to jest rzeczą bardzo wątpliwą; że oni, oficerowie, pójdą do boju i położą swe głowy w walce za wolność i swobodę, lecz nie podejmują się porwać za sobą masy żołnierzy, to istne bydło wojenne.« Nakoniec wszyscy oświadczyli, że na powstanie jeszcze nie pora, że ludzie kierujący spiskiem powinni wszelkich możliwych starań dołożyć, aby wybuch odroczyć [2]). Zapadła też uchwała odraczająca. Odwołano instrukcye dawnego komitetu o przygotowaniach do bezzwłocznego powstania i ogłoszono je jako nieistniejące.

Oburzony i obrażony takim obrotem sprawy Dąbrowski, podmówił podlegających mu, jako naczelnikowi miasta, wydziałowych miejskiej organizacyi, oraz dosyć licznych stronników Chmielińskiego, by zmienili skład komitetu, twierdząc, że to jest konieczne dla ocalenia spisku, że w przeciwnym razie reakcya wszystko opanuje zanim się kto nawet spostrzeże.

Na najbliższem zatem posiedzeniu komitetu, Dąbrowski złożył na stole oświadczenie wydziałowych, żądające, by komitet »nic nie przedsiębrał i nie wydawał żadnych zarządzeń bez wiedzy i przyzwolenia naczelnika miasta.«

---

[1]) *Giller* tom II, str. 95. *Aweyde* tom II, str. 99.
[2]) *Giller* tom II, str. 96.

Członkowie komitetu jednozgodnie oświadczyli, że takiego wezwania nie usłuchają. Wówczas wydziałowi podbechtani przez Dąbrowskiego odmówili posłuszeństwa, co spowodowało Majewskiego i Paszkowicza do ustąpienia z komitetu, w którym wśród podobnych intryg niepodobna było spokojnie i prawidłowo rzeczy prowadzić.

Gdy wiadomość o tych skandalicznych zajściach w najwyższej władzy czerwonej organizacyi rozeszła się po mieście, osobistości, które wybrały rozbity komitet, zebrały się wspólnie z wydziałowymi u Marczewskiego i tam po długich sporach i krzykach ustanowili nowy komitet, złożony z Witolda Marczewskiego, Agatona Gillera, Bronisława Szwarcego, Władysława Koskowskiego, urzędnika Towarzystwa kredytowego ziemskiego i z Władysława Daniłowskiego [1]). Chmieliński obecny na zebraniu i obrażony, że go przy wyborze ominięto, oświadczył to otwarcie i opuścił zebranie. Pozostali postanowili zaprosić go jako członka komitetu na następne posiedzenie, wraz z jego stronnikami, dla omówienia niektórych spraw, a właściwie, ażeby go, o ile się da, udobruchać i zadowolnić jego miłość własną, gdyż wiedziano, że rozzłoszczony, może komitetowi przyczynić niemałych trudności i kłopotów. — Chmieliński stawił się na wezwanie z gromadą najzapaleńszych krzykaczy, którzy zaraz oświadczyli, że gotowi uznać i podtrzymywać nowy komitet pod tym jedynie warunkiem, że Koskowski zostanie usunięty, a na jego miejsce wybierze się kogo innego. Deklaranci byli pewni, że tym innym zostanie Chmieliński, jedyny człowiek, mogący w komitecie walczyć z obcymi żywiołami i pokierować sprawą tak, że reakcya pomimo największych wysileń, niczego dokazać nie potrafi. Wszelako nadzieje te zawiodły. Przy wyborze wprawdzie Koskowski przepadł, lecz większość głosów otrzymał nie Chmieliński lecz Paszkiewicz. Ponownie pominięty Chmieliński zerwał się jakby pod ukąszeniem węża i w te słowa przemówił do zebranych:

[1]) *Giller* tom I, str. 68.

»Rozstaję się z wami panowie, najprzód dlatego, że się wam niepodobam; powtóre zaś z powodu, że nasze poglądy na sprawę są wręcz sobie przeciwne. Wy dążycie... niewiadomo dokąd, ja zaś zmierzam wprost ku rewolucyi i uważam za swój najpierwszy obowiązek działać rewolucyjnie, nie przepuszczać wrogom, wszekimi możliwymi sposobami im szkodzić i niszczyć ich o ile sił starczy. W przeciwnym razie nam samym będzie źle. Dąbrowski tylko napomykał o zbliżającem się niebezpieczeństwie, a ja wam powiadam bez ogródek, że jeśli pozwolimy Wielopolskiemu urzeczywistnić jego plany, a mianowicie wyjednać coś dla Kongresówki, to sprawa nasza przegrana. Jest to moje najgłębsze przekonanie. Wasze proroki powiadają wam, że teraz jeszcze nie czas wszczynać powstania, a ja z Dąbrowskim myślę, że można. W rewolucyach potrzeba koniecznie coś ryzykować, używać ostatecznych środków, próbować wszystkiego. Podoba się wam wyczekiwać, więc czekajcie! My będziemy działać inaczej! W jaki sposób? dowiecie się o tem wkrótce. Oto wszystko, co miałem wam powiedzieć. Bądźcie zdrowi!«

Chmieliński utworzył wkrótce oddzielny komitet rewolucyjny, skład którego pozostał nieznany. Wiadomo tylko, że Dąbrowski był jeśli nie członkiem, to przynajmniej jednym z najgorliwszych pomocników Chmielińskiego we wszystkich tegoż piekielnych pomysłach, a to aż do swego uwięzienia w sierpniu 1862 roku.

Z punktu widzenia czysto rewolucyjnego Chmieliński i jego zwolennicy mieli najzupełniejszą słuszność. Sprawy przybierały nader niebezpieczny kierunek dla tych, którzy jedynie w powstaniu widzieli zbawienie, którzy niezadawalniając się ustępstwami i reformami dla samego Królestwa, żądali czegoś jeszcze więcej. W Petersburgu, bardziej niż można było przypuszczać, potężniał wpływ Wielopolskiego i gdyby nie zaszły wypadki przygotowane i urządzone przez tajemny, rewolucyjny komitet Chmielińskiego, wielkie zachodzi pytanie, czy by powstanie wybuchło?

Ale też nie mniej ciekawe pytanie, czy byłoby to korzystniejsze dla Rosyi?

Rząd posiadał dosyć dokładne relacye o wszystkiem, co się działo w ziemiach polskich wszystkich trzech zaborów i na emigracyi. Brał też na uwagę, że i w Rosyi nie było zupełnie spokojnie. Narady nad tem »co dalej robić«, przenosiły się z gabinetu cesarza do niektórych znakomitszych salonów, szczególniej zaś do salonów wielkiej księżny Heleny Pawłowny, lubiącej się bawić polityką; do salonu wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza [1]), Sumarokowych, Bludowych, hr. Borcha, Nesselrodego, barona Piotra Meyendorfa... Tam w przerwach między muzyką, wykwintnemi przyjęciami, rozprawiano w jaki sposób możnaby naprawić stan spraw w tem niebezpiecznem, zachodniem pograniczu. Gdzie brak zupełny prawidłowo istniejących instytucyi, w którychby potrzebne rozprawy mogły się odbywać bez dam i muzyki, należy dziękować Opatrzności, że się urządzają czasem chociaż takie, nie zbyt prawidłowe »parlamenta« z współudziałem dam, muzyki, z dodatkiem niepotrzebnej i przeszkadzającej, wielkoświatowej lekkiej gawędy, Bóg wie o czem... Wielopolski ze swoją słoniowatą postacią, bywał stale na takich wieczorach i po upływie pewnego czasu, osobiście i przy pomocy swych arystokratycznych sprzymierzeńców, potrafił wpoić znacznej liczbie petersburgskich polityków płci obojej to przekonanie, że zwyczajnymi, polegającymi na rutynie środkami, nie da się uleczyć tej choroby. Ani Lüders, ani inny jaki jenerał starego pokroju, nic tu nie pomogą, należy radykalnie zerwać z systemem łączenia w jednej osobie władzy cywilnej i wojskowej. Rządca cywilny po-

---

[1]) Gdy w początkach panowania Aleksandra III, Konstanty Mikołajewicz przeniósł się na czas jakiś do Paryża, gazety donosiły, że w rozmowach z najbliższymi W. Książę wypowiadał żal, że w latach 1861—1862 za nadto zbliżył się z partyą radykalną ruską. — Patrz między innemi *Gazetę Narodową* z 1882 r., numer 11, str. 2, szp. 3.

winien informować wojskowego, ktokolwiekbądź nim będzie, chociażby książę krwi, wprawiać go do szanowania legalności w zarządzeniach władzy, czy to w ważnych czy w drobnych sprawach, a o czem dotychczasowi wielkorządcy w Polsce nie mieli najmniejszego pojęcia. Jednocześnie z temi zmianami należy obdarzyć kraj jak najszerszą autonomią, i to rzeczywistą a nie na papierze, i nie zwlekając, lecz jak najprędzej.

W poufnych zaś rozmowach z najbliższymi przyjaciółmi, przebiegły i śmiały polski magnat wdawał się w bardziej otwarte sądy, dla zaostrzenia zaś apetytu u niektórych wysoko postawionych żołądków, napomykał o roli konstytucyjnych ministrów dla Rosyi... jednem słowem, że to, o czem jeszcze w marcu w tych samych salonach mówiono tylko w najbardziej nieokreślonych ogólnikach, w napomknieniach i przez trzecie osoby, to teraz wypowiadano zupełnie jasno i dobitnie, żywem i płomiennem słowem, a przytem otwarcie we własnem imieniu.

Gdy się salony już dostatecznie o tem narozprawiały, cesarz polecił swemu gościowi, aby przyspieszył wypracowanie memoryału co do najniezbędniejszych reform, o których wspominał zaraz po przybyciu do Petersburga, przy pierwszych wyjaśnieniach złożonych jego cesarskiej mości.

Wielopolski napisał, a raczej przepisał dawno już wygotowany projekt, w którym, oprócz przewodniej zasady podziału władzy między dwóch przedstawicieli, zamieścił jeszcze różne uwagi, tak co do osób tych przedstawicieli, jak też i ich wzajemnych atrybucyi. Wojenny rządca został w nim wymieniony po imieniu, jako z dawna już, bo jeszcze w styczniu 1861 roku, gdy Gorczakow po raz pierwszy zachorował, wskazany przez głos narodu [1]). O rządcy cywilnym powiedziano, że tym może być tak dobrze Polak jak i Rosyanin, lecz koniecznie człowiek

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa. Od czerwca 1862 roku zaczęto wszędzie mówić i pisać, za granicą i w Warszawie, że wielki książę Konstanty Mikołajewicz przybywa do Polski na wice-króla.

wszechstronnie wykształcony, dobrze obeznany z prawem i, *conditio sine qua non*, posiadający najzupełniejsze zaufanie cesarza. W dodatku, szkoła główna przeistaczała się na uniwersytet, a w miejsce herbów i kolorów rosyjskich wprowadzały się napowrót polskie.

Rozpatrując z swem najbliższem otoczeniem projekt ten Wielopolskiego, cesarz wykreślił »uniwersytet« oraz »polskie kolory i herby«; zaś co do rozdziału naczelnej władzy w Królestwie Polskiem między dwóch kierowników i naznaczenie na wojskowego rządcę księcia krwi, jak to było do roku 1830, cesarz nie miał nic przeciw temu, chociaż niektórzy robili uwagę, że w obecnej chwili taki książę krwi będzie dla Rosyan *trop polonais*, zaś dla Polaków *trop russe* [1]).

Wielopolski otrzymał swój projekt napowrót ze wskazówkami, coby należało w nim przerobić i zmienić, lecz z natury swej nie tylko stały w zasadach, lecz przy swem zdaniu uparty i tylko w ostatecznym razie nader niechętnie od raz wypowiedzianego zdania ustępujący, ani myślał przerabiać swej pracy i gdzieś się odezwał, że właściwiej byłoby poruczyć to zadanie komu innemu, jego zaś niech od tego uwolnią i pozwolą mu spokojnie powrócić do siebie na wieś. Słowa te doszły do cesarza, który je przyjął w milczeniu, wskutek czego Wielopolski podał się o dymisyę. Żądanie to przyjęto, lecz zawezwano go, ażeby jeszcze jakiś czas krótki pozostał w Petersburgu dla omówienia niektórych przedmiotów [2]).

Głównym dyrektorem komisyi spraw wewnętrznych został zamianowany tajny radca Kruzenstern; wyznań i oświaty kasztelan Dembowski, zaś komisyi sprawiedliwości rzeczywisty tajny radca Romuald Hube. Gdyby zaś projektowany po-

---

[1]) Dowcip ten kursował po salonach, gdzie również mówiono o Margrabim, że jest Wielopolski ale Małoruski. — Dziennik pułkownika Krywonosowa.

[2]) *Lisicki* tom I, strona 272. — Partya Suchozaneta podniosła wówczas głowę. Przezywano różnie Margrabiego, a „Konrad Wallenrod“ i *traître déguisé* należały do delikatniejszych przezwisk.

dział władzy miał przyjść do skutku, na cywilnego adlatusa namiestnikowi został upatrzony Mikołaj Aleksiejewicz Milutin, który bawił podówczas za granicą.

Wielopolski, dziś-jutro, mógł wrócić do Chrobrza.

Wtem otrzymano wiadomość z Warszawy, że między wojskowymi odkryto spisek; w jakiś czas potem wykonano niezmiernie śmiały zamach na namiestnika. To w jednej chwili zmieniło całą sytuacyę i inaczej usposobiło cesarza.

U jenerała Chrulewa był do posług żołnierz czwartego batalionu strzelców celnych. Chrulew w wolnych chwilach lubił rozmawiać z żołnierzami, gawędził więc i z tym swoim dienszczykiem. Najczęściej rozmowa toczyła się o życiu pułkowem, czy im dobrze? czy nie doznają jakich krzywd ze strony najbliższych przełożonych? czy w ogóle są zadowoleni ze swego położenia? Żołnierz ów stale opowiadał o nadzwyczajnej harmonii, panującej między żołnierzami a bezpośrednimi ich naczelnikami i raz powiedział, że w ich batalionie oficerowie z żołnierzami obchodzą się jak bracia, że nawet w wolnych chwilach czytają im różne książki...

— Jakież to książki? — zapytał nieco zdziwiony jenerał.

— A ktoż ich wie jakie! muszą być ładne, bo żołnierze lubią słuchać — odrzekł zapytany.

Chrulew zawezwał do siebie dowódzcę batalionu i rozpytał się go, którzy mianowicie z oficerów czytują żołnierzom książki. Okazało się, że byli to młodzi oficerowie: porucznik Arnhold i podporucznik Sliwickij. Oni czytywali żołnierzom książki podejrzanej treści i wdawali się w nader podejrzane rozmowy. Również okazało się, że już ich od dawna śledzą, dla wyszukania stanowczych dowodów ich przewinienia.

Tu nie trzeba śledzić, lecz zaraz obu aresztować, nakazał Chrulew.

W nocy z dnia 5. na 6. maja 1862 roku obydwóch oficerów uwięziono. Wysadzona śledcza komisya wykryła, że żołnierzom odczytywano różne podburzające utwory, najwięcej zaś wyjątków z *Kołokoła* i *Północnej Gwiazdy*. Z książek wyda-

nych w Rosyi czytano: *Dzieje Henryka VIII* i powieść Puszkina *Dubrowski*. Nadto natrafiono na ślad stosunków z pewnemi podejrzanemi osobami w mieście, w czem pośredniczył żołnierz Szczur, wychrzta z żydów i podoficer Rostkowski, Polak. Z kim były nawiązane te stosunki, niewiadomo. W aktach sprawy niema o tem najmniejszej wzmianki [1]).

Już ta okoliczność, że dla utrzymania sekretnych stosunków z miastem używano żyda i Polaka, wskazuje dostatecznie, jak mały wpływ wywierały te czytania na żołnierzy Rosyan. Czytano im, opowiadano różne rzeczy, a jednak zupełnie im zaufać się nie odważono. Z toku śledztwa można wywnioskować, że żołnierze słuchali, jak się słucha bajek dla zabicia nudów, nie rozumiejąc dobrze treści odczytów. Żadnemu z słuchaczy ani w myśli powstały te wnioski, które dla każdego wykształconego człowieka wypływały z treści odczytywanych utworów. Żołnierzom, wszystko co słyszeli, kotłowało mętnie po głowach. Dubrowski, Hercen, Henryk, byli to ludzie jednej epoki. Któryś z żołnierzy zapytał raz Śliwickiego: »A kto pisze odezwy, które Polaki podrzucają wojsku?« — Zmięszany Śliwicki, aby dać jakąkolwiek odpowiedź, powiedział, »że pisze je Dubrowski.« — A ktoż to ten Dubrowski?... — To brat cioteczny Hercena. — W ten sposób Dubrowski i Hercen uchodzili między żołnierzami za ciotecznych braci i ludzi jednego rzemiosła po piórze.

Gdyby wybuchło powstanie, czwarty batalion celnych strzelców, wychodząc z odczytu najbardziej podburzającego utworu, tak dobrze uderzyłby na Polaków, jak wszystkie inne wojska rozłożone w Królestwie; o tem ani na chwilę nie wątpili ludzie, znający rosyjskiego sołdata. Zapewne, stojąc na kwaterze po wsiach i miasteczkach, żołnierz zbliża się do Polaków, można powiedzieć, że wtedy jest na usługach całego domu, i drew urąbie i w piecu zapali, przyniesie wody, niań-

[1]) *Giller* w tomie II str. 93 powiada, że w spisku Arnholda i Śliwickiego najbardziej zawinił Dąbrowski.

czy dzieci, lecz niech zawołają »Polak buntuje się przeciw carowi«, i śladu niema, gdzie się podziała przyjaźń. Charakterystyczna to anegdota z owych czasów: żołnierz znalazł podrzuconą odezwę i odnosi ją oficerowi. — A przeczytałeś? zapytuje tenże. Przeczytałem, wasze blahorodie. Cóż tam piszą? Żebyśmy was nie słuchali. A cóż wy na to? A cóż, gdybyśmy was nie słuchali, jużbyśmy dawno wszystkich Lachów wymordowali! (Pierebili).

To też tylko takim dzieciakom jak Arnhold (lat 20) i Śliwicki (lat 21) mogło się marzyć, że czytaniem jakichś bajeczek można doprowadzić rosyjskiego żołnierza do złamania przysięgi. W ogóle całe to zdarzenie, tak szumnie przezwane spiskiem, w spokojnym czasie zupełnie inaczej byłoby traktowane. Posłanoby młokosów przewietrzyć się trochę na Kaukazie lub w orenburgskich stepach, może nawet bez pozbawienia oficerskiego stopnia, teraz jednak skazano ich obu wraz z podoficerem Rostkowskim na rozstrzelanie, Szczura zaś na przepędzenie przez 4.000 palek.

Warszawa, nie wiemy na jakiej podstawie, oczekiwała złagodzenia wyroku, lecz nadzieje te zostały zawiedzione. Namiestnik konfirmował wyrok i takowy został wykonany w Modlinie dnia 26. czerwca. Tylko Szczurowi zmniejszono karę do 600 palek.

Nazajutrz dnia 27. czerwca, w Saskim ogrodzie w zakładzie wód mineralnych o godzinie 8. rano, namiestnik otrzymał z tyłu postrzał z pistoletu. Kula trafiła z tyłu w szyję, przeszyła jamę ustną i zraniwszy język, wyszła ustami. W pierwszej chwili ranny upadł, lecz wnet powstał i przy pomocy kapitana Fiedoreńki, starszego adjutanta w zarządzie artyleryi, doszedł do mieszkania Chrulewa, na rogu Saskiego placu i ulicy Królewskiej, gdzie się obecnie mieści klub myśliwski. Tam go opatrzono, poczem wezwany telegraficznie z Berlina prof. Dr Langenbeck, przy pomocy najlepszych miejscowych chirurgów, dokonał operacyi. Pomimo to jenerał dopiero po roku został ostatecznie wyleczony w Paryżu przez sławnego Dra Nelatona.

Skrytobójca, strzelający do namiestnika w biały dzień, wśród tłumu publiczności, zdołał ujść bez śladu i dotychczas nie wyśledzono jego nazwiska. Zawdzięczał to nadzwyczaj zimnej krwi i silnemu charakterowi. On się nie stropił, po strzale nie uciekał, lecz najspokojniej, włożywszy rewolwer do kieszeni, wszedł wolno do kawiarni zakładu i stamtąd wyszedł osobnemi drzwiami [1]) na ulicę Graniczną, gdzie się wmięszał w tłum przechodzących. Gdyby pobiegł, rzucił rewolwer, czemkolwiek wyróżnił się od zwykłej publiczności, używającej przechadzki w ogrodzie, najniezawodniej zostałby pochwycony [2]). Należy jeszcze i to dodać, że Lüders zwykł był przechadzać się sam jeden i stale żądał od adjutantów i policyi, aby go nie obserwowano ciągle. Policya więc trzymała się zdala i w chwili strzału nie patrzała nawet w stronę, gdzie się przechadzał namiestnik.

W Warszawie opowiadano, że strzał do namiestnika był czynem oficerów, którzy w ten sposób pomścili swoich, dnia poprzedniego rozstrzelanych kolegów i przyjaciół. Bajeczkę tę powtarzano dosyć długo, a nawet i dotychczas czasem się o niej słyszy. Przeczy temu wszakże list bezimienny, otrzymany przez Lüdersa na trzy tygodnie przed skazaniem spiskowych, a w którym znajdował się ustęp: »*préparez vous donc, o sublime Gouverneur, à passer le Styx.*« Śmiały wykonawca musiał być wyszukanym przez tajemny rewolucyjny komitet Chmielińskiego wtedy, gdy cesarz, dowiedziawszy się, w nieco zwiększonych rozmiarach o spisku wojskowym, podpisał projekt Wielopolskiego z nader nieznacznemi zmiana-

---

[1]) Drzwi te zwykle bywały zamknięte, w dniu tym wszakże otwarto je z rozporządzenia tajemnej władzy.

[2]) Wprawdzie rzucił się za nim w pogoń oficer kozacki Manoczków, lecz zapóźno. Gdy wyskoczył z kawiarni na ulicę Graniczną, stracił już go z oczu. Manoczkowowi nie przebaczono tej „niezręczności“... Po wybuchu powstania w 1863 roku poszedł szukać śmierci w szeregach powstańców... i znalazł ją.

mi [1]), i zamianował namiestnikiem Królestwa Polskiego swego najstarszego brata, Konstantego Mikołajewicza. Lüdersowi polecono telegraficznie, by na najbliższem posiedzeniu rady stanu oznajmił to monarsze postanowienie, oraz uwiadomił o zatwierdzeniu wyjątkowych ustępstw i reform. Oświadczenie to miało miejsce dnia 22. czerwca 1862 roku, zaś we trzy dni potem przybył Wielopolski już jako naczelnik cywilnego rządu i przywiózł z sobą różne przywileje dla żydów, na mocy których odtąd im pozwolono:

a) nabywać domy i nieruchomości w całem Królestwie Polskiem;

b) mieszkać swobodnie we wszystkich miejscowościach Królestwa Polskiego;

c) świadczyć przy zawieraniu wszelakich aktów;

d) w sprawach karnych świadectwo żydów miało mieć jednaką wiarę ze świadectwem chrześcijan.

Znaczna część białych spotkała Wielopolskiego tryumfalnie. Dyrekcya szlachecka, chociaż nie była skora rozwiązać się dobrowolnie, jednak została mocno w swem znaczeniu zachwianą. Czerwonych ogarnęło przerażenie. Nie stracili ducha tylko Chmieliński, Dąbrowski i ich najbliższi akolici. Wówczas to prawdopodobnie postanowiono zabić Lüdersa w mniemaniu, że książę krwi nie przestąpi przez świeży trup namiestnika cesarskiego dla objęcia władzy. Stało się inaczej.

---

[1]) M. A. Milutin nie wrócił na czas z zagranicy, a dłużej zwlekać nie chciano. Spasowicz zaś powiada, że wrócił, lecz proponowanego stanowiska nie przyjął. (*Żywot i polityka Wielopolskiego*, str. 271). On także dodaje, że w końcu marca 1862 roku Wielopolski przyjeżdżał z Petersburga do Warszawy i zasiadał w radzie stanu, przy rozpatrywaniu projektu do prawa o oczynszowaniu włościan z urzędu, przyczem pokonał Kruzensterna i jego stronników. Dnia 27. kwietnia wrócił do Petersburga (ibidem str. 270—271). Wtedy to zjawiła się znana karykatura, przedstawiająca Wielopolskiego, posadzonego na ogromnym koniu i tratującego dyrektorów. Sprzedawano ją w księgarni Gebethnera i Wolffa. — (Opowiadania naocznego świadka. *Ruskaja starina*, 1875 rok, styczeń, str. 141).

Cesarz dowiedział się o strzale do Lüdersa w czasie obiadu dnia 27. czerwca i zaraz wieczorem postanowił, że nowy namiestnik wyjedzie do Warszawy we wtorek rano dnia 1. lipca [1]).

Chmieliński nabił nowy rewolwer, być może, że nawet ten sam, z którego strzelał do Lüdersa. Przygotowano pewną rękę do nowego strzału i znaleziono takową wśród rozdrażnionych rzemieślników wyższej klasy, bardziej rozwiniętych umysłowo niż zwykli robotnicy i bardziej gotowych do wszelkich bohaterskich patryotycznych czynów.

W Warszawie od 1858 roku przebywał czeladnik krawiecki, mieszczanin z Sandomierskiego, Ludwik Jaroszyński, chłopak lat 19, ponury, skryty, bliżej nikomu nieznany, najmniej zaś swoim gospodarzom, krawcom Stańkowskim, u których mieszkał i stołował się przy oddalonej i błotnistej uliczce Wązkim Dunaju, podczas gdy pracował w warstacie krawieckim wdowy Szczycińskiej, przy ulicy Nowosenatorskiej.

Już to samo, że mieszkał u jednego krawca, pracował zaś u innego, wskazywało na coś dziwnego w usposobieniu Jaroszyńskiego. Wprawdzie warstat Szczycińskiej miał większy rozgłos, z niego dobry robotnik mógł prędko wyjść na czeladnika, a przy szczęściu, mógł zostać i samoistnym majstrem, lecz Jaroszyński o wyzwolinach, a tem mniej o pryncypalstwie ani myślał. Pracował niechętnie i zawsze był zadłużony u obu swych gospodarzy.

Stankowskim płacił za mieszkanie 9 złp. miesięcznie, za obiad 35 groszy, za wieczerzę 10 groszy. Lecz na regularne uiszczanie tej opłaty nie mógł się zdobyć i nieraz jeszcze pożyczał u gospodarstwa to kilkanaście groszy, to parę złotych polskich.

W warstacie Szczycińskiej powtarzała się ta sama historya. Pieniądze należne za robotę zawsze były wybrane naprzód i kędyś przetracone.

---

[1]) Notatka wielkiego księcia Konstantego w *Ruskim archiwie* 1873 roku, str. 1346.

Rzeczy nie miał żadnych, łóżko i pościel należały do Stańkowskich [1]).

Stańkowski kilka razy chciał wymówić mieszkanie Jaroszyńskiemu, ale niemógł na to się zdecydować, zresztą jako współlokator Jaroszyński był spokojny i łagodny, nie dopuszczał się żadnych wybryków, więc mieszkał i mieszkał, pożyczając od czasu do czasu dziesiątaki od dobrodusznych gospodarstwa.

W warstacie Szczycińskiej nie wielu miał przyjaciół. Trzymał się na uboczu, zdala od reszty młodych współpracowników i to do tego stopnia, że nigdy nie dał się nakłonić do wzięcia udziału w najmniejszej demonstracyi, które tak wówczas były na porządku dziennym.

Na krótko przed opisującymi się wypadkami zbliżył się bardziej do czeladnika z tego samego warstatu, Rodowicza, chłopaka śmiałego i pełnego charakteru, stojącego już od dawna w stosunkach z czerwonymi, i który już od marca 1862 roku należał do ich organizacyi. — Dużo wskazówek każe przypuszczać, że to Rodowicz strzelał do Lüdersa.

Rodowicz był zawsze przy niewielkich pieniądzach, pochodzących ze źródeł tajemniczych, a które mu wystarczały na hulanki ze swym nowym przyjacielem po bawaryach i ogródkach, owych ówczesnych klubach rzemieślniczych. Tam Jaroszyński został dopuszczony do niektórych tajemnic spisku, dowiedział się o »ogromnej« liczbie sprzysiężonych, o stosunkach Polski z Europą, z Napoleonem...

Od kwietnia stali się prawie nierozłączni. — Jaroszyńskiego zły duch opanował go zupełnie, zapisał się do spisku duszą i ciałem, i dla dobra ojczyzny gotów był na wszelką ofiarę. Wmawiano weń ciągle, że jest człowiekiem niezwykłego charakteru, jacy zdarzają się rzadko, jakich Opatrzność tylko w chwilach nadzwyczajnych zsyła wybranym narodom. Do

[1]) Zeznania Stańkowskich, Szczycińskiej i samego Jaroszyńskiego, z aktów sprawy karnej o zamach na wielkiego Księcia.

biednej, otumanionej od rana do wieczora wyziewami spirytusu głowy Jaroszyńskiego, zaczęły szturmować Bóg wie jakie widziadła. Wyobrażał sobie, że jest to Piekarskim [1]), to Kilińskim, to innym podobnym bohaterem z ojczystej historyi.

Na tydzień przed przyjazdem wielkiego księcia, Rodowicz w jakimś ustronnym ogródku, przy kuflu piwa, wyłożył przyjacielowi położenie spisku w barwach ognistych i jaskrawych, i oświadczył, że wyższe władze narodowe poszukują śmiałych patryotów, którzyby byli gotowi przez spełnienie pełnego poświęcenia czynu do ocalenia sprawy narodowej od grożącego jej niebezpieczeństwa. Że między innymi i ich zaliczają do rzędu takich ludzi poświęcenia.

— Ja nie wiem jak ty, ale ja jestem na wszystko gotów — powiedział Rodowicz.

— Ja jestem gotów — dodał Jaroszyński — niech mi tylko udowodnią, że taka ofiara potrzebna.

— Otóż ja ciebie zaprowadzę do kogoś, co ma stosunki z najgłówniejszymi naczelnikami spisku, a on ci wiele rzeczy wyjaśni, których teraz nie rozumiesz.

Poczem rozmowa zeszła na inny przedmiot.

Na drugi lub trzeci dzień po zamachu na Lüdersa, gdy po Warszawie rozeszła się wieść, że do Warszawy wkrótce przybywa nowy namiestnik w osobie wielkiego księcia Konstantego, Rodowicz oznajmił Jaroszyńskiemu, że pewien pan chce się z nim poznać i oczekuje ich obydwóch w hotelu Saskim pod numerem 36.

Jaroszyński był gotów iść choćby nawet natychmiast — więc poszli.

---

[1]) Michał Piekarski z Bieńkowic w sandomierskiem, za czasów rokoszu zebrzydowskiego postanowił zabić króla Zygmunta III. Dnia 15. listopada 1620 roku rzucił się w kościele św. Jana na króla i ciężkim czekanem zranił go dwukrotnie w głowę. Schwycony na miejscu zbrodni, poniósł śmierć w strasznych męczarniach. Dom Piekarskiego w Bieńkowicach zrównano z ziemią. Z czasów jego procesu pochodzi przysłowie: „plecie jak Piekarski na mękach.“

Spotkał ich mężczyzna średniego wzrostu, silnie zbudowany, z dużemi blądawemi wąsami, bez brody, ubrany w ciemną czamarkę. Postać była pełna wyrazu i nakazująca posłuch. Szczególniej miał wyraziste, żywe, płomienne i ruchliwe oczy; docierały one do głębi serca słuchaczowi, wpijały się weń, jak dwa ostre noże, zwolna, niepostrzeżenie, w końcu zaczynały po swojemu gospodarzyć w tem onieśmielonem, zamarłem sercu. Słuchał i ani się spostrzegł, kiedy się poddał ich magnetycznej sile, słuchał bezwiednie co mu mówiono i na wszystko się zgadzał.

Mężczyzną tym barczystym o płomiennym wzroku był Chmieliński.

Wbrew oczekiwaniom Jaroszyńskiego, nie wdawał się z nim w żadne polityczne rozprawy, nie powiedział nic nowego, czegoby tenże już przedtem od Rodowicza nie słyszał, lecz wlepiwszy weń swe straszne oczy-sztylety, rzekł wprost, że »stały charakter i uczucia patryotyczne gościa, są mu już dostatecznie znane, więc nie potrzebuje długo mówić. Chwila na okazanie swego poświęcenia dla sprawy narodowej nadeszła. Zachodzi konieczność zgładzenia pewnej wysoko postawionej osobistości... być może, że Wielopolskiego... to mniejsza, za kilka dni dowie się, kogo to i gdzie. Spodziewam się, że nie będzie żadnego a l e!« — zakończył Chmieliński, ponownie przeszywając go swym ognistym wzrokiem.

Nie było istotnie żadnego ale. Jaroszyński zapytał tylko Chmielińskiego: »Czy pan katolik?« a gdy ten potwierdził, rozstali się w milczeniu.

W dzień przyjazdu wielkiego księcia, dnia 2. lipca, Rodowicz przyprowadził ponownie Jaroszyńskiego pod numer 36. do hotelu Saskiego. Było to o godzinie 3. po południu. Tenże sam barczysty wąsacz powiedział im, że »za kilka godzin przyjeżdża do Warszawy nowy namiestnik, wielki książę Konstanty i że potrzeba go koniecznie zabić. Zresztą, gdyby się nawinął Wielopolski, to należy zgładzić i tego... Będziecie mieć pewnego pomocnika i przewodnika, który wam wskaże osoby.

Obadwaj macie strzelać, który zaś nie wystrzeli, własną głową odpowie za to przed władzą narodową.«

Tym razem Jaroszyński już o nic nie pytał i nie oponował. Od tygodnia pozostawał ciągle pod wpływem blekotu, którym go w piwie pojono. Obaj z Rodowiczem otrzymali sześciostrzałowe rewolwery. Następnie Chmieliński wyjął z komody trzeci, nienabity rewolwer, i pokazał im, jak się celuje i strzela, przyczem ostrzegł, że z bronią, która strzela bez odprowadzenia kurka, należy się bardzo ostrożnie obchodzić.

Skończywszy pokazywanie kazał im ukryć rewolwery, tak, aby nie były widoczne i zaraz wysłał ich na Pragę, na dworzec tymczasowy drogi żelaznej warszawsko-petersburgskiej. Poszli i zmieszawszy się z publicznością dążącą na dworzec, bez przeszkody tam się dostali. Brakowało jeszcze całej godziny do przybycia wielkiego księcia. Chmieliński dokładnie wszystko obliczył.

Tymczasem agenci jego porozrzucali po ulicach Warszawy, a gdzie mogli, to porozlepiali, następującą odezwę:

»Za kilka minut, w murach Warszawy stanie moskiewski wielki książę, z rodziny zbrodniarza, który w roku zeszłym po dwakroć rozkazał swym żołdakom przelewać krew ojców, matek, braci i sióstr naszych! Polacy! nie oddawajcie się złudnym nadziejom i marzeniom! Niech serca wasze pozostaną głuche na chytre i obłudne obietnice cara, a groby ofiar pomordowanych i żałoba, którą nosicie, niech przypominają mu straszne zbrodnie tu popełnione i spadną ciężkiem brzemieniem na jego sumienie. Ulice, któremi przejeżdżać będzie, powinny być puste i smutne, jak smutne są serca matek, których synowie giną w pustyniach orenburgskich!«

Część tych plakatów policya usunęła, większa jednak część rozeszła się po mieście.

Wielki książę nadjechał ściśle o godzinie 5. po południu. Wysiadłszy z wagonu, powitał ustawioną na dworcu straż honorową. Wielki książę miał na sobie mundur swego pułku huzarów, granatowy z malinowem podbiciem; wielka

księżna była ubraną także w polskich narodowych kolorach. Jaroszyński z Rodowiczem, chociaż zdaleka, lecz doskonale widzieli wielkoksiążęcą parę. Za kilka chwil księstwo przeszli koło nich. Jaroszyński chciał strzelić, lecz obecność wielkiej księżny wstrzymała go. Tak przynajmniej zeznał przy śledztwie. Rodowicz wcale nie myślał strzelać.

Przy przejeździe wielkiego księstwa do Belwederu, ulice Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat były zupełnie puste, tak, że się zdawało, że i zwykli przechodnie na ten czas gdzieś się umyślnie pochowali. W oknach mało kto wyglądał [1]).

Jaroszyński z towarzyszem wrócili do hotelu Saskiego i oświadczyli Chmieleńskiemu, że niezręcznie było strzelać. Ten nie zrobił im żadnej wymówki, a nawet ich pochwalił, że się niepotrzebnie nie narażali, lecz dodał: »że strzału odkładać nie można; potrzeba koniecznie spróbować strzelić jutro, u wchodu do Cerkwi Sobornej, dokąd się wielki książę napewno uda, albo zresztą gdziekolwiek, gdzie będzie najzręczniej«, poczem odebrał od nich rewolwery, zamknął je do komody i rozkazał, by nazajutrz zrana znowu się do niego zgłosili.

Jaroszyński nocował w domu, u Stańkowskich. Dnia 3. lipca o godzinie 7. rano poszedł do Chmieleńskiego i zastał już tam Rodowicza.

Chmieleński wydobył rewolwery z komody, wręczył je odważnym patryotom i powtórzył przestrogę o ostrożnem obchodzeniu się z bronią. Nadto dał każdemu z nich sztylet średnich rozmiarów.

Patryoci wyszli i zaczęli błąkać się po ulicach, kombinując w jaki sposób i gdzie najłatwiej im będzie wykonać otrzymane polecenie.

Na czas uroczystego nabożeństwa stanęli u głównych drzwi Soboru, lecz tłum ludu tak był wielki, że niepodobna było czegoś tam dokonać. Przyjaciele poszli więc ku katedrze św. Jana, lecz tam ścisk był jeszcze większy. Wrócili więc

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

obaj do domów, umówiwszy się przy rozstaniu, że wieczorem zejdą się przy teatrze.

Jaroszyński wrócił do siebie o godzinie 2. po południu, zjadł obiad na pozór zupełnie spokojny, potem zdjął buty, palto i położył się, jednakże nie zasnął, lecz przeleżawszy więcej godziny, ubrał się i pogwizdując wyszedł z domu. W sieni znajomy mu malarz właśnie był zajęty malowaniem szyldu. Jaroszyński pożegnał go jednem słowem »adje.« Zaledwie zrobił kilka kroków, spostrzegł się, że zapomniał cygarnicę, wrócił więc po nią, a następnie szybko zbiegł ze schodów i podążył ku Krakowskiemu Przedmieściu, gdzie się spotkał z Rodowiczem. Obaj zaczęli się błąkać po ulicach bez celu, umawiając się o szczegóły strzału a zarazem pilnując, kiedy wielki książę pojedzie do teatru; jednakże tego nie dopilnowali. O godzinie 8. wieczorem poszli ku teatrowi i tam od policyantów dowiedzieli się, że wielki książę już jest w teatrze. Dostali się na ciemny kurytarz, prowadzący z ulicy Wierzbowej ku podjazdowi namiestnika i tam postanowili czekać na wyjście wielkiego księcia z teatru, a gdy ten siądzie do powozu, strzelić z dwóch stron do niego. Było to tem łatwiejsze do wykonania, że u podjazdu zebrała się gromadka około trzydziestu osób, których policya nie usuwała. Tej ciągle zalecano, ażeby z publicznością postępowała o ile można najgrzeczniej, więc też każdy policyant przedewszystkiem unikał jakiegokolwiek zaczepiania publiczności, by nie wywołać tem burdy.

W teatrze dawano operę *Alessandro Stradella*, dziś już wyszłą z repertoaru, w której artysta Stradella kocha się w wychowanicy bogatego weneckiego skąpca, mającego zamiar sam się z nią ożenić. Chcąc się uwolnić od niebezpiecznego rywala, skąpiec najmuje zbójców i ci w drugim akcie czatują na Stradellę przy wyjściu z kościoła...

W tym czasie między godziną 9. a 10., wielki książę nie czekając końca przedstawienia, opuścił lożę i udał się do oczekującego nań powozu, przy którym już nie teatralni, lecz prawdziwi czatowali na niego mordercy. Tylko co siadł do

powozu, gdy się zbliżył człowiek, chcący, jak się zdawało, podać prośbę. Książę się przechylił, by ją odebrać, gdy w tej chwili rozległ się wystrzał. Zbójca w tejże chwili został przychwycony przez jednego z policyantów i kapitana Bremsena, adjutanta Lüdersa. Był nim Jaroszyński, Rodowicz nie strzelił. Czy się to stało wypadkiem, czy też tak się umówił z Chmieleńskim, przesądzać trudno. Bardzo być może, że był dodany Jaroszyńskiemu jedynie, by go ośmielić, zachęcić, wodzić po bawaryach i poić go blekotem. A możeby i strzelił, gdyby spostrzegł, że Jaroszyński się zawaha. Widząc wszakże, że strzał dany *à bout portant*, a więc prawdopodobnie śmiertelny, Rodowicz nie widział powodu bez potrzeby narażać swe życie i w chwili ogólnego zamieszania, gdy policya i adjutanci namiestnika skupili się około przychwyconego Jaroszyńskiego, Rodowicz wyszedł spokojnie, tym samym kurytarzem na ulicę Wierzbową, rewolwer zaś i sztylet wrzucił do stojącej w kącie kadzi na deszczówkę, gdzie je potem znaleziono.

Ranny wielki książę wrócił do loży i tam go zaraz opatrzono. Kula przebiła paltot, surdut i koszulę, uszkodziła nieco skórę nad obojczykiem, kontuzyonowała szyję i ugrzęzła w bulionach sżlify [1]). Jaroszyńskiego zaraz napoili ciepłem mlekiem, gdyż czuł silny zawrot głowy i sądzono, że jest otruty. Następnie odwieziono go pod strażą dwudziestu kozaków do cytadeli. Odwożący go policyant Wiszniewski zapytał, jak się nazywa, czem się trudni i co go spowodowało do wykonania zamachu? Jaroszyński odpowiedział: »z tobą durniu gadać nie będę, ale powiem oficerowi, żem się pomścił za ginącą ojczyznę!« Oficer Bremsen odezwał się: »łżesz, ciebie ktoś zaplacił!« Jaroszyński zamilkł i już więcej nie odpowiadał na pytania.

[1]) Raport d-ra Bogolubowa i doniesienie komendanta miasta, jenerała Bebutowa.

KSIĘGA VI.

Ogólne współczucie dla wielkiego księcia. Reformy i ustępstwa. Nowe wybory. Komitet centralny i jego działalność. Zachowanie się Białych. Zamachy na Wielopolskiego. Stracenie przestępców. Odezwa namiestnika do Polaków. Komunały i Miniszewski. Adres szlachty. Wywiezienie Andrzeja hr. Zamoyskiego. Angielscy policyanci. Ogłoszenie branki na prawach wyjątkowych. Stanowcze przerzucenie się duchowieństwa na stronę partyi ruchu. Dążenie do powstania. Plan Padlewskiego. Uwięzienie Godlewskiego w Paryżu. Nowy komitet centralny. Organizacya wojskowa. Branka. Ustanowienie tymczasowego rządu narodowego. Odezwa tegoż do narodu.

Od 3. lipca 1862 roku do 22. stycznia 1863 roku.

Wieść o zamachu na wielkiego księcia, który że nietylko żadnej krzywdy nie wyrządził Polakom, lecz owszem przybywał do kraju z nadzwyczajnemi ustępstwami i zapowiedzią doniosłych reform, przygnębiająco i ponuro rozniosła się po kraju i wywołała powszechne oburzenie. Nawet czerwoni czyn ten potępiali i byli radzi, że się Chmieleński wyniósł za granicę [1]).

[1]) „I my uważamy sprawców podobnych egzekucyi i zamachów, jak Ignacy Chmieleński, a w czasie powstania Paweł Landowski, który w czerwcu 1863 roku sformował w Warszawie oddział sztyletników, za ludzi, którzy zwichnęli i sponiewierali natchnione pokuszenia narodu i zepchnęli go moralnie i materyalnie z drogi, wskazanej mu przez historyę.“ *Giller* tom I. str. 63. Nieco zaś dalej powiada: „Nieprawda, aby zamachy na wielkiego księcia i Wielopolskiego, wychodziły z komitetu centralnego. Komitet w pełnym swym składzie ani razu nie był uprzedzony, że są w zamiarze takie zamachy, chociaż nie bez tego, aby czerwieńsi członkowie komitetu nic o tem nie wiedzieli.“

Nazajutrz po zamachu, dnia 4. lipca, wszystko, co było znakomitszego w Warszawie, Towarzystwo kredytowe ziemskie, Rada miejska z Wielopolskim na czele, przybyło do Zamku dla wyrażenia wielkiemu księciu uczuć najgłębszego współczucia i powinszowania mu cudownego prawie ocalenia [1]).

Wielki książę przyjmując zebranych wyrzekł, zwracając się głównie do członków rady stanu, że zaszły wypadek bynajmniej nie wstrzyma pracy nad wprowadzeniem w życie zapowiedzianych reform. Byłoby tylko do życzenia, ażeby zamiary rządu znalazły poparcie w kraju.

Tegoż samego dnia arcybiskup Feliński po odprawieniu uroczystego dziękczynnego nabożeństwa, z ambony surowo potępił mordercę.

Dnia 5. czerwca na posiedzeniu pełnej rady stanu, Wielopolski wypowiedział mowę, zaczynając od tego, że nie on lecz wielki książę miał zagaić to zebranie i zaraz dotknął oburzającego czynu następnemi słowy: »W ciemnościach nocy, z tajnych kryjówek wylągł się zamach, którym cały kraj się przeraził. Najdostojniejszy namiestnik, nie złamany ani zatrwożony w duchu, oświadczył nam, jakeście to panowie sami słyszeli, że on nie obwinia narodu polskiego o tę zbrodnię, ufa jego z dawna znanej szlachetności i gotów wspólnie z nami pracować dla dobra kraju. Miejmy więc nadzieję, że Opatrz-

---

[1]) *Spasowicz* w dziele swem o Wielopolskim na str. 285—288 powiada: „Deputacya ta wyrażała nieobłudne potępienie zamachu, a jednak nie wyrzeczono ani jednego słowa po za ramy oficyalnego szablonu i nie było ani jednego serdeczniejszego objawu. Przyjęcie jak się zaczęło, tak się skończyło banalnie, jako czcza forma. Andrzej hr. Zamoyski, któremu wielki książę podał rękę, gdy jednocześnie drugą przeciągnął do Wielopolskiego, przez cały czas nie odezwał się ani słowa, stojąc z lekko pochyloną głową. Po pożegnaniu wielkiego księcia wszyscy czuli, że brak czegoś jeszcze, że należało coś zrobić, czego jeszcze nie spełniono... I wtedy powstała myśl wystosowania adresu do wielkiego księcia. Zaczęto go nawet układać, wprowadzając doń co dnia coraz to inne zmiany. Nakoniec napisano coś takiego, że Wielopolski, na którego ręce miał być wniesiony, odmówił przyjęcia.“

ność ocalając cudownie prawie życie wielkiego księcia, doda nam sił do zwalczenia zbrodniczych i podziemnych knowań. — Słońce prawdy oświeci umysły w błąd wprowadzone, a siła sumienia skruszy i wytrąci broń z ręki uwiedzionych, wzmacniając nasze społeczne stosunki.«

Nadto wielki książę otrzymał od wszystkich mocarstw depesze gratulacyjne.

Zapowiedziane reformy ani na chwilę nie zostały wstrzymane. Radę stanu uzupełniono, powołując do niej najwybitniejsze osobistości ze wszystkich warstw społecznych. W trzech guberniach usunięto gubernatorów Rosyan, a zastąpiono ich Polakami. W ogóle Margrabia zarządził najenergiczniejszą, niebywałą w dziejach ruskiej administracyi, puryfikacyę urzędników w Warszawie i w całym kraju. W gazetach czytano całe kolumny nazwisk urzędników, uwolnionych dla dobra służby [1]).

Zapewne, ogłaszało się to o urzędnikach niezbyt wysokich, lecz wreszcie uwolniono dla dobra służby prezydenta miasta Warszawy, Woydego, urzędnika w stopniu jenerała, którego następnie zastąpił hrabia Zygmunt Wielopolski, syn Margrabiego [2]).

Organ rządowy Królestwa Polskiego *Dziennik powszechny*, wydawany wyłącznie w polskim języku, doborem i rozmaitością treści dorównywał najlepszym prywatnym czasopismom. Były to najświetniejsze czasy dziennika, przezwanego następnie »warszawskim.« Naczelnik rządu cywilnego, lubiący wszystkiem owładnąć, wziął w szczególniejszą swą opiekę ten

[1]) *Dziennik powszechny* nr 168 z roku 1862, zawiera całą listę takich urzędników, uwolnionych przez radę stanu. Nr 149 i 186 o gubernatorach.

[2]) *Dziennik powszechny* nr 183. Woyde został zamianowany prezydentem Warszawy w kwietniu 1862 roku w miejsce uwolnionego Andreau. Przedtem był naczelnikiem powiatu w Włocławku. Zygmunt Wielopolski, mianowany dnia 6. sierpnia 1862 roku, był wtedy dyrektorem wydziału w komisyi spraw duchownych i oświaty, i miał stopień porucznika. Jako prezydent pobierał 25.000 złp., czyli 3.750 rubli sr. pensyi.

Dziennik, wchodził w najdrobniejsze szczegóły wydawnictwa, chciał wiedzieć o wszystkiem i wszystkiem kierować wedle swego rozumienia. Redaktor Dziennika, znany z wielu prac historycznych, Franciszek Sobieszczański, codziennie musiał przychodzić do Margrabiego ze sprawozdaniem, co mianowicie zamieścił w numerze bieżącym i co ma przygotowanego na dzień jutrzejszy i następne. Wielopolski żądał przedewszystkiem dokładnych wiadomości z kraju w sprawach rolniczych, ekonomicznych i przemysłowych. Z polityki zagranicznej należało zamieszczać wszystko dotyczące Słowian. Redaktor nie podpisywał dziennika, gdyż Wielopolski właściwie siebie uważał za rzeczywistego redaktora pisma, które było jego organem [1]). Cenzura nie tylko dla Dziennika, lecz w ogóle była o wiele łagodniejszą niż następnie. Cenzorzy otrzymali wskazówkę, że mogą w ogóle przepuszczać wszystko, czego nie zrozumieją. Cenzor Kozicki, który się odwołał do Margrabiego w pewnym dosyć drażliwym wypadku, otrzymał taką odpowiedź: »pan tego nie rozumiesz? a więc i ja nie rozumiem i nikt nie zrozumie, a zatem napróżno o tem mówić. Zresztą jutro dostaniesz pan instrukcyę, jak się w takich wypadkach należy zachowywać.« Nazajutrz Kozicki został uwolniony ze służby [2]).

Nowa ustawa organizacyjna szkół Królestwa Polskiego została energicznie przeprowadzoną. Dla szkoły głównej, którą Wielopolski chciał postawić na równi z najlepszymi uniwersytetami i uczynić ją punktem przyciągającym dla całej młodzieży sławiańskiej, wyszukano najwybitniejszych profesorów. W części znaleziono odpowiednich ludzi w kraju, po części przywołano z Krakowa, Lwowa i Poznania. Na katedrę prawa międzynarodowego został wezwany Henryk Wyziński z Paryża [3]). Na katedrę prawa kryminalnego wezwany z Peters-

[1]) *Lisicki* powiada, że Wielopolski zamieścił własne artykuły w Dzienniku: „o teatrze“, „o równouprawnieniu żydów“, „o mandacie dla członków rad powiatowych.“ — Tom I, str. 248.

[2]) Wiadomość z redakcyi *Dziennika Powszechnego*.

[3]) Wykładał atoli zaledwie kilka tygodni.

burga Włodzimierz Spasowicz [1]). Wszyscy profesorowie byli Polacy, tylko dla wykładów rosyjskiej i czeskiej literatury powołano Rosyanina i Czecha, a i ten Rosyanin od dawna mieszkał w Warszawie i prawie zupełnie się wynarodowił. Po rosyjsku wydał tylko polską gramatykę, zaś po polsku pisał dużo dobrych artykułów, odnoszących się do ruskiej literatury dla Encyklopedyi powszechnej Orgelbranda, podpisując takowe literami I. Sa.

Dnia 13. lipca Wielkiemu księciu przybył syn. Wielopolski doradził rodzicom, by mu dali imię Wacława, mające szczególnie dla Czechów urok historyczny i narodowy. Chrzest odbył się ze szczególniejszą uroczystością i wspaniałością. Namiestnik, wyleczony prawie zupełnie z otrzymanej rany, brał osobisty udział w uroczystości. Gdy dnia 28. lipca pozwolono namiestnikowi wyjechać, odwiedził Wielopolskiego, dowódcę wojsk jenerała-adjutanta Ramzaya, oraz obu arcybiskupów: Joannicyusza i Felińskiego. Tegoż dnia zniesiono zakaz chodzenia po ulicach wieczorem bez latarek [2]).

Wkrótce potem, na żądanie namiestnika, warszawska publiczna biblioteka, mieszcząca się w pałacu Kazimirowskim, otrzymała w darze, z cesarskiej biblioteki w Petersburgu, dublety rzadkich dzieł, odnoszących się do językoznawstwa i nauk przyrodniczych. Dnia 14. sierpnia 1862 r. przybył do Warszawy pierwszy transport tych dubletów w ilości 17.000 tomów.

Jednocześnie wznowiono dalsze wybory do rad powiatowych i miejskich, które zostały przerwane pod koniec rządów hrabiego Lamberta. Zebrania szlachty na tych wyborach częstokroć przypominały dawne polskie sejmiki, lecz władze administracyjne i policya otrzymały rozkaz pozostawienia zupełnej swobody wyborom.

Cały ten szereg ustępstw i reform, sypiący się co chwila jak z rogu obfitości, musiał ostatecznie sprawić pewne wra-

[1]) Nie wykładał wcale.

[2]) Nakaz używania latarek obowiązywał pięć miesięcy, od lutego 1862 roku.

żenie w kraju. Znaczna bardzo część białych zbliżyła się do rządu, starając się wszelkimi sposobami uspokoić i przekonać czerwonych, którzy nie zaprzestali krzyków i uparcie powtarzali, że to wszystko są blichtry i w końcu Rosyanie wyprowadzą Polaków w pole; że niech tylko ruch przycichnie i kraj się uspokoi, wnet wrócą dawne porządki; że panująca obecnie w wybranych radach swoboda słowa, trwać długo nie będzie i same rady zmienią się na instytucye na wzór rosyjskich, a Wielopolski albo zostanie rosyjskim czynownikiem, albo będzie zupełnie usunięty, a na jego miejsce przyszlą jakiego Rosyanina. Nie należy się więc łudzić jakiemiś zwodnemi nadziejami, lecz iść wytrwale dalej raz obraną drogą, nie przerywać tajemnych działań, owszem zaznaczać je jeszcze wyraźniej, by pod naciskiem niepokoju i przerażenia wymódz na Rosyi coś istotniejszego, niż dotychczasowe ustępstwa, a mianowicie: połączenie z Litwą i Rusią, sejm a nawet swoje wojsko!...

Dziś trudno uwierzyć, do jakiego stopnia zaślepienia i dziecinnego nierozumu dochodziły twierdzenia czerwonej, niespokojnej części ludności, szczególnie zaś rozprawy prowadzone w Resursie kupieckiej, owem warszawskiem forum. Biali odpowiadali jak mogli, nieraz bardzo trafnie, ale to wcale nie pomagało. Warszawa stanowczo była czerwoną. Potajemny komitet Chmieleńskiego nie zaprzestawał działania.

Raz wśród sporów i hałasów w Resursie kupieckiej, Maciej Rosen, dawniejszy delegat, a obecnie czasowy członek rady stanu i stały członek rady miejskiej, powiedział do burzącej się młodzi wszelkiego wieku: »wszystko bierzmy, z niczego nie kwitujmy.« — Frazes ten niezmiernie podobał się zebranym i wkrótce obleciał całe miasto, wywołując nawet uśmiech na ponurem obliczu »Jowisza« — Wielopolskiego.

Komitet czerwonych, skład którego po ustąpieniu Chmieleńskiego podaliśmy w księdze V., obawiając się przerzucenia się umysłów na stronę rządu, postanowił wyjść z dotychczasowego niezdecydowanego stanowiska i stać się rzeczywiście punktem środkowym całego ruchu, istotną władzą rządzącą.

By tego dopiąć, potrzeba było wytknąć ściśle jakiś system postępowania i nadać wyraźny kierunek swym działaniom, oznaczając cel, do którego się zdąża.

Kierownicy organizacyi zawezwali Gillera, jako literata, sybiraka i doświadczonego spiskowca, do ułożenia ustawy i programu działania, co tenże uskutecznił, trzymając się głównie rzeczy już istniejących i stwierdzonych praktyką tak dobrze w organizacyi czerwonej jak białej od końca 1861 roku.

Organizacya oparła się na dziesiątkach i setkach, znacznie już rozpowszechnionych, których zawiązywanie rozpoczęło się w marcu 1862 roku.

Kilka setek stanowiło okrąg.

Warszawa dzieliła się na trzynaście okręgów, stosownie do liczby miejskich cyrkułów. Trzy do czterech okręgów składało wydział; tych było cztery; na czele każdego stał wydziałowy. Na czele zaś wszystkich czterech wydziałów, czyli całej miejskiej organizacyi miasta Warszawy stał naczelnik miasta.

Naczelnik policyi odpowiadał stopniem wydziałowym i zostawał pod rozkazami naczelnika miasta.

Dziesiętników mianował setnik, setników okręgowy, za uwiadomieniem naczelnika wydziału. Okręgowych mianował naczelnik miasta na przedstawienie naczelnika wydziału. Naczelnicy zaś wydziałów byli mianowani przez komitet w porozumieniu z naczelnikiem miasta.

Poczynając od setnika, każdy członek organizacyi miał swego zastępcę. — Oprócz zastępcy przy każdym miało być kilku agentów, tak zwanych galopenów.

Wszelkie rozkazy starszego podwładny obowiązany był wypełnić bez żadnej wymówki.

O sposobach wykonania postanowionych lub otrzymanych zarządzeń członkowie organizacyi naradzają się między sobą: setnicy z dziesiętnikami, okręgowi z setnikami, naczelnicy wydziałów z podwładnymi sobie okręgowymi i t. d.

Naczelnik miasta jest stałym członkiem komitetu, który przyjąwszy nazwę centralnego, stanął na czele całej organizacyi.

Skład komitetu centralnego został oznaczony na siedmiu członków, pięciu dla Królestwa, po jednemu zaś dla Litwy i Rusi. — Każdy z członków ma swego zastępcę.

W komitecie przewodniczą wszyscy członkowie po kolei. Przewodniczący zwie się regulatorem. — Przysięga członków komitetu tak brzmiała: »Ja N. N. przysięgam Bogu wszechmogącemu w Trójcy świętej jedynemu, Przenajświętszej Dziewicy i Wszystkim Świętym, że od tej chwili staję się rzeczywistym członkiem centralnego narodowego komitetu. Przysięgam, że nie zdradzę tajemnicy, ani w więzieniu, ani na wolności, i że nie przyjmę żadnych propozycyi wroga. Powtóre przysięgam bronić ojczyzny wszelkimi sposobami, a jeśli tego nie spełnię, niech mnie dosięgnie zasłużona kara Boża, tak tu na ziemi, jak i w przyszłem życiu. Tak mi Panie Boże dopomóż, Przenajświętsza Marya Dziewico i Wszyscy Święci. Amen.«

Komitet centralny z natury swych zajęć dzieli się na pięć wydziałów, czyli departamentów: Pierwszy departament zajmuje się wszelkiemi sprawami miasta Warszawy; drugi departament dla spraw prowincyi; trzeci departament dla spraw zagranicznych; czwarty departament skarbowy; piąty departament policya.

Nadto w Warszawie zostanie zawiązany oddzielny komitet wojenny w charakterze departamentu wojny, zachowując wszakże aż do dnia wybuchu zupełną niezależność w działaniu. Komitet ten wszakże nie mógł się odpowiednio zorganizować. Dąbrowski do czasu swego uwięzienia, które nastąpiło dnia 14. sierpnia 1862 roku, uważał się za dyrektora tego komitetu, złożonego z kilku oficerów. (Podają, że członkami tego komitetu byli oficerowie: Dąbrowski, Heidenreich, Zwierzdowski, Warawski i Potebnia).

Wszelkie sprawy w komitecie mają się rozstrzygać większością głosów rzeczywistych członków. Zastępcy uczestniczą w naradach z głosem doradczym.

Komitet centralny będzie używać trzech pieczęci: jedną, średniej wielkości z herbem Polski i Litwy i z napisem

w otoku »Narodowy komitet centralny«; drugą mniejszą, tak zwaną organizacyjną, z godłem dwóch rąk połączonych w uścisku i z napisem »Wolność, równość i niepodległość«; trzecia niewielka pieczęć nosiła monogram z początkowych liter nazwisk pierwszych założycieli, najwyraźniejsze litery były M. i D., Marczewski i Dąbrowski. Pieczęcie te były bardzo dobrze rytowane przez najlepszego rytownika mennicy warszawskiej, Tyca. Pierwszej używano do najważniejszych dokumentów, drugiej do ogłoszeń mniejszej wagi, trzeciej zaś do blankietów i papieru, wysyłanego przez komitet centralny na na prowincyę.

Wewnątrz kraju organizacya zawiązała się w sposób następujący:

Królestwo Polskie dzieli się na ośm województw, województwa na powiaty, powiaty na okręgi. W okręgach tworzą się setki i dziesiątki. — Każdy podział ma swego naczelnika, ten zaś zastępcę. — Naczelników województw mianuje komitet centralny; powiatowych wojewoda i t. d. — Naczelnikami w miastach wojewódzkich są wojewodzi, w powiatowych naczelnicy powiatów. — Miasteczka ze swymi naczelnikami podlegają władzy okręgowych.

Na czele Litwy i Rusi stoją komitety prowincyonalne, złożone każdy z pięciu członków i tyluż zastępców. Przy każdym z tych komitetów ustanowieni są mężowie zaufania, czyli agenci władzy centralnej, celem zachowania z nią stałego związku i porozumienia [1]).

Prowincye zakordonowe, to jest Galicya i Poznańskie, zorganizowały się na swój sposób, niezależnie od komitetu centralnego a nawet w początkach nie utrzymywały z nim żadnych stosunków.

---

[1]) *Aweyde* powiada, że władze tych agentów i ich stosunek do różnych członków organizacyi nie były odstatecznie określone w statucie *Gillera*, wskutek czego agenci bardzo często mieszali się do spraw do nich nienależących, z czego wynikały nieporozumienia i porządne zamieszanie.

Zadanie organizacyi polegało głównie na wciągnięciu do współudziału w przyszłem powstaniu wszystkich stanów i warstw społeczeństwa, oraz na dążeniu do jak najprędszego usamowolnienia włościan, ażeby ten główny stan narodu, dotychczas zachowujący się obojętnie wobec poprzednich polskich powstań, zrobić podstawą tego, a szczególniej przyszłych powstań i walk za niepodległość [1]).

Nie zważając wszakże na tak prawidłowy podział czynności w projekcie, maszyna jeszcze długo funkcyonowała po dawnemu, to jest dosyć chaotycznie. Mianowicie dawał się uczuwać wielki brak ludzi rozumiejących dokładnie i zdających sobie sprawę, na czem głównie polega istota rewolucyjnego działania, i mogących odpowiednio zająć takie mnóstwo stanowisk rewolucyjnej organizacyi. Najtrudniejsze były do obsadzenia stanowiska wyższe. W centralnej organizacyi w Warszawie, o ile wiadomo, jedynie departament skarbowy zorganizował się prawidłowo pod dyrekcyą Franciszka Godlewskiego; członkami wydziałów byli w nim Władysław Jeske i Mikołaj Epstein. — Doprowadzono do pewnego ładu rachunkowość poborców, jednakże zupełnie ścisłego porządku niepodobna było utrzymać, tak dla trudności kontroli, jakoteż i z tego powodu, że nie dało się następnie sprawdzić, komu w pierwszych chwilach gorączkowej działalności komitetu centralnego dane były upoważnienia do wybierania składek w kraju. Co zaś do samych składek, to te między czerwonymi nigdy nie wydały donośnych rezultatów i kasy komitetu słabo były zaopatrzone.

O dyrekcyach innych departamentów nie wiemy, prócz o wątpliwej dyrekcyi Dąbrowskiego.

Na prowincyi także przez dłuższy czas nie można było uzupełnić organizacyi. Na ośmiu wojewodów, przewidzianych w statucie, zaledwie trzech zdołano wynaleźć i tak było aż do wybuchu powstania, to jest przez siedm miesięcy. Naczelni-

[1]) *Giller* strona 66—67.

ków powiatów zamiast przewidywanych trzydziestu dziewięciu, ustanowiono tylko piętnastu [1]).

Jedni z nich nic nie robili, drudzy robili nie to co potrzeba, inni zaś więcej niż należało, uważali się za wszystko, do wszystkiego się mięszali i przez swoją nadzwyczajną gorliwość i zapał narażali siebie i drugich co chwila na wielkie niebezpieczeństwo.

Jeden z takich zapaleńców, Bronisław Szwarce, dostał się nawet do składu komitetu centralnego. Był to syn emigranta z 1831 roku, urodzony w Paryżu, bardziej Francuz niż Polak, żywy, pełen zapału, brunet, o postaci jakby stworzonej do barykad, czem właśnie swoim podwładnym głównie imponował. Przybył do Warszawy w pierwszych chwilach rozpoczynającego się ruchu i natychmiast przez pewne wpływy uzyskał posadę przy drodze żelaznej warszawsko-petersburgskiej, na przestrzeni między Warszawą a Białymstokiem, przy której też-same wpływy pomieściły wydalonego z wojska, wskutek zajść kwietniowych, kapitana z kostromskiego pułku piechoty, Leona Kulczyckiego, na przestrzeni między Białymstokiem a Grodnem. — Szwarce cały się oddał na usługi komitetu centralnego, nietylko jako członek takowego, lecz nadto jako kuryer i agent, szczególniej dla stosunków z Litwą, w końcu zaś jako sekretarz. W jego mieszkaniu przy ulicy Widok, przechowywały się pieczęcie komitetu, wszelkie blankiety, oraz ruchoma pieczęć wójta gminy, dla wygotowywania fałszywych paszportów dla osób wyprawianych do kraju. Nazwa dowolnej gminy dawała się wstawiać do pieczęci.

---

[1]) Podług *Aweydy*, tom III, str. 112, byli wojewodami: w krakowskiem Władysław Janowski, sędzia trybunału w Kielcach; w lubelskiem Kazimierz Gregorowicz, patron trybunału w Lublinie; w płockiem obywatel ziemski Tłuchowski. — Agentami komitetu centralnego po województwach byli: Józef Narzymski, Władysław Jeske, Stanisław, Jan i Leon, trzej bracia Frankowscy, Edward i Erazm, bracia Rolscy, ksiądz Rafał Drewnowski, Tomasz Burzyński, Julian Wereszczyński, Edward Lisikiewicz, Alfred de Rostein i Wojciechowski.

Miał on także drugie mieszkanie w domu Grabowskiego nr. 495, przy ulicy Miodowej. Dom ten był przechodnim do ulicy Daniłowiczowskiej i miał nadto wejście do ogrodu księży Kapucynów. W tem mieszkaniu, jako bezpieczniejszem, Szwarce najczęściej przebywał. W tym domu nadto mieszkali: Karol Ruprecht, Edward Jurgens, Bolesław Denel i powieściopisarki: Zofia Kaplińska i Gabryela. Trzecie piętro w oficynie, gdzie obok siebie mieszkały wyżej wymienione osoby, nazywało się w języku spiskowym: »Miodową górką.« Nieopodal stamtąd przy ulicy Daniłowiczowskiej, w klasztorze Felicyanek, w celi zakonnicy Tekli Trochanowskiej, ukryte były dwie drukarnie komitetu centralnego, przeniesione z ulicy Brackiej, a urządzone jeszcze przez akademików w jesieni 1861 roku, kosztem Adama hr. Grabowskiego. W drukarni pracował głównie Jan Przysuszyński, zecer z *Gazety polskiej*. W celi siostry Trochanowskiej wydrukowano nr 2. *Ruchu* i nr 1. *Słowa*, a w styczniu 1863 roku drukowano tam różne odezwy i plakaty, odnoszące się do zbrojnego powstania. Nieco później obie drukarnie przeniesiono z celi siostry Trochanowskiej do podziemnego przejścia, istniejącego między klasztorami Felicyanek i Kapucynów, które obecnie jest zamurowane.

Szwarce odbierał raporty, prośby, wysyłał ekspedycye i listy, zawiadywał wszystkiemi drukarniami komitetu, których wówczas było trzy, od czerwca zaś 1862 roku zaczął wydawać oficyalny niejako organ spisku *Ruch*, zewnętrznie prawie niczem nie różniący się od jawnie drukowanych dzienników.

Drugim takim nadzwyczaj gorliwym i kompromitującym członkiem komitetu był Jarosław Dąbrowski, tolerowany jedynie dla swych licznych stosunków w mieście i niesłychanej energii. Przy wszystkich swoich wadach, miłości własnej, niecierpliwości i pokuszeniach terrorystycznych, w których upatrywał jedyny ratunek, Dąbrowski w każdym razie przedstawiał nadzwyczajną rewolucyjną siłę, której samowolnie żadne stronnictwo czerwone pozbyć się nie mogło. Do tego w owym czasie złagodniał, zgadzał się jakby na wszystko, co mu nie

przeszkadzało znosić się potajemnie z Chmieleńskim i snuć dalej różne terrorystyczne plany. Ludzie jemu podobni żyli podówczas ciągle pod grozą jakiegoś przez się wymarzonego zamachu stanu ze strony białych, którym ani się śniło zaczepiać czerwonych. Biali zbliżyli się wprawdzie do rządu i Wielopolskiego, lecz wcale nie wszyscy. Niektórzy przyjmowali ofiarowane im urzędowe stanowiska, lecz większość trzymała się zdala na uboczu, wszyscy zaś, bliżsi i dalsi, zarówno nie ufali rządowi, w czem się nie różnili od czerwonych. Ci ostatni byli nawet potrzebni białym, jako rodzaj straszaka dla rządu i mieli służyć za ciągłe przypomnienie, że dane obietnice winne być spełnione; potrzebni byli do odegrywania roli, do której biali wcale się nie nadawali. Kto wie, czy nawet i sam Wielopolski nie w taki sposób zapatrywał się na czerwonych. I on miał powody do nieufności i pragnął, aby polityczna atmosfera w Polsce nie uległa zmianie, dopókiby nie przeprowadził wszystkiego co zamierzał, dopóki ogłoszone projekta nie urzeczywistnią się, nie przejdą w krew i rdzeń narodu. Są nawet pewne wskazówki, że Wielopolski znał niektórych przewódców ruchu... co zaś nie ulega najmniejszej wątpliwości, to to, że biały komitet znosił się z nim przez Kronenberga i otrzymywał tą drogą pewne wskazówki [1])...

Z ówczesnych zarządzeń białego komitetu widoczne, że stronnictwo konserwatywne wcale nie zamierzało zniszczyć przeciwników, lecz dążyło jedynie do zdobycia przewagi i kierowania nimi, jak pionami. Na jednem z posiedzeń szlacheckiej dyrekcyi, wkrótce po wyjściu statutu organizacyjnego Gillera, gdy wśród czerwonych widoczny był silniejszy ruch i zajęcie, postanowiono zebrać jak najprędzej fundusz żelazny, kapitał nietykalny, jakim jeszcze żadne stronnictwo nie rozporządzało. Wszystkim nieco czerwieńszym członkom dyrekcyi zdawało się rzeczą wcale nie trudną zebrać w jednej chwili

[1]) Stwierdza to i Gregorowicz w swym *Poglądzie krytycznym na wypadki z lat 1861, 1862 i 1863.*

miliony, jeśli się tylko zaprzestanie wszelkich ceremonii z bogatszą szlachtą i kapitalistami. Większość wszakże uchwaliła składkę umiarkowaną, po 25.000 rubli sr. rocznie z każdego województwa, z Augustowskiego zaś, jako najmniej zamożnego, tylko 20.000 rubli sr. Najbogatsi kapitaliści warszawscy wezwani zostali do złożenia po 25.000 rubli sr. każdy. Zebrano rzeczywiście z województw do 150.000 rubli sr., ile zaś wyniosła składka od kapitalistów, niewiadomo [1]).

Oprócz tego dyrekcya biała starała się pozyskać głównych przewódców stronnictwa ruchu na emigracyi. Szczególnie chodziło im o jenerała Wysockiego, dyrektora szkoły wojskowej w Cuneo, lecz stale przebywającego w Paryżu. Jemu nie było tajnem, że fundusze na utrzymanie szkoły pochodzą od białych, że oni nader czynnie współdziałali przy założeniu szkoły i, że bez ich zachodów i pomocy szkoły prawdopodobnie wcale by nie było. On wiedział także i o innych zachodach tego stronnictwa, dążących jakby do powstania, wszakże zachowywał się wciąż niedowierzająco, gdyż i jemu od czasu do czasu migała przed oczyma reakcya, zdrada białych i przejście ich *en masse* na stronę Wielopolskiego i rządu.

Nie uwzględniając zdania i poglądów starego jenerała co do położenia spraw w kraju i istniejących stronnictw, a nawet nie wiedząc dokładnie, do jakiego właściwie stronnictwa sam jenerał należy, dyrekcya wysłała doń jednego z najdzielniejszych swych członków, Jurgensa, który go miał wtajemniczyć w arkana białej organizacyi, a jeśli się da i pozyskać dla swych zamiarów. Jurgens, opisując jenerałowi położenie spraw w Królestwie Polskiem, przedstawił szlachecką dyrekcyę jako punkt środkowy całego ruchu, nazywał ją narodową i szeroko się rozwodził o jej potędze i środkach. Z jego słów wypadało, że tylko od dyrekcyi zależy wywołać powstanie lub do takowego wcale nie dopuścić. Dotychczas dyrekcya dąży do powstania i w tym celu przesyła na ręce jenerała 40.000 fran-

[1]) *Aweyde* tom III, str. 53.

ków czy to na potrzeby szkoły, czy też na inny jaki użytek odpowiedni.

W dalszych swych rozmowach z Wysockim, Jurgens starał się wybadać jego zdanie co do stosunków różnych stronnictw na emigracyi, wywiedzieć się o ich związkach z komitetem centralnym i czy liczą one na blizkie powstanie w Królestwie lub przeciwnie, w razie zaś wybuchu w jaki sposób zamierzają nieść pomoc takowemu, jakie mają środki do rozporządzenia i t. p. Lecz wytrawny spiskowiec i rewolucyonista niczem się nie zdradził; więcej słuchał niż mówił, a jeżeli się z czemś odezwał, to w najwyższym stopniu ogólnie i ogólnikowo, tak, że ostatecznie własnego zdania wcale nie wyjawił. Pieniądze wszakże przyjął, nie powiedziawszy na jaki cel je użyje [1]).

[1]) Autor *Porozbiorowych aspiracyi politycznych* str. 210—211 powiada, że „hrabia Andrzej Zamoyski posyłał do Wysockiego jakiegoś obywatela W. z Radomskiego. Misya polegała na tem, ażeby skłonić jenerała do powstrzymania młodzieży od marzeń o prędkiem wywołaniu powstania w Polsce, które jest nie na czasie. Niech młodzież spokojnie dalej się kształci, chociażby w szkole wojskowej w Genui, względnie w Cuneo, lecz niech się nie rwie do walki z Rosyanami, bo jeszcze niema czem i o czem walczyć. Że na utrzymanie tej i innych szkół, które powstaną za granicą, kraj będzie dawać milion franków rocznie, pod warunkiem wszakże, że Wysocki na piśmie da zepewnienie, że będzie działać w duchu i kierunku stronnictwa. W razie dojścia do skutku układu, pełnomocnik był upoważniony do wyasygnowania tytułem zaliczki 250.000 franków. Wysocki na to oświadczył, że ani myśli stawić jakichkolwiek przeszkód powstaniu, które musi nastąpić, czy tego chce lub nie chce hrabia Andrzej i stronnictwo zachowawcze w Królestwie. Młodzież polska nie może dopuścić, ażeby kompromis zawarty z rządem przez Wielopolskiego miał przyjść do skutku i gotowa jest przelać najserdeczniejszą krew swoją, byle przeszkodzić zgubnemu sojuszowi Polski z Rosyą. Nie obawia się Wysocki złych następstw powstania, gdyż z Palais-Royal otrzymał bardzo kompetentne zapewnienia, że jak skoro wybuchnie powstanie, Francya pospieszy ze zbrojną pomocą. — Autor *Aspiracyi* zapewnia, że wszystko to słyszał od samego pana W. w Paryżu zaraz po konferencyi tegoż z Wysockim. — Pieniądze wróciły do Warszawy.

Czy Jurgens widział się z kim jeszcze z wybitniejszych osób stronnictwa ruchu na emigracyi, niewiadomo. Po wysłuchaniu sprawozdania Jurgensa z jego pobytu w Paryżu, dyrekcya uchwaliła pozostawić zupełnie czerwonych na stronie, natomiast zaś nawiązać ściślejsze stosunki z księciem Władysławem Czartoryskim, które chwilowo osłabły, gdy tenże nie przychylił się do programu, przesłanego w lutym 1862 roku.

Tym razem wysłano do Paryża Józefa Kołaczkowskiego, zwykłego kuryera białych. Policya wszakże paryzka zasadziła go za jakieś dawne, niepopłacone długi, do Clichy. Wysłano więc Łucyana Hordyńskiego, a następnie Augusta Trzetrzewińskiego, lecz niema śladu, co wskórali obaj wysłannicy.

Jednocześnie zaś ze swej strony Wysocki wysłał do Warszawy Włodzimierza Milowicza, bardzo bystrego i zdolnego ucznia szkoły wojskowej [1]) dla najdokładniejszego, o ile się da, zbadania składu dyrekcyi szlacheckiej i jej stosunków z komitetem centralnym.

Milowicz dotarł szczęśliwie do Warszawy i zebrał żądane wiadomości. Według jego zdania dyrekcya była tajemnem narzędziem Wielopolskiego, który za jej pomocą podminowuje stanowisko czerwonych w kraju, a jednocześnie straszy rząd różnymi majakami. Gdy zaś raz doścignie zamierzonego celu i otrzyma od rządu wszystko i w takiej mierze, jaką uważa za niezbędnie potrzebną i możliwą do osiągnięcia, natychmiast zmieni sposób postępowania, nakaże dyrekcyi by się rozwiązała; wspaniała demonstracya ze wszelkiemi akcesoryami, szkołami wojskowemi, wojewodami, komitetami i t. p. ustanie, a czerwoni, osamotnieni, zniewoleni zostaną do zaprzestania robót, w które włożyli tyle trudu i starań i gwoli którym zginęło już tylu znanych, odważnych i pełnych poświęcenia patryotów.

Wysocki ze swej strony uznał za stosowne przestrzedz kogo potrzeba o grożącem czerwonym niebezpieczeństwie. Wysłannik dodał coś jeszcze od siebie dla zwiększenia grozy. Je-

---

[1]) Uczniem nie był, lecz w radzie nadzorczej szkoły. *Przyp. tł.*

dnocześnie na emigracyi rozeszły się pogłoski o układach białych z księciem Czartoryskim. Zmora reakcyi stanęła znów w całej grozie przed oczami ludzi, którzy już i bez tego usposobieni byli do dostrzegania jej wszędzie i we wszystkiem. Terroryści postanowili więc ponownie zapobiedz zbliżającej się katastrofie, wstrząsnąć kraj cały czemś niezwykłem i przez to oddalić wprowadzenie reform na czas nieograniczony, tem zaś odciągnąć białych od rządu, a nawet podburzyć ich przeciw niemu i zamienić dotychczasowe ich demonstracye w rzeczywiste sprzysiężenie. W tym celu, w przekonaniu terrorystów, należało uderzyć w samo centrum stronnictwa białych, w głównego kierownika ich działania.

Zdecydowaną rękę, a nawet dwie, wnet wyszukali ajenci Chmieleńskiego i Dąbrowskiego, między niedoszłymi i niezadowolnionymi ze swego stanu i położenia rzemieślnikami, stanowiącymi, jak wiadomo, najodpowiedniejszy materyał do takich przedsięwzięć.

Jednym z takich, na wszystko zdecydowanych patryotów, był Aleksander Ludwik Ryll, dziewiętnastoletni litograf, syn odlewacza z fabryki żelaznej Ewansa. Odlewacz ten wszakże był tylko nominalnym ojcem chłopaka. Urodzony w Warszawie Ludwik Ryll znalazł opiekuna w hrabiu Gutakowskim, który, gdy po roku 1840 z powodów politycznych wyprzedał się w Królestwie i osiadł z żoną na stałe w Poznaniu, wziął ze sobą swego wychowanka, oddał go do szkół niemieckich w Lesznie, a po roku umieścił go w szkole realnej w Poznaniu. Ryll wszakże nie okazywał żadnych zdolności do nauk. Opiekun umieścił go u litografa, a gdy chłopiec i do litografii niechciał się przykładać, znudzony, odesłał go matce do Warszawy, radząc, aby mu tam wyszukała jakie zajęcie. Rzekomy ojciec, ów odlewacz, już nie żył. Powiadają, że pewnego dnia, zabrawszy swe ruchomości, wyszedł z domu i zniknął bez śladu. Matka z bratem swym Ambrożym mieszkała przy ulicy Gołębiej, nader biednie. Gdy Ludwik wrócił z pewnym fundusikiem, danym mu przez hrabiego na drogę, ani myślał

szukać pracy, lecz zaczął hulać po ogródkach i bawaryach, pozbywając się stopniowo cenniejszych rzeczy, otrzymanych różnemi czasy od hrabiostwa w czasie swego pobytu w Poznaniu. Lecz i to źródło się wyczerpało i wkrótce znalazł się w jednym surducie. Wtedy wyjechał, niewiadomo dlaczego, do Łodzi i wrócił stamtąd jeszcze bardziej obdartym. Potrzeba było wziąć się do pracy, po krótkim namyśle wstąpił do kowala, sądząc, że nie potrzeba wielkiej umiejętności do wywijania młotem, lecz już pierwszego dnia poodbijał sobie ręce i nogi. Nie było co jeść. W takim stanie odszukał go pełnomocnik hrabiego, niejaki Zalewski i oddał go do litografa Regulskiego. Ten wszakże bardzo prędko był zmuszony wydalić Rylla za pijaństwo i łajdaczenie się. Następnie dostał się do malarza Darewskiego, u którego przebył dwa miesiące i przeniósł się do litografa Janiszewskiego, u którego wytrzymał tylko dwa tygodnie. Naraz umyślił wstąpić do warsztatu szewskiego Staniszewskiego.

W tym czasie żona zesłanego na Sybir litografa Fleka, zasypana zamówieniami robót litograficznych, poszukiwała robotników. Wskazano jej Rylla, którego przyjęła z płacą trzy ruble sr. tygodniowo. Było to w wielkim poście 1862 roku. Przez cały wielki post Ryll zachowywał się nienagannie, lecz na Wielkanoc zaczął pić ponownie i został oddalony. Wyszukał zajęcie u litografa Wrońskiego przy ulicy Trembackiej; tam nie widziano go trzeźwego. Już od rana, jak sam o sobie powiadał, był »dobrze usznurowany«, bezustannie zadzierał się z kolegami, odgrażał się każdemu, że mu połamie kości i raz się odezwał, że »skończy na tem, że zostanie rozbójnikiem, a wtedy zobaczą, co on potrafi.« Podobne przechwałki nie przechodziły podówczas niespostrzeżenie. Rylla zaczęły śledzić jakieś tajemnicze figury...

W tym czasie przyjechał do Warszawy nowy pełnomocnik hr. Gutakowskiego, Piętka, który miał także polecenie odszukania chłopca i, w razie, gdyby się dowiedział, że się ustatkował i lepiej się prowadzi, płacenia mu miesięcznej pen-

syi 12—15 rubli sr. Piętka dawał mu po kilka rubli, a nadto oświadczył, że jeśli nie zmieni swego trybu postępowania, zaprzestanie zupełnie pomagać mu. Był także w tym czasie i sam hrabia Gutakowski w Warszawie i widział wychowanka, lecz uznał go niegodnym dalszej opieki. To też wyjeżdżając z Warszawy w końcu czerwca 1862 r. nietylko że nic nie dał Ryllowi, lecz polecił Piętce, by także zaniechał wszelkiej pomocy.

Wskutek takiego opuszczenia przez opiekuna dotychczasowego, rozdrażnienie Rylla do całego świata prawie granic nie miało. W takiem usposobieniu umysłu zapoznał się z niejakim Stanisławem Jaczewskim, pomocnikiem w księgarni Friedleina. Ten zaczął go wodzić po ogródkach i zapoznał z Feliksem Kowalskim i litografem Janem Rzońcą, człowiekiem również rozgoryczonym, awanturniczego usposobienia i od dzieciństwa zamiłowanego w wszelakich bójkach. Gdzie tylko zaszła jakaś awanturka, połączona z podbiciem oczu i pokrwawieniem nosów, tam koniecznie musiał należeć Rzońca. Podobne indywidua były jakby stworzone do pułków żuawów, do tych spotkań w pierwszych chwilach boju, charakterystycznie przez nich nazwanych *à la fourchette*.

Lecz Rzońca nie dostał się do żuawów, ale wałęsał się po Warszawie i zwrócił na siebie uwagę werbowników warszawskiego *Vehmgerichtu*. Rzońca w krótkim czasie został dziesiętnikiem w czerwonej organizacyi, zwerbowawszy kilku, jak sam straceńców, dla przyszłej powstańczej armii; sam ułożył dla nich rotę przysięgi, którą chował pod nogą od łóżka, nareszcie, jakoś w lipcu 1862 roku, objawił swoim nierozłącznym przyjaciołom, że jest gotów do spełnienia wszelkiego rozkazu swej władzy. Kierownicy czując, że jego awanturnicza, zbójecka natura nie ulegnie zmianie, pozostawili go w rezerwie, wysunęli zaś naprzód Rylla, obawiając się, że tegoż gorączkowe rozdrażnienie łatwiej może minąć.

Stale hulające po ogródkach towarzystwo patryotów składali głównie: Feliks Kowalski, Stanisław Jaczewski, Ludwik Ryll i Jan Rzońca. Oni zwali siebie po imieniu i najczęściej

schodzili się w dużym ogrodzie na Nowym Świecie, Foksalu, w pobliżu ulicy Smolnej [1]). Od czasu do czasu zjawiał się między nimi jakiś jegomość, należący widocznie do lepszych klas towarzyskich i mianujący się wobec nich obrońcą kraju. Przemawiał do nich zwykle kilkoma słowy zachęty i znikał jak senna mara.

Na umysły tych młodych ludzi, zagrzewanych wciąż spirytualiami lub piwem, częstokroć zaprawnym blekotem, niewymownie podniecająco działały te nocne, tajemnicze schadzki w opustoszałym ogrodzie, wśród snujących się postaci takich samych, jak się zdawało spiskowców, ich ciche szepty i wśród tego zjawienie się naraz, jakby z pod ziemi, jakiejś wyższej osobistości, z rzędu tych, które zdaleka, niewidzialni, rozkazują i rządzą...

W parę tygodni po zamachu na wielkiego księcia, ku końcowi lipca, Ryll już był stanowczo pozyskany przez ajentów partyi Chmieleńskiego i oświadczył swą gotowość służenia sprawie narodowej, jak i gdzie rozkażą. Wtedy oznajmiono mu, że »potrzeba zabić Wielopolskiego«, że »wiele na tem zależy.« — Ryll nie oponował.

Tamże w Foksalu obmyślono cały plan działania. Z początku próbowano przebrać Rylla za oficera, i uzbroiwszy go w rewolwer, projektowano wysłać go do Belwederu, gdzie się zwykł przechadzać Wielopolski po wyjściu z audyencyi u wielkiego księcia. Ale Ryll tak śmiesznie wyglądał w mundurze, który nadto miał jakieś niedostatki, mogące wpaść w oko komukolwiek z wojskowych i doprowadzić do wykrycia przebrania, że ostatecznie planu tego zaniechano i postanowiono wykonać zamach w komisyi skarbu przy ulicy Rymarskiej, wcale Rylla nie przebierając.

Dnia 7. sierpnia 1862 roku, po rannej przekąsce w Foksalu, w której wziął udział oprócz całej grupy spiskowców

[1]) Obecnie przez ogród ten przeprowadzona ślepa ulica tej samej nazwy, zabudowana ładnemi pałacykami i wilami hrabiów Przeździeckich, Wołowskiego i innych.

i tajemniczy »obrońca kraju«, powiedział tenże Ryllowi, że do Wielopolskiego strzelić potrzeba dziś jeszcze o godzinie 1-szej po południu, w przedsionku komisyi skarbu, gdy Margrabia będzie przechodzić na posiedzenie komisyi, i zawezwał go ażeby zaraz poszedł obejrzeć miejscowość.

Ryll był dobrze podochocony. W Foksalu wypił trzy wielkie kufle piwa, po drodze do komisyi »obrońca« częstował go w trzech cukierniach wódką i ponczem, do którego dosypywał coś odurzającego i w takim stanie wprowadził go na miejsce projektowanego zamachu. Tutaj wskazał szczegółowo co i jak ma robić, wsunął mu do kieszeni rewolwer i po strzale kazał uciekać dziedzińcem w stronę Banku polskiego, gdzie w pobliżu, na ulicy Elektoralnej będą »nasi« oczekiwać z pomocą. Poczem się rozstali [1]). Była godzina 1. po południu. Ryll pozostawszy sam jeden, raz jeszcze opatrzył miejscowość i wyszedł na ulicę. Męczyło go straszne pragnienie, w najbliższym więc szynku wypił jeszcze jeden kufel piwa, poczem wrócił na dziedziniec przed gmachem komisyi i tam jeszcze blisko godziny oczekiwał, przechadzając się w różnych kierunkach. Już chciał wracać do domu straciwszy cierpliwość, gdy podszedł ku niemu jakiś młody człowiek mówiąc: »Margrabia jedzie.«

Rzeczywiście w kilka minut potem rozległ się turkot powozu. Wielopolski jechał w odkrytym powozie, obok stangreta na koźle siedział woźny z teką. Ryll wszedł spiesznie do przedsionka i stanął z lewej strony, za małemi oszklonemi drzwiczkami. Gdy Margrabia zaczął wstępować na schody, Ryll wyszedł z ukrycia i wymierzył nań rewolwer, z odległości dwu kroków. Margrabia nie stracił przytomności, podniósł do góry potężną swą laskę i krzyknął groźnie »a ty, co tu robisz zbóju?« To proste zapytanie, wyrzeczone energicznie, i groźna laska nad głową, tak zmięszały Rylla, że spuścił rewolwer i wyskoczył z przedsionka. Strzelił dopiero, gdy Margrabia

[1]) Zeznania Rylla. Patrz *Dziennik powszechny* r. 1862, nr 190.

szybko zaczął wchodzić na schody. Jedna kula trafiła w szafę z papierami, stojącą naprzeciw głównych drzwi wchodowych, druga zaś w drewniane odrzwia, przy drzwiach prowadzących z przedsionka. Działo się to o trzy kwadranse na trzecią. Po danych strzałach, stosownie do otrzymanej instrukcyi, Ryll rzucił się ku Elektoralnej ulicy, minął wszystkie trzy dziedzińce, grożąc trzymanym w ręku rewolwerem, tym którzy starali się go zatrzymać, w bramie wszakże został zatrzymany przez stróża.

Przy śledztwie Ryll nie wydał nikogo. Przy skonfrontowaniu z Dąbrowskim powiedział, że »nie zna tego pana«; toż samo powtórzył sprowadzony z Rzońcą, który także wyparł się wszelkiej znajomości z Ryllem i został wypuszczony.

Podróż wszakże do X. pawilonu warszawskiej cytadeli, widok wrót podwójnych, przy których stała straż pod bronią i żandarmi z obnażonymi pałaszami, wszystko to wywarło na Rzońcę tak silne wrażenie, że wróciwszy zachorował, mimo że był silnej natury i zawsze się przechwalał, że się niczego na świecie nie boi.

Gdy wyzdrowiał i zaczął wychodzić na wpół żywy, właśnie kończył się proces Jaroszyńskiego, sądzonego jawnie z rozkazu namiestnika, w gmachu sądowym przy ulicy Miodowej.

Dnia 14. sierpnia 1862 roku przywieziono tam Jaroszyńskiego w karecie, otoczonej szwadronem huzarów, pod strażą kilkunastu żandarmów. Przy przejeździe lud wznosił okrzyki na cześć Jaroszyńskiego. Na dziedzińcu pałacu sprawiedliwości ustawiono batalion piechoty. Ulicę Miodową zapełniła publiczność, tłum się dostał i na dziedziniec pałacu, między wojsko, a w tym tłumie znajdował się także Rzońca ze swymi przyjaciółmi z Foksalu. Przyjaciele ci nie opuszczali go ani na chwilę, mając go upatrzonego do dalszych swych celów, ponieważ Rzońca miał zastąpić Rylla, w razie, gdy temu zamach na Wielopolskiego się nie powiedzie.

Można sobie wyobrazić tę gorączkową ciekawość, połączoną z grozą i niepokojem, z jakiemi się snuł po dziedzińcu,

przed gmachem, w którym odbywał się sąd nad znanym mu dobrze patryotą. Zdawało mu się, że za temi oknami sądzą jego samego, wydanego przez Rylla, lub którego ze sprzysiężonych. Wprawdzie raz udało wywinąć się szczęśliwie, ale czy zawsze tak będzie?...

Przyjaciele, śledzący pilnie tego człowieka, jakby czytali w jego duszy. Jeden z nich odezwał się: »decyduj się! masz ginąć, niechże nie będzie to napróżno, bez żadnej korzyści dla ojczyzny! zapędzą cię gdzieś na Sybir albo wpakują do kazamat i zgnijesz tam bez śladu.«

Rzońca raz jeszcze rzucił okiem na otaczającą go scenę, na okna, za któremi wyrokował straszny sąd... na ponurą karetę, w której przywieziono delikwenta... na błyski poruszających się bagnetów i pałaszy, wreszcie na te okrutne w swej ciekawości twarze bezimiennego tłumu, oblegające dziedziniec i zapełniające ulicę. Przypatrywał się temu obrazowi przez kilka minut dzikim wzrokiem, wydobywającym się z głęboko zapadłych oczu, nakoniec odezwał się do towarzyszy: »jutro pójdę zabić Wielopolskiego«... i dotrzymał słowa.

Nazajutrz, dnia 15. sierpnia, o godzinie 8. rano, Rzońca zupełnie już zdecydowany, poszedł do matki, przekupki na Starem mieście, wziął od niej książkę do nabożeństwa i na klęczkach wysłuchał całej Mszy świętej w katedrze św. Jana.

W ogóle bardzo rzadko widywał się z matką, rzadziej jeszcze zaglądał do kościoła i dawno zapomniał o tych czasach, gdy dzieckiem będąc modlił się na klęczkach. A teraz, dziwna ludzka natura, naraz zatęsknił i do matki i do kościoła i do gorącej modlitwy na klęczkach.

Wyszedłszy z kościoła, połączył się z towarzyszami i do wieczora przewałęsał się po ulicach, wstępując przytem często na wódkę, tym razem, jak się zdaje, bez wszelkiej przyprawy.

O godzinie 6. wieczorem cała kompania zwróciła na aleje Ujazdowskie i rozsiadła się na ławkach naprzeciw Szwajcarskiej Doliny. Około godziny 8. ukazał się od ulicy Pięknej powóz Wielopolskiego, jadącego z żoną do Łazienek. Gdy powóz

Margrabiego zrównał się z ławką, na której siedział Rzońca, ten szybko przeskoczył rów, dzielący aleje od ulicy, podbiegł do powozu i wskoczywszy na stopień chciał ugodzić zatrutym sztyletem Margrabiego w szyję. Margrabia się uchylił i żelazo ześlizgnęło się po kapeluszu. Wówczas Wielopolski nie tracąc zimnej krwi i przytomności, powstał w powozie i zmierzył do napastnika z rewolweru. W tej samej chwili stangret zaciął go biczem po twarzy. Rzońca się stropił, zeskoczył ze stopnia i zaczął biedz alejami ku miastu, następnie skręcił na ulicę Piękną. Tam został schwytany przez hrabiego Józefa Wielopolskiego, młodszego syna Margrabiego, który jechał w drugim powozie za ojcem. Wówczas znaleźli się i policyanci, których w pierwszej chwili, pomimo krzyków, wcale nie było [1]).

Lecz i te zamachy nie powstrzymały rozpoczętych reform, ani nie wpłynęły na zmianę systemu rządowego. Przewidywania terrorystów okazały się płonnemi.

Na drugi dzień po pierwszym zamachu na naczelnika władzy cywilnej, w dzień urodzin cesarzowej, cesarz ułaskawił 114 politycznych skazańców, siedmiu zaś otrzymało złagodzenie kary [2]). Nazajutrz dnia 9. sierpnia, namiestnik przesłał na ręce magistratu 3.000 rubli sr. dla biednych, oraz oddał dawny pałac prymasowski na umieszczenie którego z gimnazyów. W tym pałacu za rządów księcia Paskiewicza i księcia Gorczakowa mieściły się: sztab główny, dežurstwo pierwszej armii i archiwum wojenne. Za hrabiego Berga tam był umieszczony

[1]) Szczegóły te przeważnie wyjęte są z aktów śledczych sprawy. Wyjątki z nich ogłoszone były w *Dzienniku powszechnym* nr 190 z 1862 roku. Sztylet Rzońcy pokryty był gęstą masą, trudno rozpuszczającą się w wodzie, która zbadana w aptece Aleksandrowskiego wojskowego szpitala i w chemicznem laboratoryum medyko-chirurgicznej akademii okazała się mięszaniną czegoś tłustego ze strychniną. Jeden gran tej masy, zadany dwumiesięcznemu szczenięciu, spowodował śmierć natychmiastową. Masa, pokrywająca ostrze sztyletu ważyła 20 granów, w czem było czystej strychniny co najmniej 10 granów.

[2]) *Dziennik powszechny* z roku 1862, nr 177. Wymienieni są wszyscy z imienia i nazwiska.

zarząd oberpolicmajstra miasta Warszawy. Obecnie zajęty jest na szkołę junkrów.

Wielki książę nalegał, ażeby Wielopolski przedsięwziął wszelkie kroki ostrożności. Margrabia odtąd zamknął się w Brylowskim pałacu, na dziedzińcu stała stale kompania piechoty, a zawsze zamkniętej bramy strzegło dziesięciu policyantów, wpuszczając przychodzących po wylegitymowaniu się i sprawdzeniu tożsamości osoby. W dwóch ogródkach, dotykających pałacu od ulicy Wierzbowej, ustawiono szyldwachów, od tyłu zaś zniesiono schody, które prowadziły z balkonu pierwszego piętra wprost do ogrodu.

Wielopolski wyjeżdżał w szczelnie zamkniętej karecie, otoczony żandarmami, których ciężkie konie, pędząc przy karecie, napełniały ulicę brzękiem i tententem. Zwykłą eskortę stanowiło dziesięciu żandarmów. Wszyscy się uśmiechali na zdala rozlegający się znany odgłos; głowy mimowolnie zwracały się w tę stronę, przechodnie się zatrzymywali.

To był stanowczy zwrot w dziejach sprzysiężenia. Od tej chwili rosyjskie interesa w Polsce, w niespostrzeżony prawie dla nikogo sposób, przyjęły inny, szczęśliwszy kierunek. Zręczny system, który kosztował tyle pracy, wysileń i walki ze strony Margrabiego, zaczął konać śmiercią powolną. Sam genialny twórca takowego, zamknięty w swoim pałacu jak w grobie, za palisadą rosyjskich bagnetów i szabel, zaczął także omdlewać i z sił opadać, i stawać się coraz mniej podobnym do tego tak jeszcze niedawnego Wielopolskiego, pełnego energii i sił żywotnych, przebywającego w tych samych ścianach, lecz w zupełnie innych warunkach, jeżdżącego po mieście w otwartym powozie, śmiało patrzącego wszystkim w oczy, śmiało podającego rękę każdemu, nietylko białym, lecz i czerwonym.

Teraz już tego dokazać nie potrafił. Stronnictwo, dotychczas go popierające, naraz znalazło się Bóg wie w jakiem oddaleniu od niego i od rządu, przeczuwając instynktowo, że zaprowadzone porządki jeśli nie zaraz, *ex abrupto*, to sto-

pniowo, a może nawet w bardzo niedalekiej przyszłości muszą być wstrzymane i zawieszone.

Biała dyrekcya po ożywionych naradach nad smutnym i niepewnym stanem rzeczy w kraju, postanowiła raz jeszcze porozumieć się z księciem Czartoryskim i wysłała po raz czwarty jednego ze swych członków, Jurgensa, który zawsze krytykował miękkie i niezdecydowane postępowanie swoich kolegów, a na swoją rękę formował osobne kółko, coś w rodzaju drugiej białej dyrekcyi, żywszej i czynniejszej, spodziewając się z pomocą tegoż zwyciężyć czerwonych, przeciągając na swą stronę rzemieślników [1]). Dyrekcya pragnęła chociażby chwilowo oddalić z Warszawy tego ruchliwego i pełnego pomysłów człowieka, spożytkowując go wszakże dla swoich celów.

Jurgens przedstawił księciu Czartoryskiemu niebezpieczeństwo grożące reformom, które rząd, jak się zdaje, z zupełnie dobrą wiarą dalej przeprowadzał. Proponował, by książę zawiązał w Paryżu rodzaj komisyi redakcyjnej, mającej za zadanie wpływać za pośrednictwem prasy na opinię w Europie, oraz wywierać nacisk na rząd rosyjski przedstawieniami, wykazującemi, jak pożar niezadowolenia przyjmuje coraz szersze rozmiary, że wstrzymanie się wpół drogi niczemu nie zapobieży, lecz owszem stan pogorszy, i że tylko wytrwałe postępowanie w raz wytkniętym kierunku, może w końcu doprowadzić do uspokojenia. Książę, po pewnem wahaniu się, zgodził się na propozycyę...

---

[1]) Nowe kółko Jurgensa, nazwane kołem miejskiem, składali sami przyjaciele założyciela: Karol Ruprecht, Józef Grabowski, Stanisław Jarmund, ksiądz Kazimierz Żuliński, Roman Żuliński, brat księdza, Rafał Krajewski, Henryk Wohl, adwokat Wolf, Berendt i kilku jeszcze innych, przekonaniami nadzwyczaj zbliżonych do czerwonych. Kilku z nich skończyło życie na rusztowaniu. (Zeznania *Aweydy*).

Giller tom I, str. 68, także przytacza, że zanim komitet czerwony przekształcił się na komitet centralny, istniało obok niego jakieś koło wpływowe, pobudzające wciąż czerwonych i żądające częstokroć od nich rzeczy niemożliwych. — Koło to przestało istnieć w kwietniu 1862 roku.

A dorosłe i niedorosłe dzieci, nabroiwszy to wszystko, gdy osadzili Wielopolskiego za kraty, jak jakie niebezpieczne i szkodliwe dla nich i dla Polski zwierzę, byli przekonani, że dokonali bohaterskiego czynu, że uratowali ojczyznę. W istocie uratowali, ale nie siebie, lecz rząd rosyjski; ocalili go od jeszcze gorszych pomyłek, przeszkodzili maszynie rządowej zabrnąć w trzęsawiska, skądby nie potrafiła się wydobyć, albo nieprędko wydobyła na ubitą drogę.

Po straceniu Jaroszyńskiego dnia 21. sierpnia, Rylla i Rzońcy dnia 26. sierpnia 1862 roku, stosunek między ludnością a rządem stał się jeszcze bardziej naprężony i nieprzyjazny [1]). Ludność zbałamucona dotychczasowem zachowywaniem się rządu, ustępstwami, ułaskawieniami dziesiątków i setek skazańców naraz, oczekiwała jeżeli nie ułaskawienia przestępców, (o których, a przynajmniej o Jaroszyńskim wiedziano, że działał prawie bezwiednie pod wpływem zadanego blekotu, i któremu zresztą obiecano ułaskawienie, jeżeli wyjawi całą prawdę), to przynajmniej złagodzenia kary.

Ktoś z czerwonych puścił pogłoskę, że namiestnik domagał się ułaskawienia Jaroszyńskiego, z tym atoli warunkiem, żeby i dwóch drugich ułaskawić, lecz Wielopolski miał się temu stanowczo sprzeciwić.

Puszczono tę dziką pogłoskę, aby jak najbardziej wrogo usposobić społeczeństwo względem naczelnika rządu cywilnego, najniebezpieczniejszego wroga sprzysiężenia. W owym czasie wierzono ślepo każdej bajce, uwierzono i tej, i jeszcze bardziej wszystko się rozjątrzyło na Margrabiego.

Na jego poniedziałki nikt nie uczęszczał z cokolwiek wpływowych osób, stąd stały się te zebrania dziwnie sztywne i nudne. Rewolucyjne illustracye rozpowszechniły rysunki karety Margrabiego, otoczonej żandarmami. Opowiadano, że jest cała z blachy stalowej, dlatego tak huczy i dudni. Mówiono,

---

[1]) Szczegóły egzekucyi podane w *Ruskim archiwie* za rok 1873, str. 1315—1317.

że i obiady Margrabia spożywa z zachowaniem największych ostrożności i że mu potrawy podają w naczyniach na klucz zamykanych. Rzeczywiście zachowywano pod tym względem wielką ostrożność, gdyż w domu margrabiego zaszedł wypadek otrucia. Prowadzono z tego powodu dochodzenie, lecz urzędownie tego nie rozgłoszono.

Dla uśmierzenia choć w części umysłów, nazajutrz po egzekucyi Rzońcy i Rylla, dnia 27. sierpnia, namiestnik wydał następującą odezwę:

»Polacy! Namiłościwiej nam panujący Cesarz i Król, Najdostojniejszy brat mój, naznaczając mnie namiestnikiem swoim w Królestwie Polskiem, chciał dać dowód swoim polskim poddanym swej szczególniejszej łaski.

Przyjmując włożony na mnie przez Najjaśniejszego Pana obowiązek, nie ukrywałem przed sobą połączonych z nim trudności, ufałem jednak, że prawość moich zamiarów, łaska Boża i pomoc wszystkich, szczerze miłujących kraj swój Polaków, dopomogą mi w tem trudnem zadaniu.

Z takimi zamiarami, przejęty taką wiarą, usłuchałem głosu mego Monarchy i na dowód moich szczerych uczuć, przybyłem w pośród was z tymi, którzy są najdroższi sercu memu, z żoną moją i dziećmi, i to prawie nazajutrz po zamachu na życie cesarskiego zastępcy w tym kraju.

Ze spokojnem sumieniem, z zamiarem bezgranicznego poświęcenia się waszemu szczęściu, stanąłem wśród was, pod ochroną jedynie zupełnego ku wam zaufania. Lecz nim noga moja dotknęła się waszej ziemi, już była uzbrojona ręka, mająca mi cios morderczy zadać.

Śmierć groziła mi z tłumu zebranego na moje spotkanie, szła w ślad za mną do progów świątyń Bożych.

Opatrzności Bożej jedynie zawdzięczam moje ocalenie.

Następnie spełniono dwa zamachy na życie męża, którego zaufanie Cesarza i Króla powołało z pośród was, by mi stał ku pomocy w wypełnianiu mego trudnego zadania.

Ręka sprawiedliwości dotknęła winowajców.

Rząd Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości znajdzie środki dla powstrzymania zbrodniczych zamysłów i ochronienia praw ludzi spokojnych i dobrze myślących.

Polacy! Czyż dozwolicie, by szajka ludzi przewrotnych, nieliczna lecz zuchwała i posługująca się najhaniebniejszymi środkami, stanęła zaporą między Tronem i narodem i przeszkodziła spełnieniu wspaniałomyślnych zamiarów Monarchy?

Czyż dopuścicie, aby pod maską wolności i miłości ojczyzny, dzikie sprzysiężenie kierowało na bezdroża bezwiedne masy narodu?

Bądźcie godnymi potomkami waszych sławnych przodków i pamiętajcie, że dotychczas karty waszych dziejów nie były skalane niczem podobnem do tego, co się teraz dzieje.

Dowiedźcie całemu światu, że nic nie macie wspólnego ze zbrodniami, piętnującemi cały naród.

Wielkie i doniosłe reformy, nadane przez Cesarza i Króla dla zadosyćuczynienia istotnym potrzebom narodu, a mianowicie: ustanowienie rady stanu, organizacya szkół, wydziału narodowej oświaty i wyznań, oczynszowanie włościan, emancypacya żydów, zaprowadzenie rad powiatowych i miejskich, przekształcenie administracyi, zaczynają już wchodzić w życie i są najlepszym dowodem pieczołowitości o wasze dobro naszego najmiłościwszego Monarchy.

Przedsięweźmijcie więc potrzebne środki, ażeby dopełnienie tych reform i dalszy ich rozwój, nie napotykały na przeszkody ze strony przewrotnych ludzi, poświęcających szczęście ojczyzny dla swych mrzonek rewolucyjnych; ze strony ludzi, którzy tylko niszczyć a nic zbudować nie potrafią.

Polacy! zaufajcie mi, połączcie się ze mną w jednem i tem samem uczuciu, zacznijmy pracować zgodnie i przyjaźnie dla dobra Polski, prosząc Boga, by pobłogosławił naszym wspólnym staraniom, a wówczas zajaśnieje nowa epoka pomyślności i szczęścia dla ojczyzny, którąście tak umiłowali!« [1]).

[1]) *Dziennik powszechny* z 1862 roku, nr 192.

Na drugi dzień po ogłoszeniu tej proklamacyi, namiestnik pozwolił na powrót do Warszawy księdza kanonika Wyszyńskiego, Kramsztyka, Majzelsa i Jastrowa [1]).

Niestety, wszystko to nie zdołało wywołać tego wrażenia, jakie wywarły dwa miesiące przedtem, pierwsze rozporządzenia o reformach. Nastrój ludności silnie się zmienił. Wprowadzono tyle trucizny w życie miasta, w jego organizm, zapatrywania i obyczaje, że dla uratowania go już nie wystarczały zwyczajne, codzienne środki rządowych aptek, potrzebna snać była energiczniejsza kuracya. Partya »ludzi wywrotu«, o których wspominała odezwa namiestnika, wcale nie była tak nieliczną; przeciwnie, należało raczej zapytać, gdzie owych przewrotnych nie było? Spotykało się ich nawet ubranych w eleganckie fraki, na szklących posadzkach zamku, należeli do wszystkich towarzystw. Przykładny, wzorowy i najlepiej wychowany hrabia Andrzej, i on przejął się po części tym duchem i to tak dalece, że najbliżsi i najpoufalsi nieraz nie mogli połapać się z tą zmianą. Każde dziecko wiedziało i pojmowało, co się w około dzieje, czem są wszyscy zajęci i co z tego wkrótce ma wyniknąć. Nieliczne koło, od początku przeciwne powstaniu i zapatrujące się na te zabiegi swych współrodaków jako na sztuczną demonstracyę i fałszywy atak, kierowany ręką wytrawnego wodza, spostrzegło z przerażeniem, że skutkiem jakichś błędów taktycznych fałszywy atak zaczyna zamieniać się na rzeczywisty i że przemiana kierunku już prawie niepodobna. Nie zmieniając więc przekonania, że powstanie nie pożądane i tylko zgubę sprowadzi, ciż sami ludzie rzucili się szukać sposobów ratunku.

Wysłali więc do namiestnika deputacyę z prośbą o zniesienie na trzy miesiące cenzury dla dzienników, w przeko-

[1]) Ksiądz Wyszyński był przedtem ihumenem Bazylianów w Połocku i członkiem białoruskiego unickiego konsystorza. Jednocześnie zesłany z nim kanonik ksiądz Stecki, pozostał na Syberyi do 1880 r. i umarł tam na porażenie serca w chwili, gdy otrzymał ułaskawienie i zezwolenie na powrót do kraju. — (*Nowoje Wremia* z 1880 roku nr 1690, strona 1, szpalta 3).

naniu, że słowo wolne skutecznie podziała na masy i zdoła je uspokoić.

Namiestnik zapytał się Wielopolskiego o ile można na to zezwolić? Wielopolski obawiając się przedewszystkiem napadów na własną osobę, a które nieodmiennie by nastąpiły, odpowiedział stanowczo odmownie i oświadczył, że »poprobuje obejść się bez tych panów.«

Wkrótce potem Margrabia przywołał swego prywatnego sekretarza, Miniszewskiego, człowieka z talentem i mającego bardzo ostre pióro, i polecił mu napisanie artykułu, broszury, listu, zresztą w jakiej chce formie czegoś, co koniecznie zwróciłoby uwagę ogółu i wywołało wrażenie w tej części społeczeństwa, która jeszcze nie zeszła ostatecznie na manowce i w której ocalała jeszcze chociażby iskra zdrowego rozsądku.

Zanim jednakże rozpatrzymy w jaki sposób polecenie to zostało wykonane, należy nam bliżej poznać tę ciekawą osobistość, jeden z ówczesnych polskich typów, za młodu dziką i nieobuzdaną, z wiekiem i doświadczeniem uchodzoną.

Miniszewski pochodził z średnio zamożnej szlacheckiej rodziny z Kaliskiego. Gimnazyum ukończył w Warszawie i zaraz z ławy szkolnej zapisał się do cechu braci literatów. Między 1842 i 1848 rokiem napisał kilka poczytnych powieści historycznych i innych [1]). Burzliwe wichry 1848 roku uniosły zapalonego marzyciela za granicę. Zamyślał o jakiemś działaniu na Węgrzech, spotykał się w Poznaniu, Wrocławiu, Krakowie i Berlinie z agitatorami wszelkich narodowości, a przytem hulał po zwyczaju i wkrótce przetrwonił całą, odziedziczoną po ojcu majętność w Kaliskiem. Po rozwianiu się w nicość mrzonek węgierskich, potrafił dostać się napowrót do Królestwa w 1852 roku i osiąść na jakiś czas cicho i spokojnie na wsi przy swoich synowcach (gdy własnej wsi już dawno nie stało)

[1]) *Jan Pieniążek* w 3 tomach, 1843 rok; *Jadźwingowie* w 2 tomach, 1845 rok; *Domowa zagroda*, rysy dziejów polskich, w 2 tomach, 1847 rok. Pisał pod pseudonimem *Starży*.

i stamtąd od czasu do czasu wysyłał cięte artykuliki do różnych pism peryodycznych w Warszawie [1]). Wtedy pojawiły się znane czytającej publiczności *Listy Cześnikiewicza do Marszałka*, które mu wyrobiły pewne imię literackie.

Od czasu do czasu, gdy był przy pieniądzach, zaglądał do Warszawy i wtedy pełno go było wszędzie, gdzie tylko było wiele ruchu, gwaru i gadania. Najczęściej wszakże przebywał w resursie kupieckiej, w kółku literatów, inteligentnych kupców i urzędników średnich i niższych stopni. Miniszewski stawał się zwykle punktem środkowym, z którego dniem i nocą rozbiegały się ciekawe i zabawne anegdoty o różnych osobach i o samym autorze: anegdoty, dowcipy, wierszem i prozą. Pod tym względem był niewyczerpany, dosyć było postawić buteleczkę i nakręcić pozytywkę, a mógł wypić niemało. Z powierzchowności był to mężczyzna zdrów, tęgi, zawsze wesół, charakteru dobrego i otwartego; stąd też powszechnie był lubiany, a w resursie kupieckiej miał nawet kółko swych formalnych wielbicieli.

W latach manifestacyjnych (1859—1861), zapalony ten marzyciel, mimo przeświecającej łysiny i siwiejących skroni, zawsze pełen fantazyi, zjawił się w Warszawie, przybrany w długie buty z podkówkami, w szerokim pasie i konfederatce i zaraz znalazł się w pierwszych rzędach tych *enfants terribles* rewolucyi, którzy wszędzie wysuwają się naprzód, najwięcej krzyczą a bardzo mało działają, gdyż do prawdziwych prac rewolucyjnych zupełnie są niesposobni. Dlatego też rządy rozumne podobnych facetów zwykle pozostawiają w spokoju, uważając, że oni więcej korzyści niż niedogodności przynoszą. Miniszewskiego, nawet ówczesny rząd, wcale nie grzeszący politycznym rozumem, pozostawił w spokoju; chyba na chwilę mógł być przychwycony w czasie aresztowań kościelnych za hrabiego Lamberta.

---

[1]) Od 1850 do 1855 roku napisał: *Grzechy powszednie; Legenda o królu Lechu; Stanisław Żółkiewski.*

Niepraktyczne ożenienie, oraz wzgląd, że tak dalej z dnia na dzień, bez jakiegoś stalszego zajęcia, żyć niepodobna, wpłynęły na zmianę zapatrywań Miniszewskiego. Z czerwonego krzykacza przeistoczył się powoli na spokojnego rzecznika resursy kupieckiej, a następnie został gorącym zwolennikiem Wielopolskiego, wskutek czego niebawem otrzymał posadę urzędnika do szczególnych poruczeń przy głównym dyrektorze komisyi spraw wewnętrznych, hrabiu Kellerze [1]). Następnie naczelnik rządu cywilnego wezwał go na swego przybocznego sekretarza i codziennie poruczał mu różne temata do obrobienia. Wówczas to, z polecenia Margrabiego, Miniszewski ogłosił w *Dzienniku powszechnym* cały szereg politycznych rozpraw pod tytułem »Rzeczy społeczne«, oraz wydał oddzielną broszurę »Ruch polski w 1861 roku«, w której, wykazując doniosłe zasługi Wielopolskiego dla kraju, zastanawiał się dlaczego takowe nie znalazły ani uznania ani poparcia [2]).

Prace te nie znalazły już dawnego uznania i mało je kto czytał, zaś samego Miniszewskiego, jako zdeklarowanego zwolennika i sługę coraz bardziej przez ogół znienawidzonego Margrabiego, dawni jego przyjaciele i wielbiciele odstąpili, unikali jak zapowietrzonego, a nawet wprost się go obawiali.

Miniszewski, znając Wielopolskiego, wiedział, że ten, gdy raz co postanowił, opozycyi nie znosi. Milcząc więc wrócił do swego gabinetu i zasiadł do pracy, chociaż w głębi ducha był przekonanym, że pisać obecnie podobne rzeczy, komuś zbliżonemu do rządu, na nic się nie zdało. Fala huczała, fala straszna, epokowa; naród aż nadto miał swego czytania, może nie bardzo rozumnego, pisanego z dnia na dzień, byle jako, przez różnych gimnazyalistów; lecz to niemądre pisanie było podówczas chlebem powszednim kraju, bardziej drogocennym i pożądanym, niż najbardziej obmyślane, jasne jak dzień utwory

---

[1]) Poprzednika jego na tej posadzie uwolniono dla dobra służby. *Dziennik powszechny* z 1862 roku, nr 183.

[2]) Lipsk, 1863 rok, str. 51.

chociażby geniuszów... była to pora, że nie geniuszów, lecz gimnazyalistów kraj słuchał. Cóż więc na to mógł poradzić jakiś tam Miniszewski? lecz rozkaz stanowczy był dany, należało go spełnić, chociażby bez wiary w skuteczność swej pracy.

Rzucił więc na papier kilka artykulików politycznej i belletrystycznej treści, kilka krótkich dyalogów i wierszyków. W paru miejscach wykazał współrodakom zgubne skutki wybranego przez nich sposobu działania; wskazał na przykład Irlandyi. Wszystko razem było jakieś niejasne, nudne i nieciekawe, a nawet, napisane bez talentu. Ani śladu tego ciętego i dosadnego stylu, jakim przed paru laty pisywał ten sam, dziś już dla kraju nieistniejący, raz na zawsze pogrzebany, Miniszewski...

Poszyt czyli »wiązka« nosiła tytuł *Komunały*. — »Wiązka pierwsza, zbiór różnych różności, mających służyć nietylko ku rozrywce, lecz i do zamroczenia rozumów, pomagających najskuteczniej do dźwigania ciężaru tego żywota. Wydanie tanie, nie kłamliwe, niezwykłego dowcipu, a mimo to bez wszelkich pretensyi, walczące o ile sił starczy za prawa ludzkości, rzeczywistą oświatę, rolnictwo, przemysł i handel. Przywodzi do zbawienia mężów sprawiedliwych, chłoszcząc ich bez litości; nędznikom wskazuje drogę do djabła, podchlebiając im bez miary; najważniejsza zaś, że pozostawia w spokoju osobistości, wyrażając się o nich z pełnym szacunkiem, bez zaczepek. Fabrykują się w Warszawie, drukują się w Warszawie i sprzedają się w Warszawie. Dostać można we wszystkich księgarniach. Miejscowi i zagraniczni księgarze, a także i prywatni protektorowie, prenumerujący całemi kopami, otrzymują 10% rabatu. Kto poczeka, to za pół roku dostanie tego towaru jeszcze taniej, jako makulaturę, stósownie do cen na rynku za Żelazną bramą, w sklepikach z prowizyą. Cena Komunałów, bez targu, *prix fixe*, 1 złp. 10 gr. za wiązkę. Po siewach, cena przyszłych wiązek, najprawdopodobniej się obniży. Będzie to zależało od odbytu.«

»Zamiast zwykłego ogłoszenia: adnotacye.«

»Adnotacya I. Otwarcie wyznajemy, że ponieważ nie święci garnki lepią, komunały, jak zresztą wszystko na ziemi, między innemi mają także na celu wypróżnianie kieszeni obywatelskich.«

»Adnotacya II. Upraszamy panów artystów, aby nie zarzucali nam obojętności dla sztuki, ze względu, że nie dajemy illustracyi. Pamiętajcie panowie o sobie i pracujcie dla siebie. Gdy się okaże potrzeba, zaprosimy uzdolnionych rysowników, z gotowem w każdej chwili natchnieniem, ażeby złączyć w jedną całość komunały pióra, pędzla, ołówka i rylca z obecnej chwili. Z tego związku muzyka jest raz na zawsze wykluczoną, mając stale na swe rozkazy pozytywki.«

»Adnotacya III. W roku tak płodnym w niepospolite geniusze, jak obecny, będziemy podawać w tekście portrety o ile można najmniej podobne i zagwazdane, stosownie do obowiązujących przepisów najnowszej warszawskiej szkoły, wraz z biografiami, wynoszącemi bohaterów pod niebiosa. Za stosowną opłatą i notoryczni głupcy będą apoteozowani. *Sapienti sat*«...

»Adnotacya IV i najważniejsza. Współpracownicy i korespondenci, narzucający się, nie proszeni i nie wołani, ze swojemi pracami, mogą nie wiedzieć adresu redakcyi Komunałów. Wystarczy, gdy złożą swe artykuły na chodnikach przy rynsztokach, albo też w dziedzińcach na śmietnikach. Po pierwszym deszczu woda spławi, albo też gałganiarki przyniosą je do głównego kantoru warszawskich wiadomości. Z kantorem tym Komunały pozostają w najściślejszych stosunkach, na mocy powszechnie w pismach peryodycznych obowiązujących zasad: § 1. Zawsze się włóczyć w ślad za tłumami. § 2. Słuchać zdania tłumów. § 3. Oczekiwać wyroku tłumów. § 4. Powtarzać to, co tłumy mówią. — Ponieważ każda chwila ma swe charakterystyczne oznaki i właściwości, obecnie kwitnie fotografia, a ponieważ wszyscy posiadają fotograficzne albumy mniejszych lub większych rozmiarów, nie potrzebuje przeto nikt trudzić siebie twórczością lub uciążliwem dla głowy my-

śleniem. A zatem szeregowcy i hetmani pióra fotografujmy zgodnie, jednakowo i w umówiony sposób.«

»Adnotacya V i ostatnia. Nie należy wyrzucać Komunałów na ulicę, jak to się czasem dzieje z gazetami, gdyż... w rynsztoku Komunały są jak u siebie, a tylko w gościnę dostają się ludziom do rąk, należy się więc znać na gościnności.«

»Ku wiekopomnej i niezatartej pamięci przyszłych pokoleń wypisujemy rok i datę: Varsoviae, anno Domini MDCCCLXII. Dnia wiecznie kłamiącego miesiąca, to jest septembra, który ani od początku, ani od końca roku nie jest siódmym, w rocznikach zaś świata pozyskuje tę sławę, że jest świadkiem narodzin pierwszej wiązki Komunałów.«

»Pan i samowładny gospodarz w redakcyi, przemawiający do wszystkich imieniem wszystkich, główny i jedyny redaktor, Achilles Katzenbergovius, rodowity Polak.«

Czy odwrócić okładkę i zajrzeć do środka? Zdaje się, że wystarczą te urywki, aby poznać z czem mamy do czynienia, jakiego to rodzaju dowcip i jakie żarty. Trudno się dziwić, że Miniszewski postawiony wobec nierozwiązalnego dylematu, nie potrafił go rozwiązać. Dziwne tylko i godne uwagi, że Wielopolski, człowiek niezaprzeczenie rozumny, najdzielniejszy rewolucyonista swoich czasów, twórca śmiałego i przebiegłego planu politycznego, który w znacznej części potrafił przeprowadzić, nie dostrzegł najprostszej rzeczy, wpadającej na pierwszy rzut oka pierwszemu lepszemu gimnazyaliście, nie pojął odrazu, że taka godna politowania »wiązka Komunałów«, którą mu do aprobaty przedłożył sekretarz, nie zdoła w ówczesnej publiczności wywołać nic innego prócz śmiechu i nie przysporzy rządowi ani jednego stronnika.

Owszem, wysłuchał je spokojnie i... potwierdził! To właśnie zadziwia! Była li to taka chwila złowroga chwilowej bezczynności zdania? niewytłumaczony stan ducha, w którym człowiek niezdolny jest do odróżnienia zła od dobra, w którym mu obojętne, czy spełniany krok przyniesie korzyść lub stratę, w którym go nie obchodzą przeszłość ani przyszłość;

historya jego przodków, ani dzieje całego świata, ni własna przyszłość i powodzenie; jakiś strasznie niemiły stan duszy, a przed oczami mgła gęsta... czy to więc była taka chwila przeklęta, czy też fatalny skutek niezwykłego, przechodzącego wszelką miarę uporu, który spowodował Wielopolskiego, że się nie cofnął nawet z fałszywej drogi, skoro chociażby jednym krokiem na nią wstąpił!

Cokolwiek bądź, Margrabia podpisał Komunały i one nazajutrz rozleciały się po Warszawie. Komitet centralny zakazał ich kupowania a nawet wzbronił księgarzom przyjmowania ich w komis. Było to zbyteczne, i bez zakazu nikt ich nie kupował. Chłopaki roznoszący po ulicach ten płód Miniszewskiego wywoływali: »kupujcie panowie gazetę, w której poniewierają Polaków.«

Wielki książę zapewne wiedział o broszurze zanim jeszcze wydaną została, lecz z różnych względów nie mięszał się w tę sprawę... zresztą w owych chwilach był zaprzątnięty inną sprawą. On chciał przez kogoś bardzo wpływowego zapytać ogółu Polaków »czego chcą właściwie, co ich może zadowolnić i skłonić do zgodnego postępowania z rządem?« Wyszukanie podobnej osobistości nie wymagało wielkiego namysłu ani trudu, ona była tuż, pod ręką.

W pierwszej połowie sierpnia wielki książę polecił swemu ochmistrzowi hr. Chreptowiczowi, aby przy sposobności zapytał Andrzeja hr. Zamoyskiego dlaczego stroni od Belwederu i upoważnił go do oświadczenia, »że wielki książę radby go widzieć u siebie dla rozmówienia się w sprawach krajowych.«

Chreptowicz po kilkakroć zaczepiał o to Zamoyskiego i zawsze otrzymywał jednaką odpowiedź, że »dlatego nie bywa u namiestnika, aby Wielopolski nie posądził go o jakie intrygi, lecz że w każdej chwili gotów jest na rozkazy wielkiego księcia dla dania zażądanych wyjaśnień co do stanu kraju, gdyż sprawy te są mu droższe nadewszystko.«

Wskutek tego Zamoyski przez Chreptowicza otrzymał zrana dnia 2. września zaproszenie na godzinę ósmą wieczór.

Gdy przybył do pałacu, zaraz został wprowadzony do gabinetu wielkiego księcia. Jak miał zwyczaj, hrabia stanął na progu i nie szedł dalej. Wielki książę podszedł do niego, wziął go za rękę i podprowadziwszy do biurka wskazał mu ręką fotel. Zamoyski spostrzegł na biurku pistolety, schylił się nad nimi i zapytał: »A to co takiego, Altesse?« — (Rozmowa toczyła się po francusku).

— To, tak! — odrzekł wielki książę i wsunął pistolety pod leżące papiery na biurku. — Czemu hrabio u mnie nigdy nie bywasz?

Odpowiedź nastąpiła ta sama, jaką otrzymał Chreptowicz. Poczem wielki książę prosił o przedstawienie mu sprawy, jak się na nią hrabia Zamoyski zapatruje, a to zupełnie szczerze i otwarcie, wyjaśniając przyczyny istniejącego w narodzie niezadowolenia i powody ogólnego wrogiego usposobienia dla rządu, który jednak z zupełną dobrą wiarą chce działać dla dobra Polaków nietylko w Królestwie, lecz i cesarstwie, zaprowadza reformy, łagodzi losy skazańców, a nawet zupełnie ułaskawia winnych, i to w rozmiarach niepraktykowanych dotychczas... Tymczasem nieukontentowanie zamiast zmniejszać się, wzrasta coraz bardziej. Czegoż jeszcze żądacie? Czego żądają ci, których głowy jeszcze nie przewrócone fantazyami, przychodzącemi z Zachodu?

Hrabia odpowiedź swą rozpoczął od skreślenia porozbiorowych dziejów Polski do czasów cesarza Mikołaja, przeszedł potem czasy jego panowania, a gdy doszedł z opowiadaniem do najświeższych czasów, przedstawił obraz, nieustępujący jaskrawością przedstawieniom najczerwieńszych zapaleńców. Na koniec dodał: »potrzeba raz już skończyć tę komedyę!« *(Il fout que cette comédie cesse).*

— Coś pan wyrzekł? — przerwał książę — jaka komedya? Cofnij pan to słowo.

— Lecz to są słowa własne ś. p. waszego rodzica, cesarza Mikołaja Pawłowicza, powiedziane zaraz po 1831 roku.

Nastąpiło chwilowe milczenie, które przerwał książę:

— Wiem dobrze, u was wszystkich Litwa, t. j. Wielkie Księstwo Litewskie w głowie.

I na to hrabia odpowiedział jak pierwszy lepszy czerwony zapaleniec.

W najwyższym stopniu było niezręcznie słuchać takiej mowy bratu cesarza, rosyjskiemu wielkorządcy Polski. Oświadczył więc hrabiemu Zamoyskiemu, że zawezwał go nie w celu wysłuchania wykładu o dawnych polskich granicach i nie dla przedstawienia sobie stanu z przed roku trzydziestego i następnych, gdyż to wszystko zna doskonale, lecz prosi go o przedstawienie chwili obecnej, o wskazanie, czy niema środków do prędszego uspokojenia kraju, ku zadowoleniu żądań rozsądniejszych warstw ludności, celem ostatecznego urzeczywistnienia zamierzonych przez rząd reform.

»Sądzę, że gdybyś tylko zechciał hrabio, mógłbyś uspokoić umysły, umiarkować żądania, przechodzące granice politycznej możliwości, pouczyć tych, którzy nie rozumieją, jak daleko w ustępstwach rząd iść może i powinien. Pana wszyscy lubią i bezwątpienia usłuchają, potrzeba tylko, powtarzam to z naciskiem, byś tego szczerze zapragnął, a... może nawet i sam głębiej i spokojniej wmyślał się i rozważył, przezwyciężywszy nawet w samym sobie i jedno i drugie, gdyż ostatecznie to... konieczne. Bez tego otwiera się przed nami przepaść, w którą wpadniemy... nie my, lecz wy. Pomyśl i zdecyduj się hrabio!«

— Ja szczerze pragnę dla mej ojczyzny spokoju — odrzekł Zamoyski — i nie sądzę, ażeby ktokolwiek o tem powątpiewał. Wpływ mój wszakże na umysły nie jest tak wielki, jak wasza książęca mość raczysz to uznawać. Bardzo mi było pochlebne usłyszeć to wszystko z ust waszej książęcej mości, niestety jednak, nie wszystko ma się tak w rzeczywistości. Gdyby mnie osobiście zapytano co zrobić dla uspokojenia kraju? powiedziałbym: połączyć wszystkie prowincye Polski, pod zarządem waszej książęcej mości, z Warszawą jako stolicą. Lecz to tylko moje osobiste zdanie. Kto wie, czy inni je po-

dzielają. Mogę zresztą zwołać moich przyjaciół i znajomych i zażądać od nich szczerego wypowiedzenia pod tym względem. Otrzymaną odpowiedź przedłożę waszej wysokości. Innego sposobu nie widzę.

— Zwołaj i zapytaj — zakonkludował wielki książę.

Na tym się skończyła pierwsza rozmowa namiestnika z Zamoyskim [1]).

Nazajutrz cała Warszawa mówiła o wizycie hrabiego Andrzeja u namiestnika, jak o wypadku pierwszorzędnego znaczenia. Każdy stąd wyprowadzał różne wnioski. Większość jednak widziała w tem ostatecznie słabość rządu i strach przed rozpoczęciem walki, wobec politycznych warunków panujących w Europie; nareszcie gotowość tegoż do wszelkich ustępstw.

Rozważywszy to wszystko, dyrekcya białych wezwała na zjazd do Warszawy wszystkich naczelników wojewódzkich, powiatowych i miejskich.

Wezwani zebrali się w liczbie około dwieście osób i zaraz zaczęli naradzać się nad projektem adresu, (któryby wręczono namiestnikowi), przedstawionym przez Stanisława Zamoyskiego, w imieniu ojca, hrabiego Andrzeja [2]).

Obrady odbywały się województwami, następnie w kole delegatów wybranych po dwóch lub trzech z każdego województwa, w końcu zaś w kole wojewódzkiem, które miało rzecz ostatecznie rozstrzygnąć [3]). Trudno sobie przedstawić większej

---

[1]) Notatka Radomińskiego, spisana ze słów Garbińskiego, sekretarza hrabiego Andrzeja, któremu tenże powtórzył całą swą rozmowę z wielkim księciem zaraz po powrocie z Łazienek. *Gazeta narodowa* z 1874 roku nr 259. — *Lisicki*, tom II, strona 338, przedstawia przybycie Zamoyskiego do wielkiego księcia i początek rozmowy nieco inaczej. O pistoletach na stole powiada, że to były rewolwery Jaroszyńskiego i jego towarzysza, które wielki książę zachował u siebie na pamiątkę.

[2]) *Giller* w *Gazecie narodowej* 1875 roku, nr 135. Inne szczegóły o tym adresie w tejże *Gazecie narodowej* rok 1878, nr 38.

[3]) *Aweyde*. Już powyżej była mowa o tem, że wojewódzcy powinni byli zjeżdżać się w pewnych terminach, mniej więcej co sześć

mieszaniny żywiołów, jak te, które wzięły udział w tych naradach. Byli tam i stronnicy Wielopolskiego, i ukryci zwolennicy komitetu centralnego, i różne nieokreślone osobistości, nie zdające sobie sprawy z niczego, wreszcie biali ze stronnictwa Zamoyskiego i najpowolniejsi adepci dyrekcyi.

Jedni proponowali podać wielkiemu księciu adres jawny, z podpisami, żądający zwołania przedstawicieli kraju. Drudzy byli za starym, lakonicznym adresem, takim, jak podpisywany w czasie wyborów do rad powiatowych i miejskich w jesieni 1861 roku, tak zwany adres Lambertowski [1]). Inni wreszcie radzili prosić wielkiego księcia, z zachowaniem wszelkich form dyplomatycznych, o sejm i przyłączenie do Królestwa Litwy i Rusi. Ale byli i tacy, którzy chcieli urządzić jedynie polityczną demonstracyę: udać się do wielkiego księcia *in gremio*, albo przynajmniej wysłać z każdego województwa pewną liczbę deputatów z dokumentem w rodzaju narodowego manifestu, w którymby szczerze i poważnie wypowiedziano wszelkie dawne i nowe żądania, oraz proszono o seym, wojsko i przyłączenie oderwanych prowincyi [2]).

---

tygodni, do Warszawy, i zjazdy takie stanowiły „koło wojewódzkie.“ W posiedzeniach koła uczestniczyła i dyrekcya. Na kole decydowały się wszystkie ważniejsze sprawy białej organizacyi. Koło odbierało sprawozdania od dyrekcyi i pojedynczych województw, rozpatrywało i zatwierdzało wnioski i projekta jednej i drugich; wytykało plan postępowania i wydawało odpowiednie zarządzenia. Między zebraniami koła dyrekcya posiadała pełną władzę wykonawczą i w nagłych wypadkach miała prawo uchwalania i wydawania rozkazów, wiążących wszystkich bez wyjątku członków organizacyi, obowiązaną wszakże była do zdania szczegółowej sprawy ze swych zarządzeń i czynności na najbliższem posiedzeniu koła. Wojewódzcy pojedynczo byli tylko organami wykonawczymi koła i dyrekcyi. Stosunki ich do dyrekcyi były w ogóle jako organów wykonawczych do władzy ustawodawczej. Na żądanie już trzech wojewódzkich musiało być zwołane koło. We wszystkich naradach koła uczestniczyli i zastępcy wojewódzkich, lecz tylko z głosem doradczym. — *Aweyde* tom III, str. 27—29.

[1]) Autor nie mógł nigdzie wyszukać tekstu tego adresu.

[2]) *Aweyde* tom III, str. 56—57.

Jednem słowem, zebrani w pierwszej chwili działali jak waryaci, zapominając o warunkach, wśród których się znajdują i o stosunku swym do rządu. Gdy jednak zapał trochę ochłonął i dyrekcya zmierzyła niebezpieczeństwo tak długo przeciągających się narad nad kwestyami drażliwemi i delikatnej natury, postanowiono skrócić narady i powierzono Edmundowi Stawiskiemu, redaktorowi lutowego adresu do cesarza Aleksandra, sformułowanie życzeń kraju. Ostatecznie zredagowano coś w rodzaju listu do hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, w którym zebrani przedstawiciele umiarkowanej opinii w kraju, proszą go, by się podjął wobec wielkiego księcia namiestnika, być tłumaczem istotnych i żywotnych potrzeb i żądań narodu w obecnej chwili [1]).

»Bezprzykładne klęski, które spadły na Polskę i pozbawiły ją bytu politycznego, nie mogły jednak osłabić ducha narodu i zachwiać wiary w jego historyczne posłannictwo.«

»Ta wiara i te uczucia bardziej się jeszcze spotęgowały i wzmogły wskutek strat poniesionych i zawodów doznanych i wyrodziły niegasnącą nadzieję lepszej przyszłości.«

»W uroczystą tę chwilę, głos narodowego sumienia głośno się domaga przywrócenia dawnych praw i przywilejów.«

»W roku zeszłym, w adresie podanym do stóp tronu, Polska wypowiedziała swe żądania. Deputaci zebrani dla przeprowadzenia wyboru rad powiatowych i miejskich, przedłożyli namiestnikowi memoryał, noszący przeszło dwadzieścia tysięcy podpisów, w którym wykazali, że tylko zgromadzenie, złożone z ludzi wysłanych i upoważnionych przez naród, nie krępowane w swobodnem i szczerem objawieniu swych myśli, może skutecznie przedstawić rzeczywiste potrzeby kraju. — Wprowadzone zaś przez rząd instytucye nie odpowiadają za-

[1]) Zeznanie *Aweydy*. *Giller* zaś powiada, że projekt adresu wyszedł z pod pióra Karola Ruprechta i został przyjęty przez dyrekcyę. *Gazeta narodowa*, rok 1875, nr 135. — Toż samo powtarzają *Roczniki towarzystwa historyczno-literackiego* w Paryżu za r. 1879 tom II, str. 388—400. Życiorys Ruprechta.

mierzanym celom i nie potrafią zapobiedz nieszczęściom, grożącym krajowi.«

»Ogłoszenie stanu wojennego przeszkodziło podaniu tego memoryału. Ludność nic nie otrzymała i to doprowadziło kraj do tych smutnych wydarzeń, które wszyscy z trwogą przewidywali.«

»Obecnie odpowiadając na wezwanie wielkiego księcia, my, przedstawiciele różnych prowincyi Polski, postanawiamy wypowiedzieć nasze zdanie, z nadzieją odwrócenia zguby ojczyzny, lecącej w przepaść otwartą. W braku wszelkiego prawnego organu, który mógłby być wyrazem naszych myśli, udajemy się do ciebie Hrabio, z prośbą i żądaniem, byś podjąwszy się roli przedstawiciela i tłumacza narodowego ducha, wyjaśnił Jego Cesarskiej Wysokości nasze najgwałtowniejsze potrzeby i skargi, których dłużej taić nie możemy i gotowi jesteśmy wypowiedzieć je przed całym światem.«

»Nie odmawiamy udziału w nowych instytucyach, lecz oświadczamy, że środki dotychczas używane nie są odpowiednie i wywołały w umysłach ludności takie rozdrażnienie, że ani siła wojskowa, ni sądy, oparte na prawach wyjątkowych, ani więzienia, ni zsyłki lub rusztowania, nie naprawią stanu rzeczy, przeciwnie, raczej doprowadzą naród do kresu rozpaczy i wtrącą go na drogę, zarówno zgubną dla rządzonych jak i dla rządzących.«

»Jako Polacy nie możemy znosić innych rządów jak polskie, przyczem wszystkie prowincye, wchodzące w skład naszej ojczyzny, powinny być połączone i uzyskać prawa konstytucyjne i swobodne instytucye.«

»Sam wielki książę w swem wezwaniu przyznał nam cnotę miłości ojczyzny, górującej po nad wszystko. Miłość ta nie dopuszcza podziału jej na części. Miłując, miłujemy ją całą w granicach, które Bóg jej nakreślił a dzieje uświęciły.«

Adres ten podpisało trzysta osób, następnie jednak podpisy te zniszczono, sam zaś dokument bez podpisów, hrabia Andrzej Zamoyski zakomunikował wielkiem księciu Konstan-

temu [1]). — Zebrani członkowie białej organizacyi zaraz się potem rozjechali, członek zaś dyrekcyi, Paszkiewicz, który ciągle dowodził, że podanie takiego adresu jest rzeczą conajmniej beztaktowną, jeśli nie zupełnie bezzmyślną, wystąpił z jej składu.

Na opróżnione miejsce Paszkiewicza do składu dyrekcyi wszedł Ruprecht.

Wielki książę po przeczytaniu adresu, widząc, że to już nie utwór, wychodzący z narad zwykłego zebrania obywatelstwa, lecz program rewolucyjnego stronnictwa białych, ugrupowanego koło osoby hrabiego Andrzeja, jako swego kierownika i wodza, uznał za stosowne wysłać tegoż do Petersburga dla osobistego wytłumaczenia się przed cesarzem.

Dnia 14. września o godzinie 10. wieczorem został przywołany do Łazienek przyboczny adjutant wielkiego księcia, rotmistrz Sierzputowski i otrzymał polecenie, by się przygotował nazajutrz o godzinie 10. rano towarzyszyć hrabiemu Andrzejowi Zamoyskiemu do Petersburga. — »Bądź na dworcu o godzinie 9. rano. Zamoyski nie jest aresztowany, lecz w każdym razie w tylnym wagonie będziesz mieć sześciu żandarmów z oficerem pod ręką« — dodał wielki książę.

— Niech wasza wysokość zezwoli na pozostawienie ich w Warszawie, ich wcale nie potrzeba — odpowiedział Sierzputowski.

— A jeśli przyjaciele Zamoyskiego, których ma wszędzie, zechcą go uwolnić? — zauważył wielki książę.

— Nikt nie będzie uwalniać, a zresztą sam Zamoyski jako człowiek porządny i gentleman, do tego niedopuści i nie będzie uciekać.

— Rób jak chcesz! — zakonkludował wielki książę — spuszczam się na twe doświadczenie i roztropność.

---

[1]) *Czas* z roku 1862 nr 217. — *Aweyde* tom III, strona 57. — Uwaga. Oryginalny tekst adresu umieszczony w *Affaires de Pologne. Exposé de la situation suivi de documents et de pièces justificatives.* — Paris, rok 1863, str. 33.

Nazajutrz rano, dnia 15-go września, gdy Sierzputowski udawał się już na kolej, wielki książę przywołał Zamoyskiego do Łazienek.

Gdy tenże stanął w progu tego samego gabinetu, w którym przed paru tygodniami tak był łaskawie przyjęty, wielki książę przywitał go słowami *vous êtes chef d'un partie.*

— *Votre Altesse est mal informé* — zaczął Zamoyski, lecz wielki książę mu przerwał.

— *On ne dement pas un Grand Duc... vous êtes chef d'un partie, vous irez à St. Petersbourg rendre compte de votre conduite à mon frère Empereur* [1]).

Dano hrabiemu dwie godziny czasu dla zebrania się do podróży i pożegnania rodziny. Synowi Stanisławowi pozwolono, by towarzyszył ojcu.

O samem południu przed bramą pałacu Zamoyskich wychodzącą na ulicę Świętokrzyską, która zwykle bywała zamkniętą, stanęły dwie karety. W jednej był oberpolicmajster Muchanów, w drugiej komendant miasta Warszawy, książę Bebutow. Hrabia Andrzej siadł z tym ostatnim, syn Stanisław z Muchanowem, i obie karety pomknęły na dworzec na Pragę, gdzie już od dawna oczekiwał Sierzputowski, nie mogąc wytłumaczyć powodów takiego spóźnienia.

Wówczas droga żelazna warszawsko-petersburgska, zaledwie była ukończoną i ruch pociągów nie był jeszcze ściśle uregulowany. Dla hrabiego Zamoyskiego przygotowano osobny, zaopatrzony we wszelkie wygody wagon pierwszej klasy, tak, że nie było potrzeby wysiadania gdziekolwiek na stacyach. Jedzenie i wszelkie potrzeby podawano do wagonu na telegraficzne zamówienia.

Obliczono, że pociąg stanie w Carskiem Siole dnia 16. września o godzinie 11. w nocy. Ponieważ Sierzputowski wiózł depesze namiestnika do cesarza, bawiącego podówczas w Car-

[1]) *Lisicki* podaje, że rozmowa ta toczyła się wobec hrabiego Chreptowicza. *Le marquis Wielopolski*, tom II, str. 338.

skiem Siole, więc nie mógł eskortować hrabiego Zamoyskiego do samego Petersburga, lecz zażądał od szefa żandarmów wysłania jakiego oficera. Dla większego znaczenia przybył jakiś jenerał żandarmów, i gdy pociąg stanął w Carskiem Siole, Sierzputowski wprowadził go w pełnej paradzie do wagonu i przedstawił hrabiemu Zamoyskiemu. Ten się widocznie zmięszał i powiedział: *maintenant je suis vraiement arrêté.*

— Bynajmniej, odparł Sierzputowski, lecz muszę opuścić hrabiego, gdyż mam do doręczenia cesarzowi depesze jego brata namiestnika; jak skoro mnie cesarz uwolni, zaraz poszę złożyć hrabiemu moje uszanowanie w Petersburgu; pospieczem się rozstali, pociąg podążył do Petersburga, Sierzputowski zaś udał się do pałacu carskiego [1]).

Z powodu balu u cesarzowej, cesarz przyjął Sierzputowskiego dopiero o godzinie pierwszej po północy. Rozpytywał go dość długo i w końcu polecił jechać zaraz do Petersburga, widzieć się jak najprędzej z Zamoyskim i oświadczyć mu, że cesarz dopiero za kilka dni zawezwie go do siebie po powrocie z Nowogrodu, dokąd właśnie wyjeżdża na odsłonięcie pomnika tysiącletniego istnienia Rosyi. »Ty zaś wracaj do Warszawy, byś tam był koniecznie 19. na urodziny wielkiego księcia, zawieziesz mu moje powinszowania i życzenia.«

— W razie gdyby Zamoyski prosił mnie o zabranie jakiej przesyłki do rodziny, czy mam ją przyjąć najjaśniejszy panie? — zapytał Sierzputowski.

— Ależ wszystko, cokolwiekby dał — powiedział cesarz.

Przed obiadem dnia 17. września, Sierzputowski przybył do hotelu i tam od odźwiernego dowiedział się, że hrabiemu złożyli już wizyty wszyscy najwyżsi dostojnicy i dygnitarze, nie wyłączając nawet samego księcia kanclerza.

Oświadczywszy hrabiemu wszystko, co miał od cesarza polecone, dodał, że pojutrze wraca do Warszawy. Oczekiwał

---

[1]) *Spasowicz* przytacza, że Zamoyski zatrzymał się w hotelu Kley'a, obecnie Europejskim.

jakich poruczeń, ale nie było żadnych. — Tegoż dnia rotmistrz spotkał się gdzieś w towarzystwie z księciem kanclerzem. Ten go zasypał pytaniami o wypadkach w Warszawie i w Królestwie Polskiem, w końcu zaś powiedział:

— Wiesz zapewne, że tu jest hr. Andrzej Zamoyski?

— *C'est moi qui l'ai amené* — chciał się pochwalić Sierzputowski.

— *Ah c'est vous qui l'avez accompagné!* — poprawił książę kanclerz.

Wieczorem tegoż dnia Sierzputowski był znowu w Carskiem Siole i ponownie miał dosyć długie posłuchanie u cesarza, podczas którego była mowa o Zamoyskim i o Polsce. Opowiedział więc, że u Zamoyskiego w Petersburgu znalazł na stole karty wizytowe wszystkich ministrów i kanclerza.

Kiedy właściwie Zamoyski został zawezwany do cesarza, dokładnie nie mogliśmy się dowiedzieć. Mogło to być w pierwszych dniach października. O ich rozmowie, trwającej sam na sam więcej dwóch godzin, krążyło potem mnóstwo rozmaitych wersyi, nawet coś z tego ogłoszono drukiem. Co prawda, a co zmyślenie, niepodobna osądzić. Zamoyski w ostatnich latach swego życia, opowiedział coś z tego najbliższym swoim przyjaciołom, od tych rzecz rozniosła się dalej. Wszystko mniej więcej da się sprowadzić do tego, że gdy cesarz usłyszał od Zamoyskiego wyjaśnienie tych miejsc adresu, w których mowa o połączeniu w jedną całość prowincyi, niegdyś składających Polskę, miał wyrzec: »nie myśl, abym pochwalał rozbiór Polski, dokonany przez cesarzową Katarzynę, ani trochę! Sam go potępiam, co więcej uznaję, że oprócz niesprawiedliwości, był zarazem fałszywym politycznie. Lecz fakt stał się, i nie w mocy mojej odrobić dziejów. Nie ja zdobywałem te kraje, otrzymałem je w spadku wraz z rosyjską koroną, nie mogę więc z nimi zrobić cokolwiekby mogło przynieść uszczerbek interesom Rosyi, ochronę których zaprzysiągłem i uważam za mój najpierwszy i najświętszy obowiązek. Mogę myśleć tylko o poprawie losu krajów, o których mowa, o nadaniu im mo-

żliwych praw i przywilejów, i myślę też wciąż o tem. Nadzwyczajne reformy wprowadzają się w Królestwie. Spodziewałem się hrabio, że znajdę ciebie po stronie znacznej większości umiarkowanych i rozsądnych przedstawicieli społeczeństwa, i że wesprzecie mojego namiestnika i naczelnika rządu cywilnego w jak najprędszem rozwiązaniu poruczonego im zadania. Tymczasem zamiast tego, poprowadziłeś pan swoich stronników nader nieostrożnie a nawet lekkomyślnie na drogę nie dających się urzeczywistnić marzeń. Jednak nic nie jest jeszcze stracone, sprawy nie są do tego stopnia zagmatwane, by się przy dobrej woli nie dało wszystko naprawić. Zostaną one rozwikłane, lecz bez pana. Postępowałeś pan tak niezręcznie względem siebie, a nawet względem własnego stronnictwa, że ja nie mogę zezwolić na pański powrót do Warszawy. Wybierz pan sobie na pobyt jakie chcesz miasto w Rosyi, lub wyjedź za granicę. Do mnie osobiście, sądzę, że nie masz hrabio żalu i urazy.«

Zamoyski wkrótce potem wyjechał przez Berlin do Paryża, gdzie stanął dnia 18. października 1862 roku. W Paryżu krótko bawił, wyjechał niebawem do Londynu i tam napisał obszerne dzieło *O systemie poprawczych więzień irlandzkich.* W 1867 roku przeniósł się do Drezna i był u Wielopolskiego, chcąc, jak powiadali, pogodzić się z nim przed śmiercią. Wielopolski wszakże uniknął spotkania i kazał tylko powiedzieć: »Teraz zapóźno.« Spotkawszy się jednak w kościele, powitał go niemem skłonieniem głowy [1]). Z Drezna hrabia Andrzej przyjechał do Krakowa i tam umarł dnia 29. października 1874 [2]) roku.

W tak nagły i niespodziewany sposób zakończyły się losy tego świetnego polskiego arystokraty, imię którego długi czas służyło za hasło dla licznego stronnictwa; ulubieńca kraju,

---

[1]) *Lisicki* tom II, str. 410.

[2]) *Górski Ludwik* w „Niwie“ 1879 roku, nr 109, o jego zasługach jako gospodarza i rolnika.

potężnego zastępcy narodu w najtrudniejszych okolicznościach; sympatycznego, popularnego magnata; tego króla Zamoyskiego, jak go gdzieś raz, a może i częściej w zbytecznym zapale okrzyknięto; króla z właściwym dworem i całem dworskiem otoczeniem.

Tak ważny wypadek nie mógł przejść niespostrzeżenie, nawet w tak burżliwych czasach. Dostrzegł też go i odczuł każdy, bez względu na stronnictwo, do którego należał. Wygnanie Zamoyskiego stało się przedmiotem rozmów Warszawy i całego Królestwa i długo nie potrafiono pogodzić się z myślą, że brak hrabiego Andrzeja wśród warszawskiego społeczeństwa. Natomiast pozostała nienawistna, dumna i oziębła postać Wielopolskiego, która od tej chwili stała się, jeśli to było możliwe, jeszcze bardziej dla wszystkich nienawistną. Partya rewolucyjna skorzystała z tego ogólnego usposobienia i dolewała oliwy do ognia, wymyślając różne historye, wyjaśniała zaś powody podania adresu w sposób tak niekorzystny dla rządu, że namiestnik był zmuszony zażądać od hrabiego Zamoyskiego oświadczenia, że tenże działał bez wszelkich pełnomocnictw. Hrabia pod dniem 23. września napisał także lakoniczne oświadczenie: »Pospieszam oświadczyć, że nie otrzymałem żadnego upoważnienia od jego cesarskiej wysokości i nikogo na zjazd nie zwoływałem.«

Dla uciszenia niepotrzebnych gawęd, namiestnik zagajając dnia 1. października posiedzenia ogólnego zebrania członków rady stanu, wypowiedział po polsku mowę, rodzaj ponownego odezwania się do kraju, w którem zapewniał, że rząd zawsze jest ożywiony najlepszymi zamiarami i ani myśli o zmianie przyjętego systemu i wstrzymaniu wprowadzenia postanowionych reform.

Mowa ta brzmiała:

»Panowie! Zabierając po raz pierwszy głos w tem zebraniu, przedewszystkiem pragnę was zapewnić, że ostatnie, godne pożałowania zajścia w niczem nie osłabiły moich najlepszych życzeń dla kraju. Ufam w łaskę Opatrzności i pole-

gam na szczerze obywatelskich uczuciach, których tylokrotne dowody jawnie już panowie złożyliście.

Spełniając obowiązki powierzone mi wolą mego najdostojniejszego brata, a naszego najmiłościwszego monarchy, nie przestanę troszczyć się o dobro Królestwa. Rządy moje nie zboczą z drogi prawem wskazanej i nikomu nie pozwolą z niej zboczyć. Byłbym najszczęśliwszym, gdybym mógł zrobić jak najszerszy użytek z nadanej mi prerogatywy, prawa łaski. Muszę wszakże mieć na względzie i wrodzone poczucie sprawiedliwości i spokój ogólny.

Mimo to mogę wam oświadczyć, że od czasu ogłoszenia stanu wojennego na 499 wydanych orzeczeń, 134 uniewinniono, 289 ułaskawiono, 7 uszło z pod sądów, a tylko 69 ponosi orzeczoną karę.

Nadane Królestwu w roku zeszłym instytucye, zaczynają wchodzić w życie. W większej części kraju rady powiatowe odbyły już swe pierwsze posiedzenia. Wybrane przez nie delegacye czynszowe, rozpoczynają już swą niezmiernej doniosłości czynność oczynszowania włościan z urzędu i niewątpliwie odpowiedzą położonemu w nich przez prawodawcę zaufaniu.

Rady miejskie pracują skutecznie. — Otrzymane nowe prośby od 17 miast, o zaprowadzenie w nich rad miejskich, są dalszym dowodem, że kraj uznaje skuteczność nadanych mu instytucyi.

Jednocześnie z otwarciem obecnych posiedzeń, otwierają się: szkoła główna, instytut politechniczny i inne szkoły pomocnicze w kraju, których ustawy uchwalone zostały na zeszłorocznych zebraniach rady stanu, przy roztrząsaniu projektu zasad wychowania. Szczegółowe przeprowadzenie tych ustaw, stanowi jedną z wielkich zasług mego współpracownika, naczelnika rządu cywilnego.

W dalszym ciągu ojcowskiej pieczołowitości najjaśniejszego pana, samodzielność administracyjna Królestwa Polskiego rozszerzoną została przez wydzielenie agend poczt i komunikacyi z głównych centralnych zarządów Cesarstwa.

Dokonane w roku ubiegłym reformy, wymagają także zmian finansowych. Zniesienie pańszczyzny, a stąd konieczność zastąpienia jej najmem, dało uczuć cały ciężar podatku, nałożonego na służbę dworską.

Podatek zwany koszernym, ciążący wyłącznie na jednem wyznaniu, nie odpowiada duchowi nowoczesnego prawodawstwa o równouprawnieniu żydów, na co panowie zapatrujecie się zgodnie z rządem jego cesarsko-królewskiej mości.

Zniesienie obu tych poborów jest właśnie projektowane, a na zapełnienie wynikającego stąd ubytku w dochodach, ma się podwyższyć opłata akcyzy od wyrobu spirytusu. Żywotne zasady obyczajowe, oraz należyte uwzględnienie interesów właścicieli ziemskich i dzierżawców, wymagają koniecznie tych zmian.

Oprócz powyższych projektów przedłożone panom zostaną sprawozdania władz miejscowych za rok ubiegły, a także budżet przychodów i wydatków na rok przyszły.

Projekta do praw o oczynszowaniu włościan z urzędu, o egzekucyi podatków i rządowych powinności, o ustanowieniu przy radzie stanu instancyi kasacyjnej, będą panom z kolei także przedłożone.

Ogłaszam posiedzenia rady stanu za otwarte!« [1]).

W istocie w szkole głównej, o której wspomniał w swej mowie namiestnik, rozpoczęły się wówczas wykłady na skalę prawdziwie uniwersytecką [2]). Wkrótce przybył do Warszawy

---

[1]) Cały tekst przemówienia w numerze 220 *Dziennika powszechnego* z 1862 r. Mowę tę ułożył główny dyrektor oświecenia i spraw duchownych, członek rady stanu, rzeczywisty radca stanu Krzywicki, bardzo zbliżony z Wielopolskim. W dziesięć lat potem, ten sam Krzywicki wydał w Dreznie broszurę p. t. *Polska i Rosya w 1872 roku,* w której radzi rodakom pogodzenie się z losem, zapomnienie o przeszłości i szczere zjednoczenie się z Rosyą. Wszyscy uznali, że to „zanadto.“ Kraszewski zaś wyraził się, że zamiast *modus vivendi*, do którego wszyscy dążą, Krzywicki szuka *modus moriendi.* — (Program Polski. Poznań, 1872 rok, str. 16).

[2]) *Dziennik powszechny* z 1862 roku, nr 213. Mowa inauguracyjna dyrektora głównego komisyi spraw duchownych i oświaty przy

nowo-mianowany rektor szkoły głównej, zasłużony profesor wileńskiej i petersburgskiej akademii medyko-chirurgicznej, rzeczywisty radca stanu dr. Józef Mianowski [1]).

Jednocześnie zniesiono stan wojenny w ośmiu powiatach gubernii radomskiej, oraz w guberniach lubelskiej i augustowskiej, z wyjątkiem samych miast Lublina, Siedlec i Suwałek. Wielu politycznym skazańcom darowano kary, wielu zaś skompromitowanym pozwolono na powrót do kraju.

Jednocześnie wszakże z tem wszystkiem, rząd postanowił surowiej postępować, koniecznie dążyć do wykrycia kierowników obydwóch organizacyi i postąpić z niemi stanowczo i bezwzględnie, jak z wrogami społeczeństwa i państwa. Nie było to rzeczą wcale łatwą przy ówczesnem zupełnem rozprzężeniu policyi. Jawna policya umiała tylko powtarzać, »że ludność do czegoś się gotuje, lecz co mianowicie zamyśla, niewiadomo« [2]). Tajna policya prawie nie istniała. Jenerał Paulucci, słaby i zawsze pobłażliwy dla Polaków, teraz zupełnie opuścił ręce i udawał chorego, następnie wziął czteromiesięczny urlop i wyjechał do wód do Niemiec i Włoch. Dnia 6. lipca 1862 roku został zaliczony do wojsk zapasowych. Następca jego Podwysocki był zarazem i niesumienny i niezręczny. Często wymyślał wypadki i działania nieistniejących spiskowców, albo też oskarżał zupełnie niewinnych. Opowiadają, że znaleziono go już raz wiszącego na haku we własnem mieszkaniu, lecz jeszcze na czas potrafiono go uwolnić ze stryczka. Po tym wypadku domagał się usilnie, by go przeniesiono do Petersburga, gdzie też został zaliczony do trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości. Naczelnikiem tajnej policyi w Warszawie został Felkner, wypędzony przez Wielopolskiego inspektor szkół w Łodzi, a przedtem w Lipnie. Nim się ten

---

otwarciu szkoły głównej, a właściwie dwóch jej fakultetów: fizyczno-matematycznego, oraz prawa i administracyi.

[1]) Umarł dnia 8. stycznia 1879 roku, we Włoszech.

[2]) Ulubione wyrażenie ówczesnego naczelnika policyi, oberpolicmajstra pułkownika Muchanowa.

rozpatrzył w stanie rzeczy, czyniąc to bez chęci i zapału, sprzysiężenie postąpiło o znaczny krok naprzód. Obydwie organizacye, biała i czerwona zaczęły się jednoczyć, było to widoczne dla każdego nieuprzedzonego. Wielopolskiemu i rządowi z dniem każdym ubywało stronników. Ktoś ze zbliżonych do wielkiego księcia poradził poszukać szczęścia za granicą, udać się o pomoc policyi państwa najbardziej ucywilizowanego w Europie, w którem wszystko wydoskonalono do najwyższego stopnia, od gwoździa na dachu do szpiega najskrytszych policyjnych zakamarków. Namiestnik zapytał Wielopolskiego o zdanie, ten uznał, że w tem nie będzie nic dziwnego ani niestosownego. Przecież zamawiają u Anglików parowce, strzelby, scyzoryki, maszyny do szycia i inne, gdy się niema zaufania co do dobroci własnych, dlaczegoż nie skorzystać i z żywych doskonałości, gdy swoje narzędzia tego rodzaju są stanowczo do niczego. Wezwano więc posła rosyjskiego w Londynie, ażeby się pod tym względem porozumiał z prezesem ministrów lordem Derby. Derby na razie się żachnął, lecz wkrótce uspokoił się pod wpływem uczucia patryotycznej dumy, że nawet i tego dobra nie gdzieindziej, lecz tylko w Anglii szukają.

W październiku więc 1862 roku wysłał do Warszawy dwóch wypróbowanych urzędników wyższej policyi, a mianowicie: Walkera, naczelnika cyrkułu westminsterskiego i Wehichera, dziesiętnika w korpusie szpiegów londyńskich, ludzi nadzwyczaj zręcznych i roztropnych, mówiących różnymi językami i wyglądających zupełnie przyzwoicie [1]).

Zaraz na wstępie w mieszkaniu oberpolicmajstra zażądali, aby im dano do dyspozycyi dziesięciu ludzi, wyglądających mniej więcej jak oni, t. j. przyzwoitych, pojętnych, zdro-

[1]) Tytuły te nosili na biletach wizytowych i na fotografiach, które autor miał w ręku. *Gregorowicz* w książce „Pogląd krytyczny na wypadki 1861—1863 roku“, tom I, str. 120. cytuje „Parę czerwoną“ *Bolesławity*, który pisze „Rządy Margrabiego... wzmacniają policyę, urządzając ją to na wzór pruski, to na sposób angielski.“

wych, posiadających w pełni krew zimną i umiejących panować nad sobą, a nadto rozumiejących doniosłość i znaczenie europejskiej policyi jawnej i tajnej.

Oberpolicmajster odpowiedział, że nietylko dziesięciu, ale nawet pięciu podobnych ludzi dostarczyć nie potrafi.

— Nawet pięciu nie macie? — Gentlemeni spojrzeli znacząco po sobie — a więc dajcie nam chociażby dwóch, poprobujemy rozpocząć we czwórkę.

— I dwóch zupełnie pewnych niemam — odrzekł oberpolicmajster.

— W takim razie i my nie mamy tu co robić.

I udoskonaleni angielscy szpiedzy wrócili do domu, dostawszy po tysiącu funtów szterlingów na osobę. I co za siła w tym »pogardzanym metalu«; mimo całej przyzwoitości i wydoskonaleniu w panowaniu nad sobą, wewnętrzna podłość jednego z nich wyszła na jaw w chwili dotknięcia się złota. Pocałował on w rękę wypłacającego mu pieniądze. — (Wiadomość od samego płatnika).

Wszelako gentlemeni na odjezdnem dali pewne instrukcye policyi, które sprawiły, że potrafiono wyśledzić kilka podejrzanych osobistości między wojskowymi, a mianowicie: Ferdynanda Warawskiego, porucznika w ładoskim pułku piechoty; Michała Heidenreicha, sztabskapitana w jekaterynosławskim pułku dragonów; Łątkiewicza, podporucznika z pierwszej bateryi siódmej artylerzyckiej brygady; Krygera, porucznika w muromskim pułku piechoty, i księżniczkę Kamilę Czetwertyńską. Nadto różnymi czasy uwięziono: Czesława Pławskiego, porucznika artyleryi z czwartej lekkiej artylerzyckiej brygady i Benedykta Kuczkowskiego, assauła dowódzcę pierwszej sotni kubańskich kozaków. Dobierali się także do Zwierzdowskiego, kapitana jeneralnego sztabu, lecz na razie ochroniła go protekcya wileńskiego generał-gubernatora, jenerał-adjutanta Nazimowa, później Zwierzdowski uszedł.

Energia taka okazana przez policyę, spowodowała nowe ofiary w jej łonie. Dnia 8. listopada 1862 roku, nowy naczel-

nik tajnej policyi, Felkner, został zasztyletowany przed własnem mieszkaniem przy ulicy Twardej [1]). Wakujące miejsce szefa tajnej policyi zaproponowano jenerałowi S., lecz ten odpowiedział, »że słuchał wykładów w szkole artyleryi w zamiarze służenia ojczyźnie na polach bitwy, lecz nigdy i nigdzie nie przechodził studyów, jak dowodzić zastępem szpiegów i dlatego nie czuje się uzdolnionym do objęcia ofiarowanego mu stanowiska« [2]).

Szukano więc odpowiedniego człowieka dalej i skończono na powołaniu ponownem jenerała margrabiego Paulucciego, który po czteromiesięcznych podróżach, mieszkał bezczynnie w Petersburgu. W początkach 1863 roku jenerał Paulucci zjawił się w Warszawie i w pierwszych chwilach rozwinął nader energiczne działanie.

Wielopolski uznawał, że wszystkie te zarządzenia wcale nie przyspieszają ostatecznego rozwiązania, nie prowadzą do tego, »ażeby wrzód raz pękł.« Wyrywają się w sprzysiężeniu pojedyńcze ogniwa, lecz łańcuch zawsze cały i nietknięty. Margrabia zaproponował więc namiestnikowi, ażeby wykonać pobór do wojska na prawach wyjątkowych w miejsce zwykłej branki, która powinna już była się odbyć, lecz której przy istniejących dwóch rewolucyjnych organizacyach w kraju niepodobna było przeprowadzić. Wyjątkowym poborem można było sprzysiężenie zgnieść od razu. Część niebezpiecznych indywiduów schwycić w mieście, co zaś ujdzie w lasy, tych się wyłowi lub wyginą [3]).

---

[1]) Szczegóły tego zabójstwa w dodatku l. 24.

[2]) Wiadomość od jenerała S.

[3]) Podobny pobór był dokonany po raz pierwszy po rewolucyi 1831 roku. Wówczas wzięto do wojska wszystkich polskich żołnierzy, którzy nie zdołali schronić się za granicę. W ten sposób powtarzano branki przez czas dłuższy. Dopiero na przedstawienie księcia Gorczakowa, cesarz ukazem z dnia 15. marca 1859 roku zniósł rekrutowanie na prawach wyjątkowych. Podczas zamieszek w kraju nie było czasu myśleć o poborze. Z końcem 1861 roku, za hrabiego Lamberta, zaczęto mówić o brance, aby się tym sposobem uwolnić od czerwonych, lecz

Wielki książę zgodził się na taki wyjątkowy pobór [1]). Zaczęto formować spisy, a tymczasem dla wzmocnienia wojsk konsystujących w Polsce, wysłano z Petersburga do Warszawy trzecią dywizyę gwardyi, już od czerwca gotującą się do wystąpienia. Lecz, jak wszystkie, tak też i tę pigułkę starano się ozłocić. Były to pułki, które konsystowały w Warszawie przed rokiem 1831, za wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, i którym przywrócono dawne kolory, żółte wypustki i rabaty zamiast czerwonych [2]). Jednocześnie też zmieniono kolory w podolskim pułku kirysyerów, chociaż ten wcale nie był przeznaczony do Królestwa, lecz przed 1831 rokiem konsystował w Polsce. Kozacy kubańscy z konwoju wielkiego księcia namiestnika dostali także żółte czerkieski. Wielki książę fotografował się u historycznego Bayera w mundurze litewskiego pułku piechoty gwardyi, z żółtym kołnierzem i takiemiż wyłogami i portret ten umieszczono na najwidoczniejszem miejscu. Obok na drugiej ścianie wisiała fotografia Wielopolskiego w fotelu, z orłem na oparciu.

Pierwszy przybył do Warszawy batalion carskosielskich strzelców celnych, w mundurach o amarantowych kolorach, dnia 29. października 1862 roku. Następnie przybywały pułki: litewski i wołyński gwardyjskie, potem zaś pruski i austryacki grenadyerskie. Codziennie koleją przybywał jeden batalion. Namiestnik spotykał nadchodzące wojska na Pradze.

---

hrabia Lambert stanowczo oświadczył, że nie zarządzi poboru do wojska, dopóki się nie ukonstytują rady powiatowe i miejskie. Tak nadszedł 1862 rok, w którym wypadał zwyczajny pobór rekrutów w całej Rosyi. W analogii musiała się odbyć branka i w Królestwie Polskiem, gdyż w przeciwnym razie na pewno zapytanoby, „a cóż to? buntujących się Polaków pozostawiają w domu, a nas spokojnych pędzą w rekruty!“

[1]) *Lisicki* tom II, str. 343. powiada, że wielki książę długo się opierał Margrabiemu, który sam się wyrażał, że to będzie „nie konskrypcya, lecz proskrypcya, ale ona konieczna.“

[2]) Pułki litewski i wołyński gwardyi nigdy nie przestawały nosić żółtych kolorów.

Nieco później nadciągnęły dwa pułki jazdy gwardyi: pułk grodzieński huzarów i pułk ułanów, imienia jego cesarskiej mości. Muzyka tego ostatniego pułku, wchodząc do Warszawy, grała marsz pułkowy na nutę »Jeszcze Polska nie zginęła.«

Wszystko to wszakże: żółte i amarantowe rabaty, i marsz legionów Dąbrowskiego, grany przez rosyjskich trębaczy, i uzupełniające wydziały przy szkole głównej, i ułaskawienia politycznych skazanych, już nie wywierało żadnego wpływu na ludność Królestwa i Warszawy, umysły bowiem wszystkich już tylko były zaprzątnięte przygotowaniami do powstania.

Ludzie wszelkiego stanu i wieku, mężczyźni i kobiety, starcy i dzieciaki z zapałem czytali rady i wezwania *Ruchu* i innych podobnych pisemek, w najzupełniejszem przeświadczeniu o bezskuteczności pogróżek rządowych i zupełnej tegoż bezsilności. Przeciwnie, wszystkim się zdawało, że strach przejmujący najwyższe sfery rządowe, doprowadzi w bardzo prędkim czasie do zadosyćuczynienia wszelkim żądaniom Polaków.

Naraz w numerze 224 *Dziennika powszechnego*, ogłoszono urzędowe rozporządzenie o poborze rekruta. Żaden z Polaków tego nie przypuszczał, to też czytając nie wierzyli własnym oczom, i zapanowało powszechne zaniepokojenie i zamieszanie. Krakowski *Czas*, wspominający dotychczas o brance, jako o nieuzasadnionej pogłosce, wystąpił z szeregiem piorunujących artykułów przeciw Wielopolskiemu i doradzał powszechną dezercyę[1]). W numerze 6. *Ruchu* ogłoszono rozkaz władz narodowych »zaprzestania służby z wyborów i rozjechania się do domów.« Na razie nikt tego rozkazu nie usłuchał, lecz gdy w połowie października rozpoczęto tak zwaną superrewizyę, to jest przygotowawcze zestawienie spisów popisowych, członkowie rad powiatowych i miejskich zaczęli tłumnie składać mandaty. To zastanowiło namiestnika i Wielopolskiego. Pomimo że te rady bardziej wyglądały na dawne polskie sejmiki niż na zorganizowane instytucye, mimo że w niektórych

[1]) *Czas* z roku 1862, w numerze 282 i następnych.

z nich panował istny chaos, były one potrzebne naczelnikowi rządu cywilnego, który je uważał niejako za rusztowanie do przyszłej właściwej budowy. Otóż, gdy te rusztowania zatrzeszczały, margrabia pospieszył je podeprzeć. Nakazał zaprzestania superrewizyi, w pałacu zaś Paca, gdzie niedawno sądzono Jaroszyńskiego, Rzońcę i Rylla, wytoczono jawny proces 66 przestępcom politycznym, przychwyconym przez policyę na gorącym uczynku składania przysiąg rządowi narodowemu. Przez kilka dni z rzędu przywożono oskarżonych na miejsce sądu, w grupach po piętnastu, w karetach otoczonych żandarmami. Najzdolniejsi adwokaci podjęli się obrony i wygłaszali długie, pełne omówień i dwuznaczników mowy. Pewien obrońca, Rogowski, do łez poruszył zebraną publiczność [1]). Były to zwykłe zarządzenia, oprócz których Wielopolski uciekł się i do niezwykłych środków, chwycił za tę słomkę, której tonący się chwyta, podpisał i kazał wydać jeszcze dwa zeszyty komunałów. Jeden z tych zeszytów, chociaż z trudnością, zdołano jeszcze wydrukować w Warszawie, lecz drugiego (z porządku trzeciego) już żadna drukarnia, nawet drukarnia *Gazety rządowej Królestwa Polskiego* nie podjęła się drukować. Fakt nie do uwierzenia, a jednak niewątpliwy. Uparty przy raz powziętem postanowieniu margrabia, wysłał redaktora *Dziennika powszechnego* z rękopismem za granicę i tak kazał wydrukować ten nowy zeszyt komunałów. Sobieszczański wydrukował je w Neuburgu w drukarni Patza, w liczbie 600 egzemplarzy [2]).

---

[1]) Wiadomość od K. P. Afanasjewa, ober-audytora, biorącego z urzędu udział we wszystkich posiedzeniach sądu.

[2]) Na pierwszej stronicy zeszytu wydrukowano tylko Varsoviae, anno Domini MDCCCLXIII, bez oznaczenia miesiąca. Treść zawiera:

1. Odezwa do publiczności, jako odpowiedź generalna krytykom i recenzentom *in partibus*, napastującym komunały w powszednich pogawędkach.
2. Przegląd polityczny.
3. Sprawozdanie z pracy wewnętrznej narodu, manifestującej się w Warszawie.
4. Pocieszające wiadomości z dziedziny naukowej.

Los nie sprzyjał temu trzeciemu zeszytowi. Sprowadzona paka została rzuconą gdzieś do kąta w Warszawie i zapomniano o niej. Rządzącym Polską podówczas nie było już w głowie rozrzucenie jakiejś tam broszury po kraju, gdy się musieli gotować do jawnej walki z sprzysiężeniem, które groziło, że lada chwila zamieni się w zbrojne powstanie.

Podpory nie dopisały. Pomimo zarządzeń naczelnika rządu cywilnego, rady rozwiązywały się jedna po drugiej. Przybyli z zagranicy, ułaskawieni przez namiestnika, dawniej skompromitowani, wyglądali na emisaryuszów emigracyi i byli nimi rzeczywiście. Komitet centralny ogłosił postanowienie, zarządzające pobór ogólnego podatku na sprawę narodową w stosunku 5 do 6 procent dochodu, i składki popłynęły obficie. Wreszcie wyszło wezwanie komitetu do narodu, w którem komitet występował już jako rzeczywisty, rewolucyjny rząd kraju, mający moc zasłonięcia obywateli od ucisku. Obiecywał, że niedopuści do branki i oświadczał, że »zanim wróg zdąży wykonać swój zamysł barbarzyński, godzina wyzwolenia wybije.« Wezwanie to znane jako »Kartka o poborze« rozleciało się w kilku tysiącach egzemplarzy i wywarło wstrząsające

---

5. Zrokoszowana mitologia, czyli nowa *Boska komedya* z finałem uciętym.
6. Królestwo podziemne. Część urzędowa.
7. Poezya romantyczna jako słowa do muzyki z adnotacyami w nawiasach dla kompozytora.
8. Kwintesencya filozoficznych rozmyślań filozofa bez stałego zatrudnienia i zamieszkania, tymczasowo przebywającego na warszawskim bruku.

Na dole: Za pozwoleniem cenzury rządowej. Lipsk. W drukarni Beera i Hermana.

Zeszyt ten jest bibliograficzną rzadkością. Wszystkie trzy zeszyty posiada biblioteka uniwersytecka w Warszawie. Sobieszczański opowiadał autorowi, że w owym czasie jakiś Niemiec prosił o pozwolenie założenia nowej drukarni w Warszawie. Przyobiecano mu konsens pod warunkiem drukowania komunałów. W mieście wszakże oświadczono mu, że jeśli podejmie się tego druku, to nie dostanie żadnej innej roboty. Wskutek tego Niemiec cofnął podanie.

wrażenie na umysły niższych warstw spiskowych [1]). Prostemu ludowi w rzeczy samej komitet wydawał się jako niezwykła potęga. Dziesiątki zawierzyły kartce na ślepo i nikt ani myślał się skrywać lub uporządkowywać swe dokumenta, mogące ochronić od poboru. Gdy to spostrzegli ludzie zajmujący wyższe stanowiska w organizacyi, ostro się rozmówili z członkami komitetu, i wskutek tej rozmowy Józef Rolski i Gustaw Wasilewski widzieli się spowodowani wystąpić z komitetu [2]). W ich miejsce weszli w skład komitetu: Aleksander Bernawski, student medycznej akademii i Zygmunt Padlewski, były oficer artyleryi [3]). Zastępcami członków komitetu centralnego byli: Jan Bohdanowicz, obywatel z lubelskiego, Oskar Aweyde, były student petersburgskiego uniwersytetu, Joachim Szyc, Władysław Danilowski i Franciszek Godlewski.

---

[1]) Według zeznań Janczewskiego, kartkę tę wydał Józef Rolski, po uwięzieniu Dąbrowskiego w sierpniu 1862 roku, pełniący obowiązki naczelnika m. Warszawy, człowiek niespokojny, we wszystko się mieszający i dniem i nocą bredzący tylko o reakcyi. Komitet zaś centralny, nie spodziewając się, że pobór tak bliski i nie przewidując z odezwy Rolskiego jakichś następstw poważniejszych, a raczej ani przypuszczając, ażeby przechwałkom tym ktokolwiek uwierzył, przyjął na siebie odpowiedzialność za to ogłoszenie. Dlatego to później wymawiano, że komitet centralny lud zdradził, obiecał przeszkodzić poborowi, a mimo to branka przyszła do skutku.

[2]) Po uwięzieniu Dąbrowskiego i wyjeździe Gillera za granicę, komitet centralny składali: Witołd Marczewski, Bronisław Szwarce, Gustaw Wasilewski, Joachim Szyc (jako zastępca) i Józef Rolski, zarazem naczelnik miasta Warszawy.

[3]) Padlewski był synem kijowskiego obywatela, Władysława, który w swoim czasie należał do kilku spisków, a także i do powstania 1863 roku. Zygmunt urodził się 1835 roku we wsi Czerniawce pod Berdyczowem. Oddany do korpusu kadetów w Brześciu Litewskim w 1854 roku, przeszedł do szkoły pułku szlacheckiego w Petersburgu, w której odznaczył się postępami głównie w matematyce, wykładanej przez znanego Piotra Ławrowicza Ławrowa. Już w szkole odznaczał się szczerością i prawością charakteru, a także skrajnie rewolucyjnymi poglądami. W 1857 roku został zaliczony do gwardyi, podobno pułku finlandzkiego strzelców celnych. Stamtąd wstąpił do akademii arty-

Wkrótce Szyc i Godlewski zostali usunięci [1]). Biernawski sam ustąpił a Bohdanowicz został uwięziony. W miejsce ich wybrano: Władysława Jeskego, kandydata nauk uniwersytetu moskiewskiego, Jana Wernickiego, Józefa Narzymskiego i Tomasza Winnickiego, urzędnika pocztowego.

Zmiany te dokonane w łonie komitetu centralnego nazywają się październikowemi.

Wraz z przeistoczeniem składu głównego ogniska, zaszły zmiany w niektórych działach, przedewszystkiem zaś w policyi, której naczelnikiem został Feliks Kowalski [2]). Kowalskiemu dodano trzech pomocników z nazwą inspektorów, nadto zamianowano trzynastu cyrkułowych komisarzy. Każdy z komisarzy miał do pomocy dwóch do trzech agentów i po tyluż

---

lerzyckiej, którą ukończył z wyszczególnieniem. Następnie służył w 3-ciej konnej bateryi gwardyjskiej i podczas tego wskutek jakiegoś skandalicznego zajścia pieniężnego, wydalił się w 1861 roku za granicę. Po przybyciu do Paryża spotkany został przez polską młodzież z pewnem niedowierzaniem, lecz wkrótce wykazawszy swe zdolności, został wybrany na przewodniczącego w jednym z kółek i był nim aż do marca 1862 roku. W tym czasie przeniósł się do Genui, gdzie w polskiej wojskowej szkole wykładał artyleryę i historyę wojenną. W Cuneo prowadził dalej te same wykłady, a w połowie 1862 roku został wezwany do Warszawy, skąd znów w jakiejś misyi komitetu centralnego jeździł do Paryża. Zawezwany napowrót do Warszawy w październiku 1862 roku, wrócił pod przybranem nazwiskiem Skurzyńskiego. — *(Pamiątka dla rodzin polskich.* Kraków 1868 rok, tom I, str. 115 — a także opowiadania jednego z kolegów korpusu).

[1]) *Giller* tom I, str. 41 powiada, że Daniłowski został wydalony za dwulicowe postępowanie; dowiedziano się bowiem, że będąc członkiem komitetu centralnego, pozostawał w najściślejszych stosunkach ze stronnictwem Mierosławskiego, a nawet wszedł do komitetu zawiązanego przez Jana Kurzynę, gdy komitet centralny ze śmiechem odrzucił zrobioną przez tegoż w lipcu 1862 roku propozycyę uznania Mierosławskiego swym prezesem.

[2]) Ten sam, który wodził Rylla i Rzońcę po ogródkach, i był zwany tylko po imieniu, Feliks. — *Giller* twierdzi, że Władysław Jeske nie należał nigdy do składu komitetu centralnego.

galopenów do rozsyłek. Wówczas też przystąpiło do organizacyi powstańczej coś około 60-ciu policyantów rządowych.

Następnie zwrócono usiłowania na wykończenie i wzmocnienie organizacyi po województwach. Członek komitetu centralnego Marczewski, z zastępcą swoim Aweydą, otrzymali zarząd 4 województw: mazowieckiego, kaliskiego, krakowskiego i sandomierskiego; Szwarce został zamianowany na województwa: płockie, augustowskie i Litwę, zaś Bohdanowicz, a po jego uwięzieniu Wernicki, na Podlasie, lubelskie i Ruś.

Aweyde, obdarzony literackiemi zdolnościami, lubiący pisać, projektować i doradzać, ułożył »instrukcyę dodatkową« do czerwcowej ustawy Gillera, w myśl której na czele każdego województwa, miał stanąć komitet złożony z pięciu członków: wojewody, trzech wydziałowych: wojny, administracyi i finansów, i komisarza z ramienia władzy centralnej.

Wszystkie sprawy rozstrzygały się większością głosów, a tylko w wypadkach nagłych i nie cierpiących zwłoki, mógł wojewoda na własną odpowiedzialność wydawać rozkazy.

Uchwały, instrukcye i wszelkie dokumenta komitetów wojewódzkich miały się wydawać pod pieczęcią wojewody.

Dotychczasowi agenci komitetu centralnego po województwach albo zostali usunięci, lub też w stopniu zastępców przeszli pod bezpośrednie kierownictwo komitetu centralnego.

Komisarz miał prawo powstrzymywania zarządzeń komitetu wojewódzkiego z obowiązkiem natychmiastowego zawiadomienia o tem władzy centralnej, w razach gdy zachodziła sprzeczność z otrzymanemi instrukcyami z Warszawy, lub gdy naruszono postanowienia lub ducha którego z dziewięciu artykułów zasadniczych Gillerowskiej ustawy.

Nadto komisarze mieli sobie poruczony najściślejszy nadzór i kontrolę nad sprawami organizacyi po województwach. Komisarz był obowiązany do objeżdżania powiatów odnośnego województwa, dokonywania rewizyi, żądania wyjaśnień i sprawozdań od wszelkich władz i członków organizacyi.

Komisarze mieli swe odrębne pieczęcie.

Wszyscy członkowie komitetów wojewódzkich byli mianowani przez komitet centralny, lecz w bezpośrednich stosunkach z takowym pozostawali tylko: wojewódzki i komisarz.

Dodatkowa ta instrukcya natrafiła na opór ze strony czterech członków komitetu, którzy byli zdania, że nie przyzwoicie i nie uchodzi wprowadzać zmiany w ustawie Gillerowskiej w nieobecności jej twórcy, przebywającego podówczas za granicą, tembardziej, że ustawa ta mimo zarzucanych jej wad i niedostatków wniosła pewien ład i życie w chaotyczną dotychczas działalność czerwonej organizacyi i dźwignęła nader skutecznie sprawy sprzysiężenia. Szczególniej Szwarce bronił nietykalności Gillerowskiej ustawy. Jeden Marczewski popierał wprowadzenie zmian instrukcyi dodatkowej, wskutek czego w województwach: kaliskiem, sandomierskiem i krakowskiem, któremi zawiadywał sam autor instrukcyi Aweyde, potworzyły się komitety wojewódzkie, i to niekompletne, w innych zaś częściach kraju rzeczy pozostały po dawnemu, uzupełniono wszakże nominacye wojewódzkich. W sandomierskiem został mianowany wojewódzkim ksiądz kanonik Kotkowski, komisarzem Maciejowski. Jako członkowie komitetu tego województwa wiadomi: Włodzimierz Aleksandrowicz, nauczyciel gimnazyalny z Radomia, Waleryan Tomczyński, urzędnik radomskiego zarządu gubernialnego i jakiś inny urzędnik z Radomia Lewkowicz.

Kaliskim wojewódzkim został zamianowany ksiądz kanonik Cent, komisarzem Gustaw Wasilewski; członkami komitetu wojewódzkiego: Turczynowicz, obywatel ziemski z piotrkowskiego, Grzywiński, urzędnik pocztowy w Piotrkowie i obywatel Bogucki. — (Aweyde).

Mazowieckim wojewódzkim został obywatel ziemski Ludwik Świątkowski, komisarzem Stanisław Frankowski.

Wojewodą podlaskim naznaczony początkowo Teodor Jasiński, obywatel ziemski, następnie sąsiad jego Bronisław Deskur; komisarzem był początkowo Lisikiewicz, następnie Roman Rogiński.

Augustowskie nie miało wojewody. Komisarzem był Józef Piotrowski, agentami przy nim Mroczkowski i Kamiński. Następnie wysłano tam Skulteckiego.

W białostockiem nie było regularnej organizacyi, mniej lub więcej wybitne stanowiska w tamtejszej organizacyi zajmowali: obywatel Konarzewski, białostocki sprawnik Białokos i urzędnik na stacyi kolei żelaznej w Łapach Pisanko.

Następnie komitet centralny zajął się zorganizowaniem w całym kraju poczty narodowej, dla przesyłania mniej ważnych pism i posyłek, oraz dla przewożenia kuryerów i wszelkich osób pożytecznych sprawie. Wyznaczono stacye, na których miała być zawsze w pogotowiu pewna liczba koni, zwykle po dworach obywatelskich. — Długo wszakże nie było w tem należytego porządku i ładu, i dopiero przed samem powstaniem, gdy obie organizacye zlały się prawie w jedną, w tej poczcie obywatelskiej przyszło do pewnego ładu. Przedtem listy i mniej ważne przesyłki wysyłano zwykłą pocztą do pewnych urzędników pocztowych. Ważniejsze depesze powierzano umyślnym gońcom.

W obec tak rozwiniętej działalności komitetu centralnego, cel której aż nadto każdemu był widoczny, duchowieństwo w przeważnej swej części trzymające się dotychczas na uboczu, zaczęło się zastanawiać jak się ma zachować względem przewidywanego ruchu i w tym celu we wszystkich guberniach nastąpiły zjazdy dla omówienia kwestyi i powzięcia jakichś postanowień. Dnia 14. września 1862 roku odbył się taki zjazd w świętokrzyskim klasztorze na Łysej górze, na który miało przybyć do trzystu księży i kilkuset szlachty [1]). W późniejszych zjazdach brało udział po 50 do 100 księży [2]).

Skoro się tylko komitet centralny dowiedział o tych zjazdach, natychmiast polecił wojewódzkim by koniecznie brali udział w zebraniach i rozwinęli agitacyę w duchu swego stronnictwa. Nadto na niektóre zjazdy wysyłał agentów bezpośre-

---

[1]) Zapiski naocznego świadka, str. 76—80. [2]) Aweyde.

dnio ze swego ramienia i tak na zjazd duchowieństwa w podlaskiem w połowie listopada 1862 r. został wysłany Jan Majkowski, urzędnik warszawskiej komisyi skarbu; w lubelskie Józef Janowski, budowniczy. Czy to dzięki zręczności wysyłanych agentów, czy też już taki był nastrój ogólny umysłów, całe prawie duchowieństwo stanęło po stronie czerwonych.

Pierwsza dyecezya sandomierska w początkach listopada 1862 roku oświadczyła się za komitetem centralnym. Za jej przykładem poszły dyecezye: krakowska, podlaska, chełmska, lubelska i częściowo kalisko-kujawska. Wszędzie, przy pomocy agentów komitetu centralnego i wojewódzkich, ustanowiono »organizacyę duchowieństwa« na zasadach przyjętych przez komitet centralny. Jednakże w dyecezyach: warszawskiej, płockiej i augustowskiej nie zdołano zaprowadzić regularnej organizacyi, mimo to i tam wielu księży działało w duchu czerwonych i na korzyść powstania.

Statut »Organizacyi duchowieństwa polskiego« w pięciu czy siedmiu artykułach zawierał następujące postanowienia:

Organizacya duchowieństwa [1]) przyjmowała jako podstawową jednostkę dekanat. Księża dekanatu wybierali jednego delegata czyli męża zaufania, dekanalni zaś delegaci wybierali dyecezyalnego. Delegaci dyecezyalni pozostawali w bezpośrednich stosunkach z wojewódzkim, komisarzem i z komitetem centralnym [2]). Komitet centralny w stosunkach swych z duchowieństwem miał się stosować do wszystkich praw i zwyczajów kościoła katolickiego, duchowieństwo zaś ze swej strony zobowiązywało się wypełniać ściśle polecenia komitetu, przyjmować stanowiska w organizacyi, zbierać składki i odbierać od sprzysiężonych przysięgi. — Wielu jednak księży wahało się z przystąpieniem do tej organizacyi, pomnąc, że bulle papie-

[1]) Podług przyjętych form organizacyi stronnictwa białych.

[2]) Na delegatów dyecezyalnych zostali wybrani: w dyecezyi sandomierskiej ks. kan. Kotkowski; w krakowskiej ks. Wnorowski; w lubelskiej ks. Sosnowski; w podlaskiej ks. Paszkowski; delegaci z chełmskiej i kalisko-kujawskiej dyecezyi niewiadomi.

skie wyraźnie zabraniały udziału w tajnych stowarzyszeniach. Innym niepodobał się związek z komitetem, skład którego był im nieznany.

Dla uchylenia tych wątpliwości i nieporozumień, księża Kotkowski i Paszkowski udali się do komitetu centralnego z żądaniem, by tenże z grona swego wydelegował pełnomocnika dla przeprowadzenia ściślejszych rokowań. Wyznaczono Oskara Aweydę. Narady odbywały się w klasztorze OO. Dominikanów przy ulicy Freta. Księża przedstawili następujące warunki, mające utrwalić stosunki z komitetem:

Organizacya duchowna wystosuje do papieża list wyjaśniający i przeszle takowy na ręce poznańskiego arcybiskupa Przyłuskiego. W liście tym ma być wyjaśnione znaczenie organizacyi polskiego duchowieństwa i przedstawione, że takowa nie narusza w niczem organizacyi kościelnej i nie stoi w sprzeczności z postanowieniami papieskiemi, co do tajnych towarzystw karbonarów i massonów.

Aweyde zgodził się na to, zażądał tylko, ażeby list ten, zanim zostanie wysłany do Rzymu, był zakomunikowany komitetowi centralnemu i żeby w nim nie było wzmianki ani o świeckiej władzy papieża, ani o innych jakichkolwiek włoskich sprawach.

Księża przyrzekli, lecz komitet nie otrzymał tego listu i niewiadomo, czy takowy w ogóle został wysłany.

Dalej zażądano, ażeby delegaci dyecezyalni mogli wydelegować jednego z pośród siebie do komitetu centralnego, w rodzaju przedstawiciela i zastępcy spraw i interesów kościoła w rządzie.

Żądaniu temu Aweyde wręcz odmówił, oświadczając, że komitet sam wyznaczy naczelnika spraw duchownych i zaopatrzy go w odrębną pieczątkę, przyczem zobowiąże się nie wydawać żadnych zarządzeń co do spraw duchownych bez wiadomości takiego naczelnika.

Na to księża się zgodzili i komitet zamianował naczelnikiem sekcyi spraw duchownych księdza Mikoszewskiego, od-

dawna ściśle złączonego z partyą czerwoną i nadał mu osobną pieczęć z napisem: X. Sykstus [1]).

Pozyskawszy w ten sposób duchowieństwo, czerwoni wyobrażali sobie, że główne siły kraju są w ręku komitetu, i że należy już tylko energicznie poprzeć ostatnie przygotowania, wprowadzić jak najprędzej czysto wojskową organizacyę i dać sprzysiężonym hasło do zbrojnego wystąpienia, a tem samem przyprzeć białych do ściany i pozbawić ich możności wszelkiego oporu.

Już od dłuższego czasu odzywały się z różnych stron głosy niezadowolenia na niezdecydowane i wahające się postępowanie komitetu centralnego. Obecnie głosów tych przybyło i w Warszawie i w kraju. Niektórzy z komisarzy grozili wypowiedzeniem posłuszeństwa i rozpoczęciem na własną rękę powstania, gdyż komitet bawi się tylko pisaniną i tworzeniem coraz to nowych planów bez końca, nic zaś nie zarządza stanowczego. Wskazywali przytem na niebezpieczeństwo grożące organizacyi ze strony Mierosławskiego i jego warszawskiego komitetu [2]).

Nie posiadali oni wprawdzie silnej organizacyi, lecz korzystając z opieszałości komitetu centralnego, bardzo łatwo mogli wzrość w siłę i pokrzyżować, a nawet udaremnić wszystkie dotychczasowe roboty sprzysiężenia. W chwili najważniejszej stronnictwa rozpoczną z sobą walkę, coś w rodzaju wojny domowej, czemu się tylko da zapobiedz i uprzedzić przez przyspieszenie wybuchu powstania; dla tem pewniejszego zaś uspokojenia mas i pozyskania stronników Mierosławskiego, najpraktyczniej będzie ofiarować temuż dyktaturę.

---

[1]) Głównie z zeznań Aweydy.

[2]) Komitet ten składali: Zygmunt Rościszewski, obywatel ziemski z płockiego; Stanisław Kaczkowski, buchalter jakiegoś banku w Warszawie; Władysław Daniłowski, student medycznej akademii z Petersburga i Feliks Bauerfeind, bogaty nożownik z Warszawy. — Nadto jako agenci do szczególnych poruczeń Marchwiński i Józef Rościszewski, synowie obywateli ziemskich.

Centralny komitet zwołał z tego powodu zebranie, na którem, po wszechstronnem omówieniu sprawy, postanowiono większością głosów bezzwłoczne powstanie. Właściwie zaś tylko Szwarce i Padlewski byli za powstaniem, lecz namiętni i energiczni przekrzyczeli innych, którzy oponowali coraz słabiej, a w końcu zupełnie umilkli.

Wieść o postanowionem zimowem powstaniu rozeszła się szybko wszędzie. Wszystko, co było choć cokolwiek rozważniejszego w kraju, zatrwożyło się na prawdę. Komitet ze wszystkich stron otrzymywał listy zaklinające, »by nie popełniać głupstwa i nie rozpoczynać powstania bez dostatecznego przygotowania.« Szczególniej stary Wysocki »błagał, jak ojciec swe dzieci, by się nie zabijali własnemi rękami« [1]).

Najbardziej przeraziły się Ruś i Litwa, gdzie organizacya zaprowadzona późno, w zupełności jeszcze nie przeprowadzona, nie miała nawet czasu, aby pomyśleć o właściwych przygotowaniach wojennych.

W Rosyi zwykle uważają Polaków z Litwy i Rusi za takichże Polaków, jak i inni z Królestwa Polskiego, podejrzywając, »że udają tylko, iż są innymi Polakami, dla pozyskania względów u rządu, w rzeczywistości zaś i u nich siedzi takiż sam djabeł za skórą.« Tymczasem rzecz się ma nieco inaczej. Polacy z Litwy i Rusi właściwie innymi są Polakami, niż ich bracia koroniarze. Najlepsi z nich bezwątpienia są Litwini. Tak wytworzyły dzieje. Wiadomo, jak korzystne jest krzyżowanie ras. Jak do złota, chcąc go uczynić zdolnem do praktycznego użytku, potrzeba dodać innego metalu, tak też i u ludzi domieszka krwi innej, chociażby i nie tak szlachetnej rasy, wpływa na wzmożenie sił i charakterów. Zaślepieni tylko mogą obstawać za zachowaniem zupełnej czystości rasy. Saksoni, przechodząc z europejskiego lądu na wyspy brytyjskie i zmieszawszy się tam z różnemi tubylczemi plemionami, pod każdym względem niżej od nich stojącemi, nie tylko nic nie stra-

[1]) *Aweyde* tom III, str. 175.

cili na tem skrzyżowaniu, lecz owszem wytworzyli dzielne plemię angielskie, które wydało: Szekspira, Byrona, Bacona, Walter-Scotta, Dickensa, Macaulay'a, Moora i takie mnóstwo najznakomitszych mowców, uczonych i mężów stanu. Jednem słowem wydali na świat Anglię.

To samo zaszło i tutaj. Stały ląd Polski, Korona, w pewnej epoce dziejowej wydzieliła z siebie masę dzielnego słowiańskiego plemienia do pozyskanych polityką i orężem krain, niejako wysp cudzoplemiennych, zamieszkałych przez różnorodną i nie tak inteligentną ludność, i wtedy to przyszli na świat polscy anglicy. Gdyby nie to skrzyżowanie czystej słowiańskiej rasy z plemionami, rozsiedlonemi na ogromnych przestrzeniach, gdzie szumią

„Rówieśniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa,
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Grożnego Witenesa, Wielkiego Mindowy"

Polacy nie mieliby Mickiewicza, Słowackiego, Syrokomli, Naruszewicza, Sapiehy, Gosiewskiego, Kościuszki, Czartoryskich i wielu, wielu innych.

Kaprys dziejowy zmusza tych polskich anglików do ulegania wpływom Warszawy, tego ogólnego polskiego ogniska i oni, tacy rozumni, ostrożni i rozważni, wprawdzie z bolem serca, na dnie którego u każdego z nich tkwi jeszcze druga, swoja Warszawa, z mogiłą Kiejstuta, zwaliskami świątyni Znicza i prześliczną okolicą — Warszawa,

. . . „która w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, wilków i niedźwiedzi"

ulegają i w epoce, którą opisujemy, tak samo ulegli i z Warszawy oczekiwali rozstrzygnięcia swych losów.

Na Litwie już od sierpnia 1862 roku istniał komitet prowincyonalny, złożony z Edmunda Weryhi i Konstantego Kalinowskiego, kandydatów nauk z petersburgskiego uniwersytetu; Zygmunta Czechowicza, właściciela ziemskiego; Achi-

lesa Bonoldi'ego, muzyka i fotografa; Jakóba Kozielly, dymisyowanego oficera inżynierów i Bolesława Dluskiego, doktora, exżołnierza z Kaukazu [1]). Ponieważ komitet ten zostawał w ścisłych stosunkach z warszawskim komitetem centralnym, więc był nadzwyczaj niezadowolony, że ten ostatni wydał zarządzenie o rozpoczęciu powstania bez porozumienia i z najwyższą lekkomyślnością wobec zupełnie niedostatecznych przygotowań ku temu, szczególniej na prowincyi. Wskutek też tego komitet litewski w połowie listopada 1862 roku, wysłał do Warszawy Weryhę i Wilkoszewskiego [2]), z poleceniem, by dokładnie zbadali o co właściwie chodzi, i aby starali się powstrzymać wybuch, gdyby zaś to było zupełnie niemożliwe, mieli się zastosować do zarządzeń komitetu centralnego.

Wysłańcy za przybyciem do Warszawy zaraz zażądali, ażeby komitet centralny wydelegował kogo dla porozumienia się z nimi. Komitet wyznaczył Szwarcego, jako najlepiej obeznanego ze stosunkami na Litwie i tamtejszą organizacyą. Jednakże po kilku starciach z tem zapalonem i gwałtownem dzieckiem emigracyi, Weryho zażądał wyznaczenia innego delegata. Wyznaczono Aweydę i z tym przeprowadzone zostały dalsze pertraktacye.

Przedewszystkiem Weryho przedstawił, że litewska organizacya zaczęła się dopiero tworzyć, że nie wszystkie województwa są jeszcze zorganizowane, że takowa wprowadzona zaledwie w kowieńskiej, wileńskiej, grodzieńskiej i kilku powiatach mińskiej gubernii. Dziesiątki tylko wśród katolickiej ludności jako tako dają się zawiązywać. Liczba sprzysiężonych nie przewyższa trzech tysięcy ludzi. Pieniędzy brak zupełny. Wychodzą trzy podziemne gazetki: *Chorągiew swobody*, w języku polskim i pod redakcyą całego komitetu, zaś po biało-

---

[1]) *Aweyde.* Giller dodaje jeszcze Ludwika Zwierzdowskiego, kapitana sztabu jeneralnego.

[2]) Wilkoszewski był zastępcą ówczesnego agenta komitetu centralnego Du Lorana.

rusku: *Hutorka staroho dida* i *Mużyćkaja prawda*, pod redakcyą Kalinowskiego.

Poczem Weryho postawił następujące żądania:

1. Ustawa ma określić szczegółowo wzajemny stosunek obu komitetów;
2. Oba komitety mają być uznane za równorzędne;
3. Pełnomocni komisarze lub agenci obu komitetów mają być tak co do swych praw przedstawicielskich jak i co do sposobu mianowania najzupełniej zrównani;
4. Termin powstania może być oznaczony tylko za zobopólnem porozumieniem;
5. Warszawski komitet oprócz stałego pełnomocnego komisarza w Wilnie, nie może wysyłać żadnych innych agentów na Litwę;
6. Komitet warszawski odwoła natychmiast swego komisarza Du Lorana;
7. Obwód białostocki pozostanie pod władzą komitetu wileńskiego [1]).

Żądania te Aweyde przedstawił komitetowi centralnemu, który na razie dał na wszystko odmowną odpowiedź. Wszakże polecono Aweydzie, aby się starał doprowadzić do porozumienia z Litwinami i ułożenia wspólnej ustawy.

Po długich i burzliwych rokowaniach, Aweyde z Weryhą zgodzili się nakoniec na następujące unormowanie stosunków między obydwoma komitetami:

1. Bezwarunkowo przyznane pierwszeństwo i władza komitetu centralnego;
2. Komisarz komitetu centralnego w Wilnie ma większe prawa i przywileje niż komisarz litewski w Warszawie;

---

[1]) Od początku komitet litewski był przeciwny nominacyi Du Lorana na komisarza. Litwini przeczuwali, że nastąpią z nim starcia i walka, co się też w zupełności sprawdziło. Szwarce wdawszy się w tę sprawę jeszcze ją bardziej zaognił. Doszło do tego, że komitet litewski zerwał wszelkie stosunki z Du Loranem i ignorował go zupełnie, na Szwarcego zaś podobno wydał wyrok śmierci. *Aweyde.* — *Rałcz*

3. Władza komitetu litewskiego w granicach Litwy jest zupełną, lecz winna się stosować do zarządzeń komitetu centralnego. — Komitet zostaje pod kontrolą komisarza i przy powzięciu ważniejszych postanowień potrzebną jest aprobata tegoż komisarza;
4. Oprócz pełnomocnego komisarza, komitet centralny żadnych innych agentów na Litwę wysyłać nie będzie;
5. Termin powstania, oznaczony zostanie w porozumieniu z komisarzem litewskim. Gdyby zgoda nie nastąpiła, Litwa może nie brać udziału w powstaniu;
6. Na miejsce Du Lorana zostanie zamianowany Wereszczyński;
7. Obwód białostocki wraca pod władzę komitetu litewskiego, zaraz po przyjęciu warunków ugody przez oba komitety.

Weryho zgodziwszy się na te warunki, powrócił do Wilna i przedłożył kolegom zawartą z komitetem centralnym ugodę. Wybuchła burza. Najbardziej oponował Kalinowski. W rezultacie postanowiono wysłać do Warszawy nowego pełnomocnika w osobie Dłuskiego. Z tym człowiekiem komitet centralny w żaden sposób nie mógł przyjść do porozumienia i cała sprawa polsko-litewskich układów na tem się zatrzymała [1]). Za Litwą i Ruś się poruszyła.

I tam, dopóki trwało połączenie z Litwą, było wielu polskich anglików, późniejsze wszakże warunki polityczne, bliższe zetknięcie się z Rusinami i Rosyanami, wpłynęły na

---

zaś powiada, że pierwsze nieporozumienia Du Lorana z komitetem litewskim zaszły z powodu wybierania składek dla Warszawy i wcielenia obwodu białostockiego do organizacyi warszawskiej. Kalinowski dowiedziawszy się, że Du Loran zebrane pieniądze odesłał do Warszawy ostro się z nim przemówił, w końcu zaś powiedział, aby się wynosił z komitetu. — Tom I, str. 186.

[1]) *Aweyde* tom III, str. 174—182 pisze: Dłuski za udział w jakimś spisku, bodaj czy nie za próby wywołania powstania w gubernii kowieńskiej w czasie wojny krymskiej, został zesłany na Kaukaz

zmianę ich bytu i charakteru. Zapał powoli przygasł; materyalne interesa wysunęły się na plan pierwszy, a sprawy szerszej ojczyzny znalazły się na drugim planie. Jeśli od czasu do czasu i na Rusi przebudzało się polskie uczucie, przybierało ono jakieś nieokreślone formy, bez zdawania sobie jasno sprawy z celów, do których się ma dążyć. Zrywali się więc, by się nie odróżniać od braci, by okazać światu, że i tam nie wymarli wszyscy zapaleńcy, gotowi dla idei iść na złamanie karku na każdą awanturę. Polaków walczących za sprawę z zupełną wiarą w możliwość powodzenia, jak naprzykład Koroniarze, na Rusi jest bardzo niewielu. Znikają oni coraz bardziej, wymierają z każdym rokiem, jak przedpotopowe mamuty lub ichtyosaury.

Z takich to przedpotopowych zabytków, na długo przed opisywanymi wypadkami składało się kółko »Trojnickiego.«

Z resztek tego kółka pod wpływem wypadków 1861 i 1862 roku, za pobudką wysłańców komitetu centralnego: Tomasza Burzyńskiego, Leona Frankowskiego i jakiegoś Strojnowskiego, zawiązała się konfedaracya św. Włodzimierza [1]), w której rej wiedli studenci kijowskiego uniwersytetu i inna polska a po części i ruska młodzież. Za przybyciem na Ruś w lipcu 1862 r. najczynniejszego i najenergiczniejszego agenta komitetu, Bobrowskiego, zawiązał się zaraz »ruski prowincyonalny komitet«, w skład którego weszli: Edmund Rożycki, pułkownik w. r.; Czyński i Jabłonowski, obywatele ziemscy z gubernii wołyńskiej; Izydor Kopernicki, profesor uniwersytetu kijowskiego i jakiś ksiądz z Żytomierza. — Posiedzenia

---

i tam służył jako prosty szeregowiec. Amnestyonowany w 1856 roku wstąpił na wydział medyczny w uniwersytecie moskiewskim, po ukończeniu takowego osiadł na Litwie i zaraz przyłączył się do stronnictwa czerwonych. — Gdy wybuchło powstanie, znalazł się w oddziale Sierakowskiego, po rozbiciu zaś tegoż dowodził w kowieńskiej gubernii oddziałem, pod przybranem nazwiskiem Jabłonowskiego.

[1]) Szczegóły o tem kółku podaje *Giller*, tom I, str. 148 i następne. — Tamże „wezwanie rządu narodowego do Rusinów“, pióra *Gillera*, wysłane na Ruś w lutym 1863 roku — tom I. str. 155 i 156.

tego komitetu odbywały się kolejno w Żytomierzu, Kijowie i Kamieńcu Podolskim.

Przyjęta na razie ustawa komitetu centralnego uległa następnie pewnym zmianom. Ruś dzieliła się nie na województwa lecz na prowincye: Ukrainę, Wołyń i Podole. Prowincye dzieliły się dalej na powiaty, powiaty na okręgi.

Na czele prowincyi stały zarządy, złożone każdy z trzech członków, mianowanych przez komitet dla Rusi.

Oddzielnych komisarzy lub agentów na Rusi wcale nie było. — Dziesiątków nie formowano z braku odpowiedniego żywiołu, t. j. polskich rzemieślników i mieszczaństwa.

Liczba sprzysiężonych była bardzo niewielka. Wydawnictw podziemnych nie było, pieniędzy nie zbierano, do ludu nie miano żadnego zaufania.

Nic więc dziwnego, że przy takim stanie organizacyi, Ruś bardziej niż inne prowincye ze zdziwieniem i trwogą usłyszała o nastąpić mającym wybuchu powstania. Ze swej strony więc wysłała w końcu listopada 1862 roku, pułkownika Różyckiego i obywatela ziemskiego Chamca, aby ci w Warszawie dowiedzieli się u źródła, jak właściwie rzeczy stoją.

Komitet centralny nie miał żadnych sporów ze skromnymi wysłańcami Rusi. Oni z poddaniem się uznali jego władzę naczelną i tylko prosili, aby, jeśli to możliwe, nie rozpoczynać powstania przed kwietniem, w razie zaś gdyby nie dało się odroczyć wcześniejszego wybuchu, oświadczyli stanowczo, że Ruś w żaden sposób przed marcem nie będzie gotową, w marcu zaś gotowa rozpocząć walkę, nie wierząc jednak w jej powodzenie, lecz tylko dla zrobienia dywersyi i zatrzymania części wojsk rosyjskich u siebie [1]).

W Galicyi w tym czasie istniały dwie organizacye, biała i czerwona, pierwsza złożona z ziemian i szlachty, druga z mieszczaństwa i młodzieży.

---

[1]) Z zeznań Aweydy. — *Giller* tom I, str. 159—160 powiada, że Rusi pozostawiono wszelką swobodę działania. Wysłannikom oświadczono, że gdy nie mogą z pewnością liczyć na pomoc włościan i nie

Na czele białej organizacyi stały dwa komitety: krakowski, w którym najbardziej wpływową osobistością był Leon Chrzanowski, współredaktor *Czasu*, i lwowski, albo Sapieżyński, zawiązany przez księcia Adama Sapiehę.

Na czele organizacyi czerwonej stała »galicyjska rada narodowa«, w której wybitniejszą osobistością był Alfred Szczepański. Rada dzieliła się na ławy i inne kółka. Czynną bardzo była ława lwowska. Po za ławą Kurzyna zawiązał we Lwowie, przy współudziale obywatela ziemskiego Czarneckiego, niewielkie lecz nader radykalne kółko zwolenników Mierosławskiego.

Cała ta organizacya działała niezależnie od komitetu centralnego i nie uznawała tegoż władzy nad sobą, a nawet nie przypisywała mu wielkiego znaczenia. Szczególniej niezawiśle występował komitet Sapieżyński, w skład którego wchodziły najwybitniejsze osobistości ze wschodniej Galicyi i miasta Lwowa, jak: Aleksander hr. Dzieduszycki, Floryan Ziemiałkowski i Franciszek Smolka. To też gdy się Galicya dowiedziała o zamierzonem powstaniu, nawet nie uznano za stosowne mięszania się w tę sprawę, uważając powzięte postanowienie za wyskok waryatów, których kraj nie usłucha. Nie wysłano też wcale delegatów ani przedstawień do Warszawy [1]).

W poznańskiem w jesieni 1862 roku istniały również dwa rewolucyjne komitety: biały i czerwony; szły one jednak z sobą ręka w rękę, dążąc różnemi drogami do wspólnego celu. Biały komitet, zwany także komitem Goutrego, składał się z następujących członków: Aleksander Goutry, bogaty obywatel ziemski; Jan hr. Działyński, zięć księcia Adama Czartoryskiego i ściśle złączony z hotelem Lambert; Władysław Niegolewski, poseł sejmowy; Władysław Kosiński, który po roku 1846 był skazany na śmierć; Zygmunt Jaraczewski, Wła-

---

wierzą w możność powodzenia, więc niech lepiej siedzą spokojnie. Na to odpowiedzieli wysłańcy, że „jeśli wy powstaniecie i my chwycimy za broń i uścielimy naszymi trupami drogi, po których Rosyanie kroczyć będą z Rusi do Polski.

[1]) *Giller* t. I, str. 107 i 108. Po części także zeznania Aweydy.

dysław Wolniewicz, Roger hr. Raczyński i Domontowicz; byli to ludzie wybitni i mający znaczenie w kraju. — Wewnętrzny podział pracy był następujący: Działyński i Jaraczewski objęli skarbowość i stosunki z Europą; Kosiński i Goutry sprawy wojskowe; Niegolewski policyę; Raczyński stosunki wewnątrz kraju; Domontowicz był agentem komitetu centralnego.

Czerwony komitet poznański składali: krawiec Matuszewski, nauczyciel rysunków Jaroszyński i właściciel zakładu litograficznego oraz literat Żurowski. Komitet ten spełniał właściwą pracę wykonawczą: zbierał podatki, zakupował konie, siodła, umontowanie, werbował ochotników, dawał im zadatki, jednał policyę, ekwipował i uzbrajał oddziały, wyprawiał je do Królestwa, w niczem nie krzyżując działań komitetu Goutrego, owszem otrzymując wciąż od tego fundusze i polecenia [1]).

Oprócz tych dwóch komitetów był jeszcze w Poznaniu biały także komitet Łączyńskiego i Bogusława Łubieńskiego, mający swe odrębne cele i występujący gwałtownie przeciw stronnictwu Goutrego i Działyńskiego [2]).

Poznańskie ruszyło się nie zaraz. W grudniu 1862 roku, gdy zebrano dostateczne wiadomości o zamysłach i działaniach komitetu centralnego, przybył do Warszawy stary i doświad-

---

[1]) Żurowski na ten cel otrzymał 6.220 talarów, Jaroszyński zaś 6.360 talarów. *Rałcz* tom II, str. XXXII twierdzi, że roboty rewolucyjne 1863 roku kosztowały w pruskim zaborze 15 milionów talarów, i że z tej epoki pochodzi zachwianie wielu fortun szlacheckich. Hrabia Działyński i hrabia Raczyński mieli dać po 50.000 talarów. (Tamże str. 726). — *Moller* w dziele swoim *Situation de la Pologne*, na stronie 222 powiada, że ze składek W. Księstwa Poznańskiego wysłano za granicę 21 milionów złp. Autorowi opowiadano ze strony zupełnie kompetentnej, że biali wysyłali do Paryża Stanisława hr. Platera dla rozmówienia się z kierującemi osobistościami w sprawie Polski. Plater widział się z księciem Napoleonem i z hrabią Walewskim i ci go zapewniali, że jak tylko nastąpi wybuch powstania w Królestwie, Francya nieodmiennie pospieszy z pomocą. Na takie zapewnienie dopiero Poznańskie wzięło się do dzieła i ofiary się posypały.

[2]) *Rałcz* tom II, str. 712—718.

czony spiskowiec, bywalec nie w jednem więzieniu, Aleksander Goutry, i przy pierwszem spotkaniu się z członkami komitetu centralnego, postawił pytanie: »dokąd prowadzi ta coraz bardziej rozwijająca się agitacya i narodowa organizacya w Królestwie Polskiem?« Wskutek atoli jakiegoś niedowierzania nie otrzymał szczerej i stanowczej odpowiedzi, nawzajem też i on na różne zapytania komitetu odpowiadał wymijająco i z tem wrócił do Poznania [1]).

W tym samym czasie (grudzień 1862 roku) przybył do Warszawy, zawezwany przez komitet, energiczny Zygmunt Miłkowski, agent komitetu w Mołdawii. I ten, na wielu koferencyach, starał się przekonać władze rewolucyjne, że wybych należy odłożyć chociażby tylko do wiosny 1863 roku, i podejmował się zorganizować do tego czasu z polskiej emigracyi, znajdującej się w Mołdawii i na Wołoszczyźnie, oddział złożony z dwóch tysięcy ludzi i z tym oddziałem wkroczyć na Ruś [2]). Nadto sądził, że można będzie przez Konstantynopol sprowadzić broń i amunicyę na Ruś, i doradzał utworzenie agencyi w tem mieście.

---

[1]) Zeznania Aweydy i Zdzisława Janczewskiego.

[2]) Miłkowski urodził się na Podolu dnia 23. marca 1824 roku we wsi Saraceja nad Dniestrem. Oddany do szkół w Niemirowie, już w wieku lat 13 należał do spisku, zawiązanego przez ucznia starszej klasy, Ordyńskiego. Ordyński został zesłany na Kaukaz na prostego żołnierza, a co się z innymi spiskowcami stało niewiadomo. Nieco później spotykamy Miłkowskiego w Richelieu'wskiem lyceum w Odessie, na wydziale fizyczno-matematycznym. Po ukończeniu nauk w 1846 roku wyjechał do Kijowa i tam jako wolny słuchacz uczęszczał do uniwersytetu. W czasie wojny węgierskiej 1848—1849 roku znalazł się w legionach Wysockiego. Około 1858 roku wraz z jenerałem Wysockim, Sewerynem Elżanowskim, Józefem Ordęgą i Wincentym Mazurkiewiczem był członkiem jednego z czerwonych komitetów emigracyjnych, wydającego *Przegląd rzeczy polskich,* pismo bardzo rozpowszechnione tak na emigracyi jak i w kraju we wszystkich trzech zaborach. Miłkowski od czasu do czasu zamieszczał w niem artykuły treści wysoce rewolucyjnej, z których najbardziej zwracającymi uwagę była cała serya rozpraw „O potrzebie i możliwości polskiego powsta-

Tak powszechne odradzania i prośby, żądające odroczenia powstania, nie mogły pozostać bez wpływu na komitet centralny, który również uznawał niedostateczność poczynionych przygotowań. Spokojniejsza i rozważniejsza partya przemogła. Miłkowskiemu dano 5.000 rubli sr. i polecono przygotowywać oddział na wiosnę 1863 roku, mianując go zarazem naczelnikiem sił zbrojnych na Wschodzie i Rusi. Komitet nie przyjął projektu sprowadzania broni przez Konstantynopol i sam się zobowiązał dostarczyć uzbrojenie dla oddziału mołdawskiego [1]). Wszyscy wszakże czuli, że stan takiego naprężenia długo trwać nie może, że najmniejsza okoliczność może wywołać burzę; dziesiątki wciąż się dopytywały u swych bezpośrednich naczelników »czy prędko nastąpi powstanie?« więc też i komitet centralny ani na chwilę nie przerywał gorączkowych przygotowań do wybuchu.

---

nia.“ W nich było wyrażone zdanie, „że w takich chwilach emigracya powinna odegrać rolę najdzielniejszego pomocnika i że kraj bez emigracyi obejść się nie może.“ W tym samym czasie Miłkowski zbliżył się do Towarzystwa Demokratycznego i dostał się na członka centralizacyi w czasie, gdy ta przeniosła się z Poitiers do Londynu. Niewiadomo z jakich powodów znalazł się we wrześniu 1859 roku w Rumunii, w charakterze poborcy składek na cele przewidywanej walki z Rosyą. Składki szły tępo, a właściwie nie szły wcale; Miłkowskiego nikt nie znał, a zresztą i samo powstanie wydawało się jeszcze na tak dalekim planie. W każdym razie doszła do Warszawy wiadomość, że po Rumunii się kręci, zaglądając nawet na Ruś, jakiś dzielny i obrotny emisaryusz, i działa w kierunku dążeń stronnictwa czerwonego. W styczniu więc 1862 roku odwiedził Miłkowskiego w Michalenach Bobrowski, a następnie Leon Frankowski. Ten ostatni wprowadził go w bezpośrednie stosunki z komitetem centralnym, który w sierpniu zaproponował mu oficyalnie: „Objęcie kierunku wszystkich przygotowań do powstania na Wschodzie i Rusi.“ Miłkowski propozycyę przyjął z tem atoli zastrzeżeniem, że wybór środków jemu pozostawionym zostanie. Na to się zgodzono i w listopadzie 1862 roku zawezwano go do Warszawy dla bliższego omówienia sprawy. *Giller* tom III, str. 38—39, oraz broszura Miłkowskiego *W Galicyi i na Wschodzie*, strona 5—8.

[1]) Aweyde.

Największy brak dawał się uczuwać w odpowiednich kandydatach na dziesiętników, podczas gdy dziesiątki wciąż rosły w liczbę tak w Warszawie jak i na prowincyi, oraz dotkliwy brak oficerów. Wezwanie komitetu rosyjskich oficerów w Polsce do oficerów wojska rosyjskiego, wydrukowane w Londynie [1]), przywiezione do Królestwa Polskiego w grudniu 1862 roku przez byłego kwatermistrza schlüsselburgskiego pułku p. Potebnię, nie wywarło żadnego wrażenia i przynajmniej na razie nie dostarczyło powstaniu ani jednego oficera [2]). Z emigracyi pomimo gorących zapewnień przysłania broni i oficerów, w rzeczywistości nic nie nadchodziło.

Padlewski jedyny w komitecie wojskowy, czując i najlepiej oceniając niezbędną potrzebę oficerów dla przyszłej powstańczej armii, postanowił pobróbować szczęścia w Petersburgu i pojechał tam pod przybranem nazwiskiem hrabiego Matusewicza. Odszukał tam resztki kółka oficerskiego, założonego niegdyś przez Dąbrowskiego a noszącego miano »komitetu kossowskiego [3])« Wobec komitetu oficerów Padlewski wykazał się pełnomocnictwem komitetu centralnego, wyjaśnił swym nowym »kolegom« stan sprzysiężenia w Królestwie Polskiem i prosił ich o możliwą pomoc i współdziałanie z roda-

---

[1]) Znajduje się w *Supplement to the Bell,* 1862 rok, nr 152, strona 42.

[2]) *Kołokoł* nadzwyczaj podnosi Potebnię, w rzeczywistości jednak był to człowiek najzwyklejszych zdolności. Andrzej Atanazowicz Potebnia, małorusin z połtawskiej gubernii, stał z pułkiem naprzód w Żytomierzu a następnie w Warszawie. Obrany kwatermistrzem pułkowym, zaczął strasznie hulać i bawić się w miłostki, zabrnął w długi i dla wyzwolenia się ze szpon lichwiarskich wziął z funduszów pułkowych 11.000 rubli sr., mając nadzieję zwolna pokryć ten deficyt. To się wszakże wykryło i Potebnia został zaaresztowany i osadzony na odwachu przy placu Krasińskich, skąd uciekł w nocy z 30. czerwca na 1. lipca 1862 r. Znalazł się następnie w szeregach powstańczych.

[3]) Po Dąbrowskim przewodniczyli w tem kółku z kolei następujący oficerowie polacy: Pogorzelski, Kapliński, Czerniak, w końcu zaś porucznik z gwardyjskiej artyleryi konnej, Władysław Kossowski.

kami, aby utworzywszy jedną rewolucyjną falangę pod naczelnym kierunkiem komitetu centralnego, nieść pomoc sprawie wszelkimi możliwymi sposoby, gdyż wielka i stanowcza chwila się zbliża.

Komitet oficerów odpowiedział Padlewskiemu, że w danej chwili nie może być mowy o poddaniu się pod rozkazy komitetu centralnego, albowiem wcale jeszcze nie wiadomo, w jaki sposób i na czem się całe sprzysiężenie zakończy. Jest do przewidzenia, że wybuch w pierwszej chwili stłumionym zostanie, gdyż powstanie niema ani ludzi, choć cokolwiek wyćwiczonych wojskowo, ani oficerów, a broni i pieniędzy ma bardzo mało. Jednakże, jeżeli się tylko okaże, że powstanie potrafi się utrzymać i rozszerza, oficerowie natychmiast zostaną wysłani do Warszawy, a komitet okaże pawstaniu możliwą pomoc i poparcie.

Na tem się skończyły pertraktacye Padlewskiego z polskimi rewolucyonistami w Petersburgu.

Wyszukał on następnie i ruski komitet rewolucyjny, któremu przedłożył listy Bakunina i Hercena, przywiezione przez Potebnię z Londynu. Ruscy rewolucyoniści oświadczyli Padlewskiemu, że oni chętnie pójdą zgodnie z Warszawą, lecz ich organizacya jeszcze bardzo słaba, a właściwie prawie nie istnieje i wskutek tego na razie żadnej pomocy udzielić Polakom nie są w stanie. W końcu prosili Padlewskiego, by użył wszelkich swych wpływów do odroczenia zbrojnego powstania przynajmniej do maja 1863 roku, gdyż w przeciwnym razie wybuch w Polsce sparaliżuje wszystkie rewolucyjne przygotowania w Rosyi. W maju można będzie spróbować wywołania zamieszek na Donie, gdzie rewolucyjna organizacya już nieco silniej jest rozwiniętą [1]). Przy pożegnaniu ruski rewolucyjny komitet, wręczył Padlewskiemu list we francuskim języku do komitetu centralnego pełen zapewnień sympatyi i życzeń wszelkiego powodzenia.

---

[1]) Aweyde.

Za powrotem Padlewskiego do Warszawy, na wstępie okazano mu odezwę podpisaną przez kilku komisarzy, zapytującą: »co komitet centralny zamierza począć na wypadek niespodziewanego poboru do wojska na prawach wyjątkowych, który lada dzień jest spodziewany? Czy będzie lub niebędzie spełnioną obietnica dana popisowym, że się ich ochroni od poboru?« Jednem słowem zapytywano stanowczo, czy nastąpi lub nie, zimowe powstanie!

Jednocześnie otrzymano doniesienia, że komisarze przekraczają pozostawiony im zakres działania, zwołują zjazdy, na których wzywają do natychmiastowego powstania. Komisarz płocki, Edward Rolski, zatrzymał u siebie zebrane ze składek pieniądze narodowe i zawarł z zagranicznymi dostawcami umowę o dostarczenie broni na własną rękę, podczas gdy komisya komitetu centralnego w Paryżu traktowała o to samo z Bonfort'em, angielskim fabrykantem broni.

Burza wybuchła głównie z powodu zarządzenia komitetu, aby zaprzestano dalszego werbowania dziesiątków, a to na wniosek Bohdanowicza i Aweydy, wychodzących z tej zasady, że takie nieograniczone werbowanie, dokonywane bez wyboru i porządku, szkodę tylko przynosi sprawie. Policya chwytała przyszłych żołnierzy powstania całemi gromadami i ci zdradzali tajemnicę, wydając częstokroć i swych najbliższych przełożonych. Do tego rozpuszczono pogłoskę, że pobór naznaczony na dzień 27. grudnia 1862 r. Następnie zaprzeczono tej wieści, lecz rozgłoszono, że rzeczywista branka nastąpi w nocy z 26. na 27. stycznia 1863 roku. Wszystko to razem wzięte wywołało w organizacyi niepokój i zamięszanie.

Wobec tych różnorodnych pogłosek i pogróżek ze strony komisarzy, nie pozostawało nic innego, jak tylko zwołać nadzwyczajne posiedzenie komitetu centralnego, na którem jednomyślnie uchwalono rozpoczęcie zimowego powstania [1]). Padlew-

[1]) *Aweyde.* Giller wszakże powiada, że niejednogłośnie. *Gazeta narodowa* z roku 1875, nr 137.

ski na tem posiedzeniu wypowiedział mowę, drukowaną następnie w *Głosie wolnym* [1]).

O ile środki starczyły, przyspieszano gorączkowo przygotowania wojenne. Wysłano znaczną sumę do Bonfort'a, oraz dano 5.000 rubli sr. Jackowskiemu, obywatelowi z lipnowskiego, na zakupno 200 sztuk różnej broni dla województwa płockiego, a to na mocy umowy zawartej przez Edwarda Rolskiego z którymś fabrykantem broni w Liège [2]).

Nadto komitet zalecił wszystkim władzom wojewódzkim, skupowanie wszelkiej broni, jaka się nadarzy, częścią za fundusze, jakie dostarczyli osobiście członkowie organizacyi, częścią z wpływów oddzielnej, wyłącznie na ten cel rozpisanej 10% składki w każdej prowincyi. Każde województwo otrzymało mniej więcej po 2.000 rubli sr. do swej dyspozycyi na przygotowania wojenne [3]). Rusznikarze i ślusarze w Królestwie Polskiem mieli sobie poruczone sporządzanie miejscowej broni, t. j. kos, pik i t. p. W Warszawie pewną ilość siecznej broni przygotowano w warstacie ślusarskim, istniejącym na rogu Jerozolimskich alei i ulicy Brackiej, w domu Maciejowskiego. Znaczniejszą ilość kos i pik odkuto w warstatach ślusarskich na stacyi Łapy, kolei warszawsko-petersburgskiej, z zarządzenia Leona Kulczyckiego. Wreszcie kosy i piki wyrabiano w fabrykach żelaza w radomskiem, gdzie całe górnictwo nader czynny brało udział w organizacyi, a następnie w powstaniu.

Wówczas także polecono Ksaweremu Łukaszewskiemu, późniejszemu komisarzowi poznańskiemu, by w porozumieniu

---

[1]) *Londyn* nr 101 z dnia 30. kwietnia 1866 roku. — Także w *Historyi powstania narodu polskiego 1861—1864*. Lwów 1882, tom II, str. 236—241. Dokument III.

[2]) Umowę tę po wielu korowodach potrafiono wydobyć od Rolskiego, który długo nie dowierzał w szczerość zamiarów komitetu i chciał działać na własną rękę. — *Aweyde* powiada, że komitet ostatnich dni grudnia 1862 roku wydał na zakupno broni przeszło 45.000 rubli srebrnych.

[3]) *Aweyde* tom III, str. 194—196.

z władzami pogranicznych województw lewego brzegu Wisły, urządził na granicy kilka dogodnych punktów dla przewozu broni i amunicyi.

Punktów takich wyszukano sześć, z których wiadome: Lapiniszki w lipnowskiem, na granicy Prus zachodnich; komora Szczypiorno w pobliżu Kalisza, na granicy poznańskiego i jakaś wieś koło Mysłowic, na granicy Śląska. W Mysłowicach komitet centralny miał stałego agenta Stanisława Maciejowskiego, kupca z Poznania [1]).

W końcu komitet zajął się ułożeniem planu powstania, co zostało poruczone Padlewskiemu. Ten po niejakim czasie przedstawił następujący projekt:

1. Ponieważ wszystkie potrzebne przygotowania do powszechnego powstania nie są ukończone i dużo jeszcze pozostaje do zrobienia w tym celu, więc w chwili branki kraj powinien zachować najzupełniejszy spokój i oczekiwać rozporządzeń komitetu. Tajna zaś organizacya ma dołożyć wszelkich możliwych starań, by z jednej strony zatrzymać sprzysiężonych w miejscach, gdzie się ukrywają, z drugiej zaś strony gromadzić fundusze i uzupełniać jak najenergiczniej przygotowania wojenne.

2. Sprzysiężeni, zagrożeni poborem do wojska, opuszczą dotychczasowe swe miejsca pobytu i pod nadzorem władz wojewódzkich zostaną rozmieszczeni na przygotowanych tajnych kwaterach.

3. Punkta zborne dla takich osób zostaną wskazane w południowej części województwa radomskiego, najwłaściwiej w okolicy górzystej Dąbrowy i Suchedniowa.

4. Wszelkie przesyłki broni i amunicyi, oraz oficerowie, mają być również do tych wyznaczonych punktów zbornych kierowane, gdzie prawdopodobnie z chwilą poboru sformuje się należycie uzbrojony, co najmniej 10 tysięcy ludzi liczący obóz dezerterów.

---

[1]) *Aweyde* tom III, str. 199—200.

5. Oddział ten mający do wyboru albo służbę w wojsku rosyjskiem i kary za zbiegostwo, albo walkę z nieprzyjacielem; składając się nadto z ludzi przejętych nieograniczoną miłością ojczyzny i ożywionych chęcią walczenia za nią, może być nazwanym śmiało: armią desperatów; dowodzony przez ludzi odpowiednich będzie się bić doskonale i zwyciężać.

6. Stąd mogą wyniknąć takie następstwa: Jeśli przy Bożej pomocy armia straceńców zdoła działać zaczepnie, rosnąć w siły w miarę posuwania się naprzód, to wszelkie obawy ze strony włościan odpadają. Powstanie opromienione chwałą zwycięztw, zdobędzie sympatye włościan; również i organizacya z większą łatwością potrafi zbierać potrzebne fundusze i dostarczać broni. Na Rusi i Litwie przygotowania do powstania zostaną dokończone i za dwa do trzech miesięcy komitet będzie mógł zawezwać kraj cały do ogólnego powstania, dla którego podstawą i kierownikiem będzie zwycięzka armia straceńców.

7. Jeśli zaś przewaga sił rosyjskich, zmusi powstańców do odwrotu i armia straceńców zacznie się zmniejszać liczebnie, wówczas rozdzieli się ją na drobne partyzanckie oddziały, lub też poprostu ukryje w lasach i na tajnych kwaterach aż do czasu ogólnego powstania. W tym drugim wypadku, porwanie się do walki z potężnym wrogiem, nie będzie miało znaczenia wybuchu rewolucyi, lecz tylko rozpaczliwego protestu przeciw poborowi do wojska. Sprzysiężeni przekonają się, że komitet spełnił wszystko, co było w jego mocy, dla wywiązania się z danego w październiku słowa. Organizacya zostanie ocaloną, termin zaś powstania odroczy się do chwili sposobniejszej. Kraj oceni, że przywódzcy sami się znajdowali w największem niebezpieczeństwie i ginęli, byle tylko nie narazić ojczyzny na wszystkie klęski przedwczesnego wybuchu rewolucyi. Wobec więc przewidywanej, ewentualnej zguby straceńców, komitet nie powinien wydawać żadnej odezwy do narodu, gdyż takowa nadawałaby wątpliwemu w swych skutkach wybuchowi cechę narodowego powstania.

Do tego projektu zrobił Narzymski następujący dodatek: Ponieważ mieszkańcom z poza Wisły i Buga trudno przedostawać się na południe Królestwa, do gubernii radomskiej, więc byłoby może właściwiej zamiast jednej, sformować dwie armie, południową i północną, co nawet tę przedstawia dogodność, że zmusi wroga do rozerwania swych sił. Jako punkt zborny na północy, mogą doskonale służyć puszcze powiatu ostrołęckiego i sąsiednich, szczególniej zaś myszyniecka i kempiniowska, zamieszkałe przez patryotycznych Kurpiów, urodzonych strzelców, którzy pomimo często powtarzanych odbierań broni, na pewne mają jej jeszcze sporo poukrywanej [1]). I plan i poprawkę komitet przyjął. Padlewski zaraz został zamianowanym dowódzcą armii południowej i zawezwano go, aby jak najspieszniej przedstawił wykaz, czego najgwałtowniej w tych przygotowaniach potrzeba.

W wykonaniu tego polecenia wskazał, że przedewszystkiem należy się zakrzątnąć około dostarczenia we wskazane punkta jak największej ilości broni i amunicyi. Następnie należy przygotować kwatery i rospisać jak najdokładniejsze marszruty dla podążających na punkta zborne.

Dla zamówienia, ile się da, broni, wysłano do Francyi Franciszka Godlewskiego z kwotą 60.000 franków.

Padlewski podjął się wygotowania marszrut i w istocie wypisał takowe wraz z instrukcyami, jak się zachowywać w czasie drogi. Przygotował również mnóstwo paszportów z podpisami i pieczęciami wójtów gmin.

O wyjeździe Godlewskiego pod przybranem nazwiskiem do Paryża, została przez kogoś uwiadomioną policya paryzka i ta niezważając na sekretną pomoc, udzielaną przez rząd cesarski Polakom, natychmiast po przyjeździe do Paryża Godlewskiego uwięziła. Pieniądze i papiery, które miał przy sobie, zabrano i na podstawie tychże natychmiast przyaresztowano Włodzimierza Milowicza, Zygmunta Chmieleńskiego i Józefa

[1]) *Aweyde* strona 199 - 200.

Ćwierciakiewicza. Jedynie Zygmunt Sierakowski potrafił uniknąć aresztowania [1]).

Aresztowanych przetrzymano w więzieniu bardzo krótko. Najprzód uwolniono Milowicza, Chmieleńskiego i Ćwierciakie-

---

[1]) Zygmunt Sierakowski w 1849 roku w sprawie Franciszka Dalewskiego zesłany na prostego żołnierza do orenburgskich batalionów, dosłużył się tam stopnia oficera. Amnestyonowany w 1856 roku wrócił do Petersburga i wstąpił do wojennej akademii, uczył się doskonale, ale nie odstąpił swych rewolucyjnych zasad. W akademii zawiązał liberalny związek. Koledzy pamiętają, gdyż to zwracało powszechną uwagę, że u niego puls nawet uderzał inaczej i stanowił w tym względzie ciekawy fizyologiczny wyjątek. Po ukończeniu akademii w początkach 1861 roku został wysłany kosztem rządu za granicę dla wzięcia udziału w kongresie statystycznym, zebranym w Londynie. Tam się spotkał z centralizacyą towarzystwa demokratycznego i z rosyjskimi emigrantami. Ci dali mu listy polecające do przewódców różnych rewolucyjnych stronnictw we Francyi i Włoszech. Korzystając z takowych, poznał się w Paryżu z jenerałami Mierosławskim i Wysockim. Później odbył pielgrzymkę na Caprerę i tam, uroczyście, klęcząc, jak to sam kolegom opowiadał po powrocie do Petersburga, otrzymał od Garibaldiego błogosławieństwo na przyszłe walki z wrogami swobody i cywilizacyi. Ma się rozumieć, że zachowanie się podobne, nie uszło oka rosyjskich stróżów bezpieczeństwa za granicą. Lecz ówczesny minister wojny, Milutin, lubił Sierakowskiego za jego jasny zawsze pogląd na rzeczy, za świetne i treściwe wysłowienie się i za jego śmiałe plany reorganizacyjne, więc wytłumaczył te wybryki uniesieniami młodości, zawsze skorej do marzeń i wolnomyślności. Nie zląkł się nawet zamianowania Sierakowskiego swoim adjutantem. W 1862 roku Sierakowski z polecenia cesarza zwiedza więzienia i zakłady karne do ciężkich robót w różnych państwach, w końcu zaś we Francyi i w Algierze. Zasiada w wojenno-statystycznym komitecie w Paryżu i stale się znosi z rosyjską ambasadą tamże. Gdy policya francuska przyaresztowała Godlewskiego i zabrała od niego wszystkie papiery, Sierakowski pospieszył do rosyjskiego posła w Paryżu, hrabiego Budberga, który mu najnaiwniej opowiedział, że dostał kopie wszystkich przychwyconych papierów. Wtedy Sierakowski nie zwlekając chwili, popędził do Warszawy i zawiadomił komitet centralny o zaszłej katastrofie. (Broszura *Cyłowa:* Zygmunt Sierakowski. Wilno 1867, str. 45—46. — *Giller* tom I, str. 270, uwaga. Opowiadania jenerała Dobrowolskiego i niektóre inne źródła).

wicza, następnie zaś i Godlewskiego, lecz kazano wszystkim opuścić natychmiast Francyę. Przytrzymane papiery zwrócono, lecz pieniądze przepadły. W ten sposób tajemnica umów z różnymi dostawcami broni, nazwy przygotowanych punktów do przeprawy i wiele innych ważnych szczegółów dostało się do wiadomości trzech państw rozbiorowych.

Wktótce nowy grom spadł na sprzysiężonych. Warszawska policya odkryła główną drukarnię komitetu centralnego w mieszkaniu krewnych Szwarcego, przy ulicy Widok, przyczem uwięziono i samego Szwarcego.

W komitecie centralnym zapanowało przerażenie. Członkowie komitetu: Marczewski, Narzymski, Winnicki i Wernicki gdzieś się skryli. W miejsce ich i uwięzionego Szwarcego powołano nowych członków, wskutek czego skład komitetu zmienił się. Odtąd składali go: Padlewski, Giller, Jan Majkowski, Józef Janowski, Stefan Bobrowski i ks. Mikoszewski. Giller i Padlewski zawiadywali prasą, stosunkami z Europą i sprawami wojskowemi [1]); Janowski miał sobie przydzielone sprawy Litwy i Rusi; Majkowski, skarbowość i pieczęć komitetu; księdzu Mikuszewskiemu poruczono organizacyę duchowieństwa i propagandę między włościaństwem.

Nowy komitet dalej prowadził rozpoczęte roboty, pilnie gromadził fundusze i starał się o przysposobienie broni, chociażby tylko na pierwszą chwilę wybuchu. Padlewski pracował nad ułożeniem nowego planu działań wojennych.

---

[1]) Z ich zarządzenia drukarz Harasymowicz wynalazł dla ocalonej z pogromu drukarni spokojniejsze i bezpieczniejsze schronienie za Warszawą po drodze do Jabłonny, na kolonii Zastawie, która należała do rybaka Józefa Wojcickiego, w której mieszkał wraz z bratem Józefa, Janem, także rybakiem, należącym później do korpusu sztyletników w Warszawie. Jan Wojcicki wskazał to ustronie Harasymowiczowi. Koło połowy grudnia 1862 r ku przewieziono drukarnię do Zastawia i od 1. stycznia 1863 roku tam się rozpoczęła tajemna praca. Zecerami byli: Harasymowicz, Jan Nidziacki i Jan Wojcicki. Przez pierwsze dwa miesiące tam się drukowały: *Rozkazy naczelnika miasta, Dzwon duchowny, Głos kapłana* i pierwszy numer *Party-*

Naraz komitet otrzymuje z cytadeli, ręką Dąbrowskiego, ołówkiem skreślony cały plan powstania, który się opierał na napadzie na Modlin w cztery tysiące odważnych i na wszystko zdecydowanych ludzi. Dąbrowski uważał za możliwe opanowanie tej fortecy, gdyż nie była wcale przygotowaną do obrony, a załoga składała się zaledwie z dwóch tysięcy ludzi, nie mogących przypuszczać nawet takiego zuchwalstwa ze strony powstańców. Nadto można było liczyć na współudział pewnej liczby żołnierzy i oficerów. Znaczne zapasy wojenne przechowywane w fortecy, pozwolą wysztyftować armię co najmniej pięćdziesięciotysięczną.

Pomimo całej swej fantastyczności, plan ten wszelako został przyjęty. W tem usposobieniu i nastroju ducha, w jakim znajdowali się członkowie komitetu, każdej chwili oczekujący uderzenia gromu ze strony Wielopolskiego, każdy plan byłby uzyskał zatwierdzenie [1]).

Padlewski rad, że się pozbył na nic nie przydatnej roboty, kazał wybrać w Warszawie z zaprzysiężonych trzy tysiące ludzi najodpowiedniejszych, którzyby byli gotowi na dany znak wyruszyć z Warszawy. Czwarty tysiąc miał się dopełnić z zaprzysiężonych w Płockiem, co zostało poruczone płockiemu powiatowemu naczelnikowi Grothusowi. Inni naczelnicy mieli

---

zanta. Druki przywoził do miasta Jan Wojcicki, bądź na sobie, bądź w konewkach z mlekiem, przebywając rogatkę jako podmiejski kolonista. Czasem Nidziacki dostarczał je na Saską kępę, znaną sobie mielizną piaszczystą, stamtąd zaś on lub Wojcicki przewozili je do miasta w łodzi. Gdy Józef Wojcicki posłyszał, że u niego na kolonii coś podejrzanego robią i zajrzawszy tam, zastał drukarnię, oświadczono mu, że to z polecenia rządu narodowego, któremu należy być posłusznym. Mimo to Józef był niekontent, sarkał i odgrażał się, że o wszystkiem zawiadomi policyę. Bojąc się spełnienia tej groźby, zabrano drukarnię i przeniesiono do domu Kwiatkowskiego, przy ulicy Żórawiej, gdzie się już drukowały *Prawda* i *Niepodległość*.

[1]) Także namiestnik hrabia Berg, mówił autorowi, że 4.000 dobrych żołnierzy, mogło opanować nagłym i niespodziewanym napadem ówczesną twierdzę modlińską. Cztery tysiące dobrych, wyćwi-

się zająć przygotowaniem kwater w okolicy Modlina, oraz zebraniem potrzebnej ilości broni, ciepłego ubrania i wyszukaniem . . . oficerów.

Wówczas także osobnym dekretem komitet zamianował naczelników wojskowych, czyli wojewodów dla czterech województw. W płockiem naznaczony Konrad Bończa Tomaszewski[1]); w podlaskiem, Walenty Lewandowski, emigrant; w krakowskiem, Apolinary Kurowski, dzierżawca dóbr[2]); na sandomierskie zaś Maryan Langiewicz, dymisyonowany oficer artyleryi pruskiej. Na trzy pozostałe województwa nie naznaczono naczelników z braku choć cokolwiek odpowiednich kandydatów.

Padlewski z dowódzcy armii południowej został przemianowany na naczelnika województwa mazowieckiego i naczelnika, zdobyć się mającego, Modlina. Jego miejsce w komitecie zajął Władysław Daniłowski (?) głównie dlatego, że posiadał dwieście sztuk palnej broni, którą zbierał od dłuższego już czasu i gdzieś skrycie przechowywał.

Następnie zwołano do Warszawy wojennych i cywilnych naczelników województw i komisarzy, i tutaj komitet uzupełnił ustnie dane instrukcye co do rozmieszczenia sił zbrojnych,

---

czonych żołnierzy, należycie uzbrojonych i dowodzonych przez równie dzielnych oficerów. — Należałoby przedewszystkiem zapytać Dąbrowskiego, gdzie miał uzbrojenie na taką liczbę ludzi? gdzie byli oficerowie, których potrzeba od 50 do 80 na taką ilość żołnierzy? gdzie proch i naboje, po 80 sztuk na żołnierza, czyli 320.000 sztuk patronów? nie licząc zapasowych!

[1]) Pseudonim Konrada Błaszczyńskiego h. Bończa, porucznika artyleryi i komendanta włodzimierskiego fortu w cytadeli warszawskiej.

[2]) Właściwie na krakowskie województwo miał być naznaczony pułkownik Józef Czapski, lecz gdy ten nie przybył, jego miejsce zajął Kurowski. Krótką biografię Kurowskiego podaje nekrologia *Rocznika towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu* z roku 1879, tom II, str. 361—362. Najsprawiedliwiej jednak został oceniony przez Józefa Radomińskiego w n-rze 218 *Gazety narodowej* z 1875 roku. Kurowski umarł w Baden w Szwajcaryi dnia 11. maja 1878 roku.

ich ruchu i o innych szczegółach początkowych działań wojennych. — Instrukcye te głównie się odnosiły do następujących rzeczy:

1. Przemarsz oddziałów odbędzie się nie według dawnej, przez Padlewskiego sporządzonej, marzruty, przesłanej władzom rewolucyjnej organizacyi jeszcze przed wyjazdem Godlewskiego do Paryża, lecz według nowego zupełnie planu. Przerzucenie to oddziałów odbędzie się w każdej miejscowości podług wskazówek naczelników wojennych, na kilka dni przed spodziewanym poborem.

2. Oddziały nie liczące co najmniej stu ludzi nie będą ogłaszać powstania, ani wydawać jakichkolwiek odezw do włościan. Wzywania włościan do powstania pojedyńczym osobom, chociażby uzbrojonym, najsurowiej się zabrania. Jedynie księża i to tylko w kościołach mogą wzywać lud do wzięcia udziału w powstaniu i to mniej więcej w duchu, jak wskazuje rozesłane na wzór kazanie księdza Mikoszewskiego.

3. Z pierwszą chwilą wybuchu dowódzcy oddziałów osobiście, albo za pośrednictwem silnych podjazdów, rozsyłanych w okolice, ogłoszą dekret komitetu centralnego o uwłaszczeniu włościan. — Protokół ogłoszenia ma być spisywany w trzech egzemplarzach, jeden dla pozostawienia gminie, drugi dla właściciela dóbr, a trzeci ma być odesłany naczelnikowi cywilnemu powiatu, dla należytego przechowania.

4. Niedopuszczać najmniejszych oznak socyalnego przewrotu. W razie zaś jakichkolwiek pokuszeń tego rodzaju, np. grabieży lub zabójstwa obywatela przez włościan, dowódzca najbliższego oddziału obowiązany będzie natychmiast przeprowadzić najściślejsze dochodzenie, winnych doraźnie ukarać śmiercią, a gdyby gmina cała w zbrodni udział brała, wieś winną spalić (?).

5. Z chwilą wybuchu wszelkie władze i urzęda wojewódzkie i powiatowe, nie wyjmując komisarza, zupełnie podlegają wojennemu naczelnikowi województwa (?). On mianuje i oddala wszelkich urzędników, nie odnosząc się wcale do

rządu rewolucyjnego. Tylko w razie zmiany komisarza winien będzie zawiadomić rząd centralny o przyczynach, które zmianę tę spowodowały.

6. W każdej okolicy, zajętej przez siły powstańcze, należy natychmiast zmienić istniejące władze, wprowadzając władze narodowe. Również należy pozmieniać napisy i herby na urzędach. Ważniejsze urzęda, jak: naczelnika powiatu, burmistrza, wójta gminy, należy powierzać ludziom w pełni zasługującym na zaufanie, urzędnicy podrzędni mogą pozostać bez zmiany. Wszyscy powinni być zaraz zaprzysiężeni.

7. W miarą opanowywania miast powiatowych, zaraz ogłosić i wykonać pobór do wojska. Popisowi dzielą się na trzy kategorye: od 18 do 30 lat, od 30 do 40 i od 40 do 45 lat. Powszechnej służbie wojskowej podlega tylko pierwsza kategorya. Popisowi i ochotnicy zaraz mają złożyć przysięgę.

Roty przysięgi, jak się zdaje, były bardzo rozmaite. — W oddziale Rogińskiego składano następującą przysięgę: »My, niżej podpisani, zawezwani przez rząd centralny, przysięgamy Panu Bogu wszechmogącemu, w Trójcy Świętej jedynemu, Przenajświętszej Dziewicy i Wszystkim Świętym, że włożoną na nas przez rząd centralny Królestwa Polskiego służbę, pełnić będziemy wiernie i uczciwie; że wszelkie powierzone nam tajemnice dochowamy święcie i nienaruszenie, i że dla dobra ojczyzny gotowi jesteśmy poświęcić życie i przelać krew naszą do ostatniej kropli. Jeśli w czem nie dochowamy niniejszej przysięgi, tak nas skarż Panie Boże i Jego Święta Męka. W dowód czego całujemy krzyż i świętą ewangelię.«

W końcu oświadczono naczelnikom wojskowym, że wybuch ma nastąpić wszędzie jednego dnia i o oznaczonej godzinie, i rozpocznie się nagłym i niespodziewanym napadem na wojska rosyjskie. Będzie na to dane hasło i dwa znaki, o dniu zaś wybuchu komitet zawczasu uwiadomi kogo będzie potrzeba.

Zaprzysiężonych, gotowych na pierwsze hasło, ludzi, było podług list, dostarczonych komitetowi centralnemu: w woje-

wództwie mazowieckiem, cztery tysiące; w krakowskiem i sandomierskiem od tysiąca do dwóch; w lubelskiem do pięciu tysięcy; w podlaskiem trzy do czterech tysięcy; w płockiem koło pięciu tysięcy; w augustowskiem kilkuset. Kaliskie nie dostarczyło wykazów. Razem więc w całem Królestwie Polskiem w pierwszej chwili mogło być do 20.000 sprzysiężonych.

Około Trzech króli 1863 roku wszyscy komisarze, wojenni i cywilni naczelnicy województw, otrzymali z komitetu rozkaz udania się na miejsca przeznaczenia. Padlewski rozdał im nieco egzemplarzy znanego już nam »wezwania komitetu ruskich oficerów w Polsce do oficerów wojsk rosyjskich«, dla rozdania ich, komu i gdzie uznają za stosowne.

Po przybyciu na miejsca i rozpatrzeniu się, o ile to było możliwe, w siłach i zasobach powstania, naczelnicy wojenni znaleźli bardzo niewielką ilość broni palnej, a jeszcze mniejszy zapas prochu i ołowiu, zaraz więc zarządzili uzupełnienie braków, skupując, gdzie się dało, proch i ołów od żydów, nieraz nawet po bardzo wygórowanych cenach. (Przyjęto za normę: dwa funty prochu i sześć funtów ołowiu na strzelbę).

Wszystkich, którzy nie byli jeszcze zaprzysiężeni, wezwano do wykonania przysięgi i podpisania roty. Podpisywało się naraz po 10 do 15 ludzi, w następujący sposób: Na tę rotę wykonaliśmy przysięgę (podpisy). — Przysięgę przyjął wobec urzędnika, przysłanego przez polski rząd narodowy (data i podpis księdza).

Nie wszędzie z jednakową łatwością dawały się przeprowadzać te przygotowawcze działania. Najodpowiedniejszą ku temu miejscowością okazały się południowe części gubernii radomskiej, górzyste, pokryte lasami, bogate w huty i kopalnie [1]). Tam w podziemnych sztolniach i chodnikach, koło pa-

[1]) Górnicy w rządowych zakładach górniczych obowiązani byli do pracy dożywotniej, za co nie podlegali poborowi do wojska. Wielopolski chciał prawo to zastosować i do prywatnych przedsiębiorstw, lecz nie zdołał tego przeprowadzić. — (Wiadomość od urzędników górnictwa).

łających z hukiem wysokich pieców, wre życie gorączkowe, rusza się oddzielna okopcona i zasmolona, a wskutek ciężkiej prawie katorżniczej pracy, w znoju i trudzie zahartowana ludność, biedna, rozgoryczona, odcięta od świata i ludzi, zapomniana i zacofana.

Ludność ta często nie wiedziała jak pięknie świat Boży w jasnych promieniach słońca wygląda, ale też nie znała nawzajem co to policya, żandarmi i wiele innych podobnych urządzeń, znanych tak dobrze innym szczęśliwcom, żyjącym na Bożym świecie.

O jakże rozradowali się ci osmoleni biedacy, gdy naraz wśród nich napłynął tłum rodaków, odezwał się do nich żywą, natchnioną mową. Biedacy ci, usłyszeli ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że przecież nie są zupełnie zapomnieni od świata, że mają także ojczyznę, że i oni na coś się jeszcze jej przydać mogą, nietylko do samej podziemnej pracy; że i oni ludzie jak inni, stanowią cząstkę jakiejś całości, jakiejś wielkiej rodziny. Rzucili się też z zapałem do służby rodakom i odnalezionej ojczyźnie, która ich przyzywała do siebie. Nietylko więc wyrabiali dla powstania wszelką broń i przyrządy, jakich od nich zażądano, lecz nadto w swych niedostępnych kryjówkach ułatwiali schadzki władz z podwładnymi. Gdyby nawet jakie ciekawe policyjne oko, mające dosyć czasu i ochoty potemu, zechciało zajrzeć do ich zapadłych wąwozów, cóżby zobaczyć mogło w tym labiryncie ponurych zaułków i posępnych urwisk, gdy ówczesne policyjne oczy na Bożym świecie, przy jasnym blasku słońca niczego należycie dostrzedz nie potrafiły.

Pamiętać także należy, że krótko przedtem, jakby rozmyślnie dla ułatwienia działań spiskowcom, właśnie w gubernii radomskiej został stan wojenny zniesiony, czyli polecono zmniejszyć w niej nadzór rządowy.

W północnej stronie Królestwa, najdogodniejszem miejscem dla powstańców były ciemne debry lasów płockiej gubernii. Równie niektóre leśne i błotniste okolice Podlasia nadawały się doskonale dla sprzysiężonych. Zdawało się, że spi-

sek ogarnął wszystkich i wszystko; do rzemieślników zwolna przyłączali się prywatni oficyaliści, ekonomi, karbowi, służba dworska, a także gdzieniegdzie klerycy. Znaczna część obywatelstwa ziemskiego stanęła także po stronie powstania. Nieruchomi pozostali tylko chłopi, zwykle najkonserwatywniejsza i najtrudniej poddająca się podszeptom rewolucyjnym część społeczeństwa, nietylko w samej Polsce. Oni z ukosa i z pewnem niedowierzaniem przypatrywali się tym gorączkowym przygotowaniom »panów« do czegoś, w czem instynktownie, swym prostym, chłopskim rozumem przewidywali klęski i zniszczenie dla kraju. W jednej miejscowości (zdaje się we wsi Sędowie w Opoczyńskiem) doszło do tego, że chłopi otoczyli dwór obywatela, w którym podług ich rozumienia dziać się miało coś nieprawnego i powiązawszy wszystkich obecnych, odstawili ich do miast: Opoczna, Kielc i Końskich, jako buntowników.

Miejscowe władze zatrzymały wszystkich odstawionych w liczbie około stu w więzieniu, zaś radomski cywilny gubernator Ostrowski, zawiadomił o całem zajściu Wielopolskiego.

Autor listu szlachcica polskiego do księcia Metternicha, żywo przypomniał sobie okoliczności, które go przed laty skłoniły do napisania tego listu; nakazał on natychmiast uwolnić uwięzionych obywateli, włościan zaś, którzy się dopuścili tej samowoli, osadzić w Ostrogu aż do dalszego zarządzenia.

Wypadek ten, sam przez się małoznaczący, wówczas narobił wiele hałasu, w rezultacie zaś na czas pewien zapewnił spokój i zasłonił od jakichkolwiek nagabywań tę klasę społeczeństwa, która dla swych moralnych i materyalnych zasobów była najbardziej potrzebną i pomocną powstaniu. Dosyć długo nietylko włościanie, lecz władze, a nawet rosyjskie oddziały wojskowe obawiali się zaczepiać obywateli, spisek zaś natychmiast skorzystał z tego. — Dnia 10. stycznia 1863 roku wojenni naczelnicy województw otrzymali urzędowe nominacye, zaś 16. stycznia nakazano sprzysiężonym w Warszawie wyruszyć z miasta.

Był to już jakby początek walki, krok, po którym cofnięcie się... było już prawie niemożliwe.

Stronnictwo, a raczej resztki stronnictwa białych, nie pragnące do ostatka walki orężnej z rządem, dowiedziawszy się o tych zarządzeniach komitetu centralnego, postanowiło użyć ostatecznego środka i odezwać się raz jeszcze głośno i jawnie do szaleńców, już nie zważając na następstwa takiego kroku.

Zredagowania odezwy podjął się Kraszewski, który *de facto* przestał już być redaktorem *Gazety polskiej*. Jako człowiek rozumny i przewidujący, spostrzegł on od dawna w czem leżało największe niebezpieczeństwo dla ogółu i starał się je zażegnać środkami, jakimi rozporządzał. Pisał więc i mówił, mówił i pisał, nie spostrzegając, że zamiast gaszenia płomieni, dolewał tylko oliwy do ognia. Droga, którą on przez całe życie uważał za skuteczną dla służenia ojczyźnie, nie doprowadziła do celu, natomiast sprowadziła nań gromy.

Gdy Wielopolski nie zgodził się na trzechmiesięczne zawieszenie cenzury dla gazet, rozgoryczenie i oburzenie stronnictwa, do którego także należał i redaktor *Gazety polskiej*, prawie granic nie miały. Plotki goniły za plotkami, opowiadaniom nie było końca; czasem przez siatkę cenzury potrafił się przedostać i jakiś gazeciarski artykuł, natrącający półsłówkami, czego brak panu ministrowi ministrów dla uspokojenia i uszczęśliwienia kraju. Teraz na takie artykuły nikt by nie zwrócił uwagi, nikt by ich może nie czytał, a przeczytawszy niczego by się nie domyślił. Lecz podówczas przy tak niezwykłem, nadnaturalnem można powiedzieć podnieceniu nerwów, zwracano uwagę na najmniejszą aluzyę, natychmiast odszukiwano ukryty między płaczącemi wierzbami »cień Napoleona.« Obecnie minister ministrów nie zwróciłby uwagi na takie drobnostki, uważałby to za ubliżające dla siebie; lecz wtedy osadzony jak w grobie, za żelaznemi kratami i bagnetami straży, drażniony ciągle, zrozpaczony tem, że żadne przedsiębrane środki skutku nie odnoszą, że wszystko mu się rwie w ręku,

minister zwracał uwagę i na to, co wcale na uwagę nie zasługiwało. Wszędzie dostrzegał podstęp i przekorę, każdej drobnostce nadawał wagę nadmierną. Szczególniej był drażliwy na wszystko, co o nim piszą, właściwie zaś na to, co o nim pisze Kraszewski. Tutaj jedna kropla mogła przepełnić czarę... i kropla ta spadła w wilię Bożego Narodzenia, gdy cała Polska zebrana przy uroczystej postnej wieczerzy, oczekując wejścia na niebie gwiazdki, przypominającej jej przyjście na świat Zbawiciela.

W naczelnym artykule *Gazety polskiej* czytano następujące słowa:

»Przedewszystkiem brak nam cierpliwości, tej cnoty, prowadzącej do miłości. — Egoizm ścianą granitową dzieli nas od świata.

»Człowiek tylko skromnością unika poniżenia; tylko skromni duchem zdolni są dojścia do doskonałości, do przezwyciężenia samego siebie, bez czego nikt nie jest w stanie do zapanowania nad niczem i nad nikim«...

»Gwiazda wschodzi, z nią brzask nadziei... przyszłość w rękach naszych« [1]).

Cóż zdaje się w tem być mogło?... teraz tak sądzimy, lecz czasy są niejednakie. Wielopolski przeczytawszy ten artykuł, natychmiast udał się do namiestnika z oświadczeniem: »On, albo ja, jeden z nas musi ustąpić!«

Kraszewskiemu rozkazano wystąpić z redakcyi i wyjechać za granicę. Rozkazu tego usłuchał o tyle, że redakcyę opuścił natychmiast, ale z wyjazdem się nie spieszył, mając różne kłopoty. Musiał uporządkować interesa, sprzedać dom, pozbyć się koni, mebli, wszystkiego zbytecznego. Należy też dodać, że i wyjeżdżający był w usposobieniu nienormalnem; rozdrażniony, złorzeczył chwili, w której zdecydował się na opuszczenie żytomierskiego ustronia...

---

[1]) *Gazeta polska* z dnia 24. grudnia 1862 roku nr. 294. W następnym numerze Kraszewski już się żegna ze swoimi czytelnikami.

W takiem usposobieniu spadło nań niespodziewanie żądanie przyjaciół napisania odezwy... czyli napisania czegoś niemożliwego, nie prowadzącego do celu, istnego wystrzału w powietrze. Nie namyślając się wszakże długo, napisał. Było mu już obojętne, jakie wrażenie to jego pismo wywoła; jedną nogą znajdował się jeszcze wprawdzie w kraju, wśród swych warszawskich przyjaciół, lecz druga już była podniesioną do kroczenia gdzieś w świat... bez jasnego celu i widoków przyszłości. Część rzeczy była już upakowana.

Odezwa ta do narodu, jak ją napisał Kraszewski, została wydrukowaną potajemnie i w tysiącznych egzemplarzach natychmiast rozpowszechnioną po mieście i rozlepioną nawet po rogach ulic. Lecz nikt już jej nie czytał. Młodzież pośpiesznie gotowała się do wyjścia, starsi zaś przypatrywali się w oczekiwaniu, co z tego wyniknie...

Wielopolski uwiadomiony przez policyę, że młodzież dnia 16. stycznia ma opuścić miasto, nakazał przeprowadzić brankę w nocy z 15. na 16. stycznia. Wywołało to straszne zamięszanie i popłoch między spiskowcami, które najlepiej odzwierciadlają słowa naocznego świadka:

»Niesłychany i nie dający się opisać popłoch, trwoga i zamięszanie zapanowały w organizacyi. Ludzie pchali się przez okopy i rogatki, byle czemprędzej wydostać się z Warszawy, lecz ani w tym porządku, ani w takiej ilości, jak wskazywał Padlewski, jeno całemi setkami, jak stado baranów.« Wszelkie usiłowania wyższych władz w organizacyi, by powstrzymać uchodzących, okazały się bezsilnemi. Na rozkazy i prośby odpowiadano wyzywaniami i przekleństwy za wrzekomą zdradę i oszukaństwo; odgrażano się zemstą komitetowi centralnemu i wszystkim naczelnikom. Komitetowi zupełnie potracili głowy.

Mrzonki o wzięciu Modlina natychmiast się rozchwiały. Rzeczywistość po raz pierwszy groźnie przemówiła. Komitet w dniu 16. stycznia po dwakroć czy po trzykroć zbierał się na narady. Padlewski bardziej do cienia swego niż do czło-

wieka podobny, każdym razem przedstawiał swym kolegom opłakany stan miejskiej organizacyi, prosił o radę i rozkazy i ani razu nie otrzymał odpowiedzi.

Wtedy Jeziorański, zebrawszy resztki sił i kombinacyi, ażeby w jakikolwiek sposób wybrnąć z tych rozpaczliwych warunków, w jakich naraz wszyscy się znaleźli, przedstawił komitetowi plan następujący:

Przedewszystkiem odroczyć termin wybuchu powstania, zerwać z przeszłością, zająć się radykalnem usunięciem dotychczasowych niedostatków i publicznie oznajmić swe zamiary wszystkim bez wyjątku członkom organizacyi. Następnie wysłać dwóch albo trzech członków komitetu, albo też ludzi cieszących się największem zaufaniem do rozjątrzonych tłumów z przedstawieniem dokładnego stanu rzeczy, bez żadnych upiększeń i nic nie ukrywając. Mają się oni starać powstrzymać tłumne wychodzenie z miasta i jeśli się uda, zwrócić rozgoryczenie tłumów z przewódzców organizacyi na rządowych sprawców nieszczęścia czyli branki. Jeśli się powiedzie wysłańcom komitetu osiągnąć cel zamierzony, to powinni utworzyć kilka grup, rozbiedz się po mieście, zabijając kogo się uda z wyższych dygnitarzy, zaczynając od obu Wielopolskich, ojca i syna [1]).

Komitet niczemu nie oponował, i w wykonaniu tego planu, polecił Jeziorańskiemu i Padlewskiemu, jako najbardziej znanym w organizacyi, udać się do zebranych ludzi, dla wykonania drugiej połowy planu, pierwszą zaś część mieli przeprowadzić pozostali członkowie komitetu.

Wysłańcy, do których z własnej chęci przyłączył się Stefan Bobrowski, wieczorem dnia 16. stycznia udali się na punkta zborne. Na szczęście burza, której się obawiano, minęła. Osobistości najbardziej skompromitowane potrafiły się ukryć. Pozostali byli zupełnie spokojni i przyrzekli posłuszeństwo, prosząc tylko, by już nie odraczano terminu powstania, nie zwa-

[1]) Daniłowski powiada, że była mowa także o schwytaniu wielkiego księcia i wymuszenia na nim pod grozą śmierci pewnych warunków.

żając, że na razie nie będzie sił dostatecznych. Komitet także się uspokoił. O mordach nikt już nie pomyślał.

Nazajutrz, komitet widząc, że walki nie da się już uniknąć, postanowił oznaczyć termin wybuchu. Wybrano północ z 22. na 23. stycznia i rozesłano natychmiast do naczelników województw hasła i znaki. Tegoż samego dnia komitet polecił Padlewskiemu, by objął dowództwo nad warszawsko-błońskiemi zbiorowiskami; Józefa Janowskiego wysłano do Serocka, by uspokoił i wprowadził jakikolwiek ład i porządek między tam zebranymi; zaś Antoniemu Jeziorańskiemu, oficerowi węgierskich legionów, dano do wyboru, gdzie zechce dowództwo objąć. On wybrał lasy radziwiłłowskie w rawskim powiecie w gubernii warszawskiej, i dnia 18. stycznia wyjechał z Warszawy koleją wraz z Tomaszem Winnickim i Romanem Kołakowskim [1]).

Po oznaczeniu terminu powstania komitet musiał obmyśleć i rozstrzygnąć kwestyę naczelnego dowództwa w zamierzanej walce. — Postanowiono:

a) Zaproponować Mierosławskiemu naczelne dowództwo wraz z dyktaturą. W parę dni wysłano do Paryża Władysława Janowskiego, a nieco później, już po wybuchu, takież same wezwanie powiózł do Paryża Władysław Daniłowski, dnia 27. czy 28. stycznia [2]).

---

[1]) *Pamiętniki jenerała Antoniego Jeziorańskiego.* — Lwów 1880 rok, część IV, str. 144—149.

[2]) Daniłowski opowiada, że nazajutrz po brance, dnia 17. stycznia, komitet centralny, powodując się różnymi względami, przybrał do swego grona Daniłowskiego i Władysława Janowskiego z Kielc. Obaj jednak oświadczyli, że ofiarowanej godności dla różnych przyczyn przyjąć nie mogą, lecz pomocy swej nie odmawiają i na posiedzenia komitetu uczęszczać będą. — Na pierwszem zaraz posiedzeniu Janowski zaproponował oddanie dyktatury Mierosławskiemu, przy głosowaniu wszakże wraz z Daniłowskim, jako nie należący do komitetu" udziału nie brał. Wszyscy inni (ksiądz Mikoszewski, Aweyde, Józef Janowski i Majkowski) z wyjątkiem Bobrowskiego głosowali za Mierosławskim. Było to 21. stycznia. Wieczorem tegoż dnia zebrali się

b) Do czasu przybycia Mierosławskiego, ustanawia się tymczasowy rząd narodowy, w skład którego weszli: ksiądz Karol Mikoszewski, Oskar Aweyde i Józef Janowski, jako członkowie, zaś Jan Majkowski, jako sekretarz [1]).

c) Rząd tymczasowy miał być jawny i otrzymał osobną pieczęć. Pieczęć ta mało się różniła od pieczęci używanej począwszy od dna 10. maja 1863 roku. Oprócz dekretu oddającego dyktaturę Mierosławskiemu, żaden inny dokument nie był tą pieczęcią stwierdzony. Siedzibę rządu naznaczono w Płocku, który, wedle zapewnień naczelnika województwa, Bończy-Tomaszewskiego, spodziewano się w dzień wybuchu opanować.

d) Bobrowski z pomocnikiem miał pozostać w Warszawie, jako naczelnik miasta i pełnomocny komisarz komitetu, z prawem działania w imieniu tegoż, dopóki rząd tajny nie ogłosi się jawnym. Dlatego Bobrowskiemu wręczono dawne pieczęcie komitetu.

Nakoniec dnia 22. stycznia o godzinie 5. wieczorem rząd tymczasowy opuścił Warszawę, udając się do Kutna, skąd już tylko 45 wiorst do Płocka, mając tam oczekiwać na opanowanie Płocka przez powstańców. — Wraz z członkami rządu tymczasowego pojechało kilku kuryerów i dwóch zecerów z małemi ręcznemi drukarskiemi prasami [2]).

W kilka godzin po wyjeździe rozeszło się po Warszawie następujące wezwanie do narodu, wydane przez komitet centralny [3]).

---

ponownie wszyscy u Józefa Janowskiego i uchwalili bezzwłoczne wysłanie Władysława Janowskiego do Paryża z ofiarowaniem Mierosławskiemu dyktatury. — Toż samo opowiada *Giller*, tom I, str. 41.

[1]) Właściwie zaś Majkowski był członkiem a Janowski sekretarzem tego rządu.

[2]) *Aweyde* tom III, str. 213—218.

[3]) O godzinie 9-tej wieczorem dnia 22. stycznia 1863 roku. — (Zeznanie Zdzisława Janczewskiego).

Komitet centralny jako tymczasowy Rząd narodowy.

»Nikczemny rząd najezdniczy, rozwścieklony oporem męczonej przezeń ofiary, postanowił zadać jej cios stanowczy, porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec ich w nienawistny mundur rosyjski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie.«

»Polska nie chce, nie może poddać się bezopornie temu sromotnemu gwałtowi; pod karą hańby przed potomnością, powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodzieży walecznej, młodzieży poświęconej, ożywionej gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgły zrzucić przeklęte jarzmo, lub zginąć. Za nią więc Narodzie Polski, za nią!«

»Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku, Centralny narodowy komitet, obecnie jedyny legalny Rząd Twój narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa, które Ci da i przez Imię Boga na niebie dać przysięga, bo wie, że Ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem!«

»Tak, Ty wolność Twoją, niepodległość Twoją zdobędziesz wielkością takiego męztwa, świętością takich ofiar, jakich żaden jeszcze lud nie zapisał na kartach dziejów swoich. Powstającej Ojczyźnie Twojej dasz bez żalu, słabości i wahania, wszystką krew, życie i mienie, jakich od Ciebie zapotrzebuje.«

»W zamian Komitet centralny narodowy przyrzeka Ci, że siły dzielności Twej nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną dzierżyć będzie dłonią. Złamie wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, a każdą nieprzychylność dla świętej sprawy, nawet brak gorliwości, ścigać i karać będzie przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem obrażonej Ojczyzny.«

»W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki, Komitet centralny naro-

dowy ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili jego własnością, dziedzictwem wieczystem. Właściciele poszkodowani, wynadgrodzeni będą z ogólnych funduszów Państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały rodziny ich, otrzymają z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi.«

»Do broni więc Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni! godzina wspólnego wyzwolenia wybiła; stary miecz nasz wydobyty, sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty!«

»A teraz odzywamy się do Ciebie, Narodzie rosyjski; tradycyjnem hasłem naszem jest wolność i braterstwo Ludów; dlatego przebaczamy Ci mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów cytadeli. Przebaczamy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony. Trupy dzieci Twoich kołyszą się na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Lecz jeśli w tej stanowczej godzinie, nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas, a depcze po Tobie, biada Ci! bo w obliczu Boga i świata całego, przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli i wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni europejskiej cywilizacyi z dzikiem barbarzyństwem Azyi!

(L. S.) Warszawa, dnia 22. stycznia 1863 roku.«

Bez zaprzeczenia, w czytaniu odezwa ta musiała wywoływać silne wrażenie. Janczewski opowiada, że ksiądz Mikoszewski dał ją do druku jako odezwę komitetu centralnego. Wydrukowano już jakie dwieście egzemplarzy, gdy ją zmieniono na odezwę komitetu, jako tymczasowego rządu narodowego i tę wydrukowano w znacznej bardzo ilości egzempla-

rzy, początkowy zaś nakład zniszczono. Jednocześnie z rozdawaniem tej odezwy po Warszawie, rozesłano ją przez kuryerów na prowincye [1]).

Przypisek do księgi VI.

Szczegóły zamordowania szefa tajnej policyi Felknera i Anny Wiśniewskiej.

Około połowy października 1862 roku, szef tajnej policyi w Warszawie, Felkner, wpadł na ślad jakiejś ważnej przesyłki za granicę. Dowiedziawszy się o tem komitet centralny, nakazał jego sprzątnięcie dla zapobieżenia mogącemu stąd wyniknąć niebezpieczeństwu dalszych odkryć. Wskutek otrzymanego polecenia, tysięcznik narodowej organizacyi, aplikant przy warszawskim magistracie, Jan Mękarski, dwudziestoletni chłopak, zwołał do swego mieszkania przy ulicy Chłodnej kilku znanych sobie, odważnych ludzi, a mianowicie: Władysława Kotkowskiego, aplikanta przy urzędzie cłowym; Romualda Dzwonkowskiego i Józefa Marcinkiewicza, urzędników magistratu; Marcelego Stanisława Szulca, syna rachmistrza przy rządzie gubernialnym; Stanisława Rabińskiego, gimnazyalistę i jakiegoś Jana, zwanego »Mularzem«, lecz którego nazwiska nikt nie znał.

Zasłoniwszy starannie okna mieszkania, Mękarski ustawił na stole krucyfiks, położył obok sześć sztyletów, z których dwa były zatrute i oświadczył zebranym, że »centralny komitet nakazał sprzątnięcie szefa tajnej policyi, Felknera i im polecił wykonanie tego wyroku. Kotkowski, Dzwonkowski, Marcinkiewicz i Mularz znani są komitetowi ze swego poświęcenia

[1]) *Giller* powiada, że odezwę zredagował Majkowski. Tom I, strona 312).

dla sprawy, spodziewa się zaś, że i dwaj ostatni złożą też same dowody uczuć swych i odwagi [1]). Przed przystąpieniem jednak do dzieła wszyscy są obowiązani złożyć przysięgę na dochowanie zupełnej tajemnicy.«

Pomimo że Mękarski nie okazał wyroku śmierci na Felknera na piśmie, obecni nie sprzeciwiali się i oświadczyli gotowość wykonania przysięgi. Wówczas Mękarski ukląkł i głośno odczytał rotę przysięgi, którą obecni słowo za słowem za nim powtórzyli.

»A teraz panowie, rzecz skończona, ktokolwiek parę z ust puści o tem co tu zaszło, pożegna się z życiem. Jeden z tych sztyletów wymierzy mu sprawiedliwość«, powiedział Mękarski i dodał, że wykonawcy wyroku otrzymają od komitetu centralnego po 100 rubli sr., zaś ich pomocnicy po 20 rubli sr.

Ponieważ nie wszyscy z zaprzysiężonych znali z twarzy Felknera, więc Kotkowski, najenergiczniejszy ze sztyletników wskazał innym ofiarę, po kilka razy przeprowadzając ich wieczorami pod okno, przy którem pracował Felkner. Następnie pokazał go im jeszcze przechodzącego na ulicy.

Tym wycieczkom towarzyszyły zawsze małe poczęstunki całego towarzystwa w cukierni przy placu Dzieciątka Jezus.

Dnia 7. listopada Mękarski zebrał ponownie wszystkich w swojem mieszkaniu i w imieniu komitetu zrobił im wymówkę, że hulają tylko po cukierniach, a wyroku dotychczas nie wykonali.

— Ależ nie wiedzieliśmy wcale, że to tak pilno — odrzekł któryś ze sztyletników — gdy o to chodzi, wyrok możemy wykonać choćby jutro.

— A więc dobrze, jutro! — zakonkludował Mękarski i ponownie wziął od nich przysięgę na krzyż i sztylety, a Kotkowskiego wyznaczył naczelnikiem całego przedsięwzięcia.

Dnia 8. listopada z wczesnego rana, Kotkowski rozstawił sprzysiężonych, uzbrojonych w sztylety, na różnych punktach

---

[1]) Szulc i Rabiński liczyli zaledwie po 17 lat.

przy ulicy Twardej i sąsiednich. Felkner kilka razy przechodził mimo czatujących, lecz zawsze w takich okolicznościach, że napad nie dawał się wykonać. Starsi sztyletnicy, pozostawiwszy dwóch najmłodszych na straży, poszli do restauracyi posilić się. O godzinie 5. wieczorem czaty znać dały, że ofiara zdala widna, jak się zdaje wraca do domu.

Kotkowski pospieszył ze Szulcem i Mularzem do domu, w którym mieszkał Felkner, a zostawiwszy towarzyszy na ulicy, sam stanął za furtką dla dokończenia sprawy, gdyby ci stchórzyli i nie wykonali ukartowanego zamachu.

Zuchy w istocie stchórzyli, co spostrzegłszy Kotkowski, wyskoczył z ukrycia i schwyciwszy Felknera za gardło, trzykrotnie przebił go sztyletem. Widząc to Szulc i Mularz podskoczyli, i jeszcze wymierzyli kilka ciosów.

Felkner krzyknął »puszczaj bestyo!« i zwalił się martwy w bramie. Zbójcy rozbiegli się w różne strony. Kotkowski jednak spostrzegł, że u bramy zostawił burkę, a nadto przypomniał, że przyrzekł Mękarskiemu na dowód spełnionego wyroku przynieść *corpus delicti* »ucho rosyjskiego szpiega«, wrócił więc na miejsce czynu i nie zważając na gromadkę ludzi skupionych nad trupem, podjął ze ziemi leżącą burkę i sztyletem uciął trupowi ucho, poczem, nie zatrzymany przez nikogo, spiesznie się oddalił.

Do godziny 9. wieczorem sztyletnicy napróżno szukali Mękarskiego, lecz gdy o 9. wrócił do mieszkania, wysłuchał sprawozdania Kotkowskiego, odebrał *corpus delicti*, dla przedstawienia go komitetowi centralnemu, wykonawcom zaś wyroku zamiast stu rubli sr. dał po trzydzieści i jakąś bagatelkę czatującym. We trzy dni potem zniknął gdzieś bez śladu, nie opowiedziawszy się nikomu, ani nawet swojej kochance Annie Wiśniewskiej. — Ta jednak, zaczęła się dopytywać co się stało z jej kochankiem. Ktoś powiedział, że Mękarski wyjechał do Lublina; energiczna kobieta pożyczyła u Marcinkiewicza kilka złotych i pojechała do Lublina, rozpytując o swojego Jasia! Gdy wszelkie poszukiwania okazały się daremnemi, wróciła do

Warszawy z ostatnią złotówką w kieszeni i stanowczo oświadczyła Marcinkiewiczowi, »że jeżeli jej nie wskażą miejsca pobytu Jasia, to ona ich wszystkich nauczy!«

Marcinkiewicz na razie obiecał zasięgnąć potrzebnych wiadomości, lecz zaraz ostrzegł Kotkowskiego o grożącem im z niespodziewanej strony niebezpieczeństwie. Po krótkiej naradzie stanęło, że »trzeba skończyć z Anusią.«

Umówiwszy więc należącego także do organizacyi dorożkarza Wnorowskiego, oświadczyli Wiśniewskiej, że Jaś jej ukrywa się za Ząbkowską rogatką w lesie u miejscowego leśnika i zaproponowali jej, że ją tam zawiozą. Nie przeczuwając nic złego, Anna siadła do dorożki. Tymczasem inni sztyletnicy, widząc zaniepokojenie Marcinkiewicza i Kotkowskiego, i obawiając się z ich strony zdrady, zaczęli ich śledzić, a gdy spostrzegli, ze ci z Wiśniewską gdzieś się wybierają, Szulce, Mularz i Rabiński wsiedli do innej dorożki i udali się za niemi. Jednakże konie Wnorowskiego były lepsze i prędko zniknęli im z oczu.

Ujechawszy 6 wiorst za rogatką Ząbkowską, Kotkowski kazał Wnorowskiemu skręcić ze szosy na prawo w kierunku widniejącego światła. Noc już zapadła. W głębokim piasku konie ustały, więc wszyscy wysiedli, nawet i dorożkarz, i poszli piechotą ku połyskującemu światłu. Ażeby i Wnorowskiego zrobić współuczestnikiem zbrodni, Kotkowski szepnął do niego, pokazując pod ubraniem sztylet »wal ją z nóg.« Wnorowski z łatwością przewrócił Wiśniewską, która wówczas dopiero domyśliła się, co ją czeka i zawołała żałośnie: »Ojcze daruj! już nie powiem.« Kotkowski kilka razy ugodził ją sztyletem. Po krótkim jęku, wszystko ucichło.

Zostawiwszy na trupie kartkę, dlaczego został dokonany wyrok śmierci, Kotkowski z Marcinkiewiczem wrócili do Warszawy i gdy spotkali Szulca i dwóch innych towarzyszy, powiedział im Kotkowski: »Osły! jeździliście za nami a nie wiedzieliście, że to i o waszą skórę chodziło! Teraz nie bójcie się Andzi Mękarskiego, ona już pojechała do Bozi!«

Należało jednak po dokonaniu dwóch takich zbrodni, pomyśleć o zabezpieczeniu własnej skóry. Wszyscy sztyletnicy pospiesznie opuścili Warszawę, zmieniając nazwiska, Kotkowski zaś dał się najspokojniej wziąść w dzień branki do wojska i w Petersburgu na przeglądzie przed carem, głośniej od innych krzyczał »hurra!«

Odtąd widzimy w nim sprawnego żołnierza, dzielnego, pojętnego i uczciwego, z którego, począwszy od bezpośredniego przełożonego podoficera, do dowódzcy oddziału, wszyscy byli zadowoleni.

W marszu do Charkowa, dokąd był skierowany transport rekrutów, w którym się znajdował Kotkowski, jemu powierzano nieraz dosyć znaczne fundusze dla zakupna prowiantów i wypłaty gaży towarzyszom, gdyż dobrze pisał, rachował, a przytem mówił po rosyjsku i był wypróbowanej uczciwości. Z każdego grosza powierzonego mu, umiał się zawsze najdokładniej wyrachować. — W Charkowie wkrótce dostał się do sztabu garnizonowego. Była to już karyera, najprostsza droga do zostania oficerem. Jako człowiek inteligentny, roztropny i żądny nauki, mógł dojść do tego, do czego swego czasu doszedł Sierakowski, z pisarza podpułkownik jeneralnego sztabu, nawet mimo nieszczęścia, że był zesłany na żołnierza do orenburgskich batalionów. Kotkowski zaś w niczem nie był źle zapisany u władzy.

Przeznaczenie jednak inaczej zrządziło.

Ku końcowi 1865 roku, gdy już powstanie ostatecznie było stłumione, a śledcza komisya pod prezydencyą strasznego, nieubłaganego i niedającego się przekupić jenerała Tucholki, coraz bardziej rozkrywała tajemnice dawnych, lepszych czasów, w Grodzisku uwięziono Szulca, ukrywającego się tam pod przybranem nazwiskiem Zaleskiego. Ten powoli wygadał »sekret.« Uwięziono Marcinkiewicza, Robińskiego i Wnorowskiego. Ci wykryli nowe szczegóły. Poznano i głównego naczelnika i wykonawcę dwóch politycznych mordów. Lecz gdzie on jest? Po różnych poszukiwaniach w Warszawie i w kraju,

wpadnięto na domysł, czy nie uległ on konskrypcyi Wielopolskiego i rozesłano do różnych sztabów jego fotografię wraz z krótkim opisem czynów, o które go oskarżano.

Wkrótce otrzymano z Charkowa wiadomość, że tam w istocie przy sztabie garnizonowym jest pisarz Kotkowski, rodem z Warszawy i nieco podobny do przysłanej fotografii, lecz jest to człowiek najporządniejszy i wcale na mordercę nie wygląda, owszem za odznaczenie został już przedstawiony do awansu na oficera, na co ze wszech miar zasługuje.

Mimo tak pochlebnej odezwy charkowskiego sztabu, Tucholko zażądał sprowadzenie Kotkowskiego do Warszawy. Pomimo zaprzeczeń, gdy współtowarzysze jednogłośnie oświadczyli, że to ich dawny naczelnik i bohater czynów z Twardej ulicy i z za ząbkowskiej rogatki, Kotkowski ostatecznie przyznał się do wszystkiego.

Sprawa się toczyła, gdy już w Warszawie, wskutek najwyższego polecenia z Petersburga, wyroków śmierci na nikim nie wykonywano. Wszyscy współwinni w tej sprawie zostali skazani do ciężkich robót w oddalonych miejscowościach Syberyi wschodniej. — Kotkowski brał udział w powstaniu nad Bajkałem i został rozstrzelany w Irkucku dnia 27. listopada 1866 roku.

KSIĘGA VII.

Wyjście powstańców z Warszawy. Wybuch z dnia 23. stycznia w różnych miejscowościach Królestwa Polskiego. Stan umysłów zaraz po wybuchu. Wyjazd Kraszewskiego. Przyłączenie się białych do powstania. Następstwa. Zarządzenia władz. Bitwy pod Węgrowem, Siemiatyczami, Nową Słupią, Małogoszczą.
Od dnia 16. stycznia do 10. marca 1863 roku.

I tak Wielopolski osiągnął, do czego dążył: przyśpieszył przesilenie. »Wrzód pękł.« Tym, którzy nie byli na tajnych spisach branki i tym, którym się udało jakimkolwiek sposobem z niej się wyśliznąć, otworzono bramy na oścież. Ludziom, którzy się wybierali, posłuszni wezwaniu naczelników, na bój z Rosyanami, nie tylko dozwolono wyjść spokojnie z domów, jawnie się spowiadać po kościołach, lecz patrzano obojętnie, gdy ci całemi gromadami podążali za rogatki lub przekraczali wały w obliczu dozorujących straży. Niewątpliwie władza aż nadto posiadała sił i środków, by to wszystko wyłowić i oddać w rekruty na równi z pochwyconymi w noc branki. Lecz na to, we dnie, wobec rozbudzonego miasta, nie potrafiono się zdecydować. Namiestnik i jego pierwszy minister sądzili, że zapaleńcy po kilku dniach włóczęgi o chłodzie i głodzie, po większej części dobrowolnie powrócą. Opornych zaś do ostatka, bez rozgłosu otoczy się wojskami i wyłowi, albo też ostatecznie wybije wśród śniegiem okrytych pól i lasów. Namiestnik i Wielopolski wiedzieli doskonale, że sprzysiężeniu brak przedewszystkiem funduszów, tej najżywotniejszej rzeczy, nieodzownej do prowadzenia dłuższej walki, gdyby nawet jakimś

cudem powstanie bez broni, prochu, amunicyi i oficerów, potrafiło się zorganizować wojskowo. Rozliczano więc, że jeśli w jakiej miejscowości wybuchnie pożar, to ten w jednej chwili zagaśnie i nie warto dla takiej bagateli niepokoić rząd centralny i zarządzać środki zapobiegawcze.

Jednak okazało się, że rząd nie miał dokładnych wiadomości o działaniach i zarządzeniach władz narodowych; nie wiedział, że gdzieniegdzie udało się szczęśliwie przemycić broń i amunicyę z zagranicy, a co jeszcze dziwniejsza, nie wiedział także, że jest już zgromadzonych kilka dosyć licznych oddziałów, czekających tylko skinienia swych dowódzców, by się rzucić do tej nierównej walki.

Najmniej zaś wiedział i mógł przypuszczać, że biali, zaraz na pierwszy odgłos otwartej walki, wesprą swych czerwonych rodaków pieniądzmi i wszelkiemi potrzebami, a co więcej, że nawet sami podążą za nimi...

Wielki książę, Wielopolski i całe ich otoczenie patrzyli spokojnie na wychodzących w Warszawy, widząc w tym porywie coś ciekawego a nawet zabawnego i nie przeczuwając wcale, jak straszna tragedya w przyszłości się przygotowywała.

Smutni, przepełnieni ciężkiemi przeczuciami wychodzili dnia 16. stycznia 1863 roku z Warszawy przyszli żołnierze narodowego powstania. Wielu z nich w długich butach i podróżnem ubraniu wstępowało do kościołów i jawnie wobec wszystkich spowiadało się i przystępowało do komunii. Policya warszawska nie wdawała się w te sprawy, jak gdyby ją one wcale nie obchodziły.

Nie zatrzymywał ich nikt równie u rogatek i oni szli, błądząc po lasach i polach pojedynczo lub skupieni w małe gromadki. Trudno o bezmyślniejszych pielgrzymów, jak te »warszawskie dzieci«, przezwane tak wprędce przez swych pozostałych w Warszawie kolegów.

Szli oni z początku sami nie wiedząc dokąd; bez doświadczeńszych przywódzców, kierowani i zachęcani jedynie przez swych setników i dziesiętników, rozumiejących tyle, co

i ich podwładni o celach wyjścia i jego środkach, tyleż wiedzących o punktach zbornych dla noclegów i wypoczynków i o tem wszystkiem, co potrzebne przy poruszaniu większych mas ludzi. Na popasach, które się zwykle odbywały w karczmach lub zajazdach odosobnionych po za wsiami, podróżnych spotykały różne ironiczne uwagi ze strony chłopów, którzy jakoś doskonale dorozumiewali się, co to są za jedni i dokąd dążą. »Co chłopcy, idziecie do lasu, na dobrą sprawę, po jabłka? Uważajcież tylko, aby nie były kwaśne!« mówił niejeden wioskowy dowcipniś. W niektórych okolicach włościanie do tego stopnia byli niezadowoleni tym napływem leśników, że udawali się do swych władz gminnych a nawet do naczelników powiatu i dowódców oddziałów wojskowych z zapytaniami, czy nie powiązać i odstawić tych wałęsających się i szkodliwych ludzi. Władze wszakże nie przyjmowały tych propozycyi, już to z własnych kombinacyi, już też wskutek otrzymanych poleceń z Warszawy.

Władze warszawskie oczekiwały, że chłód i głód prędko przywiodą do opamiętania tych zapalonych rycerzy i skłonią ich do powrotu. I w rzeczy samej jakaś cząstka, ale bardzo nieznaczna, wróciła do Warszawy i warstatów. Ale przeważna większość szła dalej w lasy i coraz bardziej oswajała się z dziwnymi i niewygodnymi warunkami swego położenia. Nikomu wszakże nic strasznego się nie zdarzyło. Rycerze jako tako, byli jednak nakarmieni i napojeni. — Powoli, znajdowali się i przywódzcy, najprzód z roztropniejszych setników i dziesiętników, którzy tymczasowo wyszukiwali dla swych podwładnych bezpieczne i przytulne noclegi, zabezpieczali prowiant, urządzali wesołe popasy w gęstych ostępach leśnych, u płonących ognisk i podniecali wojowniczego ducha patryotycznymi śpiewami. Potem zjawiali się gdzieniegdzie ludzie, zajmujący wyższe stopnie w najbliższych organizacyach, ubrani, jak na naczelników przystało, dobrze uzbrojeni, i tem wywierali na leśników miłe i dodające otuchy wrażenie. Wreszcie przybycie Władysława Janowskiego (wysłanego przez komitet centralny

w okolice Serocka, gdzie się dla różnych powodów skupiło najwięcej powstańców), i Zygmunta Padlewskiego, slusznego i pięknego, o wojskowej postawie mężczyzny, który w eleganckiej czamarze i wysokich palonych butach wyglądał na prawdziwego pana i naczelnika, stanowczo podniosło ducha u wałęsających się bez celu.

Panowie ci, nagadali im mnóstwo dotychczas niesłyszanych rzeczy, obiecali broń, oficerów. Broń też gdzieniegdzie się znalazła, w małej wprawdzie ilości i ladajaka: noże, kosy, strzelby myśliwskie; lecz już sam szczęk tej pierwszej, chociaż lichej broni, zrobił bardzo wiele. Nieokreślone, niesforne gromady, zaczęły się formować w oddziały. Rozpoczynała się musztra, pierwsze zawiązki formacyi wojskowej.

Położona na lewym brzegu Wisły Puszcza kampinoska skryła w swych wnętrzach główne zastępy »dzieci warszawskich.« Do nich łączyły się wszystkie żywioły powstańcze, zwerbowane w okolicach Płocka, przez różnych miejscowych organizatorów [1]), stojących pod kierownictwem Edwarda Rolskiego, komisarza na województwo płockie, człowieka dzielnego i energicznego, który nawet groził wypowiedzeniem posłuszeństwa komitetowi centralnemu w razie odłożenia powstania do wiosny.

Rolski i inni wyżsi członkowie płockiej organizacyi liczyli na pewne, że potrafią opanować Płock w nocy z 22. na 23. stycznia, i ogłoszą tam jawny rząd narodowy, co wywołałoby niezmierne wrażenie w kraju i za granicą. Było by to nawet możliwe, gdyby w oddziałach zebranych w okolicach Płocka, a o których władze rządowe nic nie wiedziały, panował jakikolwiek ład i porządek, i gdyby one potrafiły działać wspólnie. Dodajmy także, gdyby była pogoda, gdyż suche powietrze i dobre drogi grają niezmiernie ważną rolę we wszelkich tego rodzaju przedsięwzięciach.

---

[1]) Największą działalność rozwinęli: Wolski i Postrych, urzędnicy z Płocka; Kowalewski, obywatel ziemski i Markiewicz, dymisyonowany oficer, którzy formowali oddziały we wsiach: Seceny, Proboszczowice, Całkowo, Winiary i Woźniki.

W Płocku w końcu 1862 roku stały załogą trzy kompanie piechoty z pułku muromskiego, niespełna sotnia wice-podoficerów, sotnia kozaków i dwiestu ludzi miejscowej inwalidnej komendy.

Na pierwszą wiadomość o zbieraniu się »dzieci warszawskich« w Kampinoskiej puszczy, jenerał Mengden, zastępujący naczelnika wojskowego okręgu w Płocku, jenerała Siemekę, bawiącego podówczas na urlopie, wysłał część tych sił w stronę Wyszogrodu, Płońska, Bielska i wsi Seceny, a mianowicie: do Wyszogrodu i Płońska, majora Sławina z komendą wice-podoficerów; w stronę Bielska, kapitana Stefanowskiego z półkompanią piechoty, zaś do wsi Seceny, majora Radjonowa, któremu dodał 40 ludzi piechoty. Wszyscy ci dowódzcy otrzymali nakaz wywiadywania się o formujących się powstańczych oddziałach z zaleceniem, by sami bitwy nie zaczynali, a nawet nie mieli ostro nabitej broni [1]).

Tylko co te kolumny wyszły z Płocka gdy otrzymano wiadomość o zbieraniu się powstańców pod Ciołkowem. Wysłano więc i tam pułkownika Koźlaninowa z niespełna kompanią piechoty.

W ten sposób pozostała w Płocku sotnia kozaków, jedna kompania piechoty liniowej i inwalidzi.

Wysłane kolumny błądziły od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, napróżno szukając powstańców. Jedynie kolumna pułkownika Koźlaninowa natknęła się w lesie ciołkowskim na większy oddział Postrycha i Wolskiego, przy którym w tej chwili znajdował się także Padlewski, i wskutek niezręcznych rozkazów dowódzcy straciła dużo ludzi, a nawet sam

---

[1]) Są to wiadomości zebrane od naczelników wysłanych kolumn. Należy nadto uwzględnić, że dnia 16. grudnia 1862 roku zniesiono stan wojenny w guberniach warszawskiej i płockiej z wyjątkiem miast: Warszawy, Kalisza i Płocka, powiatów lipnowskiego i piotrkowskiego, oraz wszystkich miejscowości, położonych wzdłuż dróg żelaznych warszawsko-wiedeńskiej i warszawsko-bydgoskiej. *Dziennik powszechny* z roku 1862 numer 284.

dowódzca życiem przypłacił swą nieudolność. Z rozbicia ocalało ośmnastu ludzi, którzy prowadzeni przez porucznika Ponomareńkę, zwrócili się ku Bielskowi i nie dochodząc pięciu wiorst do tego miasteczka, spotkali kolumnę kapitana Stefanowskiego. Tu dopiero Stefanowski rozkazał swemu oddziałowi broń nabić [1]).

To się stało dnia 22. stycznia o godzinie 11. w nocy, a więc w dzień, wyznaczony przez komitet centralny do ogólnego napadu na wojska rosyjskie.

Tymczasem w Płocku już od rana dawał się spostrzegać niezwykły ruch na ulicach. W południe dowiedziano się o klęsce Koźlaninowa, wskutek czego jenerał Mengden wydał rozkaz, aby w domach już o godzinie 5. wieczorem światła były pogaszone, sklepy pozamykane, wychodzić zaś na ulicę wolno było tylko z latarką. Nieposłusznym zagrożono karami pieniężnemi i aresztem.

Wojska znajdujące się w mieście rozstawiono po placach: przed główną strażnicą pół kompanii piechoty, przed ratuszem drugie pół kompanii; na tak zwanym Czarnym dworze, gdzie były składy i magazyny pułkowe, dziesięciu kozaków i kompania rzemieślnicza (40 ludzi niefrontowych). Inwalidzi pozostali dla obrony koszar.

Wieczorem zaczęły się aresztowania wszystkich snujących się bez latarek po ulicach. Prawie przy wszystkich znaleziono broń jakąś, co wyraźnie wskazywało na przygotowania wśród ludności do jakiegoś wybuchu.

O godzinie 9. dostrzeżono zbiegowisko w dziedzińcu Trybunału [2]) i tutaj uwięziono 40 uzbrojonych mieszczan. Potem zapanowała nad miastem martwa cisza. Lał deszcz, noc była nadzwyczaj ciemna. W tem o pół do pierwszej po północy na wieży katedralnej odezwała się sygnaturka. Dzwoniono przez

[1]) Opowiadali o tem autorowi: jenerał Mengden, kapitan Stefanowski i uczestnicy bitwy. W dzienniku spraw wojennych w nr 1 na str. 2, powiedziano: z 90 ludzi Koźlaninow stracił 43 i sam zginął.

[2]) Dawny pałac biskupi.

kwadrans. Był to znak dla sprzysiężonych do zbierania się na umówionych punktach. Nikt wszakże nie wychodził. Wtedy uderzono w dzwony we wszystkich kościołach, jacyś ludzie chodzili po ulicach i pukali do okien, wołając: »do broni panowie, do broni«, ale i to mały skutek odniosło. Mieszkańcy przerażeni aresztowaniami, siedzieli cicho po domach.

Gdy się to działo, korzystając z ciemności uzbrojone tłumy, różnemi ulicami nieznacznie dostawały się do miasta i pod kierunkiem adwokata Zegrzdy zajęli główne place [1]).

W jakiś czas po zajęciu placów przez powstańców, z jednego domu naprzeciw głównej strażnicy, padł strzał do stojącej placówki, którą powalił na miejscu, a jednocześnie ukryty w pomroce tłum zbrojny uderzył na strażnicę. Tu atoli został spotkany ogniem plutonowym, mającej się na baczności warty. Powstańcy się zmięszali, i pomimo nawoływań Rolskiego, uwijającego się na białym koniu i starającego się podtrzymać zmięszanych, zatrzymali się i nie poszli dalej. Jeszcze jeden strzał całym plutonem i puszczonych kilka rakiet dokonały reszty. Silny i przeraźliwy świst tych ostatnich, rozprószył nie przyzwyczajonych, a nawet nie słyszących o czemś podobnem ochotników. Tłum się rozprószył, szukając schronienia po domach i klasztorach [2]).

Jednocześnie z napadem Rolskiego na główną strażnicę, druga gromadka powstańców pod dowództwem Postrycha, wyszła z dziedzińca klasztoru OO. Reformatów i otoczyła Czarny dwór, ale tutaj została odpartą. Reszta kup zebranych po różnych punktach miasta, widząc główne siły rozprószone, już nie napadała na wojska, lecz zaczęła cofać się bezładnie i ukrywać gdzie się dało.

---

[1]) Adwokat Zegrzda pod koniec 1862 r. zmienił niezdecydowanego i nieporadnego Tłuchowskiego na województwie cywiln. płockiem.

[2]) Inni utrzymują, że po placu jeździł Bończa, Rolski zaś o tym samym czasie wkraczał do Płocka przez rogatkę dobrzyńską z innym oddziałem. Według *Gillera* (tom I, str. 36), płockiem powstaniem miał kierować podówczas oficer rosyjskiej artyleryi, Bończa Błaszczyński.

W tym samym czasie za bielską rogatką zatrzymał się znaczny oddział Kowalewskiego, przybyły na furach i mający stanowić rezerwę dla oddziałów, które wkroczyły do miasta. Oddział ten mógł jeszcze poprawić sprawę, gdyby się niespodzianie ukazał na ulicach, przypadek jednak zrządził, że jedna z rakiet, puszczona niezręcznie z głównej strażnicy, wzbiła się wyżej niż należało i przeleciawszy po nad miastem, spadła wśród szeregów Kowalewskiego. Wywołało to popłoch nie do opisania, wszystko się rozbiegło i niepodobna już było nikogo zebrać i zwołać. Część uciekających wpadła na kolumnę kapitana Stefanowicza, podążającego z Bielska ku Płockowi, inni natrafili na Radionowa. Ten ostatni wziął kilku do niewoli, a między nimi i samego naczelnika Kowalewskiego. Nie da się dokładnie oznaczyć liczby powstańców, którzy brali udział w tym nocnym napadzie na Płock. W każdym razie było ich kilkuset, a może nawet wyżej tysiąca ludzi dobrze uzbrojonych.

Nazajutrz rozpoczęły się aresztowania w mieście. Adwokat Zegrzda, gdy go aresztowano, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru.

Inne oddziały, sformowane, w miejscowościach bardziej oddalonych od Płocka przez pocztmistrza Wojciechowskiego, obywateli ziemskich: Steinkellera, Mierzejewskiego i Łukaszewicza, oraz syna pastora Rosenthala, uderzyły w takich samych warunkach, w sile 400 do 500 ludzi na miasto powiatowe Płońsk, lecz również zostały odparte przez kapitana Artamonowa, który swoją kompanię uszykował w czworobok na rynku. Większa część uciekających oparła się na folwarku proboszczowskim, o wiorstę od miasta i tam została w części wymordowaną, w części zaś wziętą do niewoli przez żołnierzy Artamonowa. W mieście samem Mierzejewski i 78 ludzi zostało pojmanych. Więźniów odesłano do Modlina. W Płońsku zdobyto 253 sztuk różnej broni, sztućców, strzelb myśliwskich, kos, pik i siekier; zginął zaś 1 żołnierz a 19 było rannych. W oddziałach napadających na Płońsk było więcej warszawiaków niż pod Płockiem.

Miały być także planowane napady na Lipno i Prasnysz, lecz te nie doszły do skutku, podobno wskutek nieporozumień między naczelnikami pojedyńczych oddziałów, z których najliczniejszym dowodził Kolbe.

W powiecie łomżyńskim, oddział Zameczka [1]) napadł na Wysokie-Mazowieckie i Menżenin z również nieudałym skutkiem. Oddział ten został natychmiast rozprószony, stracił wiele broni i ludzi.

To są główne wypadki, zaszle w nocy z dnia 22. na 23. stycznia 1863 roku w północnej części Królestwa Polskiego. O ruchach drobnych oddziałów i ich spotkaniach z wojskami nie warto wspominać, gdyż były prawie bez znaczenia.

Przejdźmy teraz na inną stronę za Bug i Wisłę.

Tutaj, po gubernii warszawskiej, najgłówniejsze miejsce zajmuje gubernia radomska, ze swemi odnogami Karpat, gęstymi lasami i górniczymi zakładami. Południowa część gubernii, graniczące z Austryą, podaje rękę starodawnej stolicy Jagiellonów, Krakowowi, który dotychczas nie przestał odgrywać wybitnej roli wśród miast polskich, tak dobrze ze względu na swą historyczną przeszłość, jak też będąc ogniskiem literackiego i politycznego ruchu dla tej części dawnej Polski. Tam, pod sklepieniami starej katedry spoczywają prochy Łokietka i Kazimierza Wielkiego, Jadwigi i wszystkich Jagiellonów, oraz następnych królów aż do Augusta II... Tam ze szczytu Maryackiej wieży, odzywa się hejnałem na świata cztery strony miedziana trąba, głosząc na mocy jakiegoś dawnego zapisu koniec każdej godzinie... tam corocznie w oktawę Bożego Ciała wyjeżdża znany Konik Zwierzyniecki i harcując po olbrzymim rynku, przypomina mieszkańcom straszną a zarazem pełną chwały chwilę, gdy za Leszka Czarnego w 1281 roku niezliczone zastępy tatarskie zostały odparte przez bitnych mieszczan krakowskich, którzy pod dowództwem rybaka zwierzynieckiego wprost z procesyi Bożego Ciała, poprzedzani

[1]) Pseudonim obywatela ziemskiego Cichorskiego.

krzyżami i chorągwiami kościelnemi, tłumnie wyszli na spotkanie wroga [1]). Na tym samym rynku dnia 24. marca 1794 roku wobec wojska i narodu składał przysięgę niezapomniany wódz Polaków, Kościuszko. Z kopców Krakusa i Kościuszki, Kraków spoziera na wiele miast Królestwa Polskiego [2]). Tutaj od dawna mają swe ogniska liczne polityczne stronnictwa i kółka, wyróżniające się swym odrębnym, właściwym kolorytem, namiętne, stanowcze i bezwzględne. Tutaj się wznosi prastary uniwersytet »Wszechnica Jagiellońska«, drugi z rzędu na ziemiach słowiańskich [3]). Tutaj nakoniec wychodzi kilka politycznych pism i dzienników z *Czasem*, uchodzącym za najpoważniejszy organ umiarkowanych Polaków, na czele.

Łatwo wytłómaczyć dlaczego w takich warunkach Kraków pod wielu względami wywierał przeważny wpływ na umysły w Królestwie Polskiem, szczególniej zaś na umysły ludności

---

[1]) W każdą rocznicę tego zdarzenia starszy z rodu historycznego rybaka zwierzynieckiej osady, obecnie z rodziny Micińskich, wjeżdża do miasta przebrany za Turka, siedzącego na drewnianym koniu z buławą w ręku. Konika otaczają chłopaki z tureckiemi chorągiewkami i włóczkowie (rybacy) zwierzynieccy z cechową chorągwią. Dawniej konik zaczynał swe harce od pałacu biskupiego, gdzie dostawał kilka dukatów, potem szedł przed mieszkania znamienitszych obywateli miasta, przeważnie w rynku, zbierając pieniężne datki.

[2]) Kopiec Krakusa, stara mogiła bohatera bajecznych dziejów Polski, pierwszego króla polskiego po wygaśnięciu dynastyi Lecha I. i po rządach dwunastu wojewodów. (Kroniki Kadłubka i Boguchwała). Kopiec ten leży za Wisłą w miasteczku Podgórzu, tuż koło Krakowa i zajmuje powierzchnię 826° □. — Kopiec Kościuszki usypany został w 1817 roku przy udziale mieszkańców miasta i okolicy. Mężczyźni i kobiety wszelkich stanów, z bliska i zdaleka zjeżdżali się i schodzili celem sypania ziemi w miarę sił swoich. U podstawy kopca ma być złożoną puszka, zawierająca serce Kościuszki, ciało zaś jego spoczywa w Katedrze krakowskiej na Wawelu, obok króla Jana Sobieskiego i księcia Józefa Poniatowskiego. Kopiec wznosi się na górze św. Bronisławy, w pobliżu Krakowa. Na szczycie leży dosyć wielki kamień z szarego granitu, z dużym złoconym napisem „Kościuszce.“

[3]) Najstarszy uniwersytet założony został przez cesarza Karola w 1348 roku w Pradze.

sąsiedniej gubernii. Stąd przeszły w radomskie różne zapalne idee, stąd przekradało się często i zabronione pismo i bardziej jeszcze niebezpieczne osoby, którym wstęp był wzbroniony. Sucha granica ułatwiała te stosunki, tak wtedy dla wszystkich naturalne.

Wojennym radomskim naczelnikiem został zamianowany A. I. Uszakow, nie bardzo znany i niczem się nie odznaczający sebastopolski jenerał. Był on jednak najlepszego mniemania o sobie i o swych, wcale nie wybitnych, wojskowych zdolnościach. Był to, na szczęście znikający już, typ rosyjskiego generała. Na ulicy, czy w towarzystwie mówił zawsze głośno, tym specyalnym jeneralskim basem, którego spotkać nie można ani u pułkownika, ani u żadnego innego, niższego rangą, rosyjskiego oficera; tak wypinał brzuch i piersi, że zięć jego, pułkownik jeneralnego sztabu, następnie jenerał i dowódzca dywizyi, Dobrowolski, gdy się znaleźli razem, czy to w towarzystwie, czy gdzie w miejscu publicznem, starał się o ile można, być najdalej od swego kochanego teścia.

Jak większa część ówczesnych wojennych naczelników, Uszakow nie miał dokładnego pojęcia ani o przeszłości Polski i jej historyi, ani o położeniu kraju, a nawet o geografii radomskiej gubernii, w której dowodził. A co tam dalej było po za gubernią radomską i jeszcze dalej, o tem nawet i pomyśleć nie czuł potrzeby.

W Radomiu pan jenerał przepędzał czas, jak go spędza każdy rosyjski jenerał, zapędzony losami służby do pierwszego lepszego gubernialnego miasta. Rano podpisywał ekspedycye, które mu przynosił jego szef sztabu, Dobrowolski, człowiek bardzo rozumny, przebiegły i zręczny, przytem wysoko wojskowo uzdolniony, Polak, kolega i przyjaciel Sierakowskiego, jakiś czas wahający się, a nawet uczestnik narad wojskowych Polaków, w domku na rogu ulicy Brackiej i Chmielnej... Potem wszakże, jako rozumny i praktyczny człowiek, Dobrowolski rzucił wszelkie polskie mrzonki i stał się najdzielniejszym pogromcą powstańczych partyi. Właściwie też Dobrowolski za-

rządzał radomskim wojennym okręgiem, obmyślał środki, układał plany i wydawał rozkazy, a Uszakow wszystko podpisywał; rano. A wieczorami następowała nieunikniona walka... przy zielonych stolikach.

Dobrowolski przez dłuższy czas nie brał powstańców na seryo, nie uważał ich za rzeczywistych wrogów, dla których wartałoby porzucić i karty, i tę i drugą rozrywkę, natomiast zaś wziąść jakiś oddział wojska i pójść przypatrzyć się z bliska, co też tam w kraju się dzieje. Gdy sformuje się coś bardziej widocznego i określonego, pójdziemy i rozpędzimy. Tak myślał Dobrowolski, tegoż zdania był i Uszakow, i obaj dalej, rano zajmowali się pisaniem i podpisywaniem ekspedycyi, wieczorami grali w karty i ani się spostrzegli, jak zasada niezważania na słabego przeciwnika, przekroczyła granice dopuszczalnej tolerancyi. Słabe w początkach dzieci, jakoś naraz wyrosły i zmężniały, i pod nosem sebastopolskiego jenerała zaczęły wymachiwać wcale już nie drewnianymi pałasikami.

Między miastami radomskiej gubernii wyróżniały się swem patryotyczno-powstańczem usposobieniem ślicznie położone i dosyć ludne Kielce. Zależało to w znacznej części od miejscowych warunków: bliskości granicy, gór, lasów a także licznych żelaznych zakładów górniczych, jak niemniej krzyżujących się traktów znaczniejszych, z których jeden prowadził do Warszawy, drugi do Miechowa i austryackiej granicy, trzeci do Piotrkowa, do stacyi drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, inny zaś do Bodzentyna, w góry Świętokrzyżkie, w najwyższą i najbardziej zalesioną część Królestwa, a zarazem do kopalń, do tej krainy pełnej wertepów, ziejących ognistymi piecami, do labiryntu powstańczych warsztatów, o których już była mowa poprzednio.

W Kielcach bardzo wcześnie powstała organizacya rewolucyjna, potworzyły się kółka, znoszące się ciągle z Warszawą i z wszelkimi rewolucyjnymi żywiołami w Europie. Tam się kryła ta »ciągła konspiracya«, o której pisał Mochnacki. Stan ten był doskonale wiadomy rządowi i dlatego z końcem 1861

roku dla Kielc został wyznaczony osobny wojenny naczelnik w osobie dowódzcy smoleńskiego pułku piechoty, pułkownika Czengierego. Był to człowiek bardzo roztropny i energiczny, z powierzchowności podobny do Jermołowa, a bardziej jeszcze na jakiegoś serba lub kroata, na księcia Miłosza Obrenowicza naprzykład w miniaturze. Ale wszyscy ówcześni, dosyć energiczni naczelnicy z postaciami Jermołowych lub Miłoszów, pod wpływem panującego systemu łagodności i ustępstw, ogłaszań o zaprowadzeniu stanu oblężenia w jednej lub drugiej miejscowości i zaraz potem odwoływania takowego, tego postępowania na wzór dawnych pielgrzymów »trzy kroki naprzód a dwa jeżeli nie więcej wstecz«; wszyscy ci naczelnicy byli wcale nieenergiczni. Nadto pozostawali w ciągłej obawie otrzymania od swych bezpośrednich przełożonych upomnień i nagany nie wiadomo za co. Wyrodziło to w nich ostatecznie zupełny brak decyzyi, nadzwyczajną ostrożność w czynach, pobłażliwość względem osób nie zasługujących bynajmniej na pobłażanie, i życie za pan brat z żywiołami, którym w głębi duszy zupełnie się niedowierzało.

W drugiej połowie 1862 roku Czengiery pod wpływem Różyckiego, prezesa dyrekcyi szczegółowej Towarzystwa kredytowego, bardzo znanej i wpływowej w Kielcach osobistości i członka białej organizacyi, zezwolił na otwarcie w tem mieście szkoły rzemieślniczej, w której głównym prelegentem był Władysław Janowski, sędzia kieleckiego trybunału cywilnego pierwszej instancyi i wtedy już cywilny krakowski wojewoda w organizacyi czerwonych. Żeby też przynajmniej zwrócono uwagę skąd tak nagle sędzia trybunału, człowiek mający mnóstwo innych zajęć, został nauczycielem bezpłatnym i to kilku przedmiotów. Lecz na to nie zważano i nawet nie pomyślano zważać. Szkołę otwarto. Janowski zasiadł na profesorskiej katedrze i rozpoczął wykłady, którym się przysłuchiwali ludzie ani z wieku, ni z powierzchowności wcale na uczniów nie wyglądający. Wykładał więc religię, historyę, arytmetykę, geometryę, wszystko zastosowane dla polskiej młodzieży różnego

wieku. W wykładach historyi była mowa o smoku niszczącym podwawelską okolicę, którego zabił Krakus. Geometrya wskazywała linie lotu bomb i pocisków działowych... co zaś o powinnościach względem Boga i ojczyzny wykładał prelegent »religii« swym słuchaczom, pozostawiamy to domyślności czytelnika.

Z początku wykłady te odbywały się bez żadnej przeszkody ze strony władzy, wkrótce wszakże doszły Czengierego wieści czego to uczył p. Janowski, i ten w grudniu 1862 roku nakazał zamknięcie szkoły. Nie przerwało to wszakże wykładów, tylko takowe odbywały się we własnem mieszkaniu profesora, i w różnych innych przygodnych lokalach do czasu, dopóki Janowski nie został powołany przez komitet centralny do Warszawy.

W drugiej połowie grudnia 1862 roku już było widoczne, że tak w Kielcach jak i w sąsiednich wsiach i miasteczkach, szczególniej zaś w opoczyńskiem, w okolicy Suchedniowa, siedziby głównego zarządu wschodniego okręgu górniczego Królestwa, ludność przygotowuje się do czegoś niedobrego. Nadchodziły zewsząd wieści o zbieraniu się partyi, z Suchedniowa zaś zawiadamiano, że w tamtejszych odlewarniach surowca prostują kosy i sporządzają broń sieczną dla powstania, i to bez żadnych ostrożności, zupełnie jawnie. Wymieniano nawet nazwiska niektórych dowódzców partyi, a między nimi szczególniej dwóch braci Dawidowiczów, dozorców kuźnic w Suchedniowie.

Pułkownik Czengiery doniósł o tem swemu bezpośredniemu przełożonemu, jeneralowi Uszakowowi w Radomiu, a po świętach Bożego Narodzenia wysłał drugi raport, na oba pisma nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi [1]).

Jednocześnie, gdy kosy się kuły i przygotowywała broń dla oddziałów, a same oddziały powstańcze zwolna się formo-

[1]) Wiadomość od Czengierego, potwierdzona przez innych wojskowych kieleckich z owej epoki.

wały, stosunki inteligencyi w Kielcach i innych miastach i miasteczkach stawały się z Czengierym i jego sztabem, coraz bardziej grzeczne i uprzedzające. Wielu mówiło otwarcie Czengieremu i jego oficerom, »że kraj nie zapomni o takich dobrych i uczciwych naczelnikach.« Po wsiach, w różnych obywatelskich domach urządzały się wciąż uczty i towarzyskie zebrania, na których i czas wesoło przechodził i można było dobrze zjeść, a jeszcze lepiej wypić. Na tych wspólnych, na pozór tak bratersko-serdecznych schadzkach, nieznajomemu trudno by przyszło odróżnić Polaka od Rosyanina, a gdy przy podnieconej ochocie, gdy, jak to mówią, i »w niebie robiło się gorąco«, zaczęto wznosić nieuniknione toasta, pułkownik Czengiery, jako węgier z pochodzenia, nieraz musiał słuchać znanej piosenki:

„Polak, Węgier, dwaj bratanki,
Tak do szabli, jak do szklanki.
Obaj tędzy, obaj żwawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi!“

Dnia 15. stycznia 1863 roku, a więc na tydzień przed wybuchem powstania, żołnierze stojący załogą w Jędrzejowie, miasteczku o 35 wiorst odległem od Kielc, w kierunku ku Miechowu, zamierzyli urządzić żołnierskie teatralne przedstawienie, ma się rozumieć za wpływem i pod kierunkiem oficerów, którzy zaś ze swej strony zręcznie zostali do tego podmówieni przez obywateli i kolegów Polaków. Że podobne rozrywki zawsze są chętnie widziane przez władze, Czengiery nie tylko zezwolił, lecz z całym swym sztabem przybył na przedstawienie. Na sali obok oficerów zasiedli mniej lub więcej znani obywatale ziemscy i dzierżawcy: Apolinary Kurowski (już wtedy naczelnik wojenny krakowskiego województwa i dowódzca oddziału zebranego w lasach pod Słomnikami, w powiecie miechowskim), Michalski, Laskowski, Łakiński i kilku innych, z którymi w tych samych miejscowościach Czengiery miał się spotkać za parę tygodni, lecz przy odgłosie innej orkiestry.

Wówczas wszakże ci panowie otoczyli pułkownika i jego oficerów zwykłą swą uprzejmością. Dla żołnierzy-aktorów ze-

brano znaczną składkę, poczem nastąpiła smaczna przekąska i biesiada, w urządzeniu których tak dobrze Rosyanie jak Polacy prym trzymają w świecie. W czasie uczty pito tak serdecznie, że powstańcy, prawdziwie po słowiańsku, omal że nie wypowiedzieli swym chwilowym przyjaciołom, przy uściskach i pocałunkach, wszystkich swych tajemnic. Na ich szczęście, Czengiery i inni oficerowie również nie byli w stanie zrozumieć na wpół wypowiedzianych wskazówek... i odjechali do Kielc nic nie wywnioskowawszy z nieopatrznej paplaniny obywateli.

Ten teatr żołnierski był tylko rodzajem *balon d'essai* do innego, prawdziwego przedstawienia, które się miało urządzić przy współudziale tychże samych osób i oficerów, w tymże Jędrzejowie dnia 22. stycznia na daleko szersze rozmiary z tem, ażeby upoiwszy swych gości do bezpamięci, wszystkich aresztować, a nie to wymordować wraz z aktorami i całą wojskową załogą miasteczka.

Spiskowcy zaraz podnieśli myśl tego drugiego przedstawienia. Oficerowie byli za tem, Czengiery nie miał powodów do odmowy... gdy niespodzianie otrzymał z Radomia ostrą naganę za pierwsze przedstawienie, wskutek której osobiście popędził do Radomia, by się wytłumaczyć przed zwierzchnikiem, i to go ocaliło.

Gdy rano dnia 22. stycznia wracał do Kielc, znalazł cały Suchedniów w gorączkowym ruchu. Prędko na poczcie zmienił konie i popędził dalej... Gdyby tamtejsi powstańcy mieli sprytniejszych dowódzców, nie zwykłych kowali, Czengiery na pewne dostałby się do niewoli, a może nawet byłby życie stracił.

W kilka godzin po przejeździe Czengierego, partya złożona z 500 ludzi górników, urzędników górniczych, rzemieślników i drobnej okolicznej szlachty, pod dowództwem jednego z braci Dawidowiczów, nie czekając chwili wyznaczonej przez komitet centralny, to jest północy, napadła na suchedniowską kasę górniczą i zabrawszy w niej 30.000 rubli sr. ruszyła na miasteczko Bodzentyn, odległe o dwanaście wiorst w kierunku gór Świętokrzyzkich.

W Bodzentynie stała kompania smoleńskiego pułku piechoty pod dowództwem kapitana Krajewicza. Pod tę chwilę Krajewicz został wezwany przez Czengierego do Kielc, a wyjeżdżając powiózł z sobą adres dziękczynny mieszczan bodzentyńskich dla załogi, w którym wyrażano, że »dowódzca kompanii, Krajewicz, oraz oficerowie Rapp i Kozunow doprowadzili swój oddział do tak wzorowej karności, że mieszkańcy nie mogą znaleźć słów uznania dla zachowania się rozkwaterowanych u nich żołnierzy i dlatego proszą burmistrza o podanie tego uznania do wiadomości przełożonej władzy.« Adres był podpisany przez burmistrza i członków magistratu, zaopatrzony urzędową pieczęcią [1]).

W tym samym czasie, gdy Czengiery i jego oficerowie oglądali ze zdziwieniem i ciekawością przywieziony sobie adres, bodzentyńscy tegoż autorowie oczekiwali Dawydowicza z Suchedniowskim oddziałem i toczyli noże na tak zachwalanych żołnierzy. — Żołnierzy już od rana uderzyła jakaś niezwykła wesołość mieszkańców.

Wojsko było pomieszczone w ośmiu zwykłych mieszczańskich domkach obok siebie stojących. Około tych improwizowanych koszar, krążyli jacyś podejrzani żebracy, przyglądając się tak pomieszczeniu wojska, jako też w jaki sposób i gdzie jest ustawioną broń i rynsztunki w samych izbach. W miasteczku zapowiadano cztery wesela, może być umyślnie na ten dzień wyznaczone przez wtajemniczonych w sprawy spiskowe księży. Cztery wesela na raz w takiej zapadłej mieścinie jak Bodzentyn, to wydarzenie nie lada. Tłumaczyło to ruch niezwykły i napływ obcych ludzi, i nie wzbudzało żadnego podejrzenia ani u oficerów, ani też u żołnierzy. Łazili oni, jak zwykle, po miasteczku, gapili się na orszaki weselne i ułożyli się do snu zupełnie spokojni i bezpieczni, ani domyślając się burzy, jaka się nad ich głowami zbierała.

---

[1]) Z opowiadań pułkownika Czengierego. — Adresu autor nie miał w ręku.

Obaj oficerowie Rapp i Kozunow, w mieszkaniu tego ostatniego, siedzieli nad chemicznemi doświadczeniami, któremi Rapp namiętnie się zajmował [1]). Należy wszakże przypuszczać, że te chemiczne doświadczenia zasadzały się na zwyklem zajęciu oficerów, zapędzonych w takie zapadłe zakątki, czyli, że grali w karty, popijając czaj, przyrządzony według wszelkich przepisów chemicznych, jako mocny pącz. Któż im tego nie wybaczy? Wszak tak jest djablo nudno w takich, czy to polskich, czy rosyjskich Bodzentynach, każdemu mniej więcej cywilizowanemu człowiekowi.

Nagle o pierwszej w nocy, na kościele odezwała się sygnaturka, a potem po mieście rozległ się jakiś dziwny gwar. Był to ruch powstańczych kolumn, przybyłych w sile 400 ludzi z Suchedniowa, do których przyłączyło się do stu miejscowych spiskowych, uzbrojonych przeważnie w kosy, 20 do 28 cali długie, osadzone sztorcem na sążniowych drzewcach [2]). Cały ten tłum uderzył na koszary, poraniwszy przedewszystkiem szyldwachów, z których jeden silnie kosą cięty w głowę, wkrótce umarł. — W koszarach nastąpił popłoch, przebudzeni ze snu żołnierze z krzykiem, że ich zarzynają, machinalnie rzucili się do broni. Celne strzały z okien zmięszały napastników. W największem niebezpieczeństwie znalazła się chałupa oddzielnie wśród placu stojąca, którą powstańcy słomą obłożyli i podpalili. Lecz i tam spokojny odpór się udał. Żołnierze dawszy kilka strzałów plutonowych, wybiegli, zanim słoma jeszcze się na dobre nie zajęła, odgarnęli ją na kupę i dorzuciwszy do ognia rozmaitego drzewa, okiennic, ławek i t. p., naniecili duży stos, koło którego zwolna skupiły się wszystkie części załogi. Wówczas kilku żołnierzy przypomniało o oficerach i rzuciło się na ich ratunek.

Domek, w którym znajdowali się Rapp z Kozunowem, został okrążony przez powstańców jednocześnie z innemi za-

---

[1]) Urzędowe doniesienie ich najbliższej władzy.

[2]) *Dziennik działań wojennych* nr 2, str. 2.

mienionemi na koszary. Tłum wdarł się do izby i zażądał od oficerów złożenia broni i nakazania tegoż samego żołnierzom, dla uniknięcia niepotrzebnego krwi przelewu. Zdumieni takiem żądaniem oficerowie, jakiś czas nie mogli się opamiętać i na razie sądzili, że to są tylko żarty. W tłumie spostrzegli kilku swych dobrych znajomych, jak np. miejskiego kwatermistrza Szadkowskiego, obywatela ziemskiego Zegardlewicza, księdza Umińskiego, kupca Bohdańskiego. Oficerowie spoglądali na nich, nie dając odpowiedzi. Wtem z tłumu zawołano stanowczo i widocznie już nie na żarty: »Niema czasu na namysły, powiadają wam, oddajcie broń! Nas wielu, a was garstka, nie możecie się bić z nami. Żołnierze już rozbrojeni, a koszary się palą. Wyjdźcie, to się przekonacie!«

Rzeczywiście łuna biła do okien i z rzadka dawały się słyszeć strzały. Rapp wyskoczył wyjrzeć, co się dzieje na ulicy, lecz zaledwie wychylił się za próg, otrzymał cios czemś ostrem w plecy. Kozunow widział, jak jego towarzysz cofnął się napowrót do izby, schwycił się za serce, coś zabełkotał i upadł [1]).

W tej chwili kilku żołnierzy podbiegło pod okna, a zajrzawszy do środka, zrozumieli niebezpieczeństwo, grożące ich przełożonym. W jednej chwili okna wyleciały z ram, a gdy powstańcy spostrzegli błysk bagnetów, natychmiast opróżnili mieszkanie. Żołnierze schwycili Kozunowa na ręce i z okrzykiem »nasz ojciec! hurra!« podążyli napowrót na plac ku płonącemu stosowi, gdzie trwała ostra strzelanina z napastnikami.

Ponieważ między tymi nie było najmniejszego porządku, a dowódzcy wyobrażenia nawet nie mieli o wojennem rzemiośle, nic więc dziwnego, że pomimo liczebnej przewagi, powstańcy nie mogli pokonać żołnierzy, którzy chociaż pozbawieni oficerów, kierowani jednak przez podoficerów, działali podług przyjętej w takich razach taktyki, zgodnie i spokojnie. Gdy następnie przybył do nich oficer, walka zawrzała gorętsza.

---

[1]) Powiadają, że cios śmiertelny został wymierzony ręką księdza Umińskiego, wikarego w Bodzentynie.

Wszystkie hałaśliwe napady niesfornych band Dawidowicza i innych zostały wszędzie odparte. Nad ranem, dnia 23. stycznia, tłum napastników cofnął się do poblizkiego lasu, gdzie podług doniesień żydków, miano oczekiwać na posiłki i następnie powtórzyć napad. Były to jednak pogłoski fałszywe.

Ze strony rosyjskiej zginęło 3, rannych było 40. Strata powstańców niewiadoma, gdyż zabici i ranni zostali zebrani przez mieszkańców i uniesieni do lasu.

Żołnierze pozbierali na ulicach do dwieście sztuk różnej broni: niekształtnych mieczy, nożów, pik i kos. Palnej broni w tem nie było, owszem powstańcy unieśli z sobą i tę broń, którą w pierwszej chwili potrafili schwycić w koszarach [1]).

Podporucznik Kozunow wobec tych pogłosek uznał za stosowne zebrać swych ludzi i cofnąć się do Kielc o 22 wiorsty od Bodzentyna. Ciężko ranni, których nie można było zabrać, zostali pozostawieni na miejscu, na odpowiedzialność mieszkańców. Przy nich pozostał dobrowolnie szeregowiec Anizim Andrejew. Broń powstańców połamano i rzucono do ognia. Kompania ruszyła w porządku po szosie, przerzynającej okolicę lesistą. W drodze napotkała transport rannych powstańców, konwojowanych przez gromadkę licho uzbrojonych ludzi. Ci na widok wojska rozbiegli się. W jednym z wozów znaleziono 50 sztuk siecznej broni i trzy strzelby myśliwskie, trochę prochu i ołowiu, skrzynię z rachunkami suchedniowskiej

[1]) Jeden z rzemieślników kompanii, szeregowiec Zielonko, mieszkający w oddzielnym domu jako stolarz, nie chciał wydać powstańcom swej broni. Schwycony przez powstańców nic nie chciał mówić, otwaro mu więc usta ostrem żelazem, przyczem poraniono policzki i język, ale napróżno. Pozostawiono go nakoniec strasznie pokaleczonego, jako martwego na placu. Mimo to wyzdrowiał i dalej służył w pułku, ale już nigdy nie odzyskał wyraźnej mowy. Zielonko został mianowany podoficerem, otrzymał krzyż żołnierski św. Jerzego i 500 rubli sr. od cesarza, zaś 57 rubli sr. 15 kopiejek pensyi dożywotniej i zupełne utrzymanie w domu inwalidów. Wielki książę namiestnik dał mu od siebie 300 rubli sr., z funduszu dla rannych otrzymał 100 rsr., a w rosyjskim warszawskim klubie zebrano dla niego 173 rubli sr.

kasy górniczej, kilka egzemplarzy śpiewników patryotycznych i 5.070 rubli sr. w polskich seryach i listach zastawnych [1]).

Na Kielce miały napaść oddziały, sformowane we wsiach: Dyminie i Posłowicach. Oddziały te zebrały się na górze Karczówce, o trzy wiorsty od Kielc i oczekiwały na dowódzców, którzy mieli przybyć na dwie godziny przed oznaczonym terminem napadu. Przybyli jednak znacznie później, zaledwie o świcie dnia 23. stycznia, tymczasem zaś Czengiery zarządził w mieście wszelkie środki ostrożności, co widząc z Karczówki jak na dłoni, powstańcy cofnęli się nie probując szczęścia.

W Jedlnie stała kompania saperów. Powstańcy zranili dowódzcę, kapitana Witkowskiego i rozbroili żołnierzy. Część jednak żołnierzy w liczbie 60, pod dowództwem podoficera, cofnęła się do Radomia, inni uszli do Kozienic. W Jedlnie zginęło dziesięciu i tyluż było rannych.

Na Szydłowiec, w którym stało dwie kompanie mohylewskiego pułku piechoty, około godziny 2. po północy uderzył dymisyonowany sztabskapitan Jasiński z oddziałem złożonym z górników. Tu także z oddzielnym oddziałem przybył wojenny naczelnik województwa sandomierskiego, Langiewicz.

Jedna kompania wojska jako tako się sformowała, lecz nie długo trzymała się w mieście i pod dowództwem naczelnika batalionu, mjora Rüdigera, cofnęła się po szosie radomskiej i zatrzymała się o pół wiorsty za miastem. Przed świtem połączyła się z nią i druga kompania. Wówczas Rüdiger uderzył napowrót na miasteczko i wyparł z niego powstańców,

---

[1]) Opowiadanie pułkownika Czengierego, oficerów i żołnierzy smoleńskiego pułku piechoty. — Także *Dziennik działań wojennych* strona 2—4.

którzy cofnęli się do najbliższego lasu. W tej rozprawie poległo 4 żołnierzy, 10 było rannych i tyluż zaginionych. Wzięto do niewoli 40 powstańców z bronią w ręku, oraz uwięziono 30 mieszczan, podejrzanych o współdziałanie z powstańcami.

Na tem kończą się wszystkie działania powstańcze w radomskiej gubernii w nocy z dnia 22. na 23. stycznia 1863 r.

Przechodzimy teraz do gubernii lubelskiej, czyli do województw lubelskiego i podlaskiego.

Naczelnik wojenny województwa podlaskiego, Lewandowski, miał uderzyć na Siedlce, komisarz zaś tegoż województwa, Rogiński, na Białę, czemu przypadkowo przeszkodzili dowódzcy miejscowych garnizonów, pułkownik von Brigen i jenerał-major Mamajew.

W wilią wybuchu na jednej z pocztowych stacyi pod Białą, w szopie nocowało dwóch kozaków. Do szopy tej przypadkiem zaszli powstańcy, a nie widząc kozaków, zaczęli rozmawiać o jutrzejszym napadzie na Siedlce i Białę. Skoro tylko powstańcy opuścili stacyę, kozacy dopadli koni i popędzili, jeden do Siedlec drugi do Biały.

Dowiedziawszy się, że załoga już uprzedzona i ma się na ostrożności, Lewandowski nie zdecydował się na wykonanie projektowanego napadu, lecz natomiast uderzył na Stoczek o półczwarty wiorsty od Siedlec oddalony, w którym stała jedna kompania kostromskiego pułku piechoty i sotnia kozaków. Wojsko zatarasowało się po domach i odstrzeliwało się powstańcom do godziny 5. rano. Wtedy nadciągnęły z Siedlec dwie kompanie piechoty i sotnia kozaków, pod dowództwem podpułkownika Fofanowa, i samym ogniem z ręcznej broni zmusiły powstańców do opuszczenia wsi. Wchodząc do wsi, wojska widziały, jak powstańcy oddalali się w przeciwną stronę, na 100 zawczasu przygotowanych wozach. Powstańcy rozbili cekhauz, z którego zabrali 25 starych karabinów. W jednym domu spaliło się 3 żołnierzy, którzy nie chcieli się poddać.

Straty w czasie tej potyczki wyniosły 7 zabitych i 10 rannych żołnierzy. Powstańcy stracili 5 zabitych, 26 rannych i około 60 wziętych do niewoli. Przytem zabrano 3 wozy z kosami.

Jednocześnie z odsieczą z Siedlec, przybyła także jedna kompania piechoty liniowej i miejscowa komenda inwalidów ze wsi Bałki i współdziałały także przy zajęciu Stoczka.

Pod Białą oddziałami powstańczymi dowodził młody i energiczny, ale nie mający wyobrażenia o wojskowości i taktyce bojowej, Rogiński. Nie przeszkadzało to mu jednak, że był najlepszego mniemania o sobie, uważał się za główny czynnik w podlaskiej organizacyi; wtrącał się we wszelkie zarządzenia miejscowych władz powstańczych i odgrywał rolę drugiego wojewody.

On porobił wszelkie zarządzenia do wykonania napadu na Białę w oznaczonej godzinie, to jest o północy, gdy mu jeszcze za dnia znać dano, że »Rosya sformowana uszykowała się koło parku artyleryi.« To spłoszyło spiskowych i część ich pozostała w domu. Rogiński w miejsce spodziewanych kilkuset, na wszystko zdecydowanych zuchów, ujrzał się na czele zaledwie pięćdziesięciu wystraszonych baranów. Dał więc pokój napadowi, lecz podążył ku Zalesiowi, skąd, jak również z Łosic, miały nadciągnąć posiłki.

Po drodze do Zalesia dnia 23. stycznia, oddział Rogińskiego napotkał pocztową karetkę, kursującą codziennie między Brześciem a Warszawą. W karetce jechał radca stanu Czerkasów, urzędnik przybocznej kancelaryi namiestnika, człowiek znienawidzony przez Polaków i posądzany o szpiegostwo. W Polsce nadzwyczaj łatwo zostać posądzonym o szpiegostwo. Przy tak dziwnem naprężeniu stosunków politycznych, kto wówczas nie jest szpiegiem? Ludzie lekkomyślni lub złośliwi nieraz wskutek osobistej nieprzyjaźni rzucają podobne podejrzenia na swych znajomych. Czerkasowa Rogiński znał osobiście. Otworzywszy drzwiczki karety, zapytał: »Kto jesteś?« Czerkasów oceniając niebezpieczeństwo, w którem się znajdował, nazwał się »Wiszniewskim.« Ha! Jżesz jeszcze, krzyknął

groźnie Rogiński i w tej chwili przeszył go w lewy bok kindżałem. Czerkasów upadł, lecz żył jeszcze. Rogiński, jakoby dla skrócenia męczarni konającego, wziął od jednego z szeregowców strzelbę i wystrzelił *à bout portant* w głowę Czerkasowa. Mózg obryzgał ściany karetki... W kieszeniach przy trupie znaleziono raport komendanta brzeskiej fortecy, adresowany do wielkiego księcia namiestnika, zdający sprawę o stanie twierdzy, 150 rubli sr. i zegarek. Wszystko to zabrali powstańcy, trupa zaś włożyli do karetki i kazali wieźć do Warszawy. Karetka ruszyła, a przybywszy na miejsce, długo stała na dziedzińcu ratusza, pilnie oglądana przez ciekawych...

Oddział zaś Rogińskiego uszedłszy jeszcze kilka wiorst, między godziną 3. a 4. po południu spotkał jenerała Sinielnikowa w towarzystwie oficera i dwóch żołnierzy żandarmów jadącego pocztą. Rogiński odebrał u wszystkich broń i puścił jadących wolno. — (Patrz dodatek).

Jednocześnie Nowakowski i Czapiński, byli uczniowie szkoły wojskowej w Cuneo, z niewielkim oddziałem napadli na posterunki wojskowe w Rossoszy i Łomaczach. Wzięto tam do niewoli kilkunastu żołnierzy i zabrano broń z cekhauzów. Koło Zalesia połączyli się oni z Rogińskim i ruszyli razem do wsi Husinek pod miasteczkiem Janowem [1]).

Zebrało się w tej okolicy do 700 powstańców, w czem było około 70 jezdnych. Po przybyciu zaś oddziałów Rogińskiego, Nowakowskiego, Czapińskiego i Boguslawskiego z Za-

[1]) Wszystkie te miejscowości: Zalesie, Łosice, Łomazy, Rossosz, Husinki, Janów leżą na południe i północ od Biały Radziwiłłowskiej, w odległości 15—30 wiorst. W Janowie, stolicy podówczas dyecezyi podlaskiej, spoczywają relikwie św. Wiktora męczennika, staraniem hrabiny Augustowej Potockiej sprowadzone z Rzymu do miejscowej katedry. Po wybuchu powstania rozeszła się między ludem pogłoska, że to nie jest wcale głowa św. Wiktora, lecz innego męczennika za ojczyznę, głowa Pantaleona Potockiego, powieszonego w Siedlcach w 1846 roku, i że ten *Victor* wymodli u Boga dla powstańców zwycięztwo. Doszło do tego, że władze miejscowe w Siedlcach chciały wydobyć zwłoki Potockiego i przekonać się, ażali jest przy kościo-

lesia, siła ich wzrosła na przeszło 1000 ludzi. Dowiedziawszy się za pośrednictwem »pantoflowej poczty«, że jenerał Mamajew z całą załogą opuścił Białę [1]), Rogiński, który objął główne dowództwo nad połączonymi oddziałami, postanowił niezwłocznie zająć to miasto. Ruszyli więc tam uroczyście z zupełną wiarą w powodzenie, gdyż nie było z kim się potykać. Taż sama pantoflowa poczta uprzedziła mieszkańców Biały, że wojsko narodowe zbliża się od tych miejsc świętych, gdzie spoczywa głowa św. Wiktora, zapowiadającego zwycięztwo.

Na spotkanie powstańców miasto wysłało deptacyę, przybraną w narodowe godła. Dnia 25. stycznia, już o zmroku, oddziały wkroczyły do miasta wśród entuzyastycznych okrzyków ludności. W jednej chwili całe miasto zapłonęło illuminacyą. Rogiński zajął kwaterę jenerała Mamajewa. Wojsko rozłożyło się w Zamku poradziwiłłowskim na kraju miasta. Duchowieństwo zostało wezwane, by nazajutrz u fary odprawiono uroczyste nabożeństwo. Kahał zaś żydowski prosił o zezwolenie odprawienia takiegoż nabożeństwa zaraz wieczorem. Rogińskiego ujęła taka gorliwość, kazał więc odpowiedzieć, że nietylko zezwala na nabożeństwa, lecz sam ze sztabem na nie przybędzie. Rogiński w ogóle był w wesołem i doskonałem usposobieniu. Po niejakim czasie udał się do synagogi; kahalni spotkali go w przedsionku i prosili o dotknięcie się ręką tory, leżącej na ołtarzu, a gdy to spełnił rozległy się okrzyki: »wiwat Rogiński« [2]). Potem rozpoczęło się nabożeństwo, po któ-

---

trupie głowa. Miejsce, gdzie został zakopany trup Potockiego, na wielkim placu pod miejskim wałem, niedaleko toru brzesko-terespolskiej drogi żelaznej, pamiętał doskonale Hincz, który wieszał i grzebał przestępcę. Ktoś na tem miejscu po śmierci Mikołaja, wystawił słup kamienny z obrazem świętym, oraz ogromny krzyż drewniany z napisem: „Bądź Boże, wola Twoja!“ 1857, poniżej R. A. Słup kamienny stoi dotychczas, krzyż zaś po roku 1870 uprzątnięto.

[1]) Stało się to wskutek pogłosek, że powstanie na około się szerzy i w siły wzrasta, tak, że może być przecięta wszelka komunikacya z Brześciem i Siedlcami.

[2]) Zeznania Rogińskiego przed komisyą śledczą w Warszawie.

rem odczytano manifest komitetu centralnego, jako tymczasowego rządu narodowego, o rozpoczęciu działań wojennych.

Nazajutrz rano u fary, po skończonem uroczystem nabożeństwie, miejscowy wikary ksiądz Kożuchowski odczytał manifest, zaś drugi, ksiądz Mleczko, poświęcił chorągiew z Orłem i Pogonią, którą panie bialskie ofiarowały Rogińskiemu.

Gdy się to działo, »inny wydział pantoflowej poczty« uwiadomił o wszystkiem załogę brzeską. Natychmiast wyruszyła stamtąd kolumna pod wodzą skrzydłowego adjutanta, pułkownika hr. Nostitza, złożona z siedmiu kompanii piechoty, dwóch dział i półtory sotni kozaków, udając się ku Białej. Pantoflowa poczta popędziła na złamanie karku do Białej, uprzedzić Rogińskiego. Ten nie ufając swym siłom pospieszył opuścić miasto, lecz odszedłszy tylko 4 wiorsty, dnia 2. lutego spotkał się z Nostitzem. Nastąpiła utarczka, powstańcy straciwszy do stu ludzi w zabitych i rannych, rozsypali się po lasach. Ze względu, że po nocy gonić po lasach za rozbitymi oddziałami było niezręcznie, a nadto można się było narazić na nieprzewidziane spotkanie z jakiemi innemi partyami powstańców, snujących się po okolicy, Nostitz zaprzestał pościgu, i w oczekiwaniu dalszych następstw, zajął dogodną pozycyę pod miastem Białą i zaraz porozumiał się ze smoleńskim pułkiem ułanów, stojącym załogą w Międzyrzyczu, oddalonem o 24 wiorst od Biały.

Cofające się oddziały Rogińskiego, przechodząc przez Janów, zabrały z tamtejszej rządowej stadniny czternaście najlepszych koni, wszystkie srebrne nagrody i około półtora tysiąca rubli sr. z kasy i przeprawiły się przez Bug na Litwę, furgony zaś i wozy przeszły do Niemirowa, miasteczka leżącego nad Bugiem już w grodzieńskiej gubernii [1]). Za Bugiem już było kilka oddziałów powstańczych, zebranych pod Siemiatyczami, Rogiński udał się tam także ze wszystkiemi swojemi siłami.

---

[1]) W *Dzienniku działań wojennych* nr 4. str. 2, siły Rogińskiego podane są na 3.000 ludzi, cyfra to jednak stanowczo przesadna.

W ten sposób pod tym miasteczkiem zebrało się do 4.000 powstańców pod różnymi dowódzcami. Wybitniejsi z nich byli: Lewandowski, Szaniawski, Rylski i Songin (?).

Jenerał Maninkin z 6. na 7. lutego stoczył z nimi wcale poważną bitwę, po której część powstańców znów powróciła za Bug, druga zaś część pod Rogińskim, Rylskim i Songinem skierowała się ku puszczy białowieżskiej. U wstępu do puszczy, pod królowym-mostem, napadł ich ponownie hrabia Nostitz, zabrał furgony i trochę ludzi. Oddział wszakże zręcznym ruchem uniknął spotkania i uszedł do Szereszewa, w kierunku ku Prużanom. W Szereszewie Rogiński zaopatrzył swój oddział w kożuszki, koszule i buty, nadto u żydów kupił sześć pudów prochu, płacąc po 40 rubli sr. za pud, i ruszył na Prużany, gdzie miejscowa komenda inwalidów złożyła broń bez wystrzału. W miejscowej kasie powiatowej powstańcy znaleźli 7.000 rubli sr., z których Rogiński wziął 4.000 dla swego oddziału, resztę zaś oddał Songinowi i Rylskiemu. W drodze ku Kobryniowi zaszło jakieś nieporozumienie między dowódzcami. Rogiński we 33 ludzi odłączył się od towarzyszy i skierował ku Pińszczyźnie, dwaj jego towarzysze zawrócili do Królestwa.

Już w mińskiej gubernii zatrzymał pocztę, idącą z Pińska do Kobrynia, przy czem zabrano 4.300 rubli sr. i na tem skończyły się czyny wojenne podlaskiego komisarza. Koło wsi Borek kolumna kapitana Albertowa rozbiła oddziałek Rogińskiego, który z dwunastoma ludźmi schronił się w lasy i przez kilka dni błąkał się po pińskich błotach. Nakoniec, włościanie w ogóle wrogo usposobieni dla powstania, przychwycili go we dworze obywatela Młyńskiego, skąd został odesłany do Warszawy. Sąd wojenny skazał Rogińskiego na śmierć. Namiestnik wszakże uwzględniając młody wiek skazanego, który nie był nawet jeszcze pełnoletnim (miał 21 lat), zmienił karę śmierci na ciężkie roboty bez terminu [1]).

---

[1]) *Aweyde* tom IV, str. 34, nazywa działania wojenne Rogińskiego tańcem waryata.

W miasteczku Kodniu o 19 wiorst od Terespola, w nocy z 22. na 23. stycznia, powstańcy napadli na stojący tam park lekkiej artyleryi. Zginęło przytem 5 żołnierzy, raniono 15, do niewoli zaś wzięto porucznika Antonienkę i 50 żołnierzy, oraz zabrano kasę wojskową z 4.000 rubli sr. i 50 sztuk karabinów.

Na Radzyń, miasteczko powiatowe, oddalone o 26 i pół wiorst od Międzyrzyca, miał napaść oddział mieszczan i mieszkańców wsi Wohynia pod dowództwem majętnego obywatela ziemskiego Rżewskiego (?), któremu pomagali Wincenty Skalski, syn burmistrza, pisarz Pyrkosz, szlachcic Franciszek Prądzyński i ksiądz Celestyn Godlewski.

Głównym naczelnikiem oddziałów w radzyńskim powiecie, których siła liczebna nie jest wiadoma, zamianował Rogiński Deskura.

Dnia 22. stycznia naczelnicy zebrali się w Wochyni, niby na imieniny Rżewskiego, a umówiwszy się o szczegóły napadu na Radzyń, odległy o 9 wiorst, udali się do lasu, gdzie już ze swymi, jako tako uzbrojonymi oddziałkami, oczekiwali na nich Deskur i Pyrkosz.

Wysłany do Radzynia na zwiady Prądzyński, wrócił z wiadomością, że oficerowie zebrani są u kapitana żandarmów Chwoszczyńskiego na kartach.

— Cóż z nimi zrobić? — zapytano.

— Wiadomo co, wybić! — była odpowiedź. — Inni jednak radzili, by ich tylko rozbroić i zamknąć do spichrza. Wszakże po drodze ku Radzyniowi stanęło na tem, że z każdym potrzeba skończyć, gdzie się którego zastanie.

W Radzyniu część oddziału otoczyła dom Chwoszczyńskiego. Tam w rzeczy samej na piętrze siedzieli przy kartach: jenerał-major Kannabich, podpułkownik Meybaum, gospodarz Chwoszczyński i ksiądz Wenicki. Powstańcy wtargnęli na schody z takim hałasem, że Meybaum i Chwoszczyński natychmiast zmiarkowali niebezpieczeństwo i potrafili się gdzieś

ukryć, ksiądz wlazł pod stół, tak, że przy stole pozostał sam jeden jenerał Kannabich, człowiek ogromnego wzrostu i niezwyklej siły. Padł strzał, lecz kula urwała mu tylko ucho. Widząc, że nie jest zabity, napastnicy rzucili się na niego całą hurmą, lecz jenerał uderzeniem pięści kilku z nóg obalił i wydostał się z pokoju do sieni. Tu wszakże otrzymał silne cięcie pałaszem w głowę i upadł krwią zlany. Zostawiony jako zabity na miejscu, po odejściu powstańców doczołgał się jakoś do swego mieszkania...

Tymczasem Meybaum i Chwoszczyński zdołali skrycie wydostać się z matni i zebrali żołnierzy. W jednej chwili powstańcy zostali rozprószeni, a część ich dostała się w ręce wojska, którego straty wynosiły 5 zabitych i 7 rannych [1]).

Na miasto powiatowe Łukow, odległe o 26 i pół wiorst od Siedlec, uderzył oddział powstańców, złożony z 300 ludzi pieszych i 50 konnych, pod wodzą Gustawa Zakrzewskiego. O godzinie 2. w nocy wszystkie straże i część śpiących żołnierzy z dwóch kompanii kostromskiego pułku piechoty, stojących tam załogą, zostali zabici, lecz reszta wojska wypadła na rynek i sformowała się tam w czworobok. Jednak ogień powstańców, ukrytych za domami i parkanami, zmusił wojsko do wycofania się z miasta. Obsadzili więc klasztor księży Reformatów, stojący za miastem i tam się trzymali aż do nadejścia odsieczy z Mroczek, kompanii tegoż pułku piechoty.

---

[1]) Wiadomości zebrane od różnych wojskowych i od syna jenerała Kannabicha. W Radzyniu stał załogą: sztab 5-tej brygady artyleryi polowej, trzecia gwintowana baterya artyleryi i kompania strzelców kostromskiego pułku piechoty. Powstańcy oddzielnie napadli na dowódzcę tej kompanii, kapitana Diedowa, szczegółów wszakże tego napadu autor nie mógł się dowiedzieć. — Jenerał Kannabich wkrótce wyleczył się z ran otrzymanych i został zamianowany komendantem Zamościa, po zniesieniu zaś tej twierdzy komendantem Benderu, gdzie umarł w marcu 1874 roku.

Miasteczko Kazimierz nad Wisłą zostało zajęte przez oddział dowodzony przez Leona Frankowskiego, komisarza województwa lubelskiego, człowieka mimo swej młodości [1]) stanowczego, niesłychanie odważnego i niestrudzonego. Rdzeń oddziału stanowili »Puławiacy«, to jest uczniowie puławskiego politechnicznego instytutu, który powstał w 1862 roku w miejsce zniesionego instytutu rolniczego w Marymoncie. Puławiacy przechowali wszystkie tradycye, do roku 1861 ożywiające Marymont, i w dniu wybuchu wyszli wszyscy co do jednego z Puław, zabierając z sobą rządowe kuchenne naczynia i, jak wspomnieliśmy, zajęli miasteczko Kazimierz o 13 wiorst od Puław oddalone. Tam Frankowski wygłosił ową sławną mowę, w której jeden ustęp opiewał: »Na co wam broń? Z kijami zdobędziecie na Rosyanach karabiny, z karabinami armaty, a z temi Modlin i Warszawę!« Ustęp ten przedrukowały różne zagraniczne dzienniki, a także przytoczył go hrabia Montalambert w broszurze swej *De l'insurrection polonaise 1863.*

W Kazimierzu połączył się z Puławiakami tłum innych powstańców, złożony z ludzi, nie wiele albo nic nie mających do stracenia: rzemieślników, oficyalistów, drobnej szlachty, niższych urzędników o małych pensyjkach. Byli także i włościanie, ale niezbyt liczni, może pierwsi, którzy się przyłączyli do powstania [2]).

Po zajęciu miasteczka ogłoszono natychmiast rząd narodowy. Były podoficer Zdanowicz, burmistrz sąsiedniego Markuszowa, wziął się do ćwiczenia powstańców w obrotach i obchodzeniu się z bronią, i nieznacznie z instruktora stał się naczelnikiem oddziału. Żyli spokojnie i wesoło. Pusta z początku kasa wnet się napełniła, gdy Frankowski dnia 24. stycznia rozbił pod Kurowem pocztę i zabrał 48 tysięcy rubli sr. gotówką. — Kurow odległy jest od Kazimierza 19

[1]) Miał zaledwie lat 19.

[2]) Niewiadomo czy w Kazimierzu była jaka załoga wojskowa. *Dziennik działań wojennych* nie wspomina wcale o zajęciu tej miejscowości przez powstańców.

wiorst, Markuszow 20 wiorst, między Kurowem a Markuszowem 4 wiorst.

Po tygodniu dopiero otrzymano w Lublinie wiadomość o przebywaniu w Kazimierzu powstańców. Dnia 31. stycznia wysłano przeciw nim podpułkownika Miednikowa z dwoma kompaniami piechoty i półsotnią kozaków. Ten zbliżył się do Kazimierza bez wystrzału, powstańcy zupełnie nie przygotowani do boju, bez rozstawionych pikiet, na pierwszy alarm przeprawili się promami na drugi brzeg Wisły do gubernii radomskiej, ci zaś, którzy nie zdążyli dostać się do promów, uszli w lasy polanowskie i przeprawili się przez Wisłę powyżej, we wsiach Mieśmierzu, Piotrowinie i Kamieniu, lub w miasteczku Józefowie. Następnie cały oddział zebrał się pod wsią Lipskiem, w powiecie opatowskim o 30 wiorst od Kazimierza i ruszył ku Zawichostowi, po zajęciu którego zaczęło się dawne życie, gdyż nie przypuszczano, aby Miednikow zdecydował się przechodzić Wisłę [1]). Stało się atoli inaczej i Miednikow zjawił się za Wisłą. Wówczas Zdanowicz udał się ku Sandomierzowi, zajętemu przez oddział barona Rajskiego z Pinczowa. O opuszczeniu Sandomierza przez załogę, składającą się z całego batalionu piechoty, poniżej będzie mowa. Po złączeniu się oddziałów umówiono się, że Rajski ma pozostać w Sandomierzu, zaś Zdanowicz z dwoma innymi oddziałami, które się doń przyłączyły po drodze między Ożarowem a Zawichostem, osadzi wieś Słupcze, przed miastem.

Miedników szybkiem uderzeniem wyparował powstańców ze Słupczy, którzy uszli do Sandomierza, pozostawiwszy przeszło 100 poległych na placu, przeważnie Puławiaków, którzy zostali pochowani w jednej wspólnej mogile. Część cofających się dostała się do niewoli, wojsko zdobyło nadto dwa furgony z całą kuchenną bateryą, zabraną z Instytutu. Każdy z poli-

[1]) Szczegóły pobytu Zdanowicza w Kazimierzu i Zawichoście są opisane w pamiętnikach powstańca, które drukował *Dziennik warszawski* w 1865 roku, numer 147.

techników miał przy sobie dwutygodniowy formalny urlop, podpisany przez dyrektora instytutu.

Kolumna Miednikowa stanęła na nocleg o cztery wiorsty od Sandomierza na kolonii Gerlach i nazajutrz miała uderzyć na miasto, w którem oprócz starych fortecznych murów, powznoszono barykady na ulicach. Gdy jednak mieszkańcy spostrzegli przygotowania do szturmu, udali się do Rajskiego prosząc, by wyszedł z miasta i przyjął bitwę w otwartem polu. Między deputacyą był i biskup, którego przedstawienia najbardziej przyczyniły się, że o świcie dnia 9. lutego Rajski wyszedł ku Koprzywnicy. Miednikow zaś zajął miasto, spotkany przez mieszczan z chlebem i solą.

Puławiacy Zdanowicza w części poszli z Rajskim, po części się rozprószyli. Sam zaś Zdanowicz po kilku dniach dobrowolnie oddał się w ręce jenerałowi Chruszczewowi, naczelnikowi lubelskiego okręgu.

W Sandomierzu zastano 3 oficerów i 70 żołnierzy pogranicznej straży, którzy rozbrojeni, pozostawali w niewoli u powstańców. W mieście pozostali także ranni z bitwy pod Słupczą, a między nimi także Leon Frankowski. Ten przez jakiś czas ukrywał się pod obcem nazwiskiem, lecz poznany przez żandarma, został wywieziony do Lublina i tam, z mocy wyroku sądu polubownego, powieszony na placu przed Zamkiem [1]).

W województwach mazowieckiem i kaliskiem (dawna gubernia warszawska) zaszedł tylko jeden napad i to już nieco później, dokonany przez oddział Jeziorańskiego na miasto powiatowe Rawę. Wzięto tam do niewoli dwóch żandarmów i jednego żołnierza, przyczem zginął Franciszek Godlewski [2]).

---

[1]) Z opowiadań podpułkownika Miednikowa, pułkownika Sołohuba, szefa sztabu lubelskiego wojennego okręgu, a także z *Dziennika działań wojennych* nr 6 i 7.

[2]) Patrz *Pamiętniki jenerała Antoniego Jeziorańskiego.* Lwów 1880, tom I, str. 161—165. Rząd narodowy po tym napadzie awansował Jeziorańskiego na pułkownika.

Wyliczyliśmy tu wszystkie piętnaście czy szesnaście napadów, które zaszły w nocy z dnia 22. na 23. stycznia 1863 roku. Połowa z nich nie powiodła się, a inne nibyto udane, nie wiele honoru przyniosły powstańcom. Bardzo być może, że zajęte zostały jeszcze i inne jakie miasteczka bez załóg wojskowych, wiemy np. o zajęciu Łochowa, stacyi warszawsko-petersburgskiej drogi żelaznej, na której odebrano broń od jedenastu przejeżdżających oficerów, ich samych zaś puszczono wolno i spokojnie przybyli do Warszawy.

Jednak niespodziany ten a równoczesny w różnych miejscowościach wybuch, liczebna siła niektórych oddziałów, acz niedostatecznie, ale zawsze jako tako uzbrojonych i umundurowanych, zadziwiły tak dobrze Rosyan jak i samych Polaków. Na razie nikt nie chciał wierzyć, że powstanie naprawdę się rozpoczęło i że już innego początku nie będzie. Każdy rozumniejszy Polak, każdy, kto cośkolwiek umiał przewidywać, chciałby wykreślić fakt ten niemądry i przeklęty, żeby nawet i pamięć się zatarła, że powstanie się zaczynało. A jeżeli ze zbiegu okoliczności i wypływu rzeczy musiało ono wybuchnąć, to zacząć go po kilku miesiącach na nowo z większymi zasobami i lepszem przygotowaniem [1]). Gdy nadeszły pierwsze wiadomości o spotkaniach powstańców z wojskami, studenci głównej szkoły warszawskiej zebrani w liczbie 700, proponowali przez Aweydę centralnemu komitetowi, że udadzą się do różnych oddziałów, celem skłonienia dowódzców do rozpuszczenia tychże.

Czas krakowski, doskonale powiadamiany o sprawach Królestwa Polskiego, w n-rze 17. z dnia 22. stycznia 1863 r. starał się przekonywać wszystkich, że to »nie zwykłe powstanie, lecz tylko rozpaczliwy poryw broniących się od branki.« »Rząd rosyjski — pisze dalej — nowym tym gwałtem spodziewa się doprowadzić społeczeństwo do wybuchu, żeby zdusić ruch

[1]) *Giller* twierdzi, że nietylko biali, ale i pewna część stronnictwa czerwonych myślała o powstrzymaniu powstania.

wszelki i zaprowadzić w kraju spokój śmierci... Przed Bogiem, historyą i narodem odpowiędzą ciężko ci ludzie, proszący o spokój cmentarza... Dotychczas wszakże nie wiemy o żadnych spotkaniach. Lecz jeśli popisowi, doprowadzeni do rozpaczy, drogo sprzedadzą swe życie, będziemy ich żałować, lecz dziwić się im nie możemy.«

Przez całe dwa tygodnie *Czas* pisał w tym samym duchu, starając się wpoić w swych czytelników to przekonanie, że wybuch, który nastąpił, nie był właściwem przejściem spisku do czynnego działania, lecz tylko wypadkowym, bez dalszych następstw porywem. Artykuły te pochodziły nietylko od najbardziej umiarkowanego i zachowawczego stronnictwa w Krakowie, ale także od pewnego odcienia ze stronnictwa białych w Warszawie. Biali o wszystko obwiniali Wielopolskiego za zarządzenie tej nieszczęsnej, na prawach wyjątkowych branki. Szczególniej nie mogli mu przebaczyć ogłoszenia w *Dzienniku powszechnym*, jakoby popisowi cieszyli się i oświadczali z chęcią służenia w wojsku rosyjskiego cara. Nazywali to uraganiem się całemu narodowi polskiemu, prowokacyą i rzuceniem rękawicy, która podjętą być musiała. Zewsząd i na różne tony słyszano tylko wyrzekania i przekleństwa podnoszone na Margrabiego. Czego tam nie wymyślano! Ale najbardziej odznaczał się w tem niepraktyczny Kraszewski, który zamiast wybierania się w podróż, snuł się po ulicach, uważał, przypatrywał się, co nowego który dzień przyniesie, co było wczoraj, a co będzie jutro?... Wówczas dla każdego chwila każda była ciekawą, a cóż dopiero dla publicysty i powieściopisarza, który wszystkie wrażenia rad był w siebie wchłonąć i unieść z sobą na wygnanie, by potem dzielić się tem ze swymi czytelnikami w niewyczerpanych swych utworach.

Pewnego dnia już przy samym końcu stycznia, Kraszewski spotkał na Nowym Świecie ochmistrza dworu namiestnika, D. N. Nabokowa. Ten zawołał: »jak to! pan jeszcze w Warszawie? Ależ wyjeżdżaj co najprędzej, jeśli chcesz uniknąć zesłania w głąb Rosyi. Wasze sprawy biorą inny obrót;

autonomię odbiorą; szkoły podług planu Wielopolskiego zorganizowane, skasują; wprowadzą rosyjski język i rosyjskie sądownictwo. Inaczej być nie może« [1]).

Kraszewski zaczął gorączkowo wybierać się za granicę. Dom swój przy ulicy Mokotowskiej sprzedał Kronenbergowi za 80.000 złp. i dnia 2. lutego wyjechał do Drezna, gdzie trochę ochłonąwszy, wziął się z podwójną gorliwością do pisania powieści w najbardziej nieprzyjaznym i podburzającym przeciw Rosyi kierunku, które wydawał pod pseudonimem *Bolesławity* [2]).

Ma się rozumieć, że rozmowa Kraszewskiego z Nabokowym, stała się wnet rozgłośną w Warszawie, Królestwie Polskiem i zagranicą. Nadzieje i wiara w rząd, jeżeli istniały gdzie między białymi, upadły. Cały kraj, wszystkie stronnictwa, stanęły wrogo do Rosyi i Rosyan. Wszystko wzięło bezpośredni lub pośredni udział w walce. Wszyscy szli do rozpaczliwego boju z myślami, które jeszcze w 1862 roku Bobrowski wypowiedział autorowi *Aspiracyi politycznych:* »W naszem prze-

---

[1]) Wiadomość od Kraszewskiego.

[2]) Oto spis dzieł jego z pierwszych dziesięciu lat jego wygnania: *Dziecię starego miasta.* Poznań 1863 r. — *Para czerwona,* obrazek współczesny. Lipsk 1864 r. — *Szpieg,* obrazek współczesny. Poznań 1864 r. — *My i Oni,* obrazek współczesny. Poznań 1865. — *Na Wschodzie,* obrazek współczesny. Poznań 1866 r. — *Rachunki z roku 1866, 1867, 1868 i 1869,* wydawane w Poznaniu. — *Hybrydy,* powieść współczesna. Kraków 1869 r. — *Emisaryusz,* wspomnienia z 1838 roku. Lwów 1869 r. — *Omnibus.* Drezno 1869 r. — *Tułacze,* opowiadania historyczne. Poznań 1868—1870 r. — *Szaławiła,* powieść staroszlachecka. Toruń 1870 r. — *Zagadki,* obrazy współczesne. Poznań 1870 r. — *Czarna perełka,* powieść. Lwów 1871 r. — *Program Polski 1872 roku,* myśli o zadaniu narodowem, zebrane i spisane przez Bolesławitę. Poznań 1872 r. z następującym epigrafem Asnyka:

„Przestańmy własną poić się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić;
Kochać się w skargach — jest rzeczą niewieścią;
Mężom przystoi — w milczeniu się zbroić!“

Warszawa w 1794 roku, powieść historyczna. Poznań 1873 rok. — *Moskal,* obrazek współczesny. Lipsk, bez roku.

konaniu w tej chwili zagrożoną jest w nas wierność dla sztandaru, przy którym stojąc wytrwale, naród polski od lat stu niósł niezliczone ofiary dla jasno wytkniętego celu i żył swojemi wielkiemi ideałami. Nie możemy więc żadną miarą dopuścić, aby przyjmując kompromis z Rosyą, większość narodu miała odstąpić tego sztandaru i hasła. Uważamy więc za najświętszy nasz obowiązek względem idei polskiej i względem ojczyzny, skutecznie i stanowczo temu kompromisowi zapobiedz. Spełniamy ten obowiązek wywołując powstanie, do którego czynimy przygotowania i dążymy w przekonaniu, że Rosya, dla stłumienia naszego ruchu nietylko kraj nasz zniszczy, ale wyleje takie potoki krwi polskiej, że one na długo staną się nieprzebytą przeszkodą ku wszelkiemu porozumieniu z najezdcami naszej ojczyzny; nie przypuszczam bowiem, by nawet po upływie pół wieku naród polski mógł puścić krew tę w niepamięć i wyciągnąć rękę do nieprzyjaciela, z którego ręki te rzeki krwi wylane zostały«[1]).

Nikt nie łudził się dziecinną illuzyą, by naprędce zebrane, ladajako uzbrojone i niewyćwiczone oddziały powstańcze mogły pokonać ogromną armię rosyjską, lecz nikt nie widział innego wyjścia. Zginąć wszystkim, usłać Królestwo Polskie trupami, zaludnić Syberyę tysiącami i tysiącami wygnańców, rozdrażnić Rosyę do ostateczności i to na jakie lat pięćdziesiąt, to był cel ostateczny. Co się zaś potem stanie z krajem, nad tem w tej chwili nikt się nie zastanawiał.

Nadzieje na pomoc państw zachodnich także nie były zbyt świetne. Polacy, więcej obyci ze sprawami międzynarodowemi, dawno spostrzegli zmianę kierunku polityki Napoleona i dążenie jego do zbliżenia się z Rosyą. Chociaż w Izbach zawsze się odzywały mowy bardzo sympatyczne dla Polaków, wypływały one jednak bardziej z ducha opozycyi przeciw ce-

[1]) Str. 243. Tak samo byli usposobieni przed powstaniem Polacy na emigracyi różnych stronnictw i odcieni. Patrz uwagę *Herzena* o rozmowie, jaką miał z Branickim, Chojeckim i Padlewskim, latem 1862 roku. *Oeuvres posthumes* str. 196—197.

sarzowi, aniżeli ze szczerych sympatyi dla Polski. Cesarz zaś widząc niecierpliwość, zaślepienie i lekkomyślność tych, co tak niewcześnie wywołali powstanie, a właściwie lekkomyślność wszystkich warstw społeczeństwa polskiego... nie mógł brać Polaków na seryo i być dla nich dobrze usposobionym. Oczekiwał od nich czegoś... bardziej poważnego; w przywódzcach ruchu spodziewał się spotkać wytrawnych mężów, a znalazł się wobec dzieci. Zaraz też po wybuchu styczniowym przez usta swego ministra stanu Billaut'a oświadczył, że »Francya i jej rząd, mimo swych żywych sympatyi dla Polski, sądzą że nadana przez obecnego cesarza Aleksandra II. autonomia dla Królestwa Polskiego, powinna była wywołać bardziej szlachetne uczucia, aniżeli wybuch powstania, które ostatecznie sprowadzi na ten kraj jeszcze straszliwsze klęski.«

To zostało wypowiedziane dnia 5. lutego 1863 r. Poważniejsi Polacy zasmucili się. Książę Wład. Czartoryski prosił ks. Bassano, szambelana cesarza, o wykreślenie go z listy osób, zapraszanych do Tuilleuryów na zebrania, na których roztrząsały się sprawy, mające jakikolwiek związek z Polską [1]).

Naraz zaszło coś zupełnie niespodziewanego. Bismark, rozpoczynający wówczas właśnie swą świetną polityczną karyerę na stanowisku prezesa ministeryum pruskiego, spostrzegłszy niebezpieczne dla Prus zbliżenie Francyi z Rosyą, natychmiast uknuł śmiały plan, mający na celu i rozbicie nawiązującego się przymierza i wywołanie z kurzu archiwalnego sławnej *die Knesbecksche Gränze*, o której podówczas zupełnie zapomniano [2]). Wtedy poświęcił on znaczne sumy celem wywołania u kierowników ruchu pruskich sympatyi [3]).

---

[1]) *Aspiracye polityczne* str. 250.

[2]) Karl Frydryk Br. von Knesbeck, urodzony w 1778, a zmarły w 1848 roku, za młodu pisywał patryotyczne poczye *(Lob des Krieges)*, i jako wojskowy szczególniej był czynnym w latach 1806, 1811 do 1814. W 1822 roku mianowany jenerałem piechoty, w 1831 roku dowodził korpusem obserwacyjnym, rozciągniętym nad polską granicą.

[3]) *Aspiracye polityczne* str. 246.

Następnie wysłał do Drezna jenerała von Treskow dla porozumienia się z przebywającym tam agentem rządu narodowego, Aleksandrem Kłobukowskim i skłonienia rządu narodowego do jakiej demonstracyi na korzyść Prus, naprzykład uroczystego ogłoszenia, że Polacy nie chcą połączenia z barbarzyńską Rosyą i wolą poddać się Niemcom, z którymi w każdym razie będzie im lepiej, tem bardziej, że Rosya pokonawszy powstanie nie będzie przebierać w środkach zemsty i zgotuje Kongresówce przyszłość okropną.

— Jak mam to rozumieć, więc chcecie zabrać całe Królestwo Polskie? — zapytał Kłobukowski.

— O nie — odpowiedział Treskow — to by sprowadziło konflikt z całą Europą; na razie poprzestalibyśmy na Wiśle i Narwi, a Rosyi moglibyśmy ofiarować w zamian księstwa Naddunajskie [1]).

Kłobukowski zwrócił się do Kraszewskiego z propozycyą wystąpienia jakiegoś w tym kierunku, coby przy istniejącem ogólnem i straszliwem rozdrażnieniu wobec Rosyi, nie powinno było być trudne. Kraszewski jednak odpowiedział, »że nie mając pełnomocnictwa do podobnych wystąpień, ani też reprezentując jakiekolwiek stronnictwo, sam nic nie przedsięweźmie, jednakże radzi Kłobukowskiemu, by się udał do księcia Władysława Czartoryskiego w Paryżu i przedstawił mu tę, bądź co bądź, ważną sprawę. Kłobukowski usłuchał tej rady i wziąwszy jeszcze list od Kraszewskiego popędził natychmiast do Hotelu Lambert. Tam książę, gdy tylko po-

---

Pozostałe po nim papiery, wcielono do archiwum spraw zagranicznych. W pozostawionych kilku rozprawach twierdzi on i strategicznie wywodzi, że „dla Prus konieczną jest od Rosyi, granica po Wisłę, że tylko wtedy mogą się one czuć zupełnie bezpieczne, bez tego zaś pozostaną zawsze tylko nieprawidłową polityczną formacyą.“ Wskutek tych pism Wisłę poczęto nazywać w Prusiech Knesbekowską granicą, i cokolwiek bądź kto twierdzi, tkwi ona zawsze i pozostanie *in votis* Prusaków.

[1]) Autor *Aspiracyi politycznych* na str. 343 twierdzi, że Kłobukowski konferował z samym Bismarkiem.

słyszał o co chodzi, bez namysłu zawołał: »Do Niemiec! za nic w świecie!«

Gdy ta pierwsza intryga zawiodła, Bismark w inną stronę zarzucił swe sieci. Wysłał do Warszawy jenerał-adjutanta Alvenslebena, któremu towarzyszyli jako adjutanci pułkownik Loen i major Rauch, z ofiarowaniem wojskowej pomocy, czy to przez zajęcie pewnej części Królestwa, czy też przez wystawienie kilku korpusów wojska na granicy. Mówiono, że jakiś korpus otrzymał nawet rozkazy mobilizacyjne. (Patrz ówczesne dzienniki z drugiej połowy lutego 1863 roku. Berliński korespondent do *Dziennika poznańskiego* pod dniem 12. lutego 1863 roku donosi, że »od Schmaleningen we Wschodnich Prusiech, do Mysłowic na górnym Śląsku, granicę pruską mają obsadzić cztery korpusy wojska. *Posener Zeitung* wymienia nawet, które to korpusy zostaną zmobilizowane).

Dnia 5. lutego, a więc we dwa tygodnie po wybuchu powstania, owi wojskowi, ku wielkiemu zdziwieniu księcia namiestnika i jego dyplomatycznej kancelaryi, zjawili się w Warszawie. Nikt nie wiedział, jakie wobec nich zająć stanowisko, co z nimi mówić. Nie umiano nawet zdać sobie sprawy, o co właściwie rzecz chodzi, a tem mniej, jakie są zamiary Prus. Dyrektor dyplomatycznej kancelaryi wielkiego księcia, Tęgoborski, donosząc Oubrilowi, posłowi rosyjskiemu w Berlinie, o przygotowanych dla Prusaków pomieszkaniach, pisze dnia 4. lutego 1863 roku: »Nie możemy sobie dobrze wyjaśnić powodów tej misyi. *Periculum in mora* niema i nie doszliśmy jeszcze do tego, abyśmy potrzebowali pomocy wojskowej. Na teraz żądamy, by Prusy strzegły pilniej granicy i nie dozwalały ukrywać się powstańcom u siebie... Misya trzech wojskowych nadaje zbyt wiele rozgłosu i wagi sprawie, która doskonale dała by się z jednym z nich omówić [1]).

[1]) Depesza ta została przejętą razem z kilku innemi na jednej ze stacyi warszawsko-bydgoskiej drogi żelaznej. W Kowalu podług *Posener-Zeitung*, w Aleksandrowie, jak twierdzi *Giller* tom II, str. 67. Nam zaś o tej sprawie udzielone zostały następujące szczegóły

Alvensleben proponował podobno wielkiemu księciu zawarcie konwencyi. Wielki książę wymówił się brakiem instrukcyi, więc Alvensleben pojechał do Petersburga, gdzie dnia 8. lutego zawarł szczęśliwie konwencyę, zawierającą obok jawnej umowy i jakieś artykuły sekretne. Na mocy jawnej umowy Prusy zobowiązywały się przepuszczać w razie potrzeby przez swe terytoryum wojska rosyjskie, a nawet udzielać im czynnej w nagłych razach pomocy, przyczem i wojskom pruskim było dozwolone wkraczanie w granice Królestwa Polskiego.

Dyplomatyczna kancelarya namiestnika została uprzedzoną przez rosyjskie poselstwo w Paryżu, że do Warszawy jedzie kupiec Rose z żoną, niby to pod pozorem uzyskania dostawy obuwia dla rosyjskiej armii, i że tym osobom, gdy będą wracać do Paryża, można będzie powierzyć wszelkie dopesze i listy. Tęgoborski wręczył Rosemu siedm listów; trzy własnych do Budberga i Oubrila, dwa księżny namiestnikowej (do księżny Alicyi Hesskiej, córki królowej Wiktoryi i do hr. d'Aquilla) i dwa hrabiego Chreptowicza i żony jego, z domu hrabiny Nesselrode, do siostry jej hrabiny Seebach, przebywającej podówczas w Paryżu. — Listy te pani Rose zaszyła w swe suknie, jednak mąż jej nieostrożnie przed kimś z tem się wygadał. Doszło to do wiadomości rządu narodowego. Rosego mało kto znał w Warszawie, donoszący zwrócił tylko uwagę na jego włochatą czapkę, którą nosił dla reumatycznych bolów w głowie. Wyszedł rozkaz rządu narodowego, „poddać ścisłej rewizyi włochatą czapkę.“ To było ściśle wykonane. Na jednej ze stacyi, a może nawet w samym pociągu, poproszono Rosego i jego towarzyszkę do osobnego przedziału i zażądano wydania depesz i listów. Panią Rose rewidowała jakaś młoda dziewczyna. Listy Tęgoborskiego odesłano zaraz do Krakowa i tam je ogłoszono w *Czasie* (patrz dodatek). Listy zaś wielkiej księżny i Chreptowiczów po przeczytaniu, zapieczętowano pieczęciami rządu narodowego i odesłano do Zamku z pismem, w którem władze narodowe przepraszają za tę „niedelikatność“, spowodowaną wymaganiami wojny. – (*Independance Belge* 1863 rok, nr 47, str. 2, szpalta 6. — *Giller* tom II. str. 67, oraz wiadomości zaczerpnięte z kancelaryi dyplomatycznej namiestnika). — Michał, syn Ireneusza, hr. Chreptowicz, ochmistrz dworu, zarządzający dworem wielkiego księcia w Warszawie, został wkrótce uwolniony i zastąpiony przez hrabiego Kellera. Mówiono, że w przejętym liście pani Chreptowiczowa miała się wyrazić, że wielcy księstwo w Warszawie „grają w króla i królowę.“

O tych pruskich zachodach natychmiast wiedziała cała Europa. Zapytywano o znaczenie konwencyi? Nikt wszakże dokładnych wyjaśnień nie dawał. Dopiero w drugiej połowie lutego rąbek zasłony został nieco uchylony, gdy na balu u posła rosyjskiego w Berlinie, Bismark powiedział wice-prezesowi izby poselskiej Berendtowi, że są dwa sposoby rozwiązania sprawy polskiej: »Albo wspólnie z Rosyą zgnieść natychmiast powstanie i wobec Europy stanąć z faktem dokonanym, albo też dopuścić, by się powstanie przeciągało w nieskończoność, niech się Polacy gryzą z Rosyanami..., a następnie, gdyby Rosya widziała się zmuszoną zażądać naszej pomocy, lub gdyby Polakom udało się zmusić ją do opuszczenia Królestwa, wówczas wysłać tam wojska i zająć Królestwo na rzecz Prus.«

Na razie Berendt oslupiał, w końcu wreszcie zrobił uwagę, »że pan prezydent ministrów widocznie w karnawałowem usposobieniu, pozwala sobie żartów i mistyfikacyi.«

— Ani trochę — odrzekł Bismark — o sprawach poważnych zwykle mówię seryo. Rosya nie może strawić Polski. To ciągle jątrząca się na jej ciele rana. Car Aleksander sam mi mówił w Petersburgu, że Rosyanie nie są w stanie pokonać wyżej cywilizacyjnie stojących Polaków. Inna rzecz z nami; my byśmy zgermanizowali Polskę w bardzo krótkim przeciągu czasu. Mogłaby nastąpić unia osobista i polscy deputowani zamiast w Berlinie obradowaliby w Warszawie.

Podług twierdzenia *Kammer-Correspondenz*, Berendt powtórzył całą tę rozmowę na posiedzeniu postępowej frakcyi deputowanych, ci zaś stronnictwu, stojącemu kolo prezesa Bokum-Dolfs'a. W całym Berlinie zakotłowało się. Posypały się wymówki, że niepodobna do takiego stopnia lekceważyć istniejących traktatów... Jeden z dyplomatów wpół żartem, wpół na seryo zainterpelował Bismarka o tej wyprawie do Królestwa i nowym podziale Polski. Ależ to wzburzy całą Europę? Na to ks. Bismark odpowiedział z niewzruszonym spokojem: »Wszystko to są wierutne bajki. Prusom wciąż przypisują wojenne zamiary i cały świat niemi straszą, w rzeczy zaś samej

to coś nakształt węża morskiego, o którym wszyscy mówią, chociaż go dotąd nikt jeszcze nie widział.« I tę rozmowę powtórzyły dzienniki [1]).

Nie pozostało więc nic innego naszym kochanym sąsiadom, jak i nadal pełnić rolę rzeczywistego sprzymierzeńca Rosyi: zatrzymywać paki z bronią, chwytać podejrzane osobistości przekraczające granice i t. p. Ale i to nie długo trwało.

Polityka Francyi natychmiast się zmieniła. Napoleon widząc, że może na czas dłuższy nie przyjdzie do porozumienia z Rosyą, zwrócił się do Austryi i Anglii z propozycyami zbrojnej interwencyi na korzyść Polaków. Policya starała się niewidzieć urządzanych w Paryżu i po innych miastach zgromadzeń w sprawie Polski i wszelkich innych podobnych demonstracyi, jak np. studentów Sorbony na cześć księcia Czartoryskiego w dniu 12. lutego 1863 [2]) r. Księciu oświadczono, by po dawnemu zaczął bywać w Tuilleryach. Sekretarz cesarza powiedział poufnie do księcia: »Rosyan pokonać nie zdołacie, *cela va sans dire*, lecz trzymajcie się do ostatka.« Podczas tej rozmowy senator Mocquard, kilka razy powtórzył: »*vous comprenez qu'il est très difficile d'aider un homme mort, tachez donc de durez.*« (Trudno pomódz umarlemu, starajcie się więc trwać [3]). »*Durez*«, powtarzał książę Ryszard Metternich, ambasador austryacki w Paryżu. »*Durez*«, mówił Walewski, prezes izby deputowanych. Wkońcu sam Napoleon w tymże czasie odezwał się do jenerała Władysława Zamoyskiego: »*Tachez de vous tenir seulement six semaines, les encouragements ne manqueront pas* [4]).

---

[1]) Zobacz *Czas* z 1863 roku nr 53, str. 2, szp. 3, korespondencya z Wrocławia.

[2]) *Czas* nr 39. — *Independance Belge* nr 41.

[3]) Patrz *Aspiracye polityczne* str. 251. Książę Władysław Czartoryski w liście do redaktora *Journal des Débats* wypowiedział w pierwszej połowie lutego ówczesny swój pogląd na powstanie. List ten w tłómaczeniu podał *Dziennik poznański* nr 41, str 3, szp. 1.

[4]) *Gazeta narodowa* 1878 rok nr 181, str. 2, szp. 3.

W Anglii także odbywały się meetingi. Później nastąpiło toż samo w Szwecyi i we Włoszech. Nawet w Hiszpanii weszły w modę ozdoby z czarnych dżetów zwane »polskiemi łzami.« W Paryżu robotnicy wystosowali adres do cesarza z żądaniem, by ich poprowadził »przeciw barbarzyńskiej Rosyi w obronie gnębionych Polaków« [1]).

Łatwo można sobie wyobrazić uczucia, przejmujące Polaków na emigracyi i w obu innych zaborach, wobec powyżej przytoczonych okoliczności. Grunt i tak aż nadto był przygotowany na wszelkiego rodzaju szaleństwa. W Królestwie nie na żarty zaczęto wyglądać, rychło li żuawi zjawią się obok polskich powstańców, a że Garibaldi przybędzie z włoską pomocą, w to święcie lud wierzył. Bardzo, ale to bardzo niewielu Polaków nie straciło głowy w tym ogólnym zamęcie i czuło niejako instynktem, że z tego wszystkiego skutku żadnego nie będzie, że ani Francuzi, ani Włosi z pomocą nie przyjdą... Ogół narodu postanowił wspierać powstanie do ostatnich środków. Entuzyazm, poświęcenie i gotowość do ofiar doszły do najwyższego stopnia. Działy się rzeczy, którym trudno dać wiary. Dyrekcye Towarzystwa kredytowego ziemskiego po województwach otworzyły kredyt rządowi narodowemu (?), powtarzano, że dyrekcya płocka wydała na powstanie około dwóch milionów złp., a nadto otworzyła kantor w Toruniu dla załatwiania różnych operacyi rządu narodowego zagranicą. Dla uzupełnienia zaś stanu kas na wypadek rządowej rewizyi, wszystkie dyrekcye nałożyły na obywateli dowolny podatek i ci z małymi wyjątkami wpłacali nałożone na nich kwoty.

Zarządzenie to dodało sił powstaniu, ośmieliło, otoczyło powagą i usprawiedliwiło niejako wszelkie zarządzenia rządu narodowego. Bez tego, niespodzianie i efektownie wybuchły pożar, strawiłby się natychmiast i zagasł jak świeca zdmuchnięta. Wszak w chwili wybuchu powstania komitet centralny

---

[1]) *Historya powstania narodu polskiego 1863 i 1864 roku.* Lwów 1882, strona 256 i 257.

posiadał w swych kasach wszystkiego czterykroć sto tysięcy złp., czyli 60.000 rubli sr.; kwota nie wystarczająca na jeden dzień dla cośkolwiek liczniejszego i porządnie zorganizowanego oddziału [1]).

Komitet centralny, jako tymczasowy rząd narodowy, przeczuwając tę zmianę usposobienia w narodzie, na trzeci dzień po przybyciu do Warszawy pruskich oficerów, gdy powszechnie zaczęto mówić o zawrzeć się mającej konwencyi prusko-rosyjskiej, ogłosił rodzaj ostrzeżenia, w którem między innemi powiada: »Bracia! wojna z głównym naszym wrogiem, carem rosyjskim, wymaga natężenia wszystkich sił narodu i współudziału wszystkich polskich prowincyi. Dlatego w zaborach pruskim i austryackim powstania być nie powinno i być nie może« [2]).

W Rzymie agentem rządu narodowego został zamianowany szambelan papiezki Kulczycki [3]). Przytem rząd narodowy chciał przesłać Ojcu świętemu adres z dokładnem wyjaśnieniem, co mianowicie wywołało obecną zaciętą walkę z wiekowym wrogiem Polski. Adres ten podejmował się przewieźć i przedłożyć Ojcu świętemu hr. August Potocki, coś jednak przeszkodziło; podobno rząd narodowy nie mógł się porozumieć we wszystkich szczegółach z hr. Potockim. Ostatecznie adres dopiero w czerwcu został wysłany przez Gabryela Luniewskiego [4]).

Za pośrednictwem i przy pomocy Francyi rząd narodowy potrafił tak dalece zbliżyć się do Austryi, że członkowie

---

[1]) *Giller* tom I, str. 270. Uwaga.

[2]) Cały dokument u *Gillera* tom I, str. 110.

[3]) Obawiano się, ażeby Pius IX nie zajął wobec powstania stanowiska Grzegorza XVI, gdy ten dnia 9. czerwca 1832 roku wydał do polskich biskupów encyklikę, w której powiedział: „Pod maską obrony wiary, Polacy powstali przeciw swej prawowitej władzy i wtrącili tem swą ojczyznę w przepaść nieszczęścia“. Następnie wzywał Polaków z Królestwa Polskiego „do posłuszeństwa swemu wspaniałomyślnemu monarsze, jako władzcy ustanowionemu od Boga.“

[4]) *Gazeta narodowa* z 1875 r. nr 137. Artykuł *Gillera* o Karolu Ruprechcie.

rządu narodowego wchodzili z ministrami cesarza Franciszka Józefa w bezpośrednie stosunki i zupełnie otwarte wyjaśnienia. Znana jest np. odpowiedź ministra wojny, hrabiego Degenfelda na uwagę, »że najtrudniej będzie o zorganizowanie artyleryi.« Czemuż nie zabierzecie u nas? wielkiego oporu nie spotkacie [1]). Następnie znaleziono jeszcze prostszy sposób...

Nawet pomimo zawartej konwencyi wynaleziono jakieś drogi i do Prusaków; dziś nie podlega to żadnej wątpliwości.

Gdy nakoniec po wyjaśnieniu się opinii gabinetów europejskich, w połowie lutego, do ostatniej chwili wahający się książę Władysław Czartoryski stanął pod rozkazami rewolucyjnego ruchu w Polsce, wszystkie białe komitety w kraju i za granicą poszły za tym przykładem. W Galicyi zawiązało się kilka nowych komitetów [2]). Każdy z nich spieszył z wszelką pomocą powstaniu, ale też jednocześnie, rzecz zwykła u Polaków, każdy starał się zająć przewodnie stanowisko i usunąć inne od działania. Książę Adam Sapieha, człowiek młody, rozumny i wybitnych zdolności, a przytem rozporządzający znacznymi środkami pieniężnymi, najwięcej miał danych do zajęcia przewodniego stanowiska, przynajmniej we Lwowie i wschodniej Galicyi [3]). Jego energia i gotowość do ofiar nie miały granic. Raz zawołał: »przyszła nakoniec chwila, w której każdy Polak ostatnie buty winien złożyć na ołtarzu ojczyzny!« [4]).

---

[1]) Opowiadał Lucyan Siemieński w 1878 roku w Warszawie.

[2]) Patrz *Miłkowski* str. 18, „Galicya i Wschód.“

[4]) *Giller* tom I, str. 303 i tom II, 4—5, tak charakteryzuje Sapiehę: wszechmocny we wschodniej Galicyi, główne źródło jej oporu wobec rządu narodowego... człowiek zręczny, oględny, prędko się decydujący i umiejący rozpatrzeć w danem położeniu, stałego charakteru, niezmordowany, nie bardzo przebierający w środkach... posiadał nieograniczone zaufanie galicyjskiej szlachty, patrzącej na niego jak na swą wyrocznię. Bez jego wiedzy i woli mało co dało się zrobić we wschodniej Galicyi... on mógł niedopuścić ani jednego transportu do województwa lubelskiego i na Ruś; on mógł przeszkodzić sformowaniu się najmniejszego oddziałku w jakimkolwiek punkcie wschodniej Galicyi. [4]) *Miłkowski* str. 13. „W Galicyi i na Wschódzie.“

W Poznaniu hr. Działyński i hr. Raczyński, oddawna pomagający ruchowi, teraz rozwinęli jeszcze bardziej swe rewolucyjne działania i wraz z innemi wybitniejszemi osobistościami stronnictwa białych wyprawili w Płockie kilka wcale dobrze uzbrojonych i wyekwipowanych oddziałów [1]). W ogóle w pruskim zaborze wydano na wspieranie powstania 1863 roku do 15 milionów talarów. Działyński i Raczyński dali każdy po 50 tysięcy talarów [2]).

Prusacy przepuścili je przez granicę, jakby wywzajemniając się tem przed Europą za swe ostatnie, tak niemile przyjęte wystąpienia i jakby dając do zrozumienia, że w danym razie i oni mogą wziąć udział w koncercie...

Bliski krewny a zarazem szwagier hrabiego Działyńskiego, jenerał Władysław hr. Zamoyski, w porozumieniu z hotelem Lambert, w którym zawsze zajmował wybitne stanowisko, udał się do Londynu, dla usposobienia korzystnie dla Polski tamtejszych sfer wyższych. Zdaje się, że w tej misyi współdziałał i sam cesarz Napoleon. W Londynie zgłosił się do jenerała niejaki Łapiński, pułkownik z Kaukazu, awanturnik najczyściejszej rasy, który po nieudałej Abchazskiej ekspedycyi, wywołanej, jak się zdaje, przez hotel Lambert, znalazł się chwilowo na bruku londyńskim. Łapiński stanowczo potępiał wybuch powstania i oświadczył to otwarcie hr. Zamoyskiemu. Ten wszakże stropił go odrazu słowami: »w istocie, mój kochany, jeśli zaczniemy ważyć i rozbierać widoki powstania, to nie znajdziemy żadnych; głupstwo, waryacya! Ale rzecz się stała i już się nie odmieni. Chwycili za broń, bośmy nie umieli ich powstrzymać. Teraz już za późno na dawanie nauk; na

---

[1]) Z dochodzeń Rałcza, opartych na pruskich rządowych dokumentach, a także na papierach przychwyconych w czasie rewizyi w pałacu hr. Działyńskich w Poznaniu, okazuje się, że biali wypłacili poznańskiemu komitetowi czerwonych 12.580 talarów (t. II, str. XXXII).

[2]) *Moller* str. 726 pisze, że ze składek W. Księstwa poznańskiego wysłano za granicę 21 milionów złp. — *Situation de la Pologne* str. 222.

nic by się to nie zdało, a jeszcze bardziej sprawę pogorszyło. Powstali, musimy więc ich wszelkiemi siłami popierać. Gdybym był młodszy, sam pospieszyłbym na pole bitwy. Któż może przewidzieć, wszak dzieją się cuda na świecie, i nam przyjść może niespodziana pomoc; wszak sam fakt powstania, to cud prawdziwy!... A wiesz, co mi powiedział niedawno cesarz?« Mówiąc to nieco tajemniczo i robiąc aluzyę na pomoc państw zachodnich, powtórzył słowa, któreśmy powyżej przytoczyli, a których dość zresztą ograniczony kondotyer, wysłuchał z największem przejęciem, starając się nie uronić ani jednego wyrazu.

Łapiński został przekonany i pozyskany.

W Sztokholmie niejako półoficyalnym przedstawicielem Polski był brat stryjeczny księcia Władysława, książę Konstanty Czartoryski, mając za sekretarza Waleryana Kalinkę [1]).

Ostrożna i trzymająca się na uboczu Dania, i ta również wspierała Polaków i pomagała morskiej wyprawie Łapińskiego, o której wspomnimy później.

I tak fala powstania rozszerza się po kraju szeroko, wszędzie znajdując sprzymierzeńców i współczucie. Jeżeli młodzież żywiąc tylko niepewne i mgliste nadzieje na pomoc Francyi,

---

[1]) Waleryan Kalinka, człowiek niepospolity i znakomitych zdolności, był przez dłuższy czas sekretarzem księcia Adama, potem z jenerałem Zamoyskim na Wschodzie. Zajął bardzo poważne stanowisko w historycznem piśmiennictwie polskiem. Po roku 1870 wstąpił do Zgromadzenia księży Zmartwychwstańców i w końcu był prowincyałem tego zakonu w Galicyi. — Ważniejsze jego pisma są następujące: *Jaka była dawna Polska?* Kraków 1848 rok. — *Historya pożaru miasta Krakowa.* Kraków 1850 r. — *Listy o Krakowie* przez *Pęcławskiego.* Poznań 1850 r. — *Żywot Tadeusza Tyszkiewicza.* Poznań 1853 r. — *Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem.* Paryż 1853 r. — *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta.* Paryż 1868 r. — *Przegrana Francyi i przyszłość Europy.* Kraków 1871 r. — *Polityka dworu austryackiego w sprawie Konstytucyi 3. maja.* Kraków 1873 r. - *Sejm czteroletni.* Kraków 1880—1886 r.

Nowe, zbiorowe wydanie pism Kalinki, wychodzi w Krakowie od roku 1891.

szła z rzadką odwagą, stanowczością i poświęceniem do lasu, to łatwo przedstawić, jaki duch ją ożywił, gdy doszły do niej wieści, że wskutek prusko-rosyjskiej kowencyi cesarz Francuzów zmienił stanowczo swą politykę na korzyść ich sprawy; gdy dzień po dniu przybywały z nad Sekwany słowa zachęty, pochodzące z ust najwybitniejszych osób kierujących polityką... Wszyscy poczuli w sobie zdwojoną odwagę, zdwojoną gotowość do ofiar i poświęceń... Niejeden inwalid już z kilku nieudałych powstań, który dotychczas ze łzami błagał syna lub krewnego, by dał spokój niebezpiecznym marzeniom i siedział spokojnie w domu, aż burza przejdzie; który na przykład przytaczał, jak powstanie z 1830 roku, pomimo że rozporządzało doskonałą armią, zasobnym skarbem, twierdzami uzbrojonemi, skończyło się najsmutniejszą klęską; gdy ten syn lub krewniak, słuchający w milczeniu, a nawet potakujący przekonywającym twierdzeniom starego, nazajutrz, bez pożegnania, ulatniał się z rodzicielskiego domu; stary zapłakał, lecz w głębi duszy błogosławił zbiega... a nieraz... siadał na wózek i po ustronnych ścieżkach w tę samą stronę poniósł swe stare i sterane kości... Zdarzały się i takie przykłady, że po gorących rozprawach o bezmyślności powstania, mentor z uczniem na jednym wózku podążali do najbliższego oddziału.

Zaczęła się wojna!

Dla bezstronnego i nieuprzedzonego świadka, cały ten hałas i zapał, wszystkie te oddziały niby wojskowe, przekraczające granice, wszystkie te rozgłaszane przez *Czas*, *Gazetę narodową* i *Dziennik poznański* zwycięztwa, nie miały jakiejkolwiek rzeczywistej podstawy. Każda europejska armia, nawet nie nazbyt liczna, mogła w jednej chwili znieść i zdmuchnąć z oblicza ziemi tę dziecinną fantasmagoryę. I rosyjska armia, w sile, w jakiej zajmowała Królestwo Polskie, mogła była i potrafiłaby toż samo uczynić, gdyby miała wodza. Wodza, któryby, zrozumiawszy rzecz całą, dał rozkaz jak działać, trzymając się pewnego systemu i znanych wojskowych reguł. Armia rosyjska takiego wodza nie miała. Ludzie, otaczający

cesarza i namiestnika byli albo ograniczeni, albo też leniwi i niedbali.

I temu to lenistwu i głupocie, tym mylnym zabiegom a częstokroć i niesumienności, połączonej z osobistymi widokami korzyści [1]), tym grubym omyłkom, powstanie 1863 roku, czyli tak zwane styczniowe, przeciwstawiło ludzi, rozumiejących gdzie i jak działać, niesłychaną energię, zapał i ofiarność, posuniętą do ostatecznych granic. Wówczas wystarczały godziny na dokonanie czynności, wymagających na pozór parę miesięcy czasu; jeden pracował za pięciu... i to zrównało karzełka z tytanem; walkę nierówną... wyrównało, przedłużyło na rok to, co powinno się było jednego tygodnia zakończyć. Tytan zapisał na kartach swych wojskowych dziejów kilka sromotnych dla swego oręża faktów i do pewnego stopnia usprawiedliwił przesady i fantazye biuletynów powstańczych.

Omyłki i niestosowne zarządzenia miewały miejsce już znacznie przed wybuchem powstania. Zniesienie stanu wojennego w wielu miejscowościach, gdy właśnie należało wszędzie go wzmocnić, było takim błędem nie do darowania. Jako przykład drugi przytoczę jeszcze jedno ciekawe zarządzenie. We wrześniu 1862 roku nakazano odesłać nad Don te pułki kozaków, które już swój trzechletni okres służbowy odbyły. Z Królestwa odchodziło 3.000 ludzi, gdyż w sposób dotychczas niebywały, wskutek rozliczenia że utrzymanie konia w pochodzie od Warszawy do Nowo-Czerkaska kosztowałoby skarb państwa po 30 rubli sr., zaproponowano kozakom, by powracali do domu koleją i parostatkami, co kosztowało po 18 rubli sr. i pozwolono im wysprzedać swe konie w Królestwie. Dla oszczędzenia więc nic nie znaczącej kwoty 36 tysięcy rubli sr. w chwili, gdy naokoło już pachło prochem, wydano rozporządzenie nietylko niewłaściwe, ale wprost niebezpieczne. Naraz zapanowała oszczędność i w jakich sferach? U ludzi zna-

[1]) Autor *Aspiracyi politycznych* na stronie 245. wprost obwinia Rosyan, że nie chcieli odrazu stłumić powstania.

nych na całym świecie ze swego, nie mającego granic, marnotrawstwa; u ludzi co chwila wyrzucających miliony... nie wiadomo na co! Gdzież widziano, by kawaleryę, i to jeszcze taką, która od dzieciństwa zrosła się ze swymi końmi, przenoszono z miejsca na miejsce piechotą? Już to zapewnie zarządzenia tego nie wymyślili sami kozacy, jednak z otrzymanego zezwolenia byli bardzo radzi; we trzy dni wysprzedali wszystkie konie po 80 do 90 rubli srebrnych za sztukę, pozbyli zarazem i całe umontowanie, a nawet, pomimo że to było surowo zabronione, i część uzbrojenia... i popędzili do domu w wagonach.

Nad Donem spotkano tych spiesznych jeźdźców kpinami, które przez czas dłuższy się powtarzały [1]).

Tym sposobem zaopatrzono pierwszą powstańczą jazdę w dobre i ujeżdżone konie. Wiadomo, jak cenił swego konia Czachowski, naczelnik jednego z większych oddziałów w Radomskiem; konia zaś tego dostał od kozaków. Podobno koń ten po jego śmierci miał się znów dostać nad Don.

---

[1]) Wiadomości podane przez kozaków. Daty zaś urzędowe, odnoszące się do tego faktu, są następujące: Odezwą z dnia 9. września 1862 roku st. st. do l. 378. Naczelnik głównego sztabu zawiadamia pochodnego atamana, że 11. pułk dońskich kozaków ma wracać nad Don kolejami i wodą. Tegoż samego dnia minister wojny zawiadamia o tem telegraficznie jenerał-adjutanta barona Ramzaya, ówczesnego głównodowodzącego w Królestwie Polskiem. — Następnie dnia 13-go września 1862 roku st. st. do l. 7.012, minister wojny zawiadamia tegoż barona Ramzaya, aby wyasygnował przy wysyłaniu kozaków koleją po 9 kopiejek dziennie na szeregowca w czasie podróży ich do Niżnego Nowgorodu, w dalszej zaś podróży statkiem parowym do Kamyszyna tylko po 6 kopiejek dziennie. Droga do Niżnego Nowgorodu z przestankami całodniowymi w Petersburgu, Moskwie i Nowgorodzie, miała trwać dni 8, dalej zaś do Kamyszyna 7—10 dni. — Wydano następnie podobne zarządzenia przy wysyłce pułków 4-go i 9-go. Przybliżone obliczenie kosztów, zestawione przez dyrektora przybocznej kancelaryi głównodowodzącego wykazało wraz z kosztami podróży oficerów, wydatek 13.388 rubli srebrnych dla jednego pułku, złożonego z 800 ludzi.

Władze warszawskie wprawdzie prędko spostrzegły popełnioną omyłkę i wydały rozkaz zaprzestania sprzedaży koni, było to wszakże po niewczasie. Rozkaz nadszedł, gdy konie były już rozsprzedane.

Następnie, gdy nastąpił sam wybuch, powtórzyła się historya z dni lutowych 1861 roku. Wszyscy wyżsi wojskowi w Warszawie formalnie potracili głowy i najzupełniej nie wiedzieli jak działać, chociaż stanowczo nie było żadnych powodów do podobnego strapienia.

Przedewszystkiem okazało się, że wskutek dziwnego zaniedbania, wojska rozłożone na prowincyi nie miały żadnych instrukcyi, wydanych na wypadek wybuchu powstania. Nikt nie wiedział co zrobić z załogami, rozłożonemi po miasteczkach, i z pograniczną strażą. Wprawdzie w sztabie ciągle mówiono o wydaniu takich instrukcyi, lecz dotychczas wszystko kończyło się na rozmowach. Wypadało więc obecnie wydawać takie rozporządzenia na prędce, wśród tysiąca krzyżujących się, prawdziwych i mylnych wiadomości i pogłosek, podczas gdy i bez tego dowódzcy samoistnych oddziałów mieli aż nadto do roboty. Tam załoga opuściła bez dostatecznej przyczyny zajmowane miasteczko... tam rozbito pocztę... ograbiono kasę... zniesiono komorę celną... To znów odbierano wiadomości zupełnie innego rodzaju: że kompania piechoty obroniła się zwycięzko napadowi kilkutysięcznych tłumów, tracąc dwudziestu do trzydziestu zabitych i rannych. Skądinąd nadchodzi wieść pewna i niezawodna, że powstańcy w znacznej sile, doskonale umontowani i uzbrojeni, wkroczyli z zagranicy pod dowództwem Mierosławskiego i dążą na Warszawę!... Czemu tu wierzyć?

Na wszelki wypadek uwzględniono najniekorzystniejsze wieści i przypuszczenia i obliczono wojska, jakie były pod ręką. Wówczas stały rozlokowane w Królestwie cztery dywizye piechoty z odpowiednią artyleryą, dywizya jazdy i siedm pułków kozaków, nadto trzecia dywizya gwardyi zajmowała Warszawę i jej okolice. Wszystko to razem dawało siłę prze-

szło 80 tysięcy ludzi. Rozdzielając te siły na mniej lub więcej ważne strategiczne punkta, wypadała co najmniej jedna, jeżeli nie 2 kompanie piechoty w każdej miejscowości, a to aż nadto wystarczało dla ochronienia tychże od wkroczenia pierwszych nielicznych oddziałów powstańczych i dla zapobieżenia skupianiu się takowych [1]). Należało tylko urządzić i zabezpieczyć między ważniejszymi punktami stałe komunikacye zapomocą kozackich lub kawalerzyskich rozjazdów. Kompania winna była w danym razie wspierać sąsiednią kompanię, zjawiać się szybko, gdzie potrzeba, a następnie powracać na stałe miejsce.

Główno dowodzący jenerał adjutant baron Ramzay, otoczony ludźmi równej, jak sam, bystrości (kto był rozumniejszy i przenikliwszy ten milczał (?), nazajutrz po wybuchu rozesłał do wszystkich wojskowych okręgów [2]) rozkazy pościągania rozłożonych po miasteczkach drobniejszych załóg, do ważniejszych strategicznych punktów. Toż samo polecono zrobić ze strażą pograniczną [3]).

Większość dowódzców najściślej się zastosowała do otrzymanych rozkazów, niektórzy nawet z nieudanem zadowoleniem. Znaleźli się wszakże i tacy, szczególniej między starszymi, doświadczonymi wojskowymi, którzy zwlekali wykonanie tych rozkazów i pisali do Warszawy, prosząc o pozwolenie pozostania na miejscu, gdzie się nie obawiają niespodziewanego napadu, a w danym razie mają aż nadto sił do obrony.

---

[1]) Wszystkich miast i miasteczek w Królestwie Polskiem jest około 400. Przyjmując je wszystkie za punkta strategiczne, to wystarczało 72.000 piechoty do obsadzenia każdego jedną kompanią o sile 180 ludzi. W istocie zaś wielka część tych miejscowości nie przedstawiała żadnego strategicznego znaczenia i nie posiadała wcale załogi wojskowej.

[2]) Okręgów wojskowych było jedenaście. Pięć głównych: warszawski, lubelski, radomski, płocki i augustowski — i sześć częściowych: kaliski, kielecki, olkuski, miechowski, siedlecki i zamoysko-hrubieszowski.

[3]) Rozkaz ten powtórzono po trzykroć dni 11., 12. i 13. stycznia 1863 roku st. st.

Straż pograniczną cofnięto wszędzie i to na drugą a w niektórych miejscowościach nawet na trzecią linię wewnątrz kraju [1]).

Takie zarządzenie oddało przeważną część kraju w moc powstania. Wkrótce też zaroiło się w różnych punktach Królestwa Polskiego od nowo formujących się oddziałów, które, poruszając się swobodnie, zajmowały wsie i miasteczka opuszczone przez wojska, ogłaszając wszędzie rząd narodowy. Niestrzeżone zaś zupełnie granice pozwalały na prawie jawne przeprowadzanie broni, amunicyi i wrzelkich potrzeb wojennych z sąsiedniej Galicyi i W. Księstwa Poznańskiego.

Prędko spostrzeżono popełnioną omyłkę i nowem poleceniem pozostawiono dowódzcom załóg swobodę działania stosownie do okoliczności.

Po pewnym czasie załogi zaczęły wracać na dawne stanowiska. Znaleźli się dzielni, sumienni i roztropni dowódzcy. W każdym niemal okręgu znalazł się jakiś wybitniejszy oficer, niejako gospodarz całego okręgu, który objął dalszy kierunek działania. Ale chwila, w której powstanie jednym zamachem mogło być stłumione, minęła niepowrotnie. Wypadło zwalczać je powoli. Zaczęto prawidłowe wojenne działania, które stosownie do właściwości charakteru pojedyńczych dowódzców, przybierały w różnych stronach rozmaity charakter. W jednych kończyły się szybko, w innych zaś przeciągały się bez końca, coś w rodzaju kaukaskich ekspedycyi. Jeden i ten sam oddział przepędzany z lasu do lasu, ze wsi do wsi, otrzymywał w składanych raportach coraz to różne, nowe nazwy. I ci to przepędzacze oddziałów, psuli właściwie rzecz całą. Były przytem i inne przewinienia [2])...

---

[1]) W 1863 roku straż tę składały trzy brygady: wierzbołowska, kaliska i zawichostska.

[2]) Baron Raden, pułkownik i naczelnik piotrkowskiego okręgu, przyznał się otwarcie jenerałowi Krasnokutskiemu, że on z zasady oddziałów powstańczych nie starał się niszczyć ostatecznie. „Po co?

Jedna z najpierwszych kolumn, które zostały wysłane przeciw powstańcom, była kolumna, dowodzona przez adjutanta namiestnika, złożona z półkompanii piechoty i półtrzeci sotni kozaków, która wyruszyła w Płockie zaraz po otrzymanej wiadomości o poniesionej pod Ciołkowem porażce.

Kolumna ta dnia 28. stycznia spotkała pod wsią Krajkowem w powiecie mławskim, oddział powstańczy, liczący jakich stu zbrojnych. Oddział ten został rozbity i połowa prawie dostała się do niewoli [1]).

Dnia 31. stycznia jenerał-major Dreier, naczelnik okręgu siedleckiego, dowiedział się, że koło Węgrowa (dwa marsze na południo-zachód od Siedlec) zbierają się znaczne siły powstańców [2]) pod dowództwem jakiegoś Mystkowskiego, przybierającego w powstaniu nazwę Józefa Sokoła (Sokół-Mytliński). Natychmiast więc wysłał tam dwa szwadrony ułanów dla powzięcia języka i działania wedle okoliczności.

Pułkownik Papafanasopulo, dowodzący tą jazdą, doszedłszy do Mokobodów, w połowie drogi między Siedlcami a Węgrowem, wysłał pół szwadronu na podjazd, który wkrótce wrócił z wiadomością, »że w istocie powstańcy w znacznej sile zajmują nietylko Węgrów, ale i wsie okoliczne« [3]).

Papafanasopulo zawiadomił o tem Dreiera, a także wysłał gońca do Warszawy z prośbą o posiłki.

Dreier dnia 1. lutego wieczorem wysłał pod Mokobody na furach dwie kompanie piechoty i zwód lekkiej ciągnionej

---

Niech uciekają i formują się na nowo i występują jako nowe oddziały. My ich znowu przetrzepiemy, a potem znowu i znowu! Tymczasem zaś (wskazując na szyję) znajdzie się i Władymir (order św. Włodzimierza) i może co innego!“ Ze słów jenerała Krasnokutskiego.

[1]) *Dziennik działań wojennych* nr 3, str. 2 - 3.

[2]) Donoszono przesadnie o 5 do 6 tysiącach zbrojnych.

[3]) Według korespondencyi, zamieszczonej w numerze 34. *Czasu* z 1863 roku, w Węgrowie stało 2 500 ludzi, z czego tylko 500 ludzi było uzbrojonych w broń palną, przeważnie myśliwskie dubeltówki, reszta zaś w kosy. W Ludwinowie 1.000 ludzi kosynierów, w Mokobodach także 1.000 kosynierów i coś jazdy.

bateryi z Siedlec, oraz kompanię piechoty, także na furach, szwadron ułanów i dywizyę konnej bateryi ze Zbuczyna, które wyruszyły dnia 2. lutego o godzinie 7. rano.

Po przybyciu tych wojsk, pułkownik nie czekając na dalsze posiłki zdecydował się na zaatakowanie powstańców.

Dnia 3. lutego rano podszedł pod Węgrów i działowym ogniem zapalił miasteczko. Powstańcy w gęstych kolumnach rzucili się na armaty i omal że takowych nie opanowali, a przynajmniej doszli tak blisko, że oficerowie strzelali do nich z rewolwerów. Przypuszczony atak jazdy, przepędził kosynierów napowrót do miasteczka, skąd ich następnie piechota wyparowała. Powstańcy cofnęli się do lasów.

Po skończonej już bitwie nadeszły posiłki z Warszawy, oddalonej o 60 wiorst od Węgrowa, złożone z sześciu dział, dwóch sotni kozaków i trzech batalionów piechoty, pod dowództwem jenerał-majora barona Krüdenera i podpułkownika jeneralnego sztabu Krywonosowa. Pozostało już tylko zająć opuszczone przez powstańców miasteczko.

Strata powstańców wynosiła do 150 zabitych i rannych. Straty zaś wojsk (4 żołnierzy i kilka koni) były tak małe, że nikt nie chciał temu dać wiary [1]).

Była to pierwsza, cokolwiek znaczniejsza bitwa od początku powstania. Rozpisały się też o niej wszystkie powstańcze dzienniki i gazetki. *Czas* uderzył w surmę bojową. Zaczął opisywać zwycięstwo powstańców pod Węgrowem.

Oddziały powstańcze cofnęły się tymczasem ku Siemiatyczom, gdzie, jak tu już uprzednio wspomnieliśmy, zaszła druga znaczniejsza bitwa z kolumną jenerała Maniukina. Było to już na Litwie.

Jednocześnie w Lublinie dowiedziano się, że właściciel Nadrybia, obywatel Kazimierz Bohdanowicz, własnym kosztem sformował oddział i zajmuje Nadrybie. Oddział ten był już

[1]) *Dziennik działań wojennych* nr 4, str. 4—5. — Oraz opowiadania prywatne.

umundurowany. Piechota, 400 ludzi, w brązowych świtkach, z czarnymi pasami i czarnemi barankowemi konfederatkami o różnokolorowych kokardach. Jazda, 60 koni, miała granatowe mundury, barankowe czapki i brązowe burki. Piechota była uzbrojona w strzelby myśliwskie, dalekonośnej broni było niewiele. Kawalerya miała lance z biało-czerwonemi chorągiewkami, pałasze i pistolety.

Przeciw temu oddziałowi, który z Nadrybia przeszedł do Łowczy [1]), wyprawiono z Lublina dnia 14. lutego majora Rakuzę z trzema kompaniami piechoty i 50 kozakami. Dnia 15. lutego, przybywszy do Małych Rudek, Rakuza dowiedział się, że powstańcy stoją w okolicy w znacznej sile i odgrażają się, że mu sprawią czerwone buty i tak wrzucą go do Buga, (to jest zedrą mu z nóg skórę i utopią (?). Po zebraniu najdokładniejszych wiadomości okazało się, że za Rudkami stoi Bohdanowicz w 500 ludzi, na prawo o 10 wiorst Radziejowski w 1.000 ludzi, a we wsi Świerzach o 14 wiorst od Rudek dr Neczaj z oddziałem, także do tysiąca ludzi liczącym.

Gdyby tymi oddziałami dowodzili ludzie doświadczeni, a nawet gdyby tylko wspólnie zechcieli działać, majorowi Rakuzie groziło dosyć poważne niebezpieczeństwo. Siły te jednak, składały się z niecierpliwych, niedoświadczonych i rwących się do boju dzieci, pod względem wojskowym zupełnie niewykształconych.

Znając to usposobienie swoich przeciwników i rozliczając odległości, Rakuza śmiało posunął się na Bohdanowicza. Bohdanowicz nie zawiadamiając swych kolegów i nie czekając na połączenie się z nimi, trawiony żądzą odznaczenia się, uderzył sam na Rakuzę, wpadł w wąwóz, obsadzony przez strzelców wołogodzkiego pułku piechoty, został rozbity i pędzony

[1]) Nadrybie, wieś położona o 6 wiorst od miasteczka Puchaczowa, a o 36 wiorst od Lublina, w północnej części powiatu Krasnostawskiego. Łowcza o 30 wiorst na wschód od Puhaczowa. Bohdanowicz w powstańczej organizacyi był wojennym naczelnikiem powiatu Krasnostawskiego.

przez lasy. Pogoń nie trwała długo, gdyż kozacy uprzedzili majora o zbliżaniu się oddziału Radziejowskiego. Rakuza natychmiast ponownie obsadził tenże sam wąwóz i odparł Radziejowskiego, który się cofnął ku Świerzom, dla połączenia się z Neczajem.

Nie mając sił dostatecznych dla zaatakowania połączonych oddziałów Radziejowskiego i Neczaja, Rakuza wrócił do Lublina i dobrawszy stamtąd jeszcze dwie kompanie piechoty, wyruszył za powstańcami w sile pięciu kompanii piechoty i sotni kozaków. Wtedy ponownie spotkał się z Bohdanowiczem, oddział zupełnie rozgromił, a samego dowódzcę pojmał do niewoli.

Przeciw Radziejowskiemu i Neczajowi wysłano jednocześnie podpułkownika Ryńskiego z dwoma kompaniami piechoty, szwadronem ułanów, 2-ma działami i 10 kozakami. Spotkano oddział Neczaja, ten rozprószono a samego Neczaja wzięto do niewoli. Radziejowski potrafił się wycofać z matni i podobno uszedł do Galicyi [1]).

Następnie dowiedziano się o zjawieniu się oddziału pod dowództwem Lelewela, w lasach Kozłowieckich [2]).

W nocy z dnia 1. na 2. marca wyruszył przeciw niemu pułkownik Ćwieciński z Kurowa w 2 kompanie piechoty, pół sotni kozaków i 2 działa, dopędził oddział pod Sosnowicami, dnia 3. marca, rozprószył takowy i powrócił do Kurowa.

Dnia 7. marca ten sam oddział został rozbity pod Lutą i Hańskiem przez majora Jolszyna, mającego dwie kompanie piechoty i 50 kozaków, przyczem Lelewel stracił 150 ludzi w zabitych i rannych, 3 chorągwie, tabor, amunicyę; na jednym z wozów zabrano liczne papiery i prasę litograficzną. Po tej bitwie Lelewel schronił się do Galicyi [3]).

---

[1]) *Dziennik działań wojennych* nr 9, str. 1 - 3, oraz dodatek do n-ru 11. — Także opowiadania majora Rakuzy.

[2]) Kozłówka, wieś Zamoyskich w pow. radzyńskim. — Lelewel, przybrane miano Marcina Borelowskiego, studniarza z Warszawy.

[3]) *Dziennik działań wojennych* nr 2, str. 5 i nr 6, str. 5.

W płockiej gubernii również się zjawiły bardzo znaczne oddziały, formowane przeważnie w Prusiech przez obydwa poznańskie komitety, o których powyżej była mowa.

Jeden z tych oddziałów w sile podobno 2 tysięcy ludzi, dnia 27. stycznia zajął wieś Dmochy-Glinki i ogłosił w tamtejszej gminie rząd narodowy. Co się z tym oddziałem stało nic mi nie wiadomo.

Małe oddziałki tworzyły się i znikały co chwila w najrozmaitszych stronach Królestwa, przyczyniając wszędzie nieporządku i zamięszania. Niszczono mosty, telegrafy; zatrzymywano poczty, dyliżanse; napadano na kasy rządowe i komory celne. I tak ograbiono kasy w Kraśniku i Urzędowie w powiecie Zamoyskim; komory celne w Sosnowcach i Granicy na drodze żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, w których zabrano 88.000 rubli sr.

Odłam stronnictwa białych, przezwany później »partyą Targowiczan« [1]), przypatrywał się bacznie rozwijającym się wypadkom. Partya ta składała się z ludzi, co do zasad swych i pojęć nader zbliżonych do tej sfery warszawskiego średniego mieszczaństwa, do której należeli Jurgens i Kraszewski. Różnica polegała tylko w tem, że Targowiczanie byli to majętni obywatele ziemscy, a Jurgeńczycy składali się przeważnie z mieszczan i wszelkiej inteligencyi miejskiej. Były inne nawyknienia i narowy, co dla jednych było zwykłe i naturalne, drugim było niedogodne i nie na rękę. Gdy nie stało Jurgensa [2]) jego »mieszczuchy« nieco się stropili, lecz Targowiczanie działali dalej. Początek ich datuje się znacznie wcześniej. Jeszcze przed przyjazdem wielkiego księcia do Warszawy, gdy partya ultra-czerwonych na dobre zaczęła zagrażać planom Wielopolskiego, odbyło się kilka zjazdów w Sandomierskiem,

[1]) *Giller* tom II, str. 284. Stąd i my ją tak zwać będziemy.

[2]) Uwięziony w lutym 1863 roku umarł w nocy z dnia 2. na 3. sierpnia w cytadeli wskutek moralnych a może i fizycznych tortur, gdyż obchodzono się z nim nader surowo. Autor *Dwóch chwil* przypisuje Wielopolskiemu uwięzienie Jurgensa.

gdzie naradzano się nad zażegnaniem niebezpieczeństwa, bojąc się, że rząd, wyprowadzony z cierpliwości, ponownie zawiesi rozpoczęte reformy. Wówczas ktoś podniósł myśl, by wielkiemu księciu ofiarować w darze królewską koronę i tem wyrazić kierunek przekonań najpoważniejszych; najspokojniejszych i najumiarkowańszych warstw społeczeństwa, tych właśnie, których przedewszystkiem rząd pragnie zjednać, i w których właściwie polega cała treść i siła społeczeństwa. »My, powiadano, a nie burzliwa i szalona młodzież, nie jakiś rząd narodowy, nie posiadający żadnych środków do przeprowadzenia swych zuchwałych i szalonych zamiarów, my reprezentujemy społeczeństwo. My nie jesteśmy buntownikami, o co nas może posądzacie. My chcemy mieć króla z tej samej panującej rodziny. My ofiarujemy najstarszemu waszemu po carze książęciu, z domu Romanowych, koronę Piastów i kołpak Witołdowy. Czy on je przyjmie? to już rzecz nie nasza. Wrażenie pozostanie; odbije się ono i w pałacu zimowym i w gabinetach europejskich, i w stronnictwie czerwonych i wśród tych białych, którzy poszli na manowce. Wszystkich wstrząśniemy! Wielcy księstwo jeszcze serdeczniej przylgną do Polaków... wiele swawoli się przebaczy i puści w niepamięć; reform nie cofną; a gdy wszystko się uspokoi, namiestnik pozostanie z wiernymi i oddanymi sobie Polakami, i będzie jeśli nie królem... to *vice-rexem*, czemś w rodzaju swego stryja, Konstantego Pawłowicza, co do władzy i znaczenia. Powoli, powoli cała Polska przejdzie pod jego rządy... a zresztą co tam jeszcze w przyszłości stać się może?«

Gdy nazajutrz po przybyciu wielkiego księcia do Warszawy, rozległ się strzał szaleńców, Targowiczanie przystąpili szybko do dzieła. Powiadają, że arcybiskup Feliński miał poświęcić nawet na wszelki wypadek jakąś koronę. Zaczęto szukać zwolenników między wyższymi rosyjskimi dostojnikami i bardzo prędko zjednano dla tej myśli dobrodusznego dowódzcę załogi warszawskiej, jenerał-adjutanta Pawła Iwanowicza Korfa.

Myśl ofiarowania polskiej korony wielkiemu księciu Konstantemu wydała się mu nader zajmującą i dowcipną, i podjął się propagowania jej między dostojnikami z otoczenia wielkiego księcia. Tu wszakże na wstępie zaraz został oblany zimną wodą. Naprzód zwrócił się do najstarszego z przebywawających podówczas w Warszawie jenerałów; mianowicie zapytał naczelnika artyleryi w Królestwie Polskiem, jenerał-adjutanta Szwarca, człowieka znanego z nieugiętego charakteru i samodzielności: »a co zrobimy ekscellencyo, gdyby naraz wystąpiła deputacya z najpoważniejszych sfer polskiego społeczeństwa, ofiarująca wielkiemu księciu królewską koronę?«

— Co pan zrobisz — odrzekł Szwarc — tego niewiem, lecz co ja zrobię, w tem niema wahania. Na Zamku mam dwa działa, każę je nabić kartaczami, i tymi karmelkami spotkam panów deputatów.

Paweł Iwanowicz nie przedłużał dalej tej rozmowy, lecz nie dał jeszcze za wygranę. Zaczepił o to Ramzaya, na co otrzymał odpowiedź: »że jeżeli wielki książę ośmieli się przyjąć koronę, to go aresztuje i pod strażą odeszle do Petersburga.«

Szef sztabu Kryżanowskij, nie wypowiedział swego zdania przed Korfem, lecz postanowił wybadać pod tym względem samego wielkiego księcia. Powiadają, że w ten sposób nakierował rozmowę: »a cóż by się stało, gdyby Polacy naraz wykrzyknęli waszej wysokości, Niech żyje król Polski!?« — Wielki książę miał odpowiedzieć: »Podziękowałbym im w imieniu najjaśniejszego pana i zaraz o tem go zawiadomił [1]).

Targowiczanie o wszystkiem byli powiadomieni, więc przycichli i spokojnie usunęli się z widowni. Aż do samego wybuchu powstania nic o nich nie słychać. Po wybuchu jednak znów się zebrali z tem samem zapytaniem: co dalej? Szalony zamiar stał się faktem. Biali przechodzą do czerwonych i razem podążają na pole walki, o powstrzymaniu tego

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

ruchu marzyć nawet nie można. Zanosi się na dłuższą zawieruchę, koniec wszakże łatwy do przewidzenia: wszystkie te oddziały, gorzej lub lepiej umontowane i uzbrojone, gorzej lub lepiej prowadzone, zostaną ostatecznie pobite i rozprószone, jak już zostały rozbite oddziały Zdanowicza, Lewandowskiego, Neczaja, Bohdanowicza, Lelewela i tylu innych. Sprawdzi się przepowiednia Nabokowa, dana Kraszewskiemu: autonomię odbiorą, szkoły urządzą po dawnemu, wprowadzą rosyjski język i rosyjskie sądownictwo. Jednak wielu, bardzo wielu rzeczy nie dopowiedziano, nie wyobrażano sobie nawet, co może się stać, gdy się rozhula tryumfujący tatar, jak zatrzeszczy skóra na wszystkich białych, u wszystkich ludzi majętniejszych, a także i na tych, którzy z zaparciem się siebie i uczciwie starali się doprowadzić społeczeństwo do trwałego uspokojenia!...

Czyż nie byłoby środka jakokolwiek zażegnania tej burzy? a przynajmniej pokierowania ją tak, by się skończyła z jak najmniejszym pogromem i klęską dla kraju?

Targowiczanie na tem się zatrzymali i zaczęli wyszukiwać między najbardziej wpływowymi i uwieńczonymi powodzeniem naczelnikami oddziałów człowieka, który dałby się opanować i przekonać, a potem postawiony na czele, czyli innemi słowy, ogłoszony dyktatorem, zaprzestał walki i poddał się władzy i wielkiemu księciu. Taki przykład byłby zaraźliwy i mógłby doprowadzić do zupełnego uspokojenia kraju.

Dotychczas wyróżniło się czterech wybitniejszych dowódzców oddziałów; wszyscy czynni byli w południowej stronie gubernii radomskiej, gdzie było główne ognisko powstania w Królestwie. Byli to: Apolinary Kurowski, Antoni Jeziorański, Dyonizy Czachowski i Maryan Langiewicz.

Po dokładnem zbadaniu charakteru, zdolności oraz przeszłości tych czterech osobistości, okazało się, że:

Kurowski był człowiekiem głupim i pozbawionym wszelkiej energii, przytem jako niewojskowy, nie znał sztuki wojennej i wypadkowo tylko został okrzyknięty dowódzcą dosyć licznego oddziału, który formował.

Jeziorański najwięcej miał kwalifikacyi na dowódzcę znaczniejszego oddziału. W węgierskiej kampanii walcząc pod wodzą doświadczonych i zdolnych jenerałów, nieraz się odznaczył i z praktyki wiedział, jak się organizuje powstańcze siły i jak się niemi dowodzi. Jednem słowem był to wypróbowany powstaniec. Na nieszczęście wszakże obok tego miał opinię człowieka niespokojnego, intryganta, ambitnego bez granic, a przytem z przekonań swoich nie nadawał się do roli, nakreślonej przez Targowiczan.

O Czachowskim mówiono, że to dobry i dzielnego charakteru powstaniec, prostych obyczajów, wesoły rubacha; lecz jako człowiek staroszlacheckich nawyknień i przekonań, bywał czasami nieznośny, istne dzikie zwierzę; gdy się uniesie, krzyczy, bije, wtedy i sam djabeł z nim nie poradzi. Dla celów Targowiczan był to materyał jeszcze mniej podatny niż Jeziorański.

Żaden więc z tych trzech panów nie był odpowiedni dla Targowiczan do promowania go do wyższych dostojeństw.

Najodpowiedniejszym dla powziętych zamiarów wydawał się Langiewicz. Był to człowiek spokojny, dobrze wychowany, wcale zdolny i pod względem charakteru odpowiadający żądanym warunkom. Lepiej od innych potrafił zorganizować swój oddział, który więcej wyglądał wojskowo, czego o innych partyach nie dałoby się powiedzieć. Szczególniej zaś tem się od innych wyróżniał, że odrazu miał sztab sformowany, miał przyboczną kancelaryę, a nawet drukarnię obozową.

Na nim się więc skupiła uwaga tajemniczej i przebiegłej reakcyi, dobierającej się do powstania cichymi, niodosłyszanymi krokami, jak tygrys, gdy się skrada do łupu.

Wszakże potrzeba się nam pierwej zapoznać z osobistością, mającą wystąpić na plan pierwszy, która w każdym razie, pomimo nie tak znów wybitnych zdolności, odegrała w powstaniu tem rolę znaczącą i zwróciła na siebie, na ogromnych przestrzeniach, uwagę tysięcy bardzo poważnych ludzi. Opowieść tę jestem zmuszony zaczerpnąć z bardzo niedostatecznych

i urywkowych źródeł, lecz lepsze i obfitsze bodaj czy się kiedy znajdą [1]). Gdy się zjawi jaka wybitniejsza osobistość, zaraz wychodzą o niej broszury, pisane byle jako, na prędce; nie wystrzegające się wymysłów i dodatków, pełne amplifikacyi, których nikt potem nie poprawia; nie prostują nawet sami bohaterowie, i to nawet prawdziwi, a nie tylko posrebrzani bohaterowie. Różnica w końcu się znajdzie, prawdziwi bohaterowie znajdą swe miejsce w historyi i doczekają się rzeczywistych biografii, posrebrzani muszą poprzestać na broszurach...

Maryan Melchior Langiewicz przyszedł na świat w Poznańskiem, w miasteczku Krotoszynie, dnia 5. sierpnia 1827 r. Ojciec jego, pruski doktor wojskowy, w 1830 roku opuścił służbę i ofiarował swe usługi ówczesnemu polskiemu rządowi narodowemu. Co się z nim stało, na pewno nie wiadomo, ale 1831 roku nie przeżył. Maryan i dwaj jego bracia, Aleksander i Antoni Józef, późniejszy doktor, pozostali na opiece matki. Maryan jako dziewięcioletni chłopak wstąpił do szkoły powiatowej w Krotoszynie i przebył w niej do 1844 roku, poczem przeszedł do gimnazyum w Trzemesznie. Tutaj zaczął marzyć o karyerze wojskowej, oddając się z zamiłowaniem matematyce, z zamiarem wstąpienia do artyleryi.

Niepokoje panujące w czasie, gdy kończył gimnazyum (1848 roku) przeszkodziły Langiewiczowi w ukończeniu prawidłowego kursu nauk w jakimkolwiek wyższym zakładzie naukowym. Znalazł się w Pradze na znanym zjeździe Słowian, gdzie po raz pierwszy spotkał się ze swym przyszłym współzawodnikiem, Mierosławskim.

Dobrze wszystkim są znane dzieje zjazdu słowiańskiego, i wszystkie ówczesne mrzonki i marzenia ludów w Europie...

Langiewicza po tej epoce spotykamy we Wrocławiu, jako domowego nauczyciela w pewnym zamożnym obywatelskim domu; tam znów studyuje matematykę, potem w Pradze uczy się różnych słowiańskich języków i narzeczy, w końcu w Ber-

[1]) *Galerie Polonaise. Le general Langiewicz.* Paris 1863.

linie zapisuje się na uniwersytet. Po ukończeniu uniwersytetu wstępuje do artyleryi i dosługuje się w pruskiem wojsku stopnia porucznika artyleryi.

Następnie, jakieś niewyjaśnione okoliczności skłoniły Langiewicza do wystąpienia z wojska, zaczyna odbywać różne podróże po Europie... niektórzy biografowie jenerała twierdzą, że był w sławnym marsalskim tysiącu, a nawet jakoby adjutantem przy Garibaldim. Jak niegdyś Pinetti pozostawił całe pokolenia swych uczniów, tak i nowoczesny mag rewolucyi, natworzył nieokreśloną ilość swych adjutantów [1]).

Nie ulega wątpliwości, że Langiewicz spotykał się z Garibaldim w Genui, gdzie za tegoż wpływem, jak wiadomo, czas jakiś istniała polska szkoła wojskowa, której pierwszym dyrektorem był Mierosławski, zarówno od profesorów jak od uczni nielubiany. Dwaj przyszli dyktatorowie już tam stanęli z sobą w sporze. Langiewicz, jako profesor matematyki i artyleryi, miał za sobą sympatye szkoły [2]).

Langiewicz praktyczniejszy od współkolegów, wykładających przyszłym bojownikom za wolność, wojskowe nauki, przeczuwając, że ruch rozpoczęty musi się skończyć zbrojnem powstaniem nad Wisłą, już zawczasu starał się gromadzić zapasy broni i za pieniądze, nadesłane z Królestwa, w listopadzie 1862 roku nabył 4.000 sztuk gładkich skarbowych karabinów pruskich i kazał je przerobić na perkusyjne. Następnie wspólnie z Ćwierciakiewiczem kupili za pośrednictwem kantoru Bonfort'a 3.987 sztuk dalekonośnych sztućców, za cenę 180.000 franków i wysłali takowe do Wiednia i Gotha, skąd miały być dostawione na pole walki.

Ku końcowi 1862. roku komitet centralny, świadomy zasług Langiewicza dla powstania, powierzył mu wysokie

[1]) W artykule „Pochodnyja zapiski" zamieszczonym w *Wojennym zborniku* z 1867 roku nr 9, str. 183, jest mowa, że Langiewicz był adjutantem garibaldowskiego jenerała von Milbitza.

[2]) *Rałcz* tom II, str. 703 twierdzi, że Langiewicza wysłał do Genui komitet Goutrego dla wywołania między młodzieżą secessyi.

stanowisko wojewody sandomierskiego, najważniejszej okolicy w Królestwie Polskiem.

Nie nadługo przed powstaniem Langiewicz z wielką trudnością i osobistem niebezpieczeństwem przedostał się przez granicę austryacką i jak jego włoski orędownik w 1849 roku, chodził chudy, sterany i biedny od chaty do chaty. Pierwsze drzwi, do których zapukał, gościnnie się otwarły, lecz przyszły dyktator tak był strudzony i wycieńczony, że wszedłszy do izby upadł na ławę bezsilny.

Odtąd zaczyna się jego służba powstańcza.

W dzień wybuchu, dnia 22. stycznia, Langiewicz dowodzi oddziałem pod Szydłowcem. W cztery dni potem, korzystając z bezczynności i niedbalstwa jenerała Uszakowa, przechodzi do Wąchocka i stamtąd wydaje następującą odezwę do mieszkańców województwa krakowskiego, którą kazał drukować w swej obozowej drukarni.

»Główna kwatera w Wąchocku dnia 26. stycznia 1863 r.

Mieszkańcy województwa krakowskiego!

Powołany przez komitet centralny do objęcia dowództwa nad siłami zbrojnemi województwa sandomierskiego, mając zaś wskutek tylko ustnych instrukcyi wydziału wojny powierzone sobie także naczelne dowództwo nad wszystkiemi siłami województwa krakowskiego, nie sądziłem się w prawie do mieszania się w sprawy organizacyi powstańczej tegoż województwa« [1]).

»Gdy jednak, mimo łatwości sprowadzenia z zagranicy broni, mimo znacznej ilości tejże, znajdującej się na miejscu, krakowskie województwo, nie zważając na ogólne powstanie w całym kraju, i na ogromny przypływ ochotników z zagranicy, nie zważając wreszcie na bezprzykładny strach Rosyan, nie wydało jeszcze hasła do powszechnego chwycenia za broń przy okrzyku »Jeszcze Polska nie zginęła«, zatem ja, jako Po-

[1]) Nominacyę na wojewodę krakowsko-sandomierskiego Langiewicz otrzymał dopiero w końcu lutego 1863 roku, na nalegania Gillera i Bobrowskiego.

lak powstaniec, poczytuję sobie za najświętszy swój obowiązek powołać wszystkich braci Krakowian do wzięcia czynnego udziału w tej narodowej walce. Potomkowie mężnych przodków! podtrzymajcie ich sławę. Łączcie się w oddziały, choćby z kilkudziesięciu ludzi złożone i przebiegając z miejsca na miejsce alarmujcie wojska rosyjskie, zbierajcie ochotników, formujcie większe oddziały, a potem stworzycie i regularne wojsko. Potrzeba tylko wiary, nadziei i odwagi! Z temi trzema danemi rzeczy nawet na pozór niewykonalne, same się urzeczywistnią!«

»Bierzcie przykład z Sandomierzan, przed którymi drżą Rosyanie! Jeżeli spełnienie mych żądań nie trudne dla was, przybywajcie jak najprędzej, bo każda chwila droga.«

»Do widzenia więc! Oczekujemy was niecierpliwie!«

Maryan Langiewicz,
wojenny naczelnik województwa sandomierskiego.

Odezwa ta obiegła oba województwa i wywołała niesłychane wrażenie. Drukowane rewolucyjne pisma zawsze i wszędzie zwykły wywoływać pewne wrażenie, jednak wrażenie to bywa bez porównania silniejsze po wsiach i na ustroniach, aniżeli po miastach, więcej z takiemi rzeczami obytych.

Do głównej kwatery wojewody pospieszyło mnóstwo szlachty i wiejskich obywateli, aby się przypatrzyć, jak wygląda to życie obozowe i nacieszyć się polskiem wojskiem [1]). Zwożono i znoszono na wyścigi: broń, prowianty, konie, pieniądze. Wielu porwanych zapałem, zaciągało się osobiście w szeregi wojewody.

W liczbie tych gości Langiewicza znaleźli się dwaj zamożni obywatele z okolicy: Stanisław Karski i Stanisław Jasiński [2]), obaj należący do stronnictwa Targowiczan, a przy-

[1]) Ówczesne obozowe życie w Wąchocku opisane w *Dzienniku poznańskim* nr 32, str. 1.

[2]) Ten ostatni, dla sprawiedliwego i ludzkiego obchodzenia się z chłopami, przezywany był „królem chłopów“ i tem wyróżniał się od innych Jasińskich w Królestwie Polskiem.

najmniej działający w kierunku jak najszybszego stłumienia zarzewia powstania.

Ponieważ Targowiczanie nie posiadali żadnej prawidłowej organizacyi i nie mieli jasno omówionego programu działania, szli więc do celu po omacku, z pewną obawą, na ochotnika, każdy według własnego planu wyzyskując nadarzające się okoliczności. Więc też Karski i Jasiński, sondując wojewodę z stron różnych, naraz wywnioskowali, że możnaby z nim rozmówić się otwarcie i bez ogródek.

Nie obwijając więc rzeczy w bawełnę, zdecydowali się, nie obliczając następstw, na zrobienie kroku na oślep. Zaproponowali Langiewiczowi znaczną sumę pieniężną i środki bezpiecznego wyjazdu za granicę, pod warunkiem złożenia godności wojewody i rozpuszczenia oddziałów.

Prostoduszny wychowanek bohatera z pod Marsali, nie przygotowany na podobną propozycyę, poprzestał na odpowiedzi: »że jako najlagodniejszą odprawę uważa, jeżeli pozwoli im swobodnie wyjechać z obozu« [1]).

Rozmowa toczyła się w cztery oczy, bez świadków. Lecz po wyjeździe Karskiego i Jasińskiego, Langiewicz powtórzył całą rozmowę swym przybocznym oficerom. Oburzenie było wielkie, wysłano cały pluton kawaleryi w pogoń za posłami, ale ich już nie dogoniono [2]).

Karski udał się wprost do Radomia, odległego 60 wiorst od Wąchocka i zaraz był u Uszakowa, z którym się znał do-

[1]) *Aweyde* tom III, str. 37 *uwaga* twierdzi, że Karski dwukrotnie ponawiał swą propozycyę. Wydana w Krakowie broszura p. t. *W tył* tak ten fakt opisuje: Od pierwszej chwili wystąpienia Langiewicza, szczególniej się nim opiekowali; zdaje się, że wywąchali, iż ten człowiek będzie dla nich odpowiedni... z umysłu nadawali mu rozgłos, a gdy się już wzmógł dostatecznie, zaofiarowali mu pieniądze, żądając w zamian rozpuszczenia oddziałów. Spodziewali się bowiem, że z rozejściem się najznaczniejszych sił i powstanie upadnie. W razie potrzeby gotów jestem ogłosić nazwiska osób, które z tem poselstwem do Langiewicza były wysyłane.

[2]) *Aspiracye polityczne*, strona 233.

brze. Pokazał mu drukowaną odezwę. Było to wieczorem. Uszakow grał w karty w towarzystwie, w którem znajdował się także adjutant namiestnika, hrabia Komorowski, przysłany dla poruszenia z bezczynności okręgu radomskiego.

W Warszawie wiedziano już o oddziale Langiewicza, o jego drukarniach i innych stosunkach, daleko dokładniej niż w Radomiu. Wtedy szczególnie podejrzliwie odzywano się o Dobrowolskim, jemu głównie przypisując bezczynność dotychczasową naczelnika radomskiego wojennego okręgu. Na tydzień lub dwa przed wystąpieniem Langiewicza w Wąchocku, wielki książę powołał Dobrowolskiego do Warszawy i gdy ten wszedł do gabinetu, Wielki książę zapytał: »Ktoś jest z urodzenia?«

— Rodziną moją Aleksandrowski korpus dla sierot, wasza wysokość — odrzekł zapytany.

— Taak... a cóż znaczy twoja korespondencya z Sierakowskim? — zapytał dalej Wielki książę, patrząc mu bystro w oczy [1]).

— Nie mogę zabronić mym szkolnym kolegom pisywania do mnie, nie będę też taić przed waszą wysokością, że i inni spiskowi, wcale nie koledzy, pisywali do mnie, namawiając mnie do odstępstwa i złamania przysięgi. Proszę polecić komukolwiek, niech przejrzy moją korespondencyę, wszystkie odbierane listy i moje na nie odpowiedzi, a wówczas przekona się wasza cesarska wysokość, czym czysty wobec sumienia i Rosyi. Zdrajcą nigdy nie byłem.

Wielki książę wysłał do Radomia pułkownika żandarmów, Hatzfelda, który przez cały miesiąc mieszkał u Dobrowolskiego, odbierał wszystkie adresowane do tegoż korespondencye i wszelkie dawane odpowiedzi. Nic karygodnego

[1]) Sierakowski już jako wojewoda wileński, w końcu 1862 roku, pisał do Dobrowolskiego przez okazyę prywatną. Dobrowolski odpowiedział tą samą drogą. List został przejęty i przesłany jenerałowi Uszakowowi, jako bezpośredniemu przełożonemu Dobrowolskiego. Uszakow nie odważył się zataić całej tej sprawy przed namiestnikiem.

nie znaleziono. Hatzfeld wyjechał. Nie mniej jednak polecono Uszakowowi mieć tajny nadzór nad swoim szefem sztabu i gdyby cokolwiek podejrzanego się okazało, usunąć go bez żadnych względów [1]). Polecono również śledzić bacznie i innych oficerów Polaków.

Podobny półśrodek, że się trzyma przy sobie i to na ważnych stosunkowo stanowiskach ludzi, którym się nie ufa i niedowierza, pociągnął za sobą przezabawne ale zarazem i smutne następstwa.

Jenerał Uszakow, przeczytawszy odezwę Langiewicza, przywiezioną przez Karskiego, udając zadziwienie, wyskoczył z za stołu i ciskając kartami o ziemię tragi-komicznym głosem zawołał: »A! tego już dosyć! tu wszelka cierpliwość ustaje! Odezwy drukowane w obozie powstańców! I gdzie? U mnie pod nosem w Wąchocku! Muzyka, musztry, maszerowanie! No! już ja ich nauczę maszerować!«

Tejże nocy ułożono plan wyprawy na wąchockich powstańców, i dla ostrożności ułożono go w największej tajemnicy. Nikomu z dowódzców poszczególnych komend nie udzielono go w całości. Znanym on był tylko najstarszemu w ekspedycyi dowódzcy, jenerałowi Markowowi. Dla innych miało to być tylko zwykłe przesunięcie wojsk z garnizonu do garnizonu. W istocie zaś było to obejście i otoczenie Langiewicza z trzech stron. Z północy wojska wysłane z Radomia, z południowego wschodu załoga opatowska, zaś z południowego zachodu kolumna skierowana z Kielc, miały dośrodkowym ruchem otoczyć Langiewicza i wziąść go z całym sztabem, drukarnią i wszystkiem wogóle do niewoli. Wszystko to miało i mogło się stać w istocie, gdyby nie właśnie owa tajemnica, wskutek której powstała taka gmatwanina, że cały plan spełzł na niczem.

Dla uprzytomnienia czytelnikowi wszystkich tych zajść, potrzeba wyjaśnić szczegółowo, jakie były przedwstępne ruchy

[1]) Ze słów Dobrowolskiego.

wojsk w tych okolicach, wywołane przytoczonym już powyżej rozporządzeniem naczelnego dowódzcy wojsk w Królestwie Polskiem, barona Ramzaya.

Przed wybuchem powstania w radomskim wojennym okręgu siły rosyjskie były następujące:

W Kielcach stał smoleński pułk piechoty z artyleryą, niewielką liczbą kozaków i żandarmów, dowodził tam pułkownik Czengiery.

W Sandomierzu i Zawichoście stał jeden batalion halickiego pułku piechoty, pod dowództwem pułkownika Zwierowa; drugi batalion tego pułku stał w Opatowie; trzeci zajmował Stopnicę i Stasów.

Nadto w Stopnicy, Korczynie i Pinczowie był rozłożony noworosyjski pułk dragonów pod pułkownikiem Szydłowskim.

Na drugi dzień po wybuchu powstania, pułkownik Szydłowski otrzymał od jenerała Uszakowa następujący rozkaz z dnia 24. stycznia 1862 roku l. 7:

»Wskutek wybuchu powszechnego zbrojnego powstania polecam panu:

1. Wysłać jeden szwadron pańskiego pułku do Kielc, drugi do Radomia;
2. W Stopnicy pozostaną dywizyon pańskiego pułku i dwie kompanie piechoty, jako oddzielna komenda dla ochrony władz powiatowych;
3. Szpital pułkowy przeprowadzisz pan zaraz z Buska do Stopnicy;
4. Wojska mają być rozmieszczone w Stopnicy jak najdogodniej bez względu na przepisy kwaterunkowe;
5. Żandarmeryę z Kielc należy wysłać do Radomia podług nadesłanej marszruty, szczegóły której sam masz pan wypełnić.«

Rozkaz ten otrzymano w pułku dnia 26. stycznia [1]). Szydłowski zebrał natychmiast cały pułk w Stopnicy, lecz

[1]) Data wydania odezwy Langiewicza.

zanim wysłał żądany dywizyon do Kielc i Radomia, postanowił wykonać silny rekonesans w stronę Pinczowa i Miechowa, o czem jednak nie zaniedbał natychmiast uwiadomić jenerała Uszakowa [1]).

Na raport Szydłowskiego, jenerał Uszakow dnia 28. stycznia do l. 128 wysłał taką odpowiedź: »Dziwię się bardzo, żeś pan nie wykonał moich rozkazów co do wysłania dragonów do Kielc i Radomia; jeszcze zaś więcej jestem zdumiony pańskim zapytaniem, czy w czasie wojennym i w danych okolicznościach masz pan zarządzić wyostrzenie broni?«

»Uprzedzam pana, że prowadzimy wojnę, wszelka więc opieszałość, a jeszcze bardziej niewykonanie otrzymanych rozkazów, będą jak najsurowiej karane.«

»Zarazem polecam: w razie gdyby rekruci z powiatu stopnickiego byli już zebrani w Stopnicy, należy ich bez zwłoki wysłać do Kielc pod eskortą właśnie tego szwadronu dragonów, który do Kielc jest przeznaczony; gdyby zaś rekruci nie byli jeszcze zebrani, dragoni mają wyruszyć natychmiast, nie oczekując rekrutów. Proszę mi donieść o spełnieniu niniejszego polecenia.«

Ponieważ rekruci byli zebrani, więc Szydłowski natychmiast po otrzymaniu depeszy, t. j. popołudniu dnia 29. stycznia wysłał ich do Kielc, dodając dla bezpieczeństwa oprócz dywizyonu dragonów, jeszcze kompanię piechoty. Sam zaś pozostał w Stopnicy z kompanią piechoty i drugim dywizyonem dragonów ściągniętych z Pinczowa i Korczyna [2]).

[1]) Rekonesans ten był spowodowany prośbą zarządzcy majątków margrabiego Wielopolskiego. Nieco później Pinczów został zajęty przez oddział barona Rayskiego, Langiewicz zaś stanął w Chrobrzu. Nie wiemy jak się zachowywał oddział Rayskiego w Pinczowie, lecz w Chrobrzu powstańcy zniszczyli i spustoszyli pałac Margrabiego, potłukli lustra, szkła, porcelany, połamali meble, popsuli drogie i rzadkie obrazy. Patrz *Salimy* „Pamiętniki powstańca“ str. 44.

[2]) To ułatwiło baronowi Rayskiemu zajęcie Pinczowa a następnie Sandomierza.

W tym samym czasie Czengiery dowiedział się od kieleckiego naczelnika żandarmów, że ten otrzymał z Radomia sekretny rozkaz, pościągania żandarmskich komend wślad za wojskami, gdy te będą opuszczać powiatowe miasta, i sformowania z nich silniejszych kolumn [1]). Dowiedział się nadto, że z Radomia wysłano do niego kilka depesz, z których żadnej nie otrzymał [2]). Przypuszczając, że w tych depeszach musiał być rozkaz skoncentrowania silniejszego oddziału w Kielcach, jako najważniejszym punkcie, nie namyślając się długo, depeszami z dnia 29. stycznia do l. 26 i 27 zażądał pomocy od pułkowników, dowodzących noworosyjskim pułkiem dragonów i halickim pułkiem piechoty.

Szydłowski jeszcze przed otrzymaniem tych depesz wysłał już kolumnę do Kielc, wobec wszakże otrzymanych wiadomości sam się uczuł dosyć niepewnym w Stopnicy z dywizyonem dragonów i jedną tylko kompanią piechoty, dlatego wysłał depeszę do pułkownika Zwierowa, by mu przysłał jedną lub dwie kompanie piechoty ze Staszowa.

Tylko co posłaniec wyjechał, gdy z tejże daty dnia 29. stycznia Szydłowski odbiera depeszę Zwierowa do l. 40, w której ten donosi, że na żądanie Czengierego wyrusza z całym pułkiem do Kielc i dlatego prosi o odesłanie kompanii piechoty zajmującej Stopnicę, a zarazem radzi mu, aby się także posunął ku Kielcom, gdyż z samymi dragonami niebezpiecznie pozostać w Stopnicy.

Jednak Szydłowski, otrzymawszy już raz od jenerała Uszakowa wyżej przytoczone napomnienie, nie zdecydował się na samowolne opuszczenie wyznaczonych mu leż i zawiadomił Zwierowa, że do Kielc się nie ruszy, i ponownie prosi o posiłki, dodając: »bez specyalnego rozkazu do Kielc cofnąć się nie mogę i nie mam prawa opuszczenia powierzonego mi po-

[1]) Stosownie do rozkazów barona Ramzaya.

[2]) Depesze te przejęte przez powstańców objaśniły Langiewicza o gorączkowych ruchach wojsk rosyjskich i o trwodze dowódzców rosyjskich, o czem wspomina w swej odezwie z dnia 26. stycznia.

sterunku, o czem zawiadamiając pana, raz jeszcze uprzejmie proszę o zasilenie mnie jeśli nie dwoma to przynajmniej jedną kompanią piechoty, do czasu, nim wróci wysłana z rekrutami do Kielc trzecia strzelecka kompania, i to pod osobistą pańską odpowiedzialnością.«

Na to Zwierow odpowiedział, że spełniając usilne żądania Szydłowskiego, wyrusza z całą swą siłą do Stopnicy, zabierając i sztab pułkowy i dlatego prosi o przygotowanie kwater dla pięciu oficerów sztabowych, trzydziestu oficerów niższych stopni i dla tysiąca ludzi piechoty. Również prosi o pomieszczenie szpitala, pułkowego taboru, cechauzu oraz 145 koni oficerskich i obozowych. »Przyczem zawiadamiam pana, dodaje Zwierow, że opuszczam mój posterunek na pańską odpowiedzialność.«

Szydłowski zdziwił się nie pomału i całemu temu ruchowi do Stopnicy i zwalanej na siebie odpowiedzialności, wszelako najenergiczniej zajął się przygotowaniem żądanych kwater, co w małej mieścinie, mieszczącej już stosunkowo znaczną załogę, napotykało na niesłychane trudności.

Tylko co przybyłe wojska jako tako się rozmieściły dnia 30. stycznia wieczorem, gdy w nocy Szydłowski otrzymuje z Radomia sztafetę z rozkazem, by natychmiast wyruszył do Kielc, zabierając komendę inwalidów, kozaków i żandarmów, piechotę zaś odesłał Zwierowowi do Staszowa.

W Kielcach Szydłowski miał zastać rozkaz udania się na Bzin do Wąchocka. Zaczynało się wykonywanie ułożonego planu.

Druga sztafeta powiozła rozkaz do Zwierowa, by ruszył przez Opatów i Iłżę ku Radomiowi, przez co obchodzono Langiewicza od południowego wschodu [1]).

Otrzymawszy prawie jednocześnie te rozkazy w Stopnicy, obaj dowódzcy nie wtajemniczeni w szczegóły, a nawet nie

---

[1]) Sztafeta dopędziła Zwierowa już w Stopnicy. Od Staszowa do Stopnicy 22 wiorst, ze Stopnicy do Kielc 64 wiorst, i tyleż prawie z Kielc do Radomia.

wiedzący o istnieniu jakiegoś planu operacyjnego, nie domyślając się więc wcale celu nakazanych poruszeń i o ile wskazany jest pośpiech, zdecydowali, że przecież nic złego stać się nie może, jeśli Zwierow zamiast wracania do Staszowa i maszerowania stamtąd przez Opatów i Iłżę do Radomia, wyruszy razem z Szydłowskim do Kielc, a stamtąd podąży głównym traktem przez Bzin i Szydłowiec.

Cały plan został radykalnie zwichnięty.

Dnia 30. stycznia wysłano z Radomia trzecią kolumnę, złożoną z batalionu piechoty, jednej kompanii strzelców celnych, jednej kompanii saperów, dwóch dział i 20 kozaków pod dowództwem jenerał-majora Markowa, który znając rozkazy wydane Szydłowskiemu i Zwierowowi, wyruszył na wieś Wierzbicę i tam oczekiwał przybycia Szydłowskiego z dragonami od strony Bzina. Nie mogąc jednak w oznaczonym terminie doczekać się wojsk spodziewanych, wysłał ku Bzinowi swego adjutanta, porucznika Łuskinę, dla wywiedzenia się, czy Szydłowski nie został gdzie przypadkiem powstrzymany przez jaki oddział powstańców. Łuskina ma się rozumieć nie mógł nikogo spotkać, gdyż w tym samym czasie Szydłowski i Zwierow najspokojniej maszerowali, nie spiesząc się wcale ze Stopnicy do Kielc. Łuskina zdecydował się dotrzeć dalej, do Suchedniowa, leżącego o sześć wiorst za Bzinem, w kierunku ku Kielcom. Jechał bryczką pocztową z dwoma strzelcami. Nie dojeżdżając o dwie wiorsty do Suchedniowa, został otoczony przez patrol powstańców, złożony z ośmiu jeźdźców w ubraniu ułańskiem. Żołnierze z bryczki strzelili, lecz nikogo nie trafili. Bryczka popędziła dalej i dopiero przed stacyą pocztową w Suchedniowie została zatrzymaną przez gromadę ludzi uzbrojonych. Łuskinę aresztowano i przyprowadzono do dowódzcy oddziału. Był to Dynonizy Czachowski, silny, słuszny mężczyzna, mogący mieć około 50 lat, o wybitnych rysach twarzy, postać, jak zwykle się mówi »buńczuczna.«

Przejrzawszy papiery Łuskiny, Czachowski odesłał go do wojewody do Wąchocka, strzelców zaś zostawił przy sobie.

Pochód więźnia wyglądał bardzo oryginalnie. Najprzód na wózku pocztowym jechało czterech powstańców, uzbrojonych w karabinki i pistolety, następnie na drugim wózku jechał Luskina z adjutantem Czachowskiego, Bobrowskim, za nimi znów wózek z czterema ludźmi eskorty. Jechano szybko. Przed Wąchockiem posterunki Langiewicza zatrzymały jadących.

Wąchock wyglądał na miasto świeżo zdobyte przez nieprzyjaciela, wszędzie snuli się żołnierze najrozmaiciej uzbrojeni. Jedni ze strzelbami, inni z kosami, lub tylko przy pałaszach. Jedni ubrani w czamarkach, drudzy w białych chłopskich sukmanach; na głowach zwykłe chłopskie rogatywki. Oficerowie nosili konfederatki. Buty prawie u wszystkich długie do kolan.

Wózek z Luskiną zatrzymał się przed pocztą, gdzie była kwatera wojewody, wówczas jeszcze »pułkownika«, chociaż już był przez wszystkich tytułowany jenerałem. U ganku trzymało straż czterech kosynierów ze skrzyżowanemi żelezcami kos, tak, że pod niemi można było swobodnie przechodzić.

Wszedłszy do pierwszej izby, Luskina spostrzegł gromadkę mężczyzn, których można było wziąć za obywateli wiejskich. Był to Langiewicz ze swoim sztabem. Siedzieli jak wypadło, Langiewicz na kanapie. Były także dwie młode, przystojne kobiety, w zwykłem kobiecem ubraniu. Na twarzach znać było, że tylko co wstano od stołu, przy którym dosyć pić musiano. Sztabowi byli ubrani w czarnych czamarkach. Langiewicz miał na sobie ciemną, czarnym barankiem obszytą czamarkę, długie buty i był przy pałaszu; na lewem ramieniu miał trzechkolorową przepaskę. Wzrostu był średniego, ściągłej twarzy z gęstą ciemno-blond brodą. Wzrok jego był zadumany i ponury. Odrazu wpadało w oczy, że musi być ciągle zaprzątniony swem trudnem, ciężkiem i kłopotliwem zadaniem.

Langiewicz wiedział już, że Luskina szukał dragonów i zaraz po przywitaniu zapytał o nich jeńca. Luskina odrzekł, że w istocie został wysłany dla dowiedzenia się, czy niema gdzie wojsk w okolicy, lecz nigdzie je nie znalazł. Dalszy tok rozmowy niewiadomy...

Łuskina prosił, by go uwolniono. Langiewicz powiedział, że sam o tem decydować nie może, ale że na radzie postawi wniosek na wypuszczenie jeńca.

Poczem wraz z otoczeniem wyszedł do drugiego pokoju i po krótkiej chwili wrócił z oświadczeniem, że więzień jest wolny.

— Pozwólże mi pan zabrać i moich dwóch strzelców, którzy zostali zatrzymani w Suchedniowie.

— Czemuś mi pan o tem odrazu nie powiedział, na to potrzebna ponowna narada; z temi słowami wrócił Langiewicz do sąsiedniego pokoju.

Tym razem narada trwała dłużej i słychać było dosyć ożywioną rozmowę. Tymczasem wniesiono samowar i zastawiono do herbaty. Panie zajęły się nalewaniem herbaty i ugaszczaniem jeńca. Po jakiejś obojętnej rozmowie, zaczęły namawiać porucznika, by przeszedł do powstania, obiecując ładne stanowisko i dalsze widoki. W czasie tego na radzie zapadło postanowienie nieprzychylne; nietylko że nie uwolniono żołnierzy, ale i samego Łuskinę zatrzymano jako jeńca i wyznaczono mu kwaterę u komendanta Koźlickiego, gdzie umieszczono go w obszernym i pod każdym względem porządnym i wygodnym pokoju.

Langiewicz przysłał mu samowar, cukier i herbatę, a nazajutrz dnia 31. stycznia osobiście go odwiedził, z zapytaniem, czy zadowolony z kwatery i czy czego nie potrzebuje? Przy tej sposobności zrobił Koźlickiemu wymówkę za jakieś siodła, czego był świadkiem Łuskina.

O ile mógł zmiarkować Łuskina, oddział Langiewicza mógł liczyć do 600 ludzi, w połowie strzelców, w połowie kosynierów. Był wielki brak amunicyi. W czasie, gdy Łuskina znajdował się w niewoli, dragoni Szydłowskiego wyszli z Kielc ku Bzinowi. Langiewicz natychmiast uwiadomiony o tym ruchu, częścią swego oddziału obsadził pewien wąwóz w lesie przed Bzinem. Dragoni spotkani ogniem plutonowym cofnęli się. Gdy powstańcy wrócili z wyprawy, Łuskina słyszał od

Koźlickiego, że im w końcu zabrakło ładunków [1]). Dlaczego za dragonami nie postępował Zwierów, także zawezwany do Radomia, tego wyjaśnić nie jesteśmy w stanie. Wiemy tylko, że wyszedłszy później nie poszedł na Opatów i Iłżę, jak tego wymagał plan sekretny, ułożony w Radomiu, i że wskutek tego Langiewicz, zaatakowany tylko z jednej strony przez jenerała Markowa, nie mając ani sił odpowiednich, ani dostatecznej amunicyi, bitwy nie przyjął, lecz odstrzeliwając się, wycofał się zwolna ku górom Świętokrzyżskim.

Jenerał Markow, nie doczekawszy się ani swego adjutanta, ani wiadomości od Szydłowskiego i Zwierowa, zdecydował się z siłami, które miał pod ręką, rozpocząć zaczepne działanie, dnia 3. lutego zajął Wąchock i z porady adjutanta namiestnika, hrabiego Komorowskiego, kazał go ze wszystkich czterech stron podpalić [2]).

Zarzucano później Markowowi, że z siłami, któremi rozporządzał, mógł doskonale gonić powstańców, rozbić ich a nawet może schwycić wojewodę. W każdym razie powinien się był wywiedzieć dokąd się cofnęli, czego jednak nie dopełnił, a w następstwie otrzymał od naczelnika okręgu ostrą wymówkę. W wojsku zapanowała przykra atmosfera wzajemnych niedowierzań. Zaczęto powtarzać, że ułożony tajemnie plan nie był żadną tajemnicą dla powstańców; że Łuskina umyślnie dał się wziąć do niewoli, że on wcale nie powinien był jechać do Suchedniowa...

Tymczasem Langiewicz, doszedłszy do gór Świętokrzyżskich, zajął silną pozycyę na stoku góry, w pobliżu klasztoru na Łysej górze [3]). W czasie tego marszu i po przybyciu na

---

[1]) Wszystko to opowiadał autorowi w 1865 roku w Radomiu porucznik Łuskina.

[2]) *Dziennik działań wojennych* nr 6, str. 45, oraz opowiadania osób biorących udział w wyprawie.

[3]) Langiewicz uwolnił wszystkich księży emerytów, osadzonych w klasztorze. Bili się oni potem w jego szeregach i trzech z nich zginęło w boju.

miejsce, przybywały do oddziału tłumy ochotników, wskutek czego oddział ten z dniem każdym rósł w siły i stał się bodaj najliczniejszym w południowej części Królestwa Polskiego. Nazwisko Langiewicza szeroko się rozniosło. W *Czasie* krakowskim ukazał się efektowny biuletyn, przedstawiający odwrót Langiewicza z pod Wąchocka, jako znakomity czyn strategiczny, gdy wobec niestosunkowo przeważających sił nieprzyjacielskich, potrafił wycofać się bez szkody [1]).

Zamęt panujący wśród wojsk, pojawienie się wcale licznych oddziałów powstańczych, zajmowanie przez nich miast i miasteczek, w miarę opuszczania takowych przez wojska, i ogłaszanie wszędzie rządu narodowego [2]), wreszcie przesadne wiadomości o siłach powstańców, zakłopotały nietylko dowódzców poszczególnych części wojsk, ale nawet władze centralne w Warszawie. Spowodowało to, że pozostawiono Langiewicza przeszło tydzień w zupełnym spokoju. Czasu tego on użył na jakie takie wojskowe wyćwiczenie żołnierza i na wzmocnienie swych pozycyi. Żadna chwila w tym tygodniu nie była zmarnowaną dla powstania.

Dopiero dnia 9. lutego najbliższe wojska pod dowództwem pułkownika Czengierego wyruszyły z Kielc w sile pięciu kompanii piechoty, pół szwadrona dragonów, 50 kozaków i jednego działa, z postanowieniem dotarcia koniecznie do oddziałów Langiewicza. Na drugi już dzień, naprowadzony na jego ślady, Czengiery zaatakował go pod Nową Słupią i zmusił do cofnięcia się w lasy [3]). Powstańcy pozostawili w tem spotkaniu w ręku wojska 11 powózek z prowiantami i 43

---

[1]) *Aweyde* twierdzi, że większość biuletynów z pola walki była pisaną przez Gillera. Janczewski zalicza Gillera do ukrytych stronników Langiewicza.

[2]) Baron Rayski zajął Pinczów, potem Sandomierz, gdzie się zjawiły i inne oddziały. Stopnicę zajął oddział obywatela Sitowicza, Staszów, oddział Maciejowskiego.

[3]) Czengierego prowadził ten sam sołtys z Krajnego, który w 1844 roku wydał księdza Ściegennego. *Dziennik Poznański* nr 43.

koni, nadto plany, instrukcye powstańcze, imienne spisy czterech kompanii, wojskowe rozkazy, oraz tylko co otrzymane z Warszawy dokładne mapy Królestwa Polskiego. Zdobyto także dwie drewniane, kute żelazem armatki.

Cofając się polnemi drożynami i gęstymi lasami ku Staszowu, oddział Langiewicza dopuszczał się różnych nadużyć: po dworach i po wsiach zabierano wszystko, co było potrzebne dla oddziału bezpłatnie; zaciągano wszystkich zdolnych do noszenia broni w szeregi powstania, opornych zaś i podejrzanych bez ceremonii wieszano lub rozstrzeliwano.

I tak w wilię cofnięcia się oddziału z Nowej Słupi, za opór rozporządzeniom wojewody, rozstrzelano sołtysa z Opatowa. Oprócz tego byli skazani za szpiegostwo dwaj włościanie i jakaś Polka, żona rosyjskiego oficera z Kielc. Zbliżenie się wojsk rosyjskich przeszkodziło w wykonaniu wyroków, pozostawiono ich na miejscu, również jak porucznika Luskinę w Wąchocku [1]).

W tym właśnie czasie, gdy Langiewicz z oddziałem przechodził między Wąchockiem a Staszowem, miało miejsce znane zajście z rzeczywistym radcą stanu, Petrowem, które jako pozostające w pewnym związku z późniejszą intrygą stronnictwa, starającego się wysunąć na pierwszy plan Langiewicza, chcemy dokładniej opowiedzieć [2]).

---

[1]) Podobne egzekucye odbywały się w każdym oddziale. *Sulima* w „Pamiętnikach powstańca“ Lwów 1881 r. opowiada o kilku podobnych wypadkach, których sam był świadkiem.

[2]) Petrow znanym był szachistą i w połowie lat sześćdziesiątych uchodził za pierwszego gracza w Europie. Próbował się z najlepszymi szachistami starego i nowego świata i z walk tych wychodził zwycięzko. Jedyny Murphy grać z nim nie chciał i wskutek tego na konkursie został uznanym za pokonanego. Jako oddawna zamieszkały w Królestwie, Petrow zżył się z Polakami, był dla nich wyrozumiałym i z nimi sympatyzował. W rosyjskich oficyalnych sferach nazywano go „powstańskim.“ Ożeniony był z córką Pogodina, zupełnie spolszczoną. Umarł w Warszawie dnia 22. kwietnia 1867 roku we własnym domu przy ulicy Chmielnej.

Petrow w wilię nowego roku st. st., t. j. dnia 12. stycznia 1863 roku przyjechał do Osieka w sandomierskiem, donacyjnego majątku swego teścia Pogodina, który ciężko zachorował i dnia 2. lutego umarł [1]).

Dnia 3. lutego po obiedzie przybyło do Petrowa ośmiu powstańców, a między nimi, dobrze mu znany, baron Rayski, sąsiad z Osieka, któregośmy już spotykali w Pinczowie i Sandomierzu [2]). Rayski wszedł prosto do dworu; Petrow spotkał go jako zwykłego gościa, nie okazując wcale zdziwienia, że przybywa w towarzystwie siedmiu zbrojnych ludzi. Podano przekąskę i butelkę starego węgrzyna. Rayski napełnił kieliszek i wstając, zawołał: »Za pomyślność powstania, niech żyje król Konstanty!«

Petrow, udający dotychczas, że nie spostrzega nic dziwnego w przybyciu i ubraniu Rayskiego, po tym toaście spojrzał pytająco na przybyłego, a ten oświadczył, że »przybywa z rozkazu sandomierskiego wojewody Langiewicza, który ze znacznym oddziałem stoi w pobliżu i ma polecenie zarekwirowania u gospodarza wszelkiej znajdującej się broni.«

Petrow odrzekł spokojnie, by przeszukano dom cały i zabrano co znajdą.

Rayski wziął część tylko znalezionej broni, przyczem dowiedziawszy się, że w domu leży umarły Pogodin, poszedł odwiedzić ciało. Czuwający przy zmarłym duchowny prawosławny, pobłogosławił przybyłych, poczem powstańcy oddalili się.

W kilkanaście dni potem, dnia 16. lutego, już po zajęciu przez Langiewicza Staszowa [3]), przybyło ponownie do Osieka

---

[1]) Pogodin był jenerał-intendantem pierwszej armii, za błogosławionych dla intendantury czasów, które zresztą i obecnie jeszcze są nie najgorsze. Osiek leży w powiecie sandomierskim o milę od Wisły.

[2]) Działo się to po wymarszu Rayskiego z Pinczowa w kierunku ku Staszowu, skąd właśnie szedł do Sandomierza. Pinczów odległy od Staszowa 47 wiorst, tyleż w prostym kierunku od Sandomierza.

[3]) Przytem Langiewicz miał rozbić jakiś oddział rosyjski, złożony z kompanii strzelców, szwadrona dragonów i pół sotni kozaków.

40 ułanów, ubranych w kożuszki i konfederatki, uzbrojonych oprócz lanc w pistolety i palasze, za rekwizycyą żywności i furażu, a zarazem z rozkazem dostawienia samego Petrowa do Staszowa.

Ułani zażądali: 15 koni, 10 wołów, 20 baranów, 100 korcy owsa, 100 kwart słodzonej wódki, 100 bochenków chleba, 4 kute wozy, oraz siodła i uprząż jaka się znajdzie, na co przedłożyli asygnatę, podpisaną przez Skotnickiego, naczelnika powiatu sandomierskiego w powstańczej organizacyi [1]).

Petrow rozkazał wydać wszystko czego zażądano, tylko zamiast chleba, który nie był upieczony, wydano odpowiednią ilość mąki. Niewiele to było dla tak znacznych dóbr, w które Pogodin, jak powiadają, włożył do miliona rubli sr. Cały tabor ruszył, ułani zaś przetrząsłszy dom cały, przyczem otwierano szafy i komody, z których zabrano 255 rubli sr., wsadzili na wózek Petrowa i podążyli do Staszowa.

Dnia 17. lutego o godzinie 1. po południu przybyli do miasteczka i zatrzymali się przed główną kwaterą Langiewicza. Był to dom propinatora Lewandowskiego. Langiewicz zajmował piętro. Petrowa prawie kwadrans trzymano na wózku, zanim go wezwano do wojewody. Petrow zastał Langiewicza wraz z jego sztabem przy obiedzie.

— Jadłeś pan obiad? — zapytał Langiewicz wchodzącego, nie wstając i nie witając się. Na przeczącą odpowiedź, daną w języku polskim, Langiewicz zaprosił go do stołu [2]).

Petrow usiadł i rozejrzał się koło siebie i wśród obecnych. Uderzyła go blada, zmęczona twarz Langiewicza, wy-

---

O tem zwycięztwie rząd narodowy nieraz wspominał. Patrz rozkaz dzienny Langiewicza, podany w numerze 43. *Czasu* z 1863 roku.

[1]) Po ustąpieniu podpułkownika Miednikowa, Sandomierz znów znalazł się w ręku powstańców. Ogłoszono tam rząd narodowy i ustanowiono rewolucyjnych urzędników i władze.

[2]) Petrow mówił po polsku jak rodowity Polak. W jego domu nikt nie usłyszał jednego słowa rosyjskiego. Żona Petrowa, chociaż ze krwi Rosyanka, wychowana w Warszawie, w duszy była prawdziwą

glądającego jakby co tylko wstał z ciężkiej choroby. Ubrany był tak samo, jak go widział Luskina, w ciemnej, szaraczkowej czamarce z biało-czerwoną przepaską na ramieniu, która Petrowowi wydała się podobną do wstęgi orderu św. Stanisława.

Podano bardzo skromny obiad, złożony z dosyć dobrego rosołu i pieczeni z gniecionymi ziemniakami. Wódka i wino były dobre i podawane w obfitości. Jeden ze sztabowców jenerała, biały jak gołąb, ułan z 1830 roku, obywatel ziemski Krzesimowski, organizujący obecnie oddział kawaleryi na kozackich koniach, mówił najwięcej i wniósł toast: »Za wolność Polski! Niech żyje król Konstanty!«

Langiewicz przez cały czas obiadu zupełnie się nie odzywał, pogrążony w zadumie. Naraz wszedł do pokoju młody, przystojny kawalerzysta, przy pałaszu i pistoletach, a nawet przy pięknym czerkieskim kinżale, i zasalutowawszy po wojskowemu podszedł do Petrowa i powiedział: »Panie jenerale, oto masz list z Warszawy.«

Spojrzawszy na listonosza, Petrow odrazu poznał w nim znaną sobie wychowanicę puławskiego instytutu, przy którym jako członek rady administracyjnej nieraz asystował w publi-

---

Polką. Już dawniej wspominaliśmy, że swym nakładem wydawała w Warszawie pisemko ludowe: *Czytelnię niedzielną*, bardzo wzięte i rozpowszechnione, którego redaktorem był Agaton Giller.

W czasie powstania jeden z oddziałów wojskowych, cofający się po potyczce z powstańcami do Radomia, późno już w nocy napotkał na drodze karetę, a w niej jakąś damę. Zatrzymana i zapytana o powód tej późnej podróży, zaczęła się wypytywać czy niema przy oddziale polskich jeńców, gdyż chciałaby zaopatrzyć ich w prowizyę i pieniądze.

— A ktoż pani jesteś? — zapytał dowódzca oddziału.

— Jestem Petrowa, żona rzeczywistego radcy stanu i właścicielka majoratu.

— A więc Rosyanka?

— Tak panie!

— Byłoby więc właściwiej, byś to pani oddała rosyjskim żołnierzom. Proszę natychmiast wracać, gdyż w przeciwnym razie każę panią aresztować. — (Z opowiadania dowódzcy oddziału).

cznych egzaminach i słyszał jak obecny kawalerzysta, podówczas zaś, przynajmniej w czasie egzaminu, skromna i wstydliwa dziewczynka, wcale nie odznaczająco się odpowiadała na stawiane jej zapytania. Była to córka rosyjskiego jenerała Anna Pustowojtówna, która później swoimi wybrykami nie mało narobiła hałasu, lecz o której podówczas mało kto jeszcze wiedział [1]), a tem mniej spokojny i skromny szachista, który zatopiony w swych ulubionych kombinacyach szachowych, o niczem prawie więcej nie słyszał i nie chciał wiedzieć. Zdziwiony tem przeobrażeniem się dawnej pensyonarki w powstańczego kawalerzystę, Petrow, w ogóle szczery i otwarty, zawołał po rosyjsku: »Anusiu! a ty tu co robisz?«

Kawalerzysta uśmiechnął się i wyszedł, nie dawszy żadnej odpowiedzi.

Petrow otworzył list, lecz Langiewicz zatrzymał go mówiąc: »Przepraszam, ja pierwej muszę to przeczytać.« Wziąwszy list do ręki powiedział: »ach! to pisane po rosyjsku«, poczem zawezwał od stołu oficera Michałowskiego [2]) i podszedłszy pod okno, kazał sobie po cichu list ten przetłumaczyć, potem oddał go właścicielowi i znów usiadł za stołem [3]).

Po obiedzie, wyznaczono więźniowi kwaterę u komendanta placu, z oknami wychodzącemi na rynek. Spokojny szachista mógł swobodnie obserwować cały wojskowy ruch powstańców i wyprowadzać swoje wnioski o ich sile, wojskowych porządkach i uzbrojeniu. Ma się rozumieć, że starano się wykazać wszystko z najlepszej strony *(prodat' towar licom)*. Część żołnierzy ciągle się ćwiczyła na placu. Langiewicz w towarzystwie adjutanta, na dzielnych koniach, lustrował szeregi,

[1]) W księdze IV. pisaliśmy o wystąpieniach Pustowojtówny w 1861 roku, o wysłaniu jej do Rosyi i o ucieczce z drogi za granicę. O tem wszystkiem dowiedziano się w Warszawie dopiero w lutym 1863 roku, gdy powszechnie zaczęto mówić o adjutancie Langiewicza.

[2]) Dezerter z wojska rosyjskiego.

[3]) List był od pani Petrow i przyszedł do Osieka po wyjeździe stamtąd Petrowa, więc rządca list ten odesłał do Staszowa.

spotykany głośnemi okrzykami. Przychodziły woły, barany, fury z mięsem i inną żywnością. Nadszedł także transport z Osieka. W innym rogu placu toczono pałasze, osadzano groty do lanc, prostowano kosy, ostrzono noże...

Wojsko, które Petrow obserwował z okna, było przeważnie ubrane w krótkie kożuszki. Różnica między piechotą a ułanami polegała na tem, że jedne kożuszki siedziały na koniach, uzbrojone w lance i pałasze, drugie zaś chodziły piechotą, trzymając strzelby lub kosy. Wśród kosynierów była pewna pstrocizna w ubraniu. Jak kto w czem przyszedł, tak stanął do szeregów. Wszyscy bez wyjątku mieli na głowach czerwone krakuski, z czarnym lub siwym barankiem.

Co zaś do sił zebranych pod Langiewiczem, to różne osoby opowiadały Petrowowi, że kosynierów jest 3 bataliony po 1.000 ludzi, czwarty zaś formuje się; strzelców 300, ułanów także 300 [1]). Artylerya składała się z 4 brązowych wiwatówek bez lawet. Wożono je na wozach i o ile wiadomo, wcale nie były w użyciu.

Pod względem utrzymania tego wojska, Petrow się dowiedział, że kosynierzy, wstępując do szeregu, dostawali czapkę i buty, dziennie zaś dostawali pół bochenka chleba, dwa półkwaterki wódki i 30 groszy na rękę [2]). Strzelcy i ułani nie pobierali żołdu, utrzymując się własnym kosztem i staraniem. Pułkową muzykę stanowili przydybani gdzieś Tyrolczycy [3]).

Skład sił zbrojnych Langiewicza przedstawiał wielką różnorodność; przeważnie była reprezentowaną drobna szlachta, robotnicy fabryczni, rzemieślnicy, mieszczanie, oficyaliści pry-

[1]) Te same cyfry, zapewne za słów Petrowa, podaje *Dziennik działań wojskowych*, zapewne jednak są one grubo przesadzone. Langiewicz przy spotkaniu z Jeziorańskim pod Małogoszczą mówił temuż, że ma nie więcej jak 800 ludzi. — *Pamiętniki* tom II, str. 191.

[2]) *Dziennik poznański* nr 32, „Z pod Wąchocka“, szeregowiec dostawał rano i wieczór miarkę wódki i piętnaście groszy na rękę.

[3]) Tak ich Petrow nazywa. Byli to zapewne wędrowni muzykanci, Czesi.

watni i dworska służba; włościan było bardzo mało, może jakich trzydziestu na cały oddział, i to wziętych przymusowo.

W ogóle Petrow jako nie wojskowy, a przytem sympatycznie usposobiony dla Polaków, był oczarowany tem co widział. Jenerał powstańców długo potem, a może nawet do końca życia, przedstawiał mu się jako prawdziwy jenerał. Zawsze się o nim odzywał z uznaniem i szacunkiem. Tego właśnie chciało całe otoczenie wojewody. Oni usiłowali osiągnąć, by Petrow, dygnitarz, zajmujący w hierarchii rządowej wysokie stanowisko, zwykle przez Polaków tytułowany senatorem, opowiedział za powrotem swym do Warszawy wszystko, co widział i czego doświadczył, tak, jak im było potrzeba, więc że jest wojsko, należycie zorganizowane i odpowiednie dowództwo. Odwrotnej strony medalu Petrow nie widział i nie mógł dopatrzyć, że Langiewicz nie był wstanie osobiście wszystkiego dopilnować; że robił ciągłe wymówki przełożonym różnych wydziałów za niedozór i opuszczenia bez liku... Tu przyprowadzono dezertera, tam rzeczywistego szpiega, lub tylko podejrzanego o szpiegostwo człowieka; potrzeba ich sądzić, wieszać lub rozstrzeliwać; rozwiązywać naraz tysiące zadań, po większej części nie do rozwikłania, a wszystko to wśród rosyjskich bagnetów, które każdej chwili mogły spaść i zniszczyć tę całą, tak dla oczu Petrowa potężną armię. Zapewne, o ile sił starczyło, zapobiegano możliwej katastrofie; rozstawiano pikiety, wysyłano rozjazdy, lecz dziś one są, a jutro uciekły, lub zmarzły... Dla szachisty, przyzwyczajonego do rozwiązywania w swym umyśle najtrudniejszych i najzawilszych szachowych zagadnień, do końca życia pozostało niewytłumaczonem, dlaczego Langiewicz taki mizerny, blady, zamyślony i małomowny.

Na jednej z takich niepewnych pikiet sandomierskiego wojewody, trzymał raz straż Seweryn Markiewicz, ten ognisty, pełen porywów młodzieniec, student petersburgskiego uniwersytetu, któregośmy poznali na schadzce w 1861 roku u Nekludowa, gdy tak gorąco wykładał swym rosyjskim kolegom o polskiej sprawie i jej przeciwieństwie z Moskwą *(Księga II)*.

Ileż rozczarowań i zawodów doznała wrażliwa i marzycielska dusza tego młodzieńca, gdy się zetknął z rzeczywistem życiem, a przeznaczenie pozwoliło mu zbliska dotknąć się tej »polskiej sprawy« i spojrzeć własnemi oczyma na wiele rzeczy, które przedtem znał tylko z opowiadania, otoczone jakąś mgłą marzeń i tradycyi.

Obok przeszedł jeden z jego uniwersyteckich kolegów, panicz z arystokratycznem nazwiskiem, bez żadnych zdolności, na którego w uniwersytecie nikt prawie nie zwracał uwagi, jakby wcale nie istniał. Teraz w armii powstańczego jenerała, panicz zajmował pokaźne stanowisko, był jednym z adjutantów, należał do sztabu i do pewnego stopnia był osobistością wpływową.

Markiewicz jako prosty szeregowiec sprezentował broń przed dawnym kolegą. Adjutant w przechodzie rzucił okiem i zaraz go poznał.

»Wszak Markiewicz?« Markiewicz! »Pamiętasz, kolegowaliśmy w uniwersytecie?« Wiem o tem, cóż z tego? »Czemuż mnie nie odszukałeś? popchnąłbym ciebie w służbie. Czyż podobna stać na pikiecie jak prosty żołnierz? przecież, przypominam, byłeś prawnikiem.« Tak, ale cóż z tego? »No, przecież znajdziemy dla ciebie odpowiedniejsze zajęcie, wkrótce rozpocznie się działalność i na innem polu... Zgłoś się tylko do mnie, ja swoich nie zapominam!« Dziękuję ci serdecznie, ale pozwól mi tutaj pozostać — odrzekł dumny Markiewicz — przecież ktoś i żołnierzem być musi! »Jak chcesz, to już rzecz twoja! Lecz jeśli zmienisz zdanie, to się zgłoś do mnie, o swoich zawsze pamiętam!«

Broń znów szczęknęła, adjutant zniknął w pomroce...

Markiewicz pomimowoli zamyślił się nad tem, na pozór tak zwykłem i małoznaczącem zdarzeniem. Dla niego, jak i w rzeczy samej, nie było ono ani naturalne, ani tem mniej małoznaczące. Jak to? Sprawa ledwie się rozpoczyna; nic jeszcze nie wzniesiono, zaledwie może założono fundamenty pod przyszłą budowę, a już ohydna, zgniła protekcya, która jest

w stanie roztoczyć zorganizowane i silne polityczne ustroje, potrafiła i tu się zagnieździć, i podminowywać jeszcze prawie nie rozpoczętą budowę. Cóż to będzie, jeśli w samej rzeczy, jakimś cudem Opatrzności, na miejsce rozerwanych części powstanie cała Polska?...

W kilka dni potem, tenże sam Markiewicz, doznał jeszcze większego rozczarowania.

W czasie chwilowego odpoczynku wśród marszu, w jakiejś małej wiosczynie, gdy żołnierze wojewody rozprószyli się po chatach chłopskich, jeden chłop zapytał Markiewicza »czy to prawda, że tym Polakom aż trzech króli idzie na pomoc?« Tym Polakom! Jak smutno i złowrogo w uchu nerwowego słuchacza zadźwięczały te proste słowa? A on marzył, że cała Polska już się zajęła jednym, powszechnym płomieniem i bliską jest oswobodzenia!... Tymczasem: tej Polsce, tym Polakom brakowało tego, co stanowi rzeczywistą siłę wszelkich powstań narodowych! Brakowało ludu!

Tym Polakom! W tych dwóch słowach chłopa była zawartą cała przeszłość Polski, to wieczne odsunięcie szerokich warstw ludności od współdziałania w sprawach państwa!... wszystkie następne nieszczęścia, upadki, niepowodzenia działań rewolucyjnych... Markiewicz nigdy nie mógł wspomnieć o tem zajściu z krwią zimną, a opowiadając drżał cały ze wzruszenia i miał łzy w oczach [1])...

---

[1]) Z opowiadania jednego kolegi uniwersyteckiego Markiewicza, który to słyszał z ust jego. Markiewicz przy przejściu granicy został uwięziony przez Austryaków i następnie internowany w Iglawie na Morawach, skąd uciekł w połowie 1863 roku. Dostał się najprzód do Heidelberga, a stamtąd dostał się napowrót do Warszawy. Ponieważ szczęśliwym trafem nie wiedziano o jego udziale w powstaniu, więc pozostawiono go w spokoju. Żył w niedostatku i umarł na suchoty w 1870 czy 1871 roku. W tym czasie napisał rozprawę prawną o *Prawach autorskich, czyli tak zwanej własności artystycznej i literackiej w Królestwie Polskiem.*

Tymczasem, wskutek nadchodzących z różnych stron wiadomości o ruchach oddziałów powstańczych i ogłaszaniu przez nich wszędzie rządu narodowego, naczelnicy wojenni w miarę możności i sił, któremi rozporządzali, zaczęli działania, mające na celu przywrócenie zakłóconego spokoju i prawowitego porządku.

Dnia 4. lutego, gdy jeszcze Langiewicz znajdował się w górach Świętokrzyżskich, wyruszył z Opoczna major Donicc-Chmielnickij z dwoma kompaniami piechoty w kierunku ku Korytkom, gdzie prawdopodbnie miał się znajdować oddział obywatela Łakińskiego [1]). Jednocześnie jednak inną drogą Łakiński poszedł na Opoczno, zajął to miasto i ogłosił w niem rząd narodowy.

O niczem nie wiedząc, Chmielnickij szukał dalej powstańców w Końskiem, gdzie się przyłączyła do niego kolumna, wysłana mu na pomoc z Radomia, także w sile dwóch kompanii piechoty, z rozkazem wyparowania z Opoczna powstańców.

Pozostawiwszy jedną kompanię w Końskiem, Chmielnickij z resztą oddziału uderzył na Opoczno, wyparł stamtąd Łakińskiego, który cofnął się do klasztoru w Studziannej, zabierając w Drzewicy, wsi położonej po drodze ku Radomiowi, dwa żelazne działka, odlane w tamtejszej fabryce Ewansa.

Chmielnickij nie odważył się uderzyć na klasztor w Studziannie i zażądał dalszej pomocy z Radomia, skąd też natychmiast wysłano batalion piechoty i dwa działa pod dowództwem pułkownika Zwierewa.

Łakiński nie czekając ataku, opuścił klasztor i cofnął się ku Pilicy, pozostawiając w ręku wojska jedną armatkę, zaprzężoną w 4 konie i dosyć znaczną ilość prochu.

Pułkownik Zwierew nie gonił powstańców, lecz spokojnie powrócił do Radomia.

---

[1]) O Łakińskim była mowa przy opisywaniu teatralnego przedstawienia w Jędrzejowie z dnia 15. stycznia.

Jednocześnie wyprawiono z Radomia majora Gołubiewa z trzema kompaniami piechoty i nieco kozaków ku Opatowu, zaś majora Zagriażskiego z kompanią piechoty i szwadronem dragonów w kierunku ku Stopnicy, z poleceniem przywracania wszędzie prawowitych władz i działania według własnego uznania przeciw napotykanym oddziałom powstańczym.

Obie kolumny nie spotkały powstańców w miejscowościach wskazanych, lecz dowiedziawszy się, że oddział Langiewicza rozłożony jest w Staszowie, tam się skierowały.

Dnia 17-go lutego [1]) Zagriażski stoczył małą potyczkę z forpocztami Langiewicza, lecz dalej się nie posunął; również i Gołubiew się zatrzymał, oczekując na zażądane rozkazy z Radomia.

Jenerał Uszakow zawiadomił namiestnika o przeszkodach, na jakie natrafiają różne, wysłane przez niego kolumny. Jednocześnie w Warszawie otrzymano wiadomość, jakoby z zagranicy wkroczyło kilka dobrze zorganizowanych oddziałów, pod dowództwem Mierosławskiego, w sile 17.000 ludzi, w czem Węgrów miało być do 8 tysięcy, i że cała ta siła ukrywa się gdzieś w olkuskim powiecie.

Pomimo widocznego nieprawdopodobieństwa, pogłoskom tym jednak uwierzono. Takie było podówczas usposobienie umysłów, takie też i... głowy. Namiestnik nakazał, by z Częstochowy wyruszył ku Olkuszowi pułkownik Ostrowski, z Miechowa zaś książę Bagration, zabierając z sobą batalion celnych strzelców, kompanię piechoty, dwa plutony dragonów, sotnię kozaków i 50 pogranicznych strażników z dwoma pozycyjnemi działami. Ogólny zaś kierunek wyprawy miał objąć oberkwatermistrz czynnej armii, jenerał-major Czernicki, wysłany z Warszawy z batalionem gwardyjskiej piechoty.

Powstańcy doskonale bywali uwiadamiani o wszelkich zarządzeniach władz cywilnych i wojskowych w Królestwie

[1]) Jest to dzień przybycia Petrowa do obozu Langiewicza. Jeniec słyszał strzały, a nawet kule uderzały o ściany domu, w którym się znajdował.

Polskiem i o ruchach każdego oddziału wojska, zawsze więc mogli uniknąć spotkania, gdy uważali, że siły były zanadto przeważające. To też ani kolumna Bagrationa, ani grenadyery gwardyi jenerała Czernickiego z nikim się nie spotkali i wrócili do swoich garnizonów, gwardya napowrót drogą żelazną warszawsko-wiedeńską do Warszawy, dokąd przybyła dnia 24. lutego. Jedynie częstochowska kolumna pułkownika Ostrowskiego, przechodząc przez Sławków, Dąbrowę, Siewierz i Koziegłowy, przychwyciła dnia 20. lutego w Olkuszu 8 koni powstańczych i 30 pudów prochu. Z żadnym wszakże oddziałem nigdzie się nie spotkała.

Poszukiwani przez te oddziały wojska powstańcy, zapewne że ani w tej sile, ani pod dowództwem Mierosławskiego, kręcili się po południowej części gubernii radomskiej, przechodząc z miejsca na miejsce w powiatach: olkuskim, miechowskim, stopnickim i sandomierskim. Jeden z takich oddziałów, dosyć liczny i dobrze uzbrojony, dowodzony przez Apolinarego Kurowskiego, korzystając z wystąpienia Bagrationa z Miechowa, opanował dnia 16. lutego to miasto, lecz zaraz został wyparty przez oddział wojska, eskortujący rekrutów, który wypadkowo tam nadciągnął. Kurowski zmuszony został do odwrotu, poniósłszy bardzo dotkliwe straty, szczególniej wiele ucierpiała jego kawalerya, złożona przeważnie z majętniejszej młodzieży i studentów krakowskiego uniwersytetu [1]). Schronił się potem w lasach między Olkuszem a Miechowem, dowiedziawszy się zaś, że dalej na północ w głębi gubernii zebrane są większe siły powstańcze pod Langiewiczem, Lakińskim i Je-

[1]) Z powodu tej bitwy i odwrotu z pod Miechowa ułożono piosenkę, śpiewaną na nutę mazura Chłopickiego:

„Nasz Kurowski! mężny śmiały,
Poprowadził nas do Skały,
A ze Skały do Miechowa
Gdzie się Moskwa chowa!
A z Miechowa w Imię Boże,
Uciekajcie, gdzie kto może.“

ziorańskim, skierował się w tamte strony i między Rakowem a Kielcami we wsi Rodowicach połączył się z Langiewiczem.

Tam przybyli do Langiewicza wysłańcy Kielc, wzywając do uderzenia na miasto i przyrzekając współudział czynny całej ludności [1]). W tym samym czasie połączył się z Langiewiczem Czachowski, przyprowadziwszy dosyć liczny oddział. Petrow, jadący za oddziałem Langiewicza, świadkiem był tego połączenia. Było to w jakimś wąwozie. Czachowski szedł piechotą z Pustowojtówną, brodząc po kolana w wodzie. Pustowojtównę wysłał był Langiewicz do odszukania Czachowskiego i sprowadzenia go do siebie, jako do naczelnego dowódzcy wszystkich sił zbrojnych w województwie. Następnie Pustowojtówna i inna jeszcze jakaś dziewczyna-ułan, Karolina, jechały na jednym wózku z Petrowem. Gdy raz wózek ugrzązł w błocie, wszyscy troje szli piechotą wiorst kilka, zanim nie spotkali jakiejś fury żydowskiej, którą dalej pojechali. Petrow wśród tych trudów i niewygód, oraz ciągłych alarmów, w myśli rozwiązywał szachowe zadania i tem rozpraszał i koił swe troski.

Gdy nadeszły do Radomia wiadomości o tych ruchach oddziałów powstańczych, wysłano natychmiast silną kolumnę, złożoną z trzech kompanii piechoty, szwadronu dragonów, sotni kozaków i dwóch armat, nad którą dowództwo objął sam Dobrowolski, starający się energicznem postępowaniem rozprószyć ciążące na nim podejrzenia. Przedewszystkiem postanowił podać rękę Gołubiewowi i Zagriażskiemu, spodziewając się zastać Gołubiewa w Opatowie. Po drodze jednak dowiedział się, że Langiewicz z czterma jeszcze jakimiś oddziałami porusza się ku Kielcom, zmienił więc kierunek i podążył do Lagowa, dając polecenie, by Gołubiew zajął Raków i przeciął tem drogę Langiewiczowi od strony Kielc. Langiewicz jednak zapewne uprzedzony o tym ruchu, zboczył na Sobków, a stam-

[1]) *Jeziorański* w swych „Pamiętnikach“ tom II, str. 184—185 twierdzi, że sam jeden chciał uderzyć na Kielce, i stanął obozem w gęstym lesie pod Ropotycami. Tam miał przybyć do niego Langiewicz z propozycyą połączenia oddziałów w Małogoszczy, str. 189 - 192.

tąd forsownymi marszami dostał się do Radkowa, leżącego o pięć wiorst od Małogoszczy. Dobrowolski szedł wciąż za tym oddziałem.

W Sobkowie Petrow chciał się ogolić i tam przywołany wszystko wiedzący cyrulik powiedział mu, że Rosyanie stoją w Chęcinach o małą milkę od Sobkowa.

Petrow wzruszony tą wiadomością, natychmiast pobiegł do Langiewicza, który wśród kłopotów i zamięszania widocznie zapomniał o jeńcu, a będąc w tej chwili czegoś rozdrażniony, gniewnie zapytał czego sobie życzy.

Petrow przedstawił mu całe niebezpieczeństwo swego położenia między dwoma walczącemi stronami, i prosił go o uwolnienie, jako niepotrzebnej i zupełnie nie niebezpiecznej osobistości.

— Ja bym pana już dawno uwolnił, gdyby to odemnie zależało, lecz ja jestem tylko wykonawcą otrzymanych rozkazów. Zresztą pomówię jeszcze w sztabie [1]).

Na naradzie stanęło, że dalsze przetrzymywanie Petrowa niema żadnego celu, lecz ten jako człowiek bogaty, winien złożyć okup na cele powstania, a przytem przewieźć list do namiestnika.

Langiewicz sam ułożył brulion listu do namiestnika, który następnie został przepisany i zapieczętowany pieczęcią wojewody.

Trzymając list ten w ręku, Langiewicz powrócił do więźnia i oświadczył, że za pozwolenie bezzwłocznego powrotu do Warszawy, Petrow ma wnieść do kasy narodowej 10.000 rubli sr. i doręczyć ten oto list do własnych rąk księcia.

Petrow podjął się doręczenia listu, lecz prosił o obniżenie sumy okupu.

Stanęło więc na 10.000 złotych polskich, czyli na kwocie 1.500 rubli sr. Wtedy wydano mu przepustkę, napisaną własnoręcznie przez wojewodę i doręczono list do namiestnika.

---

[1]) Z opowiadań Petrowa.

Petrow zaś zobowiązał się pieniądze zapłacić zaraz po powrocie do Warszawy [1]).

Petrow szczęśliwie dojechał do Kielc, tam zatrzymano go na rogatce i zaprowadzono do Czengierego. Po przesłuchaniu i skonstatowaniu kto on jest, pozwolono mu wrócić do Warszawy, dokąd przybył dnia 23. lutego i nie małe wywołał wrażenie opowiadaniami o swych przejściach i pobycie między powstańcami. Wówczas dopiero zobaczono prawdziwą fotografię Langiewicza, gdyż dotąd jakaś inna fotografia uchodziła za portret przyszłego dyktatora.

Tymczasem Langiewicz z oddziałami Jeziorańskiego, Kurowskiego i Czachowskiego [2]) najspokojniej zajął Małogoszcz, nie przewidując niebezpieczeństwa, które zbliżało się i było już bardzo bliskie. Dowódzcy smaczno jedli i pili u Langiewicza, stojącego kwaterą na probostwie; herbata nie schodziła ze stołu. Jedynie Jeziorański był niespokojny i w złem usposobieniu, gdyż był bardziej przewidujący i z obawą dowiedział się o koncentracyjnym ruchu kilku kolumn rosyjskich na Małogoszcz. Ostrzeżony o tem Langiewicz, przyjął wiadomość tę z pewnem niedowierzaniem i nie zarządził żadnych środków celem sprawdzenia tych wieści. Dopiero rzucono się do koniecznych zarządzeń celem spotkania nieprzyjaciela, gdy obywatelka Stodolnicka wpadła do głównej kwatery z wiadomością, że na własne oczy widziała po Chęcinami gęste masy wojska rosyjskiego.

Dwie kolumny rosyjskie, pod Dobrowolskim i Gołubiewem, posuwały się równolegle i zatrzymały się, jedna w Chęcinach o $13^1/_2$ wiorst, druga zaś w Jędrzejowie o $18^1/_2$ wiorst od Małogoszczy. Było to dnia 22. lutego. Dobrowolski zawezwał do siebie Gołubiewa i wspólnie uradzili plan uderzenia

[1]) *Czas* nr 52. zamieszcza cały ten epizod, wyjęty z *Gazety wrocławskiej*, z korespondencyi z Warszawy.

[2]) Łakiński odłączył się i przeszedł do warszawskiej gubernii.

na Małogoszcz. Poczem wysłano gońca do Czengierego, wzywając go także, by przybył do Chęcin dla omówienia wszystkich szczegółów, gdyż i jego oddział miał wziąć udział w projektowanym ataku.

Czengiery właściwie w tej okolicy był gospodarzem. On znał każdą górkę, nieomal kamień każdy i drzewko w całej okolicy, a przytem miał już wyrobioną opinię dzielnego oficera. Imię jego już zdala było straszne dla powstańców, a przytem rangą starszy od Dobrowolskiego, lada dzień mógł się spodziewać awansu na jenerała. Bardzo mu więc niemiło było pędzić tak zaraz na pierwsze wezwanie, prawie na rozkaz jakiegoś tam smarkacza, wcale nieznanego wczorajszego kapitana, a jeśli i rozgłośnego... to Bóg wie jeszcze z jakich powodów[1])... Z drugiej jednak strony zważając, że Dobrowolski jest szefem sztabu radomskiego wojennego okręgu, od którego wszystko zawisło, najmniejsza sprawa, każda prośba, skarga, raport, przedstawienie do nagród; że to osobistość, która wszystko działa, wszystko pisze, wszystkiem zarządza, a naczelnik tylko podpisuje ekspedycye; ostatecznie wiedząc, że to człowiek z charakterem i uparty, który za nic nie ustąpi jakiemuś tam pułkownikowi z armii, który chociaż i doszedł tego samego stopnia, lecz z bezporównania większym trudem i przeszkodami... który nie ustąpiłby nigdy, a tem bardziej teraz, gdy chodziło o odegranie pierwszej, znaczącej i wybitnej roli; Czengiery tłukł się z myślami »na słońce, na zegarek spoglądał, w końcu machnął ręką... i znalazł się u sąsiadek.«

Dyspozycye, odczytane przez Dobrowolskiego pułkownikowi, zasadzały się na tem, by 24. lutego między godziną 10. a 11. przed południem jednocześnie zaatakować Małogoszcz z trzech stron: Czengiery z północy od Kielc, Dobrowolski z zachodu od Chęcin, zaś Gołubiew z południa od Jędrzejowa.

---

[1]) Czengiery opowiadał to sam autorowi z uczuciem żalu, którego się nie mógł pozbyć. Również i Dobrowolski rzecz tę omawiał, lecz z innego punktu zapatrywania, po swojemu...

Bitwy na seryo nie można się spodziewać. Pozycya powstańców w najwyższym stopniu niedogodna; oddziały źle uzbrojone, nie wyćwiczone wojskowo, bez artyleryi. Nie pozostanie im nic innego, jak złożyć broń. W ten sposób najgłówniejsze siły powstańców, w jednym z najważniejszych punktów Królestwa Polskiego, za jednym zamachem zostaną zniszczone, powstanie w południowej części gubernii radomskiej zostanie uśmierzone, a rozgromienie czterech wielkich oddziałów wywrze na powstanie wpływ stanowczy i zastraszający.

Czengiery wysłuchawszy dyspozycyi, nie znalazł w nich nic sprzecznego z przepisami wojskowymi i takowe podpisał, zrobił jednak uwagę, że powodzenie zależy nie od tego, jak napisano rozkazy, lecz od ich wykonania. Dobrowolski nic na to nie odpowiedział, Czengiery wrócił do Kielc, a Gołubiew do Jędrzejowa.

Ten zjazd rosyjskich dowódzców nie pozostał tajemnicą dla wodza powstańców w Małogoszczy. Oczekiwał on napadu lada chwila. Dnia 24. lutego o godzinie 4. rano kazał uszykować swoje siły na rynku, a po wysłuchaniu Mszy świętej, otoczony licznym sztabem objechał szeregi i przemówił kilka słów dla dodania i podniecenia ducha. Następnie wytoczono beczki z wódką i uraczono nią wojsko. Było zimno, mróz dochodził do 10 stopni. O godzinie 8. rozdano jeszcze raz wódkę. Powstańcy niecierpliwie wyczekiwali chwili rozpoczęcia boju. Jakaś ogromna baba, w łachmanach, biegała z miotłą po placu, wołając do gapiącego się ludu: »a cóż ta stoicie pootwierawszy gęby, marsz na Rosyanów! marsz do powstania!« [1]).

Dobrowolski ze swoją kolumną wyruszył o dwie godziny wcześniej, niż wypadało z dyspozycyi, i już o godzinie 10. stanął pod Małogoszczą, podczas gdy inne oddziały, szczególniej zaś Czengierego, mający długi marsz flankowy do wykonania, były daleko jeszcze od miasta.

---

[1]) Patrz *Wspomnienia kapitana wojsk polskich.* Lipsk 1866, strona 19.

Wysłani w przedniej straży dragoni rozpoczęli ogień karabinowy. Piechota oddalona jeszcze o trzy wiorsty, posłyszawszy strzały, rzuciła się naprzód przyśpieszonym biegiem. Za nią podążyły działa, i nie czekając rokazów dowódzcy, z odległości jednej wiorsty rozpoczęła ogień, skierowany na miasto. Podobne przekroczenia rozkazów i działania na własną rękę, zdarzały się podówczas bardzo często, szczególniej, gdy oddziałem dowodził Polak, nie wzbudzający zupełnego zaufania u swoich podwładnych.

Powstańcy, gdy tylko spostrzegli zbliżające się kolumny Dobrowolskiego, obsadzili strzelcami wzgórza po obu stronach miasteczka, resztę zaś oddziałów ustawili w samej Małogoszczy. Kiedy rozległy się pierwsze strzały artyleryi, powstańcy usadowieni na wzgórzach, z których lewe pokryte było gęstym lasem, spuścili się na dół i z głośnymi okrzykami rzucili się na armaty. Słyszano nad to w posuwającej się ławie kosynierów słowa »raz, dwa! raz, dwa.« Chorążowie wywijali sztandarami na wszystkie strony. Szła jakaś dzika, bezładna masa, nie mająca najmniejszego wyobrażenia o ruchach wojskowych, a do tego pijana.

Artylerya przypuściła ich na strzał kartaczowy i strzeliła razem. Powstańcy się wstrzymali, zmięszali i w największym nieładzie cofnęli się pospiesznie, zajmując napowrót wzgórza. Podpułkownik Dobrowolski, nie zważając na niedostateczne siły, postanowił uderzyć na miasto, rozliczając, że lada chwila powinien się był ukazać nadciągający z drugiej strony oddział majora Gołubiewa, co musiałoby wywrzeć deprymujący wpływ na powstańców. W rzeczy samej Gołubiew nadciągnął, a wzięci we dwa ognie powstańcy nie trzymali się długo. Prosty rozsądek wskazywał, by nie oczekiwano do chwili, gdy nadciągający trzeci oddział od strony Kielc, przetnie wszelką możność odwrotu. To też wycofali się po tej drodze i forsownym marszem prędko skryli się z przed oczu.

Powstańcy, według zebranych wiadomości, stracili pod Małogoszczą 300 zabitych i do 500 rannych. Ze strony woj-

ska rosyjskiego było, lub miało być tylko 6 rannych (!). Za cyfry te odpowiada podpułkownik Dobrowolski [1]).

Pułkownik Czengiery przybył do Małogoszczy dopiero o pół do drugiej po południu, gdy wzgórza i miasteczko były już zdobyte, a powstańcy cofali się bez zatrzymania bocznemi drożynami, lasami i górskimi wąwozami. Dobrowolski pracował już nad sprawozdaniem i obmyśliwał, jakby najefektowniej przedstawić siebie w charakterze naczelnego wodza wyprawy. Kolumna kielecka zamieniła zaledwie kilka strzałów ze strażą tylną powstańców, przeprawiającą się przez rzeczkę Łasocinę, następnie wraz z innemi kolumnami postępowała za cofającymi się powstańcami aż do wsi Bolymina. Następnie dnia 26. lutego pod wsią Eminami zabrano powstańcom obóz, wprowadzony zdradziecko przez przewodnika kolonistę na grzęzkie moczary. — Pościg skończył się we Włoszczowy, o 22 wiorsty od Małogoszczy, wskutek nadzwyczaj błędnych i sprzecznych doniesień »języków« o kierunku, w którym się powstańcy udali. Czengiery spotkawszy się z Dobrowolskim, popatrzył mu tylko znacząco w oczy...

Później dowiedziano się, że Czachowski w 500 ludzi piechoty i 200 kawaleryi z pod Małogoszczy skierował się w góry Świętokrzyżskie, gdzie niepodobna było postępować za nim kolumnie regularnego wojska z taborem i artyleryą. Około 500 ludzi schroniło się do Galicyi, z czego część została aresztowaną przez Austryaków i internowaną w Igławie, Ołomuńcu i Teufelsbergu. Obok najzupełniejszego tolerowania powstania, przyzwolenia na zbieranie i formowanie się oddziałów w całej Galicyi, a nawet przy gotowości zaopatrzenia powstania własną artyleryą (patrz wyżej o Degenfeldzie)... nasz kochany sąsiad od czasu do czasu wydawał wręcz przeciwne zarządzenia.

[1]) Relacya Dobrowolskiego i *Dziennik działań wojskowych* nr 11, str. 4—5. Jeziorański podaje swe straty pod Małogoszczą na 148 zabitych i 49 rannych, straty zaś Rosyan na 460 zabitych i rannych. — Tom II, str. 208.

Reszta oddziałów powstańczych pod Langiewiczem, Kurowskim i Jeziorańskim z pod Małogoszczy poszła na południowy zachód ku Miechowu i tu natknęła na kolumnę księcia Szachowskiego, jenerał-majora świty jego cesarskiej mości [1]). Kolumna ta, składająca się z trzech kompanii piechoty i pół sotni kozaków, szła z Częstochowy do Myszkowa, na pomoc stojącej tam kompanii piechoty, którą, jak fałszywie doniesiono, mieli powstańcy zaatakować. W czasie tego marszu książę Szachowski dowiedział się o porażce Langiewicza pod Małogoszczą i o cofaniu się tegoż w kierunku południowo-zachodnim. Zebrawszy możliwie dokładne wiadomości o powstańcach, książę Szachowski wsadził piechotę na zarekwirowane podwody i skierował się przez Kromołów i Pilicę do Żarnowca i tu dowiedział się, że powstańcy dążąc widocznie do Skały, przeszli drogę, wiodącą z Wodzisławia do Żarnowca. Zatrzymał się więc i stanął obozem przy wsi Tarnowie. Myszków oddalony od Częstochowy 30 wiorst, Kromołów od Wyszkowa 18 wiorst, Pilica od Kromołowa 17 wiorst, Skała od Pilicy 30 wiorst, od granicy galicyjskiej 25 wiorst, Wodzisław od Miechowa 24 wiorst.

Szachowski postanowił bezzwłocznie uderzyć na powstańców pod Skałą, zawezwał więc majora Medema z Olkusza i majora Sztolcenwalda z Miechowa, by jednocześnie oskrzydlili powstańców, sam zaś przez Wolborz ruszył na Skałę.

Major Medem wyruszył z Olkusza dnia 4. marca w dwie kompanie strzelców celnych, trzy kompanie piechoty, sotnię kozaków i 50 objeszczyków i pierwszy spotkał się z powstańcami pod Suleszowem, skąd ich wyparł i pędził do Pieskowej skały. Był to oddział Jeziorańskiego [2]).

---

[1]) Jenerał-major Szachowski, podonczas naznaczony na wojskowego naczelnika powiatów miechowskiego i olkuskiego, dzięki swym wpływowym stosunkom mógł działać dosyć samoistnie.

[2]) *Giller* tom I, str. 295 przytacza, że po bitwie pod Małogoszczą Jeziorański twierdził, że gdyby on miał dowództwo, to albo bitwy wcale by nie przyjął, albo przyjąwszy takową, tak się rozporzą-

Usłyszawszy strzały książę Szachowski zwrócił się ku wsi Wielmoży, oddalonej tylko 4 wiorsty od Skały, by z boku uderzyć na pozycye powstańców. W lesie strzelcy Szachowskiego wytrzymali słaby ogień rotowy tyralierów powstańczych, następnie napotkali kosynierów, ustawionych na polanie wśród lasu. Wyparto i jednych i drugich, i kolumna księcia Szachowskiego ruszyła naprzód; tu zginął od kuli karabinowej porucznik Potebnia, dezerter z wojska rosyjskiego, w chwili, gdy prowadził kosynierów do ataku.

W tym samym czasie główne siły majora Medema obsaczyły zamek w Pieskowej Skale, wyłamały bramę zamkową i wdarłszy się do wnętrza wyklóły wszystkich znajdujących się w zamku, zamek zaś podpaliły. W pożarze tym spaliły się znaczne zapasy broni i umundurowania, a także wspaniałe urządzenie, meble, obrazy, będące własnością hrabiego Mieroszowskiego. Skargi właściciela na niepotrzebne podpalenie, nie odniosły żadnego skutku co do odszkodowania za poniesioną stratę. Część oddziału z Jeziorańskim potrafiła wydostać się szczęśliwie z pogromu i cofnęła się do otaczających Skałę lasów.

Powstańcy stracili do 250 ludzi w samym zamku, w lesie zaś padło ich około 150. Strata wojska była zupełnie nieznacząca. Zginął 1 szeregowiec i 1 ranny u Medema, zaś 2 zabitych a 7 rannych w oddziale Szachowskiego [1]).

Z braku prowiantu, szczególniej zaś sucharów, oddziały Medema i Szachowskiego z pod Pieskowej Skały wróciły na

---

dził, że straty nigdy nie byłyby tak wielkie. W oddziale Jeziorańskiego niezadowolenie z Langiewicza z każdym dniem wzrastało tak dalece, że w Pieskowej Skale przyszło nawet do oświadczenia się oficerów, że opuszczą oddział, jeśli Jeziorański nie obejmie naczelnego dowództwa. — To samo *Jeziorański* przytacza w swych „Pamiętnikach“, tom II, str. 216—217.

[1]) Tak przynajmniej podano w oficyalnem sprawozdaniu. Często nawet przy znaczniejszych bitwach wykazywano, że zginął, albo się gdzieś zapodział jeden kozak. Kozak ten był przedmiotem żartów powstańczej i zagranicznej prasy. Wychodzący w Wiedniu, podobno kosztem księcia Władysława Czartoryskiego, tygodnik illustrowany *Po-*

swe zwykłe leże, kolumna zaś majora Sztolcenwalda, złożona z jednej kompanii celnych strzelców, z jednej kompanii piechoty, 50 kozaków i 40 objeszczyków, przybyła do Pieskowej Skały w kilka godzin po bitwie, i gdy nikogo już nie zastała, rozłożyła się biwakiem na cmentarzu, oddalonym o pół wiorsty od miasteczka i otoczonym dokoła murem. O godzinie 1. w nocy z 4. na 5. marca Sztolcenwald wystąpił dla połączenia się z Szachowskim, o którym sądził, że jest jeszcze w Pieskowej Skale.

W tej chwili wojska zostały zaatakowane przez silny oddział powstańczy i zmuszone do cofnięcia się za mur cmentarny. Powstańcy pod dowództwem Langiewicza, w sile przeszło tysiąca ludzi, kilka razy przypuszczali szturm do cmentarza, lecz każdą razą spotykani celnym ogniem strzelców, w końcu musieli dać za wygranę i cofnęli się w lasy. Tak piszą oficyalne sprawozdania. Organa powstańcze zaś twierdziły, że cmentarz został zdobyty, przyczem nawet miano wziąść jednego oficera do niewoli.

Dnia 5. marca o godzinie 8. rano Sztolcenwald wyszedł z za ogrodzenia i podążył do Miechowa bez taboru, a nawet bez kotłów dla gotowania jedzenia. Obawiał się przytem ponownego napadu przeważających sił powstańczych, tem bardziej, że nie wiedział co się z Szachowskim stało i gdzie się ten obraca. — Lecz oddziały Langiewicza, Kurowskiego i Jeziorańskiego wcale nie myślały o nowych napadach i podążały przez Ojców i Smorżowiec do Goszczy, leżącej w górzystej okolicy, niedaleko Michałowic, a tylko o 12 wiorst od Krakowa [1]). Potrzebowały one przedewszystkiem wypoczynku; potrzeba też było zastanowić się nad tem, co dalej robić należy?

---

stęp, na stronie 74 z 1863 roku, zamieścił nawet wizerunek tego kozaka. W Warszawie przy grze w domino zaczęto powtarzać zamiast cyfry „jeden“ słowo „kozak“, co do dzisiaj pozostało w użyciu.

[1]) W Smorżowcu miejscowa ludność tak się okazała wrogo usposobioną dla powstańców, że jednego chłopa powieszono a kilku obito kijami.

Jednocześnie rozpuszczono fałszywe wiadomości o miejscu pobytu wojewody. Na całem pograniczu powtarzano, że ranny i leży w Męczycy, inni twierdzili, że w Rzędowicach... albo w Giebułtowie... inni nakoniec utrzymywali, że Langiewicz wraz z innymi naczelnikami oddziałów udał się do Krakowa, gdzie się toczą jakieś ważne narady.

Przypisek do księgi VII.

Spotkanie jenerała Sinielnikowa z powstańcami dnia 22. stycznia 1863 roku.

W zapiskach M. W. Berga o polskiem powstaniu 1863 i 1864 roku, drukowanych w *Ruskoj Starynie*, powiedziano że partya Rogińskiego spotkała jenerała Sinielnikowa, jadącego do Warszawy pocztą, a potem jakiegoś żandarmskiego oficera z dwoma żandarmami, i że wszyscy nie uszliby cało, gdyby na sumieniu Rogińskiego nie ciążyła już barbarzyńska i bezmyślna zbrodnia zabójstwa S. S. Czerkasowa. — Rogiński miał rozkazać swym podwładnym, by odebrano od wszystkich pojmanych broń, ich zaś wolno puszczono. Przyczem dodano uwagę »z własnych zeznań Rogińskiego.«

W celu wyświetlenia, jak się w rzeczywistości rzecz miała, czuję się w obowiązku tych kilka słów napisać [1]).

Dnia $^{10}/_{22}$ stycznia 1863 roku rzeczywiście jechałem traktem bitym warszawsko-brzeskim, lecz nie do Warszawy, ale przeciwnie z Warszawy do Kijowa, i nie bryczką pocztową, lecz we własnej podróżnej karecie. Ponieważ zaś wiozłem dla brzeskiej intendentury około 30.000 rubli sr. rządowych pieniędzy, więc jako eskorta jechali z tyłu bryczką pocztową urzędnik intendentury i dwóch żandarmów.

[1]) Pisze to Sinielnikow do redakcyi *Ruskiej Stariny*.

Samo zaś zajście tak się miało:

Po dniu pełnym niepokoju i po smutnem rozstaniu z kolegami, którzy mi na pożegnanie ofiarowali srebrną czaszę z odpowiednimi napisami i przeprowadzali dwie stacye za Warszawę, strudzony usnąłem w karecie i dopiero obudził mnie jakiś dziwny hałas i nagłe zatrzymanie się powozu. Było to w lesie, o 4 wiorsty przed stacyą pocztową Zalesie, między Białą a Terespolem.

Nie miałem czasu zebrać jeszcze myśli, gdy urzędnik i służący mój otworzyli drzwiczki, oznajmiając, że nas napadli rozbójnicy. W istocie przy świetle powozowych latarni spostrzegłem, że jestem otoczony uzbrojonymi ludźmi. Kazałem więc moim ludziom, by się zachowali spokojnie i zdając się na wolę Bożą, oczekiwałem dalszych następstw.

Hałas trwał dalej, gdyż powstańcy odbierali broń od żandarmów, a gdy wysiadłem z karety, by się dowiedzieć o co chodzi, krzyknięto »do karety.« Wówczas podszedł ku mnie młody człowiek i z rewolwerem w ręku grzecznie zapytał »jak godność pana?« Powiedziałem mu więc nazwisko i ówczesny mój urząd jenerał-intendanta armii. Odszedł kilka kroków, a po bardzo krótkiej naradzie podszedł ku mnie starzec wysokiego wzrostu w polskiem ubraniu, owieszony bronią, jak przypuszczałem, naczelnik oddziału. Ten poprosił, bym wsiadał do karety i zapewnił, że żadna mnie nieprzyjemność nie spotka. Życząc mi szczęśliwej drogi i wszelkich pomyślności, kazał kilku konnym przeprowadzić mnie do stacyi, w celu ochronienia od możliwej napaści maroderów.

Nie będę szczegółowo opisywał, co mówiono w oddziale, gdym odjeżdżał, wspomnę tylko o wyrażeniu, dobitniej powtarzanem od innych: »my od pana niczego nie żądamy, niech cesarz wie, że my poczciwych Rosyanów szanować umiemy.«

Tak z łaski Bożej minęło niebezpieczeństwo i ocalały pieniądze rządowe, które w obecności ówczesnego komendanta brzeskiej fortecy, jenerała Stadena, doręczyłem naczelnemu prowiantmajstrowi w Brześciu.

Następnie, gdy zawiadowałem aresztanckiemi rotami, od wielu politycznych skazańców dowiedziałem się o powodach, dla których tak szczęśliwie mnie przepuszczono. Szczegóły te opisałem dokładnie w mych pamiętnikach, które w swoim czasie, kiedyś, zostaną ogłoszone.

Petersburg dnia $^{4}/_{16}$ marca 1879 roku.

M. P. Sinielnikow.

Korespondencye przejęte przez powstańców:

1. Tęgoborski do barona Budberga, posła rosyjskiego w Paryżu.

Warszawa, dnia 4. lutego 1863 r. Nr 15 (3 załączniki).

Panie Pośle!

Zagraniczna prasa rewolucyjna, wyłącznie prawie czerpiąca swe informacye z krakowskiego *Czasu*, stara się przedstawić powstanie, które wybuchło w kilku miejscowościach Królestwa Polskiego, jako wynik branki i oburzająco-brutalnego sposobu jej przeprowadzenia w Warszawie.

Jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, rewolucyjna, ale za to więcej szczera *Gazeta narodowa*, wychodząca we Lwowie, zaprzeczyła takiemu poglądowi na przyczynę powstania i otwarcie oświadczyła, że powstanie już wcześniej było przygotowane i twierdzenie to swoje popiera przekonywującymi dowodami.

W ten sposób sam wróg dostarcza nam najlepszej broni do zwalczania siebie. W tym celu, a także, by dać Waszej Ekscelencyi możność sprostowania w razie potrzeby źle poinformowanej opinii publicznej, załączam w przekładzie dwa artykuły z *Gazety narodowej*.

Dla tem dosadniejszego wykazania fałszywości podań prasy o powodach powstania, dodaję, że już na tydzień przed branką, o której zresztą nikt nie mógł wiedzieć, więcej niż półtora tysiąca młodzieży opuściło małemi gromadkami Warszawę, by się następnie zebrać w powstańcze oddziały.

Z tego widoczne jak na dłoni, że powstanie już przedtem było postanowione, a nawet rozpoczęło się przed branką, która z powstaniem nie stała w żadnym związku.

Mam zaszczyt pisać się Waszej Ekscelencyi najniższym i najpokorniejszym sługą *Tęgoborski.*

2. Do barona Budberga, posła w Paryżu.

Warszawa, dnia 4. lutego 1863 roku.

Kochany Baronie!

Korzystam z powrotu pani Rose, by przesłać Panu obecną depeszę wraz z ostatniemi oficyalnemi wiadomościami.

W tej chwili W. Książę otrzymał króciutką telegraficzną wiadomość o bitwie pod Pilwiszkami, na drodze żelaznej między Kownem a Eydkunami. Liczny oddział rozbity i pola pokryte trupami. Szczegółów jeszcze nie mamy. Dziś w drodze telegraficznej zawiadomiłem Pana, gdzie się obracają dwa główne oddziały powstańców. Spodziewam się jutro rano wiadomości z pod Węgrowa[1]), dokąd skierowano znaczne siły i gdzie lada chwila musi przyjść do stanowczej rozprawy. Spodziewam się pomyślnego skutku, że liczny ten oddział zostanie rozprószony. Co zaś do oddziałów w okolicy Wąchocka, to wiadomości stamtąd oczekujemy dopiero za parę dni. Tam rzecz nie da się tak łatwo i szybko przeprowadzić. Górzysta i lesista miejscowość, rozciągająca się do samej austryackiej granicy, bardzo ułatwia prowadzenie partyzantki. Nadto cała południowa połać radomskiej gubernii ogołocona z wojska, które musiało się skoncentrować. Mojem zdaniem, tam jest najważniejszy punkt, zwłaszcza, jeśli się uwzględni ułatwienia, jakie powstańcy znajdują ze strony władz austryackich, które wysyłały nawet z Krakowa i Galicyi zbrojnych ludzi dla łączenia się z powstańcami.

---

[1]) Bitwa zaszła dnia 6. lutego. Powstańcy tak blisko byli armat, że oficerowie strzelali do nich z rewolwerów. Powiadają, że niewiele brakowało do opanowania armat.

O tych faktach doniosłem już do Petersburga i do Wiednia, proszę jednak zatrzymać te szczegóły w tajemnicy. Poparcie udzielone ze strony Austryi powstaniu, zasługuje na zaznaczenie w dziejach obecnej rewolucyi.

Przepraszam, że tylko telegraficznie odpowiedziałem na cztery Pańskie ekspedycye, wybacz to łaskawie, lecz literalnie dzień i noc pracuję. Od trzech tygodni nie kładę się przed godziną 5. lub 6. rano. Strasznie jestem zmęczony, toż samo i wszyscy moi urzędnicy. Jednak bądź co bądź, jeszcze w tym tygodniu odpowiem Panu i Czyczerinowi.

Onegdaj rozstrzelano dwóch powstańców w Płocku, czterech zaś w Radomiu. Ma się rozumieć, że ulegają tak surowej karze tylko przywódzcy, z których już kilku wpadło w ręce władz naszych.

Powstanie miało czas wzmódz się i zorganizować w niektórych okolicach, lecz tem pewniej zostanie stłumione, albowiem łatwiej jest zgnieść dwa lub trzy oddziały skupione razem, niż się uganiać za rozprószonymi po kraju.

Dołączam list W. Księcia do barona Aquilla.

Będę się starał zawiadamiać Pana o wszystkiem co zajdzie. Z następnym kuryerem zapewne więcej szczegółów będę mieć do zakomunikowania. *Tęgoborski.*

3. **Do JWPana Oubrila, rosyjskiego ministra w Berlinie.**

Warszawa, dnia 4. lutego 1863 roku.

Kochany Przyjacielu!

Słów kilka dodaję do mojej dzisiejszej depeszy, ażeby Panu donieść, że już zarządzono co potrzeba dla pomieszczenia tych Panów, którzy zapowiedzeni są na jutro. Uznając całą uprzejmość zrobionych propozycyi, nie umiemy sobie dostatecznie zdać sprawy z powodów, które je wywołały. Wszak żadne *periculum in mora* nie istnieje i nie doszliśmy jeszcze do tej ostateczności, byśmy potrzebowali pomocy wojskowej. Dla nas na razie aż nadto wystarczy, aby Prusy, o ile można,

szczelnie zamknęły granicę i nie dozwalały na swem terytoryum skrywać się powstańcom.

Z tego wynika, że misya tych trzech panów wojskowych zanadto dodaje znaczenia sprawie, o którą łatwo się było ułożyć z jednym z nich. Jeśli się nie mylę, to pan Hatten wpadł na nieszczęśliwy pomysł wyjazdu do Berlina; zaniepokoi on tem tylko rząd pruski i namaluje djabla straszniejszym niż jest w rzeczywistości. Bardzo byłbym wdzięcznym Panu, gdybyś zechciał nam przesłać szczegółowe wyjaśnienia, o które prosiliśmy w dzisiejszej depeszy. W tej chwili otrzymujemy króciutką wiadomość o spotkaniu pod Pilwiszkami, między Kownem a Eydkunami, w którem partya powstańcza zupełnie została rozbitą. *Tęgoborski.*

Rozkaz warszawskiego wojennego naczelnika.

»Naczelnik wojenny warszawskiego okręgu.

Dla tem pewniejszego zabezpieczenia spokoju i bezpieczeństwa w Warszawie, oraz dla zapobieżenia zgubnym następstwom, mogącym wyniknąć wskutek podżegań ludzi złej woli, dążących jedynie do zaniepokojenia umysłów, J. C. Wysokość Książę Namiestnik raczył wydać następujące zarządzenia:

1. Zabrania się najsurowiej posiadanie jakiejkolwiek palnej albo siecznej broni, oraz prochu i amunicyi, osobom nie mającym na to szczególnego pozwolenia. Wszyscy posiadający broń lub amunicyę winni są oddać takowe do cyrkulu za pokwitowaniem, najdalej do 48 godzin od ogłoszenia niniejszego rozkazu, to jest do dnia 19. lutego b. r.

2. Osoby, które w oznaczonym terminie złożą w cyrkule posiadaną broń, proch lub amunicyę, nie będą pociągane za to do żadnej odpowiedzialności. Po tym zaś terminie osoby, u których bądź przy rewizyi, bądź z jakiego innego powodu zostanie wykrytą broń lub amunicya, natychmiast zostaną od-

dane pod sąd wojenny, i jako buntownicy pociągnięci do najsurowszej odpowiedzialności.

3. Po godzinie 10-tej w nocy zabrania się wychodzić z domu bez szczególniejszej jakiejś potrzeby. Od godziny 7-mej wieczorem przechodnie winni mieć przy sobie zapalone latarki. Niestosujący się do tych, jako też i do innych przepisów ogłoszonego stanu wojennego, będą karani więzieniem według ustaw kodeksu karnego.

4. Na wypadek alarmu w mieście, wszyscy mieszkańcy mają natychmiast wracać do mieszkań, oraz zamykać bramy i drzwi zewnętrzne. Pozostający na placach i ulicach sami się narażą na niebezpieczeństwa, mogące wyniknąć wskutek działania sił zbrojnych.

5. W razie zajęcia jakiegoś domu przez powstańców, lub gdyby z jakiego domu padły strzały do wojska, dom taki natychmiast zostanie zburzony strzałami artyleryi.

Podając to rozporządzenie do ogólnej wiadomości i zastosowania się, wzywam wszystkich spokojnych mieszkańców, by nie słuchali niepokojących pogłosek, umyślnie w złych zamiarach rozgłaszanych. Zarządzono wszelkie środki dla natychmiastowego stłumienia najmniejszego pokuszenia ku wznieceniu rozruchów lub buntu. Powierzone mi wojska gotowe są każdej chwili do stanowczego wystąpienia przeciw burzycielom powszechnego spokoju. Potrafię też wypełnić i drugi swój obowiązek, t. j. ochronić mienie i życie spokojnych mieszkańców [1]).

Jenerał-adjutant *Baron Korf.*«

---

[1]) Ogłoszenie to zamieszczono po polsku w numerze 37 *Warszawskiej politycznej gazety* z poniedziałku dnia 16. lutego 1863 r.

DODATEK.

Przypisek do księgi IV.

Ogłoszenie o zaprowadzeniu stanu wojennego.

Z najwyższego rozkazu J. C. K. Mości ogłasza się Królestwo Polskie w stanie wojennym.

Na mocy takowego wszyscy mieszkańcy Królestwa, za poniżej wyszczególnione przekroczenia i przestępstwa, ulegają wojennej procedurze i sądowi doraźnemu, na zasadzie §§ 739 i 753 księgi II. wojenno-kryminalnego kodeksu.

Policya po wsiach i miastach podlega władzy wojennych naczelników, a urzędnicy tych władz za zaniedbanie lub opuszczenie swych obowiązków podlegają odpowiedzialności na równi z wojskowymi.

Wszyscy bez wyjątku obwinieni: o zdradę, podburzanie lub jawne nieposłuszeństwo władzom wojskowym lub policyjnym, o przechowywanie broni, wygłaszanie publicznie mów podburzających, wydawanie i rozszerzanie odezw podburzających lub innego rodzaju pism, o namawianie drugich do podobnych przestępstw, chociażby one rozruchów nie wywołały; również oskarżeni o gwałt jakikolwiek, o zabójstwo, grabież, rozbój, podpalenie — podlegają procedurze i sądowi wojennemu według ustaw polowych wojenno-kryminalnego kodeksu.

Uwaga. Jeżeli zwierzchność wojenna uzna, że popełnione przekroczenia i przestępstwa nie mają politycznego charakteru, odnośne sprawy odstąpi zwyklym sądom do osądzenia.

Z zaprowadzeniem stanu wojennego, zabrania się:

a) Wszelkiego rodzaju zebrań i zbiegowisk na ulicach i placach, chociażby z niewielkiej ilości osób się składających. W razie nieusłuchania wezwania policyi do rozejścia się, zostanie użytą do rozpędzenia siła zbrojna, winni zaś będę aresztowani i pociągnięci do odpowiedzialności;

b) Wszelkiego rodzaju manifestacyi i demonstracyi politycznych, również pochodów i procesyi, na które nie otrzymano osobnego na piśmie zezwolenia od właściwej władzy wojskowej; nabożeństw kościelnych za zmarłych przestępców politycznych, za ubitych w czasie rozruchów, albo też na pamiątkę jakich historycznych wydarzeń; użycie podburzających lub zakazanych godeł odpowiedzialność zwiększa;

c) Śpiewania po kościołach lub po za nimi podburzających pieśni, hymnów lub innych modlitw przez kościół niezatwierdzonych; urządzania loteryi, zbierania składek pieniężnych lub innych, po kościołach lub miejscach publicznych bez osobnego na piśmie zezwolenia właściwej władzy wojskowej; wystawiania i sprzedaży ogłoszeń, odezw, broszur i gazet, oraz nalepiania plakatów niedozwolonych przez właściwe władze.

Następstwa stanu wojennego:

1. Wojsko i policya upoważnione są do użycia broni w razie napotkanego oporu w swoich zarządzeniach.

2. Naczelnicy wojenni upoważnieni są do użycia wszelkich środków policyjnych, jakie uznają za potrzebne dla utrzymania lub przywrócenia porządku i spokoju. — Wojenny naczelnik obowiązany jest strzedz zupełnego posłuszeństwa rozporządzeniom władzy i niedopuszczać szkodliwych podburzań i wszelkich oznak nieuszanowania dla rządu, władzy lub wojska. Ma prawo zabronić wszelkich zebrań nietylko publicznych lecz i prywatnych, jeśli je tylko uzna za szkodliwe. Ma prawo w każdej chwili zarządzenia rewizyi domowej lub osobistej

u mieszkańców. Wszystkich ludzi bez zajęcia, lub podejrzanych, którzy czy to okazują burżliwy charakter, czy też już brali udział w poprzednich rozruchach, może aresztować i żądać co do nich decyzyi namiestnika.

3. Szynki, kawiarnie, sklepy korzenne i inne tego rodzaju zakłady powinne być zamykane o godzinie oznaczonej przez władzę wojskową. W razie uznania mogą być zupełnie zamknięte.

4. Cudzoziemcy, nie posiadający przepisanej legitymacyi, lub nie mający stałego zajęcia, szczególniej zanotowani w czynnościach sprzecznych z wydanymi przepisami, zostaną bezzwłocznie wydaleni za granice państwa.

Z powodu niepodobieństwa wyszczególnienia wszystkich następstw, jakie pociąga za sobą ogłaszające się niniejszem zaprowadzenie stanu wojennego, przestrzega się mieszkańców, że wszelkie zamieszki wywołają niechybnie nadzwyczajne i energiczne środki.

Dan w Warszawie dnia $^{2}/_{24}$ października 1861 r.

Głównodowodzący pierwszą armią i pełniący obowiązki namiestnika Królestwa Polskiego, jenerał-adjutant

hr. *Lambert I.*

Wymiana depesz między Warszawą a cesarzem Aleksandrem II.

w czasie od $^{2}/_{14}$ czerwca po $^{11}/_{23}$ października 1861 roku.

Warszawa — Moskwa. Do hrabiego Adlerberga.

2. czerwca 1861 roku.

Opóźnienie przyjazdu Płatonowa z zatwierdzeniem reform i nieogłoszenie tychże do tej pory, źle wpływa na usposobienie umysłów. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa. Do cesarza. 3. czerwca 1861 r.

Rudanowski donosi, że w Suwalkach panuje najzupełniejszy spokój. Śledztwo rozpoczęte. Jen. adj. *Suchozanet.*

Moskwa — Warszawa. Do Suchozaneta.

3. czerwca 1861 roku.

Kuryer z moim listem i ukazem o nowych ustanowieniach wysłany w nocy z 31. maja na 1. czerwca. Płatonów wyjedzie z Petersburga we wtorek, a hrabia Lambert za dwa tygodnie. Cieszę się, że w Suwałkach wszystko spokojne.

Aleksander.

Warszawa — Moskwa. Do cesarza.

4. czerwca 1861 roku.

Szczęśliwy jestem, mogąc donieść, że dzień wczorajszy w całem mieście przeszedł spokojnie. Nie tykając wojsk rozłożonych po mieście, wczoraj odbyłem przegląd reszty na placu broni, w sile 14 batalionów, 4 sotni zbiorowego pułku kozaków i 5 pieszych bateryi. Piechota i kozacy w dobrym stanie, artylerya znakomita. Kuryer z Moskwy do godziny pół do siódmej rano jeszcze nie przybył. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa. Do cesarza. 4. czerwca 1861 roku.

Kuryer przybył o godzinie 1-szej po południu.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa. Do cesarza.

7. czerwca 1861 roku, godzina 6. rano.

Wczoraj ogłoszono ukaz o radzie stanu Królestwa Polskiego. Wojska usunięte z placów. Resursa kupiecka otwarta. Dalsze ukazy zostaną stopniowo ogłaszane, do 10-go czerwca włącznie. W mieście spokój zupełny i weselsze usposobienie.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa. Do cesarza.

7. czerwca 1861 roku.

O godzinie 6-tej wieczorem wysyłam z depeszami mego adjutanta Unkowskiego. Stanie w Carskiem Siole dnia 10-go o godzinie pół do 7-mej rano. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Kriukowo. Stacya kolei petersburgsko-moskiewskiej.
9. czerwca 1861 roku.

Jestem szczęśliwy mogąc donieść, że dzień wczorajszy przeszedł w mieście zupełnie spokojnie. Jednak zuchwała młodzież nie przestaje wybryków w ogrodzie Saskim. Muszę pozostawić tylko dwa wolne wejścia do ogrodu i przy nich postawić posterunki wojskowe i wzmocnioną straż policyjną.
Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie-Sioło. 12. czerwca 1861 roku.

Z powodu wilii św. Jana, mieszkańcy według zwyczaju powinni się byli zebrać na moście celem puszczania wianków. Atoli zamiast na moście, zebrało się wczoraj do 20.000 ludu na cmentarzu Powązkowskim i ubrało kwiatami groby zabitych dnia 27. lutego. Nie przeszkadzając temu, zarządziłem odpowiednie środki ostrożności. Wszystko odbyło się spokojnie, śpiewano tylko patryotyczne hymny. O czem mam szczęście donieść. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie-Sioło. 13. czerwca 1861 roku.

Z rozkazu J. C. Mości, doręczyć jen. adj. hr. Adlerbergowi II dla przesłania natychmiast kuryerem do Krasnego Sioła.

Na naradzie co do przedstawienia na członków Rady Stanu, jednomyślnie uznano, ażeby na razie nie mianować arcybiskupa Fijałkowskiego i o tem natychmiast donieść Waszej Cesarskiej Mości. Jen. adj. *Suchozanet.*

Krasne-Sioło — Warszawa. 14. czerwca 1861 roku.

Kuryera wyszlę jutro. — Z nominacyą Fijałkowskiego wstrzymam się do nadejścia pisemnych wyjaśnień. *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 18. czerwca 1861 roku.

Zwlekanie przybycia hr. Lamberta z racyi studyowania spraw Królestwa w Petersburgu, jest mojem zdaniem szkodliwe i dla dobra służby i dla niego samego. Tutaj przez jeden dzień

dowie się więcej o położeniu i potrzebach kraju, niż studyując nawet przez czas dłuższy w Petersburgu. Obecność jego tutaj, w czasie wyborów, pobytu Płatonowa, wniosków Potapowa o policyi, uważam za konieczną, aby jako człowiek przeznaczony do rządzenia krajem, przyłożył do tych prac swoją rękę.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Petersburg. 19. czerwca 1861 roku.

Chociaż właściwie nic ważnego nie zaszło, jednak wzburzenie między ludem wzmaga się, z widocznym zamiarem doprowadzenia rzeczy do ostateczności, w celu pomieszania szyków ludziom spokojnym. Zapewne będę musiał uciec się do ostatecznych środków, wstrzymam się z tem jednak aż do ogłoszenia składu Rady Stanu, gdyż po zaprowadzeniu surowych zarządzeń, ogłoszenie to nie miałoby już celu. Oczekuję ukazów. Za opór policyi lub wojsku, winnych oddaję pod sąd wojenny.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Petersburg — Warszawa. 19. czerwca 1861 roku.

Kuryer przybył dziś rano. Jutro podpiszę ukazy z nominacyami do Rady Stanu. Mam nadzieję, że do ich nadejścia potrafisz pan uniknąć konieczności zaprowadzenia surowych zarządzeń. Jednak w razie nieuniknionej potrzeby, nie zważaj na to. Hrabiego Lamberta wyszlę, jak tylko Płatonów wróci.

Aleksander.

Waszawa — Petersburg. 20. czerwca 1861 roku.

Wczoraj, według dawnego, przez Kościół dozwolonego, zwyczaju, było bardzo wielkie zbiegowisko ludu na Powązkach. Odprawiano modły za umarłych, a w tej liczbie i za tych, którzy poginęli w ostatnich rozruchach. Wszystko przeszło spokojnie. W mieście także się uspokoiło, prawdopodobnie wskutek zarządzonych środków. Wzburzenie niedzielne w części można przypisać wielkiej ilości pijanych.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Petersburg — Warszawa. 20. czerwca 1861 roku.

Nominacye do Rady Stanu zatwierdzone. Ukazy zabierze kuryer we czwartek rano. Jeśli uznasz za odpowiednie, możesz ogłosić, zanim je otrzymasz. Kiedy Potapow wraca?

Aleksander.

Warszawa — Petersburg. 21. czerwca 1861 roku.

Jenerał Potapow przybył dopiero wczoraj o godzinie 4. po południu, zabawi tutaj conajmniej przez tydzień. Dotychczasowe umundurowanie warszawskiej policyi koniecznie należy zmienić. Upraszam o wstrzymanie wysyłania partyjkami ludzi wybranych do policyi aż do powrotu Potapowa. Zwłoka w reorganizacyi policyi zmusiła mnie do poruczenia wojsku utrzymanie spokoju i porządku po miastach. Wskutek tego wznowiłem i uzupełniłem instrukcye wydane wojsku przez ś. p. księcia Gorczakowa, o niedopuszczaniu zbierania się i rozpraszaniu zbiegowisk. Odtąd oskarżeni o bezprawne postępki, które poczytuję za polityczne, z mocy ukazu z 1833 roku będą podlegać sądom wojennym. Nominacye członków Rady Stanu zakomunikuję prywatnie. Z urzędowem ogłoszeniem wstrzymam się do nadejścia ukazów. Wczorajszy dzień przeszedł w mieście zupełnie spokojnie, o czem mam szczęście donieść.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Petersburg. 23. czerwca 1861 roku.

Wczoraj wieczorem były usiłowania do wywołania zbiegowisk, lecz zarządzone środki z łatwością temu przeszkodziły. Zresztą wszystko spokojne. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Petersburg. 23. czerwca 1861 roku.

Wczorajsze zbiegowiska, jak i wszystkie poprzednie, poczynały się gromadzić pod pozorem modłów przed figurą Matki Boskiej. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Petersburg. 25. czerwca 1861 roku.

Ksiądz Naruszewicz, za prawidłowe postępowanie w maju, w kościele św. Aleksandra, tak jest prześladowany przez burzycieli porządku, że prawie odchodzi od zmysłów. Chcę go wysłać pod opieką zaufanego urzędnika do Vichy. Aż do jego powrotu uważam za stosowne nie ogłaszać o jego nominacyi na członka Rady Stanu, na co upraszam Najwyższe zezwolenie.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Petersburg. 25. czerwca 1861 roku.

Nr 64. Przed ogłoszeniem nominacyi członków Rady Stanu, chciałem się upewnić czy wszyscy przyjmą. Gliński odmawia pod przyzwoitym pozorem. Skarbek się waha. Upraszam o zezwolenie nie ogłaszania tych, którzy się wymawiają, a na miejsce których dodatkowo przedstawię kandydatów.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 26. czerwca 1861 roku.

Zgadzam się na nieogłoszenie nominacyi Naruszewicza.

Aleksander.

Warszawa — Peterhof. 26. czerwca 1861 roku.

Wbrew zapowiedzianej na wczoraj demonstracyi wszędzie w mieście panował zupełny spokój, do czego mogła się przyczynić ulewa, trwająca od godziny 4. do 6. wieczorem.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 26. czerwca 1861 roku.

Zgadzam się z propozycyami telegramu nr 64. Co było zapowiedziane na wczoraj? *Aleksander.*

Warszawa — Peterhof. 26. czerwca 1861 roku.

Nr 66. Zapowiedziane były w kilku różnych miejscach tłumne narodowe manifestacye. Jen. adj. *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 26. czerwca 1861 roku.

Depesza nr 66 nic nie wyjaśnia. Chciałbym wiedzieć jaki był powód do narodowej silniejszej demonstracyi i na czem takowa miała polegać. *Aleksander.*

Warszawa — Peterhof. 27. czerwca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panował zupełny spokój. Wzburzenie umysłów ustaje. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 27. czerwca 1861 roku.

Demonstracye były zapowiedziane na Powązkach, na Lesznie, a nawet naprzeciw Zamku, lecz ponieważ nie doszły do skutku, to bardziej stanowczych wyjaśnień co do ich powodu dać nie mogę. Sądzę, że innego celu nie mają, jak wywołanie zwykłych zamieszek i utrzymywanie rządu w ciągłem zaniepokojeniu. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 28. czerwca 1861 roku.

Jenerał Potapow i kuryer Gnidin wyjechali wczoraj o godzinie 8. wieczorem. W mieście wszędzie było spokojnie. Motłoch widocznie przycichł. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 29. czerwca 1861 roku.

Widocznie wskutek zaleceń, dzień wczorajszy przeszedł w mieście zupełnie spokojnie. Nawet śpiewy po kościołach mniej liczne. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 30. czerwca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panował zupełny spokój. Ciągłe deszcze psują zboża. Wczorajsza ulewa wymuliła znaczną wyrwę na ulicy Długiej. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 30. czerwca 1861 roku.

Potapow i kuryer przybyli. Ustawę policyjną przez Radę Stanu przedstawić do mego zatwierdzenia. *Aleksander.*

Warszawa — Peterhof. 30. czerwca 1861 roku.

Rozkaz przedłożenia projektu przekształcenia policyi przez Radę Stanu, napotka na wielkie przeszkody i spowoduje zgubne opóźnienie. Uważając, że bezzwłoczne wprowadzenie projektu w wykonanie przyczyni się najbardziej do zapewnienia spokoju, ośmielam się wyprawić jutro kuryera ze szczegółowemi wyjaśnieniami. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 1. lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panował zupełny spokój. Przed trzema dniami burza z ulewą w czterech miejscach wymuliła wyrwy na ulicach, które zagrażają bezpieczeństwu domów.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 1. lipca 1861 roku.

Płatonów ma zaraz wracać, jak tylko ukończy poruczoną mu sprawę. *Aleksander.*

Warszawa — Peterhof. 2. lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście było zupełnie spokojnie. Na Lesznie u Karmelitów, według dawnego zwyczaju, przez cały tydzień będą się odprawiać na ulicy nabożeństwa przed figurą Matki Boskiej. Kuryer wysłany wczoraj o godzinie 9. wieczorem.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 3. lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście było cicho i spokojnie. Płatonowa myślę wyprawić dnia 9. b. m. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 4. lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panował zupełny spokój. Nawet w trzech kościołach, w których się odprawiało nabożeństwo do Matki Boskiej szkaplerznej, lud śpiewał tylko religijne pieśni.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 4. lipca 1861 roku.

Projekt o policyi jednogłośnie w Radzie Stanu uchwalony. Upraszam o zatwierdzenie i rozkazy co do umundurowania. Wybory należałoby koniecznie odłożyć aż do przybycia policyi, chociaż widocznie porządek powraca.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 4 lipca 1861 roku.

Intryga propagująca, aby przeszkodzić ukonstytuowaniu się Rady Stanu, przełamana. Dzisiaj Rada Stanu ostatecznie się ukonstytuowała. Wszyscy obecni w Warszawie członkowie wydziałów, wraz z urzędnikami biur, byli obecni i zostali zaprzysiężeni. Wszyscy bez wyjątku członkowie, po raz pierwszy od czasu nieszczęśliwych wypadków, przybyli w mundurach na obiad. Nawet sparaliżowany hr. Tomasz Potocki, kazał się przynieść w fotelu. Mowa zagajająca posiedzenie i toast przy obiedzie znalazły uznanie. Jestem szczęśliwy, że mogę donieść, iż dzień dzisiejszy w zupełności odpowiedział oczekiwaniom Waszej Cesarskiej Mości. Jen. adj. *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 5. lipca 1861 r., 9. godzina rano.

Kuryer przybył. Projekt o policyi zatwierdzam. Czy sądzicie, że potrzeba na to ukazu? Co do umundurowania hrabia Lambert otrzymał stosowne rozkazy. Kuryera nie mogę odesłać przed niedzielą. *Aleksander.*

Warszawa — Peterhof. 5. lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście wszystko było zupełnie spokojne. Nabożeństwa odpustowe po kościołach odbyły się uroczyście, śpiewano jedynie z dawna przyjęte nabożne pieśni. Spokój i porządek widocznie się utrwalają i mam nadzieję, że zaczynają nareszcie uznawać potrzebę i korzyści tegoż.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa.

5. lipca 1861 roku, godzina 4. minut 30 po południu.

Cieszą mnie, wczorajsza i dzisiejsza, pańskie depesze. Daj Boże, aby one były początkiem lepszych czasów.

Aleksander.

Warszawa — Peterhof. 6. lipca 1861 roku.

W mieście zupełny spokój. Nominacye członków, również skład biur Rady Stanu, wszystkich zadowolniły; nawet nieprzyjazne dzienniki oddają sprawiedliwość. Ustawa o policyi, mająca być tylko chwilowem tejże wzmocnieniem, nie wymaga ukazu. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 7. lipca 1861 roku.

Hrabia Lambert ma jutro przedstawić wzory umundurowania policyi. Czuję się w obowiązku zwrócić uwagę Waszej Cesarskiej Mości, że ś. p. cesarz Mikołaj rozkazał w 1833 roku, aby członkowie byłej polskiej deputacyi, zachowali na zawsze uniform, w którym mieli szczęście Mu się przedstawić, to jest: amarantowe kołnierze i wyłogi, i że następnie kolory te były nadane wszystkim urzędnikom i szlachcie nie zostającej w urzędowaniu. Feldmarszałek samowolnie zmienił kolor amarantowy na czerwony, lecz deputaci do śmierci zachowali mundury z amarantowymi odznakami. Jen. adj. *Suchozanet.*

Peterhof (Aleksandria) — Warszawa. 7. lipca 1861 roku.

Nie należało w żadnym razie wysyłać depeszy o mundurach niecyfrowanej. Wola moja pod tym względem dokładnie panu wiadoma i surowo to panu wymawiam; przytem uwaga nieuzasadniona. W 1832 roku pozostawiono kolor amarantowy tym jedynie deputatom, którzy byli w Petersburgu. Wszystkim zaś urzędnikom i niesłużącej szlachcie został nadany ogólny rosyjski mundur z nowo ustanowionym herbem dla Królestwa na guzikach, i to nie samowolnie przez feldmarszałka, lecz z Najwyższego polecenia. *Aleksander.*

Warszawa — Peterhof. 10. lipca 1861 roku.

Płatonów i kuryer wyjechali wczoraj o godzinie 9. wieczorem. Pierwszy przybędzie do Petersburga 12. ku wieczorowi, kuryer zaś 12. rano przedstawi moje sprawozdanie Waszej Cesarskiej Mości. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 10. lipca 1861 roku.

Wczoraj młodzież z niższych warstw ludności urządziła krótką demonstracyę przed mieszkaniem angielskiego konsula, celem wyrażenia wdzięczności narodowi angielskiemu za współczucie okazywane Polsce. Zachowanie się konsula było bez zarzutu, nadzwyczaj jest zasmucony, nazywając to szaleństwem. Za przybyciem wojska tłum się rozprószył. Wypadkowi temu nie przypisuję narodowego znaczenia. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 10. lipca 1861 roku.

Celem ośmieszenia wczorajszej waryackiej demonstracyi przed mieszkaniem angielskiego konsula i chcąc zarazem dać wyraz uznania dla jego lojalnego zachowania się, zaprosiłem go dziś na obiad, co też należycie ocenił i natychmiast o tem swój rząd zawiadomił. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 11. lipca 1861 roku.

Nabożeństwo żałobne po Czartoryskim odprawiono bez kazania i narodowych hymnów. Celebrował biskup Plater, arcybiskup Fijałkowski był tylko obecny. — Przy wyjściu Fijałkowskiego motłoch zakrzyczał »wiwat!« co spokojni natychmiast stłumili; następnie lud wyprzągł mu konie z powozu i odwiózł go do domu. Wszyscy w oznakach żałoby. Arcybiskup Fijałkowski przemawiał, zalecając zdjęcie żałoby, i potem dopiero udzielił błogosławieństwa ludowi, który rozszedł się spokojnie. Jestem przekonany, że zezwolenie na nabożeństwo, zapobiegło samowolnemu odprawieniu nabożeństw po wszystkich kościołach, czego wzbronić przemocą wewnątrz kościołów byłoby niemożliwem. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof (Aleksandria) — Warszawa. 11. lipca 1861 roku.

Pochwalam zachowanie się pańskie względem konsula angielskiego, również i zezwolenie na odprawienie nabożeństwa po Czartoryskim. Spodziewam się atoli, że dalszych żadnych demonstracyi nie dopuścisz. Kuryera zatrzymuję aż do przybycia Płatonowa. *Aleksander.*

Warszawa — Peterhof. 11. lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panował spokój. O godzinie 5. wieczorem zaszła nad Wisłą prywatna bójka, dla uśmierzenia której, z powodu tłumnego zbiegowiska, musiałem wysłać kompanię piechoty. Główny sprawca uwięziony za opór stawiany policyi. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 11. lipca 1861 roku.

We czwartek, 13. ma się odprawić luterskie dziękczynne nabożeństwo z powodu ocalenia króla pruskiego. Konsul przysłał zaproszenie na nabożeństwo, gdy jednak nie posiada charakteru dyplomatycznego, nie wiem czy jest do tego urzędownie uprawniony. Zamierzałem posłać jenerał-gubernatora i moich adjutantów, lecz ze względu na osobę upraszam o polecenie wzięcia udziału w nabożeństwie osobiście wraz z całym sztabem. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 12. lipca 1861 roku.

Wypada być samemu. Kuryer przybył rano. Płatonowa jutro oczekuję. *Aleksander.*

Warszawa — Peterhof. 13. lipca 1861 roku.

Zawiadomiłem wszystkich naczelników władz, że będę na nabożeństwie. Nikt z Polaków nie przybył z wyjątkiem Fundykleya, Massona, Enocha i Karnickiego. Przybyli wszyscy obecni w mieście jenerałowie. Zaprosiłem na obiad konsula, wice-konsula, starszych jenerałów i wymienionych czterech. Toastowałem za zdrowie króla, wuja i przyjaciela Waszej Cesarskiej Mości. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 14. lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panowała cisza i spokój. Policya zawiadomiła, że w nocy z 12. na 13. kupa włóczęgów, ukryta w bramie traktyerni, napadła na porucznika żandarmów, Wrześniowskiego, gdy ten wychodził z kolacyi i obiwszy go, rozbiegła się. Śledztwo się prowadzi co do tych podejrzanych osób, które były na kolacyi w tejże samej restauracyi.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 14. lipca 1861 r., godz. 4. po poł.

Kuryer wysłany o godzinie 2. Nie mogę usprawiedliwić nieobecności Polaków na nabożeństwie dnia 13. Zajście z oficerem żandarmów wymaga, aby winni surowo zostali ukarani.

Aleksander.

Warszawa — Peterhof. 15. lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście było cicho i spokojnie. Późno wieczorem przybył Pilsudzki z wzorami umundurowania policyi. Pomimo wszelkich starań przed 1. września nowa policya nie będzie mogła wejść w życie. Koniecznie należy do tego czasu wybory odroczyć. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 15. lipca 1861 roku.

Mam szczęście zanieść najpoddańsze podziękowanie za prześliczną formę umundurowania warszawskiej policyi.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 18. lipca 1861 roku.

Wybory w Warszawie odłożyć do ostatecznego ukończenia reorganizacyi policyi. Hrabia Lambert wyjeżdża w przyszły wtorek. *Aleksander.*

Warszawa — Peterhof. 18. lipca 1861 roku.

Dzisiejszym kuryerem posyłam kopię podania Wielopolskiego o uwolnienie. Głównym powodem są moje wyroki na

źle usposobionych, nie liczące się z miejscowemi sądowemi prawami. Wielopolski prosi o zezwolenie wysłania swego syna, kamerjunkra, do Petersburga, w razie gdyby Wasza Cesarska Mość życzyła poznać szczegółowo powody jego prośby o uwolnienie. Jutro wysyłam Tompsona z odparciem zarzutów Wielopolskiego co do bezprawnego postępowania, dla prawnego rozpatrzenia nie tu lecz w Cesarstwie. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 19. lipca 1861 roku.

Gdyby Wasza Cesarska Mość uznała za możliwe zezwolić na wyjazd młodego Wielopolskiego do Petersburga, to proszę mnie zawiadomić cyfrowaną depeszą. Dobrze by było, aby tenże mógł spełnić poruczenie ojca jeszcze przed odjazdem hrabiego Lamberta dnia 25. b. m. Być może, że przy tej sposobności Wielopolski zupełnie się wypowie.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Krasne Sioło — Warszawa. 20. lipca 1861 roku.

Bardzo boleję nad zamiarem Wielopolskiego. Czekam pańskich wyjaśnień. Syn może tu przyjechać. Mianowałem jenerała Gerstenzweiga warszawskim jenerał-gubernatorem. Na jego zaś miejsce proponuję panu jenerał-majora barona Heydena, albo jenerał-porucznika Niepokojczyckiego.

Aleksander.

Warszawa — Peterhof. 20. lipca 1861 roku.

Jenerał-porucznik Niepokojczycki, jako zupełnie obeznany z wszelkiemi wojskowemi ustawami, jako były prezes kodyfikacyjnej komisyi, byłby najodpowiedniejszy, jednak należałoby go zachować na szefa sztabu dla Lüdersa, gdyby wypadkiem przyszło do wojny.

Jenerał-major baron Heyden dla swoich zdolności, przytem jako młodszy i niższy stopniem, mógłby przez dłuższy czas pozostać w ministeryum wojny. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 21. lipca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczorajszy dzień w mieście przeszedł cicho i spokojnie. Włościanie w Opolu, ulegając perswazyom porucznika Muchanowa, bez użycia przymusowych zarządzeń wracają do posłuszeństwa. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 22. lipca 1861 r., godz. 7. rano.

W imieniu pierwszej armii, a także i w swem własnem, mam szczęście złożyć Waszej Cesarskiej Mości najpoddańsze życzenia z powodu Imienin Najjaśniejszej Pani. — Wznawiając dawniej obowiązujący zwyczaj, naznaczyłem dziś na godzinę w pół do 11-tej przed południem ogólne przyjęcie na Zamku wszelkich władz wojskowych i cywilnych, celem odebrania powinszowań. Następnie odbędzie się uroczyste nabożeństwo w Soborze i kościelna parada. — Wczoraj w mieście panowała zupełna cisza i spokój. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 22. lipca 1861 r., godz. 3½ po poł.

Nadzwyczaj liczne zebranie wszelkich stanów na Zamku dla wyrażenia powinszowań w dniu Imienin Jej Cesarskiej Mości, ośmiela mnie, w uzupełnieniu porannej depeszy, dołączyć także najpoddanniejsze życzenia w imieniu wszystkich dobrze myślących w kraju. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 22. lipca 1861 roku.

Kamerjunkier, hrabia Wielopolski, dzisiaj o godzinie 3. po południu stanie w Petersburgu, zaś 25. rano w sekretaryacie Stanu. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 25. lipca 1861 roku.

Wczoraj tłum ludu poturbował policyanta w Saskim ogrodzie, który przytrzymał był chłopaka sprzedającego zbiorki zabronionych hymnów. Na policyancie potargano mundur, chłopaka zaś uwolniono. Wśród licznych i rozzuchwalonych tłu-

mów policya jest bezsilną. — Na dzisiaj i na dnie następne zapowiedziane są po ulicach kościelne procesye. Zarządzam co potrzeba w celu ich niedopuszczenia. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 25. lipca 1861 roku.

Mam szczęście donieść: W święto Przemienienia Pańskiego wyruszała ogromna pielgrzymka do Częstochowy. Przeprowadzała ją procesya od księży Paulinów na Starem mieście aż o trzy wiorsty za miasto, za wolskie i jerozolimskie rogatki. Wyjechałem naprzeciw konno z pułkownikiem Jefimowiczem i przejechawszy stępo, bez eskorty, przez tłum 20.000 ludzi, przekonałem się osobiście o zupełnym porządku, nabożnym nastroju ducha i braku wszelkiej politycznej demonstracyi w zebranych tłumach. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 27. lipca 1861 r., godz. 8. m. 55 rano.

Mam szczęście złożyć Ich Cesarskim Mościom najpoddanniejsze życzenia w dniu urodzin Najjaśniejszej Pani od wiernych Im: armii, mnie i dobrze myślących stanów kraju. W soborze zaniesiemy modły o szczęście i długie lata Waszym Cesarskim Mościom. — Wczoraj w mieście panowała zupełna cisza i spokój. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 27. lipca 1861 roku,
godzina 5. minut 15 po południu.

Dziękujemy za życzenia. Pragnę, ażeby Wielopolski pozostał przy dotychczasowych obowiązkach aż do przybycia hrabiego Lamberta, który osobiście się z nim porozumi co do dalszego stanowiska. Lambert wyjeżdża we wtorek.

Aleksander.

Warzaawa — Peterhof. 22. lipca 1861 roku.

Ze smutkiem muszę donieść, że wskutek pobłażliwości duchowieństwa, motłoch po kościołach dopuszcza się nieporządków, tak, że już i ono takowym zapobiedz nie może. Wczo-

raj w katedrze, przed ukończeniem Mszy świętej, tłum zebrany zaczął śpiewać hymny i przeszkodził dokończeniu nabożeństwa, tak że urzędnicy i księża opuścili kościół przed końcem modlitwy. W nocy nieliczne gromadki wybijały szyby w oknach, które były oświecone. Musiałem użyć wojska dla rozpędzenia zbiegowisk. Aresztowano siedm osób. Szczegóły przeszlę, gdy zbiorę bardziej dokładne dane i wykryję głównych winowajców.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 29. lipca 1861 roku.

Burzyciele porządku zbierali się pod różnymi, najdziwaczniejszymi pozorami na Miodowej ulicy, skąd natychmiast byli rozpędzani. Dla przekrócenia tych ulicznych zamieszek i zapobieżenia zapowiedzianym demonstracyom znów rozmieszczam wojsko po placach. Bezzwłoczny przyjazd hr. Lamberta jest konieczny. Stan mego zdrowia bardzo niedobry.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 30. lipca 1861 roku.

Mam szczęście donieść: Wczoraj w mieście zupełnie się uspokoiło i dzień przeszedł w ciszy i porządku.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 30. lipca 1861 roku.

Rozrzucone i nalepione po rogach ulic odezwy, wzywają na jutro do kościołów na obchód uroczystości narodowej »Unii z Litwą« i nakazują iluminacyę. Ogłaszam, że na to nie pozwolę. Staram się, ażeby i duchowieństwo w duchu tym działało, ku czemu zdaje się skłaniać. Zawiadamiam Nazimowa o wydanych zarządzeniach.

Na dzień 3. sierpnia, dzień Napoleona, takie same wezwania. Czekam co dzień jutrzejszy przyniesie. Co do 3. sierpnia nic jeszcze nie zarządziłem.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Peterhof. 31. lipca 1861 roku.

Mam szczęście donieść: wczoraj miasto zachowało się spokojnie. Dzisiaj wojska zgromadzone na zbornych punktach dla zapobieżenia nieporządkom. Jen. adj. *Suchozanet.*

Krasne Sioło — Warszawa. 31. lipca 1861 roku.

Oby dał Bóg, by wasze zarządzenia zapobiegły oczekiwanym nieporządkom. Hrabiego Lamberta zatrzymują tu ważne sprawy. Wyjeżdża w piątek rano. *Aleksander.*

Warszawa — Carskie Sioło. 1. sierpnia 1861 roku.

Dzięki groźnej obecności wojsk, dzień wczorajszy przeszedł w porządku, chociaż widoczne było wielkie wzburzenie umysłów. Kobiety były w sukniach kolorowych. Magazyny pozamykane. Wieczorem oświecono pokoje. Słowem, objawy tego rodzaju, że ich policya i wojsko, ani przewidzieć, ani zabronić nie mogły. Aresztowano 30 osób. — Jenerał-adjutant Ignatiew dziś odjeżdża i osobiście może wszystko opowiedzieć. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 2. sierpnia 1861 roku.

Obecność wszystkich wojsk w mieście na 30. lipca, oraz zarządzone aresztowania osiągnęły cel zamierzony. Wzburzenie ustało i wczoraj miasto było w zupełnym porządku i spokoju. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 3. sierpnia 1861 roku.

Mam szczęście donieść: Wczoraj w mieście było cicho i spokojnie. Dzisiaj, jako w święto Matki Boskiej, należy się spodziewać tłumów po kościołach. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 4. sierpnia 1861 roku.

Wczoraj, pomimo tłumów po kościołach z powodu święta, oprócz hymnów żadnych innych nieporządków, iluminacyi lub jakiej innej demonstracyi w mieście nie było. Na Powązkach

jak zwykle w święta, zebrało się dużo ludu, odśpiewano na grobach zabitych hymny, a potem lud spokojnie się rozszedł. W ogóle cisza i spokój przywrócone. Fizyognomia miasta zadawalniająca. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Carskie Sioło — Warszawa. 4. sierpnia 1861 roku, godzina 10. wieczór.

Chwała Bogu, że dzień wczorajszy przeszedł szczęśliwie. List przez Ignatiewa dziś rano otrzymałem. Hrabia Lambert, dopiero w poniedziałek rano będzie mógł wyjechać. Nie chcę żadnej zmiany systemu zachowania się i proszę się tem kierować do jego przyjazdu, nie dopuszczając pod żadnym pozorem do jakichkolwiek demonstracyi i samowoli. *Aleksander.*

Warszawa — Carskie Sioło. 5. sierpnia 1861 roku.

Mam szczęście donieść: wczoraj w mieście był zupełny spokój i należyty porządek. Jenerał-major Potapow przyjechał wieczorem. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 6. sierpnia 1861 roku, godzina 7. minut 45 po północy.

Wczoraj w mieście panował najzupełniejszy spokój, ani cienia jakichkolwiek nieporządków. Demagogia utrzymuje, że otrzymała takie rozkazy, lecz sądzę, że to jest skutkiem groźnej postawy wojska i dokonanych aresztowań czternastu osób. W miastach gubernialnych jednocześnie utrzymano w ten sam sposób należny porządek. Aż do przybycia hrabiego Lamberta będę dalej wysyłać ludzi niepewnych i księży do Cesarstwa, lub też zamykać w kazamatach fortecznych.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Carskie Sioło — Warszawa. 6. sierpnia 1861 roku, godzina 7. minut 30 wieczór.

Zgadzam się na energiczne postępowanie. Hrabia Lambert wyjeżdża z moim listem we wtorek rano. *Aleksander.*

Warszawa — Tuła. 8. sierpnia 1861 roku.

Mam szczęście donieść: W mieście panował zupełny spokój. Ponownie aresztowano 5 osób za noszenie zabronionych pasów, w rodzaju sznurka z kółkiem.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Charków. Stamtąd do Czugujewa.

12. sierpnia 1861 roku, godzina 2. po północy.

Mam szczęście donieść: Hrabia Lambert przybył wczoraj o godzinie 11. w nocy. W mieście panował zupełny spokój. Nie było powodu do żadnych aresztowań na ulicach. Uwięziono w mieszkaniach sześciu przewódzców, zabrano papiery. Mam nadzieję wykryć dalszych wspólników.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Charków. 13. sierpnia 1861 roku.

Mam szczęście donieść: Wczoraj w mieście panował spokój zupełny, powodów do aresztowań ulicznych nie było. Objąłem zarząd kraju i armii. Hrabia *Lambert.*

Charków — Warszawa. 14. sierpnia 1861 roku.

Daj Boże! byś w dobrą godzinę objął rządy. Czy się wykryło co ważnego wskutek aresztowoń, o których jenerał-adjutant Suchozanet donosił w swej ostatniej depeszy?

Aleksander.

Warszawa — Charków. 14. sierpnia 1861 roku.

W mieście spokojnie. Jenerał Gerstenzweig przybył wczoraj. Minister wojny wyjeżdża dzisiaj o godzinie 6. rano. — Przy aresztowaniu czterech osób za noszenie stroju narodowego, tłum obrzucał policyantów kamieniami, przyczem lekko kontuzyowany podpułkownik Bolicki. Nadeszła kompania wojska rozprószyła zbiegowisko. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Połtawa. 15. sierpnia 1861 roku.

W mieście spokój, wojska z placów sprowadzone. Dzisiaj ogólne przedstawienie się władz cywilnych na Zamku. Wczoraj wysłałem kuryerem do Benderu list do Waszej Cesarskiej Mości. Odpowiadam na telegram z Charkowa: Śledztwo się prowadzi, lecz nie przewiduję jakichś ważniejszych odkryć.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Elizabetgrad. 16. sierpnia 1861 roku.

Wczoraj było ogólne przyjęcie cywilnych urzędników na Zamku, nic szczególnego nie mam z tego powodu do doniesienia. Wczoraj wieczorem przybył do Warszawy senator Płatonów. W mieście spokój. — Nie czynię żadnych zarządzeń na przejazd J. C. Wysokości, W. księcia Konstantego Mikołajewicza przez Królestwo Polskie. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Odessa. 19. sierpnia 1861 roku.

Przy pogrzebie zmarłego, podobno z ran otrzymanych w kwietniu, przyłączyło się do 5.000 osób. Pochód postępował w porządku z kościoła św. Krzyża na cmentarz Powązkowski. Po prześpiewaniu hymnów tłum rozszedł się.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Odessa. 20. sierpnia 1861 roku.

W mieście spokój, żadnych zajść nie było. Dokąd mam następnie telegrafować? Hrabia *Lambert.*

Odessa — Warszawa. 20. sierpnia 1861 r., godz. 8. wieczór.

Wczoraj przybywszy do Odessy znalazłem list Twój z dnia $^{14}/_{26}$ b. m. Pochwalam pierwsze zarządzenia, lecz następne depesze wskazują, że swawola nie ustaje. Dalej tak być nie może, ani w Warszawie, ani na prowincyi i dlatego żądam, aby zaprowadzić stan wojenny w miejscowościach, gdzie to uznasz za wskazane. — W moim programie podróży, oprócz dwudniowego opóźnienia wszędzie, zmian innych niema. Konstanty Mikołajewicz nie pojedzie przez Polskę. *Aleksander.*

Warszawa — Bender. 21. sierpnia 1861 roku.

Nic szczególnego nie zaszło. Wiadomości z gubernii zachodnich wywołują widoczne wzburzenie umysłów. Ogłoszenia o żałobnych nabożeństwach rozchodzą się z rąk do rąk.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Odessa. 22. sierpnia 1861 roku.

Wczoraj szczególniejszego wzburzenia w mieście nie było, jednak w kościołach odbyły się nabożeństwa w skutek zajść wileńskich, powiększonych przez agitatorów. Żałoba zwiększona. Magazyny w czasie nabożeństw były pozamykane.

Hrabia *Lambert.*

Odessa — Warszawa. 22. sierpnia 1861 r., godz. 11. rano.

Dzisiejsza depesza jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu o potrzebie zarządzenia surowych środków i zaprowadzenia tychże jednocześnie na Litwie i w Polsce. Przed trzema dniami, wieczorem, wysłałem kuryera do Warszawy.

Aleksander.

Warszawa — Symferopol, stamtąd sztafetą do Sebastopola.
23. sierpnia 1861 roku.

W mieście spokojnie. Obecnie niema powodu ogłaszania stanu wojennego, gdyż stan rzeczy na gorsze się nie zmienił, mimo że wojska z placów sprowadzono. Nadto zwykła policya jeszcze nie zorganizowana, tajnej policyi niema, a i sami mało jeszcze oznajomieni jesteśmy ze sprawą. Nic dziwnego, jeżeli będzie wzburzenie w rocznicę wzięcia Warszawy, lecz nie przewiduję w tem żadnego niebezpieczeństwa. Ogłoszenie stanu wojennego wzburzenia nie usunie, a w danym razie i bez tego wojska są w pogotowiu. Mniej się obawiam ulicznych demonstracyi, niż wyborów. Upraszam Waszej Cesarskiej Mości, gdy się już na to zgodziłeś, o zamianowanie w miejsce jenerała Liprandiego jenerała Chrulewa i, jeśli zgoda, to na 30. sierpnia.

Hrabia *Lambert.*

Sebastopol — Warszawa. 24. sierpnia 1861 roku, godzina 10. po południu.

Nie dopuścić do żadnych demonstracyi w rocznicę wzięcia Warszawy, a gdyby, mimo zarządzonych środków, takowe zaszły, to ogłosić natychmiast w Warszawie stan wojenny. Tak samo postąpić i w innych miejscowościach i natychmiast odebrać wszelką broń od mieszkańców. *Aleksander.*

Warszawa — Symferopol, przez Bachczysaraj do Liwadyi. 25. sierpnia 1861 roku.

Miasto spokojne. Wysłałem do Petersburga przedstawienie o zamianowaniu margrabiego Wielopolskiego głównym dyrektorem Komisyi sprawiedliwości. Raczy Wasza Cesarska Mość zatwierdzić telegraficznie, nie czekając przedstawienia i zezwolić na zamianowanie go także wiceprezesem Rady Stanu, na 30. sierpnia. Upraszam o odpowiedź. Hrabia *Lambert.*

Warszawa - Liwadia. 25. sierpnia 1861 roku.

Upraszam o telegraficzne polecenie zarządzającemu ministerstwem wojny, aby wybrał z gwardyi i przysłał dla wzmocnienia warszawskiej policyi 100 żołnierzy, o co do niego dzisiaj pisałem. Największa tego potrzeba. Hr. *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 25. sierpnia 1861 roku.

Zgadzam się na zamianowanie Chrulewa na miejsce Liprandiego [1]), również i na przedstawienie Wielopolskiego do Komisyi sprawiedliwości i na wiceprezesa Rady Stanu, na dzień 30. sierpnia. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 27. sierpnia 1861 roku.

Dzień wczorajszy przeszedł spokojnie, manifestacyi nigdzie nie było, na Wolę nikt nie chodził. Wskutek restauracyi

[1]) O ile wiadomo, cesarz zaraz cofnął rozkaz co do Chrulewa.

sobornej cerkwi, arcybiskup odprawiał mszę świętą i nabożeństwo w cerkwi w Łazienkach. Po nabożeństwie była kościelna parada ze smoleńskim pułkiem ułanów. W kościele katedralnym nabożeństwo odprawiał sufragan, wszystko poszło dobrze, a w kościołach nawet nie śpiewano hymnów. Wieczorem rządowe gmachy były iluminowane, magazyny były cały dzień otwarte, ludność przechadzała się po ulicach spokojnie, wojska nie były nigdzie skonsygnowane. Wieczorem rozesłano po ulicach patrole. W niektórych okolicach miasta zaszły hałasy, wywołane przez żydów fanatyków, którzy zaczęli wybijać szyby w magazynach żydowskich, które nie zostały pozamykane z zapadającem u Żydów świętem. Nieporządki te nie miały żadnych politycznych znamion, ani też jakiegoś szczególniejszego znaczenia. Niektórzy ekscedenci są już aresztowani, zarządzono także uwięzienie głównych promotorów. — Wczorajszy dzień budzi niejaką nadzieję, że się stronnictwo porządku wzmoże.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 28 sierpnia 1861 roku

W Warszawie spokojnie. W mieście Łęczycy zaszły uliczne nieporządki, zarządzono dochodzenie. Jeśli się wszystko okaże prawdą, ogłoszę tam stan wojenny. O szczegółach doniosę. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 30. sierpnia 1861 roku.

Na wniosek Wielopolskiego, Rada Stanu uznała za potrzebne wydawanie urzędowego dziennika dla Królestwa Polskiego, aby módz w ten sposób oddziaływać na uspokojenie umysłów; redakcyę wzmocnić, a artykuły nieurzędowe drukować tylko po polsku bez tekstu rosyjskiego. Uznaję potrzebę spiesznego przeprowadzenia tej reformy, lecz takowa nie może nastąpić bez zezwolenia Waszej Cesarskiej Mości. Czy otrzymam najmiłościwsze zezwolenie? Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 31. sierpnia 1861 roku.

W mieście spokojnie! Wczorajsze nabożeństwa odbyły się we wszystkich kościołach w porządku, jedynie w katedrze kilkanaście osób przeszkadzało, intonując podburzające hymny. Kazałem winnych odszukać. Dopóki nie zorganizujemy policyi, niepodobna zapobiedz podobnym swawolom, jednak i one zaczynają się zmniejszać, gdyż większość ludności zachowuje się obojętnie. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 31. sierpnia 1861 roku.

Koniecznie potrzebuję ludzi pewnych. Upraszam o polecenie, aby mi przysłano do dyspozycyi jenerał-majorów: Dreniakina, Zimmermana ze sztabu, Konstandylakiego z artyleryi i pułkownika żandarmów Lewenthala. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 2. września 1861 roku.

W mieście spokojnie. Poczuwam się w obowiązku proszenia Waszej Cesarskiej Mości o najwyższe zezwolenie przedstawienia do nagród podwójnej liczby wojskowych, nie tak, jak zwykle, a to uwzględniając niezwykłe trudy, na które są wystawione, wojska konsystujące w Królestwie Polskiem.

Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 3. września 1861 roku, godzina 8. wieczór.

Jedynie tylko pułkownika żandarmów, Lewenthala, mogę ci przysłać do dyspozycyi. Do nagród na ten rok możesz przedstawić podług norm przyjętych dla gwardyi.

Od czasu zaprowadzenia na Litwie stanu wojennego, wiadomości stamtąd nadchodzą zadawalniające; to mnie jeszcze bardziej utwierdza w przekonaniu o konieczności zastosowania tego zarządzenia i do Królestwa Polskiego, gdyby się powtórzyły takie nieporządki jak w katedrze dnia 30. sierpnia. Już wielki czas koniec temu położyć. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 4. września 1861 roku, godzina 1. po północy.

W mieście spokojnie. W Kaliszu dnia 30. sierpnia zbiegowisko starło się z patrolem z powodu nieiluminowania. Posłany tam jenerał Paulucci donosi, że porządek przywrócony. Dziś wysyłam kuryera z pismem do Waszej Cesarskiej Mości.

Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 4. września 1861 roku, godzina 10. minut 30 rano.

W Kaliszu ogłosić stan wojenny. Winnych starcia dnia 30. sierpnia sądzić według praw karnych polowych i wyroki zaraz wykonać, o czem donieść w drodze telegraficznej.

Aleksander.

Warszawa — Liwadia. 4. września 1861 roku, godzina 4. minut 30 po południu.

W zajściu Kaliskiem okazali się najbardziej winnymi żołnierze nizowskiego pułku piechoty. O zmianie dowódzcy pułkowego zawiadomiłem jenerał-adjutanta Milutina. Niepodobna ogłaszać stanu wojennego, gdyż byłoby to sprzeczne z wydanemi już zarządzeniami w tej sprawie. Upraszam o zmianę polecenia. Zaprowadzenie stanu oblężenia zepsuje rzecz całą na zawsze, unikam tego o ile tylko możliwe. Szczegóły w piśmie, które dziś do Waszej Cesarskiej Mości wysłałem.

Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 4. września 1861 roku, godzina 11. minut 30 wieczór.

Zgadzam się na chwilowe wstrzymanie ogłoszenia stanu wojennego aż do otrzymania szczegółów przez kuryera, którego oczekuję. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 5. września 1861 r., godz. 10. rano.

Wczoraj kilku ludzi przez zemstę wybiło szyby w jednym magazynie. Winni aresztowani. Dla pomocy policyi wzmocni-

lem patrole. — Między stronnictwami kłótnie, niezgoda, mściwość. — Nie przeczę konieczności zaprowadzenia stanu wojennego, lecz proszę Waszej Cesarskiej Mości pozostawić mi wybór chwili. Agitatorzy właśnie chcieliby nas wyprowadzić z cierpliwości. Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 5. września 1861 roku, godzina 8. minut 30 wieczór.

Rad jestem, żeś się nakoniec przekonał o konieczności zaprowadzenia stanu wojennego. Agitatorzy już za długo przyzwyczaili się do liczenia na naszą cierpliwość, którą przypisują naszej słabości i niedecyzyi. Jeszcze raz powtarzam, pora już temu koniec położyć. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 6. września 1861 roku, godzina 2. minut 20 po północy.

Wzburzenie w Warszawie się wzmaga, przybierając charakter walki między skrajnem a umiarkowanem stronnictwem. Wczoraj i dzisiaj napadnięto publicznie niektóre osoby, nie współczujące z zaburzeniami. Dwa magazyny zostały zniszczone przez motłoch, który się rozprószył za nadejściem wojska. Bez szkody dla sprawy nie mogę zaraz ogłosić stanu wojennego. Oczekuję sposobnej chwili i tej nie opuszczę. Hr. *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 7. września 1861 roku, godzina 1. minut 20 po północy.

Tłum się zebrał przed zniszczonym magazynem, lecz nic nie robił. Zbiegowisko przez policyę z pomocą ludności rozpędzone. Innych zajść nie było. — Otrzymawszy odmowną odpowiedź co do proszonych pomocników, upraszam o polecenie przysłania do mojej dyspozycyi jenerałów: hr. Kreutza 2-go, Samsonowa 2-go, Launitza 2-go i ze świty Waszej Cesarskiej Mości księcia Bagrationa. Potrzebuję koniecznie pomocników na wypadek zaprowadzenia stanu wojennego.

Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 7. września 1861 roku.

Staraj się skorzystać z walki stronnictw, nie dopuszczając jednak do swawoli. Zgadzam się na przysłanie Samsonowa 2-go, Launitza 2-go i księcia Bagrationa. Dla hrabiego Kreutza mam inne przeznaczenie. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 8. września 1861 roku.

Mam szczęście złożyć Waszym Cesarskim Mościom najpoddańsze życzenia wspólnie z pierwszą armią, w dniu urodzin Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza.

W mieście spokojnie. Wybory zaczynają się w poniedziałek. Chodzą wieści, że mają podać adres. Hr. *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 8. września 1861 r., godz. 3. po poł.

Szczerze dziękuję za życzenia. — W czasie mej podróży na Kaukaz, t. j. od 10. do 26. września, proszę tylko w nader ważnych i nagłych wypadkach telegrafować do Liwadii z dodatkiem na depeszy: »Bezzwłocznie wysłać Cesarzowi.« O tem co się dzieje w Królestwie Polskiem, codziennie telegrafować do jenerał-adjutanta Milutina. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 8. września 1861 roku, godzina 11. minut 30 wieczór.

Stosownie do depeszy z dnia 24. sierpnia, porobiłem już niektóre zarządzenia, odpowiednio do rozkazów Waszej Cesarskiej Mości. Nie mogę liczyć na to, ażeby jenerał Liprandi sam prosił o uwolnienie od obowiązków. Z tego powodu czy nie raczyłaby Wasza Cesarska Mość rozkazać, by, nie czekając podania, zamianować Liprandiego członkiem Rady wojennej i przyspieszyć nominacyę Chrulewa. Dla mnie każda minuta droga. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 9. września 1861 r., godz. 1 w nocy.

Nr 214. W mieście spokojnie. Wczoraj nabożeństwa nigdzie nie były przerwane. Upraszam o nadanie mi, w razie

ogłoszenia stanu wojennego, prawa oddawania ludzi podejrzanych i notowanych jako niespokojnych do wojska na rachunek przyszłego poboru; gdyby zaś nie byli zdatni do wojska, do wysyłania ich na mieszkanie do gubernii oddalonych.

Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 9. września 1861 r., godz. 6. wiecz.

Już zarządzono o Liprandim i Chrulewie. Zezwalam na postępowanie, jak żądasz w depeszy nr 214. Oczekuję niecierpliwie wyniku wyborów. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 27. września 1861 roku, godzina 1. minut 30 po północy.

Wybory za sześć dni będą ukończone. Jutro pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego. Mogą być zaburzenia. Proszę o rozkaz telegraficzny, ażeby policyantów utrzymujących porządek, uważać aż do innego zarządzenia, na równi z szyldwachami wojskowymi. Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 28. września 1861 r., godz. 5. wiecz.

Dziś o godzinie 1. wróciłem szczęśliwie z Kaukazu. — Policyantów w czasie pełnienia służby uważać jako wojskowych szyldwachów. List z dnia 22. (4. października) otrzymałem. Zarządzenia Twoje pochwalam. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 28. września 1861 roku.

Eksportacya zwłok arcybiskupa Fijałkowskiego odbyła się z niesłychaną uroczystością, napływ ludu niezmierny, w pochodzie niesiono liczne chorągwie i godła podburzające. Lecz wszystko odbyło się w ciszy i w największym porządku.

Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 29. września 1861 r., godz. 8. wiecz.

Nader jestem niezadowolony z pojawienia się przy pogrzebie Fijałkowskiego chorągwi i godeł rewolucyjnych, i z tego,

że to dopuszczono. Jeśli wybory w Warszawie ukończone, niezwlekając ogłosić stan wojenny. Tak samo postępować i na prowincyi przy powtórzeniu podobnych demonstracyi.

Aleksander.

Warszawa — Liwadia. 30 września 1861 roku, godzina 2 po północy.

Chodzą niepokojące pogłoski o Petersburgu. Stan umysłów bardzo niedobry. Wkrótce stan wojenny okaże się nieuniknionym. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 1. października 1861 roku, godzina 2. minut 15 po południu.

Wskutek zarządzonych środków zjazd horodelski się nie odbył. W Warszawie położenie nie zmienione. Będę działał stosownie do poleceń Waszej Cesarskiej Mości.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 2. października 1861 roku.

Uprzedzając ponowne rewolucyjne objawy z powodu zapowiedzianych na jutro nabożeństw za Kościuszkę, uznałem za konieczne bezzwłoczne ogłoszenie stanu wojennego w całem Królestwie Polskiem. W mieście wojska dzisiejszej nocy zajmą naznaczone posterunki. Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 2. października 1861 roku, godzina 11. minut 30 rano.

Daj Boże, aby ogłoszenie w Królestwie Polskiem stanu wojennego wywarło skutek dawno oczekiwany. — Jak Twoje zdrowie? Niech Bóg Cię wspomaga. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 3. października 1861 roku, godzina 2. minut 20 po północy.

Wczorajszy dzień przeszedł spokojnie. Wysłałem kuryera do Waszej Cesarskiej Mości. Na dzisiaj zapowiedziano mani-

festacye w rocznicę śmierci Kościuszki. Zarządzam środki ku przeszkodzeniu takowym. Zdrowie moje w złym stanie.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 4. października 1861 roku, godzina 4. minut 15 po północy.

Wczoraj trzy kościoły, w których zebrano się na zapowiedziane nabożeństwa i śpiewano rewolucyjne hymny, otoczono wojskiem. Z jednego publiczność uszła skrytym przejściem, w dwóch drugich upornie pozostała do późnej nocy. W tej chwili odbywa się w nich aresztowanie wszystkich mężczyzn. Wzburzenie silne; zbiegowiska uliczne natychmiast rozpędzają patrole i konne rozjazdy. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 5. października 1861 roku, godzina 3. po północy.

Z 1.600 osób aresztowanych w kościołach, uwolniono większą część starych i małoletnich. Aresztowania wywołały w duchowieństwie silne oburzenie, chcą zamknąć w Warszawie kościoły. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 5. października 1861 roku, godz. 9. minut 30 rano — odebrano godz. 7. minut 35 wieczór.

Jenerał-adjutant Gerstenzweig zastrzelił się o godzinie 7. rano. Umiera. Choroba moja tak się wzmaga, że za siebie nie ręczę. Na miłość Boga, proszę przysłać zastępców na nasze miejsca. Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 6. października 1861 roku, godzina 1. po południu.

Nadzwyczaj boleję nad samobójstwem Gerstenzweiga i Twoją chorobą. Myślę posłać do Warszawy jenerał-adjutanta Lüdersa. Zawezwałem go tutaj z Odessy. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 6. października 1861 roku, godzina 2. po północy.

Dzień przeszedł spokojnie. Kościoły zostały przez duchowieństwo zamknięte. O ile mogę przeciwdziałam wpływowi duchowieństwa. Jenerał-adjutant Gerstenzweig jeszcze żyje, ale niema żadnej nadziei ocalenia go. Zastępuje go jenerał-adjutant Merchelewicz. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 7. października 1861 roku, godzina 2. minut 30 po północy.

Dzień przeszedł szczęśliwie. M. A. Gerstenzweigowi nieco lepiej. Wczoraj wysłałem kuryera do Waszej Cesarskiej Mości. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 8. października 1861 roku, godzina 2. minut 30 po północy.

W mieście spokojnie; kościoły zamknięte. Niewiem jak minie dzień dzisiejszy. Hrabia *Lambert.*

Warszawa — Liwadia. 9. października 1861 roku, godzina 2. minut 35 po północy.

Surowe zarządzenia widocznie skutek odnoszą; dzień dzisiejszy przeszedł zupełnie spokojnie mimo zamknięcia kościołów przez duchowieństwo. Porządek policyjny powraca. Dzisiejszej nocy poaresztują wielu głównych agitatorów. Będę dalej szedł w tym kierunku. Hrabia *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. 9. października 1861 r., w południe.

Chwała Bogu, że stan wojenny zaczyna skutek odnosić, jak tego się spodziewałem. Jenerał-adjutantowi Lüdersowi dałem osobiście polecenia. Za 6 dni będzie gotów do odjazdu. Gerstenzweig czy żyje i jak Twoje zdrowie? Jutro wyjeżdżamy morzem do Mikołajowa. *Aleksander.*

Warszawa — Liwadia. 10. października 1861 roku, godzina 12. minut 5 po północy.

W mieście spokój zupełny. Kościoły zamknięte. Aresztowano dziesięciu agitatorów. Gerstenzweig jeszcze żyje, lecz strasznie cierpi. Zdrowie moje coraz gorsze. Hr. *Lambert.*

Liwadia — Warszawa. Do jenerał-adjutanta Suchozaneta. 10. października 1861 r., godzina 6. wieczór.

Szczerze dziękuję, że się zgadzasz czasowo zastąpić hrabiego Lamberta aż do przyjazdu jenerał-adjutanta Lüdersa. Proszę działać bez żadnej pobłażliwości i w żadnym wypadku nie ścierpieć swawoli. Winnych sądzić podług praw wojennych i zaraz wykonywać wyroki. *Aleksander.*

Warszawa — Mikołajów. 11. października 1861 roku.

Otrzymana w Liwadii o godzinie 12. minut 45 po południu.

W Warszawie i na prowincyi spokój zupełny. Rewolucyjne i allegoryczne godła znikły bez śladu. Jenerał-adjutant Suchozanet przyjechał wczoraj o godzinie 12. w nocy i dzisiaj obejmuje obowiązki. Wyjeżdżam za granicę o godzinie 11-tej wieczorem. Hrabia *Lambert.*

Nr 270. Warszawa — Mikołajów. 11. października 1861 r.

Otrzymana w Liwadii 12. październ. o godz. 3. min. 15 po półn.

Margrabia Wielopolski podał się do dymisyi. Uważam za konieczne imieniem Cesarza zatrzymać go nadal w służbie. Hrabia *Lambert.*

Przypiski do księgi V.

Wymiana depesz między Warszawą a cesarzem Aleksandrem II.

w czasie od 12. października 1861. do $^{16}/_{28}$ czerwca 1862 roku.

Warszawa — Nikołajew. 12. października 1861 roku, godzina 8. minut 50 rano.

Do depeszy hrabiego Lamberta nr 270. Nie mam nadziei, ażeby Wielopolski nawet na żądanie Cesarza, zechciał cofnąć dymisyę. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Nikołajew — Warszawa. 12. października 1861 roku, godzina 10. rano.

Oświadczcie Wielopolskiemu, że pragnę, aby pozostał w służbie i że tem da dowód prawdziwego poświęcenia dla ojczyzny i dla mnie. *Aleksander.*

Warszawa — Nikołajew. 12. października 1861 roku.

Wczoraj w mieście było spokojnie. Zwiedziłem wojska, rozstawione po placach. Zaopatrzone są we wszystko.
Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Nikołajew. 13. października 1861 roku.

Wielopolski dał wymijającą odpowiedź. Chce pisać przez kuryera do Waszej Cesarskiej Mości. Przyczyną ustąpienia jest przekonanie, że z całą surowością zaprowadzę stan wojenny, na co się zgodził jedynie w nadziei, że hr. Lambert łagodnie będzie postępować. Sam to oświadczył Płatonowowi. Jestem zdania, że należałoby go zupełnie uwolnić, a przynajmniej pozostawić przy jednej sprawiedliwości. W oświacie a szczególniej w komisyi spraw duchownych jest stanowczo szkodliwy. Tego samego są zdania hr. Lambert i Płatonów. Szczegóły o tem wyszlę kuryerem do Petersburga. Jen.-adj. *Suchozanet.*

Mikołajew — Warszawa. 13. października 1861 roku, godzina 10. wieczór.

List hrabiego Lamberta z dnia $^{6}/_{18}$ otrzymałem. Cieszę się, że od $^{11}/_{23}$ panuje spokój. O Wielopolskim postanowię po otrzymaniu kuryera. Jenerał-adjutant Lüders spodziewa się stanąć w Warszawie $^{23}/_{4}$ b. m. *Aleksander.*

Warszawa — Charków. 15. października 1861 roku.

W mieście spokojnie. Aresztowania przewódzców propagandy nie ustają. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Oreł. 15. października 1861 roku.

Ponieważ powierzyłem członkowi rady stanu Kruzenszternowi czasowy zarząd komisyą spraw wewnętrznych, upraszam o najwyższe zezwolenie Waszej Cesarskiej Mości, by tenże mógł brać udział w posiedzeniach rady administracyjnej.
Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Tuła. 16. października 1861 roku.

Jenerał-major Potapow dziś wyjechał do Petersburga, stanie tam 18. rano. Wojska są w stanie znakomitym. Kuryer przybył w południe. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Sierpuchów. 17. października 1861 roku.

W mieście spokojnie. Margrabia Wielopolski jak waryat, nikogo nie słucha. Trudno mi postąpić z nim stanowczo, znosić zaś jego postępowanie niebezpiecznie.
Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa. 17. października 1861 roku.

W tej chwili nadeszła depesza hrabiego Lamberta z dnia dzisiejszego z Rotterdamu. *Santé même état. Embarque aujourd'hui pour Madeire. Ecris hier.* Co mam zrobić z listem Waszej Cesarskiej Mości do hr. Lamberta, który otrzymałem wczorajszym kuryerem z Liwadii. Jen. adj. *Suchozanet.*

Carskie Sioło — Warszawa. 18. października 1861 roku.

List twój z dnia $^{14}/_{26}$ odebrałem. Proszę działać bez pobłażania aż do przyjazdu jenerał-adjutanta Lüdersa. Wielopolskiemu proszę oświadczyć, że mu rozkazuję, by natychmiast przybył do Petersburga. Chcę osobiście wysłuchać jego tłumaczenia się. Tutaj spokój zupełny. *Aleksander.*

Warszawa — Carskie Sioło. 18. października 1861 roku.

Wielopolskiemu zakomunikuję rozkaz jutro, jeśli Wasza Cesarska Mość takowy potwierdzi po wysłuchaniu osobistego sprawozdania jenerała Potapowa, który ma przybyć dnia $^{19}/_{31}$ rano. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 19. października 1861 roku.

W mieście spokojnie. Spodziewam się, że jutro otworzą kościoły. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Carskie Sioło — Warszawa. 19. października 1861 roku.

Nr 22. Potapow przybył. List pański i jego sprawozdanie przekonały mnie zupełnie, że Wielopolski nie może być dalej cierpiany w Warszawie. Dlatego proszę oznajmić mu mój rozkaz natychmiastowego przybycia tutaj. Gdyby śmiał nie usłuchać, to osadzić go w cytadeli i o tem natychmiast mi donieść. *Aleksander.*

Warszawa — Carskie Sioło. 19. października 1861 roku.

Nr 288. Margrabia, w dzień wyjazdu Potapowa, nie zważając na moje polecenie, nie poddał dziennika pod cenzurę Marrona i ogłosił w nim projekt urządzenia szkół. Aresztowałem za to głównego redaktora Sobieszczańskiego, Wielopolskiemu zaś oświadczyłem, że chociaż jego postępowanie uznaję za wręcz sprzeczne z mojemi zarządzeniami, jednak nie używam przysługującej mi władzy i o wszystkiem donoszę Waszej Cesarskiej Mości. On jawnie lekceważy namiestnika. Ani razu jeszcze go nie widziałem, bywa tylko tam, gdzie wie, że mnie

nie spotka. Wszystko to dla pozyskania popularności w partyi opozycyjnej, co w części dopiął. Wobec niego położenie namiestnika i całego rosyjskiego żywiołu w Warszawie staje się niemożliwe. — Na wypadek jego oddalenia, poruczę czasowo komisyę oświaty i spraw duchownych Hubemu, sprawiedliwości zaś Dembowskiemu. — Niepokojczycki sam uznaje, że jest niemożliwym na stanowisku jenerał-gubernatora, co w zupełności podzielam. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 20. października 1861 roku.

W mieście spokojnie. W kapitule spory, kłótnie i bezrząd. Zamknięcie kościołów nie jest straszne dla rządu, niepopularne u ludu i osłabia wpływ duchowieństwa. Niedopuszczam do żadnych układów z buntującymi się.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Carskie Sioło — Warszawa. 20. października 1861 roku, godzina 2. minut 30 po południu.

Depesze Pańskie nr 288 i 291 otrzymałem. Dziwię się, że nic mi nie donosisz o bezzwłocznem wysłaniu Wielopolskiego do Petersburga. Proszę ściśle spełnić moją depeszę z dnia wczorajszego, nr 22. *Aleksander.*

Warszawa — Carskie Sioło. 20. października 1861 roku.

Depesza Waszej Cesarskiej Mości nr 22, nadana 19. b. m. o godzinie 1. po południu w Petersburgu, została mi doręczoną w Warszawie dopiero 20. o godzinie 5. rano. Po zażądaniu wyjaśnienia, okazało się, że przy obecnym stanie powietrza, telegrafowanie zabiera dużo czasu. Moja depesza nr 288, nadana wczoraj o godzinie 12., wymagała 14 godzin dla odtelegrafowania. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 20. października 1861 roku.

Kazałem objąć czasowy zarząd w komisyach: spraw duchownych i oświaty senatorowi Hubemu — sprawiedliwości,

członkowi Rady stanu Dembowskiemu. Upraszam o zezwolenie Waszej Cesarskiej Mości, by już od jutra mogli brać udział w posiedzeniach Rady administracyjnej.

Nie mogę jeszcze stanowczo oznaczyć dnia, kiedy Margrabia wyjedzie. Raczej zgodzę się na opóźnienie, niż dopuszczę do zajścia, mogącego tylko zwiększyć niepopularność.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 20. października 1861 roku.

Błagam o kilka słów współczucia dla Gerstenzweiga, oraz o łaskawą decyzyę na list mój z dnia 14. b. m. On zupełnie przytomny i pragnie jakiego łaskawego słowa Waszej Cesarskiej Mości. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 20. października 1861 roku.

W mieście zupełny spokój. Totleben przybył do Brześcia. Dnia 22. b. m. zjedziemy się w Iwangrodzie (Dęblinie) i dalej udamy się do Zamościa. Wyjadę jutro w nocy. Wrócę 24. późnym wieczorem. Wszystko, co potrzeba dla utrzymania porządku, zarządzono. Wielopolski w tej chwili mnie zawiadamia, że wyjedzie najpóźniej w poniedziałek 23., a może i wcześniej, jeśli się tylko potrafi wybrać, co znajduję zupełnie usprawiedliwionem, gdyż nie miał ani podróżnego powozu ani futra. Jutro przed wyjazdem wyszlę kuryera ze sprawozdaniem.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 21. października 1861 roku.

Jenerał-adjutant Lüders telegrafował z Żytomierza, że stanie w Brześciu dnia 22. i będzie w Warszawie 23. b. m. Wskutek tego do Zamościa nie pojadę, lecz z Iwangrodu wrócę do Warszawy 23. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 21. października 1861 roku.

W mieście zupełny spokój. Przez oba dni świąt żadnych nieporządków nie było. Odjeżdżam do Iwangrodu i Lublina,

wrócę 23. wieczorem przed przybyciem jenerał-adjutanta Lüdersa, na którego spotkanie wyprawiam do Brześcia szefa sztabu pierwszej armii. O godzinie 7. wieczorem wysłałem kuryera do Waszej Cesarskiej Mości. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 24. października 1861 roku.

W Warszawie i Lublinie spokojnie, wojska w stanie znakomitym. Wróciłem wczoraj o północy. Jenerał-adjutant Lüders przybył o godzinie 2-giej po północy. Margrabia wyjechał wczoraj rano. Gerstenzweig kona. Jen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 24. października 1861 roku.

Przybyłem 24. o godzinie 2. rano. Wstrzymałem się do 27. (8. listopada) z objęciem zarządu kraju i armii. Potrzebuję się pierwej rozpoznać z osobami i ze stanem spraw. Proszę o polecenie, ażeby minister wojny po zdaniu zarządu zasiadał w Radzie administracyjnej aż do swego odjazdu.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Carskie Sioło — Warszawa. **Do jen. adj. Suchozaneta.**
24. października 1861 roku.

List Pański z dnia $^{21}/_{9}$ otrzymałem. — Kościoły czy otwarte? — Czekam urzędowego przedstawienia co do Karnickiego. — O wsparcie dla Dembowskiego wnieść przez Tymowskiego. *Aleksander.*

Carskie Sioło — Warszawa. **Do jen. adj. Lüdersa.**
24. października 1861 roku.

Cieszę się z waszego przybycia, daj Boże w dobrą godzinę. Zgadzam się aby jenerał-adjutant Suchozanet aż do odjazdu zasiadał w Radzie administracyjnej. *Aleksander.*

Warszawa — Carskie Sioło. 25. października 1861 roku.

Kościoły na Pradze i na Powązkach nie były zamknięte, wszystkie inne są jeszcze zamknięte, gdyż proponowane wa-

runki odrzucono. Lud nie sympatyzuje z zamknięciem kościołów, a zdyskredytowanie duchowieństwa wychodzi na korzyść rządowi. Wskutek skasowania wyboru księdza Białobrzeskiego na administratora, oczekują, że kościoły zostaną bezwarunkowo otwarte. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 25. października 1861 roku.

W mieście spokój zupełny. Donoszę z bolem serca, że wczoraj o godzinie 2. po południu Gerstenzweig zakończył życie. Zwłoki jego odwiozą do Petersburga żona i siostra z mężem. W tej chwili przybył kuryer z listem Waszej Cesarskiej Mości z daty 21. b. m. Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 25. października 1861 roku.

Ogólne posiedzenia Rady stanu były odroczone na trzy tygodnie, jutro kończy się termin. Mają być zwołane dla rozpatrzenia projektów Wielopolskiego i innych spraw przygotowanych. Czy zgoda na to? Wyrazy w liście Waszej Cesarskiej Mości »teraz nie czas na jakiekolwiek reformy« pobudzają nas gwoli ostrożności do postawienia tego zapytania. Jesteśmy jednak zdania, że otwarcie posiedzeń byłoby korzystne.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 25. października 1861 roku.

Jenerał-major Rożnów, prezes nadzwyczajnej śledczej komisyi w Cytadeli, złamał rękę. Trudny nadzwyczaj wybór jego zastępcy. Zarządziliśmy, by dyrektor kancelaryi, tajny radca Kazaczkowski, objął ten obowiązek i upraszamy o telegraficzne upoważnienie Waszej Cesarskiej Mości.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Carskie Sioło — Warszawa. 25. października 1861 roku.

Na Kazaczkowskiego się zgadzam. Wymagam, ażeby przy otwarciu ogólnych zebrań Rady stanu były wykluczone wszelkie polityczne rozprawy. *Aleksander.*

Warszawa — Carskie Sioło. 26. października 1861 roku.

W mieście spokojnie. Z pewnych względów ksiądz Białobrzeski dotychczas nie został skazany, lecz słuszna i surowa kara, chociaż o kilka dni później, będzie wymierzona.

Jenerał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 27. października 1861 roku.

Z powodu nieobecności margrabiego Wielopolskiego, wiceprezesa Rady stanu, mam szczęście najpoddaniej upraszać Waszą Cesarską Mość, dla zapobieżenia mogącym zajść trudnościom o zezwolenie, ażeby w razie nieobecności namiestnika i wice-prezesa, przewodniczył zebraniu najstarszy z członków Rady administracyjnej, jak obecnie tajny radca Łęski.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Carskie Sioło. 28. października 1861 roku.

W mieście wszystko w porządku. Wczoraj objąłem zarząd kraju. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Carskie Sioło. 29. października 1861 roku.

W mieście spokój zupełny. Wczoraj odbyłem przegląd 12-stu batalionów i dwóch bateryi warszawskiej załogi, znalazłem wszystko we wzorowym porządku. O godzinie 7. wieczorem wysłałem kuryera do Waszej Cesarskiej Mości.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Carskie Sioło. 29. października 1861 roku.

Wczorajszej nocy zostali uwięzieni za zamknięcie synagog: kaznodzieja Kramsztyk, Jastrow, starszy rabin Majzels i prezes dozoru bożniczego Feiking. Jen. adj. *Lüders.*

Carskie Sioło — Warszawa. 31. października 1861 roku.

Listy Pana i jenerał-adjutanta Suchozaneta z dnia $^{18}/_{9}$ b. m. otrzymałem, za kilka dni na nie odpowiem. Timaszew stanowczo odmówił, innego wyboru jeszcze nie zrobiłem. Nierad jestem, że kościołów dotychczas nie otwarto. Żądam, aby

Białobrzeskiego uwięzić i oddać pod sąd. Spodziewam się, że wybór jego następcy nastąpi z należytą rozwagą i ostrożnością. Wielopolskiego zobaczę pojutrze. *Aleksander.*

Warszawa — Carskie Sioło. 31. października 1861 roku.

W mieście spokojnie. Kościoły, z wyjątkiem pragskiego, zamknięte. Na Pradze w czasie nabożeństwa było do 5.000 ludzi. Śpiewów nie było. W kościele ewangielickim również wielki napływ ludu, nabożeństwo odbyło się zupełnie przyzwoicie. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Carskie Sioło. 31. października 1861 roku.

W mieście spokojnie. Kościoły zamknięte. Wczoraj odbyłem przegląd sześciu batalionów, pół bateryi i gimnastycznej komendy, wszystko znalazłem w znakomitym stanie. Jenerał Suchozanet odjechał do Brześcia litewskiego dla opatrzenia twierdzy. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Carskie Sioło. 1. listopada 1861 roku.

Białobrzeski zeszłej nocy uwięziony. W mieście spokojnie. Kościoły jeszcze zamknięte. Wczoraj odbyłem przegląd 3 batalionów, 7 szwadronów, 12 sotni i 6 dział. Wojska znakomite. Wczoraj odbyło się otwarcie ogólnych zebrań Rady stanu. Odczytano projekt reformy szkolnej.
Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Carskie Sioło. 2. listopada 1861 roku.

W mieście zupełny spokój. Wczoraj odbyłem przegląd reszty wojsk załogi warszawskiej, znalazłem wszystko we wzorowym porządku. Minister wojny odjeżdża dzisiaj o godzinie 8-mej rano. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Carskie Sioło. 6. listopada 1861 roku.

Spokój w mieście trwa dalej. Wczoraj w Cytadeli zwiedziłem szpital wojskowy i więzienia politycznych przestępców.

Szpital w porządku, więzienia dogodne, o ile okoliczności na to pozwalają. Jeneral-adjutant *Lüders.*

Carskie Sioło — Warszawa. 7. listopada 1861 roku.

Wczoraj rano przybył jeneral-adjutant Suchozanet, wieczorem zaś otrzymałem list Pański z dnia $^{3}/_{15}$ b. m. Zgadzam się na ostateczne nominacye Krzyżanowskiego i Kruzensterna. O innych napiszę przez kuryera. *Aleksander.*

Warszawa — Carskie Sioło. 7. listopada 1861 roku.

O godzinie 12. w nocy umarł tutejszy sufragan Deckert. Zarządziłem, aby na pogrzeb, który odbędzie się w piątek dnia 10. b. m., oprócz duchowieństwa puszczano publiczność tylko za biletami. Jeneral-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Carskie Sioło. 11. listopada 1861 roku.

W mieście spokojnie. Eksportacya zwłok sufragana Deckerta do kościoła na Powązkach przy udziale jakich 2.000 publiczności, odbyła się w zupełnym porządku.

Jeneral-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Carskie Sioło. 17. listopada 1861 roku.

W mieście wszystko spokojne. Niema oznak, by miano obchodzić rocznicę powstania 1830 roku.

Jeneral-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Carskie Sioło. 18. listopada 1861 roku.

Wczorajszy dzień przeszedł zupełnie spokojnie, bez żadnych zachcianek obchodów. Jeneral-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 3. grudnia 1861 roku.

Kiedy Platonów może ze wszystkimi rozpatrzonymi projektami wyjechać? Proszę tu przysłać także oryginał projektu Wielopolskiego o oczynszowaniu włościan. *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 3. grudnia 1861 roku.

Projekt o urządzeniu szkół już wysłany, projekt zaś o żydach i oryginał projektu Wielopolskiego o oczynszowaniu włościan, wyszlę najbliższym kuryerem. Najusilniej upraszam o pozostawienie tu Płatonowa do czasu rozpatrzenia w Radzie administracyjnej uwag komisyi spraw wewnętrznych nad projektem o oczynszowaniu. To ma w tych dniach nastąpić.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 4. grudnia 1861 roku

Pisałem, że oczekuję powrotu Płatonowa dopiero po rozpatrzeniu wszystkich projektów. *Aleksander.*

Petersburg — Warszawa. 5. grudnia 1861 roku.

Telegrafować, jaki wyrok zapadł w sprawie Białobrzeskiego. *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 5. grudnia 1861 roku.

Sprawa Białobrzeskiego będzie ostatecznie sądzoną dnia 7. grudnia. Wyrok zapadnie na karę śmierci, który ze względu na wiek i chorobę myślę złagodzić na zsyłkę na Sybir, na osiedlenie przy pozbawieniu godności i wszelkich praw stanu.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 6. grudnia 1861 roku.

Dziękuję za życzenia. Wyroku na Białobrzeskiego nie wykonywać, lecz nadesłać tu wszelkie akta, sprawy tej dotyczące. *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 7. grudnia 1861 roku.

Mszę i nabożeństwo odprawiono wczoraj w nowo odrestaurowanym soborze. Bez nacisku ze strony policyi, większa część domów była dobrowolnie iluminowaną. W mieście spokój.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 7. grudnia 1861 roku.

O godzinie 5-tej wyprawiam kuryera z aktami sprawy Białobrzeskiego. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 12. grudnia 1861 roku.

Czy nie raczy Wasza Cesarska Mość ofiarować z sum własnych 20.000 rubli sr. dla biednych, przy nadchodzących świętach, zważając, że z powodów nieodwiedzenia w tym roku Warszawy, zostali pozbawieni zwykłych w takim wypadku datków. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 12. grudnia 1861 roku.

Dać na biednych z moich sum 20.000 rubli sr.
Aleksander.

Petersburg — Warszawa. 17. grudnia 1861 roku.

Kuryer przybył wczoraj wieczorem, za kilka dni odpowiem. Płatonów niech wraca, jak tylko Rada administracyjna rozpatrzy projekt o oczynszowaniu. *Aleksander.*

Petersburg — Warszawa. 20. grudnia 1861 roku.

Zezwalam na otwarcie szkół na nowych zasadach, wyłożonych w Pańskiem przedstawieniu. Kiedy Płatonów wyjeżdża z Warszawy? Kuryera wyszlę jutro. *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 24. grudnia 1861 roku.

W mieście spokojnie. Płatonów przybędzie do Petersburga dnia 6. stycznia. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 5. stycznia 1862 roku.

Wskutek dodatkowych czynności Płatonów przed 7-mym b. m. nie będzie mógł wyjechać, stanie więc w Petersburgu zaledwie 10. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 14. stycznia 1862 roku.

Gazety zagraniczne podają, że w ogłoszonym przez nas wyroku, zeznania Białobrzeskiego i odwołanie się jego do łaski Waszej Cesarskiej Mości, są zmyślone. Upraszam o zezwolenie na ogłoszenie w tutejszych dziennikach szczegółowych i własnoręcznych zeznań tegoż przed sądem wojennym.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 14. stycznia 1862 roku.

Własnoręczne zeznania Białobrzeskiego można ogłosić. Wczoraj przyjmowałem Felińskiego i osobiście dałem mu wskazówki. *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 1. lutego 1862 roku.

O godzinie 9. po poświęceniu otwarto kościoły św. Jana i Bernardyński. U św. Jana nabożeństwo celebrował arcybiskup Feliński, u Bernardynów biskup Plater. Po nabożeństwie arcybiskup wygłosił kazanie w myśl wskazówek Waszej Cesarskiej Mości. Wszystko odbyło się uroczyście i spokojnie.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 5. lutego 1862 roku.

W mieście spokojnie. Wczoraj we wszystkich kościołach odprawiono nabożeństwa przy wielkim napływie ludu.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 7. lutego 1862 roku.

W mieście spokojnie. Wczoraj wysłałem jako kuryera do Waszej Cesarskiej Mości mego adjutanta Muchanowa.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 10. lutego 1862 roku.

Zgadzam się na zamianowanie Kretkowskiego. Księżna Gorczakowa pisze do Felińskiego, że życzę, aby treść jego li-

stu pasterskiego była taką, jak mi ją przedstawił. Kuryera odeszlę za jakie trzy dni. *Aleksander.*

Petersburg — Warszawa. 13. lutego 1862 roku.

Na list z dnia $^{6}/_{18}$ b. m. odpowiem po otrzymaniu następnego kuryera. Zgadzam się na zaprowadzenie złagodzeń. Chciałbym wiedzieć, jakiemi drogami list pasterski Felińskiego, jeszcze nie ogłoszony w Warszawie, mógł się dostać do dzienników zagranicznych? *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 13. lutego 1862 roku.

List Felińskiego prawdopodobnie z Petersburga został przesłany za granicę. Tutaj, o ile zbadałem, Feliński nikomu go niepokazywał. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 16. lutego 1862 roku.

Goniec wasz przybył wczoraj. Proszę nie robić żadnego ogłoszenia w imieniu Felińskiego przed otrzymaniem mej odpowiedzi. *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 24. lutego 1862 roku.

Mam szczęście upraszać z okazyi dnia jutrzejszego o zezwolenie na ułaskawienie lub złagodzenie kar, skazanym wyrokami sądu, nie wyłączając i zasłanych do Cesarstwa. Listę ułaskawionych przedstawię. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 24. lutego 1862 roku.

Postąp, jak żądałeś. *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 26. lutego 1862 roku.

W mieście spokój. Wczoraj, po nabożeństwach w kościołach, przyjmowałem powinszowania z powodu rocznicy wstąpienia na tron Waszej Cesarskiej Mości od naczelników władz wojskowych i cywilnych, znajdujących się w Warszawie. Ze-

branie było bardzo liczne, przyczem składali życzenia i główniejsi dygnitarze kościoła katolickiego. Następnie po odprawieniu modłów w soborze, odbyłem przegląd kombinowanego batalionu z wojsk załogi warszawskiej. Wieczorem miasto było oświetlone, w teatrze przedstawienie bezpłatne, na które zebrała się liczna publiczność, głównie ze średnich i niższych warstw ludności. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 27. lutego 1862 roku.

Nr 5. Kuryer wasz przybył wczoraj wieczorem. Pochwalam zupełnie zdanie, wyłożone w piśmie waszem. Proszę donieść, kogo zamierzasz powołać do projektowanego komitetu. Tu się przygotowują projekta dla ustanowienia przy namiestniku zarządcy cywilnego; w swoim czasie zostaną wam zakomunikowane. *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 5. marca 1862 roku.

Sprawozdanie w przedmiocie depeszy Waszej Cesarskiej Mości nr 5. wyszlę kuryerem dnia $^{7}/_{19}$ marca, tak, aby mogło być otrzymanem jeszcze przed odjazdem Płatonowa, któremu może raczy Wasza Cesarska Mość objawić swą wolę.

Jenerał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 10. marca 1862 roku.

Kuryera wysłałem we czwartek. Wielopolskiemu na własne jego żądanie zezwoliłem udać się do Warszawy dla wzięcia udziału w ogólnych posiedzeniach Rady stanu, poczem ma tu znów powrócić. *Aleksander.*

Warszawa — Petersburg. 30. marca 1862 roku.

Wczoraj w kościele św. Jana, gdy Feliński rozpoczynał kazanie, młodzież hałaśliwie poczęła wychodzić, wypychając i głośno wzywając innych do wyjścia. Zamiar wywołania demonstracyi zawczasu był wiadomy. — Czternastu agitatorów uwięziono. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 14. kwietnia 1862 roku.

W mieście spokojnie. Wczoraj zapowiedziano procesye kościelne po mieście, które wskutek poczynionych zarządzeń nie przyszły do skutku. Jeneral-leitnant *Kryżanowskij.*

Warszawa — Petersburg. 21. kwietnia 1862 roku.

Z dniem 19. kwietnia (1. maja) rozpoczęły się po kościołach nabożeństwa majowe. Wczoraj w jednym kościele późno wieczorem ksiądz zaintonował zwykłą pieśń kościelną na nutę hymnu zakazanego; w drugim zaś kościele jedna kobieta zaczęła śpiewać hymn zabroniony, ksiądz jednak dalsze śpiewanie powstrzymał. W trzecim kościele lud prześpiewał jedną strofę hymnu. W tym ostatnim kościele aresztowano jednego studenta. Księdza z pierwszego kościoła kazałem uwięzić aż do powrotu Felińskiego. Jenerał-leitnant *Kryżanowskij.*

Warszawa — Petersburg. 22. kwietnia 1862 roku.

Wczoraj rano uczniowie gimnazyalni i kobiety śpiewali hymn zabroniony w kościele św. Krzyża. Przy wyjściu z kościoła aresztowano pięciu młodych ludzi i dwie kobiety. Tłum chciał uwolnić aresztowanych, lecz to mu się nie udało. Zresztą bójki przytem nie było. O godzinie 10. uczniowie gimnazyów: realnego i gubernialnego, stojąc za ogrodzeniem, wymyślali na wojsko i policyę i ciskali kamieniami. Wieczorem gromadziły się liczne zbiegowiska u św. Krzyża i w ogrodzie botanicznym, jednak rozesłane liczne patrole wraz z policyą nie dopuściły do rozruchów. Jen.-leitn. *Kryżanowskij.*

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.
24. kwietnia 1862 roku.

Podporucznicy Arnhold i Śliwicki z czwartego batalionu strzelców celnych dzisiaj osadzeni w X. pawilonie za podmawianie żołnierzy do buntu. Za to samo osadzeni na głównej strażnicy: porucznik Niepienin, podporucznik Pleszkow, oraz kilku żołnierzy.

Dzisiaj pogrzeb hrabiny Walewskiej, damy orderowej.

W czwartym batalionie strzelców celnych wysadzę komisyę śledczą. — To są owoce odezw. — Cesarzowi nic jeszcze nie donoszę.

Uwięzieni z czwartego batalionu strzelców celnych:

1. Sztabskapitan Niepenin z pskowskiej gubernii, prawosławny, mianowany oficerem 6. czerwca 1857 roku po ukończeniu pawłowskiego korpusu kadetów;
2. Porucznik Arnhold z gubernii petersburskiej, prawosławny, mianowany oficerem 16. czerwca 1859 r., po ukończeniu pawłowskiego korpusu kadetów;
3. Podporucznik Śliwicki II z gubernii charkowskiej, prawosławny, mianowany jednocześnie z Arnholdem z tegoż samego korpusu;
5. Podporucznik Pleszkow z gubernii czernichowskiej, prawosławny, mianowany oficerem jednocześnie z Niepeninem, z tegoż samego korpusu.

Minister wojny z Petersburga do szefa gł. sztabu w Warszawie.

25. kwietnia 1862 roku.

Z rozkazu Cesarza polecam winnych oficerów oddać pod sąd polowy kryminalny i wyroki według całej surowości prawa natychmiast wykonać.

Warszawa — Petersburg. 26. kwietnia 1862 roku.

Wczoraj późno wieczorem w kościele Karmelitów same kobiety zaśpiewały zabronione strofy. Trzy z nich uwięziono. Zresztą spokojnie. Jenerał-porucznik *Kryżanowskij.*

Warszawa — Petersburg. 27. kwietnia 1862 roku.

Wczoraj z powodu świętego Stanisława tłumy ludu po kościołach i na ulicach. — Silne patrole krążyły po mieście i spokój nigdzie nie został naruszony.

Jenerał-porucznik *Kryżanowskij.*

Warszawa — Petersburg. 3. maja 1862 roku.

W mieście spokojnie. Wysłałem o godzinie 5. rano kuryera do Waszej Cesarskiej Mości. Jen.-adj. *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 4. maja 1862 roku.

Wczoraj w kościele Karmelitów śpiewano pieśń kościelną na nutę zabronioną, przytem z różnymi dodatkami. Uwięziono ośm kobiet i dwóch mężczyzn. Zresztą w mieście spokojnie.
Jenerał-adjutant *Lüders.*

Carskie Sioło — Warszawa. 11. maja 1862 roku.

Pochwalam zarządzenia co do Felińskiego i duchowieństwa. *Aleksander.*

Carskie Sioło — Warszawa. 16. maja 1862 roku.

Wysyłam pojutrze jenerał-adjutanta hrabiego Adlerberga II z listem i specyalnem osobistem poruczeniem.
Aleksander.

Warszawa — Petersburg. 20. maja 1862 roku.

Powinszowania imienin W. księcia Aleksego Aleksandrowicza. Jenerał-adjutant *Lüders.*

Carskie Sioło — Warszawa. Do jen.-adj. hr. Adlerberga II.
21. maja 1862 roku.

Wiadomości odebrane bardzo mnie ucieszyły. Szczerze dziękuję jenerał-adjutantowi Lüdersowi za jego gorliwość i gotowość wypełnienia mych życzeń. *Aleksander.*

Carskie Sioło — Warszawa. Do jenerał-adjutanta Lüdersa.
25. maja 1862 roku.

Szczerze wam dziękuję za list przysłany przez jenerał-adjutanta hrabiego Adlerberga II. Mianowania W. księcia Konstantego Mikołajewicza i Wielopolskiego niebawem nastą-

pią. Również zapadnie decyzya co do terminu ich wyjazdu. Zgadzam się na uwolnienie tajnego radcy Kruzensterna, na jego prośbę, od obowiązków głównego dyrektora komisyi spraw wewnętrznych z pozostawieniem go członkiem Rady stanu.

Aleksander.

Carskie Sioło — Warszawa. Do jenerał-adjutanta Lüdersa.

27. maja 1862 roku.

Dzisiaj W. książę Konstanty Mikołajewicz zamianowany namiestnikiem Królestwa Polskiego, zaś margrabia Wielopolski naczelnikiem rządu cywilnego. Do czasu przybycia Jego Wysokości do Warszawy będziesz Pan po dawnemu pełnić swe obowiązki. W dowód mego szczególnego uznania za usługi, oddane w zarządzie Królestwa Polskiego i pierwszej armii, nadaję Panu godność hrabiowską. W. książę nie może przybyć do Warszawy prędzej jak za sześć tygodni. Wielopolski wyjeżdża w przyszłą środę. Projekt Pana, co do zwinięcia warszawskiego jenerał-gubernatorstwa, w zasadzie trafia mi do przekonania. Czekam na stanowcze przedstawienia wraz z wskazaniem osób, którym należałoby powierzyć różne stanowiska.

Aleksander.

Carskie Sioło — Warszawa. 4. czerwca 1862 roku.

Kuryer wasz przybył. Zgadzam się na przysłanie Kryżanowskiego z doświadczonymi urzędnikami. Mam nadzieję, że skrywający się dwaj oficerowie z 6. batalionu strzelców celnych zostaną wykryci i oddani pod sąd. Kiedy się ukończy sprawa sądzonych oficerów z 4. batalionu strzelców celnych?

Aleksander.

Carskie Sioło — Warszawa. Do jen.-adj. Merchelewicza.

15. czerwca 1862 roku.

Zaraz donieść, co się stało z hrabią Lüdersem i co się dzieje w mieście i Królestwie? *Aleksander.*

Carskie Sioło — Warszawa. Do jenerał-adjutanta Lüdersa.

16 czerwca 1862 roku.

Nadzwyczaj jestem zmartwiony Pańską raną. Daj Boże, byś jak najprędzej wrócił do zdrowia. Codziennie proszę mnie zawiadamiać o swoim stanie. Czy zbrodniarz schwytany i kto on jest? Kryżanowskiego wyszlę w niedzielę dla objęcia dowództwa armii aż do przyjazdu mego brata, który wyjeżdża we wtorek. Jenerał-adjutant Ramzay jednocześnie otrzymuje rozkaz, by się bezzwłocznie stawił w Warszawie.

Aleksander.

KONIEC TOMU II.

TREŚĆ.

Księga IV.

Nominacya Suchozaneta. Wznowienie manifestacyi. Hrabia Lambert. Wybory. Manifestacya w Horodle. Śmierć i pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego. Egzekwie za Kościuszkę. Uwięzienia po kościołach. Zamknięcie kościołów. Samobójstwo Gerstenzweiga. Wyjazd hr. Lamberta. — (Od 8. czerwca do 26. październ. 1861 r.). str. 7

Księga V.

Powrót Suchozaneta. Mianowanie namiestnikiem jenerał-adjutanta Lüdersa. Uwięzienie i wygnanie księdza administratora Białobrzeskiego. Mianowanie księdza Felińskiego arcybiskupem warszawskim. Organizacye „białych“ i „czerwonych.“ Przyjazd nowego arcybiskupa. Otwarcie kościołów. Rewolucyjne komitety. Dąbrowski. Tegoż plan powstania. Chmieliński. Wykrycie spisku między oficerami czwartego batalionu strzelców celnych. Sąd i egzekucya wyroków śmierci. Strzał do Lüdersa. Mianowanie wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza namiestnikiem Królestwa Polskiego. Spisek. Strzał do wielkiego księcia. — Od 24. października 1861 do 3. lipca 1862 roku . . . . . str. 101

Księga VI.

Ogólne współczucie dla wielkiego księcia. Reformy i ustępstwa. Nowe wybory. Komitet centralny i jego działalność. Zachowanie się Białych. Zamachy na Wielopolskiego. Stracenie przestępców. Odezwa namiestnika do Polaków. Komunały i Miniszewski. Adres szlachty. Wywiezienie Andrzeja hr. Zamoyskiego. Angielscy policyanci Ogłoszenie branki na prawach wyjątkowych. Stanowcze przerzucenie się duchowieństwa na stronę partyi ruchu. Dążenie do powstania. Plan Padlewskiego. Uwięzienie Godlewskiego w Paryżu. Nowy komitet centralny. Organizacya wojskowa. Branka. Ustano-

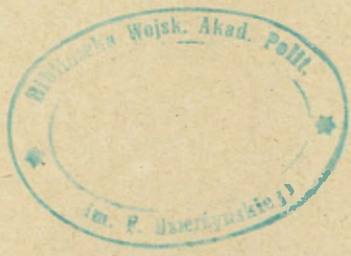
wienie tymczasowego rządu narodowego. Odezwa tegoż do narodu. — Od 3. lipca 1862 roku do 22. stycznia 1863 r. . str. 181
Przypisek do księgi VI. — Szczegóły zamordowania szefa tajnej policyi Felknera i Anny Wiśniewskiej . . . . . str. 283

Księga VII.

Wyjście powstańców z Warszawy. Wybuch z dnia 23. stycznia w różnych miejscowościach Królestwa Polskiego. Stan umysłów zaraz po wybuchu. Wyjazd Kraszewskiego. Przyłączenie się białych do powstania. Następstwa. Zarządzenia władz. Bitwy pod Węgrowem, Siemiatyczami, Nową Słupią, Małogoszczą. — Od dnia 16. stycznia do 10. marca 1863 roku . . . . . str. 289
Przypisek do księgi VII. — Spotkanie jenerała Sinielnikowa z powstańcami dnia 22. stycznia 1863 roku . . . . . str. 389

Dodatek.

Przypisek do księgi IV. — Ogłoszenie o zaprowadzeniu stanu wojennego . . . . . str. 397
Wymiana depesz między Warszawą a cesarzem Aleksandrem II. str. 399





BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
10291/I
18 tom